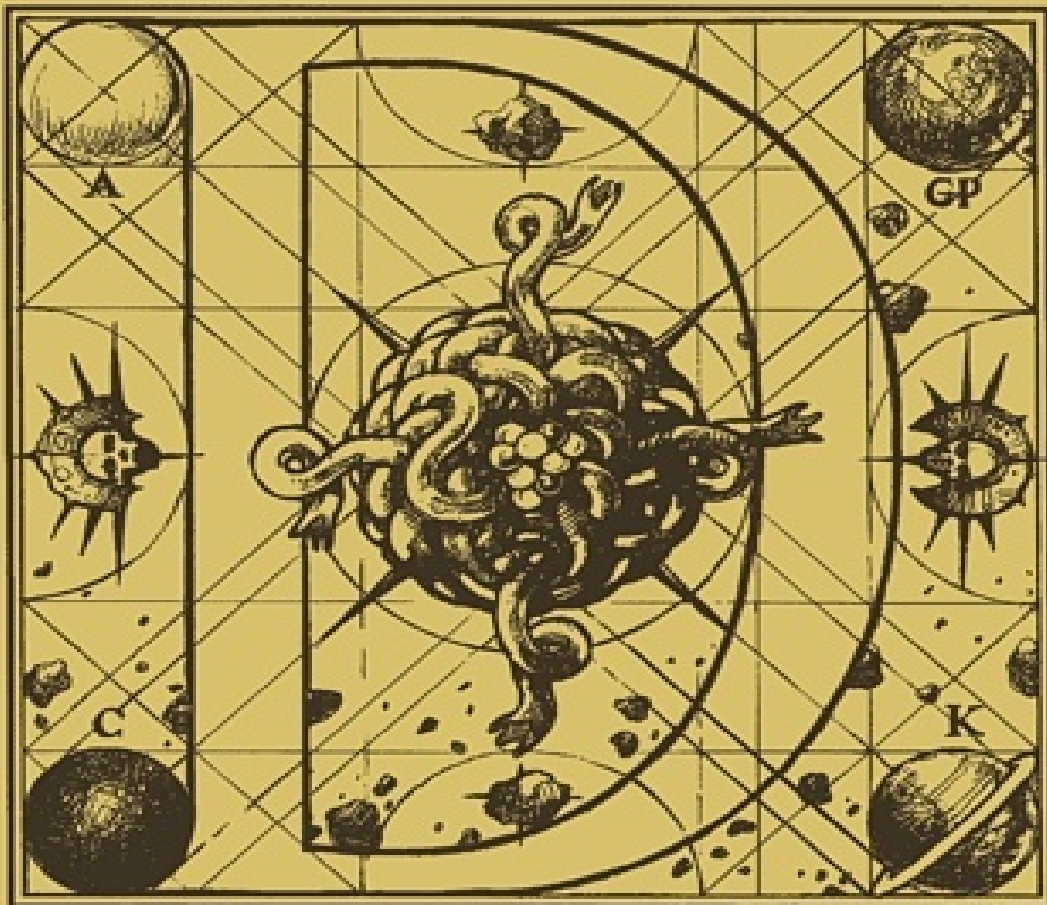


Frank Herbert

Heretycy

Diuny



Frank Herbert

HERETYCY  
DIUNY

Przełożył Marek Michowski



Dom Wydawniczy REBIS



## Prolog

W imię naszego świętego zgromadzenia i jego nierozdzielnej wspólnoty sióstr niniejszy raport zostaje uznany za rzetelny i godny włączenia do kronik kapituły.

To dobrze znane zalecenie odchodzi w niepamięć za sprawą słów i czynów baszara Milesa Tega, ostatniej osoby we wszechświecie, po której mogłybyśmy się spodziewać takiego objawienia.

Co sprawiło, że Teg przejrzał? On sam mówi, że było to spotkanie z żołnierzem Rozproszonych, wziętym do niewoli na Gammu i poddanym wyczerpującemu przesłuchaniu. Ten człowiek wzywał Wielkiego Boga Dura [przyp. arch.: Guldur, inne imię Tyrana], by napęłnił klejnotami kieszenie tych, którzy go schwytali, jeśli go oddadzą Dostojnym Matronom.

Pamiętając metody Missionaria Protectiva, Teg zastanawiał się głośno, czy ta prośba mogła zostać wysłuchana. Myślał przy tym, że taka wątpliwość skłoni jeńca do wzywania Dura do zemsty na jego wrogach.

Tymczasem jeńiec śmiał się. Zastanawiał się chwilę, a potem przyznał, że nigdy nie słyszał, by komuś napęlniono kieszenie klejnotami.

– Pragniesz takiej boskiej odpowiedzi? – spytał Teg, badając jego wiarę.

– Napędziłaby mi strachu – odrzekł jeńiec. – Zbyt wielu chciałoby mieć swój udział.

Teg opowiada, że od razu przejrzał prosty, surowy wszechświat tamtego, uświadamiając sobie, jak doskonale taka konstrukcja podlega decyzjom wierzącego. Była to kwestia wiary. Wszechświat był taki, bo wierzący chciał go takim widzieć.

– Natychmiast zauważyłem, że tak samo jest ze mną i ze wszystkimi znanymi mi ludźmi – mówi nam Teg, dodając, że w owej chwili zrozumiał prawdziwą naturę planu ułożonego przez Matkę Przełożoną Tarazę dla gholi i dla Rakis.

Objawienie Tega skierowało jego uwagę ku zapisom historycznych wydarzeń. Przypomnił sobie nasze nauczanie, że egzotyczne idee głoszone w określonych językach można wyrazić w pełni tylko w tych językach. Tłumaczenie zawsze zawodzi, gdy idzie o pierwotne znaczenia. Według niego, zapisy zwykle odwracają uwagę od ukrytych implikacji historycznych zdarzeń. Nazywa to historią sceniczną.

Często zauważaliśmy, jak łatwo wielcy historycy mogą ulec pokusie wspierania tych, którzy odwracają naszą uwagę. Przypominam, że Tyran zabił historyków, którzy go rozgniewali z tego właśnie powodu.

Łatwość, z jaką dają się uwieść historycy, można po części wyjaśnić tym, że krwawe wydarzenia przyciągają rodzaj ludzki z magiczną siłą. Historycy nie stanowią tu wyjątku. Zaspokajają to prastare ludzkie pragnienie, które ujawnia się w tłumach cisnących się w miejscach straceń albo nieszczęśliwych wypadków.

Dodatkowym bodźcem jest to, że dostarczanie krwawych atrakcji często przynosi bogactwo i władzę. Daje popularność. Natomiast zgłębianie niewyjaśnionych zdarzeń i tajnych machinacji ludzi pozostających w cieniu jest nie tylko trudniejsze, ale wyraźnie zagraża karierze, jeśli nie życiu. Taka działalność rzadko przynosi dzieła historyczne, które zyskują powszechne uznanie. A jeśli nawet takie odkrywcze dzieła się pojawiają, znikają w dziwny sposób wraz ze swymi autorami. Mamy zatem rozszerzenie tego, co nasze zgromadzenie nazywa „permanentnym konfliktem”. Stawki w konfliktach się nie zmieniają. O tym, kto zdobędzie bogactwo, rozstrzyga walka.

Teg przypomina nam o tym, co już wiemy, ale czego nie stosujemy w pełni do siebie. My, członkinie zgromadzenia, jesteśmy niczym górniczy drążący coraz głębiej chodniki ludzkiej złożoności. Dobrze wiemy, że wygląd, postawa, kształt i kolor ciała nie muszą oznaczać wartości człowieka czy jego inteligencji.

Żaden człowiek czy społeczeństwo nie jest nigdy iglicą wieży. Ewolucja nie zbliża całych gatunków do zagłady. Narzuciliśmy niezliczonym planetom rytm pór roku, ale tylko nieliczne z nich uległy pokusie wiecznej wiosny czy nawet wiecznego lata. Brak zmian rodzi nudę. Znużeni natomiast są nieposłuszni.

Czyż Tyran nas nie ostrzegał?

„Antropologia to ja – powiedział. – Przyjrzyjcie mi się, a zobaczycie, dlaczego żaden argument nie usprawiedliwia wiary w naturalną wyższość

waszego gatunku. Wyższość może być cechą jednostek. Jedne społeczeństwa mogą demonstrować przewagę nad innymi, wszystko jednak przemija.

Nie mówcie mi, że to rozumiecie! Jeśli się na to odważycie, rzucę wam w twarz ostrzeżenie zensunnitów!

Założenia oparte na idei »zrozumienia« atakują nas ze wszech stron. Teorie te pokładają wiarę w słowach bardziej niż zorganizowane religie. Rzadko kiedy kwestionuje się wiarę. Samo stwierdzenie, że istnieją rzeczy, których nie można opisać, wstrząsa światem, w którym słowa i systemy ich przekazywania są najwyższym bóstwem”.

Systemy, siostry! Oto sedno objawienia Tega. Ranga i pozycja społeczna mogą leżeć w centrum ewolucji społeczeństw, ale słowo „systematyka” pozostaje niebezpieczne. Systemy wzorujące się na podświadomości swoich twórców zawsze biorą górę. To właśnie naszym systemom zawdzięczamy obecne ciężkie położenie! Wciąż jednak mamy ów nieśmiertelny wybór: zdegenerować się albo pokonać naszych przeciwników.

– Matka Przełożona Darwi Odrade,  
wystąpienie na radzie



## Heretycy Diuny

Dyscyplina przeważnie pozostaje w ukryciu, a jej celem nie jest wyzwalenie, ale ograniczanie. Nie pytaj: „Dlaczego?” Bądź ostrożny z „Jak?” „Dlaczego?” prowadzi nieuchronnie do paradoksu. „Jak?” zamyka cię w uniwersum przyczyn i skutków. Jedno i drugie jest zaprzeczeniem nieskończoności.

– *Apokryfy Arrakis*

– Taraza powiedziała ci chyba, że zużyliśmy już jedenastu gholi Duncana Idaho? Ten jest dwunasty.

Sędziwa Matka Wielebna Schwangyu celowo powiedziała to z goryczą, spoglądając z drugiego piętra na samotnego chłopca bawiącego się na trawniku zamkniętego ogrodu. Jaskrawe południowe światło słońca planety Gammu odbijało się od białych murów dziedzińca, napełniając ogród jasnością padającą na młodego gholę niczym blask reflektora.

„Zużyliśmy!” – pomyślała Matka Wielebna Lucylla. Pozwoliła sobie na krótkie skinienie, myśląc o chłodnych, bezosobowych manierach Schwangyu i jej doborze słów. „Zużyliśmy cały nasz zapas. Przyślijcie więcej!”

Chłopiec na trawniku wyglądał na dwanaście standardowych lat, ale wygląd mógł być mylący w przypadku gholi, w którym nie obudzono jeszcze jego pierwotnych wspomnień. Podniósł głowę i spojrzał na patrzące na niego kobiety. Miał mocną budowę ciała i spoglądał śmiało spod czarnych, kędzierzawych włosów. Był opalony na brąz, ale gdy się poruszył, rękaw niebieskiego kombinezonu odsłonił jasną skórę na ramieniu. Żółtawe słońce wczesnej wiosny rzuciło krótki cień u jego stóp.

– Ci ghole są nie tylko kosztowni, ale i skrajnie niebezpieczni – powiedziała Schwangyu. Głos miała bezbarwny, ale przez to bardziej władczy. Tak Matka Wielebna Instruktorka przemawia do akolitki. Utwierdziło to Lucyllę w przekonaniu, że Schwangyu była jedną z tych, które otwarcie sprzeciwiały się wykorzystywaniu gholi.

Taraza ostrzegła ją: „Postara się przeciągnąć cię na swoją stronę”.

– Jedenaście porażek wystarczy – powiedziała Schwangyu.

Lucylla spojrzała na jej pomarszczoną twarz i nagle pomyślała: „Kiedyś ja też będę stara i pomarszczona. I też będę kimś w Bene Gesserit”.

Oznaki starości Schwangyu mówiły o długich latach służby na rzecz zgromadzenia. Była niewysoka, jej czarna szata zaś skrywała kościste ciało, które mało kto widział prócz jej akolitek i mężczyzn, z którymi ją łączono. Miała szerokie usta, a bruzdy ograniczające dolną wargę zbiegały się do wydatnego podbródka. Cechowała ją oschłość, którą nieznający jej bliżej odbierali często jako gniew. Komendantka twierdzi Gammu była bardziej zamknięta w sobie niż większość Matek Wielebnych.

Lucylla znów poczuła żal, że nie zna całego planu wykorzystania gholi. Taraza wyraźnie określiła granicę jej wtajemniczenia, dodawszy: „Kiedy chodzi o bezpieczeństwo gholi, nie można ufać Schwangyu”.

– Uważamy, że sami Tleilaxanie zabili większość z tych jedenastu – powiedziała Schwangyu. – Już to jedno o czymś świadczy.

Lucylla przyjęła na wzór Schwangyu postawę spokojnego, beznamiętnego oczekiwania, mówiąc: „Mogę być o wiele młodsza niż ty, Schwangyu, ale i ja jestem pełnoprawną Matką Wielebną”. Czuła na sobie spojrzenie tamtej.

Schwangyu oglądała wcześniej holoobraz Lucylli, ale w rzeczywistości ta kobieta była o wiele bardziej niepokojąca. Znakomicie wyszkolona imprinterka, bez wątpienia. Błękitne w błękicie oczy robiły wrażenie przenikliwych i pasowały do wydłużonego owalu twarzy. Odrzucony kaptur czarnej aby ukazywał kasztanowe włosy zebrane w ciasny węzeł, a potem spadające kaskadą na plecy. Nawet najsztowniejsza szata nie mogła ukryć pełnych piersi Lucylli. Jej linia genetyczna słynęła z macierzyńskiego instynktu. Kobieta ta dała już zgromadzeniu troje dzieci, z tego dwoje z tym samym mężczyzną. Tak, kasztanowłosa uwodzicielka o pełnych piersiach i matczynym charakterze.

– Jesteś bardzo małomówna – stwierdziła Schwangyu. – Podpowiada mi to, że Taraza ostrzegała cię przede mną.

– Masz powód przypuszczać, że asasyni spróbują zabić tego dwunastego gholę? – spytała Lucylla.

– Już próbowali.

Lucylli przyszło do głowy, że to dziwne, jak słowo „herezja” samo się nasuwa, kiedy się myśli o Schwangyu. Czy herezja mogła istnieć wśród Matek Wielebnych? Religijne konotacje tego słowa wydawały się nie na

miejsu w odniesieniu do Bene Gesserit. Jak herezja może się pojawić wśród tych, które traktują religię wyłącznie jako środek manipulowania ludźmi?

Lucylla przeniosła uwagę na gholę, który wykorzystał ten moment, by wykonać serię młynków wokół trawnika, póki nie znalazł się tam, gdzie stał wcześniej, patrząc na obserwatorki.

– Pięknie ćwicz! – parsknęła Schwangyu. Starczy głos nie zdołał ukryć nienawiści.

Lucylla spojrzała na nią. „Tak, herezja”. „Dysydencja” nie była odpowiednim słowem. „Opozycja” nie obejmowała tego, co się wyczuwało w tej starej kobiecie. To było coś, co mogło wstrząsnąć Bene Gesserit. Bunt przeciw Tarazie, Wielebnej Matce Przełożonej? Nie do pomyślenia! Matki Przełożone były z tej samej gliny co monarchinie. Kiedy już Taraza wysłuchiwała rad i podjęła decyzję, siostry były zobowiązane do posłuszeństwa.

– To nie czas na tworzenie nowych problemów! – oświadczyła Schwangyu.

Znaczenie jej słów było jasne. Rozproszeni powracają, a plany niektórych Utraconych zagrażają zgromadzeniu. „Dostojne Matrony!” Brzmiało to całkiem tak jak „Matki Wielebne”.

Lucylla zdecydowała się zarzucić wędkę.

– Sądzisz więc, że powinniśmy się skoncentrować na problemie tych Dostojnych Matron spośród Rozproszonych?

– Skoncentrować? Ha! One nie mają naszych mocy. Nie okazują rozsądku. I nie panują nad melanżem! Tego właśnie chcą od nas: naszej wiedzy o przyprawie.

– Być może – zgodziła się Lucylla. Nie miała ochoty ustępować przed tak słabymi dowodami.

– Matka Przełożona Taraza postradała chyba zmysły, żeby bawić się teraz z tym gholą – powiedziała Schwangyu.

Lucylla milczała. Plan związany z gholą poruszył dawne obawy sióstr. Możliwość, choćby odległa, otrzymania nowego Kwisatz Haderach budziła dreszcz grozy w ich szeregach. Igrać z zakłętymi w czerwie częstkami świadomości Tyrana? To było skrajnie niebezpieczne!

– Nie powinniśmy zabierać tego gholi na Rakis – mruknęła Schwangyu. – Nie budź czerwia, kiedy śpi.

Lucylla raz jeszcze przyjrzała się chłopcu. Odwrócił się plecami do galerii, na której tkwiły dwie Matki Wielebne, ale coś w jego postawie



mówiło, że wie, iż rozmawiają o nim, i czeka na ich reakcje.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że wezwano cię za wcześnie, bo on jest za młody?

– Nie słyszałam jeszcze o głębokim uwarunkowaniu kogoś tak młodego – przyznała Lucylla. Pozwoliła sobie na lekko autoironiczny ton, bo wiedziała, że Schwangyu to dostrzeże i błędnie zinterpretuje. Główną specjalnością Bene Gesserit była prokreacja i wszystko, co dla niej konieczne. „Użyj miłości, ale jej unikaj” – oto, co myśli Schwangyu. Analityczki zgromadzenia wiedziały, gdzie się zakorzenia miłość. Zbadały to już we wczesnym stadium rozwoju, ale nie odważyły się wykluczyć jej z ukierunkowanego łączenia par. Zasada mówiła: Toleruj miłość, ale strzeż się jej. Musisz wiedzieć, że istnieje, ukryta głęboko w ludzkiej genetyce, siatka bezpieczeństwa niezbędna dla przedłużenia gatunku. Używaj jej, kiedy trzeba uwarunkować wybrane jednostki (czasem na siebie nawzajem) dla celów zgromadzenia, wiedząc, że są one związane potężnymi, niedostrzegalnymi więzami. Inni mogą widzieć te więzy i planować konsekwencje, ale połączeni nimi będą tańczyć tylko w takt niesłyszalnej dla nich muzyki.

– Nie twierdzę, że uwarunkowanie go jest błędem. – Schwangyu źle zrozumiała milczenie Lucylli.

– Obie robimy to, co nam kazano – burknęła Lucylla. Niech tamta rozumie to, jak chce.

– Nie masz zatem nic przeciwko zabraniu gholi na Rakis? – spytała Schwangyu. – Zastanawiam się, czy gdybyś знаła całą tę historię, byłabyś taka posłuszna.

Lucylla nabrała tchu. Czyżby miała teraz poznać w pełni zamysł związany z gholami Duncana Idaho?

– Na Rakis żyje dziewczynka imieniem Sziena – powiedziała Schwangyu. – Sziena Brugh potrafi rozkazywać wielkim czerwiom.

Lucylla ukryła napięcie. „Wielkie czerwie! Nie Szej-hulud. Nie Szejtan. Wielkie czerwie”. A więc w końcu pojawił się jeździec piasku przepowiedziany przez Tyrana!

– Nie mówię tego dla podtrzymania rozmowy – dodała Schwangyu, gdy Lucylla wciąż milczała.

„Oczywiście, że nie – pomyślała Lucylla. – Mówisz o rzeczach, opisując je, a nie nazywając imieniem o mistycznej treści. Wielkie czerwie! A naprawdę myślisz o Tyranie, Leto II, którego niekończący się sen jest

przenoszony w perłach świadomości w każdym z tych wielkich czerw. Tak przynajmniej nauczono nas wierzyć”.

Schwangu wskazała głową chłopca na trawniku.

– Myślisz, że ich ghola zdoła wpłynąć na dziewczynkę, która rozkazuje czerwom?

„W końcu coś wypływa na wierzch” – pomyślała Lucylla.

– Nie muszę odpowiadać na takie pytanie.

– Jesteś naprawdę ostrożna.

„Ostrożna? Oczywiście!” Taraza ostrzegła ją: „Kiedy chodzi o Schwangu, musisz działać niezmiernie ostrożnie, ale szybko. Okno czasowe, w którym możemy osiągnąć powodzenie, jest bardzo wąskie”.

„Powodzenie w czym?” – zastanawiała się Lucylla. Spojrzała na Schwangu.

– Nie rozumiem, jak Tleilaxanie zdołali zabić tych jedenastu gholi. Jak się przedostali przez naszą obronę?

– Teraz mamy baszara. Może zapobiegnie nieszczęściu. – Ton Schwangu mówił wyraźnie, że w to nie wierzy.

Matka Przełożona Taraza powiedziała: „Jesteś imprinterką, Lucyllo. Kiedy przybędziesz na Gammu, rozpoznasz część wzoru. Twoje zadanie nie wymaga jednak, żebyś poznała cały plan”.

– Pomyśl o kosztach! – rzuciła Schwangu, patrząc gniewnie na ghole, który przykucnął i szarpał kępki trawy.

Lucylla wiedziała, że koszty nie mają tu nic do rzeczy. Otwarte przyznanie się do porażki byłoby znacznie gorsze. Zgromadzenie nie może ujawniać, że jest omyłne. Za to fakt, że tak wcześnie wezwano imprinterkę, był niezwykle istotny. Taraza wiedziała, że imprinterka dostrzeże to i rozpozna ukryty wzór.

Schwangu machnęła kościstą ręką ku chłopcu, który wrócił do swej zabawy, biegając i wywracając koziołki na trawie.

– Polityka – powiedziała.

„Bez wątpienia polityka zgromadzenia leży u podstaw *herezji* Schwangu” – pomyślała Lucylla. Na delikatną naturę sporu wskazywało mianowanie Schwangu komendantką twierdzy Gammu. Oponentki Tarazy odmawiały trzymania się na uboczu.

Schwangu odwróciła się i spojrzała wprost na Lucyllę. Powiedziano już dość. Dość już usłyszano i przepuszczono przez wyszkolone umysły Bene Gesserit. Kapituła bardzo starannie wybrała Lucyllę.

Lucylla czuła, że starsza kobieta bada ją wzrokiem, ale nie wpływało to na najgłębsze skupienie, które pomagało Matkom Wielebnym uporać się ze stresem. „Niech patrzy, ile chce” – pomyślała. Odwróciła się, uśmiechnęła łagodnie i przebiegła wzrokiem przeciwległy dach.

Pojawił się tam mężczyzna w mundurze uzbrojony w ciężką rusznicę laserową. Rzucił okiem na Matki Wielebne, a potem skupił uwagę na chłopcu pod nimi.

– Kto to jest? – spytała Lucylla.

– Patrin, zaufany adiutant baszara. Mówi, że jest tylko jego ordynansem, ale trzeba być ślepym i głupim, żeby w to uwierzyć.

Lucylla przyglądała się mu uważnie. Więc to był Patrin. Taraza mówiła, że pochodzi z Gammu. Sam baszar wybrał go do tego zadania. Szczupły, jasnowłosy, był o wiele za stary do czynnej służby, ale na wezwanie odwołanego z emerytury baszara pomagał mu w pełnieniu obowiązków.

Schwangu zauważyła, że Lucylla przeniosła wzrok z Patriny na gholę z prawdziwą troską. Tak, skoro baszar został wezwany do strzeżenia twierdzy, gholi musi grozić prawdziwe niebezpieczeństwo.

– Dlaczego... on... – Lucylla się wzdrygnęła.

– To rozkaz Milesa Tega. – Schwangu wymieniła nazwisko baszara. – Te zabawy to szkolenie. Ciało musi być gotowe na przywrócenie pierwotnej świadomości.

– To nie są proste ćwiczenia – zauważyła Lucylla, czując, jak jej mięśnie prężą się, wspominając własne szkolenie.

– Nie wolno mu tylko poznawać tajemnic zgromadzenia. Prawie cała skarbnica naszej wiedzy może należeć do niego. – Ton Schwangu mówił wyraźnie, że jej zdaniem jest to wysoce niewłaściwe.

– Ale z pewnością nikt nie wierzy, że ten ghola zostanie nowym Kwisatz Haderach – zaprotestowała Lucylla.

Schwangu wzruszyła tylko ramionami.

Lucylla znieruchomiała zamyślona. Czy to możliwe, by ten ghola został przekształcony w męską wersję Matki Wielebnej? Czy ten Duncan Idaho mógłby się nauczyć wnikać w głąb siebie, tam gdzie nie ośmiela się zaglądać żadna Matka Wielebna?

Schwangu zaczęła mówić, prawie warcząc.

– Zamysł tego projektu... ich plan jest niebezpieczny. Mogą popełnić ten sam błąd... – Urwała.

„One mogą – pomyślała Lucylla. – Ich ghola”.

– Wiele bym dała, żeby wiedzieć, jakie stanowisko zajmują w tej sprawie Ix i rybomówne – stwierdziła.

– Rybomówne! – Schwangyu pokręciła głową na samą myśl o pozostałościach kobiecej armii służącej kiedyś jedynie Tyranowi. – One wierzą w prawdę i sprawiedliwość.

Lucylla poczuła nagle ścisnięcie gardła. Schwangyu była bliska otwartej opozycji. A jednak ona tu dowodziła. Polityczna zasada była prosta: przeciwnicy projektu mają go monitorować, żeby przerwać go, gdy pojawiają się pierwsze kłopoty. Ale tam, na trawniku, stał prawdziwy Duncan Idaho. Potwierdziły to Prawdomówczynie i porównanie komórek.

Taraza poleciła jej wcześniej: „Masz go nauczyć miłości we wszystkich jej formach”.

– On jest taki młody – powiedziała Lucylla, wpatrując się w gholę.

– Tak, młody – przyznała Schwangyu. – Sądzę, że na razie wzbudzisz w nim tylko odzew dziecka na uczucie matki. Później... – Wzruszyła ramionami.

Lucylla nie zdradziła żadnej emocjonalnej reakcji. Bene Gesserit musi być posłuszna. „Jestem imprinterką, więc...” Polecenia Tarazy i specjalistyczne szkolenie Lucylli określały szczegółowo bieg wydarzeń.

– Jest ktoś, kto wygląda jak ja i mówi moim głosem. Pracuję na jej konto. Czy mogę spytać, kto to jest?

– Nie – odparła Schwangyu.

Lucylla zamilkła. Nie oczekiwała otwartości, ale niejedną raz mówiono jej, że jest uderzająco podobna do przełożonej Służby Bezpieczeństwa, Darwi Odrade. „Młoda Odrade” – Lucylla nieraz słyszała te słowa. Zarówno Lucylla, jak Odrade pochodziły oczywiście z linii Atrydów z silną domieszką genów potomkiń Siony. Rybomówne nie miały monopolu na *te* geny! Inne Wspomnienia Matki Wielebnej, mimo ich linearnej selektywności i ograniczenia do linii żeńskiej, dostarczały ważnych wskazówek co do ogólnego zarysu projektu. Lucylla, której doświadczenie opierało się na osobowości Jessiki, pogrzebanej przed mniej więcej pięcioma tysiącami lat w manipulacjach genetycznych zgromadzenia, poczuła teraz lęk płynący z owego źródła. Wzór był znajomy. Dawał tak silne wrażenie skazania na zagładę, że Lucylla zaczęła odruchowo odmawiać *Litanie przeciw strachowi*, jak nauczono ją przy wprowadzeniu w obrzędy zgromadzenia.

„Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie, a kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja”.

Odzyskała spokój.

Schwangyu wyczuła coś z tego i osłabiła nieco swą postawę obronną. Lucylla nie była przeciętną Matką Wielebną z tytułem bez pokrycia, która ledwie potrafi pełnić swoje funkcje, nie sprawiając kłopotów zgromadzeniu. Lucylla to prawdziwa Matka Wielebna i pewnych reakcji nie da się przed nią ukryć, nawet reakcji innej Matki Wielebnej. Dobrze więc, niech pozna w pełni rozmiary opozycji wobec tego głupiego, *niebezpiecznego* projektu!

– Nie sądzę, by ghoła dożył chwili, gdy ujrzy Rakis – powiedziała.

Lucylla puściła to mimo uszu.

– Opowiedz mi o jego przyjaciółach.

– On nie ma przyjaciół, tylko nauczycieli.

– Kiedy ich poznam? – Lucylla nie spuszczała oka z przeciwległej galerii, na której Patrin opierał się od niechcenia o filarek, trzymając broń w pogotowiu. Zdała sobie nagle sprawę, że mężczyzna ją obserwuje. Był przesłaniem od baszara. Schwangyu widziała to i rozumiała. „Strzeżemy go!”

– Sądzę, że to Milesa Tega tak bardzo chcesz poznać – powiedziała Schwangyu.

– Między innymi.

– Nie chcesz najpierw nawiązać kontaktu z gholą?

– Już nawiązałam z nim kontakt. – Lucylla wskazała głową dziedziniec, na którym chłopiec znów stał bez ruchu i patrzył na nią. – Jest zamyślony.

– Innych znam tylko z raportów, ale podejrzewam, że z całej serii ten jest najbardziej skłonny do zadumy.

Lucylla stłumiła mimowolny dreszcz, gotowość do gwałtownego protestu przeciwko słowom i nastawieniu Schwangyu. Nie wynikało z nich, że ten chłopiec jest istotą ludzką tak samo jak one.

Kiedy o tym myślała, chmury przesłoniły słońce, co się często zdarzało o tej porze. Chłodny wiatr powiał nad murami twierdzy, wirując wokół dziedzińca. Chłopiec odwrócił się i zaczął ćwiczyć szybciej, rozgrzewając się.

– Dokąd on idzie, kiedy chce być sam?

- Przeważnie do swojego pokoju. Próbował paru niebezpiecznych wycieczek, ale położyliśmy temu kres.
- Musi nas nienawidzić.
- Tego jestem pewna.
- Będę musiała zaraz się tym zająć.
- Imprinterka nie wątpi oczywiście, że potrafi przewyciężyć nienawiść.
- Myślałam o Geasie. – Lucylla posłała Schwangyu znaczące spojrzenie.
- Dziwię się, że pozwoliłaś jej popełnić taki błąd.
- Nie mieszam się do programu zajęć gholi. Jeżeli nauczycielka zaczyna darzyć go prawdziwym uczuciem, to nie mój problem.
- Atrakcyjny chłopiec – zauważyła Lucylla.

Stały jeszcze chwilę, przyglądając się ćwiczeniom gholi Duncana Idaho. Obie myślały o Geasie, jednej z pierwszych nauczycielek sprowadzonych tu do pracy przy projekcie gholi. Podejście Schwangyu było jasne: Geasa to opatrnościowy błąd. Lucylla skonstatowała tylko, że Schwangyu i Geasa utrudniły jej zadanie. Żadna nie pomyślała choć przez moment, że takie rozważania potwierdzają ich wierność swoim przekonaniom.

Patrząc na tego chłopca na dziedzińcu, Lucylla zaczęła inaczej oceniać to, co naprawdę osiągnął Tyran Bóg Imperator. Leto II korzystał z tego typu gholi przez niezliczone pokolenia – trzydzieści pięć stuleci jedno po drugim. A Bóg Imperator Leto II nie był zwyczajną siłą natury. Był największym kataklizmem w historii ludzkości. Przetoczył się po wszystkim: po systemach społecznych, po naturalnych i nienaturalnych animozjach, po systemach rządów, po rytuałach (zarówno tabu, jak nakazanych), po religiach łagodnych i ascetycznych. Miażdżąca siła, z jaką przeszedł, zmieniła wszystko, nawet Bene Gesserit.

Leto II nazywał to Złotym Szlakiem, a Duncan Idaho, ghola w rodzaju tego, którego widziała przed sobą, był w tamtych strasznych czasach wybitną postacią. Lucylla studiowała kroniki Bene Gesserit, przypuszczalnie najlepsze we wszechświecie. Nawet teraz na większości dawnych planet imperialnych młode pary łąły wodę na wschód i na zachód, mamrocząc miejscową wersję modlitwy: „Niech twoje błogosławieństwo spłynie na nas za sprawą tej ofiary, Boże nieskończonej mocy i nieskończonego miłosierdzia”.

Kiedyś wymuszanie takich hołdów było zadaniem rybomównych i posłusznych kapłanów. Ten zwyczaj stał się jednak, siłą bezwładu,

nakazem. Nawet najbardziej sceptyczni wierni mówili: „Modlitwa nigdy nie zaszkodzi”.

Osiągnięcie to podziwiała z goryczą i lękiem najlepsze specjalistki w zakresie inżynierii religijnej Missionaria Protectiva. Tyran pozostawił Bene Gesserit daleko w tyle. A piętnaście stuleci po jego śmierci zgromadzenie nadal nie potrafiło rozwikłać głównego węzła tego niesamowitego osiągnięcia.

– Kto odpowiada za przygotowanie religijne chłopca? – spytała Lucylla.

– Nikt – odparła Schwangyu. – To byłby niepotrzebny kłopot. Kiedy zostaną obudzone jego pierwotne wspomnienia, będzie miał własne poglądy. Poradzimy sobie z nimi, jeśli będzie trzeba.

Czas treningu chłopca minął. Nie patrząc na obserwatorki, opuścił dziedziniec przez szerokie drzwi po lewej. Patrin też zszedł ze swego posterunku, nie spojrzawszy nawet na Matki Wielebne.

– Nie daj się zwieść ludziom Tega – dodała Schwangyu. – Mają oczy naokoło głowy. Jego rodzona matka była jedną z nas. On uczy gholę rzeczy, których ten nie powinien wiedzieć.



Wybuchy są zarazem kompresjami czasu. Wszystkie dające się obserwować zmiany we wszechświecie są do pewnego stopnia i z pewnego punktu widzenia wybuchowe, bo inaczej nie zostałyby zauważone. Nieprzerwane następstwo zmian, odpowiednio spowolnione, nie zwraca uwagi obserwatorów, których czas aktywności jest zbyt krótki. Dlatego powiadam wam: Widziałem zmiany, których nigdy byście nie zauważyli.

– Leto II

Kobieta stojąca w porannym świetle planety Kapituła przed stołem, za którym siedziała Matka Wielebna Przełożona Alma Mavis Taraza, była wysoka i szczupła. Długa aba spowijająca ją w lśniąca czerń od ramion do posadzki nie mogła ukryć gracji widocznej w każdym jej ruchu.

Taraza pochyliła się do przodu w psim fotelu, przeglądając dossier wyświetlane glifami Bene Gesserit nad blatem, tylko dla jej oczu.

„Darwi Odrade” – zidentyfikował wyświetlacz stojącą kobietę, a potem następowała szczegółowa biografia, którą Taraza знаła już na pamięć. Wyświetlacz służył kilku celom: wspierał pamięć Matki Przełożonej,

pozwalal na chwile namyslu, gdy udawala, ze odczytuje zapisy, i wreszcie dostarczal argumentow, kiedy rozmowa zaczynala przybierac niepozadany obrót.

„Odrade dalą zgromadzeniu dziewiętnascioro dzieci. – Taraza czytala zapis rozwijajacy sie przed jej oczami. – Kazde z innym ojcem”. Nie bylo w tym nic niezwyklego, ale nawet najdocieklwszy wzrok mógł stwierdzic, ze na tej sluzbie nie przybulo jej ciala. Jej twarz o dlugim nosie i wystajacych koscicach policzkowych wyrazala wrodzona wynioslosc. Rysy twarzy zbiegaly sie w waskim podbródku. Usta jednak byly pelne i obiecywaly namiętnosc, ktora umiala kontrolowac.

„Zawsze mozemy polegac na genach Atrydow” – pomyslala Taraza.

Zatrzepotala zasloną w oknie za plecami Odrade, a ta obejrzala sie na nia. Byly w malym porannym salonie Tarazy, eleganckim, utrzymanym w odcieniach zieleni. Tylko sniezna sierśc psiego fotela Matki Przełożonej pozwalala odróżnic ja od tla. Łukowo sklepione okna wychodzilą na wschód, na ogród, trawnik i oddalone sniezne szczyty gór Kapituły.

– Ucieszylam sie, kiedy ty i Lucylla przyjelyste nominacje – odezwala sie Taraza, nie podnoszac wzroku. – To mi bardzo ulatwia zadanie.

– Chcialabym sie spotkac z ta Lucylla. – Odrade powiedziala to cieplym kontraltem, patrzac na czubek glowy Matki Wielebnej.

Taraza odchrzanknela.

– Nie ma potrzeby. Lucylla jest jedna z naszych najlepszych imprinterok. Kazda z was oczywiscie otrzymala takie samo liberalne uwarunkowanie, by was do tego przygotowac.

W zdawkowym tonie Tarazy bylo cos prawie obrazliwego i tylko ich dluga znajomosc stlumila natychmiastowe oburzenie Odrade. Zdala sobie sprawe, ze to w czesci reakcja na slowo „liberalne”. Jej atrydzcy przodkowie, slyszac je, zrywali sie do buntu. Bylo tak, jakby jej nagromadzone kobiece wspomnienia rzucaly sie do walki z nieświadoma zarozumialoscia i powierzchownymi uprzedzeniami kryjacymi sie za tym slowem.

„Tylko liberalowie naprawde mysla. Tylko liberalowie sa inteligentni. Tylko liberalowie rozumieja potrzeby wspolbraci”.

„Ileż zlej woli kryje sie za tym slowem! – pomyslala Odrade. – Ileż skrytego ego zadzajacego uznania swego pierwszenstwa!”

Uswiadomila sobie, ze mimo obrazliwego tonu, Taraza uzyla tego terminu wylacznie w jego powszechnym znaczeniu: ogolne wyksztalcenie Lucylli



w pełni odpowiadało wykształceniu Odrade.

Matka Przełożona przyjęła wygodniejszą pozycję, ale nadal nie spuszczała wzroku z wyświetlacza. Światło ze wschodnich okien padało wprost na twarz tej drobnej kobiety, nieco tylko starszej od Odrade, kładąc cienie pod nosem i podbródkiem. Zachowała w dużym stopniu urodę, która kiedyś czyniła ją niezawodną partnerką trudnych mężczyzn. Miała owalną twarz o zaokrąglonych policzkach. Czarne włosy ściągał węzeł, odsłaniając wysokie czoło. Usta ledwie otwierała, znakomicie kontrolując ich ruchy. Uwagę obserwatora przyciągały wszakże jej oczy, ich zniewalający błękit w błękicie. Całość robiła wrażenie uprzejmej maski, pod którą nie dawało się odczytać prawdziwych uczuć.

Odrade rozpoznała tę pozę Matki Przełożonej. Teraz zacznę mruczeć do siebie. I rzeczywiście, Taraza mruknęła coś pod nosem.

Matka Przełożona myślała o wielu sprawach, przeglądając równocześnie z uwagą biografię na wyświetlaczu.

To uspokajało Odrade. Taraza nie wierzyła w istnienie czegoś takiego jak strzegąca ludzkości opatrność. W jej wszechświecie liczyły się tylko Missionaria Protectiva i zamierzenia Bene Gesserit. Wszystko, co służyło tym zamierzeniom, nawet machinacje dawno zmarłego Tyrana, uznawane było za dobre. Wszystko inne było złe. Obcym z Rozproszenia – zwłaszcza tym powracającym, które nazywały siebie Dostojnymi Matronami – nie należało wierzyć. Tylko podwładne Tarazy, nawet te Matki Wielebne, które tworzyły opozycję w radzie, były jedyną nadzieją, wyłącznie one zasługiwały na zaufanie.

– Wiesz, że porównanie tysięcy poprzedzających Tyrana z tymi po jego śmierci wykazuje fenomenalny spadek liczby dużych konfliktów? – przemówiła Taraza, wciąż nie podnosząc oczu. – Od jego czasów liczba konfliktów wynosi niecałe dwa procent tego, co było wcześniej.

– O ile nam wiadomo – zauważyła Odrade.

Taraza podniosła wzrok i zaraz go opuściła.

– Słucham?

– Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, ile wojen stoczono poza naszym zasięgiem. Masz dane o ludziach z Rozproszenia?

– Oczywiście, że nie!

– Mówisz właściwie, że Leto nas obłąkał.

– Jeśli chcesz to tak ująć. – Taraza zaznaczyła coś na wyświetlaczu.

– Czy nie jest to też zasługa naszego ukochanego baszara Milesa Tega? – spytała Odrade. – Albo jego utalentowanych poprzedników?

– To my wybrałyśmy tych ludzi – odrzekła Matka Przełożona.

– Nie widzę sensu w tych wojskowych rozważaniach. Co mają wspólnego z naszym obecnym problemem?

– Niektórzy uważają, że możemy powrócić do stanu sprzed czasów Tyrana, i to z wielkim hukiem.

– Och. – Odrade zacisnęła usta.

– Pewne grupy wracających Utraconych sprzedają broń każdemu, kto chce albo *może* ją kupić.

– A dokładnie?

– Nowoczesna broń napływa na Gammu i nie ma wątpliwości, że Tleilaxanie gromadzą niebezpieczne uzbrojenie. – Taraza odchyliła się w fotelu, pocierając skronie. Przemówiła cichym, prawie zamyślnym głosem: – Sądzymy, że podejmujemy decyzje wielkiej wagi, i to na podstawie najszczytniejszych zasad.

Odrade widywała już i to.

– Czy Matka Przełożona wątpi w słusność decyzji Bene Gesserit?

– Czy wątpię? Och, nie. Jestem jednak rozczarowana. Pracujemy całe życie, by osiągnąć wysoce wyrafinowane cele, i do czego w końcu dochodzimy? Dowiadujemy się, że wiele spraw, którym poświęciłyśmy życie, wynika z małostkowych decyzji, pragnienia osobistej wygody albo korzyści, niemających nic wspólnego z wielkimi ideałami. W rzeczywistości chodziło o ugodę zabezpieczającą potrzeby tych, którzy podejmują decyzje.

– Słyszałam, że nazywasz to polityczną koniecznością – powiedziała Odrade.

Taraza odparła opanowanym głosem, powracając wzrokiem do wyświetlacza:

– Opieranie naszych osądów na instytucjonalizacji to prosta droga do unicestwienia zgromadzenia.

– W mojej biografii nie znajdziesz małostkowych decyzji.

– Szukam źródeł słabości. Skaz.

– Tych też nie znajdziesz.

Taraza ukryła uśmiech. Tą zarozumiałą uwagą Odrade drażniła Matkę Przełożoną. Odrade doskonale udawała zniecierpliwienie, podczas gdy pogrążała się w beczasowym potoku cierpliwości.

Kiedy Taraza nie chwyciła przynęty, Odrade wróciła do oczekiwania – spokojny oddech, zrównoważony umysł. Cierpliwość przychodziła jej bez wysiłku. Zgromadzenie dawno nauczyło ją dzielić przeszłość i teraźniejszość na równoległe nurty. Obserwując otoczenie, była równocześnie w stanie wybierać fragmenty przeszłości i przeżywać je, jakby przesuwali się po nałożonym na teraźniejszość ekranie.

„Praca pamięci” – pomyślała. Wybrać i odłożyć, co konieczne. Usunąć bariery. Kiedy wszystko inne jej zbrzydło, miała jeszcze swoje dzieciństwo.

Kiedyś żyła tak jak większość dzieci: z mężczyzną i kobietą, którzy, nawet jeśli nie byli jej rodzicami, z pewnością działali *in loco parentis*. Wszystkie dzieci, które znała, były w podobnej sytuacji. Każde miało tatę i mamę. Czasami tylko tato pracował poza domem. Niekiedy tylko mama wychodziła do pracy. W przypadku Odrade kobieta zostawała w domu i żadna niania nie pilnowała dziewczynki w godzinach pracy. Znacznie później Odrade dowiedziała się, że jej rodzona matka zapłaciła dużą sumę, żeby zapewnić córeczce takie ukrycie na oczach wszystkich.

– Ukryła cię, bo cię kocha – tłumaczyła kobieta, kiedy Odrade była na tyle duża, by to zrozumieć. – Dlatego nie wolno ci nigdy wyjawić, że nie jesteśmy twymi prawdziwymi rodzicami.

Odrade zrozumiała później, że miłość nie miała z tym nic wspólnego. Matki Wielebne nie kierowały się tak przyziemnymi motywami. A biologiczna matka Odrade była Bene Gesserit.

Wyjawiono jej to wszystko, jak przewidywał plan. Nazwisko: Odrade. Dotąd mówiono do niej Darwi, kiedy rozmówca nie znał jej bliżej albo się na nią gniewał. Przyjaciele naturalnie skrócili to na Dar.

Nie wszystko jednak szło zgodnie z pierwotnym planem. Odrade pamiętała wąskie łóżko w pokoju, który ożywiały zwierzęta albo fantastyczne krajobrazy malowane na błękitnych ścianach. W oknie kołysały się białe zasłony, bo lekki wietrzyk wiał tam wiosną i latem. Odrade skakała na tym wąskim łóżku – wspaniała, szczęśliwa zabawa – w górę, w dół, w górę, w dół. Ile śmiechu! Czyjeś ramiona chwytaly ją w pół skoku i ścisakały. Ramiona mężczyzny. Miał okrągłą twarz z wąsikami, który ją laskotał. Łóżko uderzało o ścianę przy tych jej skokach i zostawiało na niej ślady.

Odrade cieszy się teraz tym wspomnieniem, nie chcąc wrzucić go do studni racjonalnego myślenia. Ślady na ścianie. Ślady śmiechu i radości. Tak małe, a tak wiele znaczą!

Zastanawiające, że ostatnio coraz częściej wspomina tatę. Nie wszystkie wspomnienia są radosne. Czasami tato bywał smutny i zły, przestrzegał mamę przed „nadmiernym zaangażowaniem”. Jego twarz nosiła ślady wielu rozczarowań. Burczał, kiedy był w złym nastroju. Mama poruszała się wtedy cicho, z troską w oczach. Odrade wyczuwała jej zatroskanie i lęk i miała to za złe mężczyźnie. Matka wiedziała jednak, jak sobie z nim poradzić. Całowała go w kark, głaskała po policzku i szeptała do ucha.

Te pierwotne „naturalne” uczucia wymagały wiele pracy cenzorki Bene Gesserit, zanim wyegzorcyzmowano je z Odrade. Do tej pory wszakże pozostał osad, który należałoby usunąć. Nawet teraz Odrade wiedziała, że nie wszystko tamto przeminęło.

Przyglądając się Tarazie studiującej z taką uwagą zapis biograficzny, Odrade zastanawiała się, czy to tę właśnie skazę wypatrzyła Matka Przełożona.

„Ale wiedzą już przecież, że radzę sobie z emocjami tamtych czasów”.

Wszystko to działo się tak dawno! Musiała jednak przyznać, że wspomnienia mężczyzny i kobiety trzymają się jej z taką siłą, że chyba nigdy nie dadzą się zatrzeć. Zwłaszcza wspomnienia mamy.

Matka Wielebna, która urodziła Odrade, znalazła się w sytuacji bez wyjścia i z powodów teraz całkowicie zrozumiałych umieściła ją w ukryciu na Gammu. Odrade nie miała jej tego za złe. To było konieczne, żeby obie mogły przeżyć. Kłopoty wzięły się z tego, że przybrana matka dała Odrade coś, co większość matek daje swoim dzieciom, a czemu tak nie ufało zgromadzenie – miłość.

Kiedy przybyły Matki Wielebne, przybrana matka nie walczyła o dziecko. Dwie Matki Wielebne miały ze sobą cały oddział cenzorów, mężczyzn i kobiet. Upłynęło dużo czasu, zanim Odrade zrozumiała znaczenie tej bolesnej chwili. Ta kobieta wiedziała w głębi serca, że nadejdzie dzień rozłąki. To była tylko kwestia czasu. Gdy jednak dni zmieniły się w lata – minęło prawie sześć standardowych lat – odważyła się mieć nadzieję.

Odrade słyszała te ciche rozmowy: „Może straciły swoje zapisy. Może gdybyśmy uciekli i zmienili nazwisko...”

A potem przybyły Matki Wielebne z grupą krzepkich pomocników. Czekały po prostu, aż nabrały pewności, że nikt nie wie o tej Bene Gesserit – zaplanowanej odrośli rodu Atrydów.

Odrade widziała, jak wręczają przybranej matce wielką sumę. Rzuciła te pieniądze na podłogę. Nie rozległ się ani jeden głos sprzeciwu. Dorośli

uczestnicy tej sceny wiedzieli, gdzie leży siła.

Przywołując te tłumione przeżycia, Odrade wciąż widziała, jak kobieta siada na krześle przy oknie od ulicy, obejmuje się ramionami i kołysze w tył i w przód, w tył i w przód. I nie wydaje żadnego dźwięku.

Matki Wielebne użyły Głosu i innych wyszukanych sztuczek, dymu oszałamiających ziół oraz swojej przytłaczającej obecności, aby zwabić Odrade do czekającego pojazdu.

– To nie na długo. Przysyła nas twoja prawdziwa matka.

Odrade wyczuła kłamstwo, ale ciekawość wzięła górę. „Moja prawdziwa matka!”

Ostatnim wspomnieniem związanym z kobietą, która była jedyną matką, jaką знаła, była ta postać w oknie, kołysząca się w tył i w przód, z cierpieniem na twarzy i rękami oplatającymi ciało.

Później, kiedy Odrade zaczęła mówić o powrocie do tej kobiety, owo wspomnienie zostało wykorzystane w ważnej lekcji Bene Gesserit.

– Miłość prowadzi do cierpienia. Miłość to bardzo pierwotna siła, która w dawnych czasach służyła swemu celowi, ale nie jest już dłużej potrzebna do zachowania gatunku. Zapamiętaj błąd tej kobiety, jej ból.

Jeszcze jako nastolatka Odrade oddawała się marzeniom, że naprawdę wróci, kiedy zostanie pełnoprawną Matką Wielebną. Wróci i odszuka tę kochającą kobietę, chociaż nie zna nawet jej nazwiska, tylko słowa „mama” i „Sibia”. Przypomniała sobie śmiech dorosłych przyjaciółek, które nazywały mamę tym imieniem.

„Mama Sibia”.

Siostry wykryły jednak jej marzenia i ich źródło. To także stało się tematem wykładu.

– Sny na jawie to pierwsze przebudzenie tego, co nazywamy jednoczesnym przepływem. Jest to ważne narzędzie racjonalnego myślenia. Za jego pomocą możesz oczyścić umysł, żeby lepiej działał.

„Jednoczesny przepływ”.

Odrade przyjrzała się Tarazie siedzącej za stołem. Urazy z dzieciństwa trzeba starannie lokować w zrekonstruowanej pamięci. Wszystko to działo się dawno temu, na Gammu, planecie, którą ludzie z Danu odbudowali po Czasach Głodu i Rozproszeniu. Ludzie z Danu – w tamtych czasach Kaladanu. Odrade wzięła w garść racjonalne myślenie, opierając się na Innych Wspomnieniach, które załyły jej świadomość podczas przyprawowej agonii, kiedy stała się pełnoprawną Matką Wielebną.

„Jednoczesny przepływ... filtr świadomości... Inne Wspomnienia...”

Jak potężne narzędzia dało jej zgromadzenie! I jak niebezpieczne! Wszystkie te inne istnienia znajdowały się tuż za zasłoną świadomości. Miały służyć przetrwaniu, a nie zaspokojeniu ciekawości.

Taraza wyciągnęła wnioski z materiału, który przewijał się przed jej oczami.

– Za bardzo zagłębiasz się w swoich Innych Wspomnieniach. To pochłania energię, którą powinnaś chronić. – Oczy Matki Przełożonej, błękit w błękicie, wpijały się w Odrade. – Czasami dochodzisz do granicy wytrzymałości. To może cię doprowadzić do przedwczesnej śmierci.

– Nie nadużywam przyprawy, Matko!

– I nie powinnaś! Ciało może znieść tylko określoną dawkę melanżu. I zagłębiania się w przeszłość.

– Znalazłaś moją skazę? – spytała Odrade.

– Gammu. – To jedno słowo warte było całej tyrady.

Odrade zrozumiała. Nigdzie nie skryje się przed traumą lat na Gammu. Tamten czas to rozterka duchowa, którą trzeba wykorzenić i uczynić możliwą do przyjęcia.

– Posyłają mnie jednak na Rakis – zauważyła.

– Przypomnij sobie aforyzmy umiarkowania. Pamiętaj, kim jesteś!

Taraza znowu pochyliła się nad wyświetlaczem.

„Jestem Odrade” – pomyślała Odrade.

W szkołach Bene Gesserit imiona zwykle ulegały zatarciu. Listy zestawiało się według nazwisk. Przyjaciółki i koleżanki nabierały zwyczaju używania nazwisk z listy. Od początku uczyły się, że dzieląc się sekretem imienia, zastawiają sidła uczuć.

Taraza, o trzy klasy wyżej niż Odrade, została wyznaczona do opieki nad młodszą. Czujne nauczycielki z rozmysłem utworzyły taki związek.

Opieka oznaczała pewien stopień dominacji nad młodszą, ale także lepsze przyswajanie istotnych elementów nauki przekazywanych przez koleżankę. Taraza знаła akta podopiecznej i zaczęła mówić jej „Dar”. Odrade zrewanżowała się skrótem „Tar”. Te dwa przydomki zaczęto łączyć – Dar i Tar. Nawet gdy dowiedziały się o tym Matki Wielebne i dziewczęta dostały reprimendę, nadal używały niby niechcący tych imion, po prostu dla zabawy.

– Dar i Tar – powiedziała Odrade, spoglądając na Tarazę.

Matka Przełożona skryła uśmiech w kącikach ust.

– Czy jest w moich aktach coś, czego nie przeczytałaś kilka razy?

Taraza odchyliła się w fotelu i poczekała, aż dostosuje się on do jej nowej pozy. Ułożyła splecione ręce na stole i spojrzała na młodszą kobietę.

„Nie jest o wiele młodsza” – pomyślała.

Od czasów szkolnych uważała jednak, że Odrade należy do młodszej grupy wiekowej, a upływ lat ich nie zbliżył.

– Uważaj na początek, Dar – powiedziała.

– Początek tego projektu już dawno minął.

– Ale twój udział w nim dopiero się zaczyna. A zaangażowałyśmy się w taki początek, jakiego nikt jeszcze nie próbował.

– Dowiem się wreszcie, na czym polega ten projekt?

– Nie.

I to wszystko. Cała oczywistość potrzeby dysputy i zrozumienia zmieciona jednym słowem. Ale Odrade rozumiała to. Taka struktura organizacyjna ustanowiona przez pierwszą kapitułę Bene Gesserit nie zmieniła się prawie od tysiącleci. Poszczególne wydziały zgromadzenia podzielone były pionowymi i poziomymi barierami na izolowane grupy, które łączyła jedynie osoba przełożonej. Obowiązki (czytaj: wyznaczone role) wypełniane były w osobnych komórkach. Ich wykonawczynie nie znały swych odpowiedniczek w innych, równoległych komórkach.

„Ja jednak wiem, że w równoległej komórce znajduje się Matka Wielebna Lucylla – pomyślała Odrade. – To logiczne”.

Rozumiała tę konieczność. Wzorowały się na zasadach starożytnych tajnych stowarzyszeń rewolucyjnych. Bene Gesserit zawsze postrzegały siebie jako wieczne rewolucjonistki. Ich rewolucja została przytłumiona jedynie przez Tyrana, Leto II.

„Przytłumiona, ale nie ugaszona czy zmieniona” – upomniała się Odrade.

– Czy w tym, co masz zrobić – spytała Taraza – wyczuwasz jakieś bezpośrednie zagrożenie dla zgromadzenia?

Było to jedno z tych *szczególnych* pytań Matki Przełożonej, na które Odrade nauczyła się odpowiadać instynktownie.

– Bezczynność będzie jeszcze gorsza – odparła szybko.

– Uznałyśmy, że to może być niebezpieczne – powiedziała Taraza suchym, obojętnym tonem. Nie lubiła przywoływać tego talentu Odrade, wrodzonego daru przewidywania zagrożeń dla zgromadzenia. Pochodził on z niekontrolowanych wpływów w jej linii genetycznej – od Atrydów z ich

niebezpiecznymi talentami. W kartotekę rozrodczą Odrade wpisano nakaz dokładnego badania potomstwa. Dwoje jej dzieci już po cichu uśmiercono.

„Nie powinnam teraz budzić talentu Odrade nawet na chwilę” – pomyślała Taraza. Czasem jednak pokusa była zbyt wielka.

Zamknęła wyświetlacz w blacie.

– Nie wolno ci zejść w ciążę bez naszego zezwolenia, nawet gdybyś natrafiła na idealnego partnera – oznajmiła, wpatrując się w pustą powierzchnię.

– Błąd mojej rodzonej matki – odpowiedziała Odrade.

– Błąd twojej rodzonej matki należało rozpoznać podczas płodzenia!

Odrade słyszała to już nieraz. W linii Atrydów było coś, co wymagało najstaranniejszej kontroli kierujących rozrodem. Niekontrolowane zdolności, oczywiście. Wiedziała o tych zdolnościach, o tej genetycznej sile, która dała światu Kwisatz Haderach i Tyrana. O co jednak chodziło teraz kierującym rozrodem? Czy ich stanowisko było głównie negatywne? Nigdy nie widziała swoich dzieci po ich narodzinach, ale w zgromadzeniu nie było to niczym niezwykłym. Nigdy też nie widziała żadnego zapisu z własnej kartoteki genetycznej. Tu także Bene Gesserit starannie rozdzielały kompetencje.

„I te wcześniejsze zakazy nakładane na moje Inne Wspomnienia!”

Odnalazła puste miejsca w swej pamięci i otworzyła je. Zapewne tylko Taraza i może dwie doradczynie (najprawdopodobniej Bellonda i jakaś inna starsza Matka Wielebna) miały dostęp do takich informacji o pochodzeniu.

Czy naprawdę Taraza i inne przysięgały raczej umrzeć, niż ujawnić tajne informacje komuś obcemu? Ostatecznie, istniał przecież ścisły rytuał, na wypadek gdyby kluczowa Matka Wielebna zginęła z dala od swych sióstr i bez możliwości przekazania chronionych w sobie istnień. Wiele razy stosowano ten rytuał za rządów Tyrana. Straszne czasy! Wiedzieć, że on widzi jak na dłoni rewolucyjne komórki zgromadzenia! Potwór! Siostry nie miały złudzeń, że Leto II powstrzymał się przed całkowitym zniszczeniem Bene Gesserit tylko przez jakąś głęboko zakorzenioną lojalność wobec swej babki, lady Jessiki.

„Jesteś tam, Jessiko?”

Odrade poczuła drgnienie głęboko w sobie. Grzech jednej jedynej Matki Wielebnej. „Pozwoliła sobie ulec miłości!” Taka drobnostka, a tak ogromne konsekwencje. Trzydzieści pięć stuleci tyranii!

Złoty Szlak. Nieskończoność? A co z tymi trylionami zatraconymi w Rozproszeniu? Co z zagrożeniem, jakie przedstawiają powracający



Utraceni?

– Rozproszeni są gdzieś tam, niedaleko... i czekają tylko, by uderzyć. – Taraza najwyraźniej czytała w myślach Odrade, jak to się nieraz zdarzało.

Odrade знаła argumenty: z jednej strony zagrożenie, z drugiej coś magnetycznie pociągającego. Tyle wspaniałych niewiadomych. Zgromadzenie, którego zdolności przez tysiąclecia rozkwitały dzięki melanzowi... czegoż nie dokona z tymi nietkniętymi zasobami ludzkości? Pomyślcie o czekających gdzieś tam niezliczonych genach! Pomyślcie o potencjalnych zdolnościach, unoszących się swobodnie we wszechświatach, w których mogą zniknąć na zawsze!

– To niewiedza wywołuje największe przerażenie – powiedziała Odrade.

– I największe ambicje – dodała Taraza.

– Mam zatem udać się na Rakis?

– W swoim czasie. Uważam cię za odpowiednią osobę do tego zadania.

– Bo inaczej byś mi go nie przydzieliła.

Ta wymiana słów wracała do ich szkolnych lat. Taraza zdała sobie sprawę, że wdała się w nią nieświadomie. Zbyt wiele wspomnień łączyło Dar i Tar. Trzeba uważać!

– Pamiętaj, komu jesteś winna lojalność – powiedziała.



Istnienie statków pozaprzestrzennych stwarza możliwość niszczenia całych planet bez narażania się na odwet. Można wysłać przeciw planecie duży obiekt, asteroidę albo jej ekwiwalent. Można też wzbudzić wzajemną niechęć ludzi, stosując dywersję seksualną, a potem dać im broń, by zniszczyli sami siebie. Zdaje się, że Dostojne Matrony wolą tę drugą metodę.

– analiza Bene Gesserit

Ze swej pozycji na dziedzińcu Duncan Idaho uważnie przyglądał się obserwatorom, nawet gdy się zdawało, że na nie nie patrzy. Był tam też jak zawsze Patrin, ale on się nie liczył. To Matki Wielebne naprzeciw Patriny obserwowały go. „To ta nowa” – pomyślał na widok Lucylli. Myśl ta nappełniła go podnieceniem, które wyładował we wznowionych ćwiczeniach.

Wykonał pierwsze trzy zestawy ćwiczeń nakazanych przez Milesa Tega, świadomy, że Patrin doniesie, czy dobrze się spisał. Duncan lubił Tega oraz

starego Patrina i czuł, że z wzajemnością. Jednak ta nowa Matka Wielebna... jej obecność zapowiadała interesujące zmiany. Po pierwsze, była młodsza od innych. Poza tym, nie starała się ukrywać oczu, które od razu zdradzały jej przynależność do Bene Gesserit. Kiedy pierwszy raz zobaczył Schwangyu, spotkał się z oczami ukrytymi za szklami kontaktowymi, które udawały normalne tęczówki i lekko przekrwione białka. Usłyszał potem, jak jedna z akolitek komendantki twierdzy mówiła, że szkła kontaktowe Schwangyu korygują też astygmatyzm „uznany za cechę dopuszczalną wobec innych wartości przekazywanych przez nią potomstwu”.

W owym czasie ta uwaga była prawie niezrozumiała dla Duncana, ale w bibliotece twierdzy znalazł wyjaśnienia, skąpe co prawda i surowo ocenzone. Sama Schwangyu ucinała wszelkie jego pytania na ten temat, ale z zachowania swoich nauczycielek wnioskował potem, że była zła. W typowy dla siebie sposób wyładowywała złość na innych.

Podejrzewał, że najbardziej złościło ją pytanie, czy jest jego matką.

Duncan wiedział już od dawna, że jest czymś szczególnym. W obrębie twierdzy Bene Gesserit były miejsca, do których nie miał wstępu. Potrafił omijać takie zakazy i często patrzył przez otwarte okna na strażników oraz rozległe puste przestrzenie, które można było wziąć w krzyżowy ogień ze strategicznie rozmieszczonych bunkrów. Znaczenie krzyżowego ognia wyjaśniał mu sam Miles Teg.

Planeta nazywała się teraz Gammu. Kiedyś była znana jako Giedi Prime, ale zmienił to niejaki Gurney Halleck. Była to bardzo stara historia. Nudziarstwo. W glebie pozostała nikła gorzka woń ropy z czasów przed przybyciem mieszkańców Danu. Nauczycielki tłumaczyły mu, że specjalne uprawy mają to zmienić w ciągu paru tysiącleci. Widział to z twierdzy, którą otaczały lasy, głównie iglaste.

Duncan wykonał serię młynków, obserwując skrycie Matki Wielebne. Rozluźniał napięte mięśnie podczas ruchu, tak jak go nauczył Teg.

Teg uczył też obrony planetarnej. Gammu była otoczona pierścieniem orbitalnych monitorów, których załogi nie mogły mieć rodzin na pokładach. Rodziny pozostawały w dole, na Gammu, stanowiąc gwarancję czujności załóg strażniczych orbiterów. Wśród tych okrętów krążyły ponadto niewykrywalne statki pozaprzestrzenne, których załogi składały się wyłącznie z ludzi baszara i siostr Bene Gesserit.

– Nie przyjąłbym tego przydziału bez pełnego zwierzchnictwa nad wszystkimi liniami obrony – wyjaśnił mu Teg.

Duncan zdawał sobie sprawę, że to on jest „tym przydziałem”. Twierdza ma go chronić. A orbitalne monitory Tega, ze statkami pozaprzestrzennymi, mają chronić twierdzę.

Wszystko to było częścią wojskowej edukacji, której elementy wydawały się Duncanowi dziwnie znajome. Ucząc się chronić planetę na pozór niezabezpieczoną przed atakiem z przestrzeni, *wiedział*, kiedy systemy obronne są prawidłowo rozmieszczone. Była to niezmiernie skomplikowana całość, ale jej elementy były rozpoznawalne i zrozumiałe. Nieustannie na przykład obserwowano atmosferę Gammu i badano krew mieszkańców. Wynajęci przez Bene Gesserit lekarze Akademii Suk byli wszędzie.

– Choroby też są bronią – mówił Teg. – Nasza obrona przed chorobami musi być precyzyjnie uregulowana.

Baszar często krytykował koncepcję biernej obrony. Nazywał ją „produktem mentalności obłożonych i źródłem zabójczej słabości”.

Duncan uważnie słuchał militarnych wykładów Tega. Patrin i informacje z biblioteki potwierdzały, że mentat baszar Miles Teg był kiedyś sławnym dowódcą w służbie Bene Gesserit. W opowieściach Patrina był zawsze bohaterem.

– Mobilność jest kluczem do zwycięstwa – mówił Teg. – Jeżeli dasz się zamknąć w twierdzach, nawet rozmiarów planet, nie jesteś bezpieczny.

Teg nie troszczył się zbytnio o Gammu.

– Już wiesz, że ten świat nazywał się kiedyś Giedi Prime. Rządzący tu Harkonnenowie nauczyli nas paru rzeczy. Dzięki nim wiemy dziś lepiej, jak przerażająco brutalni mogą być ludzie.

Wspominając to, Duncan zauważył, że dwie Matki Wielebne na galerii najwyraźniej rozmawiają o nim.

„Czy jestem przydziałem tej nowej?”

Nie lubił być pod nadzorem i miał nadzieję, że ta nowa zostawi mu trochę swobody. Nie wyglądała na surową. Nie to, co Schwangyu.

Podczas ćwiczeń powtarzał w myślach: „Niech cię diabli, Schwangyu! Niech cię diabli, Schwangyu!”

Nienawidził jej od czterech lat. Chyba nawet o tym nie wiedziała. Pewnie całkiem zapomniała o incydencie, który rozpałił jego nienawiść.

Miał wtedy zaledwie dziewięć lat. Zdołał się prześlizgnąć przez wewnętrzne posterunki do tunelu, który prowadził do jednego z bunkrów.

Zapach pleśni w tunelu. Słabe światło, wilgoć. Wyglądał właśnie przez strzelnicę, kiedy go schwytano i pośpiesznie odstawiono do twierdzy.

Ta eskapada spowodowała surowe kazanie Schwangyu, zdystansowanej i groźnej osoby, której rozkazy musiały być wykonywane. Wciąż tak o niej myślał, chociaż potem dowiedział się o nieznoszącym sprzeciwu Głosie Bene Gesserit, który pętał wolę nieprzygotowanego słuchacza.

„Trzeba jej słuchać”.

– Z twego powodu cały oddział straży zostanie ukarany – powiedziała wówczas. – Poniosą surową karę.

To była najokropniejsza część kazania. Duncan lubił niektórych strażników, bo czasami dawali się wciągnąć w prawdziwą zabawę, ze śmiechem i tarzaniem się po trawie. Przez swój wybryk, wymknięcie się do bunkra, wyrządził krzywdę przyjaciołom.

Wiedział, co to znaczy być ukaranym.

„Niech cię diabli, Schwangyu! Niech cię diabli, Schwangyu!”

Po kazaniu pobiegł do swej głównej instruktorki, Matki Wielebnej Tamalane, jeszcze jednej zasuszonej staruchy, chłodnej i pełnej rezerwy, o śnieżnobiałych włosach i wąskiej pergaminowej twarzy. Zażądał, by mu powiedziała, jaka kara spotka strażników. Tamalane dziwnie się zamyśliła, jej głos przypominał chrzęst piasku o drzewo.

– Kara? No cóż...

Byli w małym gabinecie przy sali treningowej, w którym Tamalane wieczorami przygotowywała się do lekcji następnego dnia. Gabinet pełen był czytników i wyrafinowanych urządzeń do przechowywania i udostępniania informacji. To miejsce podobało się Duncanowi bardziej niż biblioteka, ale nie wolno mu było przebywać tam samemu. Oświetlało je mnóstwo dryfowych lumisfer. Gdy tam wtargnął, Tamalane oderwała się od rozłożonych materiałów.

– Nasze kary główne zawsze mają w sobie coś z uczty ofiarnej – powiedziała. – Strażnicy poniosą oczywiście karę główną.

– Uczty? – Duncan był zaintrygowany.

Tamalane zawirowała na swoim obrotowym krześle i spojrzała mu prosto w oczy. Jej stalowe zęby błysnęły w jasnym świetle.

– Historia rzadko bywa dobra dla tych, którzy zasługują na karę.

Duncan wzdrygnął się przy słowie „historia”. Wiedział, co ono oznacza u Tamalane. Zamierzała udzielić mu lekcji, jeszcze jednej nudnej lekcji. Matka Wielebna jeszcze nie skończyła.

– Kara zawsze kończy się deserem – powiedziała i klepnęła się dłońmi po kolanach.

Duncan zmarszczył brwi. Deserem? To była część uczyty, ale czy uczta może być karą?

– To nie jest prawdziwa uczta, tylko idea uczyty – powiedziała Matka Wielebna. Szponiasta dłoń nakreśliła koło w powietrzu. – Nadchodzi deser, coś zupełnie nieoczekiwanego. Ukarany myśli: „Ach, nareszcie mi przebaczone”. Rozumiesz?

Duncan pokręcił głową. Nie rozumiał.

– Chodzi o słodycz tej chwili – wyjaśniła. – Spróbowałeś już wszystkich dań tej bolesnej uczyty i myślisz, że na koniec będziesz mógł się czymś delektować. Niestety! Gdy się delektujesz, przychodzi najboleśniejszy moment, zrozumienie, że to wcale nie jest końcowa przyjemność. I rzeczywiście nie jest. To największe cierpienie kary głównej. To się zawiera w lekcji Bene Gesserit.

– Ale co ona zrobi tym strażnikom? – wykrztusił Duncan.

– Nie jestem w stanie stwierdzić, jakie będą elementy poszczególnych kar. Nie muszę ich znać. Mogę tylko powiedzieć, że dla każdego kara będzie inna.

Tamalane nie powiedziała nic więcej. Wróciła do przygotowywania lekcji.

– Jutro będziemy się uczyć identyfikować różne akcenty mówionego galachu.

Nikt inny, nawet Teg czy Patrin, nie odpowiadał na jego pytania o karę. Nawet strażnicy, kiedy ich znowu zobaczył, nie chcieli rozmawiać o tym, co ich spotkało. Niektórzy reagowali szorstko na jego zagadywania, a żaden już się z nim więcej nie bawił. Nie było dla niego przebaczenia. Chociaż to było jasne.

„Niech cię diabli, Schwangyu! Niech cię diabli, Schwangyu!”

Wtedy właśnie zaczęła się jego głęboka nienawiść. Obdzielił nią wszystkie stare wiedźmy. Czy ta młoda będzie taka sama?

„Niech cię diabli, Schwangyu!”

– Dlaczego musiałś ich ukarać? – zapytał Schwangyu.

Milczała chwilę, zanim odpowiedziała.

– Nie jesteś bezpieczny na Gammu. Są tu ludzie, którzy źle ci życzą.

Duncan nie pytał dlaczego. To był jeszcze jeden zakres pytań, na które mu nigdy nie odpowiadano. Nie odpowiedziałby mu nawet Teg, chociaż sama jego obecność podkreślała istnienie zagrożenia.

A Miles Teg był mentatem, który musiał znać odpowiedzi na wiele pytań. Duncan często widywał, jak oczy starego mężczyzny błyszczą, gdy jego myśli wędrują gdzieś daleko. Mentat nie odpowiadał jednak na takie pytania, jak: „Dlaczego jesteśmy tu, na Gammu?”, „Przed kim mnie bronisz? Kto mi źle życzy?”, „Kim są moi rodzice?”

Zapadało po nich milczenie, a czasem tylko Teg burknął: „Nie mogę ci odpowiedzieć”.

Biblioteka była bezużyteczna. Odkrył to, kiedy miał zaledwie osiem lat, a jego główną instruktorką była niedoszła Matka Wielebna, Lurana Geasa – nie tak sędziwa jak Schwangyu, ale posunięta w latach. Miała ich ponad sto.

Na jego żądanie biblioteka dostarczyła mu informacji o Gammu/Giedi Prime, o Harkonnenach oraz ich upadku i o różnych konfliktach, w których dowodził Teg. Żadna z jego bitew nie była bardzo krwawa. Kilku komentatorów przypisywało to „niezrównanej dyplomacji” Tega. Przechodząc wszakże od jednego faktu do drugiego, Duncan dowiedział się o czasach Boga Imperatora i o poskromieniu jego poddanych. Ten okres zajął jego uwagę na całe tygodnie. Znalazł jakąś starą mapę i wyświetlił ją na ściennym ekranie. Zarejestrowany głos lektorki oznajmił, że ta właśnie twierdza była kwaterą główną rybomównych, opuszczoną w czasach Rozproszenia.

„Rybomówne!”

Duncan zapragnął wtedy żyć w owych czasach jako jeden z nielicznych męskich doradców w kobiecej armii, która czciła wielkiego Boga Imperatora.

„Ach, żyć na Rakis w tamtych czasach!”

Teg był zadziwiająco skory do rozmów o Bogu Imperatorze i nazywał go zawsze Tyranem. Biblioteka była otwarta, a informacje płynęły szeroką falą.

– Czy zobaczę kiedyś Rakis? – spytał Geasę.

– Przygotowują cię do życia na niej.

Ta odpowiedź zdumiała gholę. Zobaczył w nowym świetle wszystko, czego go uczono o tej dalekiej planecie.

– Dlaczego mam tam żyć?

– Nie mogę ci odpowiedzieć.

Z nowym zainteresowaniem wrócił do nauki o tej tajemniczej planecie i jej pożałowania godnym Kościele Szej-huluda, Podzielonego Boga. „Czerwie”. Bóg Imperator zmienił się w czerwiel! Sama ta idea napędlona Duncana lękiem. Może było w tym coś godnego czci. Ta myśl poruszyła

w nim jakąś czułą strunę. Co skłoniło człowieka, by się zgodził na tak straszliwą przemianę?

Duncan wiedział, co jego strażnicy i inni mieszkańcy twierdzy myślą o Rakis i tamtejszych kapłanach. Słyszał szydercze uwagi i śmiechy.

– Chyba nigdy nie dowiemy się całej prawdy o tym – rzekł Teg – ale powiadam ci, chłopcze, to nie jest religia dla żołnierza.

Schwangu postawiła kropkę nad „i”:

– Masz się uczyć o Tyranie, ale nie wierzyć w jego religię. Jest przyziemna i godna pogardy.

Wszystkie wolne chwile Duncan poświęcał temu, co znajdował w bibliotece. Przeczytał Świętą Księgę Podzielonego Boga, Biblię Strażniczą, Biblię Protestancko-Katolicką, a nawet Apokryfy. Dowiedział się o dawno już nieistniejącym Urzędzie Wiary i o „Perle, która JEST Słońcem Zrozumienia”.

Zafascynowało go samo istnienie czerw. Te ich rozmiary! Duży czerw rozciągałby się od jednego końca twierdzy do drugiego. Ludzie jeździli na czerwiach sprzed czasów Tyrana, ale teraz rakańscy kapłani zakazali tego.

Pogrzeżył się w doniesieniach ekipy archeologów, która odkryła na Rakis, w miejscu zwanym Dar-es-Balat, prymitywną komorę pozaprzestrzenną Tyrana. Sprawozdanie kierującej ekspedycją Hadii Benotto oznaczone było jako „wycofane na polecenie kapłanów z Rakis”. Lista publikacji na ten temat w archiwach Bene Gesserit była długa, a odkrycie Benotto fascynujące.

– Ziarno świadomości Boga Imperatora w każdym czerwiu? – spytał Geasę.

– Tak powiadają. Ale jeśli to nawet prawda, one są nieświadome, uśpione. Sam Tyran mówił, że zapadnie w nieskończony sen.

Każdej takiej sesji towarzyszyły specjalny wykład i wyjaśnienia Bene Gesserit dotyczące religii, póki nie dotarł w końcu do kronik *Dziewięć córek Siony* i *Tysiąc synów Idaho*.

Kiedy tylko zobaczył Geasę, zapytał:

– Ja też nazywam się Idaho. Co to znaczy?

Geasa zawsze poruszała się tak, jakby stała w cieniu swej porażki. Pochyliła podłużną głowę i wpatrywała się wodnistymi oczami w posadzkę.

Rozmawiali wieczorem, w korytarzu przed salą treningową. Pobladała na to pytanie. Kiedy nie odpowiadała, uściślił je.

– Jestem potomkiem Duncana Idaho?

– Musisz zapytać Schwangyu – odparła tak, jakby każde słowo sprawiało jej ból.

Była to znajoma wymówka i Duncan poczuł gniew. Oznaczało to, że powiedzą mu coś na odczepnego. Schwangyu okazała się jednak bardziej rozmowna, niż się spodziewał.

– Ty i Duncan Idaho jesteście jednej krwi.

– Kim są moi rodzice?

– Od dawna nie żyją.

– Jak umarli?

– Nie wiem. Przysłano nam cię jako sierotę.

– Dlaczego więc ludzie źle mi życzą?

– Boją się tego, co możesz zrobić.

– A co mogę zrobić?

– Zajmij się lekcjami. Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie.

„Milcz i ucz się!” Kolejna znajoma odpowiedź.

Uśluchał, bo nauczył się rozpoznawać zamknięte przed nim drzwi. Teraz jednak jego głodny wiedzy umysł natknął się na doniesienia o Czasach Głodu i Rozproszeniu, o pozaprzeznaczonych komorach i statkach, których nie mogą wyśledzić nawet najpotężniejsi we wszechświecie jasnowidze. Tam natrafił na informację, że potomkowie Duncana Idaho i Siony, tych starożytnych, którzy służyli Bogu Imperatorowi, także byli niewidzialni dla proroków i jasnowidzów. Nawet pogrążony w melanżowym transie sternik Gildii nie był w stanie wykryć takich ludzi. Siona była, jak się dowiedział z zapisów, czystej krwi Atrydką, a Duncan Idaho – gholą.

„Ghola?”

Zaczął szukać wyjaśnienia tego dziwnego słowa. Biblioteka podała jedynie suchą definicję: „Ghole: istoty ludzkie wyhodowane z komórek martwego ciała w kadziach aksolotlowych Tleilaxan”.

„Kadzie aksolotlowe?”

„Tleilaxańskie urządzenia do odtwarzania istot ludzkich z komórek martwego ciała”.

– Opisz gholę! – zażądał.

„Dziewicze ciało pozbawione wspomnień pierwowzoru (patrz: kadzie aksolotlowe)”.

Uczył się czytać między wierszami, znajdować luki w tym, co mówili mu ludzie z twierdzy. I nagle zrozumiał. Wiedział! Miał tylko dziesięć lat, ale wiedział.



„Jestem gholą”.

Tego wieczoru w bibliotece cała ezoteryczna maszyna wokół niego zeszła na dalszy plan. Dziesięciolatek siedział milczący przed czytnikiem, trzymając się wiedzy o sobie.

„Jestem gholą!”

Nie pamiętał kadzi aksolotlowych, w których jego tkanki rosły, aż stały się niemowlęciem. Pierwszym jego wspomnieniem była Geasa wyjmująca go z kołyski z żywym zainteresowaniem w oczach, które tak szybko zbladły.

Było tak, jakby wszystkie informacje, tak niechętnie udzielane mu przez ludzi z twierdzy i przez bibliotekę, ześrodkowały się na jego postaci.

– Opowiedz mi o Bene Tleilax – poprosił bibliotekę.

„Dzieli się na maskaradników i mistrzów. Maskaradnicy są bezpłodni i podlegli mistrzom”.

„Dlaczego mi to zrobili?”

Czytniki biblioteki stały się nagle obce i wrogie. Bał się nie tego, że pytania trafią w próżnię, ale że otrzyma odpowiedź.

„Dlaczego jestem tak ważny dla Schwangu i pozostałych?”

Czuł, że postąpili z nim źle, nawet Miles i Patrin. Czy to w porządku zabierać człowiekowi komórki i tworzyć z nich gholę?

Następne pytanie zadał po długim wahaniu.

– Czy ghol może sobie przypomnieć, kim był?

„Można to osiągnąć”.

– Jak?

„Psychologiczna identyfikacja gholi z oryginałem jest podłożem pewnych reakcji, które mogą być wyzwolone przez wstrząs”.

To nie odpowiedź!

– Ale jak?

W tej chwili w bibliotece pojawiła się bez zapowiedzi Schwangu. Coś w jego pytaniach musiało ją zaalarmować!

– Wszystko zostanie ci wyjaśnione w swoim czasie – oznajmiła.

Traktowała go z góry! Odczuł to jako niesprawiedliwość, nieszczerłość. Coś mu podpowiadało, że jego uśpiona osobowość ma w sobie więcej ludzkiej mądrości niż ci, którzy uważają się za lepszych od niego. Jego nienawiść do Schwangu osiągnęła nowy poziom. Komendantka była uosobieniem tych wszystkich, którzy go dręczyli, nie odpowiadali na jego pytania.

Teraz rozpalala go wyobraźnia. Odzyska swe wspomnienia! Czuł, że to prawda. Przypomni sobie rodziców, rodzinę, przyjaciół... i wrogów.

Zapytał o to Schwangyu.

– Stworzyłyście mnie z powodu moich wrogów?

– Nauczyłeś się już milczenia, chłopcze – odparła. – Polegaj na tej umiejętności.

„Dobrze więc, tak właśnie cię pokonam, przeklęta Schwangyu. Będę milczał i się uczył. Nie okażę ci, co naprawdę czuję”.

– Wiesz – powiedziała – chyba wychowujemy stoika.

Traktowała go protekcyjnie! Nie chciał być tak traktowany. Pokona ich wszystkich milczeniem i czujnością. Wypadł z biblioteki i zaszył się w swoim pokoju.

W następnych miesiącach wiele rzeczy upewniło go, że jest gholą. Nawet dziecko zauważy, że wszystko wokół niego nie dzieje się zwyczajnie. Widział czasem za murami inne dzieci, chodzące drogą otaczającą twierdzę, śmiejące się i nawołujące. Znalazł w bibliotece dane o dzieciach. Dorośli nie przychodzili do nich i nie narzucali im surowego szkolenia jak jemu. Inne dzieci nie miały Matki Wielebnej Schwangyu, która wciąż mieszała się w najdrobniejsze sprawy.

Jego odkrycie pociągnęło za sobą jeszcze jedną zmianę. Lurana Geasa została odwołana i więcej jej nie zobaczył.

„Nie powinna była dopuścić, żebym się dowiedział o gholach” – pomyślał.

Prawda była bardziej skomplikowana. Schwangyu wyjaśniła to Lucylli na galerii, w dniu jej przybycia.

– Wiedziałyśmy, że ten moment nadejdzie. Dowie się o gholach i będzie zadawać konkretne pytania.

– I to był najwyższy czas, żeby jego edukację przejęła Matka Wielebna. Geasa może się okazać pomyłką.

– Kwestionujesz moje decyzje? – zachnęła się Schwangyu.

– Czyżby twoje decyzje były tak doskonałe, że nie wolno ich kwestionować? – To pytanie, zadane ciepłym kontraltem, było niczym policzek.

Schwangyu milczała prawie minutę.

– Geasa uważała tego gholę za czarującego chłopca – powiedziała w końcu. – Płakała i mówiła, że będzie za nim tęsknić.

– Czy jej nie przestrzegano?

- Geasa nie przeszła naszego szkolenia.
- Więc zastąpiłaś ją Tamalane. Nie znam jej, ale przypuszczam, że jest raczej stara.
- Raczej tak.
- Jaka była jego reakcja na usunięcie Geasy?
- Pytał, dokąd odeszła. Nie dostał odpowiedzi.
- Jak poszło Tamalane?
- Trzeciego dnia oznajmił jej bardzo spokojnie: „Nienawidzę cię. Czy o to ci chodziło?”
- Tak szybko!
- Teraz przygląda się tobie i myśli: „Nienawidzę Schwangyu. Czy będę musiał znienawidzić i tę nową?” Ale myśli też, że nie jesteś podobna do innych, starych czarownic. Jesteś młoda. Zrozumie, że to ważne.



Ludziom żyje się najlepiej, kiedy każdy ma swoje miejsce, wie, w jaki porządek jest wpisany i co może osiągnąć. Wystarczy to zniszczyć, by zniszczyć człowieka.

– nauki Bene Gesserit

Miles Teg nie pragnął tego przydziału na Gammu. Instruktor wojskowy małego gholi? Choćby nawet takiego jak ten, otoczonego legendą? Było to niepożądane wtargnięcie w uporządkowany świat emeryta.

Spędził jednak całe długie życie jako wojskowy mentat w służbie Bene Gesserit i niesubordynacja nie mieściła mu się w głowie.

*Quis custodiet ipsos custodes?*

A kto pilnować będzie samych strażników?

Nad tym pytaniem Teg zastanawiał się już nieraz. Z niego brała się jedna z podstaw jego wierności Bene Gesserit. Cokolwiek można było powiedzieć o zgromadzeniu, wykazywało ono godną podziwu wierność swoim celom.

Celom moralnym, jak to sam określał.

Cele moralne Bene Gesserit zgadzały się całkowicie z zasadami Milesa Tega. Inna sprawa, że te zasady zostały mu wpojone właśnie przez Bene Gesserit. Racjonalny umysł, zwłaszcza umysł mentata, nie mógł dojść do innych wniosków.

Teg wyekstrahował z tego, że jeśli choć jeden człowiek przestrzega owych zasad, świat staje się lepszy. To nie była kwestia sprawiedliwości. Sprawiedliwość odwołuje się do prawa, ono zaś jest zmienną kochanką, podległą kaprysom i uprzedzeniom prawodawców. Nie, to była kwestia uczciwości, pojęcia znacznie głębszego. Osądzani muszą czuć, że wyrok jest uczciwy.

Stwierdzenia w rodzaju „trzeba przestrzegać litery prawa” Teg odbierał jako zagrożenie dla swych pryncypiów. Uczciwość wymagała kompromisu, przewidywalnej stałości, a nade wszystko lojalności wobec stojących wyżej i niżej w hierarchii. Przywódca kierujący się takimi zasadami nie wymagał kontroli z zewnątrz. Wykonywał swoje obowiązki, bo tak należało robić. Nie słucha się poleceń, bo *przypuszczalnie* są słuszne. Robi się to, bo są słuszne od samego początku. Przypuszczenia czy jasnowidzenie nie mają z tym nic wspólnego.

Teg znał powszechne przeświadczenie o proroczym darze Atrydów, ale w jego świecie nie było miejsca na gnomiczne wypowiedzi. Świat przyjmowało się takim, jaki był, i przestrzegało się zasad, kiedy to było możliwe.

Najwyższej władzy nie wolno się sprzeciwiać.

Taraza nie powoływała się na najwyższą władzę, ale to się rozumiało.

– Jesteś idealnym człowiekiem do tego zadania.

Miał życie pełne zaszczytów i przeszedł z honorem w stan spoczynku. Wiedział, że jest stary i powolny, a wszystkie ułomności wieku czekają tylko na zanik jego czujności, ale wezwanie do służby poderwało go na nogi, choć musiał stłumić pokusę powiedzenia „Nie”.

Nominację wręczyła mu osobiście Taraza. Wybrała go zwierzchniczka wszystkich, z Missionaria Protectiva włącznie. Nie byle Matka Wielebna, ale Matka Wielebna Przełożona.

Taraza przybyła do jego zacisza na Lernajosie, gdzie mieszkał po przejściu w stan spoczynku. Był to wielki zaszczyt i Teg zdawał sobie z tego sprawę. Zjawiła się u jego drzwi niezapowiedziana, w towarzystwie dwóch zaledwie akolitek i skromnej eskorty. Teg rozpoznał niektóre twarze. Sam szkolił tych ludzi. Pora odwiedzin była interesująca, rano, tuż po śniadaniu. Taraza znała jego tryb życia i z pewnością wiedziała, że wtedy jest najsprawniejszy. Zależało jej zatem, żeby był rozbudzony i w najwyższej formie.

Patrin, stary ordynans Tega, wprowadził Tarazę do salonu we wschodnim skrzydle, niewielkiego, eleganckiego i tradycyjnie umeblowanego pomieszczenia. Niechęć Tega do psich foteli i innych żywych mebli była powszechnie znana. Patrin miał kwaśną minę, gdy wpuszczał czarno ubraną Matkę Przełożoną. Teg rozpoznał natychmiast ten grymas. Długa, blada, pomarszczona twarz Patriny mogłaby się wydawać nieruchomą maską, ale Teg zauważył zacięte usta i wyraz starych oczu. Taraza powiedziała zatem po drodze coś, co zmartwiło ordynansa.

Wysokie przesuwne drzwi z grubego plazu otwierały widok na wschód, na długi skłon trawnika ku drzewom nad rzeką. Matka Przełożona przystanęła na środku pokoju, podziwiając widok.

Teg bez pytania nacisnął guzik. Zastłony zakryły krajobraz, zajaśniały lumisfery. Zachowanie Tega mówiło Tarazie, że przewidział charakter rozmowy.

– Dopilnuj, by nam nie przeszkadzano – polecił ordynansowi, potwierdzając jej spostrzeżenie.

– A zlecenia dla południowej farmy, szefie? – zauważył Patrin.

– Zajmij się tym sam, proszę. Ty i Firuz wiecie, o co mi chodzi.

Patrin zamknął za sobą drzwi odrobinę za głośno, a ten drobny sygnał dał Tegowi wiele do myślenia.

Taraza weszła głębiej i rozejrzała się po pokoju.

– Cytrynowa zieleń – powiedziała. – Mój ulubiony kolor. Twoja matka miała znakomity gust.

Teg odtajał po tej uwadze. Był bardzo przywiązany do tego domu i ziemi. Jego rodzina żyła tu ledwie od trzech pokoleń, ale odcisnęła już swe piętno na tym miejscu. W urządzeniu pokojów wciąż widać było rękę jego matki.

– Miłość do kraju i miejsca to bezpieczna miłość – rzekł.

– Najbardziej podobają mi się te rdzawe dywany w sieni i witrażowe naświetle nad drzwiami. Ten witraż to prawdziwy antyk.

– Na pewno nie przyszedł tu rozmawiać o dekoracji wnętrz.

Taraza zaśmiała się.

Miała wysoki głos, którym w zgromadzeniu nauczyła się posługiwać z niszczącą skutecznością. Niełatwo go było zignorować, nawet gdy wydawał się absolutnie nieszkodliwy, jak teraz. Teg widywał Matkę Przełożoną w Radzie Bene Gesserit. Cechowały ją moc i siła przekonywania. Każde jej słowo wskazywało, że jej decyzjami kieruje ostry

jak stał umysł. Czuł, że i teraz pod jej swobodnym zachowaniem kryją się ważne decyzje.

Wskazał jej wysokie krzesło z zielonym obiciem. Spojrzała na nie, raz jeszcze omiotła wzrokiem salon i uśmiechnęła się skrycie. Mogła się założyć, że w tym domu nie ma psich foteli. Teg otaczał się antykami i sam był antykiem. Usiadła i przyglądała suknię, czekając, aż Teg usiądzie naprzeciw na takim samym krześle.

– Z przykrością muszę cię prosić o powrót ze stanu spoczynku, baszarze – powiedziała. – Niestety, okoliczności nie pozostawiają mi wyboru.

Teg oparł swe długie ręce na poręczach krzesła jak mentat pogrążony w rozmyślaniach. Jego postawa mówiła: „Napełnij mój umysł danymi”.

Taraza była przez chwilę zbита z tropu. To było narzucanie warunków. Teg zachował królewską postawę, był wysoki, siwowłosy, z dużą głową. Wiedziała, że brakuje mu zaledwie czterech standardowych lat do trzystu. Chociaż rok standardowy był o dwadzieścia godzin krótszy od tak zwanego prymitywnego, i tak był to wiek robiący wrażenie, z zasługującym na szacunek doświadczeniem w służbie Bene Gesserit.

Zauważyła, że nosi jasnoszary mundur bez insygniów, dobrze skrojone spodnie i kurtkę, i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem odsłaniającym pomarszczoną szyję. U pasa coś błyskało złotem. Rozpoznała promieniste słońce, odznaczenie, które otrzymał po przejściu w stan spoczynku. Jakie to podobne do Tega! Przerobił złotą błyskotkę na klamrę pasa. To ją napełniło otuchą. Teg zrozumie jej problem.

– Czy mogę dostać łyk wody? – spytała. – To była długa i męcząca podróż. Ostatni etap przebyliśmy statkiem, który nadawał się na złom już pięćset lat temu.

Teg wstał, podszedł do panelu w ścianie i wyjął flaszkę zimnej wody i szklankę. Postawił je na niskim stoliku po prawej stronie Tarazy.

– Mam i melanz – powiedział.

– Nie, dzięki, Miles. Mam własny zapas.

Wrócił na swoje miejsce. Nie poruszał się już tak zwinnie jak kiedyś, był jednak zadziwiająco gibki jak na swoje lata.

Taraza nalała sobie pół szklanki wody i wypila duszkiem. Ostrożnie postawiła szklankę na stolik. Od czego zacząć? Zachowanie Tega nie zmyliło jej. On nie chce wrócić do służby. Analityczki uprzedziły ją, że po przejściu w stan spoczynku zainteresował się uprawą roli. Jego wielka posiadłość na Lernajosie była właściwie poletkiem doświadczalnym.

Podniosła wzrok i przyjrzała mu się otwarcie. Szerokie ramiona podkreślały wąską talię. Nadal zatem był aktywny. Pociągła, koścista twarz o ostrych rysach. Typowy Atryda.

Teg odpowiedział jej spojrzeniem jak zawsze wymagającym uwagi, ale otwartym na to, co Matka Przełożona ma do powiedzenia. Wąskie wargi uśmiechały się lekko, ukazując równe, białe zęby.

„Wie, że czuję się niezręcznie – pomyślała. – Niech to diabli! Jest tak samo sługą zgromadzenia jak ja”.

Teg nie ponaglał jej pytaniami. Zachowywał się bez zarzutu, ale z dystansem. Przypomniła sobie, że to normalna cecha mentatów, za którą nic się nie kryje.

Nagle wstał i podszedł do kredensu na lewo od niej. Odwrócił się, skrzyżował ręce na piersi i patrzył na nią.

Taraza musiała obrócić krzesło, by na niego spojrzeć. „Niech go diabli!” Nie ułatwiał jej zadania. Wszystkie Matki Wielebne wspominały, jak trudno było go skłonić, żeby usiadł podczas rozmowy. Wolał stać, po wojskowemu prześcierać ramiona i spoglądając w dół. Niewiele Matek Wielebnych dorównywało mu wzrostem – miał ponad dwa metry. Analityczki zgadzały się, że takie zachowanie jest wyrazem (być może nieświadomym) sprzeciwu Tega wobec zwierzchnictwa zgromadzenia. Nie było jednak innych oznak takiego sprzeciwu. Teg był najgodniejszym zaufania dowódcą, jakiego kiedykolwiek miały Bene Gesserit.

We wszechświecie wielu społeczności, którego główne siły spajające – mimo prostoty określeń – wchodziły w złożone relacje, dowódcy, na których można polegać, walczyli o swoją wagę w melanzu, i to po wielokroć.

Religie i powszechna pamięć o imperialnych tyraniach zawsze były obecne w negocjacjach, ale to siły ekonomiczne określały w końcu wszystko, a każda maszyna licząca przyjmowała militarną monetę. Pojawiała się ona we wszystkich negocjacjach i miało tak być, dopóki handlem rządziła potrzeba – popyt na rzeczy (takie jak przyprawa i wytwory ixańskiej technologii), na specjalistów (jak mentaci czy lekarze Akademii Suk) i na wszystkie inne codzienne potrzeby, na które istniał rynek: siłę roboczą, budowniczych, planistów, artystów, egzotyczne przyjemności...

Nie istniał system prawny, który objąłby w całości tę różnorodność, i ten fakt zrodził jeszcze jedną potrzebę – stały popyt na wpływowych rozjemców. Tę rolę przejęły w ekonomicznej pajęczynie Matki Wielebne.

Teg wiedział o tym. Wiedział też, że jeszcze raz sięgają po niego jak po kartę przetargową. Czy mu się podoba ta rola – to się w negocjacjach nie liczyło.

– Zdaje się, że nie masz rodziny, która by cię tu zatrzymywała.

Teg przyjął to w milczeniu. Tak, jego żona nie żyła od trzydziestu ośmiu lat. Dzieci były dorosłe i wszystkie, z wyjątkiem jednej córki, wyfrunęły z gniazda. Miał tu swoje zainteresowania, ale żadnych zobowiązań rodzinnych.

Następnie Taraza przypomniała mu jego długą i wierną służbę zgromadzeniu, wymieniając kilka pamiętnych osiągnięć. Wiedziała, że pochwały na niego nie działają, ale otwierało to jej drogę do tego, co miało nastąpić.

– Twoje rodzinne podobieństwo zostało ocenione – powiedziała.

Uniósł głowę nie więcej niż o milimetr.

– Twoje podobieństwo do pierwszego Leto Atrydy, dziada Tyrana, jest wprost uderzające.

Teg nie mrugnął nawet okiem na znak, że słyszy czy że się zgadza. Była to tylko informacja, coś, co już zostało zapisane w jego fotograficznej pamięci. Wiedział, że nosi w sobie geny Atrydów. Widział w kapitularnym portrecie Leto I. Dziwnie to przypominało spoglądanie w lustro.

– Jesteś trochę wyższy – stwierdziła Taraza.

Teg nadal patrzył na nią z góry.

– Do diabła z tym wszystkim, baszarze. Mógłbyś przynajmniej spróbować mi pomóc.

– Czy to rozkaz, Matko Przełożona?

– Nie, to nie rozkaz!

Teg powoli się uśmiechnął. Fakt, że Taraza pozwoliła sobie na taki wybuch w jego obecności, mówił wiele. Nie zrobiłaby tego przy ludziach, których uznałaby za niegodnych zaufania. I z pewnością nie pozwoliłaby sobie na ujawnienie uczuć przed kimś, kogo uważałaby za podwładnego.

Taraza oparła się znów wygodnie i uśmiechnęła szeroko.

– Dobrze – powiedziała. – Ubawiłeś się. Patrin mówił, że będziesz wściekły, jeśli cię znów powołam do służby. Zapewniam cię, że do wykonania naszych planów jesteś niezbędny.

– Jakich planów, Matko Przełożona?

– Wychowujemy na Gammu gholę Duncana Idaho. Ma prawie sześć lat i jest gotów do szkolenia wojskowego.

Teg pozwolił sobie nieco rozszerzyć oczy.



– To dla ciebie próba cierpliwości, ale chcę, żebyś przejął jego szkolenie i ochronę tak szybko, jak to możliwe.

– Moje podobieństwo do księcia Leto... Chcecie mnie użyć do przywrócenia mu pierwotnych wspomnień.

– Za osiem czy dziesięć lat, tak.

– Tak długo! – Teg pokręcił głową. – Dlaczego Gammu?

– Na nasze polecenie Tleilaxanie zmienili jego odziedziczone prana i bindu. Jego odruchy będą równie szybkie jak odruchy ludzi urodzonych w naszych czasach. A Gammu? Tam się urodził i wychował pierwszy Duncan Idaho. Skoro zmieniamy dziedzictwo komórkowe, musimy możliwie najbardziej zbliżyć wszystko inne do oryginału.

– Czemu to robicie? – spytał Teg tonem mentata porządkującego dane.

– Na Rakis pojawiła się dziewczynka, która potrafi rozkazywać czerwiom. Będziemy mogły wykorzystać tam naszego gholę.

– Chcecie ich skojarzyć?

– Nie zatrudniam cię jako mentata. Potrzebne nam są twoje zdolności wojskowe i podobieństwo do Leto I. Wiesz, jak obudzić jego wspomnienia, kiedy nadejdzie czas.

– W rzeczywistości zatrudniasz mnie jako nauczyciela.

– Uważasz, że to degradacja dla kogoś, kto był naczelnym baszarem naszych sił zbrojnych?

– Matko Przełożona, ty wydajesz rozkazy, a ja je wykonuję. Nie przyjmę jednak tego stanowiska bez pełnej kontroli nad wszystkimi systemami obronnymi Gammu.

– To już zostało załatwione, baszarze.

– Zawsze znałaś drogi moich myśli.

– I zawsze byłam pewna twojej lojalności.

Teg odsunął się od kredensu i stał chwilę, rozmyślając.

– Kto mi dostarczy informacji?

– Bellonda z archiwów, jak dawniej. Dostaniesz też od niej szyfr do bezpiecznej wymiany wiadomości.

– Dam ci listę ludzi – powiedział Teg. – To starzy towarzysze broni i dzieci niektórych z nich. Chcę, żeby wszyscy byli już na Gammu, kiedy tam przybędę.

– Nie sądzisz, że ktoś może odmówić?

Jego mina mówiła: „Nie bądź głupia!”

Taraza zaśmiała się cicho i pomyślała: „Tego nauczyli nas dawni Atrydzi – jak tworzyć ludzi, którzy cieszą się największym zaufaniem i lojalnością”.

– Rekrutacją zajmie się Patrin – mówił Teg. – Wiem, że nie przyjmie awansu, ale ma otrzymywać żołd i honory podpułkownika.

– Ty oczywiście wrócisz do rangi naczelnego baszara.

– Nie. Macie Burzmalego. Nie będziemy podrywać mu autorytetu, oddając go pod rozkazy dawnego dowódcy.

Taraza przyglądała mu się chwilę.

– Burzmali nie został jeszcze mianowany.

– Dobrze o tym wiem. Dawni towarzysze informują mnie o polityce zgromadzenia. Jednak ty i ja, Matko Przełożona, wiemy, że to tylko kwestia czasu. Burzmali jest najlepszy.

Musiała to przyjąć do wiadomości. Było to coś więcej niż ocena wojskowego mentata. To była ocena Tega. Nagle uderzyła ją inna myśl.

– Wiedziałeś więc o naszym sporze w radzie! I pozwoliłeś mi...

– Matko Przełożona, gdybym myślał, że chcecie stworzyć na Rakis nowego potwora, powiedziałbym to. Ty ufasz moim decyzjom, a ja ufam twoim.

– Do licha, Miles, za długo się nie widzieliśmy! – Taraza wstała. – Uspokajaj mnie sama myśl, że wracasz na posterunek.

– Na posterunek – powtórzył. – Tak. Przywróć mnie do służby jako baszara do specjalnych poruczeń. Dzięki temu Burzmali nie będzie zadawał głupich pytań, kiedy się dowie.

Taraza wyjęła z zanadru plik kart ryduliańskiego papieru i podała go Tegowi.

– Już je podpisałam. Wypełnij swoją nominację. Są tu wszystkie inne upoważnienia, dokumenty przewozowe i tak dalej. Rozkazy wydaję ci osobiście. Podlegasz tylko mnie. Jesteś *moim* baszarem, rozumiesz?

– Czy nie byłem nim zawsze?

– Teraz jest to ważniejsze niż kiedykolwiek. Dbaj o bezpieczeństwo gholi i zapewnij mu dobre wyszkolenie. Odpowiadasz za niego. A ja będę cię popierać przeciw każdemu.

– Słyszę, że na Gammu dowodzi Schwangyu.

– Przeciw każdemu, Miles. Nie ufaj Schwangyu.

– Rozumiem. Zjesz z nami obiad? Moja córka przygotowała...

– Wybacz mi, Miles, ale muszę natychmiast wracać. Zaraz przyślę ci Bellondę.

Teg odprowadził ją do drzwi, wymienił kilka przyjaznych uwag ze swymi dawnymi uczniami w jej orszaku i patrzył, jak odjeżdżają. Na podjeździe czekał na nich opancerzony pojazd naziemny, jeden z najnowszych modeli, który musieli przywieźć ze sobą. Jego widok sprawił, że Teg poczuł się niepewnie.

„Sprawa niecierpiąca zwłoki!” – pomyślał.

Taraza przybyła osobiście. Matka Przełożona wystąpiła w roli wysłanniczki, zdając sobie sprawę, ile mu to powie. Znając tak dobrze sposób działania zgromadzenia, dostrzegł w tym objawienie. Rozłam w Bene Gesserit był głębszy, niż dawali do zrozumienia jego informatorzy.

„Jesteś *moim* baszarem”.

Przejrzał pobieżnie upoważnienia i dokumenty, które mu zostawiła Taraza. Wszystkie nosiły jej pieczęć i podpis. Wyrażone w ten sposób zaufanie, w połączeniu z tym, co wyczuwał, zwiększało jego niepokój.

„Nie ufaj Schwangyu”.

Wsunął papiery do kieszeni i ruszył na poszukiwanie Patriny. Trzeba go było poinformować i ułagodzić. Muszą ocenić kandydatów do tej służby. Zaczął już układać w pamięci listę nazwisk. Zadanie jest niebezpieczne. Potrzebni będą najlepsi. Niech to diabli! Trzeba będzie przekazać posiadłość w ręce Firuza i Dimeli. Tyle szczegółów! Poczuł, że puls zaczyna mu przyśpieszać, kiedy szedł przez pokój.

Mijając swego dawnego żołnierza, dziś ochroniarza, przystanął.

– Martin, odwołaj wszystkie moje spotkania. Znajdź moją córkę i przyslij ją do gabinetu.

Wiadomość, że rozmawiała z nim sama Matka Przełożona, już się rozeszła po domu, a stamtąd po posiadłości. Rodzina i służba otoczyli go parawanem ochronnym, by nic go nie rozpraszało. Gdy usiłował tłumaczyć najstarszej córce, Dimeli, szczegóły eksperymentalnego planu upraw, zbyła go krótko.

– Ojczy, nie jestem dzieckiem!

Siedzieli w małej oranżerii przylegającej do gabinetu. Taca z resztkami lunchu stała na ławie z donicami, a przy niej tkwił notatnik Patriny oparty o ścianę. Teg przyjrzał się uważnie Dimeli. Była podobna do niego, nie licząc wzrostu. Zbyt koścista, by być pięknoscią, wyszła jednak dobrze za mąż. Mieli z Firuzem trójkę ładnych dzieci.

– Gdzie jest Firuz? – spytał.

– Dogląda replantacji na południowej farmie.

– Ach, tak, Patrin mówił mi o tym.

Uśmiechnął się. Był rad, że Dimela odmówiła zgromadzeniu, wyszła za mąż za Firuza z Lernajosa i pozostała w otoczeniu ojca.

– Wiem tylko, że znowu wzywają cię na służbę – powiedziała Dimela. – Czy to niebezpieczny przydział?

– Wiesz, mówisz dokładnie jak twoja matka.

– Więc jest niebezpieczny! Niech je diabli! Czy nie dość dla nich zrobiłeś?

– Widocznie nie.

Odwróciła się, by wyjść, akurat w chwili, gdy Patrin pojawił się w drugim końcu oranżerii. Teg usłyszał, jak powiedziała do niego w przelocie:

– Im jest starszy, tym bardziej podobny do Matki Wielebnej!

„A czego innego mogła się spodziewać?” – pomyślał Teg. Był synem Matki Wielebnej i niższego urzędnika Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles. Wychował się w domu, który żył w rytmie zgromadzenia. Już w dzieciństwie zauważył, że lojalność ojca wobec międzyplanetarnej sieci handlowej KHOAM znika, gdy tylko matka wyraża sprzeciw.

Ten dom był domem jego matki aż do jej śmierci, która nastąpiła niecały rok po śmierci ojca. Wnętrza wciąż nosiły piętno jej smaku.

Patrin zatrzymał się przed nim.

– Wróciłem po notatnik. Dopisałeś kogoś, szefie?

– Kilka nazwisk. Lepiej zaraz się tym zajmij.

– Tak jest! – Ordynans zrobił minę dzielnego zucha i odszedł, poklepując się notatnikiem po nodze.

„On też to czuje” – pomyślał Teg.

Jeszcze raz rozejrzał się. To był wciąż dom jego matki. Po tych wszystkich latach, które przeżył tu z żoną i dziećmi! Nadal należał do niej. O, tak, zbudował tę oranżerię, ale gabinet był kiedyś jej salonikiem.

Janet Roxbrough z lernajoskiej gałęzi tego rodu. Meble, wystrój wnętrza, wszystko mówiło o niej. Taraza to zauważyła. Zmienili z żoną kilka szczegółów, ale duszą tego domu nadal była Janet Roxbrough. W rodowodzie nie było ani kropli krwi rybomównych. Jakże cennym nabytkiem była dla zgromadzenia! Dziwne, że poślubiła Loszę Tega i spędziła tu całe życie. To nie mieściło się w głowie, chyba że się wiedziało, jak działa plan eugeniczny zgromadzenia w ciągu pokoleń.

„Znowu to zrobiły – pomyślał Teg. – Przez te wszystkie lata kazały mi czekać za kulisami na tę właśnie chwilę”.



Czy przez te wszystkie tysiąclecia religia nie zastrzegła sobie patentu na tworzenie?

– dylemat tleilaxański ze *Słów Muad'Diba*

Powietrze Tleilaxa było krystaliczne, znieruchomiałe po części od porannego chłodu, po części zaś z trwożnego oczekiwania, jakby samo życie tylko czekało tam, w Bandalongu, zaczajone i drapieżne, na znak, by się ruszyć. Mahadź, mistrz mistrzów Tylwyth Waff najbardziej lubił tę właśnie porę dnia. Teraz, gdy patrzył przez otwarte okno, miasto należało do niego. Mówił sobie, że Bandalong obudzi się do życia jedynie na jego rozkaz. Strach, który wyczuwał tam, na zewnątrz, był jego oparciem w każdej rzeczywistości, jaka mogła się zrodzić w tej wylęgarni życia – cywilizacji Tleilaxan, która tu powstała i stąd rozprzestrzeniła swą potęgę.

Jego lud czekał na ten moment tysiące lat. Waff napawał się teraz chwilą. Przez straszne czasy Proroka Leto II (nie Boga Imperatora, ale Bożego Wysłannika), przez lata Głodu i Rozproszenia, znosząc dotkliwe porażki w starciach z niższymi istotami, Tleilaxanie cierpliwie zbierali siły na tę właśnie chwilę.

„Doczekaliśmy się naszej chwili, o Proroku!”

Miasto rozciągające się pod jego wysokim oknem było dla Waffa symbolem, znakiem na karcie tleilaxańskiego planu. Inne tleilaxańskie planety, inne wielkie miasta, połączone więzami i zależnościami, a wszystkie podległe jego Bogu i jego miastu, czekały na sygnał, który – jak wszyscy wiedzieli – musiał wkrótce nadejść. Połączone siły maskaradników i maszejków ukrywały swą potęgę, przygotowując się do kosmicznego skoku. Tysiąclecia oczekiwania dobiegły końca.

Waff myślał o tym jako o „długim początku”.

Tak. Skinął głową, patrząc na przyczajone miasto. Od samego początku, od nieskończonego małego zalążka idei, przywódcy Bene Tleilax rozumieli ryzyko planu tak ogromnego, tak dalekosiężnego, tak złożonego i subtelного. Wiedzieli, że muszą przetrwać niejedno zbliżenie do katastrofy, godzić się na bolesne straty i upokorzenia. Wszystko to i dużo więcej

złożyło się na osobliwy obraz Bene Tleilax. Tysiąclecia udawania stworzyły mit.

„Nikczemni, wstrętnei, plugawi Tleilaxanie! Głupi Tleilaxanie! Przewidywalni Tleilaxanie! Porywczy Tleilaxanie!”

Nawet słudzy Proroka padli ofiarą tego mitu. W tym właśnie pokoju stała wzięta do niewoli rybomówna i krzyczała do mistrza Tleilaxan: „Długie udawanie staje się rzeczywistością! Wy naprawdę jesteście nikczemni!”

Zabili ją więc, a Prorok nic nie zrobił.

Jakże słabo wszystkie te obce światy i ludy rozumiały powściągliwość Tleilaxan. Porywczosć? Zmieniają zdanie, gdy Bene Tleilax pokażą, ile tysiącleci można czekać na dojście do władzy.

„Spannungsbogen!”

Waff obracał to prastare słowo na języku. „Napięcie łuku!” Napięcie łuku do granic możliwości przed zwolnieniem cięciwy. Strzała wbije się głęboko.

– Maszejkowie czekali dłużej niż ktokolwiek – wyszeptał. Ośmielił się wymówić to słowo w wieży swojej twierdzy. – Maszejkowie.

Dachy w dole błyszczały w promieniach wznoszącego się słońca. Słyszał, jak miasto budzi się do życia. Z zewnątrz wpływały z wietrzykiem słodko-gorzkie zapachy Tleilaxa. Waff odetchnął głęboko i zamknął okno.

Po tej chwili samotnych rozważań poczuł się odnowiony. Odwrócił się od okna i włożył chylat, białą szatę ceremonialną, przed którą cały domel miał obowiązek się kłaniać. Długa szata zakryła jego niewysoką postać, dając mu miłe uczucie, że jest w rzeczywistości zbroją.

– Jesteśmy ludem Yaghistu – przypomniał zeszłego wieczoru członkom rady. – Wszystko inne to tylko rubieże. Przez minione tysiąclecia celowo umacnialiśmy mit naszej słabości i diabelskich praktyk. Dziś nawet Bene Gesserit w to wierzą!

Siedzieli w podziemnej, pozbawionej okien sagraze chronionej pozaprzeznaczoną tarczą. Jego dziewięciu doradców uśmiechnęło się z uznaniem na te słowa. Wiedzieli, że poparte są sądem ghufranu. Tleilaxanie rozgrywali swój los na scenie, którą zawsze był kehl, a rządzącym prawem – ghufran.

Nawet Waff, najpotężniejszy z Tleilaxan, nie mógł opuścić planety i wrócić na nią, nie upokorzywszy się w ghufranie, błagając o wybaczenie za kontakt z niewyobrażalnymi grzechami obcych. Zetknięcie z *powindah* mogło splamić nawet najpotężniejszego. Chasadarowie strzegący granic Tleilaxa i kobiecych selamlików mieli prawo podejrzewać nawet Waffa. To

prawda, że należał do kehl, ale musiał tego dowodzić, ilekroć opuszczał kraj i wracał, i ilekroć odwiedzał selamlik, żeby oddać swą spermę.

Podszedł do wysokiego lustra i przyjrzał się sobie i swej szacie. Wiedział, że w oczach *powindah* wygląda jak elf. Miał ledwie półtora metra wzrostu, a oczy, włosy i skórę w różnych odcieniach szarości. Wszystko to było tłem dla owalnej twarzy o wąskich ustach z ostrymi zębami. Każdy maskaradnik mógł przybrać jego rysy i postać, udawać go na rozkaz maszejka, ale żaden maszejk ani chasadar nie dałby się oszukać. Tylko *powindah* można było zwieść.

„Z wyjątkiem Bene Gesserit!”

Na tę myśl sposepniał. No cóż, czarownice nie spotkały się jeszcze z nikim z nowego pokolenia maskaradników.

„Żaden lud nie opanował języka genetyki tak jak Bene Tleilax – uspokajaj siebie. – Słusznie nazywamy go »językiem Boga«, bo sam Bóg dał nam tę wielką moc”.

Waff podszedł do drzwi, czekając na poranny dzwon. Nie umiałby opisać bogactwa odczuwanych uczuć. Czas rozwijał się przed nim. Nie pytał, dlaczego prawdziwe przesłanie Proroka usłyszeli jedynie Bene Tleilax. Bóg tak chciał, a Prorok był ramieniem Boga, godnym czci jako Boży Wysłannik.

„Przygotowałeś ich dla nas, o Proroku”.

A ten ghola na Gammu, właśnie ten i właśnie teraz, wart był całego tego czekania.

Rozległ się poranny dzwon i Waff wkroczył do sali. Tam wraz z innymi postaciami w białych szatach ruszył na wschodni balkon, by powitać słońce. Jako Mahadż i Abdl swego ludu łączył się teraz ze wszystkimi Tleilaxanami.

„Jesteśmy strażnikami szariatu, ostatnimi we wszechświecie”.

Tej myśli nie mógł dotąd wyjawic nigdzie poza zamkniętymi komnatami jego malik-braci, wiedział jednak, że w tej chwili dzielą ją umysły wszystkich wokół niego, a jej wpływ widać było tak samo u maszejków jak u maskaradników. Paradoks braterstwa i poczucia społecznej tożsamości, które przenikało kehl od maszejków do nizin domelu, nie był dla Waffa paradoksem.

„Służymy temu samemu Bogu”.

Maskaradnik w przebraniu sługi otworzył drzwi na balkon. Waff wyszedł na słońce otoczony gromadą towarzyszy. Uśmiechnął się, rozpoznawszy maskaradnika. „To przecież także sługa!” – pomyślał. Był to rodzinny

żarcik, ale maskaradnicy nie należeli do rodziny. Byli tworami, narzędziami – tak jak ghola na Gammu był narzędziem – wszyscy zaplanowani w języku Boga, którym mówili tylko maszejkowie.

W ciszącym się wokół niego tłumie Waff złożył pokłon słońcu. Wydał okrzyk Abdla i usłyszał, jak powtarzają go niezliczone głosy z najdalszych rubieży miasta.

– Słońce nie jest Bogiem! – zawołał.

Nie, słońce było tylko symbolem nieskończonej mocy i miłosierdzia Boga – kolejnym tworem, kolejnym narzędziem. Przeszedłszy poprzedniej nocy ghufran, Waff czuł się oczyszczony, odnowiony przez poranny rytuał. Mógł teraz rozmyślać o swej podróży do świata *powindah*, z której dopiero co wrócił i musiał przejść rytuał ghufranu. Inni wyznawcy ustępowali mu z drogi, gdy wracał do wewnętrznych korytarzy, a potem ruszył pochylnią do ogrodu, gdzie miał się spotkać z doradcami.

„Ten wypad między *powindah* był udany” – pomyślał.

Ilekcio opuszczał wewnętrzne światy Bene Tleilax, miał wrażenie, że jest na laszkarze, odwetowej wyprawie wojennej, którą jego naród nazywał skrycie Bodal (zawsze z wielkiej litery i zawsze w pierwszym rzędzie potwierdzanej przez ghufran czy kehl). Ten ostatni laszkar był niezwykle udany.

Waff zszedł z pochylni do ogrodu zalanego promieniami słońca odbitymi od pryzmatycznych zwierciadeł ustawionych na okolicznych dachach. Niewielka fontanna wykonywała wizualną fugę w środku wysypanego żwirem kręgu. Po jednej stronie niski biały płótek otaczał przyszyty trawnik, przestrzeń na tyle bliską fontannie, że czuło się wilgoć w powietrzu, i na tyle od niej oddaloną, że szum wody nie zagłuszał prowadzonej półgłosem rozmowy. Dookoła trawnika ustawiono dziesięć antycznych plastikowych ławeczek – dziewięć w półkolu zwróconym do dziesiątej, nieco odsuniętej.

Przystanął na skraju trawnika i rozejrzał się. Zastanawiał się, dlaczego nigdy dotąd na widok tego miejsca nie odczuwał tak głębokiej przyjemności. Ciemny błękit ławeczek był kolorem materiału. Stulecia używania zostawiły wgłębienia w oparciach i tam, gdzie spoczywały niezliczone pośladki, ale kolor w wyłobieniach był tak samo intensywny jak gdzie indziej.

Nie dotyczyło to jedynie dziesiątej ławeczki, na której ktoś kwasowym sprayem wypisał slogan z jakiejś zapomnianej kampanii politycznej. Waff



mógł kazać usunąć napis lub wymienić ławeczkę, ale bawiło go to wspomnienie żartów, jakie płała ludziom czas.

WESPRZYJ POLITYKĘ IRREDENTYZMU.

Wytrawione kwasem słowa były jasnożółte.

Już nieraz wydawało się Waffowi, że pewni ludzie są w stanie pisać na każdym materiale. Obce mu było to pragnienie zostawiania słów innym, zupełnie jakby miały moc, bo zrodziły się w nim. Słowa liczyły się tylko wtedy, gdy niosły znaczenie i trafiały do odpowiedniego odbiorcy. W przeciwnym razie najlepiej było milczeć. Ostrożny umysł nie powierzał niczego przypadkowi.

Waff usiadł naprzeciw swoich dziewięciu doradców, dobierając w myślach słowa, których musiał użyć. Dokument przywieziony przez niego z ostatniego laszkaru, właściwie powód tej wyprawy, nie mógł się ujawnić w lepszej chwili. Jego tytuł i tekst zawierały potężne przesłanie dla Tleilaxan.

Wyjął z zanadru kilka kartek ryduliańskiego papieru krystalicznego. Zauważył nagle zainteresowanie doradców: dziewięciu twarzy podobnych do jego, maszejków z wewnętrznego kręgu kehl. Wszystkie wyrażały oczekiwanie. Czytali już w kehl ten dokument – *Manifest Atrydów*. Całą noc rozmyślali nad jego przesłaniem. Teraz trzeba się było wypowiedzieć. Waff położył dokument na kolanach.

– Proponuję rozpowszechnić te słowa – rzekł.

– Bez zmian? – zapytał Mirlat, doradca najbliższy z nich wszystkich transformacji w gholę. Mirlat bez wątpienia myślał o godności Abdla i Mahadza.

Waff skupił wzrok na szerokich szczękach doradcy, na których przez stulecia narastały chrząstki, świadcząc o jego wieku.

– Dokładnie takie, jakie wpadły nam w ręce – odpowiedział.

– To niebezpieczne!

Waff zwrócił głowę w prawo, ukazując doradcom swój dziecięcy profil na tle fontanny. „Ręka Boża przy mojej prawicy!” – pomyślał.

Niebo miało kolor polerowanego karnelianu, jakby Bandalong, najstarsze miasto na Tleilaxie, został zbudowany pod jedną z tych gigantycznych osłon wznoszonych dla ochrony pionierów na planetach o surowym klimacie.

Kiedy odwrócił się do doradców, twarz miał niewzruszoną.

– Nie dla nas – stwierdził.

– To zależy od punktu widzenia.

– Omówmy więc te punkty widzenia – rzekł Waff. – Czy musimy się obawiać Ixa albo rybomównych? Na pewno nie. Jeszcze tego nie wiedzą, ale już są w naszych rękach.

Odczekał chwilę, by jego słowa dotarły do doradców. Wszyscy wiedzieli, że nowa generacja maskaradników zasiada w radach najwyższych Ixa i rybomównych. Zamiana nie została wykryta.

– Gildia nie wystąpi przeciw nam ani się nie sprzeciwi, bo jesteśmy dla niej jedynym źródłem melanżu.

– A co z tymi Dostojnymi Matronami wracającymi z Rozproszenia? – spytał Mirlat.

– Zajmiemy się nimi, kiedy będzie trzeba – odparł Waff – a pomogą nam potomkowie naszego narodu, którzy dobrowolnie wzięli udział w Rozproszeniu.

– Czas rzeczywiście wydaje się odpowiedni – mruknął jeden z doradców.

„Torg Młodszy” – zanotował w pamięci Waff. Dobrze, to już jeden pewny głos.

– A Bene Gesserit? – burknął Mirlat.

– Myślę, że Dostojne Matrony usuną je nam z drogi – odpowiedział Waff.

– Już teraz warczą na siebie jak zwierzęta w klatkach.

– A jeśli autor manifestu zostanie zidentyfikowany? Co wtedy?

Kilka głów skinęło. Waff odnotował, kogo trzeba przekonać.

– W naszych czasach nie jest bezpiecznie nosić nazwisko Atryda – zauważył.

– Z wyjątkiem Gammu – odparł Mirlat. – A tym razem podpisano ten dokument!

„Dziwne” – pomyślał Tylwyth Waff. Przedstawiciel KHOAM na konferencji, która wyrwała Waffa z wewnętrznych planet Tleilaxa, podkreślał tę samą kwestię. Większość członków KHOAM stanowili jednak ukryci ateści, którzy na każdą religię patrzyli podejrzliwie. Atrydzi zaś byli z całą pewnością religijną potęgą. Niepokój KHOAM był niemal namacalny.

Waff przedstawił pokrótce reakcję KHOAM.

– Ten najemnik konsorcjum, biada jego bezbożnej duszy, ma rację – upierał się Mirlat. – To jakaś zdrada.

„Trzeba będzie się uporać z Mirlatem” – pomyślał Waff. Podniósł dokument z kolan i przeczytał:

– „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo”.

– Cytat wprost z Biblii Protestancko-Katolickiej – powiedział Mirlat.

Inni ponownie skinęli głowami. Waff uśmiechnął się przelotnie, odsłaniając ostre kły.

– Czy ktoś sugeruje, że są wśród *powindah* tacy, którzy podejrzewają istnienie szariatu i maszejków?

Czuł, że dobrze robi, mówiąc to otwarcie, przypominając słuchaczom, że tylko tu, w sercu Tleilaxa, te prastare słowa i ten prastary język zachowały się niezmienione. Czy Mirlat albo którykolwiek z obecnych boi się, że słowa Atrydy mogą obalić szariat?

Waff zadał to pytanie i ujrzał zasepione spojrzenia.

– Czy ktoś z was uważa, że choć jeden *powindah* wie, jak używamy języka Boga?

„Macie! Pomyślcie o tym!”

Każdy z nich był raz za razem budzony do życia w nowym ciele gholi. Ta rada zapewniła sobie cielesną trwałość niedostępną komukolwiek innemu. Mirlat widział na własne oczy Proroka. Scytale rozmawiał z Muad’Dibem! Nauczywszy się odnawiać ciało, a zachowywać wspomnienia, skoncentrowali tę władzę w jednym jedynym rządzie, którego potęgę ograniczyli, żeby się nią z nikim nie dzielić. Tylko czarownice miały podobny zasób doświadczeń, do których mogły sięgać, one wszakże działały bojaźliwie i ostrożnie, obawiając się, że mogą stworzyć nowego Kwisatz Haderach!

Waff wyjaśnił to swym doradcom.

– Nadszedł czas działania – dodał. Kiedy nikt się nie sprzeciwił, powiedział: – Ten manifest ma jednego autora. Wszystkie analizy są zgodne. Mirlat?

– Napisał go jeden człowiek i ten człowiek to prawdziwy Atryda. Nie ma wątpliwości – zgodził się Mirlat.

– Wszyscy na konferencji *powindah* to przyznali – rzekł Waff. – Nawet sternik trzeciego stopnia Gildii.

– Ale ten jeden człowiek stworzył coś, co wzbudza gwałtowne reakcje bardzo różnych narodów – zauważył Mirlat.

– Czy kiedykolwiek zwątpiliśmy w destrukcyjny talent Atrydów? – zapytał Waff. – Gdy pokazano mi ten dokument, zrozumiałem, że Bóg daje nam znak.

– Czarownice nie przyznają się do autorstwa? – zapytał Torg Młodszy.

„Czujny i zdolny” – pomyślał Waff.

– Ten manifest podaje w wątpliwość wszystkie religie *powindah* – powiedział. – Każda wiara z wyjątkiem naszej zostaje zawieszona w próżni.

– O to właśnie chodzi! – Mirlat poderwał się.

– Ale tylko my o tym wiemy – wskazał Waff. – Kto jeszcze choć podejrzewa istnienie szariatu?

– Gildia.

– Nigdy o tym nie mówili i nigdy nie powiedzą. Zdają sobie sprawę, jaka byłaby nasza odpowiedź. – Waff podniósł plik kartek z kolan i przeczytał: – „Nasz wszechświat przenikają siły, których nie możemy pojąć. Widzimy ich cienie rzucane na ekran dostępny naszym zmysłom, ale ich nie rozumiemy”.

– Atryda, który to napisał, wie o szariacie – mruknął Mirlat.

Waff czytał dalej, jak gdyby nikt mu nie przerywał:

– „Zrozumienie wymaga słów. Nie wszystko można sprowadzić do słów. Są rzeczy, których można doświadczyć jedynie w milczeniu”. – Ostrożnie, jakby trzymał relikwię, złożył znów dokument na kolanach. Odezwał się tak cicho, że słuchacze musieli się pochylić, a niektórzy przyłożyli dłonie do uszu. – To oznacza, że nasz wszechświat jest magiczny, że wszystkie arbitralne kształty są przemijające i podlegają magicznym przemianom. Nauka przywiodła nas do tej interpretacji, stawiając w koleinach, z których nie możemy zboczyć. – Dał doradcom chwilę na przetrawienie tych słów, a potem mówił dalej: – Żaden kapłan Podzielonego Boga ani inny szarlatan *powindah* nie może przyjąć tej prawdy. Tylko my ją znamy, bo nasz Bóg jest magicznym Bogiem, którego językiem mówimy.

– Będą nam zarzucać autorstwo tego manifestu – zaczął Mirlat i w tej samej chwili pokręcił głową. – Nie! Rozumiem. Rozumiem, co masz na myśli.

Waff milczał. Widział, jak wszyscy pogrążają się w rozmyślaniach o swoim sufickim pochodzeniu, jak wspominają Wielką Wiarę i zensunnicki ekumenizm, które zrodziły Bene Tleilax. Ludzie z tego kehu znali podane przez Boga fakty o swoim pochodzeniu, ale utrzymywanie ich w tajemnicy przez wiele pokoleń dawało gwarancję, że nie zna ich żaden *powindah*.

Przez jego umysł płynęły słowa: „Założenia oparte na zrozumieniu zawierają wiarę w jakieś absolutne podłoże, z którego wyrasta wszystko, tak jak rośliny z nasion”.

Wiedząc, że jego doradcy także powracają do katechizmu Wielkiej Wiary, Tylwyth Waff przypomniał im zensunnickie ostrzeżenie:

– Za takimi założeniami leży wiara w słowa, w którą nie wątpi *powindah*. Tylko szariat ją kwestionuje i czyni to w milczeniu.

Doradcy jednocześnie pochylili głowy.

– Samo stwierdzenie istnienia tego, czego nie da się opisać słowami, wstrząsa wszechświatem, w którym słowo jest najwyższą wiarą.

– Jad *powindah*! – krzyknęli doradcy.

Teraz miał ich w ręku i dopiął celu, pytając:

– Jak brzmi suficko-zensunnickie credo?

Nie wolno go było wypowiadać, ale wszyscy obecni pomyśleli: „Aby osiągnąć s'tori, nie trzeba rozumieć. S'tori istnieje bez słów, a nawet bez imienia”.

Po chwili doradcy podnieśli wzrok i wymienili spojrzenia. Mirlat wziął na siebie recytację wyznania Tleilaxan.

– Mogę rzec „mój Bóg”, lecz to nie mój Bóg. To tylko szum, nie bardziej potężny od innych dźwięków.

– Widzę teraz – rzekł Waff – że wszyscy czujecie, jaką władzę dał nam ten dokument. Wśród *powindah* krążą już miliony kopii.

– Kto je rozprowadza? – wtrącił się Mirlat.

– A kogo to obchodzi? – odparł Waff. – Niech *powindah* na nich polują, niech badają ich pochodzenie, niech wygłaszają kazania. Każda taka akcja zwiększa moc tych słów.

– Czy powinniśmy potępić ten manifest? – spytał Mirlat.

– Jeżeli będzie trzeba. Widzicie! – Waff trzepnął papierami po kolanach. – *Powindah* ograniczyli swą świadomość do najwęższego celu i to jest ich słabość. My musimy dołożyć starań, by ten manifest rozszedł się jak najszerzej.

– Magia naszego Boga naszą jedyną ostoją – zaintonowali doradcy.

Waff zauważył, że wszyscy zostali sprowadzeni na powrót do oparcia w wierze. Łatwo to poszło. Maszejk to nie głupi *powindah*, który zawodzi: „W twej nieskończonej łaskawości, Boże, czemu ja?” W tym samym zdaniu przyzywa nieskończoność i zaprzecza jej, nie widząc własnej głupoty.

– Scytale – rzekł Waff.

Najmłodszy z doradców, z najbardziej dziecięcą twarzą, siedzący – jak należało – na ostatniej ławeczce po lewej, pochylił się usłuznie.

– Uzbrosisz wiernych.

– Dziwię się, że jakiś Atryda dał nam do ręki tę broń – powiedział Mirlat.

– Jak to się dzieje, że Atrydzi zawsze chwytają się jakiejś idei, która pociąga

miliony?

– To nie Atrydzi – odparł Waff. – To Bóg. – Wzniósł ramiona i wypowiedział rytualne słowa zakończenia: – Maszejkowie spotkali się w kehl, a Bóg ich natchnął swoją obecnością.

Zamknął oczy i czekał, aż doradcy odejdą. „Maszejkowie!” Jak dobrze jest móc nazywać tak siebie w kehl, mówić językiem Islamiyatu, którym nie mówi już żaden Tleilaxanin poza miejscami tajnych narad. Nawet maskaradnicy go nie znają. Nigdzie w jandolańskim Wekhcie, na najdalszych rubieżach tleilaxańskiego Yaghistu, nie ma *powindah* znającego ten sekret.

„Yaghist – pomyślał Waff, wstając z ławeczki. – Yaghist, kraj bez rządów”.

Zdawało mu się, że czuje w dłoni drżenie dokumentu. Ten manifest był dokładnie tym, za czym pójść ku zagładzie masy *powindah*.



Jednego dnia to melanz, drugiego gorzki pył.

– aforyzm z Rakis

Mijał trzeci rok jej pobytu u kapłanów na Rakis. Był ranek. Sziena leżała na grzbiecie wysokiej, zakrzywionej wydmy. Patrzyła w dal, skąd dochodził donośny łoskot. Widmowe srebrzyste światło matowiło horyzont lekką mgiełką. Na piasku leżał jeszcze chłód nocy.

Wiedziała, że kapłani obserwują ją z bezpiecznego schronienia swej otoczonej wodą wieży jakieś dwa kilometry za nią, ale mało ją to obchodziło. Drżenie piasku pod nią wymagało skupienia uwagi.

„Ten jest duży – myślała. – Co najmniej siedemdziesiąt metrów. Duży i piękny”.

Szary filtrak, gładki i śliski, lgnął do skóry. Nie miał łąt jak tamten, który nosiła po kimś starszym, zanim kapłani wzięli ją pod opiekę. Była wdzięczna za ten piękny filtrak i za szatę z grubej wełny, białą z purpurowym szlakiem, którą nosiła na nim, ale przede wszystkim czuła podniecenie, że jest tutaj. W takich chwilach napełniało ją coś, co było groźne i wspaniałe.

Kapłani nie mieli pojęcia, co się tu dzieje. Była tego pewna. Banda tchórzy. Spojrzała przez ramię na odległą wieżę i zobaczyła błysk słońca odbity w soczewkach.

Przedwcześnie dojrzała w wieku jedenastu standardowych lat dziewczynka, szczupła, ciemnoskóra, o wypłowiałych od słońca kasztanowych włosach, mogła sobie bez trudu wyobrazić, co widzą w swych lornetach kapłani.

„Widzą, jak robię to, na co oni się nie ważą. Widzą mnie na drodze Szejtana. Wydaję się maleńka na piasku, a Szejtan ogromny. Już go widzą”.

Skrzypiący dźwięk dał jej znać, że wkrótce zobaczy tego ogromnego czerwia. Sziena nie myślała o zbliżającym się potworze jako o Szejhuludzie, Bogu piasków, stworze, którego kapłani chwalą każdego rana, oddając cześć perle świadomości Leto II zawartej w każdym z tych wielopierściennych władców pustyni. Myślała o czerwiach przeważnie jako o „tych, co mnie szczędzą” albo jako o Szejtanie.

Teraz należały do niej.

Ten związek zadzierzgnął się nieco ponad trzy lata temu, w miesiącu jej ósmych urodzin, miesiącu Igat według starego kalendarza. Jej wioska była ubogą pionierską osadą założoną daleko poza ochronnymi barierami kanatów i pierścieniowych kanałów Kin. Tylko rów z mokrym piaskiem chronił takie pionierskie placówki. Szejtan unikał wody, ale piaskowe trocie szybko wysysały wszelką wilgoć. Codziennie trzeba było poświęcać cenne krople zbierane w oddzielaczach wiatru, żeby odnowić barierę. Jej wioska była żalosnym skupiskiem chałup i lepianek, z dwoma tylko małymi oddzielaczami, które dawały dość wody do picia, ale rzadko miewały nadwyżki zapewniające ochronę przed czerwiami.

Tamtego ranka – bardzo podobnego do tego, bo nocny chłód tak samo szczypał ją w nos i w płuca, a widmowa mgiełka kryła horyzont – większość dzieci z wioski rozproszyła się po pustyni w poszukiwaniu okruchów melanżu, które czasem zostawiał przechodzący Szejtan. Owej nocy słyszano w pobliżu dwa duże czerwie. Za melanż – nawet przy spadku cen – można było kupić glazurowane cegły i zbudować trzeci oddzielacz.

Dzieci szukały nie tylko melanżu, ale i znaków, które mogły ujawnić jedną z siczy, twierdz dawnych Fremenów. Były to już tylko ich szczątki, lecz bariery skalne lepiej chroniły przed Szejtanem. Wiadomo też było, że pozostałości niektórych siczy kryją zapomniane skarby melanżu. Mieszkańcy wioski śnili o takim odkryciu.

Sziena, w połatany filtraku i lichej szacie, ruszyła samotnie na północny wschód. Kierowała się ku odległemu kopcowi zadymionego powietrza. Wskazywał wielkie miasto Kin z jego bogactwem wilgoci unoszonej przez ogrzany słońcem wietrzyk.

Polowanie na okruchy melanżu w piasku wymagało skupienia całej uwagi na węchu. Tylko drobna część świadomości odbierała skrzypienie piasku mówiące o zbliżaniu się Szejtana. Mięśnie nóg automatycznie poruszały się nie do rytmu, wtapiając odgłos kroków w naturalne odgłosy pustyni.

Z początku Sziena nie słyszała krzyków. Pokrywały się prawie ze skrzypieniem piasku gnanego wiatrem po zasłaniających wioskę barchanach. Z wolna coś zaczęło przenikać do jej świadomości i w końcu przyciągnęło uwagę.

„Krzyk wielu ludzi!”

Sziena porzuciła ostrożną nierytmiczność chodu, wdrapała się najszybciej jak mogła na szczyt barchanu i spojrzała w stronę źródła dźwięku. Zdążyła jeszcze zobaczyć, co uciszyło ostatnie krzyki.

Wiatr i piaszkowe trocie wysuszyły szeroki łuk bariery po drugiej stronie wioski. Rozpoznawała lukę po różnicy kolorów. Przedarł się tamtędy dziki czerw. Krążył teraz wewnątrz pierścienia wilgoci. Gigantyczna płomienna paszcza zagarniała ludzi i chałupy w szybko zacieśniającym się kręgu. Ujrzała ostatnich mieszkańców stłoczonych w środku tego kręgu zniszczenia, przestrzeni już oczyszczonej z prymitywnych lepiarek i usłanej szczątkami oddzielaaczy wiatru. Kiedy tak patrzyła, część ludzi próbowała w panice przedrzeć się na pustynię. Sziena rozpoznała wśród uciekinierów ojca. Nikt nie uszedł z życiem. Wielka paszcza pochłonęła wszystkich, nim zrównała z ziemią resztki wioski.

Tylko dymiący piach pozostał z małej osady, która ośmieliła się zająć skrawek ziemi w królestwie Szejtana. Miejsce, w którym dopiero co stała, wyglądało teraz jak za czasów przed pojawieniem się tu ludzi.

Sziena westchnęła, oddychając przez nos jak każde dobre dziecko pustyni, by zachować wilgoć ciała. Przebiegała wzrokiem horyzont, szukając innych dzieci, ale ślad Szejtana ciągnął się z drugiej strony wioski ogromnymi pętlami. Nie pozostał ani jeden człowiek. Krzyknęła przenikliwie, a krzyk ten rozniósł się daleko w suchym powietrzu. Nikt nie odpowiedział.

Była sama.

Ruszyła jak w transie po grzbiecie wydmy ku miejscu, w którym była przedtem jej wioska. Kiedy podeszła bliżej, w jej nozdrza uderzył zapach



cynamonu niesiony wiatrem wciąż omiatającym wierzchołki wydmy. I wtedy zrozumiała, co się stało. Osada leżała nad skupiskiem masy preprzyprawowej. Kiedy wielki podziemny zapas dojrzał i eksplodował, zjawił się Szejtan. Każde dziecko wiedziało, że Szejtan nie może się oprzeć pokusie wybuchu przyprawy.

Szienę zaczęły ogarniać gniew i ślepa rozpacz. Nie myśląc o niczym, pobięła w dół wydmy ku Szejtanowi. Zbliżała się do czerwia z tyłu, gdy wycofywał się tak, jak wszedł, przez wyschnięte miejsce w zaporze. Rzuciła się ku ogonowi, wdrapała nań i pobięła naprzód po wielkim przegowanym grzbiecie. Przy zgrubieniu za paszczą przykucnęła i zaczęła tłuc pięściami nieustępliwą powierzchnię.

Czerw zatrzymał się.

Jej gniew zmienił się nagle w przerażenie. Przestała bić czerwia. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że krzyczy. Napełniło ją uczucie samotności i zagrożenia. Wiedziała, gdzie jest, choć nie wiedziała, jak się tu znalazła, a strach ścisnął ją za gardło.

Czerw wciąż leżał nieruchomo.

Sziena nie miała pojęcia, co robić. W każdej chwili mógł się przetoczyć na grzbiet i zgnieść ją albo zagrzebać się w piasku, zostawiając ją na powierzchni do połknięcia.

Nagle przez ciało czerwia przebiegło drżenie, od ogona aż do pozycji Szieny za paszczą. Zaczął sunąć naprzód. Zatoczył szeroki łuk i nabrał prędkości, kierując się na północny wschód.

Sziena pochyliła się do przodu i uczepliła przedniej krawędzi pierścienia. Bała się, że w każdej chwili bestia może się wślizgnąć w piach. Co wtedy? Ale Szejtan nie zakopywał się. Gdy mijały minuty tego prostego i szybkiego ruchu poprzez wydmy, Sziena odkryła, że może zebrać myśli. Słyszała o takich przejażdżkach. Kapłani Podzielonego Boga zakazywali tego, ale przekazy pisemne i ustne mówiły, że Fremeni jeździli tak na czerwiah w dawnych czasach. Stawali na grzbiecie Szejtana, trzymając się cienkich żerdzi z hakami. Kapłani głosili, że działo się to, zanim Leto II podzielił swą świadomość z Bogiem pustyni. Teraz zabronione było wszystko, co mogło sprofanować rozproszone cząstki jego świadomości.

Ze zdumiewającą szybkością czerw niósł Szienę ku osnutej mgłą sylwecie Kin. Wielkie miasto widniało jak miraż na zniekształconym horyzoncie. Wytarta szata dziewczynki chłostała cienką powierzchnię łatanego filtraka. Palce bolały ją od ściskania przedniej krawędzi wielkiego pierścienia.

Owiewały ją wydzielane przez czerwia wonie cynamonu, palonego krzemienia i ozonu.

Przed nią Kin stało się coraz wyraźniejsze.

„Kapłani zobaczą mnie i będą się gniewać” – pomyślała.

Rozpoznawała już niskie ceglane konstrukcje znaczące pierwszą linię kanatów, a za nimi krzywiznę zamkniętego koryta naziemnego akweduktu. Nad tymi budynkami wyrastały mury tarasów z ogrodami i wysokie profile oddzielaczy wiatru. Jeszcze dalej wznosił się kompleks świątynny otoczony własnymi barierami wodnymi.

Odległość dziennego marszu po piasku przebyli w nieco ponad godzinę!

Jej rodzice i sąsiedzi z wioski nieraz pokonywali tę drogę, żeby coś kupić i sprzedać albo wziąć udział w tańcu, ale Sziena towarzyszyła im tylko dwa razy. Pamiętała głównie taniec i rozruchy, które po nim następowały. Rozmiary Kin przerażały ją. Tyle domów! Tyle ludzi! Czemuś takiemu nawet Szejtan niestraszny!

Czerw pędził tymczasem na wprost, jakby mógł pokonać kanat i akwedukt. Sziena wpatrywała się w rosnące coraz wyżej nad nią miasto. Fascynacja była silniejsza niż strach. Szejtan nie zamierzał się zatrzymać!

Nagle jednak czerw się zatrzymał.

Cylindryczne wyloty kanatu były nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od jego rozwartej paszczy. Sziena czuła woń cynamonu z gorącego oddechu i słyszała głębokie dudnienie w rozpalonym wnętrzu Szejtana.

Zrozumiała, że podróż dobiegła końca. Powoli rozluźniła chwyt na pierścieniu. Wstała, spodziewając się, że lada chwila czerw ruszy dalej. Szejtan pozostał wszakże nieruchomy. Ześlizgnęła się ostrożnie z grzbietu i zeskoczyła na piasek. Tam przystała. Czy się teraz poruszy? Przyszło jej do głowy, żeby rzucić się do kanatu, ale ten czerw ją fascynował. Ślizgając się po stertach piasku, obeszła go od przodu i zajrzała w straszliwą paszczę. Za obramowaniem kryształowych zębów płomienie przetaczały się w przód i w tył. Owiała ją gryząca woń przyprawy.

Znów ogarnęło ją szaleństwo tamtego biegu w dół wydmy.

– Niech cię diabli, Szejtanie! – krzyknęła, grożąc mu pięścią. – Cośmy ci zrobili?

Usłyszała kiedyś te słowa z ust matki po zniszczeniu ich warzywnika. Nigdy nie podawała w wątpliwość imienia „Szejtan” i rozumiała furję matki. Należeli do najbiedniejszych, żyli na samym dnie i wiedzieli o tym. Ludzie wierzyli przede wszystkim w Szejtana, a dopiero potem w Szej-huluda.

Czerw to czerw, a często coś znacznie gorszego. Na otwartej pustyni nie było sprawiedliwości. Kryło się tam tylko niebezpieczeństwo. Bieda i strach przed kapłanami mogły wygnać jej lud na te groźne wydmy, ale nawet tam zachowali ów gniewny upór kierujący kiedyś Fremeni.

Tym razem jednak zwyciężył Szejtan.

Sziena uświadomiła sobie, że stała w obliczu śmierci. Jej myśli, nie do końca jeszcze uporządkowane, pojmowały tylko, że zrobiła coś szalonego. Znacznie później, gdy nauki zgromadzenia rozwinęły jej świadomość, zdała sobie sprawę, że ośmieliła się wtedy przed samotnością. Chciała, żeby Szejtan zabrał ją do jej zmarłych.

Spod czerwia dobiegł zgrzytliwy dźwięk.

Sziena stłumiła krzyk.

Najpierw powoli, potem szybciej, czerw cofnął się kilka metrów. Następnie zawrócił i nabrał prędkości obok podwójnych nasypów szlaku, który utworzył, przybywając z pustyni. Skrzypienie ucichło w oddali.

Wtedy dziewczynka usłyszała inny dźwięk. Podniosła wzrok ku niebu. Był to łopot skrzydeł kapłańskiego ornitoptera, który przemknął nad nią, muskając ją swym cieniem. Maszyna lśniła w porannym słońcu, lecąc za czerwem w głąb pustyni.

Sziena poczuła bardziej znajomy strach.

„Kapłani!”

Nie spuszczała wzroku z ornitoptera. Zawisł w oddali, a potem zawrócił, by osiąść płynnie w pobliżu na wyrównanym przez czerwia piasku. Poczła woń smarów i gorzki zapach paliwa.

Szczęknął otwierany właz.

Sziena wyprostowała ramiona, nie ruszając się z miejsca. W porządku, złapali ją. Wiedziała, czego się spodziewać. Ucieczka nie miała sensu. Tylko kapłani używali ornitopterów. Mogli polecieć wszędzie i zobaczyć wszystko.

Dwaj kapłani w bogatych biało-złoty szatach z purpurowym szlakiem podbiegli do niej i upadli na kolana. Poczła woń ich potu i piżmowy aromat melanzu, którym przesiąknięte były ich szaty. Byli młodzi, ale poza tym bardzo podobni do innych kapłanów, których w życiu widziała. Mieli nalane twarze, delikatne dłonie i nie dbali o zachowanie wilgoci. Nie nosili filtraków pod szatami.

– Dziecię Szej-huluda, widzieliśmy, jak twój Ojciec przyniósł cię ze swej krainy – przemówił ten z lewej, z oczami na poziomie jej oczu.

Sziena nie wiedziała, o co mu chodzi. Kapłanów należało się bać. Wbijali jej to do głowy słowem i czynem rodzice i wszyscy dorośli, jakich знаła. Kapłani mieli ornitoptery. Rzucali cię Szejtanowi na pożarcie za najmniejsze przewinienie albo i bez niego, dla kaprysu. Jej lud znał wiele takich przypadków.

Sziena cofnęła się, rzucając wzrokiem dookoła. Dokąd uciekać?

– Zostań z nami! – Kapłan podniósł błagalnie rękę.

– Jesteście źli! – Głos Szieny załamywał się z emocji.

Obaj mężczyźni upadli na twarze w piach.

W oddali, na wieżach miasta, błyskało światło słońca odbite od szkiele. Wiedziała, co to za błyski. Kapłani w miastach zawsze cię obserwują. Kiedy widzisz takie błyski, nie możesz się rzucać w oczy. Musisz „być dobry”.

Zacisnęła dłonie, by stłumić ich drżenie. Spojrzała w lewo i w prawo, a potem na leżących kapłanów. Coś było nie tak.

Kapłani drżeli ze strachu i czekali, opierając czoła o piach. Milczeli.

Sziena nie miała pojęcia, co powiedzieć. Jej ośmioletni umysł nie mógł się uporać ze zmiażdżeniem jej doświadczeń. Wiedziała, że Szejtan odebrał jej rodziców i wszystkich sąsiadów. Widziała to na własne oczy. A potem Szejtan przyniósł ją tutaj, nie spalił płomieniami. Oszczędził ją.

To słowo rozumiała. „Oszczędził”. Wyjaśnienie kryło się w pieśni.

*Szej-huludzie, oszczędź nas!*

*Zabierz stąd Szejtana!*

Powoli, nie chcąc niepokoić kapłanów, ruszyła arytmicznym, posuwistym tanecznym krokiem. Zapamiętana kiedyś muzyka narastała w niej. Rozłączyła dłonie i rozrzuciła szeroko ramiona. Wysoko i majestatycznie podnosiła stopy. Ciało obracało się – najpierw wolno, potem szybciej w rosnącej ekstazie. Długie kasztanowe włosy smagały ją po twarzy.

Kapłani odważyli się unieść głowy. To dziwne dziecko wykonywało Taniec! Rozpoznali te ruchy – taniec przebłagalny! Prosiła Szej-huluda, aby przebaczył swemu ludowi. Prosiła Boga, żeby przebaczył *im*.

Spojrzeli na siebie i jednocześnie podnieśli się na kolana. Zaczęli klaskać w uświęcony zwyczajem sposób, by odwrócić uwagę tancerki. Ich dłonie wybijały rytm starodawnej pieśni.

*Nasi ojcie jedli mannę na pustyni,*

*Na płonącej równinie, wśród powietrznych trąb.*

Kapłani nie zwracali uwagi na nic poza dziewczynką. Była szczupłą, miała mięśnie jak postronki, chude ręce i nogi. Jej szata i filtrak były znoszone i połatane jak u nędzarzy. Miała wystające kości policzkowe, które rzucały cień na smagłą skórę. Oczy piwne, zanotowali. Rudawe, spłowiałe od słońca pasma we włosach. Rysy wyostrzone przez brak wody – wąski nos i podbródek, szerokie czoło, szerokie usta o cienkich wargach, długa szyja. Wyglądała jak portrety Fremenów w świętym świętych w Dar-es-Balat. Oczywiście! Dziecię Szej-huluda tak właśnie powinno wyglądać.

Dobrze też tańczyła. W jej ruchach nie dało się wypatrzeć nawet najmniejszego śladu łatwego powtórzenia. Był tam rytm, ale zachwycająco spowolniony, co najmniej sto ruchów przed każdym powtórzeniem. Trzymała się go, a słońce wznosiło się coraz wyżej. Było prawie południe, kiedy upadła wyczerpana na piach.

Kapłani stali i patrzyli na pustynię, w której przepadł Szej-hulud. Kroki jej tańca nie przywołały Go z powrotem. Uzyskali przebaczenie.

Tak się zaczęło nowe życie Szieny.

Głośno i przez wiele dni spierali się o nią w swych komnatach wyżsi kapłani. W końcu zanieśli swoje sądy i doniesienia do najwyższego kapłana, Hedleya Tueka. Tuek i sześciu jego doradców zebrali się po południu w Sali Małych Narad. Ludzka twarz Leto II w wielkim ciele czerwia patrzyła na nich dobrotliwie z fresku.

Tuek usiadł na kamiennej ławie przeniesionej z siczy Szczerby Wiatru. Podobno zasiadał na niej sam Muad'Dib. Na jednej z nóg nadal widniał rzeźbiony jastrząb Atrydów.

Doradcy zajęli mniejsze, nowsze ławy.

Najwyższy kapłan miał imponującą postawę. Jedwabiste siwe włosy, gładko szesane na ramiona, były odpowiednią oprawą dla kwadratowej twarzy o szerokich, pełnych ustach i mocnym podbródku. Oczy Tueka zachowały czystą biel wokół ciemnoniebieskich tęczówek. Krzaczaste siwe brwi nawisały nad oczami.

Doradcy stanowili różnobarwną zbieraninę. Każdy z tych potomków starych kapłańskich rodów wierzył, że sprawy toczyłyby się znacznie lepiej, gdyby to on siedział na miejscu Tueka.

Kościsty, ostronosy Stiros wziął na siebie rolę rzecznika opozycji.

– Ona jest tylko dzieckiem porzuconym na pustyni. Jechała na Szej-huludzie. To zabronione, więc obowiązuje kara.

Wtedy inni zaczęli mówić.

– Nie! Nie, Stiros! Jesteś w błędzie! Ona nie stała na grzbiecie Szej-huluda jak Fremeni. Nie miała haków stwórcy ani...

Stiros próbował ich przekrzyczeć. Tuek widział, że sytuacja jest patowa: trzech na trzech, z Umfrudem, tłustym hedonistą, jako rzecznikiem „ostrożnej akceptacji”.

– Nie miała możliwości kierowania Szej-huludem – dowodził Umfrud. – Wszyscy widzieliśmy, jak zeszła bez trwogi na piasek i mówiła do czerwia.

Tak, wszyscy to widzieli, na własne oczy albo na holo, które zapisał jakiś przytomny obserwator. Porzucone dziecko czy nie, stała przed Szej-huludem i rozmawiała z nim. A Szej-hulud jej nie pochłoniął. Bynajmniej. Boży Czerw na rozkaz dziecka wycofał się i wrócił na pustynię.

– Poddamy ją próbie – zdecydował Tuek.

Następnego ranka ornitopter pilotowany przez tych samych kapłanów, którzy przywieźli ją z pustyni, wywiózł Szienę daleko poza miasto. Mężczyźni wysadzili ją na szczycie wydmy i zatknęli w piasku dokładną kopię fremeńskiego dudnika. Kiedy go uruchomili, po pustyni poniosło się potężne dudnienie – pradawne wezwanie Szej-huluda. Kapłani uciekli i przyglądali się wszystkiemu z góry, podczas gdy przerażona dziewczynka – spełniły się jej najgorsze sny – stała dwadzieścia metrów od dudnika.

Pojawiły się dwa czerwie. Nie były największe, jakie kapłani widzieli, nie przekraczały trzydziestu metrów. Jeden z nich połknął dudnik, a ten zamilkł. Zakręciły na równoległych szlakach i zatrzymały się niespełna sześć metrów przed Szieną.

Stała, zaciskając pięści. To właśnie była metoda kapłanów: karmili tobą Szejtana.

Kapłani w kołyszącym się ornitopterze przyglądali się zafascynowani. Ich obiektywy przekazywały tę scenę równie oczarowanym widzom w komnatach najwyższego kapłana w Kin.

Wszyscy widzieli już podobne wydarzenia. Była to standardowa kara, wygodny sposób pozbycia się wicherzycieli z ludu czy stanu kapłańskiego albo utorowania drogi dla nowej nałożnicy. Nigdy dotąd jednak ofiara nie była dzieckiem. I to takim dzieckiem!

Boże Czerwie podpełzły naprzód i stanęły trzy metry od Szieny.

Pogodzona z losem, nie uciekała. „Wkrótce będę z rodzicami i przyjaciółmi” – pomyślała. Gdy bestie trwały nieruchomo, przerażenie zmieniło się w gniew. Żli kapłani zostawili ją tutaj! Słyszała nad głową ich ornitopter. Powietrze przesycone było gorącą wonią przyprawy.

Nagle podniosła rękę, wskazując maszynę.

– Dalej, zjedzcie mnie! Oni właśnie tego chcą!

Kapłani nie słyszeli jej słów, ale gest był wyraźny i widzieli, że rozmawia z tymi dwoma Bożymi Czerwiami. Wskazujący na nich palec nie wróżył dobrze.

Czerwie się nie poruszyły.

Sziena opuściła rękę.

– Zabiłyście moją matkę, mojego ojca i wszystkich moich przyjaciół! – krzyknęła. Zrobiła krok naprzód i pogroziła im pięścią.

Czerwie cofnęły się, zachowując trzymetrową odległość.

– Jeżeli mnie nie chcecie, wracajcie, skąd przyszłyście! – Machnęła ręką w stronę pustyni.

Posłusznie wycofały się i jednocześnie zawróciły.

Kapłani lecieli za nimi, póki się nie wślizgnęły w piach kilometr dalej. Dopiero wtedy zawrócili, przerażeni i roztrzęsieni, zabrali z piasku dziecię Szej-huluda i ruszyli z nim do Kin.

Ambasada Bene Gesserit w Kin otrzymała szczegółowy raport przed nadejściem nocy. Rano wieść była już w drodze na Kapitułę.

Wreszcie się stało!



Problem z pewnymi rodzajami działań wojennych (i bądźcie pewni, że Tyran o tym wiedział, bo wynika to jasno z jego nauk) polega na tym, że niszczą one w uległych jednostkach wszelkie zasady moralne. Tego rodzaju działania wojenne rzucają zrujnowanych moralnie niedobitków w niewinne społeczeństwo, które nie jest w stanie sobie wyobrazić, do czego są zdolni tacy powracający żołnierze.

– *Nauki Złotego Szlaku*, archiwa Bene Gesserit

Jednym z wczesnych wspomnień Milesa Tega była scena obiadu z rodzicami i młodszym bratem Sabinusem. Teg miał wówczas zaledwie siedem lat, ale wydarzenia nie zatarły się w jego pamięci. Jadalnia na

Lernajosie ubarwiona była świeżo ściętymi kwiatami. Skośne światło żółtego słońca przenikało przez staroświeckie story. Jasnoniebieska zastawa i lśniąca srebro zdobiły stół. Służebne nowicjuszek stały w gotowości, bo chociaż matka wciąż wykonywała specjalne zadania, jej zdolności jako nauczycielki Bene Gesserit nie mogły się marnować.

Janet Roxbrough-Teg, postawna kobieta i prawdziwa wielka dama, czuwała ze swego końca stołu, by najłżejsze potknięcie nie naruszyło porządku podawania obiadu. Losza Teg, ojciec Milesa, zawsze przyglądał się temu z lekko rozbawioną miną. Był szczupły, o wysokim czole i twarzy tak wąskiej, że jego ciemne oczy zdawały się wystawać po bokach. Czarne włosy doskonale kontrastowały z jasną urodą żony.

Ponad stłumionymi dźwiękami i zawiesistym aromatem przyprawowej zupy edu matka pouczała ojca, jak prowadzić rozmowy z natrętnym wolnym kupcem. Kiedy wymówiła słowo „Tleilax”, zawładnęła uwagą Milesa. Właśnie doszedł w swej edukacji do Bene Tleilax.

Nawet Sabinus, który wiele lat później padł ofiarą truciciela na Romo, słuchał z całą uwagą, na jaką mógł się zdobyć czterolatek. Sabinus ubóstwiał brata. Ciekawiło go wszystko, co ciekawiło Milesa. Obaj słuchali w milczeniu.

– Ten człowiek jest figurantem Tleilaxan – mówiła lady Janet. – Słyszę to w jego głosie.

– Nie wątpię w twoją zdolność wykrywania takich rzeczy, moja droga – odpowiedział Losza Teg. – Ale co mam zrobić? Ma odpowiednie pełnomocnictwa i chce kupić...

– Zamówienie na ryż nie jest w tym momencie istotne. Nigdy nie zakładaj, że maskaradnikowi naprawdę chodzi o to, na co wskazują pozory.

– Jestem pewien, że to nie maskaradnik. On...

– Losza! Wiem, że umiesz wykrywać maskaradników, bo nauczyłeś się tego ode mnie. Zgadza się, że ten wolny kupiec nie jest jednym z nich. Maskaradnicy zostali na jego statku. Wiedzą, że tu jestem.

– Wiedzą więc, że nie mogą cię oszukać. Tak, ale...

– Strategia Tleilaxan zawsze wpleciona jest w pajęczynę innych strategii, z których każda może być prawdziwa. Nauczyli się tego od nas.

– Moja droga, skoro mamy do czynienia z Tleilaxanami, a nie kwestionuję twego osądu, nieuchronnie pojawia się problem melanżu.

Lady Janet skinęła lekko głową. Oczywiście! Nawet Miles wiedział o związku Tleilaxan z przyprawą. Była to jedna z przyczyn, dla których tak



go fascynowali. Na każdy miligram melanzu uzyskany na Rakis zbiorniki Bene Tleilax produkowały wiele ton. Zużycie melanzu wzrosło odpowiednio do zwiększonej podaży i nawet Gildia zginała kolano przed tą potęgą.

– Ale ryż... – zaryzykował Losza.

– Mój drogi mężu, Bene Tleilax nie potrzebują takiej ilości ryżu pundi w naszym sektorze. Chcą go sprzedać. Musimy się dowiedzieć, kto naprawdę potrzebuje tego ryżu.

– Chcesz, żebym grał na zwłokę.

– Właśnie. Tego nam trzeba i w tym jesteś wspaniały. Nie daj mu okazji powiedzieć „Tak” lub „Nie”. Ktoś szkolony przez maskaradników doceni taką zręczność.

– Wywabimy maskaradników ze statku, a ty zaczniesz dochodzenie gdzie indziej.

Uśmiechnęła się.

– Lubię, kiedy uprzedzasz moje myśli.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie znajdzie innego dostawcy w tym sektorze – powiedział Losza.

– Będzie unikać niepotrzebnej konfrontacji. – Lady Janet postukała palcami w stół. – Zwlekaj, zwlekaj i zwlekaj. Musisz wywabić maskaradników ze statku.

– Zorientują się, oczywiście.

– Tak, mój drogi, i to jest niebezpieczne. Musisz spotykać się z nimi na własnym terenie i zawsze z ochroną.

Miles przypominał sobie, że ojciec rzeczywiście wywabił maskaradników z ich statku. Matka zaprowadziła Milesa do podglądu, skąd widział pomieszczenie o miedzianych ścianach. To tam właśnie jego ojciec zawarł transakcję, która przyniosła mu najwyższe pochwały KHOAM i hojną premię.

Byli to pierwsi maskaradnicy, jakich Miles Teg widział w życiu, niewysocy, podobni do siebie niczym bliźnięta. Mieli okrągłe twarze prawie bez podbródków, zadarte nosy, drobne usta, oczy jak czarne guziki i krótko ostrzyżone białe włosy sterczące jak szczecina na szczotce. Byli ubrani jak wolni kupcy – w czarne tuniki i spodnie.

– To złudzenie, Miles – powiedziała matka. – Posługują się złudzeniami. Kształtowanie złudzeń dla osiągnięcia rzeczywistych celów to sposób działania Tleilaxan.

– Tak jak magik na Paradzie Zimowej? – spytał Miles, wpatrując się w podgląd i scenę jak z teatru lalek.

– Bardzo podobnie – zgodziła się matka. Również patrzyła na ekran, obejmując syna ramieniem. – Patrzysz na zło, Miles. Przyjrzyj mu się uważnie. Twarze, które widzisz, mogą się zmienić w jednej chwili. Mogą się stać wyżsi, rośniejsi. Mogą przybrać wygląd twego ojca, a tylko ja zdołam rozpoznać zamianę.

Usta Milesa Tega ułożyły się w bezdźwięczne „O”. Patrzył na matkę, słuchając ojca, wyjaśniającego, że cena ryżu pundi KHOAM znów alarmująco wzrosła.

– A najstraszniejsze jest to – mówiła lady Janet – że niektórzy nowi maskaradnicy mogą, dotykając ofiary, przyswoić sobie część jej wspomnień.

– Czytają w myślach? – Miles podniósł wzrok na matkę.

– Właściwie nie. Sądzymy, że pobierają odbitkę wspomnień, jakby holofotografię. Nie wiedzą jeszcze, że o tym wiemy.

Miles zrozumiał. Nie powinien o tym rozmawiać, nawet z ojcem czy z matką. Nauczyła go dyskrecji Bene Gesserit. Przyjrzał się uważnie postaciom na ekranie.

Maskaradnicy nie zareagowali w żaden sposób na słowa jego ojca, ale ich oczy zdawały się błyszczeć jaśniej.

– Jak się stali tacy źli?

– To istoty kolektywne, niemające się utożsamiać z żadną postacią ani twarzą. Swoją obecną twarz przyjęli na swój użytek. Wiedzą, że ich obserwują. Odprężyli się i przybrali swą naturalną, wspólną postać. Przyjrzyj się dokładnie.

Miles przechylił głowę i obserwował maskaradników. Wyglądali na łagodnych i nieudolnych.

– Nie mają poczucia własnego „ja” – tłumaczyła matka. – Mają tylko instynkt samozachowawczy, chyba że każe im się zginąć za swoich mistrzów.

– Zrobiliby to?

– Robili to wiele razy.

– Kim są ich mistrzowie?

– To ludzie, którzy rzadko opuszczają planety Bene Tleilax.

– Mają dzieci?

– Maskaradnicy nie. Są bezpłodni. Ale ich mistrzowie mogą się rozmnażać. Pojmałyśmy kilku z nich, lecz ich potomstwo jest dziwne.

Dziewczynki rodzą się bardzo rzadko, a i tak nie możemy zgłębić ich Innych Wspomnień.

Miles zmarszczył brwi. Wiedział, że jego matka jest Bene Gesserit. Wiedział, że Matki Wielebne są cudownymi zasobami Innych Wspomnień, sięgających wstecz poprzez wszystkie tysiąclecia istnienia zgromadzenia żeńskiego. Wiedział nawet coś o planie eugenicznym Bene Gesserit. Matki Wielebne wybierały określonych mężczyzn i miały z nimi dzieci.

– Jak wyglądają kobiety Tleilaxan? – spytał.

Pytanie było wnikliwe i napełniło dumą lady Janet. Tak, prawie na pewno jej syn był potencjalnym mentatem. Planistki zgromadzenia prawidłowo oceniły genetyczny potencjał Loszy Tega.

– Nikt spoza ich planet nigdy nie widział Tleilaxanki – odpowiedziała.

– One istnieją czy to tylko kadzie?

– Istnieją.

– A czy wśród maskaradników są kobiety?

– Mogą się stawać mężczyznami albo kobietami z własnego wyboru. Obserwuj ich uważnie. Wiedzą, co robi twój ojciec, i to ich złości.

– Czy próbują zrobić mu coś złego?

– Nie ośmielą się. Podjęliśmy środki bezpieczeństwa i oni o tym wiedzą. Patrz, jak ten z lewej zaciska zęby. To jedna z oznak gniewu.

– Mówiłaś, że są istotami kol... kolektywnymi.

– Jak owady w roju, Miles. Nie mają tożsamości. A bez niej wychodzą poza granice moralności. Nie można wierzyć niczemu, co mówią albo robią.

Chłopak zadrżał.

– Nigdy nie udało nam się wykryć ich kodeksu etycznego – mówiła lady Janet. – Są automatami w ludzkim ciele. Bez tożsamości nie potrafią cenić czegokolwiek albo w cokolwiek wątpić. Zostali stworzeni, by słuchać swoich mistrzów.

– Kazano im przybyć tu i kupić ryż.

– Właśnie. Kazano im go zdobyć, a w tym sektorze nie ma innego miejsca, w którym mogą to zrobić.

– Muszą go kupić od ojca?

– To ich jedyny dostawca. A w tej chwili, synu, płacą melanżem. Widzisz?

Miles widział, jak rdzawobrazowe żetony przyprawowe przechodzą z rąk do rąk, wysoki ich stos, który jeden z maskaradników wyjął z walizki.

– Cena jest wysoka, o wiele wyższa, niż się spodziewali – powiedziała lady Janet. – Łatwo będzie pójść tym śladem.

– Dlaczego?

– Ktoś zbankrutuje, gdy otrzyma tę dostawę. Chyba wiemy, kto jest nabywcą. Dowiemy się tego, kimkolwiek jest. Wtedy też dowiemy się, co naprawdę było przedmiotem transakcji.

A potem lady Janet zaczęła wskazywać oznaki zdradzające maskaradnika wyszkolonym oczom i uszom. Były to drobiazgi ledwie dostrzegalne, ale Miles łapał je w lot. Matka powiedziała mu wtedy, że chyba będzie mentatem... a może nawet kimś więcej.

Krótko przed trzynastymi urodzinami wysłano Milesa na dalsze szkolenie do twierdzy Bene Gesserit na Lampadasie, gdzie potwierdziła się ocena jego matki. Otrzymała informację: „Dałaś nam takiego mentata wojownika, na jakiego miałyśmy nadzieję”.

Teg natknął się na ten list dopiero przy porządkowaniu ruchomości matki po jej śmierci. Te słowa, wypisane na arkusiku ryduliańskiego papieru krystalicznego i opatrzone pieczęcią kapituły, napełniły go dziwnym uczuciem przeniesienia w czasie. Pamięć przerzuciła go nagle na Lampadasa, gdzie zmieszana z lękiem miłość, jaką czuł do matki, została – zgodnie z zamierzeniami – z ręcznie przeniesiona na samo zgromadzenie żeńskie. Zrozumiał to dopiero podczas późniejszego szkolenia na mentata, ale zrozumienie niewiele zmieniło. Co najwyżej przywiązało go jeszcze bardziej do Bene Gesserit. Potwierdzało to fakt, że zgromadzenie ma być jednym ze źródeł jego siły. Wiedział już, że zgromadzenie żeńskie jest jedną z największych potęg we wszechświecie – co najmniej równą Gildii Kosmicznej, większą niż Rada Rybomównych, które odziedziczyły jądro dawnego Imperium Atrydów, znacznie przewyższającą KHOAM i utrzymującą równowagę z fabrykantami z Ixa i Bene Tleilax. Daleko sięgającą władzę Bene Gesserit można było w pewnej mierze wydedukować z faktu, że zachowały ją mimo złamania przez Tleilaxan monopolu Rakis na przyprawę, podobnie jak ixańskie maszyny nawigacyjne złamały monopol Gildii na podróże kosmiczne.

Miles Teg dobrze już wtedy znał historię. Nawigatorzy Gildii nie byli już jedynymi, którzy mogli przeprowadzić statek przez zagiętą przestrzeń – z tej galaktyki w jednej chwili do jakiejś odległej w chwili następnej.

Siostry nauczycielki nie ukrywały przed nim prawie niczego; wykazywały mu wówczas prawdę o jego atrydzkim rodowodzie. Było to konieczne z powodu prób, które musiał przejść. Badały oczywiście jego dar jasnowidzenia. Czy potrafiłby, jak nawigator Gildii, wykrywać śmiertelne

zagrożenia. Nie potrafił. Potem sprawdzały, czy wykrywa statki i komory pozaprzestrzenne. Był równie ślepy na takie urządzenia jak reszta ludzkości. Dla potrzeb tej próby karmiono go jednak zwiększonymi dawkami przyprawy i poczuł, że budzi się w nim jego prawdziwe „ja”.

– Umysł u swego początku – nazwała to siostra nauczycielka, kiedy prosił ją o wyjaśnienie tego dziwnego odczucia.

Przez pewien czas wszechświat oglądany dzięki tej nowej świadomości wydawał mu się magiczny. Jego świadomość była kołem, a potem kulą. Formy warunkowe stawały się przemijające. Bez ostrzeżenia wpadał w trans, dopóki siostry nie nauczyły go kontrolowania tego. Zaopatrzyły go w żywoty świętych i mistyków i zmuszały do kreślenia kół w powietrzu jedną i drugą dłonią, a następnie posyłania świadomości po tej linii.

Pod koniec semestru jego świadomość odzyskała kontakt ze zwykłymi pojęciami, ale wspomnienie magii nigdy go nie opuściło. Było dla niego źródłem siły w najcięższych chwilach.

Po przyjęciu stanowiska wojskowego instruktora gholi Teg coraz częściej zaczął odczuwać to magiczne wspomnienie. Okazało się szczególnie użyteczne podczas pierwszego spotkania ze Schwangyu w twierdzy na Gammu. Spotkali się w pracowni Matki Wielebnej, pomieszczeniu o lśniących metalowych ścianach pełnym różnych instrumentów, z których większość nosiła znak firmowy Ixa. Nawet krzesło, na którym siedziała, w porannym świetle wpadającym przez okno za jej plecami, co utrudniało obserwowanie jej twarzy, było ixańskim plastycznym tworem. Musiał usiąść w psim fotelu, a przecież znała jego stosunek do poniżającego wykorzystywania żywych stworzeń.

– Zostałeś wybrany, bo jesteś podobny do dziadka Leto – powiedziała Schwangyu. Promienie słoneczne tworzyły koronę wokół jej głowy. „Zręcznie pomyślane!” – Twoja mądrość pozyska miłość i szacunek chłopca.

– Nie sposób, żebym mu się kojarzył z ojcem.

– Zdaniem Tarazy masz dokładnie takie cechy, jakich jej trzeba. Wiem o twoich chwalebnych bliznach i wiem, ile są dla nas warte.

To tylko potwierdziło wcześniejsze rozumowanie mentata. „Planowały to od dawna. Dla tego celu zostałem zrodzony. Jestem częścią ich większego planu”.

Powiedział jednak tylko:

– Taraza oczekuje, że ten chłopiec stanie się groźnym wojownikiem, gdy mu się przywróci jego prawdziwą jaźń.

Schwangyu po prostu patrzyła na niego chwilę.

– Nie wolno ci odpowiadać na żadne jego pytania o ghole – rzekła. – Nie wymawiaj nawet tego słowa bez mego pozwolenia. Dostarczymy ci wszelkich danych o gholach, których wymagają twoje obowiązki.

– Matka Wielebna nie została być może poinformowana – odparł Teg chłodno, akcentując każde słowo – że mam sporą wiedzę o tleilaxańskich gholach. Spotykałem Tleilaxan w boju.

– Myślisz, że wiesz dość o serii Idaho?

– Idaho mają opinię błyskotliwych strategów.

– Być może więc wielki baszar nie został poinformowany o innych cechach naszego gholi.

W jej głosie była niewątpliwa ironia. I jeszcze coś: źle zamaskowane zazdrość i wielki gniew. Matka Tega nauczyła go przenikać wzrokiem własne maski. Zawsze ukrywał te zakazane nauki. Zmarkotniał i wzruszył ramionami.

Było jednak oczywiste, że Schwangyu wie, iż Teg jest baszarem Tarazy. Linie zostały nakreślone.

– Na żądanie Bene Gesserit – odezwała się Schwangyu – Tleilaxanie wprowadzili istotne zmiany do obecnej serii Idaho. Zmodernizowano jego system nerwowy.

– Nie zmieniając osobowości? – spytał Teg z niewinną miną, zastanawiając się, co jeszcze mu ona wyjawí.

– To ghola, a nie klon!

– Rozumiem.

– Doprawdy? On wymaga najstaranniejszego szkolenia prana i bindu we wszystkich stadiach nauki.

– Tak właśnie rozkazała Taraza – rzekł Teg. – I wszyscy będziemy wypełniać jej rozkazy.

Schwangyu pochyliła się do przodu, nie ukrywając gniewu.

– Poproszono cię o wyszkolenie gholi, którego rola w pewnych planach jest w najwyższym stopniu niebezpieczna dla nas wszystkich. Sądzę, że nawet w przybliżeniu nie zdajesz sobie sprawy, co będziesz szkolić.

„Co będziesz szkolić – pomyślał Teg. – Nie *kogo*. Ten mały ghola nigdy nie będzie *kimś* dla Schwangyu ani dla innych przeciwniczek Tarazy. Być

może dla nikogo nie będzie *kimś*, dopóki jego prawdziwe »ja« nie zostanie odtworzone i osadzone w prawdziwej tożsamości Duncana Idaho”.

Teg widział teraz wyraźnie, że Schwangyu nie kryje zastrzeżeń co do projektu gholi. Była w czynnej opozycji, jak ostrzegała Taraza. Schwangyu była wrogiem, a rozkazy Matki Przełożonej niedwuznaczne.

„Będziesz chronił to dziecko przed każdym zagrożeniem”.



Dziesięć tysięcy lat minęło, odkąd Leto II zaczął swą metamorfozę z człowieka w czerwia z Rakis, a historycy wciąż spierają się o jego motywy. Czy kierowało nim pragnienie długiego życia? Żył z górą dziesięć razy dłużej niż zwykle trzysta standardowych lat, lecz zważcie na to, jaką cenę za to zapłacił. Czy była to żądza władzy? Zasłużenie nazwano go Tyranem, ale co takiego dała mu władza, czego mógłby pragnąć jako człowiek? A może chciał ocalić ludzkość przed nią samą? Odpowiedź możemy znaleźć jedynie w jego słowach o Złotym Szlaku, trudno bowiem uznać zapisy z Dar-es-Balat za obiektywne. Czy istniało jakieś inne wynagrodzenie, którego nie odgadniemy, nie mając jego doświadczeń? Bez materiału dowodowego ta kwestia jest sporna. Możemy jedynie stwierdzić: „Zrobił to!” Ten fakt jest niezaprzeczalny.

– *Metamorfoza Leto II*, Gaus Andaud, mowa na dziesięcioletnicę

Waff wiedział, że znów jest na laszkarze. Tym razem stawka była najwyższa z możliwych. Dostojna Matrona Rozproszonych żądała jego obecności. *Powindah* nad *powindah*! Potomkowie Tleilaxan z Rozproszenia przekazali mu wszystko, co wiedzieli o tych strasznych kobietach.

– Są straszniejsze niż Matki Wielebne Bene Gesserit – mówili.

„I liczniejsze” – pomyślał Waff.

Nie do końca ufał tym powracającym potomkom Tleilaxan. Ich akcent był dziwny, maniery jeszcze dziwniejsze, a praktyki religijne wątpliwej jakości. Jak mogli być znów dopuszczeni do Wielkiego Kehlu? Czy jakiś rytuał ghufranu mógł ich oczyścić po tylu stuleciach? Było wprost nie do uwierzenia, że przez te wszystkie generacje uchronili tajemnice Tleilaxan.

Nie byli już braćmi, ale byli jedynym źródłem informacji o powracających Utraconych. I to jakich! Dla tych rewelacji wcielonych w ghole Duncana Idaho warto było ryzykować skażenie złem *powindah*.

Miejszem spotkania z Dostojnymi Matronami był, neutralny jakoby, ixański statek pozaprzeznaczony, który pozostawał na niskiej orbicie wokół

wspólnie wybranej olbrzymiej gazowej planety w jakimś wyeksploatowanym systemie słonecznym Starego Imperium. Sam Prorok wycisnął z tego systemu ostatnie krople. Nowi maskaradnicy wcielili się w Ixan z załogi statku, ale Waff oblewał się potem na myśl o tym pierwszym spotkaniu. Jeśli owe Dostojne Matrony były naprawdę straszliwsze niż czarownice Bene Gesserit, czy nie wykryją podmiiany ixańskiej załogi?

Wybór miejsca spotkania i przygotowania do niego wprawiły go w napięcie. Czy to bezpieczne? Pocieszał się, że ma ukrytą broń, której nigdy nie widziano poza planetami Tleilaxan. Te dwie ukryte w rękawach miniaturowe wyrzutnie zatrutych strzałek były owocem długich prac swych twórców. Waff ćwiczył całe lata, aż w końcu strzał przy machnięciu ręką był prawie instynktownym odruchem.

Przedstawiła się jako Dostojna Matrona. Nie podobała mu się sugestia, że wywodzą się z Bene Gesserit. „Dostojna Matrona!” Taką nazwę mógł nadać sobie każdy.

Informatorzy Waffa mówili, że Dostojne Matrony zaprzeczają jakimkolwiek związkom z Bene Gesserit. Kto by w to uwierzył?!

Ściany sali narad pokryte były miedzią na dowód zabezpieczenia przed ixańskimi urządzeniami szpiegowskimi. Któż jednak wiedział, jakie urządzenia mogli wynaleźć ludzie z Rozproszenia poza zasięgiem Ixan?

Waff z wahaniem wszedł do sali. Dostojna Matrona już tam siedziała w skórzanym wiszącym fotelu.

– Zwracaj się do mnie jak wszyscy: „Dostojna Matrono” – brzmiały jej pierwsze słowa.

– Dostojna Matrono. – Skłonił się, jak mu doradzono.

Ani śladu mocy w jej głosie, niskim kontraltcie z nutką pogardy wobec niego. Przypominała podstarzałą atletkę lub akrobatkę nadal utrzymującą sprawność mięśni i część swoich umiejętności. Gładka skóra opinała twarz o wystających kościach policzkowych. Wąskie usta miała arogancko skrzywione, jakby każde jej słowo skierowane było do istot niższych od niej.

– Cóż, wejdź i usiądź! – zarządziła, wskazując wiszący fotel przed sobą.

Waff usłyszał syk zamykanego wjazdu. Został z nią sam na sam! Nosila wykrywacz. Widział przewód wbiegający do jej lewego ucha. Jego wyrzutnie strzałek były uszczelnione i „wyczyszczone”, a potem trzymane pięć lat w radioaktywnej kąpieli przy minus 340° Kelvina. Ale czy to wystarczy?



Pomarańczowe soczewki kontaktowe zakrywały oczy Dostojnej Matrony, nadając jej złowrogi wygląd. Była wprost straszna. A jej strój! Czerwony trykot pod ciemnoniebieską peleryną. Pelerynę zdobiły arabeski i smoki z masy perłowej. Siedziała na swoim fotelu jak na tronie, opierając szponiaste ręce na poręczach.

Waff rozejrzał się po sali. Jego ludzie sprawdzili to miejsce w towarzystwie ixańskich techników i przedstawicieli Dostojnej Matrony.

„Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy” – pomyślał i spróbował się odprężyć.

Dostojna Matrona zaczęła się śmiać.

Waff patrzył na nią z takim spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

– Oceniasz mnie – powiedział z wyrzutem. – Mówisz sobie, że możesz użyć przeciw mnie ogromnych rezerw i różnych sposobów wykonania twoich poleceń.

– Nie mów do mnie tym tonem.

Słowa były ciche i beznamienne, ale było w nich tyle jadu, że Waff omal nie odskoczył.

Obserwował wyrobione mięśnie nóg tej kobiety, ciemnoczerwony trykot opinający jej skórę, jakby się z nią zrósł.

Czas spotkania ustalono tak, żeby dla obojga było to przedpołudnie – ich godziny czuwania dopasowano podczas podróży. Waff czuł się jednak rozstrojony i w niekorzystnej sytuacji. A jeśli opowieści jego informatorów były prawdziwe? Na pewno jest uzbrojona.

Uśmiechnęła się do niego bez śladu wesołości.

– Starasz się mnie zastraszyć – powiedział.

– I to z powodzeniem.

Waffa ogarnął gniew. Nie pozwolił jednak, by było to słychać w jego głosie.

– Przybyłem na twoje zaproszenie.

– Mam nadzieję, że nie z myślą o konfrontacji, którą byś przegrał.

– Jestem tu, by wykuwać więzy między nami – rzekł. I pomyślał: „Czego one od nas chcą? Czegoś muszą chcieć”.

– Jakie mogą być między nami więzy? Chcesz budować na piasku? Ha! Każde porozumienie można zerwać i często się tak dzieje.

– Co ma być przedmiotem targu? – spytał.

– Targu? Ja się nie targuję. Interesuje mnie ten ghola, którego wykonaliście dla czarownic. – Jej ton nie zdradzał niczego, ale serce Waffa

zaczęło bić szybciej.

W jednym ze swych żywotów gholi szkolił się pod kierunkiem mentata renegata. Waff nie miał zdolności mentackich, a poza tym rozumowanie wymagało słów. Musieli zabić tego mentata *powindah*, ale były w tym doświadczeniu rzeczy cenne. Waff pozwalał sobie na lekki niesmak na tamto wspomnienie, ale pamiętał owe cenne rzeczy.

„Atakuj i posługuj się danymi, których dostarcza ci ten atak”.

– Nie proponujesz mi niczego w zamian! – powiedział głośno.

– Odpłacę ci według swego uznania – odrzekła.

Waff spojrzał na nią z pogardą.

– Bawisz się ze mną?

Uśmiechnęła się złowrogo, ukazując białe zęby.

– Nie przeżyłbyś zabawy ze mną i wolałbyś jej nie przeżyć.

– Mam więc polegać na twojej dobrej woli?!

– Polegać! – Wyrzuciła z siebie to słowo, jakby miało wstrętny smak. –

Dlaczego sprzedajecie czarownicom ghole, a potem zabijacie ich?

Waff zacisnął usta i milczał.

– Zmieniliście w jakiś sposób tego gholę, dając mu jednak możliwość odzyskania pierwotnych wspomnień – powiedziała.

– Masz dobre informacje!

Nie całkiem było to szyderstwo i Waff miał nadzieję, że tego nie zdradził. „Szpiegzy!” Miała szpiegów pośród czarownic! Czy w sercu Tleilaxa też był zdrajca?

– Jest na Rakis jakaś dziewczynka mająca miejsce w planach czarownic – stwierdziła Dostojna Matrona.

– Skąd to wiesz?

– Wiemy o każdym kroku tych czarownic! Myślisz o szpiegach, ale nie masz pojęcia, jak daleko sięgają nasze ręce.

Waff był wstrząśnięty. Czyżby czytała w myślach? Może to się zrodziło w Rozproszeniu? Nieznany dar stworzony tam, gdzie nie sięga wzrok ludzkości?

– Jak zmieniliście tego gholę? – zapytała.

„Głos!”

Waff, chociaż przygotowany na takie pułapki przez swego mentata, omal nie odpowiedział. Ta Dostojna Matrona знаła metody Bene Gesserit! To było nieoczekiwane. Takich rzeczy można się było spodziewać po Matkach

Wielebnych i być na nie przygotowanym. Potrzebował chwili, by odzyskać równowagę. Splótł dłonie i oparł na nich podbródek.

– Masz ciekawe umiejętności – powiedziała.

Waff zrobił łobuzerską minę. Wiedział, jak czarująco potrafi wyglądać.

„Do ataku!”

– Wiemy, ile nauczyłyście się od Bene Gesserit.

Wyraz wściekłości przemknął po jej twarzy.

– Niczego nas nie nauczyły!

– Trudno to nazwać targiem – zauważył żartobliwym tonem.

– Czyżby? – Wyglądała na zaskoczoną.

Waff opuścił ręce.

– Mówmy poważnie, Dostojna Matrono. Interesujesz się tym gholą. Mówisz o tym, co się dzieje na Rakis. Za kogo nas uważasz?

– Za byle kogo. Twoja wartość zmniejsza się z każdą chwilą.

Waff wyczuł w jej odpowiedzi zimną, mechaniczną logikę. Nie była to logika mentata, ale coś mrozącego krew w żyłach. „Jest w stanie zabić mnie na miejscu!”

Gdzie była jej broń? A może wcale jej nie potrzebowała? Nie podobał mu się widok tych żylastych mięśni, tych zgrubień na dłoniach, wyrazu łowcy w pomarańczowych oczach. Czy się domyśla – albo wie – co on ma w rękawach?

– Mamy przed sobą problem nie do rozwiązania za pomocą logiki – powiedziała.

Spojrzał na nią zdumiony. To mógłby powiedzieć mistrz zensunnitów! Sam to nieraz powtarzał.

– Zapewne nigdy nie rozważałeś takiej możliwości – dodała.

Było tak, jakby przy tych słowach maska opadła z jej twarzy. Waff ujrzał nagle całe jej wyrachowanie. Czy ona uważa go za jakiegoś głupka, który potrafi tylko szuflować świmaczy gnój?

Postarał się przemówić możliwie najbardziej niezdecydowanym tonem.

– Jak można rozwiązać taki problem?

– Naturalny bieg wydarzeń go rozwiąże – odpowiedziała.

Waff nadal patrzył na nią, udając zakłopotanie. Jej słowa niczego nie wyjawiały. Mimo to dawały do myślenia!

– Mam zamęt w głowie po twoich słowach – powiedział.

– Ludzkość osiągnęła nieskończoność. Oto prawdziwy dar Rozproszenia.

Waff starał się ukryć zawrót głowy.

– Nieskończone wszechświaty, nieskończony czas... wszystko może się zdarzyć.

– Ach, bystry jesteś, karzełku – odpowiedziała. – Jak można zakładać wszystko, co możliwe? To nielogiczne.

Waff pomyślał, że przypomina ona teraz starożytnych przywódców Dżihadu Butleriańskiego, którzy starali się wybawić ludzkość od mechanicznych umysłów. Ta Dostojna Matrona była dziwnie niewspółczesna.

– Nasi przodkowie szukali odpowiedzi na to w komputerach – zaryzykował. „Niech coś na to powie!”

– Wiesz przecież, że komputery nie mogą gromadzić informacji w nieskończoność – odparła.

Znowu zbiła go z tropu. Czy naprawdę mogła czytać w myślach? Czy to jakaś forma zapisu pamięci? To, co się udało Tleilaxanom z maskaradnikami i gholami, mogło się udać i innym. Skupił całą uwagę na Ixanach, na ich diabelskich maszynach. Maszynach *powindah!*

Dostojna Matrona obrzuciła wzrokiem salę.

– Czy nie błądzimy, ufając Ixanom? – spytała.

Waff wstrzymał oddech.

– Nie sędzę, żebyś im w pełni ufał – powiedziała. – No, człowieczku, oferuję ci moją dobrą wolę.

Waff zaczynał powoli rozumieć, że ona stara się być przyjazna i szczerą. Na pewno porzuciła niedawną pozę gniewnej wyższości. Jego informatorzy spośród Rozproszonych donosili, że Dostojne Matrony podchodziły do seksu bardzo podobnie jak Bene Gesserit. Czy ona próbuje go uwieść? Ale przecież wyraźnie pojmuję i odsłania słabość logiki.

Było to bardzo kłopotliwe!

– Nasza rozmowa zatacza koła – powiedział.

– Wręcz przeciwnie. Koła się zamykają. Koła ograniczają. Ludzkość nie jest już ograniczona przestrzenią, w której wzrasta.

„Znowu!”

– Powiadają, że jeśli czymś nie kierujesz, musisz się z tym pogodzić – rzekł, czując suchość w ustach.

Pochyliła się w przód, wpatrując pomarańczowymi oczami w jego twarz.

– Czy godzisz się z możliwością ostatecznej klęski Bene Tleilax?

– Gdyby tak było, nie siedziałbym tutaj.

– Kiedy logika zawodzi, trzeba użyć innego narzędzia.

Waff uśmiechnął się szeroko.

– To brzmi logicznie – rzekł.

– Nie drwij ze mnie! Jak śmiesz!

Tleilaxanin uniósł ręce w obronnym geście.

– Jakie narzędzie proponuje Dostojna Matrona? – spytał pojednawczo.

– Energię!

Ta odpowiedź go zaskoczyła.

– Energię? W jakiej postaci i ile?

– Żadasz logicznych odpowiedzi – zauważyła.

Waff ze smutkiem zdał sobie sprawę, że nie jest, mimo wszystko, zensunnitką. Dostojna Matrona tylko bawiła się słowami na obrzeżach alogiczności, krążyła wokół niej, ale jej narzędziem była logika.

– Ryba gnije od głowy – powiedział.

Puściła to mimo uszu.

– Odkrywamy nieużytą energię w każdym, kogo raczymy tknąć. – Wyciągnęła kościsty palec i prawie dotknęła nosa Waffa.

Wcisnął się głębiej w fotel, póki nie opuściła ręki.

– Czy nie to właśnie mówiły Bene Gesserit, zanim stworzyły swojego Kwisatz Haderach?

– Straciły kontrolę nad sobą i nad nim – rzuciła szyderczo.

Waff znowu pomyślał, że używa ona logiki, myśląc o nielogicznym. Te drobne pomyłki wiele mu powiedziały. Błysnęła mu prawdopodobna historia Dostojnych Matron. Jedna z *dzikich* Matek Wielebnych Fremenów z Rakis wzięła udział w Rozproszeniu. Różni ludzie uciekali na statkach pozaprzestrzennych w Czasach Głodu i wkrótce po nich. Taki statek wysadził gdzieś dziką czarownicę wraz z jej koncepcjami. Ów zasiew wrócił w postaci tej łowczyni o pomarańczowych oczach.

– Co zrobiliście z tym gholą? – Raz jeszcze użyła Głosu.

Tym razem Waff był przygotowany i otrząsnął się z niego. Tę Dostojną Matronę trzeba będzie skierować gdzie indziej albo, jeśli to możliwe, zabić. Wiele się od niej dowiedział, ale nie sposób było stwierdzić, czego ona się dowiedziała dzięki swoim nieznanym zdolnościom.

„To seksualne potwory – mówili jego informatorzy. – Mocą seksu zmieniają ludzi w niewolników”.

– Mało wiesz o radości, której mógłbyś ze mną zaznać. – Jej głos owijał się wokół niego jak bicz, kuszący, uwodzicielski.

Waff próbował się bronić.

– Powiedz mi, czemu...

– Nie muszę ci niczego mówić!

– Więc nie przybyłaś dobić targu – rzekł ze smutkiem. Zaiste, statki pozaprzestrzenne zasiały w innych wszechświatach zgniliznę.

Czuł na ramionach ciężar konieczności. A jeśli nie uda mu się jej zabić?

– Jak śmiesz wspominać o targu z Dostojną Matroną? Wiedz, że to *my* ustalamy cenę!

– Nie znam waszych zwyczajów, Dostojna Matrono. Czuję jednak, że cię obraziłem.

– Przeprosiny przyjęte.

„Nie zamierzałem przeproszać!” Spojrzał na nią uprzejmie. Z jej zachowania można było wiele wywnioskować. Korzystając ze swych tysiącletnich doświadczeń, Waff zrobił przegląd tego, czego się dowiedział. Ta kobieta z Rozproszenia przybyła tu po jakąś ważną informację. Nie miała innego źródła. Wyczuwał w niej desperację, dobrze ukrywaną, ale na pewno obecną. Potrzebowała potwierdzenia albo zaprzeczenia czegoś, czego się bała.

Jakże była podobna do drapieżnego ptaka, kiedy tak siedziała, lekko opierając szponiaste dłonie na poręczach fotela!

„Ryba gnije od głowy”. Powiedział to, a ona nie usłyszała. Atomowa ludzkość najwyraźniej nadal eksplodowała w Rozproszeniu Rozproszonych. Ludzie, których reprezentowała ta Dostojna Matrona, nie znaleźli sposobu wykrywania statków pozaprzestrzennych. To jasne, o to właśnie chodziło. Polowała na te statki tak jak czarownice Bene Gesserit.

– Szukasz sposobu dostrzegania niewidzialnych statków – powiedział.

To stwierdzenie wyraźnie nią wstrząsnęło. Nie spodziewała się tego po tym siedzącym przed nią karle. Ujrzał na jej twarzy strach, gniew, a później zdecydowanie, zanim jej rysy znowu utworzyły drapieżną maskę. Wiedziała jednak. Wiedziała, że to widział.

– A więc to robicie z waszym gholą.

– Tego szukają w nim czarownice Bene Gesserit – skłamał.

– Nie doceniłam cię. Czy i ty popełniłeś ten błąd?

– Nie sądzę, Dostojna Matrono. Plan genetyczny, którego jesteś rezultatem, budzi lęk. Myślę, że możesz mnie zabić kopnięciem, zanim zdążę mrugnąć.

Uśmiech zadowolenia zmiękczył jej rysy.

– Czy Tleilaxanie będą nam służyć dobrowolnie, czy mamy ich zmusić?

Nie starał się ukryć oburzenia.

– Proponujesz nam niewolę?

– To jedna z możliwości.

Teraz ją miał. Jej słabym punktem była arogancja.

– Co mi każesz zrobić? – spytał pokornie.

– Zabierzesz ze sobą jako gości dwie młodsze Dostojne Matrony. Mają z tobą sypiać i... uczyć cię naszych dróg do ekstazy.

Waff dwa razy powoli odetchnął.

– Jesteś bezpłodny?

– Tylko nasi maskaradnicy są bezpłodni.

Z pewnością już o tym wiedziała. Wszyscy to wiedzieli.

– Nazywasz siebie mistrzem – powiedziała – ale daleko ci do mistrzowskiego panowania nad sobą.

„Blżej niż tobie, Dostojna Suko! – pomyślał. – A siebie nazywam maszejkiem i to cię jeszcze może zgubić”.

– Te Dostojne Matrony, które z tobą wyślę, dokonają na Tleilaxie inspekcji i wrócą do mnie z raportem.

Westchnął z rezygnacją.

– Czy te młode kobiety są ładne?

– Dostojne Matrony! – poprawiła go.

– Nie używacie imion?

– To, czy wyjawia ci swoje imiona, zależy od nich, nie od ciebie.

Przechyliła się na bok i zastukała kościstym knykciem w podłogę. W jej dłoni błysnął metal. Znała sposób przenikania osłony tej sali!

Właz otworzył się i weszły dwie kobiety ubrane tak samo jak Dostojna Matrona. Ich czarne płaszcze były jedynie mniej zdobne i obie były młodsze. Waff przyjrzał im się. Czy obie... Starał się nie zdradzić ekscytacji, ale bez powodzenia. Nieważne. Starsza pomyśli, że zachwycił się urodą tych dwóch. Po znakach znanych tylko mistrzom rozpoznał w jednej z przybyłych nowego maskaradnika. Dokonano zamiany, a ci Rozproszeni nie zdołali tego wykryć! Tleilaxanie pokonali przeszkodę! Czy Bene Gesserit będą równie ślepe wobec tych nowych gholi?

– Jesteś rozsądny i uległy i będziesz za to wynagrodzony – powiedziała stara Dostojna Matrona.

– Uznaję twoją potęgę, Dostojna Matrono – odparł. To była prawda. Pochylił głowę, by ukryć zdecydowanie. Wiedział, że widać je w jego oczach.

Skinęła ku przybyłym.

– Te dwie będą ci towarzyszyć. Każdy ich kaprys jest dla ciebie rozkazem. Mają być traktowane z honorami i szacunkiem.

– Oczywiście, Dostojna Matrono.

Nie podnosząc głowy, wzniosł ręce w powitalnym i poddańczym geście. Z rękawów świsnęły strzałki. Rzucił się w bok, nie dość szybko jednak. Prawa stopa starej trafiła go w lewe udo, odrzucając na fotel.

I to było ostatnie dokonanie Dostojnej Matrony. Strzałka z lewego rękawa trafiła ją w gardło, wleciawszy przez otwarte w zaskoczeniu usta. Narkotyk w truciźnie zdławił krzyk. Druga strzałka utkwiała w prawym oku przybyłej, tej niepodmienionej. Jego maskaradnik błyskawicznym ciosem w krtań uciął okrzyk.

Dwa ciała zwały się na podłogę.

Waff wyplątał się z fotela i wstał. Noga pulsowała z bólu. Jeszcze trochę, a złamałaby mu kość udową! Zdał sobie sprawę, że jej reakcja nie pochodziła z centralnego układu nerwowego. Jak u pewnych owadów, atak zaczął się na peryferiach. To osiągnięcie wymaga zbadania!

Współsprawczyni nasłuchująca przy otwartym włożu odstała na bok, by wypuścić maskaradnika w przebraniu ixańskiego strażnika.

Waff rozcierał stłuczone udo, podczas gdy jego maskaradnicy zdejmowali szaty z martwych kobiet. Ten, który udawał Ixanina, przyłożył głowę do głowy Dostojnej Matrony. A potem wszystko poszło szybko i nagle nie było już ixańskiego strażnika, tylko wierna kopia starej Dostojnej Matrony w asyście młodej. Wszedł jeszcze jeden pseudo-Ixanin i skopiował młodszą z zabitych. Wkrótce zamiast ciał były już tylko popioły. Nowa Dostojna Matrona zgarnęła je do woreczka i ukryła pod peleryną.

Waff obejrzał dokładnie salę. Na wspomnienie tego, co widział, przechodził go dreszcz. Taka arogancja wiązała się niewątpliwie z przerażającą siłą. Trzeba tę siłę zbadać. Przywołał maskaradnika, który skopiował starą.

– Zrobiłeś odbitkę jej pamięci?

– Tak, mistrzu. Jej świadome wspomnienia były jeszcze żywe, gdy kopiowałem.

– Przekaż jej. – Wskazał byłego ixańskiego strażnika.

Zetknęły się na kilka chwil czołami, a potem rozłączyły.

– Zrobione – powiedziała starsza.

– Ile mamy w sumie kopii tych Dostojnych Matron?



– Cztery, mistrzu.

– Żadnej nie zdemaskowano?

– Żadnej, mistrzu.

– Te cztery muszą polecieć do rodzinnego świata Dostojnych Matron i dowiedzieć się o nich wszystkiego, co możliwe. Jedna z nich musi wrócić do nas z informacjami.

– To niemożliwe, mistrzu.

– Niemożliwe?

– One odcięły się od swego źródła. To ich metoda, mistrzu. Osiadły na Gammu jako nowa komórka.

– Ale z pewnością możemy...

– Proszę o wybaczenie, mistrzu. Koordynaty ich miejsca w Rozproszeniu zapisane były tylko w roboczym programie statku pozaprzestrzennego i zostały usunięte.

– Zatarły wszystkie ślady? – W jego głosie brzmiało rozczarowanie.

– Wszystkie, mistrzu.

Katastrofa! Zmusił się do skupienia rozbieganych myśli.

– Nie mogą się dowiedzieć co tu zrobiliśmy.

– Od nas się nie dowiedzą, mistrzu.

– Jakie zdolności rozwinęły? Jakie moce? Szybko!

– Wszystkie, których można oczekiwać od Matki Wielebnej Bene Gesserit, z wyjątkiem wspomnień melanżowych.

– Czy to pewne?

– Nie ma nawet śladu. Jak wiesz, mistrzu, my...

– Tak, tak, wiem. – Uciszył ją gestem. – Ale ta stara była tak arogancka...

– Wybacz, mistrzu, ale czas nagli. Te Dostojne Matrony doprowadziły rozkosze seksu do perfekcji, pozostawiając wszystkich innych daleko w tyle.

– Więc to prawda, co mówili nasi informatorzy.

– Cofnęły się do prymitywnego tantryzmu i rozwinęły własne sposoby stymulacji seksualnej, mistrzu. Dlatego właśnie wyznawcy oddają im cześć.

– Oddają cześć – szepnął Waff. – Czy przewyższają mistrzynię zgromadzenia?

– One tak uważają, mistrzu. Mamy zademonstrować...?

– Nie! – Waff zrzucił maskę elfa i przybrał minę mistrza. Maskaradnicy schylili kornie głowy. Na twarzy Waffa pojawiła się radość. Powracający z Rozproszenia Tleilaxanie mówili prawdę! Zwykła odbitka pamięci potwierdziła wartość nowej broni jego ludu!

– Co rozkażesz, mistrzu?– spytała starsza z Dostojnych Matron.

Waff znowu upodobił się do elfa.

– Zbadamy te sprawy, gdy wrócimy do Bandalongu. Do tego czasu nawet mistrz nie może rozkazywać Dostojnej Matronie. To wy rozkazujecie *mnie*, póki nie znikniemy z oczu szpiegom.

– Tak jest, mistrzu. Czy mam przekazać twoje rozkazy pozostałym?

– Tak. Ten statek pozaprzestrzenny nie może wrócić na Gammu. Musi zniknąć bez śladu. Żadnych ocalałych.

– Stanie się, jak każesz, mistrzu.



Technologia, jak wiele innych dziedzin, stara się zmniejszyć ryzyko inwestowania. Jeśli to możliwe, wyklucza się element niepewności. W ślad za tym idą inwestycje kapitałowe, bo ludzie zwykle wybierają to, co przewidywalne. Tylko nieliczni zdają sobie sprawę, jak bardzo ogranicza to możliwość zmian i przez to naraża całe populacje na zaskakujące rzuty kości, jakimi gra nasz wszechświat.

– opinia Ixan, archiwa Bene Gesserit

Nazajutrz po próbie na pustyni Sziena obudziła się w siedzibie kapłanów i ujrzała, że jej łóżko otaczają ludzie w białych szatach.

„Kapłani i kapłanki!”

– Przebudziła się – powiedziała jakaś kapłanka.

Sziena zdjął strach. Podciągnęła narzutę pod brodę, wpatrując się w napięte twarze. Czyżby znowu chcieli ją porzucić na pustyni? Przespała noc kamiennym snem w najmniejszym łóżku i w najczystszej pościeli, jakie widziała w swoim ośmioletnim życiu. Wiedziała jednak, że wszystko, co dają kapłani, może mieć podwójne znaczenie. Nie można im ufać!

– Jak ci się spało? – spytała ta sama kapłanka, starsza, siwowłosa kobieta w białym kapturze z purpurowym szlakiem. Jej bladobłękitne oczy były wodniste, lecz czujne. Zadarty nos sterczał nad wąskimi ustami i wysuniętym podbródkiem. – Nie przemówisz do nas? – nalegała. – Jestem Kania. Byłam przy tobie w nocy. Pomagałam ci się położyć, pamiętasz?

Ton jej głosu uspokajał. Sziena usiadła i przyjrzała się lepiej tym ludziom. Oni się bali! Nos dziecka pustyni potrafił wychwycić ledwie wyczuwalne

feromony. Dla Szieny był to prosty i bezpośredni sygnał: „Ten zapach oznacza strach”.

– Myśleliście, że mnie skrzywdzicie – powiedziała. – Czemuście to zrobili?

Zebrani wokół niej wymienili skonsternowane spojrzenia.

Strach Szieny zniknął. Czuła, że zmienił się porządek rzeczy, i wczorajsza próba na pustyni nabrała nowego znaczenia. Przypomniała sobie, jak unizona była wieczorem ta stara kobieta... Kania? Prawie czołgała się przed nią. Sziena zrozumiała w porę, że każdy, kto pogodził się ze śmiercią, osiąga nową równowagę emocjonalną. Lęki były przemijające. Ten nowy stan był ciekawy.

Głos Kani drżał.

– Zaprawdę, Dziecię Boga, nie mieliśmy zamiaru cię skrzywdzić.

Sziena przyglądała narzutę na podółku.

– Zwą mnie Sziena. – To była grzeczność pustyni. Kania już się przedstawiła. – Kim są pozostali?

– Odprawię ich, jeśli nie chcesz ich widzieć... Szieno. – Kapłanka wskazała ubraną podobnie do niej kobietę o kwitnącej twarzy. – Z wyjątkiem Alhosa, oczywiście. Ona będzie ci towarzyszyć za dnia.

Alhosa dygnęła.

Sziena podniosła głowę, spoglądając na napęczniałą od wody twarz w aureoli jasnych loczków. Potem przyjrzała się nagle mężczyznom. Wpatrywali się w nią spod przymrużonych powiek, niektórzy podejrzliwie. Zapach strachu był silny.

„Kapłani!”

– Odeślij ich. – Machnęła ręką. – Oni są *haram*! – Było to rynsztokowe słowo na oznaczenie największego zła.

Kapłani cofnęli się wstrząśnięci.

– Odejdźcie! – rozkazała Kania ze złośliwym zadowoleniem na twarzy. Nie została zaliczona do złych. Tymczasem tych kapłanów najwyraźniej napiętnowano jako *haram*! Musieli dokonać jakiegoś ohydneho czynu i Bóg zesłał małą kapłankę, by ich pokarać. Kania w pełni w to wierzyła. Oni rzadko traktowali ją tak, jak na to zasługiwała.

Kapłani, niczym zbite psy, wycofali się w pokłonach z komnaty. Był wśród nich historyk Dromind, myśliciel czepiający się swych pomysłów jak dziób sępa czepia się ochłapu mięsa. Gdy drzwi zamknęły się za nimi,

Dromind oznajmił roztrzęsionym towarzyszom, że Sziena to współczesna forma starożytnego imienia Siona.

– Wszyscy znacie rolę Siony w historii – mówił. – Służyła Szej-huludowi podczas Jego przemiany z człowieka w Podzielonego Boga.

Stiros, pomarszczony stary kapłan o ciemnych wargach i bladoniebieskich błyszczących oczach, patrzył na Drominda w zamyśleniu.

– To bardzo dziwne – powiedział. – Przekazy ustne mówią, że Siona była instrumentem Jego przemiany z Jednego w Wielu. Myślisz...

– Nie zapominajmy o świętych słowach samego Boga przełożonych przez Hadię Benotto – wtrącił inny kapłan. – Szej-hulud wiele razy wspomina o Sionie.

– Nie zawsze przychylnie – przypomniał Stiros. – Pamiętajcie o jej pełnym nazwisku: Siona ibn Fuad al-Sejfa z Atrydów.

– Atrydka – szepnął któryś kapłan.

– Musimy bacznie ją obserwować – rzekł Dromind.

Młody akolita szedł pośpiesznie przez sień ku kapłanom, wypatrując wśród nich Stirosa.

– Stirosie, macie natychmiast opuścić to miejsce – oznajmił.

– Dlaczego? – zabrzmiał oburzony głos z tłumu mężczyzn.

– Ma być przeniesiona do komnat najwyższego kapłana.

– Z czyjego rozkazu? – spytał Stiros.

– Samego najwyższego kapłana Tueka – odpowiedział goniec. – Nasłuchiwali. – Machnął ręką w stronę, z której przybył.

Wszyscy w sieni zrozumieli. Pomieszczenia można było budować tak, żeby przesyłały głosy w inne miejsca. Zawsze ktoś słuchał.

– Co usłyszeli? – Starczy głos Stirosa zadrżał.

– Spytała, czy jej komnata jest najlepsza. Mają ją zaraz stąd przenieść, więc nie może was tu zastać.

– Co mamy teraz robić? – spytał Stiros.

– Obserwować ją – odrzekł Dromind.

Sień natychmiast opustoszała.

Odtąd wszyscy kapłani obserwowali Szienę. Ten zrodzony tutaj nawyk odcisnął piętno na całym ich przyszłym życiu. Porządek ustalony w otoczeniu Szieny spowodował zmiany odczuwalne na najdalszych rubieżach wpływów kultu Podzielonego Boga. Dwa słowa stały się zapłonem tych zmian: „Obserwować ją”.

„Jakaż ona naiwna – myśleli kapłani. – Jak niezwykle naiwna”. Umiała jednak czytać i wyraźnie interesowała się Świętymi Księgami, które znalazła w komnatach Tueka. Teraz były to jej komnaty.

Wszyscy składali ofiarę przebłągalną, od najwyższych do najniższych. Tuek przeniósł się do kwatery swego zastępcy i ta przeprowadzka potoczyła się w dół hierarchii. Wzięto miarę z Szieny i sporządzono dla niej najpiękniejszy filtrak. Dostała też nowe szaty w kapłańskich złocie i bieli, z purpurowym szlakiem.

Ludzie zaczęli unikać Drominda. Historyk nabrał zwyczaju łapania swych kolegów za guziki i wyjaśniania im dziejów pierwszej Siony, jakby to miało powiedzieć coś ważnego o obecnie noszącej jej imię.

– Siona była małżonką świętego Duncana Idaho – przypominał każdemu, kto chciał słuchać. – Ich potomkowie są wszędzie.

– Doprawdy? Wybacz, że nie mogę posłuchać, ale naprawdę się śpieszę.

Na początku Tuek miał dla Drominda wiele cierpliwości. Ta historia była ciekawa, a jej morał oczywisty.

– Bóg zesłał nam nową Sionę – mówił. – Należy wszystko wyjaśnić.

Dromind wyjechał i wrócił z nowymi okruchami przeszłości.

– Zapisy z Dar-es-Balat nabierają teraz nowego znaczenia – oznajmił najwyższemu kapłanowi. – Czy nie powinniśmy poddać tego dziecka dalszym próbom?

Dopadł najwyższego kapłana tuż po śniadaniu. Resztki posiłku nie zostały jeszcze uprzątnięte z podręcznego stolika na balkonie. Przez otwarte okno słyszeli odgłosy krzątania w komnacie Szieny na górze.

Tuek podniósł ostrzegawczo palec do ust.

– Święte Dziecko wybiera się samo na pustynię – przemówił szeptem, po czym podszedł do mapy na ścianie i wskazał teren na południowy zachód od Kin. – Najwidoczniej ten obszar ją interesuje... albo raczej przyzywa.

– Mówiono mi, że korzysta ze słowników – powiedział Dromind. – Na pewno to nie może być...

– Ona poddaje nas próbie – przerwał Tuek. – Nie daj się zwieść.

– Ależ, panie, ona zadaje Kani i Alhosie całkiem dziecinne pytania!

– Kwestionujesz moje zdanie, Dromind?

Historyk zbyt późno zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Zamilkł, ale jego wyraz twarzy świadczył, że miał o wiele więcej do powiedzenia.

– Bóg nam ją zesłał, żeby wyplenić zło przenikające szeregi namaszczonej – oznajmił Tuek. – Odejdź! Módl się i pytaj sam siebie, czy

to zło nie zaległo się i w tobie.

Dromind odszedł.

– Gdzie jest Święte Dziecię? – spytał Tuek zaufanego sługę.

– Udało się na pustynię, panie, by się spotkać ze swym Ojcem.

– Na południowy zachód?

– Tak, panie.

– Trzeba wywieźć Drominda daleko na wschód i zostawić go na piasku. Zatkniecie tam kilka dudników, by mieć pewność, że już nie wróci.

– Drominda, panie?

– Drominda.

Nawet kiedy historyk przeniósł się już w Usta Boga, kapłani stosowali się do jego zaleceń. Obserwowali Szienę.

Sziena też obserwowała.

Stopniowo, tak wolno, że nie umiałyby określić, w której chwili, zdała sobie sprawę ze swej ogromnej władzy nad otoczeniem. Z początku była to zabawa, nieustający Dzień Dziecka z dorosłymi skaczącymi wokół niej i spełniającymi jej życzenia. Okazało się, że nie ma życzeń niemożliwych.

Zapragnęła jakiegoś rzadkiego owocu?

Podawano go jej na złotej paterze.

Zobaczyła z okna dziecko na rojnej ulicy i zechciała bawić się z nim?

Takie dziecko zapędzano natychmiast do świątynnych komnat Szieny. Kiedy mijał pierwszy wstrząs i strach, włączało się do zabawy, której kapłani i kapłanki przyglądali się z uwagą. Niewinne wypadki do ogrodu na dachu, chichoty i szepty – wszystko to było poddawane wnikliwej analizie. Lęk tych dzieci ciążył Szienie. Nieczęsto więc wzywała ponownie to samo dziecko, woląc dowiadywać się czegoś nowego od kolejnych towarzyszy zabaw.

Kapłani nie doszli do porozumienia co do niewinnego charakteru owych spotkań. Towarzyszy zabaw zastraszano i przesłuchiowano, póki Sziena tego nie wykryła i nie urządziła awantury swoim opiekunom.

Więści o Szienie rozchodziły się nieuchronnie po Rakis i poza nią. Piętrzyły się raporty zgromadzenia żeńskiego. Mijały lata w wyszukanym autokratycznym ceremoniale, a ciekawość Szieny zdawała się nie mieć granic. Żaden uczestnik tych wydarzeń nie myślał o nich jako o kształceniu; o dziewczynce uczącej kapłanów i o kapłanach uczących ją. Bene Gesserit jednak od razu zauważyły ten aspekt życia Szieny i przyglądały mu się uważnie.

– Jest w dobrych rękach. Zostawcie ją tam, póki dla nas nie dojrzeje – zarządziła Taraza. – Siły obronne trzymać w gotowości bojowej. Chcę też mieć regularne raporty.

Sziena nie wyjawiała nigdy swego pochodzenia ani tego, co Szejtan zrobił z jej krewnymi i znajomymi. To była sprawa między Szejtanem a nią. Milczenie było zapłatą za to, że została oszczędzona.

Niektóre sprawy traciły dla niej smak. Coraz rzadziej wyruszała na pustynię. Jej ciekawość nie słabła, ale było oczywiste, że wyjaśnienia stosunku Szejtana do niej nie da się znaleźć na piaskach. Chociaż wiedziała o istnieniu na Rakis ambasad innych potęg, szpiedzy Bene Gesserit zadbali, by nie przejawiała zainteresowania zgromadzeniem.

Przesłanie Tarazy było proste i jasne.

– Pokolenia przygotowań przeszły w lata udoskonaleń. Wkroczymy jedynie we właściwym momencie. Nie ma już wątpliwości, że to dziecko jest tym jedynym.



Moim zdaniem, reformatorzy przysporzyli ludzkości więcej cierpień niż jakakolwiek inna siła w jej historii. Pokażcie mi kogoś, kto mówi: „Trzeba coś zrobić!”, a ja pokażę wam głowę pełną złych intencji, które nie znajdują innego ujścia. Musimy zawsze walczyć o to, by znaleźć naturalny bieg rzeczy i iść z nim.

– Matka Wielebna Taraza, zapis rozmowy, BG plik GSXXMAT9

Chmury podniosły się wraz ze wschodzącym słońcem Gammu, unosząc wonie traw i otaczających twierdzę lasów, wydobyte i zagęszczone przez poranną wilgoć.

Duncan Idaho stał przy Zakazanym Oknie i wdychał te zapachy. Tego ranka Patrin powiedział mu:

– Masz już piętnaście lat, więc uważaj się za młodego mężczyznę. Nie jesteś już chłopcem.

– Mam dziś urodziny?

Byli w sypialni Duncana. Patrin obudził go, przyniosłszy szklankę soku cytrynowego.

– Nie wiem, kiedy masz urodziny.

– Czy ghole mają urodziny?

Mężczyzna milczał. Nie wolno było rozmawiać z gholą o gholach.

– Schwangyu mówi, że nie możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Patrin był wyraźnie zmieszany.

– Baszar chce, żebym ci przekazał, że dziś rano szkolenie się opóźni. Masz ćwiczyć nogi i kolana, póki cię nie wezwie.

– Robiłem to wczoraj!

– Powtarzam tylko rozkazy baszara. – Patrin zabrał pustą szklankę i wyszedł, zostawiając Duncana samego.

Duncan ubrał się szybko. W kantynie czekają ze śniadaniem. „Niech ich diabli!” Nie potrzebuje ich śniadania. Co robi baszar? Dlaczego nie zaczyna w porę zająć? „Ćwiczenia nóg i kolan!” Dla zabicia czasu, bo Teg jest zajęty czymś innym. Duncan przekradł się Zakazaną Drogą do Zakazanego Okna. „Niech ci przekłēci strażnicy zostaną ukarani!”

Zapachy z otwartego okna wywoływały wspomnienia czające się na skraju świadomości, nie umiał ich jednak umiejscowić. Wiedział, że to wspomnienia. Było to przerażające, ale magnetycznie pociągające – niczym chodzenie po skraju urwiska albo jawne sprzeciwianie się Schwangyu. Nigdy nie chodził po skraju urwiska ani nie sprzeciwiał się jawnie Schwangyu, ale mógł sobie to wyobrazić. Już samo oglądanie holofoto ścieżki nad skrajem urwiska wystarczało, by przyprawić go o skurcz żołądka. Co do Schwangyu, często wyobrażał sobie gniewne nieposłuszeństwo i przeżywał tę samą reakcję organizmu.

„W moim umyśle jest ktoś jeszcze”.

Nie tylko w umyśle – w *ciele*! Odczuwał te inne doświadczenia, jakby się nagle przebudził, wiedząc, że śnił, ale nie mogąc przypomnieć sobie snu. Owe sny przyzywały jakąś wiedzę, której nie mógł posiadać.

A jednak ją posiadał.

Znał nazwy części drzew, których zapachy rozpoznawał, chociaż nie znalazł tych nazw w bibliotece.

Zakazane Okno nazwano tak, bo znajdowało się w zewnętrznym murze twierdzy i pozwalało się otworzyć. Często je otwierano, jak teraz, dla przewietrzenia. Z jego pokoju można było się tu dostać po balustradzie balkonu, a potem szybem wentylacyjnym magazynu. Nauczył się przebywać tę drogę niepostrzeżenie. Bardzo szybko dowiedział się, że wyszkoleni przez Bene Gesserit potrafią odbierać niezauważalne dla innych sygnały. Odczytywał niektóre z nich dzięki naukom Tega i Lucylli.



Stojąc w cieniu górnej galerii, wpatrywał się w pofałdowane lesiste zbocza wspinające się ku skalistym szczytom. Las przyciągał go nieodparcie. Szczyty ponad nim miały jakąś magiczną moc. Łatwo było wyobrazić sobie, że nie stanęła tam nigdy ludzka stopa. Jak dobrze byłoby zaszyć się tam, być tylko sobą i nie martwić się, że mieszka w nim ktoś inny. Ktoś obcy.

Odwrócił się z westchnieniem i sekretnym szlakiem wrócił do pokoju. Dopiero gdy dotarł tam bezpiecznie, pozwolił sobie na stwierdzenie, że jeszcze raz mu się udało. Nikt nie poniesie kary za ten wypad.

Kara i ból, unoszące się niczym chmura nad miejscami, do których nie miał wstępu, zmuszały go jedynie do skrajnej ostrożności przy łamaniu przepisów.

Nie lubił myśleć o bólu, jaki zadałaby mu Schwangyu, gdyby przyłapała go przy Zakazanym Oknie. Postanowił jednak, że nawet największy ból nie zmusi go do płaczu. Nigdy nie płakał, nawet przy jej najobrzydliwszych sztuczkach. Patrzył jej po prostu w oczy, nienawidząc jej, ale przyjmując nauczkę. Jej lekcja była dla niego prosta: doskonała umiejętność poruszania się tak, by nikt cię nie widział i nie słyszał, nie zostawiaj najmniejszych śladów.

W swoim pokoju usiadł na skraju łóżka i zaczął się wpatrywać w pustą ścianę. Kiedyś, gdy tak się wpatrywał, na murze pojawił się obraz: młoda kobieta o włosach koloru jasnego bursztynu i zaokrąglonych rysach. Patrzyła na niego ze ściany i uśmiechała się. Jej usta poruszały się bezdźwięcznie, Duncan umiał już wszakże czytać z ruchu warg i bez trudu zrozumiał słowa.

„Duncan, mój słodki Duncan”.

Czy to była jego matka? Jego prawdziwa matka?

Nawet ghole mieli prawdziwe matki, kiedyś, dawno. Zagubiona w czasie, przed kadzią aksolotlową, istniała kobieta, która go urodziła... i kochała. Tak, kochała go, bo był jej dzieckiem. Jeżeli ta twarz na ścianie była twarzą jego matki, skąd się tam wzięła? Nie mógł jej rozpoznać, ale pragnął, żeby to była jego matka.

Doświadczenie przeraziło go, ale mimo to pragnął, by się powtórzyło. Kimkolwiek była ta młoda kobieta, dręczyła go jej ulotna obecność. Ten obcy w nim znał ją. Duncan był tego pewien. Czasami pragnął choć na chwilę stać się owym obcym – na tyle, by wydobyć swe najskrytsze wspomnienia – ale bał się tego. Bał się, że straci swe prawdziwe „ja”, jeśli obcy wtargnie w jego świadomość.

Zastanawiał się, czy byłoby to podobne do śmierci.

Duncan zobaczył śmierć, kiedy nie miał jeszcze sześciu lat. Jego strażnicy odpierali napastników i jeden z nich zginął. Zginęło też czterech tamtych. Duncan widział, jak wnoszono do twierdzy pięć ciał o zwiotczących mięśniach i wlokących się po ziemi rękach. Uszło z nich coś bardzo istotnego. Nie zostało nic, co mogłoby przywołać wspomnienia – własne albo cudze.

Tych pięciu zabrano gdzieś w głąb twierdzy. Usłyszał później, jak strażnik mówił, że napastników nasączono szerem. To było jego pierwsze zetknięcie z pojęciem sondy ixańskiej.

– Sonda ixańska może penetrować nawet umysł zmarłego – wyjaśniła Geasa. – Szer to narkotyk, który chroni cię przed tą sondą. Twoje komórki będą całkiem obumarłe, zanim narkotyk przestanie działać.

Zręcznie podsłuchując, dowiedział się, że czterej napastnicy zostali też zbadani na inne sposoby. Tych sposobów mu nie wyjaśniono, ale podejrzewał, że to musi być jakiś sekret Bene Gesserit, jakieś kolejne diabelskie sztuczki Matek Wielebnych. Muszą ożywiać zmarłych i wydobywać informacje z opornych ciał. Wyobrażał sobie pozbawione osobowości mięśnie, podskakujące na rozkaz diabolicznej obserwatorce.

Tą obserwatorką była zawsze Schwangyu.

Mimo usiłowań nauczycielek, by rozwiązać te „majaki zrodzone z niewiedzy”, umysł Duncana pełen był takich obrazów. Nauczycielki mówiły, że te nierozumne historie są użyteczne tylko o tyle, iż rodzą strach przed Bene Gesserit wśród niewtajemniczonych. Duncan nie chciał wierzyć, że należy do wtajemniczonych. Patrząc na Matki Wielebne, myślał zawsze: „Nie jestem jednym z *nich*!”

Lucylla była ostatnio najbardziej natarczywa.

– Religia to źródło energii – mówiła. – Musisz sobie przyswoić tę energię. Możesz ją wykorzystać dla swoich celów.

„Waszych celów, nie moich” – pomyślał.

Wyobrażał sobie swoje cele i widział w wyobraźni, jak triumfuje nad zgromadzeniem żeńskim, a zwłaszcza nad Schwangyu. Czuł, że takie wizje są rzeczywistością w głębiach, w których przebywa obcy. Nauczył się potakiwać i udawać, że i jego śmieszy religijna łatwowierność.

Lucylla wyczuwała w nim tę dwoistość.

– On uważa, że sił mistycznych trzeba się bać i w miarę możliwości unikać – powiedziała do Schwangyu. – Dopóki upiera się przy tym, nie można mu

powierzyć zdobyczy naszej nauki.

Spotykały się raz na jakiś czas w pracowni Schwangyu, by dokonać „okresowej oceny”, jak to nazywała. Było to zaraz po kolacji. Odgłosy twierdzy wokół nich świadczyły o zmianie rytmu dnia. Zaczynały się nocne patrole, a personel kończący służbę cieszył się wolnymi chwilami. Pracownia Schwangyu celowo nie została wyposażona w dźwiękoszczelne ekrany. Wyszkolone zmysły Bene Gesserit mogły wyczytać wiele rzeczy z odbieranych dźwięków.

Schwangyu czuła się coraz mniej pewnie podczas tych „okresowych ocen”. Stawało się jasne, że Lucylla nie da się przeciągnąć na stronę przeciwniczek Tarazy. Była też odporna na podstępny Matek Wielebnych. I, co najgorsze, Lucylla i Teg dzielili się z gholą trudnymi do opanowania umiejętnościami. Na dodatek Schwangyu czuła rosnący respekt wobec Lucylli.

– On myśli, że używamy nadprzyrodzonych mocy – powiedziała Lucylla.  
– Jak mógł wpaść na taki osobliwy pomysł?

Schwangyu czuła, że to pytanie stawia ją w niezręcznym położeniu. Lucylla wiedziała, że zrobiono to, by osłabić gholę. Zadając owo pytanie, chciała powiedzieć: „Nieposłuszeństwo to zbrodnia przeciw zgromadzeniu!”

– Jeśli pragnie naszej wiedzy, na pewno dostanie ją od ciebie – odrzekła komendantka. Bez względu na to, jak niebezpieczne było to z jej punktu widzenia, taka była prawda.

– Jego pragnienie wiedzy to moja najlepsza dźwignia, ale obie wiemy, że to za mało. – W głosie Lucylli nie było przygany, lecz Schwangyu ją wyczuła.

„Niech ją diabli! Stara się *mnie* przeciągnąć na swoją stronę!” – pomyślała.

Przyszło jej do głowy kilka odpowiedzi: „Nie przekroczyłam rozkazów” – niesmaczna wymówka! „Ghola otrzymuje standardowe wykształcenie Bene Gesserit” – nie na temat i nieprawdziwa. Ten ghola nie był standardowym obiektem szkolenia. Były w nim głębie porównywalne tylko z głębiami potencjalnej Matki Wielebnej. I w tym tkwił problem!

– Popełniłam parę błędów – powiedziała.

„Otóż to!” Tylko inna Matka Wielebna mogła docenić tę dwuznaczną odpowiedź.

– Niszczyłaś go bezbłędnie.

– Ale nie przewidziałam, że inna Matka Wielebna wykryje w nim te skazy.

– On chce posiąść nasze moce tylko po to, by nam uciec. Myśli: „Pewnego dnia będę wiedział tyle co one, a wtedy ucieknę”. – Kiedy Schwangyu milczała, dodała: – To sprytne. Jeżeli ucieknie, będziemy musiały same dopaść go i zniszczyć.

Schwangyu uśmiechnęła się.

– Nie powtórzę twojego błędu – powiedziała Lucylla. – Mówię ci otwarcie to, co i tak byś zrozumiała. Teraz wiesz, dlaczego Taraza posłała imprinterkę do dzieciaka.

Uśmiech Schwangyu znikł.

– Co z nim robisz?

– Przywiązuję go do siebie jak nauczycielka nowicjuszkę, okazując mu szczerłość i lojalność jak każdej z nas.

– Ale to mężczyzna!

– Więc ominie go przyprawowa agonia, nic poza tym.

– A kiedy przyjdzie czas na ostatnie stadium imprintu? – spytała Schwangyu.

– Tak, to będzie delikatna sprawa. Myślisz, że to go zniszczy. Taki był oczywiście twój plan.

– Lucyлло, zgromadzenie nie jest jednomyślne w kwestii planu związanego z tym gholą. Z pewnością o tym wiesz.

Był to najważniejszy argument Schwangyu, a fakt, że zachowała go do tej chwili, mówił wiele. Obawa, że mogą stworzyć nowego Kwisatz Haderach, głęboko zapuściła korzenie, a różnica zdań dzieliła prawie równe siły.

– Ma prymitywny genotyp i nie jest gotowy stać się Kwisatz Haderach – powiedziała Lucylla.

– Ale Tleilaxanie zrobili coś z jego genotypem.

– Tak, na nasz rozkaz. Przyspieszyli jego reakcje nerwowe i mięśniowe.

– I to wszystko?

– Widziałas analizy.

– Gdybyśmy mogły zrobić tyle co Tleilaxanie, nie potrzebowałybyśmy ich pomocy. Miałybyśmy własne kadzie aksolotłowe.

– Myślisz, że oni coś przed nami ukryli? – spytała Lucylla.

– Mieli go dla siebie dziewięć miesięcy!

– Słyszałam te argumenty – ucięła Lucylla.

Schwangyu wzniosła ramiona w geście kapitulacji.

– Jest twój, *Matko Wielebna*. I ponosisz tego konsekwencje. Ale nie usuniesz mnie z tego miejsca, cokolwiek doniesiesz kapitule.

– Usuwać cię? Na pewno nie. Nie chcę, żeby twoja frakcja przysłała nam tu kogoś nieznanego.

– Istnieje granica zniewag, które mogę znieść – oświadczyła Schwangyu.

– I granica zdrady, którą zniesie Taraza – odparła Lucylla.

– Jeżeli dostaniemy nowego Paula Atrydę albo nowego, uchowaj Boże, Tyrana, będzie to dzieło Tarazy. Powiedz jej to.

Lucylla wstała.

– Wiesz chyba, że Taraza mnie pozostawiła decyzję, ile melanzu ma dostawać ten ghol. Zwiększyłam mu już dawkę.

Schwangyu uderzyła pięściami w stół.

– Niech was diabli! Prowadzicie nas na zatracenie!



Sekret Tleilaxan musi tkwić w ich nasieniu. Nasze analizy dowodzą, że ich nasienie nie przenosi genów w zwykły sposób. Zdarzają się luki. Wszyscy Tleilaxanie, których badaliśmy, ukrywali przed nami swoje wewnętrzne „ja”. Są z natury odporni na sondę ixańską! Najgłębszy sekret to ich najskuteczniejsza tarcza i miecz.

– analiza Bene Gesserit, nr arch. BTXX441WOR

Pewnego ranka, w czwartym roku pobytu Szieny w ośrodku kapłanów, doniesienia szpiegów wzbudziły szczególne zainteresowanie obserwatorek Bene Gesserit na Rakis.

– Mówisz, że była na dachu? – spytała Matka Komendantka twierdzy na Rakis.

Komendantka Tamalane służyła wcześniej na Gammu i wiedziała więcej niż większość siostr, co zgromadzenie spodziewa się tu osiągnąć. Raporty szpiegów przerwały jej śniadanie z konfitury doprawionej melanzem. Kurierka stała przy stole, podczas gdy Tamalane kończyła śniadanie, raz jeszcze czytając raport.

– Tak, *Matko Wielebna*, na dachu.

Tamalane podniosła wzrok na kurierkę. Kipuna, urodzona na Rakis, była przygotowywana do prowadzenia trudniejszych spraw lokalnych.

– „Sprowadźcie ich z powrotem!” Czy dokładnie tak powiedziała? – spytała Matka Wielebna, łykając konfiturę.

Kipuna skinęła głową. Zrozumiała pytanie. Czy słowa Szieny były rozkazem?

Tamalane wróciła do raportu w poszukiwaniu znaczących sygnałów. Dobrze, że przysłano właśnie Kipunę. Ceniła zdolności tej Rakanki. Kipuna miała delikatne, zaokrąglone rysy i puszyste włosy powszechne wśród kapłanek na Rakis, ale pod tą fryzurą krył się nie lada umysł.

– Sziena była niezadowolona – powiedziała Kipuna. – Ornitopter przeleciał obok dachu i wyraźnie widziała dwóch skutych więźniów. Wiedziała, że wiezie się ich na śmierć na pustyni.

Tamalane odłożyła raport i uśmiechnęła się.

– I kazała, żeby ich do niej sprowadzono. Jej dobór słów jest czarujący.

– Sprowadźcie ich z powrotem? – spytała Kipuna. – To całkiem proste polecenie. Co w nim czarującego?

Tamalane podobało się zainteresowanie nowicjuszek. Kipuna nie marnowała okazji, by dowiedzieć się, jak pracuje umysł prawdziwej Matki Wielebnej.

– Nie to mnie zainteresowało – odpowiedziała. Pochyliła się nad raportem i przeczytała: – „Jesteście sługami Szejtana, nie sługami sług”. – Spojrzała na Kipunę. – Widziałaś i słyszałaś to wszystko?

– Tak, Matko Wielebna. Uznano, że powinnam złożyć ci raport osobiście, bo możesz mieć dodatkowe pytania.

– Ona wciąż go nazywa Szejtanem – zauważyła Tamalane. – Ależ ich to musi drażnić! Oczywiście to sam Tyran powiedział: „Będą mnie nazywać Szejtanem”.

– Widziałam raporty o skarbie z Dar-es-Balat – oświadczyła Kipuna.

– Czy tych dwóch sprowadzono natychmiast?

– Gdy tylko przekazano wiadomość, Matko Wielebna. Wrócili w ciągu paru minut.

– Więc obserwują ją i podsłuchują cały czas. Dobrze! Znała tych więźniów? Nie wymienili jakichś znaków?

– Jestem pewna, że byli jej obcy. To dwaj zwykli ludzie z nizin społecznych, brudni i marnie ubrani. Cuchnęli, jakby byli bezdomni.

– A Sziena kazała zdjąć im kajdanki i przemówiła do tych brudasów. Teraz proszę o jej dokładne słowa. Co powiedziała?

– Jesteście z mojego ludu.

– Urocze, urocze. I wtedy kazała ich zabrać, wykąpać i dać im nowe ubrania, zanim się ich uwolni. Opowiedz, co zaszło potem.

– Wezwwała Tueka, on zaś przybył z trzema doradcami. To była... prawie kłótnia.

– Wejdź, proszę, w trans pamięci i przekaż mi tę wymianę zdań.

Kipuna zamknęła oczy, nabrała tchu i weszła w trans.

– Sziena mówi: „Nie podoba mi się rzucanie moich braci na pastwę Szejtana”. Radca Stiros: „Są składani w ofierze Szej-huludowi”. Sziena: „Szejtanowi!” Sziena w gniewie tupie nogą. Tuek: „Dość tego, Stiros! Nie chcę już słyszeć o tych sporach”. Sziena: „Kiedy się wreszcie nauczycie?” Tuek: „Już się nauczyliśmy, o Święte Dziecię”. Sziena mówi: „Chcę...”

– Dość – powiedziała Tamalane.

Dziewczyna otworzyła oczy i czekała w milczeniu.

– Wracaj na swoje stanowisko, Kipuno. Dobrze się spisałaś.

– Dziękuję, Matko Wielebna.

– Kapłani wpadną w panikę. Życzenie Szieny jest dla nich rozkazem, ponieważ Tuek w nią wierzy. Przestaną wykorzystywać czerwie jako narzędzie kary.

– Ci więźniowie... – wtrąciła Kipuna.

– Tak. Jesteś bardzo bystra. Ci dwaj opowiedzą, co się stało. Ta wieść rozejdzie się szeroko. Ludzie będą mówić, że Sziena broni ich przed kapłanami.

– A czyż ona tego nie robi, Matko Wielebna?

– Ach, rozważ jednak, co pozostało kapłanom... Będą szerzej stosować inne formy kary: chłostę albo konfiskatę. Strach przed Szejtanem będzie maleć dzięki Szienie, ale strach przed kapłanami wzrastać.

W ciągu dwóch miesięcy raporty Tamalane przesyłane kapitule potwierdziły te słowa.

„Zmniejszanie przydziałów, zwłaszcza wody, stało się dominującą formą kary – donosiła. – Najdziksze pogłoski docierają do najdalszych zakątków Rakis, a wkrótce usłyszymy je na innych planetach”.

Tamalane rozważyła wnikliwie następstwa tego raportu. Zobaczy go wiele oczu, także tych, które nie sprzyjają Tarazie. Każda Matka Wielebna będzie mogła wyobrazić sobie to, co się stanie na Rakis. Wielu tam widziało przybycie Szieny z pustyni na grzbiecie dzikiego czerwia. Kapłani od początku nie byli w stanie zachować tego w tajemnicy. Niezaspokojona

ciekawość znajdowała własne odpowiedzi. Domysły zaś są często niebezpieczniejsze niż fakty.

Wcześniejsze doniesienia mówiły o dzieciach, z którymi bawiła się Sziena. Poprzekręcane opowieści o tych dzieciach szerzyły się, obrastały nowymi zniekształceniami i były sumiennie wysyłane do kapituły. Owi dwaj więźniowie, wróciwszy w pięknych szatach na ulicę, wzbogacili rosnący mit. Zgromadzenie żeńskie, specjalistki od tworzenia mitów, posiadało na Rakis gotową do użycia siłę, którą wystarczyło ukierunkować.

„Wpoiliśmy ludowi wiarę w spełnianie życzeń” – donosiła Tamalane. Kiedy czytała swój najnowszy raport, myślała o słowach Bene Gesserit: „Sziena jest tą, na którą tak długo czekałyśmy”.

Było to oświadczenie tak proste, że można je było rozpowszechniać bez obawy o zmianę znaczenia.

„Dziecię Szej-huluda przybywa, by ukarać kapłanów!”

To było bardziej skomplikowane. Kilku kapłanów zginęło w ciemnych zaułkach w wyniku ogólnego poruszenia. To zwiększyło czujność kapłańskich sił porządkowych i wywołało łatwe do przewidzenia akty przemocy wobec ludności.

Tamalane myślała o delegacji kapłanów, która czekała na Szienę po tym, jak doradcy Tueka wpadli w popłoch. Siedmiu z nich pod przewodnictwem Stirosa zaskoczyło Szienę podczas śniadania dzielonego z jakimś dzieckiem z ulicy. Tamalane przewidziała to i była przygotowana. Dostarczono jej nagranie tego incydentu. Słowa były wyraźne, wyraz twarzy czytelny, a wyszkolone oko Matki Wielebnej mogło niemal czytać w myślach.

– Składaliśmy ofiary Szej-huludowi! – protestował Stiros.

– Tuek powiedział ci, żebyś się ze mną o to nie sprzeczała – odparła Sziena.

Ileż radości dała kapłankom ta klęska Stirosa i jego kapłanów!

– Ale Szej-hulud... – zaczął Stiros.

– Szejtan! – poprawiła go Sziena, a wyraz jej twarzy mówił: „Czy ci głupi kapłani niczego nie zrozumieli?”

– Myśleliśmy zawsze...

– Myliliście się! – Tupnęła.

Stiros udawał, że potrzebuje wyjaśnienia.

– Mamy wierzyć, że Szej-hulud, Podzielony Bóg, jest zarazem Szejtanem?



„Cóż za głupiec!” – pomyślała Tamalane. Nawet podłotek mógł go zmieszać, jak to zrobiła Sziena.

– Każde dziecko z ulicy o tym wie, ledwie nauczy się chodzić – oświadczyła wyniośle.

– Skąd wiesz, co myślą dzieci z ulicy? – zapytał chytrze Stiros.

– Jesteś złem, skoro we mnie wątpisz. – Nauczyła się używać tej odpowiedzi, wiedząc, że dotrze ona do Tueka i spowoduje kłopoty.

Stiros dobrze o tym wiedział. Czekał z opuszczonymi oczami, podczas gdy Sziena, z cierpliwością kogoś opowiadającego starą bajkę dziecku, tłumaczyła mu, że w czerwiu pustyni może mieszkać Bóg albo diabeł, albo obaj naraz. Ludzie muszą to zaakceptować. Nie wolno im decydować o podobnych rzeczach.

Stiros posyłał już ludzi na pustynię za głoszenie takich herezji. Z jego twarzy (starannie uwiecznionej dla potrzeb analityczek zgromadzenia) było przekonanie, że takie dzikie pomysły rodziły się zawsze pośród wyrzutków rakańskiego społeczeństwa. Teraz jednak musiał się pogodzić z uporem Tueka, który twierdził, że Sziena głosi ewangeliczną prawdę.

Przeglądając zapis, Tamalane pomyślała, że kociołek kipi jak należy. Doniosła o tym kapitule. Stirosem targały wątpliwości. Wątpliwości mieli wszyscy, tylko nie oddany Szienie lud. Szpiedzy z otoczenia Tueka donosili, że zaczyna on wątpić nawet w słusność własnej decyzji skazania historyka Drominda.

– Czy Dromind nie miał racji, wątpiąc w nią? – pytał.

– Niemożliwe! – odpowiadali pochlebcy.

Co innego mogli powiedzieć? Najwyższy kapłan nie myli się w takich sprawach. Bóg do tego nie dopuszcza. Sziena jednak wyraźnie pomieszała mu szyki. Odesłała decyzje wielu jego poprzedników do jakiegoś strasznego przedpiekła. Wszystko wymagało nowej interpretacji.

– Co my właściwie o niej wiemy? – nastawał Stiros na Tueka.

Tamalane miała pełen zapis ostatniej takiej konfrontacji. Stiros i Tuek debatowali do późnej nocy, sam na sam (jak myśleli), w kwaterze najwyższego kapłana, siedząc wygodnie w błękitnych psich fotelach i pojadając słodczy w melanzu. Holograficzny zapis tej rozmowy ukazywał samotną żółtą lumisferę dryfującą nisko nad tą dwójką. Jej światło było przyćmione, by nie razić zmęczonych oczu.

– Być może za pierwszym razem, kiedy zostawiliśmy ją na pustyni z dudnikiem, próba nie była odpowiednia.

To było sprytnie posunięcie. Tuek nie słyszał z lotności umysłu.

– Nieodpowiednia? Co masz na myśli?

– Może Bóg życzy sobie innych prób?

– Sam widziałeś, jak wiele razy rozmawiała z Bogiem na pustyni!

– Tak! – Stiros aż podskoczył. Czekał na taką właśnie odpowiedź. – Jeśli umie przeżyć spotkanie z Bogiem, mogłaby nauczyć tego innych.

– Wiesz, że wpada w złość, kiedy o tym mówimy.

– Może nie podeszliśmy do tego we właściwy sposób.

– A jeśli to dziecko ma rację, Stiros? Służymy przecież *Podzielonemu* Bogu. Myślałem o tym długo i żarliwie. Dlaczego Bóg się podzielił? Czy to była jakaś ostateczna próba?

Wyraz twarzy Stirosa świadczył, że właśnie z tego rodzaju gimnastyką umysłu jego frakcja nie chce mieć nic wspólnego. Starał się zmienić temat, ale niełatwo było ściągnąć Tueka z jego ulubionego konika – metafizyki.

– Ostateczna próba – upierał się Tuek. – Zobaczyć dobro w złu i zło w dobru.

Stirosa ogarnęła konsternacja. Tuek był Najwyższym Bożym Pomazańcem. Żaden kapłan nie mógł w to wątpić! Gdyby Tuek wystąpił publicznie z takim pomysłem, zachwiałoby to autorytetem stanu kapłańskiego! Stiros zadawał sobie pytanie, czy nie nadszedł czas na wniebowzięcie najwyższego kapłana.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że mogę omawiać tak głębokie idee z moim najwyższym kapłanem – powiedział. – Chciałbym jednak zaproponować coś, co może rozwiązać wiele wątpliwości.

– Proponuj.

– Można by ukryć w jej szatach nadajniki. Będziemy słyszeć jej rozmowy z...

– Sądzisz, że Bóg nie dowie się o tym?

– Ani mi to przez myśl nie przeszło!

– Nie wydam rozkazu, by zabrano ją na pustynię.

– A gdyby sama wpadła na ten pomysł? Robiła to tyle razy.

– Ale nie ostatnio. Chyba już nie potrzebuje boskich rad.

– Czy nie możemy jej tego zasugerować?

– Niby jak?

– „Szenio, kiedy zamierzasz znowu rozmawiać ze swoim Ojcem? Czy nie pragniesz stanąć przed Jego obliczem?”

– To raczej nakłanianie niż sugestia.

– Proponuję tylko, żeby...

– Święte Dziecię to nie jakaś prostaczka! Ona rozmawia z Bogiem, Stiros. Bóg by nas pokarał za takie zuchwalstwo.

– Czy Bóg nie zesłał jej, byśmy ją poznawali?

To było już nazbyt bliskie herezji Drominda. Tuek posłał Stirosowi groźne spojrzenie.

– Mam na myśli – wyjaśnił kapłan – że Bóg na pewno chce, byśmy się od niej uczyli.

Sam Tuek powtarzał to wiele razy, nigdy nie słysząc we własnych słowach ech wypowiedzi Drominda.

– Nie wolno jej ponaglać i poddawać próbom – rzekł.

– Boże uchwaj! – wykrzyknął Stiros. – Będę wcieleniem roztropności. I o wszystkim, czego się dowiem, natychmiast cię zawiadomię.

Tuek skinął po prostu głową. Miał swoje sposoby, by upewnić się, że Stiros mówi prawdę.

O dalszych ponagleniach i próbach donosiły niezwłocznie kapitule Tamalane i jej podwładne.

„Sziena wygląda na zamyśloną” – pisała Tamalane.

Zdaniem Matek Wielebnych na Rakis i tych, do których pisała, istniało oczywiste wyjaśnienie tego zamyślenia. Uwagi Stirosa sprawiły, że Sziena zatęskniła za domem. Zachowała roztropne milczenie, ale jasne było, że często myśli o swoim życiu w pionierskiej wiosce. Mimo wszystkich lęków i zagrożeń były to dla niej szczęśliwe czasy. Pamiętała śmiech, odczytywanie pogody z piasku, polowanie na skorpiony w szczelinach lepianek, wywąchiwanie okrucichów przyprawy na wydmach. Z częstych wypraw dziewczynki na ten obszar zgromadzenie mogło z dużą dokładnością ustalić położenie zaginionej wioski i jej los. Sziena często wpatrywała się w jedną ze starych map Tueka na ścianie swojej kwatery.

Jak się spodziewano, pewnego ranka wskazała palcem to miejsce na mapie, do którego wędrowała już wiele razy.

– Zabierzcie mnie tam – rozkazała.

Wezwano ornitopter.

Kapłani w unoszącej się wysoko maszynie słuchali chciwie, a pod nimi Sziena po raz kolejny wyzywała na piaskach swój los. Tamalane i jej doradczynie przyglądały się równie chciwie, podpięte do częstotliwości kapłanów.

Na pustkowiu, na którym Sziena kazała się wysadzić, nie było nawet śladu po wiosce. By wezwać Podzielonego Boga, skorzystała z dudnika, za chytrą radą Stirosa, popartą szczegółową instrukcją użycia tego starożytnego przyrządu.

Czerw przybył.

Tamalane, przyglądając się temu na własnym projektorze, uznała czerwia za średniej wielkości potwora. Oceniała jego długość na pięćdziesiąt metrów. Sziena stała zaledwie trzy metry przed ziejącą paszczą. Obserwatorzy wyraźnie słyszeli syk płomieni wewnątrz czerwia.

– Powiesz mi, dlaczego to zrobiłeś? – zapytała ostro Sziena.

Nie cofała się przed gorącym oddechem czerwia. Piach skrzypiał pod potworem, ale nie dawała poznać, że to słyszy.

– Odpowiedz mi! – rozkazała.

Czerw nie odezwał się, ale dziewczyna najwyraźniej słuchała, przechyliwszy głowę na bok.

– Wracaj więc, skąd przyszedłeś – rzekła, odprawiając go ruchem ręki.

Czerw posłusznie wycofał się i uszedł w głąb piasków.

Wiele dni zgromadzenie przyglądało się ze złośliwą radością debatom kapłanów nad tym niezwykłym spotkaniem. Nie mogli spytać Szieny, bo dowiedziałyby się, że była podsłuchiwana. Jak wcześniej, odmawiała rozmowy o swoim pobycie na pustyni.

Stiros nadal prowadził swą krecią robotę. Rezultat był dokładnie taki, jakiego spodziewało się zgromadzenie. Po kilku dniach Sziena oświadczyła:

– Dziś udam się na pustynię.

Czasami używała dudnika, czasami zaś przyzywała czerwie tańcem. Przychodziły do niej wśród piasków, z dala od Kin czy innych zamieszkanych miejsc. Stojąc samotnie naprzeciw czerwia, Sziena rozmawiała z nim, podczas gdy inni słuchali. Tamalane była zafascynowana nagraniami, które przechodziły przez jej ręce w drodze do kapituły.

– Powinnam cię nienawidzić!

Ile zamieszania wywołało to wśród kapłanów! Tuek chciał otwartej dyskusji na temat: „Czy powinniśmy nienawidzić Podzielonego Boga i jednocześnie Go kochać?”

Stirosowi z najwyższym trudem udało się do tego nie dopuścić. Argumentował, że wola Boża nie została jasno objawiona.

Sziena zapytała jednego ze swoich gigantycznych gości:

– Pozwolisz mi znów na sobie pojechać?

Kiedy się zbliżyła, czerw wycofał się i nie dał się dosiąść.

Innym razem spytała:

– Czy muszę pozostawać u kapłanów?

Temu akurat czerwiiowi zadała wiele pytań.

– Dokąd idą ludzie, których zjadasz?

– Czemu ludzie nie są ze mną szczerzy?

– Powinnam karać złych kapłanów?

Przy tym ostatnim pytaniu Tamalane roześmiała się na myśl o zamęcie, jakie wywoła ono wśród ludzi Tueka. Jej szpiedzy meldowali o przerażeniu kapłanów.

– Jak On jej odpowiada? – pytał Tuek. – Czy ktoś słyszał odpowiedź Boga?

– Może mówi wprost do jej duszy? – zaryzykował odpowiedź doradca.

– Otóż to! – Tuek uchwycił się tej możliwości. – Musimy ją spytać, co nakazuje jej Bóg.

Sziena nie dawała się wszakże wciągnąć w takie rozważania.

„Ona dobrze ocenia swoje siły – pisała Tamalane. – Nie wybiera się zbyt często na pustynię, mimo ponagień Stirosa. Jak mogłyśmy się spodziewać, coraz mniej ją to pociąga. Strach i uniesienie zaprowadziły ją daleko, ale już bledną. Zdążyła jednak nauczyć się polecenia: »Idźcie precz!«”

Zgromadzenie uznało, że to ważne osiągnięcie. Skoro nawet Podzielony Bóg jest jej posłuszny, żaden kapłan nie będzie podważał jej prawa do wydawania takich poleceń.

„Kapłani budują na pustyni wieże. Chcą zapewnić sobie bezpieczeństwo podczas obserwacji Szieny”.

Bene Gesserit przewidziały taki rozwój wydarzeń i nawet użyły własnych środków, by przyspieszyć realizację owych projektów. Każda taka wieża miała własny oddzielnik wiatru, personel, barierę wodną, ogrody i inne elementy cywilizacji. Każda była małą społecznością, która przenosiła zamieszkane obszary Rakis coraz dalej w królestwo czerwii.

Pionierskie wioski nie były już potrzebne, a całą zasługę przypisywano Szienie.

– Ona jest *naszą* kapłanką – mówił lud.

Tuek i jego doradcy balansowali na ostrzu noża. „Szejtan i Szej-hulud w jednym ciele?” Stiros żył w ciągłym lęku, że najwyższy kapłan rozgłosi ten fakt. Doradcy Stirosa odrzucili w końcu projekt wysłania Tueka na tamten świat. Inna propozycja – żeby kapłance Szienie przytrafił się

nieszczęśliwy wypadek – została przyjęta z przerażeniem. Nawet Stiros uznał, że to zbyt wielkie ryzyko.

– Jeżeli usuniemy ten cień, Bóg może nas jeszcze straszniej doświadczyć – powiedział. I przestrzegł: – Najstarsze księgi mówią, że będzie nam przewodzić dziecko.

Stiros ostatni dołączył do tych, którzy widzieli w Szienie coś niezupełnie śmiertelnego. Rzucano się w oczy, że otoczenie, w tym Kania, pokochało Szienę. Była tak prostolinijna, tak pogodna i tak wrażliwa!

Wielu spostrzegło, że rosnące przywiązanie do Szienny nie ominęło i Tueka.

Zgromadzenie natychmiast rozpoznawało ludzi dotkniętych tą mocą. Ów starożytny efekt określano jako „szerzącą się cześć”. Tamalane donosiła o głębokich przemianach zachodzących na Rakis, w miarę jak mieszkańcy planety zaczęli się modlić do Szienny zamiast do Szejtana czy nawet Szejhuluda.

„Oni widzą, że Sziena jest orędowniczką najsłabszych. To znajomy wzór. Wszystko idzie tak, jak powinno. Kiedy przyślecie gholę?”



Zewnętrzna powierzchnia balonu jest zawsze większa niż środek tego diabelstwa! To właśnie cały problem z Rozproszeniem!

– odpowiedź Bene Gesserit na sugestię Ixan dotyczącą wysłania nowych sond zwiadowczych między Utraconych

Jedna z szybszych lichtug zgromadzenia zabrała Milesa Tega na liniowiec Gildii okrążający Gammu. Nie miał ochoty opuszczać w takiej chwili twierdzy, ale rozumiał wagę zadania. Miał też przeczucie dotyczące tego, co go czeka podczas tej wyprawy. Doświadczenia trzech stuleci nauczyły go ufać takim przeczuciom. Sprawy na Gammu nie wyglądały dobrze. Każdy patrol, każdy odczyt zdalnych czujników, doniesienia agentów Patriny z miast, wszystko to podsycalo jego niepokój.

Jako mentat Teg wyczuwał przemieszczanie się sił wokół twierdzy i w niej. Jego ghola był zagrożony. Rozkaz stawienia się na pokładzie

uzbrojonego liniowca Gildii przyszedł jednak od samej Tarazy, a jej kryptoidentyfikator był nie do podrobienia.

Na unoszącej go lichtudze Teg szykował się do walki. Przygotowania zostały poczynione. Ostrzegł Lucyllę. Miał pewność, że może jej ufać. Ze Schwangyu było inaczej. Zdecydował się omówić z Tarazą kilka koniecznych zmian w twierdzy Gammu, wcześniej jednak musiał wygrać inną bitwę. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że wkracza do walki.

Gdy lichtuga weszła do doku, Teg wyrzwał przez bulaj i zobaczył na zacienionej burcie liniowca gigantyczny symbol Ixa wpisany w kartusz Gildii. Ten statek Gildii został wyposażony w ixańską maszynę zastępującą tradycyjnego nawigatora. Na pokładzie będą więc technicy z Ixa obsługujący ten sprzęt. Prawdziwy nawigator Gildii też jednak tam będzie. Gildia nie nauczyła się w pełni wierzyć maszynom, nawet paradując tymi zmodyfikowanymi liniowcami i dając znać Tleilaxowi i Rakis: „Nie potrzebujemy waszego melanżu!”

To właśnie ogłaszał ów gigantyczny symbol Ixa na burcie statku.

Teg poczuł lekkie kołysanie, kiedy lichtugę pochwyciły urządzenia dokujące, i nabrał tchu. Zawsze czuł się tak przed bitwą: uwolniony od fałszywych złudzeń. Była porażką. Rozmowy zawiodły i przyszedł czas na krwawą rozprawę... chyba że zdoła zwyciężyć w inny sposób. W tych czasach walka rzadko angażowała wielkie siły, niemniej pociągała za sobą śmierć. Oznaczało to trwalszy rodzaj porażki.

„Jeżeli nie potrafimy pokojowo załagodzić różnic, jesteśmy niehumanicy”.

Teg powiedział to kiedyś podczas negocjacji, stojąc z pięściami opartymi o stół i pochylając się ku trzem napiętym twarzom. Dwaj mężczyźni i kobieta reprezentowali połączone interesy rybomównych i Ixan. Tych troje sprzymierzyło się przeciw popieranemu przez Gildię konsorcjum, które było fasadą KHOAM. Spierano się o pięć planetarnych rynków zbytu. Interesy Bene Gesserit też wchodziły w grę, bo na każdej z tych planet siostry utrzymywały twierdze i misje, które zostałyby zniszczone, gdyby spór zakończył się starciem zbrojnym. Zgromadzenie wystąpiło w roli zainteresowanego arbitra, od początku okazując, że sprzeciwi się siłą każdemu, kto sięgnie po broń.

Dostrzegając w tym wzór, Teg rozlokował na pozaprzestrzennych monitorach szesnaście wyszkolonych przez siebie legionów gotowych do akcji na jego znak.

Emocje brały górę podczas tych negocjacji i Teg nigdy nie miał pewności, czy to jego elokwencja, czy nieuchronność użycia siły doprowadziła do kompromisu. Ten kompromis kosztował go po dwa legiony na każdą z pięciu planet dla nadzorowania ugody. Dwaj jego oficerowie zostali zasztyletowani, on zaś musiał stracić dziewięciu cywilów, nim zapanował spokój; znikomy przelew krwi, biorąc pod uwagę możliwość większego konfliktu.

Zgromadzenie analizowało potem tę sprawę i doszło do wniosku, że reputacja Tega przyczyniła się do jej rozwiązania w takim samym stopniu jak inne czynniki. Teg przyjął tę pochwałę jako jeszcze jeden przejaw możliwości zbalansowania potężnych sił o sprzecznych interesach. Każdy ruch takich potęg był ostatecznie pionkiem w jakichś odległych negocjacjach. Wszystko to można było interpretować jako parcie do konfrontacji, gdy celem zgromadzenia było zapobieganie monopolom i utrzymywanie poziomu cen.

Wysiadł z lichtugi i pokręcił głową, jakby chciał oczyścić umysł ze starych wspomnień. To były dawne dzieje, rzeczy, które zdarzyły się przed przejściem w stan spoczynku, przed gholą.

Ochroniarz mówiący z wyraźnym ixańskim akcentem poprowadził Tega do Tarazy. W korytarzach i pneumatubach Teg rozglądał się, szukając znaków potwierdzających sekretne ostrzeżenie Matki Przełożonej. Wszystko wydawało się spokojne i zwyczajne. Przewodnik okazywał mu szacunek należny baszarowi.

– Byłem komendantem Tiregu na Andioyu – powiedział, wspominając jedną z bitew, którym Teg zapobiegł.

Podeszli do zwykłego owalnego luku w ścianie zwykłego korytarza. Luk otworzył się i Teg znalazł się w wygodnej kabinie o białych ścianach wyposażonej w podwieszane fotele, niskie stoliki i żółte lumisfery. Właz zamknął się za nim ze szczękiem, zostawiając przewodnika na korytarzu.

Nowicjuszka Bene Gesserit odchyliła koronkową zasłonę w przejściu po prawej. Skinęła mu głową. Wiedzą o jego przybyciu. Taraza została powiadomiona.

Teg stłumił drżenie łydek.

„Przemoc?”

Czy nie pomylił się w interpretacji sekretnego ostrzeżenia Tarazy? Czy jego przygotowania będą wystarczające? Po lewej miał czarny wiszący fotel, przy nim długi stół i drugi fotel na końcu stołu. Przeszedł na tę stronę, oparł



się plecami o ścianę i czekał. Zauważył, że na butach wciąż ma brunatny pył Gammu.

W pomieszczeniu unosił się jakiś zapach. Pociągnął nosem. „Szer!”

Czy Taraza spodziewała się, że ją i jej orszak zaatakują sondą ixańską? Teg zażył przed cumowaniem na liniowcu odpowiednią dawkę szeru. Zbyt wiele miał w głowie wiedzy użytecznej dla wrogów. Ten zapach miał inne znaczenie. Był to sygnał, że śledzi ich ktoś, kogo nie można się pozbyć.

Taraza wyszła zza koronkowej zasłony. Pomyślał, że wygląda na zmęczoną, i uznał to za godne uwagi, bo siostry umiały ukrywać zmęczenie do ostatka, póki nie padały z nóg. Naprawdę traciła energię czy też był to jeszcze jeden gest na użytek obserwatorów?

Taraza stanęła, przyglądając się Tegowi. Pomyślała, że baszar wygląda znacznie starszej niż przy ich poprzednim spotkaniu. Trudy obowiązków na Gammu zrobiły swoje, ale dla Matki Przełożonej było to krzepiące. Wykonał swoje zadanie.

– Oceniamy wysoko twoją szybką reakcję.

Umówione słowo „oceniamy” oznaczało: „Obserwuje nas niebezpieczny wróg”.

Teg skinął głową, a jego wzrok pobiegł ku zasłonie, zza której wyszła Taraza.

Matka Wielebna uśmiechnęła się i weszła głębiej do pomieszczenia. Nie zauważyła u Tega najmniejszych nawet oznak uzależnienia od melanzu. Jego wiek zawsze budził podejrzenie, że może korzystać z przedłużającego życie działania przyprawy. Nic w nim jednak nie zdradzało choćby śladu melanzowego nałogu, który wciągał nawet najsilniejszych, kiedy czuli, że zbliża się ich koniec.

Teg miał na sobie starą wojskową kurtkę naczelnego baszara, ale bez złotych wybuchających gwiazd na ramionach i kołnierzu. Zrozumiała ten znak: „Zdobyłem je w twojej służbie. Tym razem też cię nie zawiodę”.

Oczy, które uważnie jej się przyglądały, były spokojne, bez cienia wątpliwości. Cały jego wygląd mówił o wewnętrznym spokoju. Cekał na jej znak.

– Nasz ghola musi zostać obudzony przy pierwszej sposobności. – Machnęła ręką, uciszając go. – Znam raporty Lucylli i wiem, że jest za młody. Jesteśmy jednak zmuszone działać.

Zdawał sobie sprawę, że ona mówi do obserwatorów. Czy można wierzyć jej słowom?

– Rozkazuję ci obudzić go – powiedziała i wygięła lewy nadgarstek gestem potwierdzenia w ich tajnym języku.

To była prawda! Teg spojrzał na zasłony kryjące przejście. Kto tam słucha?

Podszedł do tego problemu jak mentat. Brakowało pewnych fragmentów układanki, ale to go nie powstrzymało. Mentat mógł pracować bez niektórych części, jeżeli miał ich dość, by stworzyć wzór. Czasem wystarczał mu jedynie zarys, bo pozwalał dostrzec ukrytą formę. Potem mógł wykorzystać brakujące fragmenty do odtworzenia całości. Mentaci rzadko dysponowali wszystkimi pożądanymi danymi, ale nauczono go wyczuwać wzory, rozpoznawać systemy i całości. Teg przypomniał sobie swoje szkolenie wojskowe. Rekruta uczy się obchodzić z bronią, kierować ją w cel.

Taraza kierowała teraz nim. Jego ocena sytuacji została potwierdzona.

– Dojdzie do desperackich prób porwania albo zabicia naszego gholi, zanim zdołasz go obudzić.

Rozpoznał ton chłodnej analizy podający dane mentatowi. Dostrzegła zatem, że jest w mentackim transie.

Jego umysł poszukiwał wzoru. Siostry miały plan związany z tym gholą, prawie mu nieznany, ale w jakiś sposób połączony z żyjącą na Rakis dziewczyną, która podobno rozkazuje czerwiom. Ghola Duncana Idaho, nie tylko czarująca osobowość, ale coś jeszcze, co skłoniło Tyrana i Tleilaxan do powielania go niezliczoną ilość razy. Mnóstwo Duncanów! Do czego był zdolny ten ghola, że Tyran nie pozwolił mu spoczywać w pokoju? A Tleilax całe tysiąclecia, nawet po śmierci Tyrana, wydobywał ghole Duncana Idaho ze swoich kadzi aksolotlowych. Sprzedawał te ghole zgromadzeniu dwanaście razy, a zgromadzenie płaciło twardą walutą – melanżem ze swoich zapasów. Dlaczego Tleilax przyjmował coś, co mógł wytworzyć? To jasne! Żeby podkopać zasoby Bene Gesserit. To szczególna forma chciwości. Tleilax kupuje supremację – to *gra o władzę*!

Teg skupił wzrok na czekającej spokojnie Matce Przełożonej.

– Tleilaxanie zabijali naszych gholi, żeby nas kontrolować.

Skinęła głową, ale nie odezwała się. Było więc coś jeszcze. Ponownie pogрузił się w transie.

„Bene Gesserit to cenny rynek zbytu dla tleilaxańskiego melanżu. Są też skromne dostawy z Rakis, ale jest on cenny. Tak, bardzo cenny. Tleilaxanie nie pozbywaliby się tak cennego rynku, chyba że mają na widoku

cenniejszy. Kto jeszcze może być zainteresowany działalnością Bene Gesserit? Bez wątplenia Ix. Ixanie nie są jednak dobrym rynkiem zbytu dla melanżu. Obecność Ixan na tym statku świadczy o ich niezależności. A odkąd Ixanie i rybomówne działają wspólnie, można nie brać pod uwagę rybomównych w tym poszukiwaniu wzoru. Jaka inna potęga albo związek potęg w tym wszechświecie posiada...”

Teg zamarł na tę myśl. Czuł się tak, jakby gwałtownie zatrzymał nurkujący ornitopter. Pozwalał myślom szybować swobodnie, wybrawszy inne rozwiązanie.

„Nie w tym wszechświecie...”

Wzór nabierał kształtów.

„Bogactwo”. Gammu przyjęła nową rolę w mentackich obliczeniach. Została niegdyś złupiona przez Harkonnenów i porzucona niczym gnijące ścierwo. Mieszkańcy Danu przywrócili ją do życia. Nadszedł jednak czas, kiedy nawet nadzieja opuściła tę planetę. Bez nadziei nie było marzeń. Wydobywając się z kloaki, jej mieszkańcy kierowali się najbardziej przyziemnym pragmatyzmem. „Jeżeli to działa, jest dobre”.

„Bogactwo”.

Podczas pierwszego zetknięcia z Gammu uderzyła go liczba banków. Niektóre ogłaszały się nawet jako banki Bene Gesserit. Gammu była punktem wyjścia do manipulacji ogromnym bogactwem. Przypomniawszy sobie nagle i wyraźnie bank, który odwiedził, by zbadać jego użyteczność w razie zagrożenia. Zdał sobie wówczas z miejsca sprawę, że nie ogranicza się on do czysto planetarnych interesów. To był bank bankierów.

„Nie chodziło o zwyczajne bogactwo, ale o Bogactwo”.

Rozwinięcie pierwszego wzoru nie powiodło się, ale miał dość danych do przeprowadzenia projekcji sprawdzającej. Bogactwo nie z tego świata! Ludzie z Rozproszenia.

Całe to mentackie sortowanie danych zajęło parę sekund. Osiągnąwszy punkt oparcia, Teg pozwolił sobie na rozluźnienie mięśni i nerwów. Spojrzał na Tarazę i podszedł do zasłoniętego wejścia. Matka Przełożona nie okazała niepokoju.

Szarpnąwszy na boki zasłony, Teg stanął twarzą w twarz z kimś prawie tak wysokim jak on sam. Tamten nosił mundur polowy ze skrzyżowanymi włóczniami na kołnierzu bluzy. Miał szeroką twarz o szerokim podbródku, a w zielonych oczach wyraz zaskoczenia. Trzymał dłoń nad kieszenią, w której najwyraźniej była broń.

Baszar uśmiechnął się do niego, zaciągnął zasłonę i wrócił do Tarazy.

– Obserwują nas ludzie z Rozproszenia – powiedział.

Bene Gesserit odetchnęła. Wyczyn Tega robił wrażenie.

Zasłony rozsunęły się z szelestem i wysoki obcy wszedł do pomieszczenia. Lodowaty wyraz gniewu ścinał mu twarz.

– Uprzedzałem cię, żebyś mu nie mówiła! – rzekł szorstkim barytonem z nieznanym Tegowi akcentem.

– A ja uprzedzałam cię o możliwościach tego mentata i baszara – odparła z pogardą Taraza.

Tamten opanował się i po twarzy przemknął mu lęk.

– Dostojna Matrono, ja...

– Nie waż się tak do mnie mówić! – Taraza przybrała bojową postawę, w której Teg jej jeszcze nie widział.

– Droga pani, to nie ty panujesz nad sytuacją. Muszę przypomnieć, że moje rozkazy...

Teg usłyszał dość.

– Ona panuje nad sytuacją dzięki mnie. Zanim tu przybyłem, uruchomiłem siły obronne. To... – rozejrzał się i powrócił wzrokiem do obcego – nie jest statek pozaprzestrzenny. W tej chwili dwa nasze monitory pozaprzestrzenne mają was na celowniku.

– Nie przeżylibyście tego! – warknął tamten.

Teg uśmiechnął się przyjaźnie.

– Nikt na tym statku nie przeżyje. – Zacisnął szczęki, włączając założony w nerwie sygnalizator, żeby uruchomić pulsacyjny mechanizm zegarowy w czaszce. Przed jego oczami zaczęły się pojawiać symbole. – I nie macie wiele czasu na podjęcie decyzji.

– Powiedz mu, skąd wiedziałeś, co robić – poleciła Taraza.

– Mamy z Matką Przełożoną prywatne sposoby komunikacji. Poza tym, nie musiała mnie ostrzegać. Wystarczyło wezwanie. Matka Przełożona na pokładzie liniowca Gildii w takich czasach? To niemożliwe!

– Sytuacja bez wyjścia – warknął obcy.

– Być może – odrzekł Teg. – Ale ani Gildia, ani Ix nie zaryzykują totalnego ataku wszystkich sił Bene Gesserit pod wyszkolonym przeze mnie dowództwem. Mówię o baszarze Burzmalim. Twoje wsparcie to już przeszłość.

– Nic mu o tym nie mówiłam – wpadła mu w słowo Taraza. – Byłeś właśnie świadkiem działania baszara mentata, który moim zdaniem nie ma

równego sobie w waszym wszechświecie. Pomyśl o tym, zanim wystąpisz przeciw Burzmalemu, wyszkolonemu przez tego mentata.

Obcy przeniósł wzrok z Tarazy na Tega, a potem znów na Tarazę.

– Z tej sytuacji bez wyjścia jest wyjście – rzekł baszar. – Matka Przełożona Taraza i jej świta odlecą ze mną. Musisz zdecydować natychmiast. Czas ucieka.

– To blef – powiedział bez przekonania obcy.

Teg obrócił się do Tarazy i skłonił się.

– Było wielkim honorem służyć ci, Wielebna Matko Przełożona. Żegnaj.

– Być może śmierć nas nie rozłączy – odpowiedziała Taraza tradycyjną formułą pożegnania Matki Wielebnej z równą sobie siostrą.

– Idźcie! – Obcy rzucił się do luku i otworzył go szarpnięciem na oścież, ukazując dwóch zaskoczonych ixańskich strażników.

– Zabrać ich na ich lichtugę! – rozkazał ochryple.

– Wezwij swoją świtę, Matko Przełożona – powiedział spokojnie Teg, po czym zwrócił się do obcego stojącego przy luku: – Za bardzo cenisz swoją skórę, żeby być dobrym żołnierzem. Nikt z moich ludzi nie popełniłby tego błędu.

– Na tym statku są prawdziwe Dostojne Matrony – odgryzł się tamten. – Przysiągłem je chronić.

Teg skrzywił się i skierował ku Tarazie, która wyprowadzała z przyległego pomieszczenia swoją świtę: dwie Matki Wielebne i cztery nowicjuszek. Rozpoznał jedną z Matek Wielebnych – Darwi Odrade. Widział ją przedtem tylko z daleka, ale owalna twarz i piękne oczy były czarujące. Jakże podobna do Lucylli!

– Czy mamy czas na prezentację? – spytała Taraza.

– Oczywiście, Matko Przełożona.

Baszar skinął głową i ścisnął dłoń każdej z kobiet przedstawianych przez Tarazę.

– Musimy przestrzegać form – zwrócił się do nieznanego w mundurze, gdy odchodzili. – Bez tego nie bylibyśmy w pełni ludźmi.

Dopiero gdy znaleźli się na lichtudze i Taraza usiadła przy nim, a jej świta w pobliżu, Teg zadał to najważniejsze pytanie:

– Jak was pochwycili?

Lichtuga nurkowała ku planecie. Ekran przed Tegiem pokazywał liniowiec Gildii ze znakiem Ixa wypełniający polecenie zostania na orbicie, dopóki jego grupa nie będzie bezpieczna za systemami obronnymi Gammu.

Zanim Taraza zdążyła odpowiedzieć, Odrade pochyliła się nad dzielącym je przejściem.

– Odwołałam, Matko, rozkaz baszara, żeby zniszczyć ten statek Gildii.

Teg odwrócił głowę i zmierzył Odrade ostrym wzrokiem.

– Przecież oni was uwięzili i... – Zmarszczył brwi. – Skąd wiedziałaś, że ja...

– Miles!

W głosie Tarazy brzmiała przygana. Uśmiechnął się posępnie. Tak, ona знаła go prawie tak dobrze jak on sam, a pod pewnymi względami nawet lepiej.

– Nie pojмали nas tak po prostu – powiedziała Taraza. – Pozwoliłyśmy się uwięzić. Odprowadzałam jakoby Dar na Rakis. Zostawiłyśmy na Węźle nasz statek pozaprzestrzenny i poprosiłyśmy o najszybszy liniowiec Gildii. Cała moja rada z Burzmalim włącznie była zdania, że intruzi z Rozproszenia przejmą ten statek i zabiorą nas na Gammu, żeby zebrać wszystkie elementy projektu gholi.

Teg był wstrząśnięty. „Co za ryzyko!”

– Wiedziałyśmy, że nas ocalisz. Na wszelki wypadek jednak Burzmali był blisko.

– Ten statek Gildii, który oszczędziłaś, wezwie wsparcie i zaatakują...

– Nie zaatakują Gammu. Zbyt wiele zgromadziło się na niej różnych sił z Rozproszenia. Nie odważą się wyeliminować tak wielu.

– Chciałbym być tego tak pewny jak ty.

– Bądź pewny, Miles. Poza tym, były inne powody, by nie niszczyć tego statku Gildii. Ix i Gildia zostały przyłapane po tej samej stronie. To nie sprzyja interesom, a oni potrzebują teraz każdego możliwego interesu.

– Chyba że mają lepszych klientów, którzy dadzą więcej.

– Ach, Miles – powiedziała w zamyśleniu. – My, Bene Gesserit ostatnich czasów, staramy się przywrócić sprawom spokojniejszy bieg, równowagę. Wiesz o tym.

Teg zgodził się, ale jego uwagę przykuł zwrot „ostatnich czasów”. Te słowa brzmiały jak przedśmiertne podsumowanie. Nie zdążył jednak zaprotestować, bo Taraza mówiła dalej.

– Wolimy rozwiązywać najbardziej zapalne sytuacje poza polem bitwy. Muszę przyznać, że tę skłonność zawdzięczamy Tyranowi. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek pomyślał o sobie jako o wytworze uwarunkowań narzuconych przez Tyrana, ale tak jest.

Teg przyjął to bez słowa. To był czynnik wpływający na całą ludzkość. Żaden mentat nie dyskutował z tym faktem.

– Ta właśnie cecha przyciągnęła nas do ciebie – powiedziała Taraza. – Możesz być czasem diabelnie nużący, ale bez tego nie byłbyś tym, kim jesteś.

Subtelności tonu i zachowania dały Tegowi do zrozumienia, że Matka Przełożona nie mówi wyłącznie na jego użytek, ale kieruje te słowa również do swej świty.

– Wiesz, że można się wściec, słuchając, jak przytaczasz z równą siłą argumenty obu stron? Twoja sympatia to jednak potężna broń. Nasi wrogowie wpadali w przerażenie, dowiadując się, że występujesz przeciw nim tam, gdzie się tego nie spodziewali.

Teg pozwolił sobie na powściągliwy uśmiech. Spojrzał na siedzące naprzeciw kobiety. Dlaczego Taraza kierowała do nich takie słowa? Darwi Odrade zdawała się odpoczywać z odchyloną głową i zamkniętymi oczami, a inne gawędziły, lecz Teg nie dał się zwieść. Nawet nowicjuszek Bene Gesserit umiały dzielić uwagę. Powrócił spojrzeniem do Tarazy.

– Ty naprawdę utożsamiasz się z wrogiem – powiedziała. – To mam na myśli. I oczywiście, kiedy jesteś w tym stanie ducha, wróg dla ciebie nie istnieje.

– Ależ istnieje!

– Nie zrozum mnie źle. Nigdy nie wątpiliśmy w twoją lojalność. To jednak niesamowite, jak nam każesz widzieć coś, czego inaczej byśmy nie zobaczyły. Czasami jesteś naszymi oczami, Miles.

Zauważył, że Darwi Odrade otworzyła oczy i spojrzała na niego. Była uroczą kobietą. Coś w jej wyglądzie nie dawało mu spokoju. Tak jak Lucylla, przypominała mu kogoś z przeszłości. Zanim zdążył pójść za tą myślą, Taraza znów przemówiła.

– Czy ghola też ma tę umiejętność balansowania między przeciwnymi siłami? – spytała.

– Mógłby być mentatem.

– W jednym ze swoich wcieleń *był* mentatem, Miles.

– Naprawdę chcesz go przebudzić w tak młodym wieku?

– To jest konieczne, Miles. Tak musi być.



Niepowodzenie KHOAM? To całkiem proste: ignorują oni fakt, że na obrzeżach ich działalności czekają większe potęgi ekonomiczne, które mogą ich połknąć tak jak świmak połyka odpadki. Oto jest prawdziwa groźba Rozproszenia – dla nich i dla nas wszystkich.

– protokoły Rady Bene Gesserit, archiw. SXX90CH

Odrade śledziła rozmowę Tega z Tarazą jedynie częścią swej świadomości. Lichtuga była mała, a jej przedział pasażerski ciasny. Wiedziała, że czeka ich hamowanie atmosferą, więc przygotowała się na szarpnięcie. Pilot nie użyje dryfów, żeby oszczędzić energię.

Wykorzystywała takie chwile tak jak ostatnio wszystkie podobne – na przygotowanie się do czekającego ją zadania. Czas naglił. Rządził nią teraz szczególny kalendarz.

Przed opuszczeniem Kapituły patrzyła na kalendarz, zafascynowana, jak to jej się często zdarzało, trwałością czasu i jego języka: sekund, minut, godzin, dni, tygodni, miesiący, lat... standardowych lat, ściśle rzecz biorąc. „Trwałość” nie była właściwym określeniem tego fenomenu. „Niewzruszoność” była bardziej odpowiednia. Tradycja. Nigdy nie naruszaj tradycji. Te pradawne miary upływu czasu narzucono planetom, których rytm nie zgadzał się z prymitywnym zegarem ludzkości. Tydzień miał siedem dni. Siedem! Jak potężna była ta liczba. Mistyczna. Została uświęcona przez Biblię Protestancko-Katolicką. Pan stworzył świat w ciągu sześciu dni, „a siódmego dnia odpoczywał”.

„Słusznie postąpił! – pomyślała Odrade. – Każdy powinien odpocząć po wielkim trudzie”.

Obróciła nieco głowę i spojrzała na Tega. Nie domyślał się, jak wiele o nim miała wspomnień. Mogła teraz ocenić, jak minione lata potraktowały tamtą silną twarz. Nauczanie gholi wyczerpało go. Ten chłopiec w twierdzy Gammu musi być niczym gąbka wchłaniająca wszystko wokół siebie.

„Czy wiesz, jak cię wykorzystujemy, Miles?” – spytała w duchu.

Ta myśl osłabiała ją, ale Odrade pozwalała jej trwać w świadomości wbrew wszystkiemu. Jakże łatwo byłoby kochać tego starca. Nie jako mężczyznę, oczywiście... ale jednak kochać. Rozpoznała dzięki umiejętnościom Bene Gesserit przyciągające ją do niego uczucie. Miłość, przekłeta miłość, osłabiająca miłość.



To samo czuła do pierwszego mężczyzny, którego kazano jej uwieść. Dziwne wrażenie. Lata warunkowania przez Bene Gesserit nakazywały jej zachowywać ostrożność. Żadna z opiekunek nie pozwoliła jej na luksus takiego przyjętego bez zastrzeżeń ciepła. Z czasem poznała tego powody. Wtedy była tam jednak, posłana przez genetyczki z rozkazem, by zbliżyć się do tamtego i pozwolić mu w siebie wejść.

Miała w świadomości wszystkie dane kliniczne i jasno widziała podniecenie swego partnera, chociaż sama czuła je także. Ostatecznie, została przygotowana do tej roli przez mężczyzn, których genetyczki wybierały i szkoliły z najwyższą finezją.

Westchnęła, odwróciła wzrok od Tega i zamknęła oczy, pograżając się we wspomnieniach. Trenerzy nigdy nie pozwalali sobie na okazywanie uczennicom przywiązania. Ta niedoskonałość edukacji seksualnej była konieczna.

Pierwsze uwiedzenie, które jej zlecono: okazała się zupełnie nieprzygotowana na obezwładniającą ekstazę jednoczesnego orgazmu, tego wzajemnego oddania tak starego jak ludzkość... nie, starszego! Potęga owego uczucia mogła przemóc rozum. Wyraz twarzy jej partnera, słodczy pocałunku, odrzucenie wszelkich obronnych barier, bezbronność. Żaden trener nigdy sobie na coś takiego nie pozwolił! Desperacko sięgnęła do nauk Bene Gesserit. Dzięki nim odczytała z twarzy tego mężczyzny prawdę o nim i przez chwilę odpowiadała mu tym samym, doświadczając nowych szczytów ekstazy, o których nie wspominała żadna jej nauczycielka. W owej chwili zrozumiała, co się przydarzyło lady Jessice i innym „niepowodzeniom” Bene Gesserit.

Tym uczuciem była miłość!

Jej siła przeraziła ją (co przewidziały genetyczki), uciekła więc w uwarunkowanie Bene Gesserit, ukryła przeblysłk prawdziwych uczuć pod maską zadowolenia i zastosowała wyrafinowane pieszczoty, chociaż naturalne byłyby łatwiejsze (ale mniej skuteczne).

Mężczyzna zareagował tak, jak się należało spodziewać, czyli głupio. Myślenie o nim jak o głupcu pomogło.

Jej drugi podbój był łatwiejszy. Mimo to wciąż umiała przywołać z pamięci rysy tamtego pierwszego, robiąc to czasem nie bez zdziwienia. Niekiedy jego twarz pojawiała się jej samoistnie, bez widocznej przyczyny.

Następnych mężczyzn, z którymi kazano jej się łączyć, pamiętała inaczej. Musiała przeszukiwać pamięć, by ich zobaczyć. Zapis zmysłowych przeżyć

z nimi nie sięgał głęboko. Nie to, co z tym pierwszym!

Taka była groźna siła miłości!

I pomyśleć o kłopotach, których ta ukryta siła przyczyniała Bene Gesserit w ciągu tysiącleci! Lady Jessika ze swoją miłością do jej księcia była tylko jednym z mnóstwa przykładów. Miłość przesłaniała rozsądek. Odrywała siostry od ich obowiązków. Można ją było tolerować tylko wtedy, gdy nie powodowała nagłych i oczywistych szkód albo gdy służyła ważniejszym celom zgromadzenia. Należało jej unikać. Zawsze jednak pozostawała pod uprawiającą w niepokój obserwacją.

Odrade otworzyła oczy i znów spojrzała na Tarazę i Tega. Matka Przełożona podjęła nowy temat. Jak drażniący bywał jej głos! Darwi zamknęła oczy i przysłuchiwała się rozmowie, przykuta do tych dwóch głosów nierozzerwalnym ogniwem świadomości.

– Tylko nieliczni rozumieją, jak bardzo infrastruktura cywilizacji jest infrastrukturą uzależnienia – mówiła Taraza. – Wyciągnęłyśmy z tego lekcję.

„Miłość jest infrastrukturą uzależnienia” – pomyślała Odrade. Dlaczego Taraza podjęła ten temat? Matka Przełożona rzadko działała bez głębszych powodów.

– Infrastruktura uzależnienia to termin, który obejmuje wszystko, czego trzeba ludzkiej populacji do przetrwania w obecnej lub zwiększonej liczebności – mówiła Taraza.

– Melanż? – spytał Teg.

– Oczywiście, ale większość ludzi patrzy na przyprawę i mówi: „To miło, że ją mamy i możemy cieszyć się dłuższym życiem niż nasi przodkowie”.

– Zakładając, że ich na nią stać. – W głosie baszara była uszczypliwość.

– Dopóki żaden monopol nie kontroluje rynku, większość na nią stać – odparła Taraza.

– Wyssałem ekonomię z mlekiem matki – rzekł Teg. – Żywność, woda, powietrze, nieskażona przestrzeń życiowa... istnieje różnego rodzaju pieniądź, a jego wartość zmienia się w miarę uzależnienia.

Słuchając go, Odrade omal nie przytaknęła. Jej reakcja była taka sama. „Nie przelewaj z pustego w próżne, Tarazo! Do rzeczy!”

– Chciałabym, żebyś dokładnie przypomniał sobie nauki matki – powiedziała Matka Przełożona. „Jaki słodki ma teraz głos!” I nagle, zmieniawszy ton, rzuciła: – Despotyzm hydrauliczny!

„Dobrze jej wyszła ta zmiana akcentów!” – pomyślała Odrade. Pamięć wypłuka informacje niczym otwarty z nagła kran. „Despotyzm hydrauliczny:

scentralizowana kontrola nad niezbędną do życia energią – wodą, energią elektryczną, paliwem, lekami, melanżem... Bądź posłuszny tej centralnej kontroli albo odetną ci energię i zginiesz!”

Taraza znów przemówiła.

– Jest jeszcze jedno przydatne pojęcie, którego na pewno uczyła cię matka: kluczowa kłoda.

W tym momencie Odrade była już naprawdę zaciekawiona. Taraza kierowała tą rozmową ku czemuś ważnemu. „Kluczowa kłoda: prawdziwie starożytne pojęcie z czasów przeddryfowych, kiedy drwale spławiali ścięte pnie rzekami do tartaków. Niekiedy kłody tworzyły zator i sprowadzano eksperta, by znalazł tę jedną jedyną, kluczową kłodę, której usunięcie rozładowywało zator”. Wiedziała, że Teg rozumie to pojęcie, ale ona i Taraza mogły dzięki Innym Wspomnieniom przywołać widok słupa wody i potrzaskanego drewna po usunięciu przegrody.

– Tyran był kluczową kłodą. Utworzył zator i rozładował go.

Lichtuga zatrzęsała się gwałtownie, wchodząc w pierwsze warstwy atmosfery Gammu. Odrade czuła przez kilka sekund ucisk pasów, póki statek nie wyrównał lotu.

– Poza tak zwanymi naturalnymi uzależnieniami istnieją religie stworzone przez psychikę – podjęła po chwili Taraza. – Nawet fizyczne potrzeby mogą zawierać taki ukryty składnik.

– Całkiem nieźle rozumie to Missionaria Protectiva – powiedział Teg.

I znowu Odrade usłyszała w jego głosie nutę niechęci. Taraza też musiała ją słyszeć. „Do czego ona zmierza? Chce go osłabić!”

– Ach, tak – powiedziała Matka Przełożona. – Nasza Missionaria Protectiva. Ludzie bardzo pragną, by ich wierzenia były „prawdziwą wiarą”. To im daje satysfakcję albo poczucie bezpieczeństwa i, jeżeli zawiera się w strukturze wierzeń, stwarza potężny czynnik uzależnienia. – Na moment znów zamilkła, gdy lichtuga przedzierała się przez obszar wstrząsów. – Wolałabym, żeby użył dryfów! – jęknęła.

– To oszczędność energii – zauważył Teg. – Mniejsze uzależnienie.

Taraza parsknęła śmiechem.

– O tak, Miles. Dobrze pamiętasz lekcję. Widzę w tym rękę twojej matki. Do diabła z zasadami, kiedy dziecko zmierza ku niebezpieczeństwu.

– Myślisz o mnie jako o dziecku?

– Myślę o tobie jako o kimś, kto właśnie przeżył swój pierwszy kontakt z tak zwanymi Dostojnymi Matronami.

„Więc o to chodzi!” – pomyślała Odrade. I nagle zdała sobie sprawę, że Taraza przemawia do szerszego kręgu słuchaczy. „Mówi do mnie!”

– Te Dostojne Matrony, jak siebie nazywają – mówiła Taraza – kojarzą seksualną ekstazę z wierzeniami. Wątpię, czy choćby domyślają się zagrożenia.

Odrade otworzyła oczy i spojrzała na siedzącą naprzeciw Matkę Przełożoną. Taraza wpatrywała się w Tega z napięciem. Jej twarz była nieprzenikniona. Tylko oczy płonęły, prosząc, by ją zrozumiał.

– Zagrożenia – powtórzyła. – Ogromna masa ludzkości ma niewątpliwie jedną osobowość. Może być jednością, działać jak jeden organizm.

– Tak twierdził Tyran – sprzeciwił się Teg.

– I udowodnił to. Manipulował tą zbiorową duszą. Czasem, Miles, przetrwanie wymaga, żebyśmy się dzielili duszami. Wiesz, że dusze zawsze szukają drogi wyjścia.

– Czy obcowanie z duszami nie wyszło z mody w naszych czasach? – spytał baszar.

Jego kpiący ton nie spodobał się Odrade. Zauważyła też, że ta kpina wzbudziła gniew Tarazy.

– Myślisz, że mówię o religijnych modach? – Wysoki głos Tarazy był napastliwy i szorstki. – Oboje wiemy, że religie można tworzyć! Mówię o tych Dostojnych Matronach, które usiłują nas małpować, ale nie przejęły niczego z głębin naszej wiedzy. Ośmielają się czynić siebie obiektem czci!

– Tego zawsze unikały Bene Gesserit – przyznał Teg. – Moja matka mówiła, że czciciele i ich bóstwa są połączeni wiarą.

– I mogą zostać rozłączeni.

Odrade spostrzegła, że Teg zapada nagle w mentacki trans. Jego spojrzenie straciło ostrość, rysy złagodniały. Zrozumiała teraz częściowo, co robi Taraza. „Mentat jedzie niczym Rzymianin na grzbietach dwóch rumaków. Każdą stopę opiera na innej rzeczywistości, a pogoń za poszukiwanym wzorem popycha go naprzód. Musi podążać w różnych rzeczywistościach do jednego celu”.

Teg przemówił monotonnym, zamysłonym głosem mentata.

– Podzielone siły będą walczyć o supremację.

Taraza wydała westchnienie ulgi tak spontaniczne, że prawie zmysłowe.

– Infrastruktura uzależnienia – powiedziała. – Te kobiety z Rozproszona podporządkowują sobie podzielone siły, które będą walczyć o przywództwo.

Tamten wojskowy na statku Gildii mówił o Dostojnych Matronach z lękiem i nienawiścią zarazem. Na pewno słyszałeś to w jego głosie, Miles.

– Słyszałem. – Teg znowu patrzył w oczy Tarazie, łowiąc każde jej słowo tak samo jak Odrade.

– Uzależnienia mogą być proste i złożone. Weźmy choćby ból zębów.

– Ból zębów? – Teg został wytrącony z mentackiego transu.

Odrade pomyślała, że tego właśnie chciała Taraza. Prowadziła swego baszara mentata pewną ręką. „A ja powinnam patrzeć i się uczyć” – stwierdziła.

– Ból zębów – mówiła Matka Przełożona. – Prosty implant wszczepiony przy urodzeniu zapobiega temu przekleństwu ludzkości. Mimo to musimy czyścić zęby i dbać o nie. To dla nas tak oczywiste, że o tym nie myślimy. Narzędzia, które uważamy za składniki otoczenia, materiały, instruktorzy, lekarze...

– Mentatowi nie trzeba tego tłumaczyć.

– To prawda – przyznała.

– Więc po co to robisz?

– Mentacie, spójrz na to, co wiesz o Dostojnych Matronach, i powiedz, w czym tkwi ich słabość.

Teg odpowiedział bez wahania.

– One przetrwają tylko wtedy, gdy zwiększą uzależnienie tych, którzy je popierają. To ślepy zaulek nałogowców.

– Właśnie. A w czym tkwi niebezpieczeństwo?

– Upadając, mogą pograżyć znaczną część ludzkości.

– To było właśnie największe zmartwienie Tyrana, Miles. Jestem pewna, że on to rozumiał. Teraz słuchaj mnie uważnie. Ty także, Dar. – Taraza spojrzała w bok i napotkała wzrok Odrade. – Słuchajcie oboje. My, Bene Gesserit, wpuszczamy w ludzki potok bardzo potężne... żywioły. Mogą one spowodować zator. Z pewnością mogą narobić szkód. My zaś...

Lichtugą znowu silnie trzęsło. Rozmowa była niemożliwa. Czepiali się foteli i słuchali ryku i trzasków wokół nich. Kiedy wszystko się uspokoiło, Taraza podniosła głos.

– Jeżeli przeżyjemy w tej przeklętej maszynie i dotrzemy na Gammu, musisz tam porozmawiać w cztery oczy z Dar, Miles. Widziałeś *Manifest Atrydów*. Ona opowie ci o nim i przygotowuje cię. To wszystko.

Teg obrócił się i spojrzał na Odrade. Raz jeszcze jej rysy poruszyły w nim wspomnienia. Była uderzająco podobna do Lucylli, ale nie tylko. Odłożył to.

Odrade zauważyła jego pytającą minę. W tej chwili zrozumiała motywy Tarazy. Rozkazy Matki Przełożonej nabrały nowego znaczenia, tak jak słowa samego *Manifestu*.

„Podobnie jak wszechświat tworzony jest z udziałem świadomości, prorok doprowadza tę zdolność tworzenia do ostatecznych granic. Taka była niepojęta moc atrydzkiego bastarda, którą przekazał swemu synowi Tyranowi”.

Odrade знаła te słowa tak, jak może je znać tylko autor, ale teraz wróciły do niej jakby usłyszane pierwszy raz.

„Niech cię diabli, Tar! – pomyślała. – A jeśli się mylisz?”



Na poziomie kwantowym można postrzegać nasz wszechświat jako miejsce nieokreślone, przewidywalne statystycznie jedynie przy użyciu dostatecznie wielkich liczb. Między takim wszechświatem a wszechświatem względnie przewidywalnym, w którym ruch każdej planety można obliczyć z dokładnością do pikosekundy, wchodzi w grę inne siły. We wszechświecie naszego powszedniego życia dominującą siłą jest to, w co wierzyć. Wasze wierzenia rządzą codziennym rozwojem wydarzeń. Jeżeli zbierze się odpowiednio wielu wierzących, mogą powołać do istnienia coś nowego. Struktura wiary tworzy filtr, przez który chaos precedza się w porządek.

– *Analiza Tyrana*, akta Tarazy, archiwa Bene Gesserit

Teg miał zamęt w głowie, kiedy wrócił na Gammu ze statku Gildii. Zszedł z pokładu lichtugi na osmalony skraj lądowiska twierdzy i rozejrzał się, jakby widział wszystko po raz pierwszy. Było prawie południe. Tak mało czasu minęło, a tak wiele się zmieniło.

Zastanawiał się, jak daleko posuną się Bene Gesserit, udzielając mu tej ważnej lekcji. Taraza wytrąciła go z mentackiej procedury. Miał wrażenie, że cały incydent na statku Gildii został zaaranżowany specjalnie dla niego. Zepchnięto go z przewidywanego kursu. Jakże obca wydawała się Gammu, gdy szedł po strzeżonym pasie do szybów wejściowych.

Teg widział wiele planet. Poznał ich zwyczaje i piętna, jakie odciskały na mieszkańcach. Niektóre miały w pobliżu wielkie żółte słońca, ogrzewające wszystko, co żyło, rozwijało się i rosło. Inne miały niewielkie, migotliwe słońca w oddali na ciemnym niebie, a ich światło ledwie je muskało. Wewnątrz tego przedziału, a nawet poza nim, istniały różne warianty. Słońce

Gammu było wariantem zielono-żółtym. Dzień na tej planecie miał 31,27 standardowej godziny, a rok liczył 2,6 standardowego. Teg myślał, że zna Gammu.

Kiedy Harkonnenowie zmuszeni byli ją opuścić, przybyli tu koloniści pozostali po Rozproszeniu i użyli nazwy, jaką nadał jej Halleck podczas wielkiego odnawiania map. Znani byli wówczas jako Kaladańczycy, ale kolejne tysiąclecia poskracały nazwy.

Teg zatrzymał się przy wejściu, między murami oporowymi prowadzącymi z lądowiska pod twierdzą. Taraza i jej grupka pozostały z tyłu. Widział, jak Taraza tłumaczy coś Odrade.

„*Manifest Atrydów*” – pomyślał.

Nawet na Gammu jedynie nieliczni przyznawali się do harkonneńskiego lub atrydzkiego pochodzenia, chociaż genotypy były widoczne... zwłaszcza dominujący atrydzki: długie, ostre nosy, wysokie czoła i zmysłowe usta. Cechy te były często rozproszone – usta w jednej twarzy, przenikliwe oczy w drugiej. Czasem jednak ktoś miał je wszystkie i wtedy widziało się w nim dumę i wewnętrzną wiedzę: „Jestem jednym z nich!”

Rdzenni mieszkańcy Gammu rozpoznawali to i odstępowali na bok, ale niewielu nazywało powód po imieniu.

U podstaw leżało to, co pozostawili Harkonnenowie – linie genetyczne sięgające aż do czasów Greków, Partów i Mameluków, cienie starożytnej historii, które mało kto spoza zawodowych historyków albo Bene Gesserit potrafiłby nazwać.

Taraza dogoniła go ze swoją gromadką. Usłyszał, jak mówi do Odrade:

– Musisz powiedzieć to wszystko Milesowi.

„I dobrze, że mi to powie” – stwierdził. Odwrócił się i ruszył obok wewnętrznej wartowni długim korytarzem prowadzącym pod bunkrami do właściwej twierdzy. „Do diabła z Bene Gesserit! – pomyślał. – Co my właściwie robimy tu, na Gammu?”

Wiele znaków na planecie wskazywało na obecność Bene Gesserit. Siostry prowadziły wsteczną selekcję, by utrwalić wybrane cechy. Tu i tam przykuwały uwagę uwodzicielskie oczy kobiet. Machinalnie oddał honory kapitan straży. „Tak, uwodzicielskie oczy”. Zauważył je wkrótce po przybyciu do twierdzy gholi, a upewnił się w tym podczas pierwszego objazdu planety. Widział też wtedy siebie w wielu twarzach i przypomniał sobie, co mu powtarzał Patrin. „Wyglądasz, jakbyś pochodził z Gammu, baszarze”.

Uwodzicielskie oczy! Takie miała kapitan straży. Była w tym podobna do Lucylli. Niewielu ludzi przywiązywało wagę do znaczenia oczu w uwodzeniu. Trzeba mieć wyszkolenie Bene Gesserit, żeby to zauważać. Pełne piersi kobiet i silne lędźwia mężczyzn (te twarde, umięśnione pośladki!) były naturalnie ważne w doborze seksualnym. Bez oczu jednak cała reszta nie zdawała się na nic. Oczy były najważniejsze. Już dawno zorientował się, że w pewnego rodzaju oczach można zatonać, pogrążyć się w nich, nie wiedząc, co się dzieje, dopóki wagina nie ścisnie penisa.

Oczy Lucylli dostrzegł natychmiast po przybyciu na Gammu i stał się bardzo ostrożny. Nie miał wątpliwości co do sposobu, w jaki zgromadzenie wykorzystuje jej talenty.

Lucylla czekała w głównej komorze kontroli i odkażania. Dała mu znak ręką, że z gholą wszystko w porządku. Odprężył się i przyglądał jej spotkaniu z Odrade. Te dwie kobiety miały, mimo różnicy wieku, uderzająco podobne rysy. Różniły się tylko budową ciała. Lucylla była solidniejsza niż wiotka Odrade.

Kapitan straży o uwodzicielskich oczach podeszła do Tega i pochyliła się ku niemu.

– Schwangyu dowiedziała się właśnie, kogo przywiozłeś – oznajmiła, wskazując Tarazę. – Ale oto i ona.

Schwangyu wyłoniła się z windy i podeszła do Tarazy, rzucając gniewne spojrzenie Tegowi.

„Taraza chciała ci zrobić niespodziankę – pomyślał – i wszyscy wiemy dlaczego”.

– Nie jesteś, zdaje się, uszczęśliwiona moim widokiem? – odezwała się Taraza.

– Jestem zaskoczona, Matko Przełożona – odparła Schwangyu. – Nie miałam pojęcia... – Raz jeszcze spojrzała jadowniczo na Tega.

Odrade i Lucylla przestały przyglądać się sobie.

– Oczywiście słyszałam o tym – powiedziała Odrade – ale to wstrząs zobaczyć siebie w twarzy innej osoby.

– Ostrzegałam cię – zauważyła Taraza.

– Jakie są twoje rozkazy, Matko Przełożona? – spytała Schwangyu, nie mogąc zapytać wprost o cel wizyty.

– Chciałabym porozmawiać na osobności z Lucyllą.

– Każę przygotować apartamenty.



– Nie rób sobie kłopotu. Nie zostanę długo. Miles już przygotował mi transport. Obowiązki wzywają mnie na Kapitułę. Pomówię z Lucyllą na dziedzińcu. – Zawahała się, dotykając palcem policzka. – Ach i chciałabym przez kilka minut poobserwować gholę. Lucylla z pewnością zdoła to zaaranżować.

– On dobrze sobie radzi z coraz intensywniejszym szkoleniem – powiedziała Lucylla, kiedy szły razem do windy.

Teg spojrział na Odrade, w przelocie dostrzegając na twarzy Schwangyu gniew, którego nie starała się ukryć.

Zastanawiał się, czy Lucylla jest siostrą albo córką Odrade. Nagle wydało mu się, że za tym podobieństwem musi się kryć jakiś zamiar Bene Gesserit. Oczywiście! Lucylla jest imprinterką!

Schwangyu opanowała gniew. Popatrzyła z ciekawością na Odrade.

– Miałam właśnie zjeść południowy posiłek, siostró. Zechciej się przyłączyć.

– Muszę pomówić na osobności z baszarem – rzekła Odrade. – Jeśli to nie kłopot, zostaniemy tutaj. Ghola nie powinien mnie widzieć.

Schwangyu nachmurzyła się, nie ukrywając przed Odrade zawodu. Na Kapitułę wiadomo, kto jest lojalny wobec kogo! Ale nikt... nikt nie pozbawi jej dowództwa tej twierdzy. Opozycja ma swoje prawa!

Jej myśli były jasne nawet dla Tega. Zauważył, jak sztywno się porusza, odchodząc.

– Źle, kiedy siostra zwraca się przeciw siostrze – powiedziała Odrade.

Baszar nakazał odejść kapitan straży. Odrade mówiła przecież: na osobności.

– To mój teren – powiedział. – Nie ma tu szpiegów ani podsłuchów.

– Tak myślałam.

– Ale mamy tu służbówkę. Umeblowaną, nawet z psimi fotelami.

– Nie cierpię, kiedy się mnie rozpieszczę – odparła. – Nie możemy porozmawiać tutaj? – Ujęła Tega pod ramię. – Przejdźmy się trochę. Zesztywniałam od siedzenia w tej lichtudze.

– Co miałaś mi powiedzieć? – spytał, kiedy ruszyli.

– Moje wspomnienia nie są selektywnie filtrowane. Władam wszystkimi, tylko z linii żeńskiej naturalnie.

– A więc? – Zacisnął usta. To nie był wstęp, którego się spodziewał. Odrade wyglądała na kogoś, kto podchodzi wprost do sprawy.

– Taraza mówi, że czytałeś *Manifest Atrydów*. To dobrze. Wiesz, że w wielu miejscach wywoła zamieszanie.

– Schwangyu już zdążyła go wykorzystać w diatrybie przeciw „wam, Atrydom”.

Odrade spojrzała na niego poważnie. Jak mówiły wszystkie raporty, wciąż był imponującą postacią, ale wiedziała to i bez nich.

– Oboje jesteście Atrydami, ty i ja – powiedziała.

Teg zamienił się w słuch.

– Twoja matka wyjaśniła ci to szczegółowo, kiedy pierwszy raz przyjechałeś do domu na wakacje.

Baszar przystanął i popatrzył na nią. Skąd mogła to wiedzieć? O ile pamiętał, nigdy nie spotkał się i nie rozmawiał z tą Darwi Odrade. Czy był obiektem rozważań na Kapitulę? Milczał, zmuszając ją do podtrzymywania rozmowy.

– Przytoczę ci rozmowę mojej matki z pewnym mężczyzną – powiedziała.

– Są w łóżku, a mężczyzna mówi: „Spłodziłem kilkoro dzieci, odkąd wymknąłem się z więzów Bene Gesserit. Myślałem wtedy, że jestem niezależny, że mogę się zaciągnąć i walczyć, gdzie zechcę”.

Teg nie ukrywał zaskoczenia. To były jego słowa. Pamięć mentata mówiła mu, że Odrade przytoczyła je z dokładnością mechanicznego rejestratora. Nawet ton!

– Więcej? – spytała, a gdy wciąż na nią patrzył, skinęła głową. – Dobrze. Ten człowiek mówi dalej: „Było to oczywiście, zanim posłano mnie na szkolenie mentatów. Ono mi otworzyło oczy! Ani przez chwilę nie byłem poza zasięgiem zgromadzenia! Nigdy nie byłem niezależny”.

– Nawet wtedy, gdy mówiłem te słowa.

– To prawda. – Pociągnęła go dalej, ściskając za ramię.

– Bene Gesserit przejęły dzieci, których byłeś ojcem. Zgromadzenie nie pozwala, żeby nasz genotyp trafił do dzikiej puli genów.

– Więc choćby Szejtan porwał moje ciało, mój cenny genotyp zostanie pod opieką zgromadzenia?

– Pod moją opieką. Jestem jedną z twoich córek.

Znowu zmusił ją, by się zatrzymała.

– Myślę, że wiesz, kim była moja matka – powiedziała i zanim zdążył otworzyć usta, podniosła dłoń. – Nazwiska nie są potrzebne.

Teg badał jej rysy, rozpoznając znajome cechy. Matka i córka były podobne. Ale co z Lucyllą?

– Lucylla pochodzi z linii równoległej – powiedziała Odrade, jakby usłyszała to pytanie. – Nadzwyczajne, co można osiągnąć, czyż nie?

Teg chrząknął. Nie czuł się emocjonalnie przywiązany do tej nowo odkrytej córki. Jej słowa jednak i szczegóły jej dokonań wymagały jego najwyższej uwagi.

– To nie jest przypadkowa rozmowa – powiedział. – Czy to wszystko, co miałaś mi wyjawić? Myślałem, że Matka Przełożona mówiła...

– Jest coś więcej – przyznała Odrade. – Ten manifest... jestem jego autorką. Napisałam go na rozkaz Tarazy i według jej szczegółowych instrukcji.

Teg rozejrzał się po wielkiej sali, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Tleilaxanie rozpowszechniają go wszędzie! – rzekł cicho.

– Tak jak się spodziewaliśmy.

– Dlaczego mi to mówisz? Taraza kazała ci przygotować mnie na...

– Przyjdzie czas, kiedy będziesz musiał poznać nasz cel. Taraza życzy sobie, żebyś sam podejmował decyzje, żebyś naprawdę stał się wolny w swych działaniach.

Jeszcze nie skończyła, gdy ujrzała szklisty blask jego oczu.

Teg nabrał tchu. „Uzależnienia i kluczowe kłody!” Wyczuwał jako mentat jakiś ogromny plan poza zasięgiem nagromadzonych danych. Ani przez chwilę nie brał pod uwagę, że to uczucie córki skłoniło ją do takiej otwartości. Był w niej fundamentalny, rytualny i dogmatyczny rdzeń, widoczny w całym szkoleniu Bene Gesserit mimo wysiłków, by temu zapobiec.

Odrade, córka jego przeszłości, była pełnoprawną Matką Wielebną o nadzwyczajnych zdolnościach kontrolowania mięśni i nerwów, oraz z pełnią wspomnień żeńskiej linii swoich przodków! Była jedną z najlepszych. Znała sposoby walki, o których wiedziało niewielu ludzi. A jednak ów rdzeń istniał i mentat go widział.

„Czego ona chce? Potwierdzenia mojego ojcostwa? Ma już przecież wszelkie możliwe potwierdzenia”.

Obserwując ją teraz czekającą cierpliwie, aż on pozbiera myśli, Teg przypomniał sobie, jak mówiono mu, i słusznie, że Matki Wielebne niezupełnie już należą do rasy ludzkiej. Poruszały się jakby poza głównym jej nurtem, być może równoległe do niego, może zanurzając się w nim czasami dla jakichś swoich celów, ale zawsze poza ludzkością. Odsuwały

się. To był znak rozpoznawczy Matek Wielebnych. Poczucie bycia nadistotami zbliżało je raczej do dawno zmarłego Tyrana niż do ludzkiego stada, z którego wystąpiły.

Manipulacja. To był ich znak firmowy. Manipulowały wszystkimi i wszystkim.

– Mam być oczami Bene Gesserit – powiedział. – Taraza chce, żebym podejmował *ludzkie* decyzje za was wszystkie.

Odrade z widoczną radością ścisnęła jego ramię.

– Ależ mam ojca!

– Czy ty rzeczywiście masz ojca? – spytał i powiedział jej, co myśli o Bene Gesserit odsuwających się od ludzkości.

– Poza ludzkością! – rzuciła. – Niezwykły pomysł. Czy nawigatorzy Gildii też są poza ludzkością?

Zastanowił się nad tym. Nawigatorzy Gildii bardzo różnili się budową od ludzi. Urodzeni w przestrzeni kosmicznej, żyjąc w zbiornikach z melanżowym gazem, odbiegli od pierwotnych kształtów. Kończyny mieli wydłużone, a narządy wewnętrzne poprzesuwane. Młody nawigator mógł się jednak normalnie rozmnażać przed zamieszkaniem w zbiorniku. Przestali być ludźmi, ale inaczej niż Bene Gesserit.

– Nawigatorzy nie są wam pokrewni mentalnie – powiedział. – Oni myślą po ludzku. Prowadzenie statku poprzez kosmos, nawet dzięki jasnowidzeniu dla znalezienia bezpiecznej drogi, to model myślenia do przyjęcia dla ludzi.

– Nie przyjmujesz naszego modelu?

– Przyjmuję, o ile mogę, ale gdzieś kiedyś odeszłyście od pierwotnego wzoru. Myślę, że możecie świadomie udawać, żebyście się wydawały ludzkie. Trzymasz mnie teraz pod ramię jak prawdziwa córka.

– Jestem twoją córką, ale zaskakuje mnie, że tak mało nas cenisz.

– Przeciwnie, ja się was boję.

– Własnej córki?

– Każdej Matki Wielebnej.

– Myślisz, że żyję tylko po to, żeby manipulować niższymi istotami?

– Chyba nie czujecie się już w pełni ludźmi. Jest w was jakaś luka, brak wam czegoś, co same usunęłyście.

– Dziękuję – powiedziała Odrade. – Taraza mówiła mi, że nie zawahasz się mówić szczerze, ale sama też to wiedziałam.

– Do czego mnie przygotowałaś?

– Dowiesz się, kiedy to się stanie. To wszystko, co mogę ci powiedzieć... co mi pozwolono powiedzieć.

„Znowu manipulacja! – pomyślał. – Niech je diabli!”

Odrade chrząknęła, jakby chciała coś powiedzieć, ale zamilkła, gdy ruszyła z Tegiem w powrotną drogę przez salę.

Chociaż wiedziała z góry, co powie baszar, jego słowa zabolą ją. Chciała mu powiedzieć, że jest jedną z tych, które wciąż czują się ludźmi, ale nie mogła podważać jego sądu o zgromadzeniu.

„Uczą nas odrzucać miłość. Umiemy ją udawać, ale każda z nas potrafi w jednej chwili przestać”.

Usłyszeli za sobą głosy, zatrzymali się i odwrócili. Taraza i Lucylla wyszły z windy, rozmawiając leniwie o gholi.

– Masz rację, traktując go jak kogoś z nas – powiedziała Taraza.

Teg usłyszał to, ale powstrzymał się od komentarza, gdy czekali aż tamte podejdą.

„On wie – pomyślała Odrade. – Nie spyta mnie o moją matkę. Nie było więzów, nie było prawdziwego imprintu. Tak, on wie”.

Zamknęła oczy, a pamięć zaskoczyła ją, podsuwając wspomnienie pewnego obrazu. Wisiał on na ścianie w saloniku Tarazy. Ixańska technologia przechowała malowidło w hermetycznej ramie za osłoną z niewidzialnego plazu. Odrade często przystawała przed nim, czując za każdym razem, że może wyciągnąć dłoń i naprawdę dotknąć starożytnego płótna tak zrecznie zachowanego przez Ixan.

*Chaty kryte słomą w Cordeville.*

Ten tytuł nadany obrazowi przez malarza i nazwisko artysty zachowały się na polerowanej płytce pod obrazem: „Vincent van Gogh”.

Rzecz pochodziła z czasów tak odległych, że pozostały tylko nieliczne rzeczy – takie jak ten obraz – przenoszące fizyczne wrażenie o nich. Dawniej próbowała wyobrazić sobie wędrówki tego obrazu, łańcuch przypadków, które przywiodły go w nienaruszonym stanie do saloniku Tarazy.

W zakresie konserwacji i renowacji Ixanie osiągnęli szczyty doskonałości. Oglądający obraz mógł dotknąć ciemnego punktu w dolnym lewym rogu ramy i natychmiast otaczał go geniusz nie tylko malarza, ale też ixańskiego mistrza, który odnowił i utrwalił dzieło. Jego nazwisko widniało na ramie: Martin Buro. Dotknięty palcem punkt stawał się projektorem wrażeń, niegroźną pochodną tej samej techniki, która stworzyła ixańską sondę. Buro

odtworzył nie tylko obraz, ale i malarza – uczucia Vincenta van Gogha towarzyszące każdemu pociągnięciu pędzlem. Zostały kiedyś uwięzione w tych pociągnięciach, zapisane tam ruchami człowieka.

Odrade tyle razy stała pochłonięta tym osiągnięciem, że mogłaby chyba sama namalować ów obraz.

Teraz, tuż po oskarżeniu Tega, zrozumiała nagle, dlaczego pamięć odtwarza dla niej ten obraz i dlaczego wciąż jest nim oczarowana. Podczas krótkiej chwili odtwarzania zawsze czuła się w pełni człowiekiem, czuła, że w tych chatach żyli prawdziwi ludzie, miała świadomość obecności łańcucha istnień, który przystanął tam wtedy w osobie szalonego Vincenta van Gogha, przystanął, by się dać unieśmiertelnić.

Taraza i Lucylla zatrzymały się dwa kroki od nich. W oddechu Tarazy czuć było czosnek.

– Zatrzymałyśmy się, żeby coś przegryźć – powiedziała Taraza. – A wy nie macie ochoty?

To było pytanie całkowicie nie na miejscu. Odrade uwolniła prawe ramię Tega. Obróciła się i otarła oczy rękawem. Podnosząc wzrok na baszara, ujrzała na jego twarzy zaskoczenie. „Tak – pomyślała. – To były prawdziwe łzy”.

– Chyba nie ma tu już nic do zrobienia – odezwała się Taraza. – Czas, byś ruszała na Rakis, Dar.

– Najwyższy czas – zgodziła się Odrade.



Życie nie znajdzie powodów, by je podtrzymywać, nie będzie też źródłem wzajemnych względów, chyba że postanowimy natchnąć je tymi wartościami.

– *Rozmowy z Leto II* pióra Chenoeh

Hedley Tuek, najwyższy kapłan Podzielonego Boga, czuł rosnący gniew na Stirosa. Stiros, zbyt stary, by żywić nadzieje na ławę najwyższego kapłana, miał synów, wnuków i licznych krewnych, przeniósł więc swoje ambicje na rodzinę. Był człowiekiem cynicznym. Reprezentował potężną frakcję kapłańską, tak zwaną „wspólnotę naukową”, której wpływy były szerokie... i zdradliwe. Obracali się niebezpiecznie blisko herezji.

Tuek przypomniał sobie, że niejeden najwyższy kapłan zginął na pustyni w nieszczęśliwym wypadku. Stirosa i jego zwolenników stać było na zorganizowanie takiego wypadku.

W Kin minęło już południe i Stiros odchodził rozczarowany. Chciał, by Tuek udał się na pustynię i obserwował kolejną wyprawę Szieny. Najwyższy kapłan odmówił, pełen podejrzeń wobec tego zaproszenia.

Wywiązała się między nimi dziwna kłótnia, pełna insynuacji, aluzji do zachowania Szieny i napaści na Bene Gesserit. Stiros, zawsze podejrzliwy wobec zgromadzenia, od początku nie akceptował nowej komendantki twierdzy Bene Gesserit na Rakis, tej... jak jej tam? Ach, tak, Odrade. Dziwne imię, ale przecież siostry często przybierają dziwne imiona. To ich przywilej. Sam Bóg nigdy nie powiedział złego słowa o Bene Gesserit. O poszczególnych siostrach tak, ale zgromadzenie jako całość uczestniczyło w Jego Świętej Wizji.

Tuekowi nie podobał się sposób, w jaki Stiros mówił o Szienie. Uciszył go w końcu oświadczeniem wygłoszonym w świętym świętych, przed wysokim ołtarzem i podobiznami Podzielonego Boga. Pryzmatyczne przekaźniki rzucały wąskie kliny światła poprzez dryfujące obłoki kadzidła z tłącego się melanżu na podwójny rząd wysokich kolumn prowadzący do ołtarza. Najwyższy kapłan wiedział, że słowa wypowiedziane w takim otoczeniu wędrują wprost do Boga.

– Bóg działa przez naszą Szienę – mówił, notując w pamięci zmieszanie starego doradcy. – Sziena jest żywym wcieleniem Siony, ludzkiego narzędzia, które wprowadziło Go w obecne Podzielenie.

Stiros wpadł w furję i powiedział rzeczy, których nie odważyłby się powtórzyć przed radą. Zbyt wiele obiecywał sobie po długim obcowaniu z Tuekiem.

– Mówię ci, że otaczający ją dorośli zajęci są tylko usprawiedliwianiem się przed nią i...

– I przed Bogiem! – Tuek nie mógł pozwolić na takie słowa.

– Ona jest ośrodkiem systemu nauczania uczulonego na każdy kaprys jej wyobraźni – wychrypiał Stiros, pochylając się ku najwyższemu kapłanowi. – Nie odmawiamy jej niczego!

– I nie powinniśmy.

Stiros jakby tego nie usłyszał.

– Kania przekazała jej zapisy z Dar-es-Balat – ciągnął.

– Jestem Księżą Losu – zaintonował Tuek, cytując słowa samego Boga.

- Otóż to! Ona słucha tego słowo po słowie.
- I czemu cię to martwi?
- Bo to nie my badamy jej wiedzę. To ona bada *naszą*!
- To znaczy, że Bóg tak chce.

Tuek dostrzegł gniew Stirosa i czekał, aż stary doradca zbierze kolejne argumenty. Argumenty były oczywiście uzasadnione. Tuek temu nie przeczył. To interpretacja miała znaczenie. Właśnie dlatego ostatnie słowo musiał mieć najwyższy kapłan.

Mimo swoich poglądów na historię (a może dzięki nim) kapłani wiedzieli bardzo wiele o pobycie Boga na Rakis. Mieli Dar-es-Balat i jego zawartość – najstarszą we wszechświecie komorę pozaprzestrzenną. Przez tysiąclecia, podczas których Szej-hulud przemieniał urodzajną Arrakis w pustynną Rakis, Dar-es-Balat czekał pod piaskami. Z tego Świętego Skarbca otrzymali kapłani głos samego Boga, Jego zapisane słowa i nawet holoobrazy. Wszystko zostało wyjaśnione. Wiedzieli, że pustynna powierzchnia Rakis odtwarza pierwotny wygląd planety, gdy była ona jedynym źródłem Świętej Przyprawy.

– Pyta o Świętą Rodzinę – powiedział Stiros. – Dlaczego miałyby to robić?

– Sprawdza nas. Sprawdza, czy zajmują należne im miejsca. Matka Wielebna Jessika, jej syn Muad'Dib i jego syn Leto II: Święty Triumwirat Niebios.

– Leto III – mruknął Stiros. – Co z tym Leto, który zginął z rąk sardaukarów? Co z nim?

– Ostrożnie, Stiros – ostrzegł Tuek. – Wiesz, co mój pradziad głosił w tej sprawie z tej oto ławy. Nasz Podzielony Bóg odrodził się, lecz Jego część pozostała w niebiosach, by pośredniczyć w ziemskiej władzy. Tamta część została bezimienna, jak przystoi Prawdziwej Istocie Boga.

– Naprawdę?

W głosie starca słyhać było cynizm. Słowa Stirosa zdawały się drzeć w nasyconym kadzidłem powietrzu, dopraszając się odwetu.

– Dlaczego więc ona pyta, w jaki sposób nasz Leto przemienił się w Podzielonego Boga? – upierał się Stiros.

Czyżby podawał w wątpliwość Świętą Przemianę? Tuek był wstrząśnięty.

– Ona sama nas oświeci w swoim czasie – odpowiedział.

– Nasze liche wyjaśnienia musiały ją rozczarować – zadrwił kapłan.

– Posuwasz się za daleko, Stiros!



– Doprawdy? Jej pytania o piaskowe trocie, które pochłaniają większość rakańskiej wody i odtwarzają pustynię, nie są chyba objawieniem?

Tuek starał się ukryć rosnący gniew. Stiros mógł reprezentować potężną frakcję, ale jego ton i słowa podważały ustalenia najwyższych kapłanów. Przemiana Leto II dała życie niezliczonym piaskowym trociom, z których każda miała w sobie Jego Częstkę. Od piaskowych troci do Podzielonego Boga: była to znana i uświęcona sekwencja. Negowanie jej zaprzeczało istnieniu Boga.

– Siedzisz tu i nic nie robisz! – rzucił Stiros. – Jesteśmy pionkami...

– Dość tego! – Tuek usłyszał wszystko, co chciał usłyszeć. Przywoławszy całą swoją godność, przemówił słowami Boga: – Twój Pan wie dobrze, co masz w sercu. Twoja dusza będzie rachmistrzem, kiedy przyjdzie czas. Nie potrzebuję świadków. Zamiast słuchać swej duszy, słuchasz swego gniewu i furii.

Stiros wyszedł rozczerowany.

Po dłuższym namyśle Tuek przywdział swoją najparadniejszą szatę, białozłotą z purpurowym szlakiem, i udał się do Szieny.

Była w ogrodzie na dachu centralnego kompleksu świątynnego w towarzystwie Kani i dwojga innych: Baldika, młodego kapłana służącego Tuekowi, i Kipuny, kapłanki zdaniem Tueka zbyt przypominającej Matkę Wielebną. Zgromadzenie miało tu oczywiście swoich szpiegów, ale najwyższy kapłan nie lubił, gdy rzucało się to w oczy. Kipuna przejęła fizyczne przygotowanie Szieny, a porozumienie, jakie się między nimi nawiązało, budziło zazdrość Kani. Nawet Kania nie mogła jednak nie słuchać rozkazów Szieny.

Wszyscy czworo stali przy kamiennej ławie w cieniu wieży wentylacyjnej. Kipuna trzymała prawą dłoń Szieny, poruszając jej palcami. Tuek zauważył, że dziewczyna urosła. Była pod jego opieką od sześciu lat. Pod szatą rysowały jej się już piersi. Na dachu nie było nawet najłżejszego powiewu. Ciężko było oddychać.

Tuek rozejrzał się po ogrodzie, by się upewnić, że przestrzegane są zarządzone przez niego środki ostrożności. Nigdy nie wiadomo, skąd przyjdzie zagrożenie. Czterej jego strażnicy noszący pod szatami mnóstwo broni zajęli miejsca w narożnikach.

Ogród otoczony był wysokim murem. Tylko głowy strażników wystawały ponad jego krawędź. Jediną budowlą wyższą od tej kapłańskiej wieży był główny oddzielacz wiatru Kin o tysiąc metrów na zachód.

Mimo zachowywania ostrożności przez ochronę Tuek wyczuwał niebezpieczeństwo. Może to Bóg go ostrzega? Wciąż jeszcze myślał o cynizmie Stirosa. Czy nie za wiele zostawił mu swobody?

Sziena dostrzegła zbliżającego się Tueka i przerwała dziwne ćwiczenia palców, które wykonywała pod nadzorem Kipuny. Przybrawszy pozę mądrej cierpliwości, stała w milczeniu, wpatrując się w najwyższego kapłana. Jej towarzysze nie mieli wyjścia – musieli ją naśladować.

Sziena nie bała się Tueka. Raczej lubiła tego starca, chociaż zadawał głupie pytania. Przypadkiem odkryła pytanie, które zbijało go z tropu: „Dlaczego?”

Niektórzy obecni przy tym kapłani otwarcie interpretowali jej pytanie jako: „Dlaczego tak uważasz?” Dziewczyna z miejsca to podchwyciła i odtąd jej dociekania przybrały niezmienną formę: „Dlaczego tak uważasz?”

Tuek zatrzymał się dwa kroki od Szieny i skłonił.

– Dzień dobry, Szieno. – Nerwowo kręcił szyją w kołnierzu szaty. Słońce przypiekało mu ramiona i zastanawiał się, dlaczego dziewczyna tak lubi wychodzić na zewnątrz.

Sziena przyglądała mu się uważnie. Wiedziała, że to go niepokoi.

Tuek kaszlnął. Kiedy patrzyła na niego w ten sposób, myślał zawsze, że to Bóg patrzy na niego jej oczami.

– Sziena pytała dziś o rybomówne – odezwała się Kania.

– To Święta Armia Boga – powiedział Tuek fałszywym tonem.

– Same kobiety? – spytała z niedowierzaniem Sziena. Dla tych z nizin społecznych wypędzone w Czasach Głodu rybomówne były nazwą z historii starożytnej.

„Sprawdza mnie” – pomyślał Tuek. Noszący współcześnie tę nazwę mieli na Rakis małą agencję handlowo-szpiegowską, złożoną zarówno z kobiet, jak mężczyzn. Starożytny rodowód nie miał już znaczenia dla ich bieżącej aktywności. Działali głównie jako ramię Ixa.

– Mężczyźni zawsze służyli rybomównym jako doradcy – powiedział i czekał na reakcję Szieny.

– Zawsze więc byli Duncanowie Idaho – zauważyła Kania.

– Tak, tak, oczywiście, Duncanowie. – Tuek starał się nie okazać niezadowolenia. Ta kobieta zawsze się wtrącała! Najwyższy kapłan nie lubił, gdy przypomniano mu o tym aspekcie historycznej obecności Boga na Rakis. Powracający wciąż ghola i jego pozycja w Świętej Armii nasuwały

myśl o uleganiu Bene Tleilax. Nie można jednak było pominąć faktu, że rybomówne chroniły Duncanów, działając oczywiście z Bożego rozkazu. Duncanowie byli świętymi, ale szczególnego rodzaju. Sam Bóg przyznał, że zabił kilku z nich, przenosząc ich rzecz jasna natychmiast do nieba.

– Kipuna mówiła mi o Bene Gesserit – powiedziała Sziena.

„Ależ rozproszoną uwagę ma to dziecko!”

Tuek kaszlnął, zdając sobie sprawę ze swych sprzecznych uczuć do Matek Wielebnych. Tym, które były „ukochane przez Boga”, jak świątobliwa Chenoeh, należał się szacunek. A pierwszy najwyższy kapłan skonstruował logiczny wywód, że święta Hwi Nori, Boża Oblubienica, została potajemnie Matką Wielebną. Uwzględniając te szczególne okoliczności, kapłani czuli się irytująco odpowiedzialni za Bene Gesserit, co wyrażało się głównie poprzez sprzedawanie zgromadzeniu melanzu po cenie śmiesznie niskiej w porównaniu z ceną Tleilaxan.

– Opowiedz mi o Bene Gesserit, Hedley – poprosiła Sziena niewinnym tonem.

Tuek spojrzał ostro na otaczających ją dorosłych, szukając uśmiechów na twarzach. Nie wiedział, jak sobie poradzić z tym zwracaniem się do niego po imieniu. Poniżało go to. W pewnym sensie jednak taka poufałość była również dla niego zaszczytem.

„Bóg ciężko mnie doświadcza” – pomyślał.

– Czy Matki Wielebne są dobre?

Tuek westchnął. Wszystkie zapisy potwierdzały, że Bóg zachowywał rezerwę wobec zgromadzenia żeńskiego. Boże słowa zostały wnikliwie przebadane i poddane interpretacji najwyższego kapłana. Bóg nie pozwolił, by zgromadzenie zagroziło Jego Złotemu Szlakowi. To przynajmniej było jasne.

– Wiele jest dobrych – odpowiedział.

– Gdzie przebywa najbliższa Matka Wielebna?

– Tu, w Kin, w ambasadzie zgromadzenia.

– Znasz ją?

– W twierdzy Bene Gesserit jest wiele Matek Wielebnych.

– Co to takiego „twierdza”?

– Tak one nazywają swój dom tutaj.

– Któraś musi być najważniejsza. Znasz ją?

– Znałem jej poprzedniczkę, Tamalane, ale ta jest nowa. Dopiero przybyła. Nazywa się Odrade.

– Śmieszne nazwisko.

Tuek sam tak myślał.

– Jeden z naszych historyków uważa, że to forma nazwiska Atryda – odrzekł.

Sziena zastanowiła się nad tym. Ród Atrydów powołał do istnienia Szejtana. Przed Atrydami byli tylko Fremeni i Szej-hulud. Przekazy ustne, które jej lud zachował wbrew kapłanom, przedstawiały rodowód najważniejszych ludzi na Rakis. Słyszała o nich wiele razy w swojej wiosce.

„Muad’Dib zrodził Tyrana”.

„Tyran zrodził Szejtana”.

Nie miała ochoty spierać się z Tuekiem i dowodzić prawdy. Wyglądał dziś na zmęczonego.

– Przyrowadź mi tę Matkę Wielebną Odrade – powiedziała po prostu.

Kipuna zakryła dłonią złośliwy uśmiech.

Tuek cofnął się zaskoczony. Jak miałby spełnić takie żądanie? Nawet rakańscy kapłani nie mogli rozkazywać Bene Gesserit! A jeśli zgromadzenie odmówi? Czy powinien złożyć im dar z melanżu? To by mogło oznaczać słabość. Mogą się targować. Nie ma trudniejszych kontrahentów niż te Matki Wielebne o oczach zimnych jak lód. A ta nowa, ta Odrade, wygląda na jedną z najgorszych.

Wszystkie te myśli przeleciały mu przez głowę w jednej chwili. Wmieszała się Kania, podsuwając wyjście z sytuacji.

– Być może zaproszenie Szieny mogłaby przekazać Kipuna.

Tuek spojrzał na młodą kapłankę. „Tak!” Wielu podejrzewało (Kania też, oczywiście), że Kipuna szpieguje dla Bene Gesserit. Rzecz jasna, na Rakis każdy był czymś szpiegiem. Tuek przybrał łaskawy wyraz twarzy, uśmiechnął się i skinął na Kipunę.

– Znasz którąś z Matek Wielebnych, Kipuno?

– Niektóre są mi znane, wielmożny najwyższy kapłanie.

„Przynajmniej okazuje jeszcze należyty szacunek!”

– Doskonale – powiedział. – Bądź więc uprzejma nadać bieg temu łaskawemu zaproszeniu w ambasadzie Bene Gesserit.

– Postaram się ze wszystkich sił, wielmożny najwyższy kapłanie.

– Jestem pewien!

Kipuna zaczęła się odwracać z dumą do Szieny, wiedząc, że się dobrze spisała. Śmiesznie łatwo było podsunąć dziewczynce ten pomysł, kiedy się miało do dyspozycji metody zgromadzenia. Uśmiechnęła się i otworzyła

usta, by przemówić. Jej uwagę przykuł jednak nagle jakiś ruch na szczycie muru, czterdzieści metrów za Szieną. Coś tam błysnęło w słońcu. Coś małego i...

Ze zdławionym okrzykiem porwała Szienę i pchnęła ją ku zaskoczonemu Tuekowi.

– Uciekaj! – krzyknęła.

A potem rzuciła się w stronę szybko nadciągającego błysku – małego gończaka ciągnącego długą szigastrunę.

Tuek grał za młodu w batball. Instynktownie chwycił Szienę, zawahał się chwilę i wtedy rozpoznał zagrożenie. Obrócił się z wijącą się i protestującą dziewczyną w ramionach i rzucił do wieży. Usłyszał trzaśnięcie drzwi i szybkie kroki Kani za plecami.

– Co to?! Co to?! – krzyczała Sziena, młócąc pięściami pierś najwyższego kapłana.

– Cicho, Szieno! Cicho! – Tuek przystanął na pierwszym spoczniku schodów. Stąd do wnętrza budynku prowadziły ześlizg i winda dryfowa. Kania zatrzymała się przy nim, dysząc ciężko w ciasnej przestrzeni.

– Zabiło Kipunę i dwóch twoich strażników! – wykrztusiła. – Pocięło ich! Widziałam to! Boże, uchron nas!

Umysł Tueka wirował niczym malstrom. Zarówno ześlizg, jak winda były zamkniętymi przewodami przechodzącymi przez wieżę. Mogły zostać uszkodzone. Atak na dachu mógł być tylko częścią bardziej złożonego planu.

– Puść mnie! – nalegała Sziena. – Co się dzieje?

Tuek postawił ją na posadzce, ale ścisnął mocno jej dłoń. Pochylił się ku niej.

– Szieno, kochanie, ktoś chce nam zrobić krzywdę.

Usta dziewczynki utworzyły bezgłośnie „O”.

– Zrobili krzywdę Kipunie? – spytała po chwili.

Tuek spojrzał na drzwi prowadzące na dach. Czyżby słyszał ornitopter? „Stiros!” Konspiratorzy mogli łatwo wywieźć troje bezbronnych na pustynię!

Kania odzyskała oddech.

– Słyszę ornitopter. Czy nie powinniśmy stąd odlecieć?

– Zejdziemy schodami – powiedział Tuek.

– Ale...

– Rób, co mówię!

Trzymając rękę Szieny, zszedł na niższy spocznik. Oprócz wejść do ześlizgu i windy dryfowej były tu drzwi do szerokiego półkolistego hallu. Ledwie kilka kroków za nimi było wejście do komnat Szieny, kiedyś jego własnych. Znowu się zawahał.

– Coś się dzieje na dachu – szepnęła Kania.

Tuek spojrzał na milczącą, przerażoną dziewczynkę. Jej dłoń była mokra od potu.

Na dachu słychać było zamieszanie – krzyki, syk miotaczy płomieni, bieganinę. Trzasnęły drzwi na szczycie wieży. To zadecydowało. Tuek otworzył drzwi do hallu i wpadł wprost w ramiona ustawionych w ciasny klin kobiet w czarnych szatach. Z uczuciem porażki poznał stojącą na ostrzu klina: Odrade!

Ktoś wyrwał mu Szienę i pociągnął w tył, w tłum czarnych postaci. Zanim Tuek i Kania zdążyli zaprotestować, zamknięto im usta dłońmi. Inne dłonie przycisnęły ich do ściany. Kilka postaci opuściło hall i poszło schodami w górę.

– Dziecko jest bezpieczne i tylko to ma teraz znaczenie – szepnęła Odrade. Spojrzała Tuekowi w oczy. – Nie krzycz!

Nie miał już dłoni na ustach.

– Opowiedz, co było na dachu! – poleciła Odrade, używając Głosu.

Uśluchał bez namysłu.

– Gończak ciągnący długą szigastrunę. Przeszedł nad attyką. Kipuna zobaczyła go i...

– Gdzie jest Kipuna?

– Nie żyje. Kania to widziała. – Opisał bohaterski wyczyn kapłanki.

„Kipuna nie żyje!” – pomyślała Odrade. Starannie ukrywała wściekłość i poczucie straty. Trzeba podziwiać taką dzielną śmierć, ale co to za strata! Zgromadzeniu potrzebne były odwaga i poświęcenie, lecz także genetyczne bogactwo ukryte w Kipunie. „Przepadło, zniszczone przez tych niezdarnych głupców!”

Na gest Odrade zdjęto dłoń z ust Kani.

– Powiedz, co widziałaś.

– Gończak owinął szigastrunę wokół szyi Kipuny i... – Kapłanka zadrżała.

Głuchy grzmot eksplozji przetoczył się nad nimi i zaległa cisza. Odrade skinęła ręką i kobiety w czarnych szatach pobiegły bezszelestnie przez hall, znikając za zakrętem. Tylko Odrade i dwie inne, młodsze, z lodowatymi

oczami i czujnością na twarzach, pozostały z Tuekiem i Kanią. Sziena zniknęła.

– Za tym stoją Ixanie – powiedziała Odrade.

Tuek zgadzał się z nią. „Taki kawał szigastruny...”

– Dokąd zabrałyście dziecko?

– Jest pod naszą ochroną – odparła Odrade. – Bądź cicho. – Przechyliła głowę, nasłuchując.

Kobieta w czarnych szatach wybiegła z za zakrętu i szepnęła coś do ucha Odrade. Ta uśmiechnęła się powściągliwie.

– Już po wszystkim – powiedziała. – Chodźmy do Szieny.

Dziewczynka siedziała w błękitnym fotelu w swojej głównej komnacie. Ubranie na czarno kobiety otaczały ją ochronnym łukiem. Tuek odniósł wrażenie, że doszła już do siebie po wstrząsie, jakim były atak i ucieczka, chociaż jej oczy błyszczały podnieceniem i pytaniami. Wzrok miała skupiony na czymś na prawo od Tueka. Spojrzał tam i dech mu zaparło.

Pod ścianą tkwiło dziwacznie wykrzywione nagie ciało mężczyzny. Głowa była wykręcona w tył, a podbródek sięgał poza lewe ramię. W otwartych oczach była pustka śmierci.

„Stiros!”

U stóp ciała leżały strzępy szaty kapłana, najwyraźniej zdarte z niego przemocą.

Tuek spojrzał na Odrade.

– To on maczał w tym palce – powiedziała. – Z Ixanami byli też maskaradnicy.

Tuek poczuł, że zaschło mu w gardle.

Kania minęła go, śpiesząc do ciała. Nie widział jej twarzy, ale jej obecność przypomniła mu, że było coś między Stirosem a Kanią, gdy byli młodzi. Instynktownie przesunął się, stając między kapłanką a dziewczynką.

Kania zatrzymała się przy ciele i trąciła je stopą. Obróciła się do Tueka ze złośliwą radością na twarzy.

– Musiałam się upewnić, że nie żyje.

Odrade spojrzała na jedną z towarzyszek.

– Usunąć ciało.

Popatrzyła na Szienę. Była to dla niej pierwsza okazja, by przyjrzeć się dziecku, odkąd sprowadziła tu swój oddział, by odeprzeć atak na świątynię.

Tuek dał o sobie znać.

– Matko Wielebna, mogłabyś wytłumaczyć, jak...

– Później – przerwała mu Odrade, nie odwracając się.

Twarz Szieny ożywiła się przy słowach najwyższego kapłana.

– Właśnie myślałam, że jesteś Matką Wielebną!

Odrade skinęła po prostu głową. Cóż za fascynujące dziecko! Budziło w niej podobne uczucia jak ten starożytny obraz w kwaterze Tarazy. Coś z tego ognia, który przeniknął w malowidło, udzieliło się teraz i jej. Dzikie natchnienie! Takie było przesłanie szalonego van Gogha. Chaos doprowadzony do cudownego porządku. Czyż to nie część kodeksu zgromadzenia?

„To dziecko jest moim płótnem” – pomyślała. Czuli, że jej dłoń rwie się do owego starożytnego pędzla. Nozdrza rozszerzyły się, łowiąc zapach oleju i barwników.

– Zostawcie mnie z Szieną! – rozkazała. – Wszyscy wyjść.

Tuek zaczął protestować, ale przestał, kiedy jedna z towarzyszek Odrade chwyciła go za ramię. Matka Wielebna rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Bene Gesserit służyły ci już wcześniej – powiedziała. – Tym razem uratowałyśmy ci życie.

Kobieta trzymająca Tueka pociągnęła go za sobą.

– Odpowiedz mu na pytania, ale nie tu.

Kania zrobiła krok w stronę Szieny.

– To dziecko jest pod moją opieką...

– Odejdź! – warknęła Odrade, używając całej mocy Głosu. Kania zamarła. – Ta banda konspiratorów prawie ci ją wydarła – stwierdziła Odrade surowo. – Rozważymy, czy będziesz jeszcze mogła przebywać z Szieną.

W oczach Kani pojawiły się łzy, nie mogła jednak zaprzeczyć temu oskarżeniu. Odwróciła się i wyszła z innymi.

Odrade zwróciła się ponownie do wpatrzonych w nią dziewczynki.

– Długo na ciebie czekałyśmy. Nie damy tym głupcom następnej szansy, by cię nam odebrali.



Prawo zawsze bierze stronę tego, kto dzierży władzę. Moralność i subtelności prawne niewiele z tym mają wspólnego. Pytanie brzmi: Kto ma wpływy?



Kiedy tylko Taraza i jej świta opuścili Gammu, Teg zabrał się do pracy. Należało tak ułożyć nowy regulamin twierdzy, żeby trzymać Schwangyu z dala od gholi. To był rozkaz Matki Przełożonej.

– Może obserwować wszystko, co zechce. Nie może go tknąć.

Mimo nawału pracy zdarzały się Tegowi chwile, gdy wpatrywał się w przestrzeń, padając ofiarą nieokreślonego niepokoju. Historia uwolnienia grupy Tarazy ze statku Gildii i dziwne wyznania Odrade nie pasowały do żadnego ze schematów, które zbudował.

„Zależności... kluczowe kłody...”

Zdał sobie sprawę, że siedzi w swej pracowni, a przed nim wyświetla się schemat zmian, który ma zatwierdzić. Przez moment nie miał pojęcia, która jest godzina ani nawet jaki to dzień. Powrót do rzeczywistości zajął mu chwilę.

Późny ranek. Taraza i jej świta odlecieli przed dwoma dniami. Był sam. Tak. Patrin wziął na siebie dzisiejsze zajęcia z Duncanem, umożliwiając Tegowi powzięcie ważnych decyzji.

Teg poczuł się nagle obco w swej pracowni. Tak, kiedy patrzył na poszczególne przedmioty, były znajome. Oto jego osobista konsola z bankiem danych. Jego mundurowa kurtka wisi porządnie na oparciu krzesła. Usiłował pogрузić się w mentackim transie, ale poczuł, że jego umysł się przed tym opiera. Nie spotkał się z czymś takim od czasów szkolenia.

„Czasy szkolenia”.

Taraza w porozumieniu z Odrade przerzuciła go wstecz, w jakąś formę nauki.

„Samokształcenie”.

Pamięć podsunęła mu dawną rozmowę z Tarazą. Jakże to było znajome! Przeniósł się tam pojmany w sieć pamięci.

Oboje byli bardzo zmęczeni po decyzjach i działaniach zapobiegających krwawemu starciu – incydentowi Barandiko. Teraz wydawało się to jedynie czkawką historii, ale w owym czasie wymagało połączenia ich wysiłków.

Po podpisaniu ugody Taraza zaprosiła go do saloniku na swoim statku pozaprzestrzennym. Rozmawiała swobodnie, podziwiała jego roztropność i sposób, w jaki wykrył słabe punkty przeciwnika, co pomogło wymusić kompromis.

Byli na nogach od prawie trzydziestu godzin i Teg usiadł z zadowoleniem, podczas gdy Matka Przełożona wybierała kod urządzenia, które usłudze podało dwie szklanki brunatnego napoju. Było to źródło energii, którym Bene Gesserit niechętnie dzieliły się z obcymi, ale Taraza nie uważała go już za obcego.

Pociągnął długi łyk, zadzierając głowę, i zapatrzył się w ozdobny sufit saloniku. Statek pozaprzeznaczony był staroświecki, zbudowany jeszcze w czasach, gdy dekoracjom poświęcano więcej uwagi – rzeźbione gzymsy i barokowe figury pokrywały wszystkie wolne powierzchnie.

Smak napoju przypominał mu dzieciństwo. Ta solidna domieszka melanzu...

– Matka przygotowywała mi go, kiedy byłem przemęczony – powiedział, czując, jak kojąca energia płynie przez jego ciało.

Taraza wzięła swój napój i usiadła w psim fotelu naprzeciw. Białe, kudłaty żywy mebel dostosował się do niej z łatwością po długiej znajomości. Teg dostał tradycyjny zielony fotel, ale zauważyła spojrzenie, jakim obrzucił jej psi, i uśmiechnęła się szeroko.

– Upodobania się zmieniają, Miles. – Wypiła łyk i westchnęła. – To była harówka, ale i dobra robota. Były chwile, kiedy dochodziliśmy do granicy wytrzymałości.

Jej swoboda poruszyła Tega. Żadnej pozy, żadnej gotowej maski, która by ich rozdzieliła i określiła ich odmienne role w hierarchii Bene Gesserit. Była wyraźnie przyjazna i ani trochę uwodzicielska. Było po prostu tak, jak powinno być – tyle jednak mógł powiedzieć o każdym spotkaniu z jakąkolwiek Matką Wielebną.

Z nagłym ożywieniem zdał sobie sprawę, że nabrał biegłości w odczytywaniu intencji Almy Mavis Tarazy, nawet gdy przybierała którąś ze swoich masek.

– Twoja matka nauczyła cię więcej, niż jej kazano – powiedziała Taraza. – Mądra kobieta, ale jeszcze jedna heretyczka. Zdaje się, że ostatnio rodzą się tylko takie.

– Heretyczka? – spytał dotknięty.

– To taki żart w zgromadzeniu – wyjaśniła. – Mamy wykonywać rozkazy Matki Przełożonej z absolutnym posłuszeństwem. I tak robimy, chyba że się z nimi nie zgadzamy.

Teg uśmiechnął się i wypił spory łyk napoju.

– To dziwne – powiedziała Taraza – ale podczas tej małej konfrontacji zorientowałam się, że traktuję cię jak jedną z sióstr.

Teg spostrzegł, że napój rozgrzewa mu żołądek. Czuł łaskotanie w nozdrzach. Postawił pustą szklankę na stoliku i patrząc na nią, powiedział:

– Moja najstarsza córka...

– Dimela. Powinieneś oddać ją nam, Miles.

– Nie ja decydowałem.

– Ale jedno twoje słowo... – Taraza wzruszyła ramionami. – Cóż, to już przeszłość. Co z Dimelą?

– Uważa, że często jestem do was zbyt podobny.

– Zbyt?

– Ona jest mi bardzo oddana, Matko Przełożona. Nie całkiem rozumie nasze stosunki.

– Jakie stosunki?

– Ty wydajesz rozkazy, a ja je wykonuję.

Taraza spojrzała na niego znad krawędzi szklanki.

– Tak, ty nigdy nie byłeś heretykiem. Może... jeszcze kiedyś... – powiedziała, opuściwszy ją.

Odezwał się szybko, by odwrócić jej uwagę od takich myśli.

– Dimela sądzi, że długotrwałe zażywanie melanzu upodabnia ludzi do was.

– Czyżby? Czy to nie dziwne, że nasz lek geriatryczny ma tyle skutków ubocznych?

– Nie widzę w tym nic dziwnego.

– Ty nie, oczywiście. – Opróżniła szklankę i odstawiła ją. – Chodzi mi o to, że znaczne wydłużenie życia daje niektórym ludziom, zwłaszcza tobie, głęboką znajomość natury ludzkiej.

– Żyjemy dłużej, więc więcej spostrzegamy.

– Nie wydaje mi się, żeby to było aż tak proste. Niektórzy ludzie nigdy niczego nie spostrzegają. Ich życie po prostu im płynie. Przeżywają je z tępym uporem, opierając się ze złością wszystkiemu, co może ich wyrwać z fałszywego spokoju.

– Nigdy nie udało mi się otrzymać zadowalającego bilansu efektów przyprawy – rzekł, nawiązując do zwykłego u mentata procesu sortowania danych.

Taraza skinęła głową. Oczywiście zetknęła się już z tym problemem.

– My, członkinie zgromadzenia, jesteśmy bardziej skłonne iść jednym szlakiem niż mentaci. Mamy sposoby, by się z tego otrząsnąć, ale wychowanie pozostaje.

– Nasi przodkowie długo się z tym borykali.

– Przed przyprawą było inaczej.

– Ale żyli tak krótko!

– Pięćdziesiąt, sto lat. To nie wydaje nam się długo, ale jednak...

– Czyżby mieścili więcej w czasie, którym dysponowali?

– Cóż, niekiedy żyli wprost gorączkowo.

Zrozumiał, że ona przekazuje mu obserwacje z Innych Wspomnień. Nie pierwszy raz korzystał z tej starożytnej wiedzy. Jego matka czasami przytaczała takie wspomnienia, ale zawsze jako lekcję.

Co teraz robi Taraza? Uczy go czegoś?

– Melanż to wieloręki potwór – powiedziała.

– Wolałabyś, żeby go nigdy nie odkryto?

– Bez niego nie byłoby Bene Gesserit.

– Ani Gildii.

– Ale też nie byłoby Tyrana ani Muad'Diba. Przyprawa daje jedną ręką, a zabiera wszystkimi innymi.

– Kali – rzekł.

Uśmiechnęła się na tę wzmiankę o starożytnej bogini śmierci, istocie mającej wiele rąk i zadającej mękę na mnóstwo sposobów.

– Istotnie, Kali.

– Która ręka trzyma to, czego pragniemy? – spytał. – Czy to nie odwieczne pytanie?

– Jesteś niezwykle, wiesz? Mentaci tak rzadko zagłębiają się w filozofię. To chyba jedna z twoich silnych stron. Doskonale potrafisz wątpić.

Wzruszył ramionami. Zmiana tematu zaniepokoiła go.

– To cię nie bawi – stwierdziła. – Ale tak czy owak, trzymaj się swoich wątpiwości. Są niezbędne filozofowi.

– Tak nas zapewniają zensunnici.

– Wszyscy mistycy są w tym zgodni. Nigdy nie lekceważ siły wątpiwości. S'tori trzyma w jednej ręce zwątpienie i pewność.

Naprawdę go to zdziwiło.

– Matki Wielebne praktykują rytuały zensunnitów? – Nigdy tego nie podejrzewał.

– Tylko raz w życiu. Dostępujemy najwyższej formy s'tori, totalnej. Obejmuje każdą komórkę.

– Agonia przyprawowa – powiedział.

– Byłam pewna, że matka ci to powie. Oczywiście nie wyjaśniła ci nigdy pokrewieństwa z zensunnitami.

Teg przełknął grudę w gardle. Fascynujące! Dała mu nowe spojrzenie na Bene Gesserit. To zmieniło jego koncepcję, z wizerunkiem matki włącznie. Oddalały się od niego w jakieś niedostępne miejsce, do którego nigdy nie będzie mógł pójść. Mogą myśleć o nim jako o towarzyszu, ale nigdy nie zdoła wejść w ten intymny krąg. Może symulować, nic więcej. Nigdy nie będzie taki jak Muad'Dib albo Tyran.

– Jasnowidzenie – powiedziała Taraza.

To słowo odwróciło jego uwagę. Zmieniła temat i zarazem nie zmieniła go.

– Myślałem właśnie o Muad'Dibie – przyznał.

– Sądzisz, że przepowiadał przyszłość?

– Tego uczą mentatów.

– Słyszę w twoim głosie zwątpienie. Przepowiadał czy tworzył? Dar prorokowania może być zabójczy. Ludzie, którzy żądają od wyroczni przepowiedni, chcą poznać przyszłoroczne ceny wielorybich futer albo coś równie przyziemnego. Żaden z nich nie chce się dowiedzieć, chwila po chwili, co go czeka w życiu.

– Nie byłoby żadnych niespodzianek.

– Właśnie. Gdybyś posiadał taką wiedzę, twoje życie stałoby się nudne.

– Myślisz, że życie Muad'Diba było nudne?

– I Tyrana też. Uważamy, że przez całe życie próbowali wyrwać się z więzów, które sami stworzyli.

– Ale wierzyli...

– Pamiętaj o wątpliwościach filozofa, Miles. Uważaj! Umysł wierzącego ulega stagnacji. Przestaje wychylać się na zewnątrz, w nieograniczony i nieskończony wszechświat.

Teg siedział chwilę bez słowa. Czuł zmęczenie odsunięte przez napój poza skraj świadomości. Czuł też, że jego myśli zostały zmacone wtargnięciem nowych pojęć. Uczono go, że są to rzeczy osłabiające mentata, on jednak czuł się wzmocniony.

„Ona mnie uczy – pomyślał. – To lekcja”.

Niby wyświetlone w jego umyśle i obrysowane płomieniem, pojawiło się zensunnickie napomnienie, którego uczono każdego początkującego studenta w szkole mentatów.

„Wierząc w poszczególne osobliwości, zaprzeczasz istnieniu wszelkiego ruchu: ewolucji i cofaniu się w rozwoju. Wiara umacnia podział wszechświata na cząstki i sprawia, że taki wszechświat trwa. Nie można dopuścić do zmian, bo wtedy twój nieruchomy wszechświat znika. Porusza się on jednak sam z siebie, gdy ty się nie poruszasz. Ewoluuje poza tobą i nie jest już dla ciebie dostępny”.

– Najdziwniejsze jest to – powiedziała Taraza, wpadając w nastrój, który sama stworzyła – że uczeni z Ixa nie widzą, jak bardzo ich wierzenia zdominowały ich wszechświat.

Teg patrzył na nią, milcząc i zapamiętując.

– Wierzenia Ixan są doskonale podległe wybranym przez nich sposobom postrzegania wszechświata. Ich wszechświat nie działa samoistnie, ale przedstawia się zgodnie z rodzajem eksperymentów, które wybrali.

Wzdrygnął się, obudził ze wspomnień i przekonał, że jest w twierdzy Gammu. Wciąż siedział w znajomym fotelu w swojej pracowni. Rzut oka upewnił go, że nic nie zmieniło położenia. Minęło tylko parę minut, ale pokój nie wydawał się już obcy. Zanurzył się w mentacki trans i wypłynął z niego. *Odnowiony*.

Smak i zapach napoju, którym częstowała go Taraza tak dawno temu, wciąż drażniły mu język i nozdrza. Zrozumiał, że wszedłszy na chwilę w mentacki trans, może raz jeszcze przywołać całą tę scenę: przyćmione światło lumisfer, dotyk fotela, dźwięk głosów. Wszystko powtórzy się znowu, zamrożone w czasokapsule wyizolowanej pamięci.

Przywołanie tego starego wspomnienia stworzyło magiczny wszechświat, w którym jego możliwości zwielokrotniły się ponad najśmielsze oczekiwania. W tym magicznym wszechświecie nie było atomów, tylko fale i przerażający ruch wszystkiego. Musiał odrzucić bariery zbudowane przez wiarę i zrozumienie. Ten wszechświat był przezroczysty. Widział przezeń na wskroś, bez dzielących go ekranów, na których odbijałyby się formy. Magiczny wszechświat skurczył jego „ja” do ziarnka aktywnej wyobraźni, gdzie jego zdolność tworzenia obrazów była jedynym ekranem, na którym mogło się coś pojawić.

„Jestem zarazem odtwórcą i odtwarzanym!”

Pracownia Tega pojawiała się i znikwała z jego rzeczywistości. Poczuł, że jego świadomość zawężyła się do najściślejszego celu i że cel ten wypełnia cały jego wszechświat. Był otwarty na nieskończoność.

„Taraza zrobiła to celowo! – pomyślał. – Wzmocniła mnie!”

Poczuł lęk graniczący z przerażeniem. Zrozumiał, że jego córka Odrade sięgnęła do takich mocy, by stworzyć dla Tarazy *Manifest Atrydów*. Jego własne moce mentata pogłężyły się w owym większym zamyśle.

Taraza żądała od niego jakiegoś budzącego grozę spektaklu. Potrzeba czegoś takiego zarazem pociągała go i przerażała.

Mogło to oznaczać koniec zgromadzenia.



Podstawowa zasada brzmi: Nigdy nie wspieraj słabości, zawsze wspieraj siłę.

– *Kodeks Bene Gesserit*

– Jak możesz rozkazywać tym kapłanom? – spytała Sziena. – To przecież ich miejsce.

Odrade odpowiedziała wymijająco, ale tak dobierając słowa, żeby odpowiadały poziomowi wiedzy dziewczyny.

– Ci kapłani mają fremieńskie korzenie. Zawsze mieli wśród siebie Matki Wielebne. Poza tym, dziecko, ty też im rozkazujesz.

– To co innego.

Odrade stłumiła uśmiech.

Nieco ponad trzy godziny minęły od chwili, gdy jej oddział odparł atak na kompleks świątynny. W tym czasie Odrade założyła centrum dowodzenia w kwaterze Szieny, dokonała oceny sytuacji i podjęła wstępną akcję odwetową, bez przerwy wyjaśniając coś i obserwując Szienę.

„Jednoczesny przepływ”.

Jakaś akolitka weszła z wiadomością, przyjęła polecenia i wyszła.

Matka Komendantka rozejrzała się po pomieszczeniu wybranym na centrum dowodzenia. Strzęp szaty Stirosa wciąż leżał pod ścianą. „Ofiary”. Komnata miała dziwny kształt. Jej ściany nie były równoległe. Pociągnęła nosem. Wciąż utrzymywał się zapach ozonu z wykrywaczy, za pomocą

których jej ludzie upewnili się, że kwatery jest zabezpieczona przed podsłuchem.

Skąd ten dziwny kształt? Budynek był starożytny, wielokrotnie przebudowywany i powiększany, ale to nie wyjaśniało osobliwości tej komnaty. Przyjemna faktura kremowej sztukaterii na ścianach i suficie. Zasłony z przyprowadzonego włókna przesłaniały dwoje drzwi. Był wczesny wieczór i słońce przesączało się przez żaluzje, znacząc przeciwną ścianę. Pod sufitem unosiły się srebrno-żółte lumisfery dostosowane do światła słonecznego. Stłumione odgłosy ulicy dobiegały przez nawiewy pod oknami. Delikatne wzory pomarańczowych chodników i szarych płytek podłogowych mówiły o zamożności i bezpieczeństwie, ale Odrade nagle przestała się czuć bezpiecznie.

Z przyległego pokoju łączności wyszła wysoka Matka Wielebna.

– Matko Komendantko, wysłano wiadomości do Gildii, Ixa i Tleilaxa.

– Potwierdzam – odparła z roztargnieniem Odrade.

Łączniczka wróciła do swoich obowiązków.

– Co robisz? – spytała Sziena.

– Badam coś.

Odrade zacisnęła usta w zamyśleniu. Przewodnicy prowadzili je przez kompleks świątynny labiryntem korytarzy i schodów, a pod łukami migwały im dziedzińce. Potem wspaniały ixański system wind dryfowych przeniósł je bezgłośnie do jeszcze innego korytarza, w którym znów były schody, półkolisty hall... i w końcu ta komnata.

Jeszcze raz Odrade ogarnęła ją wzrokiem.

– Dlaczego badasz ten pokój? – spytała Sziena.

– Cicho, dziecko.

Komnata była nieregularnym wielobokiem zwróconym węższym kątem w lewo. Miała około trzydziestu pięciu metrów długości i połowę tego w najszerszym miejscu. Było tam mnóstwo niskich kanap i krzeseł, w różnym stopniu wygodnych. Sziena siedziała po królewsku na jaskrawożółtym krześle z szerokimi wyściełanymi poręczami. Żadnych psich foteli. Wiele brązowych, błękitnych i żółtych tkanin. Odrade spojrzała na białą kratkę wentylatora nad przedstawiającym góry obrazem na ścianie w szerszym kącie. Chłodne powietrze wpadało przez nawiewy pod oknami i wylatywało nad obrazem.

– Dawniej mieszkał tu Hedley – powiedziała Sziena.

– Dlaczego go drażnisz, nazywając po imieniu, dziecko?



– Czy to go drażni?

– Nie baw się ze mną w gierki słowne! Wiesz, że to go drażni, i dlatego to robisz.

– Więc po co pytasz?

Odrade zignorowała to, kontynuując badanie komnaty. Ściana naprzeciw obrazu stała pod kątem ostrym do ściany zewnętrznej. Teraz pojęła.

„Sprytnie!”

Pokój był tak ukształtowany, że każdy szept dochodził do osoby siedzącej za górnym wentylatorem. Żaden wykrywacz nie wskazałby czegoś takiego. Żaden brzęczyk nie ostrzegłby przed okiem czy uchem szpiega. Tylko czujne zmysły kogoś wyszkolonego w oszustwach mogły to wyśledzić.

Przywoławszy gestem czekającą nowicjuszkę, Odrade przekazała ruchliwymi palcami:

– *Sprawdź, kto słucha za tym wentylatorem.* – Skinęła głową ku otworowi nad obrazem. – *Niech go śledzą. Musimy wiedzieć, komu donosi.*

– Skąd wiedziałaś, że trzeba przyjść i mnie ratować? – spytała Sziena.

„To dziecko ma miły głos, ale wymaga on szkolenia” – pomyślała Odrade. Była w nim siła, która mogła zostać ukształtowana w potężne narzędzie.

– Odpowiedz mi! – rozkazała Sziena.

Jej władczy ton zaskoczył Odrade, budząc nagły gniew, który musiała stłumić. Trzeba natychmiast wprowadzić zmiany!

– Uspokój się, dziecko – poleciła precyzyjnie ułożonym tenorem i ujrzała, że przyniosło to efekt.

I znów Sziena ją zaskoczyła.

– To jakiś rodzaj Głosu. Starasz się mnie uspokoić. Kipuna mówiła mi o Głosie.

Odrade obróciła się do Szieny i spojrzała na nią z góry. Pierwszy żal dziewczynki minął, ale wciąż był w niej gniew, gdy mówiła o Kipunie.

– Jestem zajęta przygotowywaniem odpowiedzi na ten atak – powiedziała.

– Dlaczego mnie rozpraszasz? Myślałam, że chcesz, żeby ich ukarano.

– Co im zrobisz? Powiedz! Co zrobisz?

„Zadziwiająco mściwe dziecko – pomyślała Odrade. – Trzeba to oszlifować. Nienawiść jest równie niebezpiecznym uczuciem jak miłość. Zdolność do odczuwania nienawiści oznacza zdolność do jej przeciwnieństwa”.

– Wysłałam Gildii, Ixowi i Tleilaxowi wiadomość, którą zawsze przekazujemy, kiedy nas urażą. Jedno słowo: „Zapłacicie”.

– Jak zapłacą?

– Bene Gesserit przygotowują odpowiednią karę. Tamci poniosą konsekwencje swojego postępków.

– Ale co zrobicie?

– Z czasem może się dowiesz. Może się nawet dowiesz, jak planujemy nasze kary. Na razie nie ma potrzeby, żebyś to wiedziała.

Sziena zrobiła ponurą minę.

– Ty się nawet nie gniewasz. Jesteś urażona. Sama tak powiedziałaś.

– Hamuj swoją niecierpliwość, dziecko. Są rzeczy, których nie rozumiesz.

Matka Wielebna z pokoju łączności weszła, spojrzała na Szienę i zwróciła się do Odrade.

– Kapituła potwierdza odbiór twego raportu. Aprobują twoją odpowiedź.

Kiedy nie odchodziła, Odrade spytała:

– Coś jeszcze?

Spojrzenie na Szienę zdradzało, że łączniczka nie chce mówić otwarcie. Odrade podniosła prawą dłoń, nakazując komunikację migową.

Matka Wielebna odpowiedziała. Jej palce zatańczyły z podnieceniem.

– *Przesłanie Tarazy: Tleilaxanie to kluczowy element. Gildia musi drogo zapłacić za swój melanż. Odetnij im dostawy z Rakis. Trzeba zbliżyć Gildię z Ixem. Przesforsują się wobec miażdżącej konkurencji ze strony Rozproszonych. Na razie ignoruj rybomównę. Upadną razem z Ixem. Mistrz mistrzów przysłał odpowiedź z Tleilaxa. Leci na Rakis. Schwytaj go.*

Odrade uśmiechnęła się lekko na znak, że wszystko zrozumiała. Patrzyła za wychodzącą. Kapituła nie tylko zgadzała się z jej działaniami na Rakis. Odpowiednia kara Bene Gesserit została przygotowana z zadziwiającą szybkością. Najwyraźniej Taraza i jej doradcy przewidzieli ten moment.

Pozwoliła sobie na westchnienie ulgi. Przesłana na Kapitułę wiadomość była zwięzła: ogólny opis ataku, spis strat zgromadzenia, identyfikacja napastników i zawiadomienie Tarazy, że już przekazała winnym wymagane ostrzeżenie: „Zapłacicie!”

Tak, ci głupcy wiedzą już, że poruszyli gniazdo szerszeni. To wzbudzi strach – istotną część kary.

Sziena wierciła się na krześle. Jej poza zdradzała, że spróbuje nowego podejścia.

– Jedna z twoich kobiet mówiła, że byli tam maskaradnicy. – Wskazała głową dach.

„Cóż za pojemny zbiornik ignorancji z tego dziecka! – stwierdziła Odrade. – Tę pustkę trzeba zappełnić”. *Maskaradnicy!* Pomyślała o oglądanych ciałach. Tleilax wprowadził w końcu do akcji swoich nowych maskaradników. Był to oczywiście test Bene Gesserit. Ci nowi byli niezwykle trudni do wykrycia, nadal jednak wydzielali charakterystyczną woń swoich feromonów. Podała te dane w raporcie.

Teraz chodziło o to, by utrzymać w tajemnicy wiedzę zgromadzenia. Odrade wezwała nowicjuszkę i wskazała oczami wentylator.

– *Zabijcie podstuchujących!* – poleciła językiem migowym.

– Nazbyt interesujesz się Głosem, dziecko – powiedziała następnie do Szieny. – Milczenie jest najcenniejszym narzędziem nauczania.

– Ale czy nie mogę się nauczyć Głosu? Chcę się nauczyć.

– Mówię ci, że masz być cicho i uczyć się przez ciszę.

– Rozkazuję ci nauczyć mnie Głosu!

Odrade przypomniła sobie raporty Kipuny: Sziena ustanowiła skuteczną kontrolę Głosem nad większością swego otoczenia. Nauczyła się tego sama. Średni poziom Głosu dla ograniczonego audytorium. Miała naturalny talent. Przerażała Tueka, Kanię i innych. Fantazje religijne miały oczywiście swój udział w tym strachu, ale mistrzostwo dziewczynki w strojeniu Głosu dowodziło godnego podziwu poziomu podświadomej selekcji.

Wskazany sposób podejścia do Szieny był oczywisty: szczerłość. To potężny wabik i nieraz już skuteczny.

– Jestem tu, by nauczyć cię wielu rzeczy – powiedziała Odrade. – Ale nie zrobię tego na twoją komendę.

– Wszyscy mnie słuchają!

„Ledwie osiągnęła dojrzałość, a już jest arystokratką – pomyślała Odrade. – Bogowie przez nas stworzeni! Kim ona będzie?”

Sziena ześlizgnęła się z krzesła i stała, patrząc pytająco na Matkę Komendantkę. Oczy dziewczynki były na poziomie ramion Odrade. Będzie z niej wysoka, władcza osoba. Jeżeli przeżyje.

– Odpowiadasz na niektóre pytania, ale na inne nie – powiedziała Sziena. – Mówiłaś, że czekałyście na mnie, ale nie wyjaśniłaś tego. Dlaczego nie chcesz mnie słuchać?

– Głupie pytanie, dziecko.

– Dlaczego wciąż nazywasz mnie dzieckiem?

– Czy nie jesteś nim?  
– Miesiączkuję.  
– Mimo to wciąż jesteś dzieckiem.  
– Kapłani mnie słuchają.  
– Boją się ciebie.  
– A ty nie?  
– Nie, ja nie.  
– Świetnie! To się robi męczące, kiedy ludzie wciąż tylko się ciebie boją.  
– Kapłani myślą, że przybywasz od Boga.  
– Ty tak nie myślisz?  
– A dlaczego miałabym? My... – Odrade urwała, ujrawszy, że wchodzi nowicjuszka.

Palce tamtej zatańczyły, donosząc:

– *Słuchało czterech kapłanów. Zostali zabici. Wszyscy byli sługami Tueka.*

Odrade odprawiła ją gestem.

– Ona mówi palcami. Jak to robi? – spytała Sziena.

– Zadajesz zbyt wiele niewłaściwych pytań, dziecko. Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego miałabym cię uważać za narzędzie Boga.

– Szejtan mnie oszczędza. Chodzę po pustyni, a gdy Szejtan przybywa, rozmawiam z nim.

– Dlaczego nazywasz go Szejtanem, a nie Szej-huludem?

– Każdy zadaje mi to głupie pytanie!

– Więc udziel mi głupiej odpowiedzi.

Sziena znowu zrobiła ponurą minę.

– To z powodu tego, jak się spotkaliśmy.

– A jak się spotkaliście?

Dziewczynka przechyliła głowę na bok i chwilę patrzyła na Odrade.

– To tajemnica.

– A ty umiesz dochowywać tajemnic?

Sziena wyprostowała się i skinęła głową, ale Odrade dostrzegła w tym ruchu niepewność. Dziewczynka poznała, że chcą, by się znalazła w położeniu bez wyjścia!

– Doskonale! Dochowywanie tajemnic to jedna z głównych umiejętności Matek Wielebnych. Cieszę się, że już nie musimy się tym zajmować.

– Ale ja chcę się nauczyć wszystkiego!

„Jaka drażliwość w głosie! Bardzo słaba kontrola emocjonalna”.

– Musisz mnie nauczyć wszystkiego! – nalegała Sziena.

„Czas na bicz” – pomyślała Odrade. Dziewczynka powiedziała i pokazała dość, by nawet nowicjuszka piątej klasy mogła być pewna, że sobie z nią poradzi.

– Nie mów do mnie tym tonem, dziecko! – powiedziała, używając całej mocy Głosu. – Nie mów, jeżeli chcesz się czegoś nauczyć!

Sziena zeszytywniała. Ponad minutę przeżywała to, co jej się przytrafiło, a potem się odprężyła.

– Och, tak się cieszę, że się zjawiłaś. Było tu strasznie nudno!



Nic nie przewyższa złożoności ludzkiego umysłu.

– Leto II, zapis z Dar-es-Balat

Do nadejścia nocy, szybko zapadającej na tych szerokościach na Gammu, pozostały prawie dwie godziny. Gęstniejące chmury okryły cieniem twierdzę. Na polecenie Lucylli Duncan wrócił na dziedziniec na intensywny samodzielny trening.

Lucylla obserwowała go z tej samej galerii, z której zobaczyła go kiedyś po raz pierwszy.

Duncan poruszał się po trawie, ćwicząc walkę z ośmioma przeciwnikami w układzie Bene Gesserit. Toczył się, uskakiwał na boki, rzucał się w górę i w dół.

Lucylla pomyślała, że to ładny pokaz przypadkowych uników. Nie sposób było przewidzieć jego ruchy, a ich szybkość była oszałamiająca. Miał prawie szesnaście standardowych lat i już zaczynał okazywać swoje możliwości prana i bindu.

Jego doskonale kontrolowane ruchy tak wiele mówiły! Zareagował bardzo żywo, kiedy wyznaczyła mu te wieczorne zajęcia. Pierwszy krok z instrukcji Tarazy został wykonany. Ghola ją kochał, nie miała wątpliwości. Była z nim związana jak matka. A wszystko to osiągnęła, nie osłabiając go, chociaż obudziła niepokój Tega.

„Wyrósł w moim cieniu, ale nie jest suplikantem ani bezwolnym naśladowcą – uspokajała sama siebie. – Teg martwi się bez powodu”.

Właśnie tego ranka powiedziała Tegowi: „On swobodnie włada ciałem, gdziekolwiek trzeba użyć siły”.

Pomyślała, że Teg powinien zobaczyć go teraz. Te nowe ruchy były w większości pomysłu Duncana.

Stłumiła okrzyk zachwytu na widok szczególnie udanego skoku, który przeniósł Duncana prawie na środek dziedzińca. Ghola rozwijał równowagę nerwowo-mięśniową, z której z czasem mogła wyniknąć równowaga psychiczna co najmniej równa tej, jaką prezentował Teg. Następstwa takiego osiągnięcia byłyby porażające. Dość popatrzeć na tych wszystkich, którzy instynktownie opowiadali się za Tegiem, a za jego pośrednictwem za zgromadzeniem.

„Powinnyśmy za to dziękować Tyranowi” – stwierdziła.

Przed Leto II żaden szerszy system przystosowań kulturowych nie przetrwał na tyle długo, by osiągnąć równowagę uważaną przez Bene Gesserit za idealną. Była to równowaga – „ślizganie się po ostrzu miecza” – która fascynowała Lucyllę. To dlatego bez zastrzeżeń poświęciła się projektowi, którego nie знаła w całości, a który wymagał od niej zachowania instynktownie uznawanego za odrażające.

„Duncan jest taki młody!”

Pierwsze zadanie zgromadzenia jednoznacznie wyrażone zostało przez Tarazę: imprint seksualny. Tego rana Lucylla tkwiła nago przed lustrem, ćwicząc pozy oraz ruchy twarzy i ciała potrzebne do wypełnienia rozkazu Matki Przełożonej. Stojąc w wystudiowanej, zrelaksowanej pozie, widziała, że jej twarz przypomina oblicze prehistorycznej bogini miłości, o pysznym, obiecującym słodczy ciele, ku któremu podniecony mężczyzna rzuci się bez wahania.

Podczas szkolenia oglądała posążki z czasów pierwotnych, kamienne figurki kobiet o szerokich biodrach i obwisłych piersiach zapewniających niemowlęciu obfitość pokarmu. Na życzenie mogła przedstawić młodzieńczą symulację starożytnego wzoru.

W dole, na dziedzińcu, Duncan przystanął na chwilę i zdawał się zastanawiać nad następnymi ruchami. Wkrótce skinął głową, wyskoczył w górę, zawirował, wylądował na jednej nodze niczym antylopa i odbił się w bok w obrotach bardziej przypominających taniec niż walkę.

Lucylla zacisnęła zdecydowanie usta.

„Imprint seksualny”.

Pomyślała, że tajemnica seksu nie jest żadną tajemnicą. Korzeniami sięga samego życia. To wyjaśnia oczywiście, dlaczego pierwsze uwiedzenie na rozkaz zgromadzenia pozostawiło w jej pamięci męską twarz. Genetyczki uprzedziły ją, że ma się tego spodziewać i nie niepokoić się. Lucylla zdawała sobie jednak sprawę, że imprint seksualny jest obosieczną bronią. Możesz się nauczyć ślizgać po ostrzu, ale może też cię ono przeciąć na dwoje. Niekiedy czuła się nieswojo, gdy twarz pierwszego uwiedzonego pojawiała się w jej myślach nieproszona. Wspomnienie wracało często w najintymniejszych chwilach, a ukrycie go wymagało wysiłku.

– Umacniasz siebie – zapewniały genetyczki.

Były wszakże chwile, kiedy czuła, że sprofanowała coś, co powinno pozostać tajemnicą.

Czuła gorycz na myśl o tym, co ma zrobić. Wieczory, kiedy obserwowała treningi, stały się jej ulubioną porą dnia. Rozwój fizyczny chłopca postępował – tworzyły się połączenia mięśni i nerwów, wszystkie te cuda prana i bindu, z których słynęło zgromadzenie. Czekał ją jednak następny krok i nie mogła się dłużej cieszyć obserwacją podopiecznego.

Wiedziała, że zaraz przyjdzie Teg. Trening Duncana przeniesie się na salę ćwiczeń bardziej śmiertelnoścą bronią.

„Teg”.

Raz jeszcze pomyślała o nim. Czuła, że coś ciągnie ją do niego w sposób, który natychmiast rozpoznała. Imprinterka cieszyła się pewną swobodą w doborze partnerów, o ile nie miała ważniejszych zadań albo innych rozkazów. Teg był stary, ale jego dossier świadczyło, że wciąż jest w pełni męskich sił. Nie będzie mogła oczywiście zatrzymać dziecka, ale nauczyła się już z tym godzić.

„Dlaczego nie?” – pomyślała.

Jej plan był niezmiernie prosty: zakończyć imprint gholi, a potem zgłosić swój zamiar Tarazie i spłodzić dziecko ze sławnym Milesem Tegiem. Rozpoczęła nawet wstępne uwodzenie, ale Teg nie uległ. Jego mentacki cynizm powstrzymał ją pewnego wieczoru w szatni zbrojowni.

– Mój czas minął, Lucyllo. Zgromadzeniu powinno wystarczyć to, co już mu dałem.

Ubrany tylko w czarny ćwiczebny trykot, wytarł twarz ręcznikiem i rzucił go do kosza.

– Czy mogłabyś mnie teraz opuścić? – spytał, nie patrząc na nią.

A więc przejrzał jej starania!

Powinna była to przewidzieć, znając Milesa Tega. Wiedziała, że wciąż jeszcze jest w stanie go uwieść. Żadna Matka Wielebna z jej wykształceniem nie może zawieść, nawet przy mentacie o możliwościach Tega.

Stała chwilę niezdecydowana, a jej umysł automatycznie planował obejście tej odmowy. Coś ją jednak powstrzymywało. Nie gniew z powodu odrzucenia i nawet nie ewentualność, że naprawdę mógł być nieczuły na jej wdzięki. Duma i możliwość porażki – bo taka zawsze istniała – nie miały z tym nic wspólnego.

*Godność.*

W Tegu była spokojna godność, ona zaś dobrze wiedziała, ile zgromadzenie zawdzięcza jego odwadze i prawości. Nie całkiem pewna swoich motywów, odwróciła się od niego. Być może była to ukryta wdzięczność, którą były mu winne Bene Gesserit. Uwiedzenie go byłoby teraz poniżające, nie tylko dla niego, lecz i dla niej. Nie zdobyłaby się na to bez wyraźnego rozkazu przełożonej.

Kiedy tak stała na galerii, pochłonięta wspomnieniami, coś poruszyło się w cieniu przy wyjściu ze zbrojowni. Dostrzegła Tega. Wzięła się w garść i skupiła na Duncanie. Gholą przerwał kontrolowane przewroty na trawniku. Stał spokojnie, oddychając głęboko i wpatrując się w Lucyllę. Widziała, że twarz ma spoconą, a na niebieskim kombinezonie ciemne plamy.

– Bardzo dobrze, Duncan – zawołała, przechylając się przez mur. – Jutro będę cię uczyć nowych układów pięść–stopa!

Te słowa wyrwały jej się mimo woli i od razu zrozumiała dlaczego. Przeznaczone były dla stojącego w ciemnym wyjściu Tega, nie dla gholi. Mówiła Tegowi, że nie tylko on uczy Duncana sztuki zabijania.

Zdała sobie sprawę, że Teg wrósł głębiej w jej psyche, niż powinna na to pozwolić. Przeniosła posępny wzrok na wysoką postać wyłaniającą się z cienia. Duncan biegł już ku baszarowi.

Gdy Lucylla skupiła wzrok na Tegu, nagle przemknęła przez nią jedna z najgłębiej wszczepionych reakcji Bene Gesserit. Fazy tej reakcji mogły być określone później.

„Coś jest nie tak! Niebezpieczeństwo! Teg to nie Teg!”

W nagłym błysku reakcji wszystkie fazy zlały się w jedno. Odpowiadając, użyła z wszystkich sił Głosu:

– Duncan! Padnij!

Duncan padł na trawę, nie odwracając wzroku od Tega trzymającego połowę rusznicę laserową.



„Maskaradnik!” – pomyślała Lucylla. Tylko jej nadczułość go ujawniła.  
„Jeden z tych nowych!”

– Maskaradnik! – krzyknęła.

Duncan rzucił się w bok i skoczywszy w górę, leciał poziomo co najmniej metr nad ziemią. Szybkość jego reakcji wstrząsnęła Lucyllą. Nie wiedziała, że ktokolwiek może poruszać się tak szybko. Pierwszy strzał z rusznicy przeszedł pod Duncanem, który zdawał się płynąć w powietrzu.

Lucylla skoczyła z galerii, chwytając w locie parapet okna poniżej, a nim się zatrzymała, jej prawa dłoń wystrzeliła i znalazła wystającą rurę spustową, której położenie podpowiedziała jej pamięć. Wygięła się w bok i zeskoczyła na podokiennik niższego piętra. Pchała ją desperacja, chociaż wiedziała, że nie zdąży.

Coś trzasnęło w ścianie nad nią. Zobaczyła mknącą ku niej wytopioną linię, rzuciła się więc w lewo, obracając i spadając na trawnik. Jej wzrok objął całą rozgrywającą się wokół scenę w jednym błysku, gdy dotknęła ziemi.

Duncan posuwał się ku napastnikowi, robiąc uniki i wywijając się w przerażającej powtórce treningu. Ta szybkość jego ruchów!

Lucylla dostrzegła niezdecydowanie na twarzy fałszywego Tega. Rzuciła się ku maskaradnikowi, czując myśli tego stworzenia: „Ich dwoje na mnie jednego!”

Porażka była jednak nieuchronna i Lucylla wiedziała o tym. Wystarczyło, by maskaradnik przełączył broń na pełną moc i krótki zasięg. Mógł postawić przed sobą ścianę ognia. Nic nie przedarłoby się przez taką osłonę. Kiedy rozpaczliwie szukała sposobu pokonania napastnika, zobaczyła czerwony dym unoszący się z piersi fałszywego Tega. Czerwona linia wystrzeliła pod ostrym kątem w górę poprzez mięśnie ręki trzymającej rusznicę. Ręka odpadła niczym utracona część posągu. Ramię oddzieliło się od tułowia, bluzgając krwią. Postać pochyliła się, jakby rozpuszczając się w czerwonym dymie i fontannie krwi, i ruszywszy, rozpadła się na kawałki, ciemnobrązowe i czerwone z domieszką błękitu.

Lucylla poczuła wyraźnie feromony maskaradnika, kiedy się zatrzymała. Duncan podszedł do niej. Patrzył ponad ciałem na to, co się dzieje w wejściu.

Pojawił się jeszcze jeden Teg. Lucylla zidentyfikowała go: to był prawdziwy Teg.

– To baszar – powiedział ghola.

Poczuła przypływ radości. Duncan dobrze zapamiętał lekcję identyfikacji: Jak rozpoznać przyjaciół, nawet jeżeli nie widzisz ich wyraźnie. Wskazała martwego maskaradnika.

– Powąchaj go.

Wciągnął powietrze.

– Tak, czuję. Ale on nie był zbyt dobrą kopią. Poznałem, kim jest, równie szybko jak ty.

Teg wyszedł na dziedziniec, niosąc w zgięciu lewego łokcia ciężką rusznicę laserową. Prawą dłoń zaciskał na kolbie, z palcem na spuście. Ogarnął wzrokiem teren, a potem spojrzał uważnie na Duncana i Lucyllę.

– Wprowadź Duncana do środka – polecił.

Był to rozkaz dowódcy na polu walki, kierującego się wyższą wiedzą o tym, co należy robić w razie zagrożenia. Lucylla usłuchała bez pytania.

Duncan nie odzywał się, gdy prowadziła go obok krwawego mięsa, będącego wcześniej maskaradnikiem. Dopiero w wejściu obejrzał się na szczątki i zapytał:

– Kto go wpuścił?

Nie spytał: „Jak tu wszedł?” Zwróciła na to uwagę. Dotarł do sedna sprawy, pomijając rzeczy nieistotne.

Teg kroczył przodem, prowadząc ich do swojej kwatery. Zatrzymał się przy drzwiach, zajrzał do środka i skinął na Lucyllę i Duncana, by szli za nim.

W jego sypialni unosiły się dym i silna woń spalenizny, a ponadto odór palonego ludzkiego mięsa, który budził w Lucylli obrzydzenie. Jakaś postać w jednym z mundurów Tega leżała twarzą do podłogi przy łóżku.

Teg odwrócił ciało czubkiem buta, odsłaniając twarz, otwarte oczy i usta. Lucylla rozpoznała strażnika z przedpola, jednego z tych, którzy według kartoteki twierdzy przybyli tu ze Schwangyu.

– To ich naprowadzający – powiedział baszar. – Patrin się nim zajął, a potem ubraliśmy go w ten mundur, żeby zmylić maskaradników, bo nie dałem im obejrzeć twarzy, zanim na nas napadli. Nie mieli czasu na odcisk pamięciowy.

– Więc o tym wiesz? – Lucylla była zaskoczona.

– Bellonda dostarczyła mi informacji.

Lucylla nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia tych słów. Stłumiła wybuch gniewu.

– Jak mogłeś pozwolić, żeby jeden z nich dostał się na dziedziniec?

– Były tu sprawy niecierpiące zwłoki – odparł Teg łagodnie. – Musiałem dokonać wyboru i ten okazał się słuszny.

Teraz już nie kryła gniewu.

– Twój wybór polegał na tym, żeby Duncan bronił się sam?

– Mogłem zostawić go pod twoją opieką albo pozwolić innym umocnić się wewnątrz. Przeżyliśmy z Patrinem ciężkie chwile, oczyszczając to skrzydło. Mieliśmy pełne ręce roboty. – Spojrzał na Duncana. – Dobrze się sprawił dzięki naszemu szkoleniu.

– Ten... ten *stwór* prawie go dopadł!

– Lucyllo! – Teg pokręcił głową. – Wyliczyłem to. We dwoje mogliście się bronić co najmniej minutę. Wiedziałem, że staniesz na drodze tego *stworu* i poświęcisz się, ratując Duncana. Kolejne dwadzieścia sekund!

– Zrobiłabyś to? – Młody człowiek zwrócił na Lucyllę błyszczące oczy.

Kiedy nie odpowiadała, Teg rzekł:

– Zrobiłaby to.

Lucylla nie zaprzeczyła. Wspominała niewiarygodną szybkość, z jaką poruszał się Duncan, oszałamiające zwroty podczas jego ataku.

– Decyzje pola bitwy – powiedział baszar, patrząc na nią.

Przyznała mu rację. Jak zwykle dokonał właściwego wyboru. Wiedziała jednak, że musi się porozumieć z Tarazą. Przyśpieszenie prana i bindu tego gholi przekraczało wszystko, czego się spodziewała. Nagle zamarła, gdy Teg wyprostował się czujnie, patrząc na drzwi za nią. Odwróciła się błyskawicznie.

W drzwiach stała Schwangyu, a za jej plecami Patrin, także z ciężką rusznicą opartą na przedramieniu. Lucylla spostrzegła, że lufa była wymierzona w Schwangyu.

– Nalegała – wyjaśnił Patrin. Na twarzy starego ordynansa rysował się gniew. Głębokie bruzdy biegły w dół z kącików ust.

– Droga do południowego bunkra jest usłana ciałami – odezwała się Schwangyu. – Twoi ludzie nie dopuszczają mnie tam. Rozkazuję ci odwołać natychmiast to polecenie.

– Nie, dopóki moje patrole oczyszczające teren nie skończą – odparł Teg.

– Nadal zabijają tam ludzi! Słyszę to! – W głosie Schwangyu pojawiła się zjadliwa nuta. Spojrzała z furią na Lucyllę.

– A także przesłuchują – powiedział Teg.

Matka Komendantka przeniosła na niego wzrok.

– Skoro tu jest zbyt niebezpiecznie, zabierzemy tego... to dziecko do mojej kwatery. Natychmiast!

– Nie zrobimy tego – odparł baszar cicho, lecz stanowczo.

Schwangu zesztywniała z gniewu. Palce Patrina na kolbie rusznicy pobielały. Schwangu zerknęła na broń, a potem na pełną aprobaty twarz Lucylli.

Obie kobiety spojrzały sobie w oczy.

Teg odczekał chwilę, nim powiedział:

– Lucyлло, zabierz Duncana do mojego salonu. – Wskazał głową drzwi za sobą.

Wykonała polecenie, cały czas oddzielając swym ciałem Duncana od Schwangu.

– O mało nie nazwała mnie gholą – rzekł Duncan już za drzwiami. – Jest naprawdę wytrącona z równowagi.

– Kilka rzeczy jej się wymknęło – stwierdziła Lucylla.

Przyglądała się salonowi Tega. Po raz pierwszy znalazła się w tym sanktuarium baszara. Przypominało jej własną kwaterę – ta sama mieszanina porządku i nieładu. Garść szpul do czytania leżała na stoliku przy staroświeckim jasnoszarym krześle. Czytnik był odsunięty, jakby jego użytkownik wyszedł tylko na chwilę. Na drugim krześle leżała czarna mundurowa kurtka, a na niej pudełko z przyborami do szycia. Na mankiecie widać było zacerowaną dziurę.

„A więc sam robi takie rzeczy!”

To była nieoczekiwana strona życia sławnego Milesa Tega. Spodziewałaby się raczej, że tym się zajmuje Patrin.

– Schwangu wpuściła napastników, prawda? – spytał Duncan.

– Jej ludzie wpuścili. – Lucylla nie starała się ukryć gniewu. – Posunęła się za daleko. Paktować z Tleilaxanami!

– Patrin ją zabije?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Za drzwiami Schwangu mówiła gniewnym tonem, głośno i całkiem wyraźnie.

– Na co tu mamy czekać, baszarze?

– Możesz wyjść, kiedy tylko zechcesz. – To był głos Tega.

– Ale nie mogę się dostać do południowego tunelu!

Schwangu sprawiała wrażenie rozdrażnionej. Lucylla wiedziała, że stara kobieta robi to celowo. Co ona knuje? Teg musi być teraz szczególnie

ostrożny. Bardzo zręcznie odsłonił przed Lucyllą luki w samokontroli Schwangyu, ale nie odkryli jeszcze wszystkich jej możliwości. Lucylla zastanawiała się, czy nie powinna zostawić Duncana i wrócić do Tega.

– Możesz teraz odejść, ale nie radzę ci wracać do twojej kwatery.

– Dlaczego? – Schwangyu była naprawdę zaskoczona i nie umiała tego ukryć.

– Chwileczkę – powiedział Teg.

Lucylla usłyszała dalekie krzyki. Gdzieś w pobliżu rozległ się grzmot wybuchu, a po nim drugi, oddalony. Z gzymsu nad drzwiami salonu posypał się pył.

– Co to było? – Schwangyu przekrzyczała łoskot.

Lucylla przesunęła się między Duncana a ścianę od strony hallu.

Patrząc na drzwi, młody człowiek przybrał obronną postawę.

– Pierwszy wybuch był tym, czego się po nich spodziewałem – mówił Teg. – Obawiam się, że oni nie spodziewali się drugiego.

Głośny gwizdek zagłuszył coś, co powiedziała Schwangyu.

– Już po wszystkim, baszarze! – To był Patrin.

– Co się dzieje? – dopytywała się Schwangyu.

– Pierwszy wybuch, droga Matko Wielebna, zniszczył twoją kwaterę. Drugi zniszczył napastników.

– Właśnie dostałem sygnał, baszarze! – To znowu Patrin. – Dopadliśmy wszystkich. Przylecieli szybowcem ze statku pozaprzestrzennego, jak przewidywałeś.

– A statek? – W głosie Tega było żądanie.

– Zniszczony w momencie przejścia przez zagięcie przestrzeni. Nikt nie ocalał.

– Głupcy! – wrzasnęła Schwangyu. – Wiecie, coście zrobili?

– Wykonałem rozkaz, by bronić chłopca przed każdym atakiem – odparł Teg. – Przy okazji, czy o tej porze nie miałaś być w swojej kwaterze?

– Co takiego?

– Wysadzili ją w powietrze z myślą o tobie. Tleilaxanie są bardzo groźni, Matko Wielebna.

– Nie wierzę ci.

– Proponuję, żebyś poszła sprawdzić. Patrin, przepuść ją.

Słuchająca tego Lucylla rozumiała, o co naprawdę chodzi. Mentat cieszył się tu większym zaufaniem niż Matka Wielebna i Schwangyu wiedziała o tym. Mogła się posunąć do desperackich kroków. Mogła nie uwierzyć

w informację o zniszczeniu jej kwatery. Umysł Schwangyu był zajęty faktem, że Teg i Lucylla domyślili się jej udziału w ataku. Trudno powiedzieć, kto jeszcze o tym wiedział, poza Patrinem oczywiście.

Duncan patrzył na zamknięte drzwi, lekko przechylając w prawo głowę. Miał dziwną minę, jakby przenikał je wzrokiem i widział ludzi za nimi.

– Nie wierzę, że zniszczono moje mieszkanie – przemówiła Schwangyu, ściśle kontrolując głos. Wiedziała, że Lucylla słucha.

– Jest tylko jeden sposób, by się przekonać – powiedział Teg.

„Sprytne!” – pomyślała Lucylla. Schwangyu nie może podjąć żadnej decyzji, dopóki się nie upewni, że Tleilaxanie dopuścili się zdrady.

– Macie tu na mnie czekać! To rozkaz!

Lucylla usłyszała szelest szat, gdy Matka Wielebna wychodziła.

„Bardzo słaba kontrola emocjonalna” – pomyślała. Równie niepokojące były ujawnione możliwości Tega. „Zdołał jej to zrobić!” Wytrącił z równowagi Matkę Wielebną.

Drzwi przed Duncanem otworzyły się. Stał w nich Teg z ręką na klamce.

– Szybko. Musimy wydostać się z twierdzy, zanim ona wróci.

– Z twierdzy? – Lucylla nie kryła zdumienia.

– Szybko, mówię! Patrin przygotował nam drogę.

– Ale ja muszę...

– Niczego nie musisz! Ruszaj za mną albo cię poniesiemy.

– Naprawdę sądzisz, że mógłbyś... – Urwała. Stał przed nią całkiem nowy Teg. Wiedziała, że nie rzuciłby takiej groźby, gdyby nie był w stanie jej spełnić. – Dobrze – zgodziła się. Ujęła rękę Duncana i wyszła za Tegiem.

Patrin stał w hallu, patrząc w prawo.

– Odeszła – powiedział. Spojrzał na Tega. – Wie pan, co robić?

– Pat!

Lucylla nie słyszała, by Teg nazywał ordynansa tym zdrobnieniem.

Patrin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Przepraszam, baszarze. To podniecenie. Zostawiam to panu. Mam własną rolę do odegrania.

Teg wskazał Lucylli i Duncanowi drogę w prawo. Ruszyła posłusznie, słysząc jego kroki za sobą. Duncan uwolnił spoconą dłoń i szedł obok niej, nie oglądając się za siebie.

Dwóch ludzi Tega strzegło windy dryfowej na końcu hallu. Teg skinął im głową.

– Nikomu nie wolno iść za nami.

– Tak jest, baszarze.

W windzie Lucylla zdała sobie sprawę, że wzięła stronę Tega w sporze, którego istoty nie rozumiała. Politykę zgromadzenia odbierała dotąd jak obmywający ją strumień. Zwykle były to łagodne fale liżące brzeg, ale teraz czuła wielki, niszczący przyptyw, gotowy się na nią zwalić.

– Powinniśmy mieć broń – rzekł Duncan, gdy weszli do południowego bunkra.

– Będziemy mieli – odparł Teg. – I mam nadzieję, że zabijesz każdego, kto próbuje nas zatrzymać.



Oto znaczący fakt: nigdy nie widziano kobiety Bene Tleilax poza ochronną barierą ich rdzennych planet. (Maskaradnicy zdolni przeobrażać się w kobiety nie są objęci tą analizą. Są bezpłodni.) Tleilaxanie trzymają swe kobiety z dala od nas. Taki jest nasz pierwszy wniosek. To właśnie w komórkach jajowych muszą ukrywać mistrzowie Tleilaxan swoje największe tajemnice.

– analiza Bene Gesserit, nr arch. XOXTM99...041

– W końcu się spotykamy – powiedziała Taraza.

Patrzyła na Tylwytha Waffa z dzielącej ich krzesła odległości dwóch metrów. Analityczki zapewniły ją, że ten człowiek jest mistrzem mistrzów Tleilaxan. Pomyśleć tylko, że ta elfia figurka dzierży tak ogromną władzę! „Trzeba tu odrzucić uprzedzenia co do wyglądu” – upomniała się.

– Wielu nie uwierzyłoby, że to możliwe – odpowiedział Waff.

Miał piskliwy, słaby głos.

„Znowu coś, co trzeba mierzyć odrębnymi standardami”.

Siedzieli na neutralnym terenie, w statku pozaprzestrzennym Gildii, a monitory Bene Gesserit i Tleilaxa przywarły do kadłuba tej jednostki niczym sępy do padliny. (Gildia rozpaczliwie starała się udobruchać Bene Gesserit. „Zapłacicie!” Gildia rozumiała. Już nieraz wymuszano na niej zapłatę.) Owalny pokój, w którym się spotkali, miał obite miedzią ściany i był „zabezpieczony przed podsłuchem”. Taraza nie wierzyła w to ani przez chwilę. Przypuszczała też, że wykute z melanżu więzy Gildii z Tleilaxem wciąż istnieją.

Waff nie miał złudzeń co do Tarazy. Ta kobieta była o wiele groźniejsza niż jakakolwiek Dostojna Matrona. Gdyby zabił Tarazę, natychmiast zastąpiłaby ją jakaś równie niebezpieczna kobieta dysponująca wszystkimi istotnymi informacjami posiadanymi przez obecną Matkę Przełożoną.

– Wasi nowi maskaradnicy są bardzo interesujący – powiedziała Taraza.

Waff skrzywił się mimo woli. Tak, *o wiele* groźniejsza niż te Dostojne Matrony, które jeszcze nawet nie oskarżyły Tleilaxan o zniszczenie ich statku pozaprzestrzennego.

Taraza patrzyła na mały dwustronny zegar cyfrowy stojący na niskim stoliku po prawej, gdzie oboje mogli go widzieć. Tarcza po stronie Waffa była dostrojona do jego czasu. Taraza zauważyła, że oba odczyty zostały z dokładnością do dziesięciu sekund zsynchronizowane z arbitralnie ustalonym środkiem dnia. Była to jedna z subtelności tego spotkania, którego warunki określały nawet ustawienie i odległość krzeseł.

Byli sami. Owalne pomieszczenie miało około sześciu metrów w dłuższej osi i połowę tego w krótszej. Zajmowali identyczne podwieszane krzesła, drewniane z dodatkiem pomarańczowej tkaniny. Nie było w nich ani odrobiny metalu czy innych obcych materiałów. Jedynym dodatkowym meblem w pokoju był stolik z zegarem – cienka czarna płyta plazu na trzech wrzecionowatych nogach. Oboje zostali dokładnie przeszukani. Mieli po trzech ochroniarzy przy jedynym wejściu do pokoju. Taraza nie sądziła, by Tleilaxanie podstawili maskaradnika, nie w obecnych okolicznościach.

„Zapłacicie”.

Tleilaxanie byli świadomi zagrożenia, zwłaszcza odkąd się dowiedzieli, że Bene Gesserit potrafią rozpoznać ich nowych maskaradników.

Waff chrząknął. Nie była to pierwsza oznaka jego zdenerwowania.

– Nie sądzę, że dojdziemy do zgody.

– Dlaczego więc przybyłeś?

– Po wyjaśnienie dziwnej wiadomości z twierdzy Rakis. Za co mamy płacić?

– Bardzo proszę, ser Waff, byś przestał w tym pokoju głupio udawać. Są pewne fakty, znane nam obojgu, których nie da się uniknąć.

– Na przykład?

– Nie przekazano nam nigdy żadnej kobiety z Bene Tleilax – powiedziała. I pomyślała: „Niech się nad tym napoci!” To było piekielnie frustrujące – nie dysponować w badaniach jakąkolwiek linią Innych Wspomnień Tleilaxan. Waff wiedział o tym.



Skrzywił się.

– Chyba nie sądzisz, że będę handlował życiem... – Przerwał i pokręcił głową. – Nie wierzę, że żądacie takiej zapłaty.

Nie odpowiadała.

– Ten głupi atak na rakańską świątynię podjęli bez porozumienia z nami miejscowi – rzekł. – Już zostali ukarani.

„Oczekiwany gambit numer trzy” – pomyślała Taraza.

Przed tym spotkaniem brała udział w licznych odprawach analityczno-informacyjnych. Chodziło głównie o analizy. Informacji o Tylwycie Waffie, mistrzu Tleilaxan, było bardzo niewiele. W rezultacie opracowano kilka niezmiernie ważnych – gdyby się okazały prawdziwe – niezobowiązujących prognoz. Kłopot polegał na tym, że część najbardziej interesujących danych pochodziła z niepewnych źródeł. Na jednym wszakże można było polegać: ten siedzący naprzeciw niej mały elf był śmiertelnie niebezpieczny.

Gambit numer trzy Waffa pochłaniał całą jej uwagę. Czas na odpowiedź. Taraza uśmiechnęła się z miną kogoś dobrze poinformowanego.

– Spodziewałyśmy się po tobie takich właśnie kłamstw.

– Zaczynamy od zniewag? – spytał beznamietnie.

– To ty narzuciłeś ten ton. Pozwól, że cię ostrzegę: Nie uda ci się załatwić sprawy z nami tak, jak to zrobiłeś z tymi dziwkami z Rozproszenia.

Znieruchomiałe spojrzenie Waffa zachęciło Tarazę do śmiałego gambitu. Przypuszczenia oparte częściowo na zniknięciu ixańskiego statku konferencyjnego były słuszne! Zachowując uśmiech na twarzy, zaczęła rozwijać wybrane domysły, jakby to były fakty.

– Sądzę, że te dziwki chętnie się dowiedzą, iż są wśród nich maskaradnicy.

Waff jakby zapadł się w siebie. „Przeklęte czarownice! Wiedzą! Jakimś sposobem wiedzą!” Jego doradcy mieli olbrzymie wątpliwości co do tego spotkania. Wielu głosowało przeciw. Te czarownice były tak... diaboliczne. I takie mściwe!

„Pora skierować jego uwagę na Gammu – pomyślała Taraza. – Nie dać mu odzyskać równowagi”.

– Nawet kiedy wam się uda zwerbować jedną z nas, jak Schwangyu na Gammu, nie dowiadujecie się niczego istotnego.

– Myślała, że może nas... wynająć jak bandę asasynów! – wybuchnęła Waff. – Daliśmy jej tylko nauczki.

„Aaach, duma wychodzi na wierzch – pomyślała Taraza. – Ciekawe. Należy zbadać możliwości, jakie daje kryjąca się za taką dumą struktura moralna”.

– Nigdy naprawdę nie przeniknęliście naszych szeregów – powiedziała.

– A wy nigdy nie przeniknęłyście Tleilaxan! – Waffowi udało się przy tej przechwałce zachować spokój.

„On potrzebuje czasu do namysłu! Żeby coś zaplanować!”

– Może chciałbyś znać cenę naszego milczenia? – podsunęła Taraza.

Uznała kamienne milczenie Tleilaxanina za zgodę.

– Po pierwsze, podzielicie się z nami wiedzą o tych dziwkach z Rozproszenia, które nazywają siebie Dostojnymi Matronami.

Waff zadrżał. Zabicie Dostojnych Matron potwierdziło wiele domysłów. Te zawilości seksu! Tylko najsilniejsza psychika może się oprzeć wplątaniu w takie ekstazy. Potencjał takiej broni jest ogromny! Czy musi się tym dzielić z tymi czarownicami?

– *Wszystkim*, co o nich wiecie – powtórzyła.

– Czemu nazywacie je dziwkami? – spytał Waff niemal płaczliwie.

– Starają się nas naśladować, ale sprzedają się dla władzy i ośmieszają wszystko, co sobą przedstawiamy. Dostojne Matrony!

– Przewyższają was liczbą co najmniej tysiąckrotnie. Widzieliśmy dowody.

– Jedna z nas mogłaby pokonać je wszystkie – oświadczyła Taraza.

Waff przyglądał jej się w milczeniu. Czy była to tylko przechwałka? Nigdy nie można być pewnym, kiedy chodzi o czarownice Bene Gesserit. One naprawdę robiły to, co robiły. Ciemna strona magicznego wszechświata należała do nich. Niejeden raz czarownice podstawiały nogę szariatowi. Czy z woli Boga prawdziwi wyznawcy mają przejść kolejną próbę?

Taraza pozwoliła, by cisza przeciągała się, budując napięcie. Wyczuwała gwałtowne emocje Waffa. Przypomniła jej się jedna z pierwszych narad poprzedzających to spotkanie. Bellonda zadała wtedy proste na pozór pytanie:

– Co *naprawdę* wiemy o Tleilaxanach?

Czuła wówczas, że odpowiedź wzbiera w umysłach zebranych wokół stołu. „Wiemy tylko to, co chcą, żebyśmy wiedziały”.

Żadna z jej analityczek nie mogła się uwolnić od podejrzeń, że Tleilaxanie celowo tworzą swój fałszywy obraz. Ich inteligencję trzeba było mierzyć faktem, że tylko oni posiadali sekret kadzi aksolotlowych. Czy był to

szczęśliwy przypadek, jak przypuszczali niektórzy? Dlaczego nikt inny nie zdołał powtórzyć tego osiągnięcia przez tyle tysiącleci?

„Ghole”.

Czy Tleilaxanie wykorzystywali proces ich powstawania, by zapewnić sobie nieśmiertelność? Wskazywałyby na to pewne oznaki w zachowaniu Waffa, nic określonego, ale mocno podejrzane.

Na zebraniach kapituły Bellonda raz po raz wracała do ich podejrzeń, wbijając im do głowy:

– Wszystko to... wszystko to, powtarzam! Wszystko w naszych archiwach może być śmieciem zdatnym tylko na karmę dla świmaków.

Porównanie to przyprawiło co bardziej odprężone Matki Wielebne o nagły dreszcz.

„Świmaki!”

Te powoli pełzające hybrydy gigantycznych ślimaków i świń dostarczały mięsa na najdroższe dania we wszechświecie, ale ucieleśniały zarazem wszystko, czym brzydziło się zgromadzenie w Tleilaxanach. Świmaki były jednym z pierwszych towarów eksportowych Tleilaxan. Hodowano je w kadziach i formowano tym samym spiralnym wzorem, z którego brało się wszelkie życie. To, że były wytworem Bene Tleilax, umacniało aurę obsceniczności, otaczającą te stwory o wielu pyskach ryjących nieustannie w poszukiwaniu odpadków, które szybko przetwarzały w śluzowate ekskrementy cuchnące chlewem.

– Najśłodsze mięso po tej stronie nieba – zacytowała Bellonda reklamę KHOAM.

– A pochodzi z plugastwa – dodała Taraza.

„Plugastwo”.

Myślała o tym, patrząc na Waffa. W jakim celu ludzie mieliby przywdziewać maskę plugastwa? Wybuch urażonej dumy mistrza Tleilaxan nie pasował do tego obrazu.

Waff kaszlnął, przesłaniając usta dłonią. Czuł ciężar rękawów, których szwy kryły miotacze strzałek. Część jego doradców była zdania, że podobnie jak z Dostojnymi Matronami, zwycięzcą tego spotkania z Bene Gesserit będzie ten, kto wyniesie najtajniejsze informacje o drugim. Śmierć przeciwnika zapewnia sukces.

„Mógłbym ją zabić, ale co potem?”

Trzy doświadczone Matki Wielebne czekały za drzwiami. Taraza z pewnością przygotowała dla nich sygnał. Bez tego sygnału czeka go walka

i katastrofa. Nie łudził się ani przez chwilę, że jego nowi maskaradnicy mogą pokonać te Matki Wielebne. Czarownice były w pełnej gotowości. Rozpoznały naturę ochroniarzy Waffa.

– Podzielimy się – powiedział Waff. Zawarte w tej frazie przyznanie bolało, ale wiedział, że nie ma wyboru. Przechwałka Tarazy była grubo przesadzona, ale wyczuwał w niej prawdę. Nie miał złudzeń co do następstw dowiedzenia się przez Dostojne Matrony, jaki los spotkał ich poselstwo. Zaginiony statek pozaprzestrzenny nie obciążał Tleilaxan. Statki ginęły. Morderstwo z premedytacją to jednak całkiem inna sprawa. Dostojne Matrony z pewnością postarałyby się zetrzeć zuchwałego przeciwnika z powierzchni ziemi. Choćby dla przykładu. Takie rzeczy opowiadali powracający z Rozproszenia Tleilaxanie. Poznawszy Dostojne Matrony, Waff uwierzył w ich opowieści.

– Drugim punktem programu tego spotkania jest nasz ghola – powiedziała Taraza.

Waff skurczył się w podwieszanym krześle i przywołał sympatyczny uśmiech, który dzięki drobnym ruchom mięśni miał sugerować rozluźnienie. Ćwiczył to wytrwale pod okiem mentata *powindah* i miał nadzieję – a nawet modlił się – że to właściwy moment, by go użyć.

Taraza zauważyła to i zinterpretowała jako kolejną oznakę słabości Tleilaxanina. Jego małe oczka, okrągła twarz ze sterczącym nosem i zbyt ostre zęby budziły w niej wstręt.

– Zabijaliście naszych gholi, żeby kontrolować przebieg projektu, w którym waszą rolą było dostarczenie jednego tylko elementu.

Waff bez powodzenia usiłował zachować kamienną twarz. Jego oczy odruchowo strzelały w lewo i w prawo.

Czy nic się nie ukryje przed tymi przekłętymi czarownicami? Nie można lekceważyć możliwości, że Bene Gesserit mają szpiega w sercu Tleilaxa. Skąd mogłyby wiedzieć?

Waff rzekł drżącym głosem:

– Zapewniam cię, Matko Przełożona, że ghola...

– Nie zapewniaj mnie o niczym! Same się upewniamy. – Ze smutkiem pokręciła powoli głową. – A wam się zdaje, że nie wiemy, iż sprzedajecie nam uszkodzony towar.

– Spełnia wszystkie wymagania zawarte w kontrakcie! – powiedział zbyt szybko Waff.

Taraza znowu pokręciła głową. Ten malutki mistrz Tleilaxan nie miał pojęcia, jak wiele zdradza swoim zachowaniem

– Wbudowaliście w jego psychikę własny schemat. Ostrzegam, ser Waff, jeśli wasze *zmiany* utrudnią nasz projekt, zranimy was bardziej, niż się to wam wydaje możliwe.

Waff przetarł twarz dłonią, czując na czole krople potu. Widziała to, oczywiście. Przeklęte czarownice! Nie wiedziała jednak wszystkiego. Powracający z Rozproszenia Tleilaxanie i Dostojne Matrony, które tak oczerniała, wyposażyli Tleilaxa w broń z ładunkiem seksualnym, którą on się nie podzielił, bez względu na złożone tu obietnice.

Taraza w milczeniu przetrwała reakcje Waffa i zdecydowała się na zuchwałe kłamstwo.

– Kiedy przechwyciliśmy ten ixański statek konferencyjny, twoi nowi maskaradnicy zginęli nieco za późno. Wiele się nauczyliśmy.

Waff zastygł na swoim krześle.

„Strzał w dziesiątkę!” – pomyślała. Tleilaxanin oniemiał. Tak go zszokowała, że nie potrafił tego ukryć. To śmiałe kłamstwo otworzyło drogę do potwierdzenia najbardziej niewiarygodnych przypuszczeń jej doradczyń. Teraz nie wydawały się już niewiarygodne.

„Ambicją Tleilaxan jest stworzenie kompletnej mimiki prana i bindu” – sugerowała jedna z nich.

„Kompletnej?”

Wszystkie obecne wtedy siostry zdumiało samo to przypuszczenie. Zakładało ono kopię umysłu znacznie przewyższającą znany im odcisk pamięciowy.

Członkini rady, siostra Hesteriona z archiwów, przyniosła starannie zestawioną listę dowodów. „Wiemy już teraz, że to, co sonda ixańska robi mechanicznie, Tleilaxanie robią za pomocą nerwów i mięśni. Następny krok jest oczywisty”.

Widząc reakcję Waffa na jej kłamstwa, Taraza nie spuszczała go z oczu. Teraz był najgroźniejszy.

Na jego twarzy pojawiły się wściekłość i determinacja. To, co wiedziały czarownice, było zbyt niebezpieczne! Nie wątpił ani trochę w słowa Tarazy. „Muszę ją zabić bez względu na konsekwencje. Musimy zabić je wszystkie. Złe Duchy! To ich słowa i opisują je wprost idealnie”.

Taraza właściwie odczytała wyraz jego twarzy.

– Nic wam nie grozi z naszej strony, dopóki nie zagrażacie naszym planom – powiedziała szybko. – Wasza religia i wasz styl życia są waszą sprawą.

Waff zawahał się, nie tyle z powodu jej słów, ile na wspomnienie jej mocy. Co jeszcze wiedzą? Kontynuować rozmowę z tak niskiej pozycji? Po odrzuceniu takiego przymierza z Dostojnymi Matronami? I gdy po tylu tysiącletciach tak bliskie jest panowanie! Był rozczarowany. Mniejszość w jego radzie miała jednak rację. „Nie może być żadnych związków między naszymi ludami. Każdy układ z *powindah* ma u podstawy zło”.

Nadal wyczuwała w nim zamiar użycia siły. Czyżby naciskała za mocno? Przyjęła postawę obronną. Mimowolne drgnienie jego ramion ożywiło jej czujność. „Broń w rękawach!” Nie wolno nie doceniać Tleilaxan. Jej urządzenia niczego nie wykryły.

– Wiem, że masz przy sobie broń – powiedziała. Kolejne kłamstwo nasuwało się samo. – Jeżeli teraz popełnisz błąd, dziwki dowiedzą się, do czego jej używasz.

Waff wykonał trzy płytkie oddechy. Kiedy przemówił, był już opanowany.

– Nie będziemy satelitami Bene Gesserit.

– Ani słowem, ani czynem nie sugerowałam, że moglibyście grać tę rolę – odparła spokojnie.

Czekała. Wyraz twarzy Waffa nie zmieniał się. Patrzące gdzieś poza nią oczy nawet nie drgnęły.

– Grozicie nam – mruknął. – Żądacie, byśmy się dzielili wszystkim...

– Dzielili! – wpadła mu w słowo. – Nikt się nie *dzieli* z kimś, kto nie jest mu równy.

– A czym wy się z nami podzielicie? – zapytał.

Przemówiła uspokajającym tonem, jakby się zwracała do dziecka.

– Ser Waff, spytaj sam siebie, dlaczego ty, najważniejszy członek waszej oligarchii, przybyłeś na to spotkanie.

– A dlaczego ty, Matka Przełożona Bene Gesserit, tu przybyłaś? – odparł Waff ściśle kontrolowanym głosem.

– By nas wzmocnić – odparła łagodnie.

– Nie powiedziałaś, czym się podzielicie. Wciąż macie nadzieję na zdobycie przewagi.

Taraza przyglądała mu się uważnie. Nieczęsto wyczuwała taką tłumioną furję.

– Powiedz otwarcie, czego chcesz.

– A ty mi to dasz po dobroci!  
– Będę negocjować.  
– Czy to były negocjacje, gdy kazałaś mi, *kazałaś*, żeby...  
– Przybyłeś tu zdecydowany zerwać każdą ugodę. Ani przez chwilę nie starałeś się negocjować! Siedząc przed kimś, kto pragnie dojść z tobą do porozumienia, potrafisz tylko...

– Porozumienie? – Waff przypomniał sobie nagle gniew Dostojnej Matrony, gdy padło to słowo.

– Tak powiedziałam – potwierdziła Taraza. – Porozumienie.

W kącikach ust Tleilaxanina pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

– Uważasz, że jestem władny zawrzeć z tobą porozumienie?

– Ostrożnie, ser Waff – odpowiedziała. – Jesteś władny, i to w najwyższym stopniu. Wystarczy wspomnieć o możliwości zniszczenia przeciwnika. Ja nie stanowią zagrożenia, ale ty tak. – Zerknęła na jego rękawy.

Waff westchnął. Co za dylemat! Ona jest przecież *powindah*. Jak można się układać z *powindah*?

– Mamy problem, którego nie można rozwiązać racjonalnymi metodami – powiedziała.

Waff raz jeszcze bezskutecznie usiłował ukryć zaskoczenie. Tych słów użyła Dostojna Matrona. Wzdrygnął się na samą myśl o tym, co to może znaczyć. Sojusz Bene Gesserit i Dostojnych Matron? Zgryźliwość Tarazy świadczyła o czymś przeciwnym, ale czy czarownicom można wierzyć?

Znowu zaczął się zastanawiać, czy nie poświęcić siebie, by wyeliminować tę czarownicę. Czy to coś da? Inne z pewnością wiedzą tyle samo co ona. To by tylko przyspieszyło katastrofę. Co prawda są wśród nich różnice zdań, ale i to może być podstęp.

– Chcecie, żeby się z wami dzielić – powiedziała Taraza. – A gdybym wam zaproponowała kilka naszych najlepszych linii genetycznych?

Nie miała wątpliwości, że jego zainteresowanie wzrosło.

– Dlaczego mielibyśmy zwracać się o to do was? Mamy nasze kadzie i możemy zbierać próbki genetyczne prawie wszędzie.

– Próbkę czego? – zapytała.

Waff westchnął. Nie można się było obronić przed przenikliwością tej Bene Gesserit. Była jak pchnięcie mieczem. Podejrzał, że sam zdradził przed nią coś, co doprowadziło ją do tego tematu. Teraz było za późno. Słusznie się domyśliła (albo donieśli jej szpiedzy!), że dzika pula genów nie

interesuje Tleilaxan z ich wyższym stopniem poznania języka życia. Lekceważenie Bene Gesserit czy też wytworów ich planu eugenicznego nigdy się nie opłacało. Bóg wie najlepiej, że ich dziełem byli Muad'Dib i Prorok.

– Czego jeszcze chcecie w zamian za to? – zapytał.

– W końcu się targujemy! – stwierdziła Taraza. – Oboje wiemy, oczywiście, że proponuję wam płodne matki z rodu Atrydów. – I pomyślała: „Niech ma tę nadzieję. Będą wyglądać jak Atrydki, ale nimi nie będą”.

Waff poczuł, że puls mu przyspiesza. Czy to możliwe? Czy ona ma pojęcie, czego Tleilaxanie mogą się dowiedzieć, mając taki materiał do badań?

– Chcemy pierwszej selekcji ich potomstwa – powiedziała Taraza.

– Nie!

– Kolejnej selekcji?

– Być może.

– Co masz na myśli? – Pochyliła się w przód. Podniecenie Waffa mówiło, że trafiła na gorący trop.

– Jakie jeszcze macie życzenia?

– Nasze matki muszą mieć nieskrępowany dostęp do waszych laboratoriów genetycznych.

– Oszalałaś?! – Waff pokręcił głową. Czy ona myśli, że Tleilaxanie pozbędą się ot, tak swej najpotężniejszej broni?

– Wobec tego zgodzimy się na w pełni sprawną każdą aksolotlową.

Waff spojrzał na nią bez słowa.

Taraza wzruszyła ramionami.

– Musiałam spróbować.

– Tak właśnie myślałem.

Matka Przełożona oparła się wygodnie i przejrzała w myśli to, czego się dowiedziała. Reakcja Waffa na próbę zensunnitów była interesująca. „Problem, którego nie można rozwiązać racjonalnymi metodami”. Te słowa podziały na niego. Zdawał się wychylać ze swego ciała z pytającym spojrzeniem w oczach. „Boże, dopomóż! Czyżby Waff był zensunnitą?”

Musiała to sprawdzić bez względu na zagrożenie. Odrade musi mieć na Rakis jak największą przewagę.

– Chyba zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. Pora dobić targu. Sam Bóg w swej nieograniczonej łasce dał nam nieskończone wszechświaty, w których wszystko może się zdarzyć.



Waff zaklaskał, nim zdążył pomyśleć.

– Niespodzianka jest największym darem! – powiedział.

„To nie tylko zensunnita – pomyślała Taraza. – Także sufita. Sufita!”  
Zaczęła zmieniać swój pogląd na Tleilaxan. „Od jak dawna ta wiara włada ich sercami?”

– Czas nie mierzy sam siebie – powiedziała na próbę. – Wystarczy spojrzeć na jakikolwiek krąg.

– Słońca to kręgi, każdy wszechświat jest kręgiem. – Waff wstrzymał oddech, czekając na jej odpowiedź.

– Kręgi są zamknięte. – Taraza wybrała właściwą odpowiedź z Innych Wspomnień. – To, co zamyka i ogranicza, musi się otworzyć na nieskończoność.

Waff podniósł ręce, ukazując dłonie, a potem opuścił je na kolana. Z jego ramion ustąpiło napięcie.

– Dlaczego nie powiedziałas tego na początku?

„Muszę być bardzo ostrożna” – ostrzegła siebie Taraza. Akceptacja widoczna w słowach i zachowaniu Waffa wymagała dokładnej analizy.

– To, co zaszło między nami, nie znaczy nic, jeżeli nie będziemy rozmawiać otwarcie. I nawet wtedy będą to tylko słowa.

Tleilaxanin wpatrywał się w nią, usiłując wyczytać z maski Bene Gesserit potwierdzenie jej słów i zachowania. „To *powindah* – przypominał sobie. – *Powindah* nie można wierzyć... ale jeżeli ona wyznaje Wielką Wiarę...”

– Czy Bóg nie zesłał swego Proroka na Rakis, by nas tam poddał próbie i pouczył? – zapytał.

Taraza pogrążyła się w Innych Wspomnieniach. „Prorok na Rakis? Muad’Dib? Nie... to nie pasuje do wierzeń sufitów ani zensunnitów...”

„Tyran!”

– Czego nie można zmienić, trzeba przyjąć – odpowiedziała, surowo zaciskając usta.

– Bo z pewnością jest to dzieło Boże – dokończył Waff.

Taraza widziała i usłyszała dość. Missionaria Protectiva zapoznały ją ze wszystkimi znanymi religiami. Inne Wspomnienia umacniały i dopełniały tę wiedzę. Czuła naglące pragnienie wydostania się z tego pokoju. Trzeba ostrzec Odrade!

– Czy mogę coś zaproponować?

Waff skinął uprzejmie głową.

– Być może łączą nas silniejsze więzy, niż sobie wyobrażaliśmy. Pragnę ci zaofiarować gościnę w naszej twierdzy na Rakis i usługi naszej Komendantki.

– Atrydki? – spytał.

– Nie – skłamała. – Ale uprzedzę nasze genetyczki o twoich potrzebach.

– A ja przygotuję to, czego żądacie w zamian. Dlaczego mamy dobić targu właśnie na Rakis?

– Czy to nie najwłaściwsze miejsce? Kto mógłby kłamać w domu Proroka?

Waff odchylił się na krześle i rozluźnił ręce na kolanach. Taraza z pewnością zna wszystkie właściwe odpowiedzi. Nigdy by się tego nie spodziewał.

Wstała.

– Każde z nas słucha Boga osobno.

„I razem w kehl” – pomyślał. Spojrzał na nią, przypominając sobie, że to *powindah*. Nikomu z nich nie wolno ufać. „Ostrożnie!” Ta kobieta jest mimo wszystko czarownicą Bene Gesserit. Są znane z tworzenia religii dla własnych celów. *Powindah!*

Taraza podeszła do drzwi, otworzyła je i dała znak swej ochronie. Jeszcze raz odwróciła się do Waffa, który siedział wciąż na krześle. „Nie przeniknął naszego prawdziwego zamysłu – pomyślała. – Te, które do niego pošlemy, trzeba dobierać ze szczególną ostrożnością. Nie może podejrzewać, że jest częścią przynęty”.

Waff odpowiedział jej spojrzeniem. Elfia twarz była spokojna.

„Jak dobrotliwie wygląda” – pomyślała Taraza. Ale i jego można było złapać. Sojusz zgromadzenia i Tleilaxan otwierał nowe możliwości. „Jednak na naszych warunkach”.

– Do zobaczenia na Rakis – powiedziała.



Jakie dziedzictwo społeczne zabrali ze sobą w świat Rozproszeni? Znamy tamte czasy doskonale. Znamy zarówno psychiczny, jak fizyczny stan rzeczy. Utraceni zabrali ze sobą świadomość skupioną głównie na możliwościach ludzi i techniki. Z mitu wolności wynika desperacka potrzeba przestrzeni do ekspansji. Większość nie pojęła głębszego sensu nauki Tyrana, że przemoc tworzy własne ograniczenia. Rozproszenie było ruchem

spontaniznym i nieprzemyślanym, interpretowanym jako wzrost (ekspansja). Przyspieszał je (często nieświadomy) strach przed stagnacją i śmiercią.

– *Rozproszenie*, analiza Bene Gesserit, archiwa

Odrade leżała na boku w wykuszowym oknie, dotykając policzkiem ciepłej tafli plazu, przez który widziała Wielki Plac Kin. Grzbiet podparła czerwoną poduszką pachnącą melanżem, jak wiele rzeczy tu, na Rakis. Za plecami miała trzy pokoiki, wygodne i odpowiednio oddalone zarówno od świątyni, jak od twierdzy Bene Gesserit. Był to jeden z warunków umowy między Bene Gesserit a kapłanami.

– Sziena musi być lepiej chroniona – upierała się Odrade.

– Nie może być wyłącznie pod opieką zgromadzenia – protestował Tuek.

– Ani kapłanów – odparła Odrade.

Sześć piętér pod wykuszowym oknem Matki Komendantki rozciągał się ogromny bazar, wypełniający prawie cały Wielki Plac słabo zorganizowanym bałaganem. Srebrnożółte światło chylącego się ku zachodowi słońca malowało tę scenę blaskiem, który podkreślał żywe kolory baldachimów rzucających długie cienie na nierówny grunt. Jego promienie rozświetlały pył w powietrzu, tam gdzie grupki ludzi tłoczyły się wokół łatanych parasoli i stosów towarów.

Wielki Plac nie był kwadratowy. Rozciągał się poza bazar, cały kilometr na wprost okna Odrade i co najmniej dwa razy tyle w lewo i w prawo – olbrzymi prostokąt ubitej ziemi i wiekowych kamieni ścieranych na gryzący pył stopami kupujących, którzy rzucali wyzwanie upałowi w nadziei na korzystne transakcje.

Z nadejściem wieczoru bazar coraz bardziej ożywał przed oczami Odrade – przybywało ludzi poruszających się szybciej i bardziej gorączkowo.

Odrade przechyliła głowę, starając się zobaczyć, co się dzieje pod budynkiem. Część handlarzy przeniosła się spod jej okna do swoich domów. Wrócą po posiłku i krótkiej sjeście gotowi w pełni wykorzystać te cenne godziny, kiedy ludzie na otwartej przestrzeni mogą oddychać powietrzem, nie parząc sobie gardeł.

Odrade zauważyła, że Sziena się spóźnia. Kapłani chyba nie odważą się zwlekać dłużej. Miotają się teraz wokół niej, nękając ją pytaniami, upominając, by pamiętała, że jest wysłanniczką Boga do Jego kościoła, przypominając zobowiązania, które Odrade musi wytrzymać i ośmieszyć, by ukazać te głupstwa z odpowiedniego dystansu.

Wygięła plecy i przez minutę ćwiczyła w milczeniu, by usunąć napięcie mięśni. Musiała przyznać, że czuje sympatię do Szieny. W głowie dziewczyny niewątpliwie panował chaos. Wiedziała mało albo nic o tym, co ją czeka, gdy przejdzie pod opiekę Matek Wielebnych. Młody umysł pełen był mitów. „Jak mój kiedyś”. W takich chwilach nie mogła unikać wspomnień. Jej zadanie było jasne: wyegzorcyzmować Szienę i siebie. Pomyślała o wspomnieniach Matki Wielebnej w jej Wspomnieniach: „Odrade, pięć lat, wygodny dom na Gammu. Wzdłuż ulicy, przy której stoi dom, wznoszą się typowe dla nadmorskich miast planety rezydencje klasy średniej. Domy schodzą w dół, ku morzu, gdzie ich fronty są znacznie szersze niż przy ulicach. Tyle że na brzegu morza domy są droższe i liczy się każdy metr”.

Wyszkolona przez Bene Gesserit pamięć Odrade wędrowała po tamtym dalekim domu, pośród jego mieszkańców, po ulicy, wśród towarzyszy zabaw. Ucisk w piersi mówił, jak bardzo te wspomnienia były związane z tym, co nastąpiło potem.

Przedszkole Bene Gesserit na sztucznym świecie al-Dhanab, jednej z pierwszych bezpiecznych planet zgromadzenia. Później dowiedziała się, że rozważano przekształcenie całej planety w komorę pozaprzestrzenną. Wymagania energetyczne przekreśliły jednak ten zamysł.

Dla dziecka wychowanego na Gammu w komfortie i wśród przyjaciół przedszkole było kaskadą różnorodności. Edukacja Bene Gesserit obejmowała intensywne przygotowanie fizyczne. Stale jej przypominano, że nie ma co marzyć o zostaniu Matką Wielebną, jeśli nie przejdzie przez bolesne, powtarzające się i na pozór bezsensowne ćwiczenia mięśni.

Część jej towarzyszek nie pokonała tego etapu. Odeszły, by zostać pielęgniarkami, służącymi, robotnicami, zastępczymi matkami. Zapełniały luki, kiedy zgromadzenie tego potrzebowało. Czasami Odrade myślała tęsknie, że taka porażka nie byłaby zła – mniejsza odpowiedzialność, łatwiejsze zadania. Tak było, zanim przeszła wstępne szkolenie.

„Myślałam o tym jako o tryumfalnej paradzie. Przeszłam na drugą stronę”.

Tylko po to, by narzucono jej nowe, surowsze wymagania.

Usiadła na swym rakańskim parapecie i odepchnęła poduszkę. Odwróciła się plecami do bazaru. Zrobiło się tam zbyt głośno. Przekląci kapłani! Ta zwłoka przekraczała już wszelkie dopuszczalne granice!

„Muszę myśleć o dzieciństwie, bo to mi pomoże z Szieną” – pomyślała. I natychmiast wzgardziła swoją słabością. „Jeszcze jedna wymówka!”

Niektóre postulanki potrzebowały pięćdziesięciu lat, by zostać Matką Wielebną. To była podstawa dalszego szkolenia: lekcja cierpliwości. Odrade wcześniej wykazała zainteresowanie kontynuacją studiów. Uważano, że mogłaby zostać jedną z mentatek Bene Gesserit albo może archiwistką. Porzucono te pomysły, gdy odkryto, że jej talenty mogą być wykorzystane na ważniejszym polu. Przeznaczono ją do subtelnych zadań w kapitule.

„Bezpieczeństwo”.

Ów samorodny talent Atrydów często wykorzystywano w taki właśnie sposób. Dewizą Odrade była dbałość o szczegóły. Wiedziała, że jej siostry, znając ją, mogą przewidzieć pewne jej działania. Taraza robiła to regularnie. Odrade usłyszała wyjaśnienie z własnych ust Matki Przełożonej: „Osobowość Odrade świetnie uwidacznia się w podejściu do obowiązków”.

W kapitule żartowano sobie: „Co robi Odrade po służbie? Bierze się do roboty”.

W kapitule nie trzeba było przybierać masek, jakich odruchowo używały Bene Gesserit na zewnątrz. Mogła okazywać uczucia, otwarcie omawiać błędy własne i cudze, czuć gorycz i żal, a czasami zaś – być szczęśliwą. Mężczyźni byli dostępni, nie do płodzenia, ale dla pociechy. Wszyscy oni byli czarujący, a niektórzy nawet szczerzy w swym uroku. Ci mieli oczywiście największe powodzenie.

„Uczucia”.

Przez umysł Odrade przemknęło zrozumienie. „Znowu doszłam do tego co zawsze”.

Czuła na plecach ciepłe wieczorne promienie słońca Rakis. Wiedziała, gdzie przebywa jej ciało, umysł otworzył się jednak na bliskie spotkanie z Szieną.

„Miłość!”

Byłoby to równie proste co niebezpieczne.

Pozazdrościła Stacjonarnym Matkom, tym, którym pozwalano spędzić życie z wybranym partnerem. Z takiego związku pochodził Miles Teg. Inne Wspomnienia mówiły, jak to było z lady Jessiką i jej księciem. Nawet Muad'Dib wybrał tę formę pożycia.

„To nie dla mnie”.

Pozwoliła sobie na przypływ gorzkiej zawiści, bo jej nie pozwolono na takie życie. Gdzie było zadośćuczynienie w egzystencji, jaką jej

przeznaczono?

„Życie bez miłości może być z większym oddaniem poświęcone zgromadzeniu. Wtajemniczonym zapewniamy własne formy pomocy. Nie martwcie się o zaspokojenie seksualne. Jest osiągalne, kiedy tylko czujecie taką potrzebę”.

„Z tymi czarującymi mężczyznami” – pomyślała Odrade.

Od czasów Jessiki przez czasy Tyrana i po nich wiele rzeczy uległo zmianie... z Bene Gesserit włącznie. Wiedziała o tym każda Matka Wielebna.

Westchnęła głęboko. Obejrzała się przez ramię na bazar. Wciąż ani śladu Szieny.

„Nie wolno mi kochać tego dziecka!”

I to już było wszystko. Zakończyła ćwiczenie mnemotechniczne zgodne z regułą Bene Gesserit. Przesunęła się i usiadła na parapecie ze skrzyżowanymi nogami. Miała wspaniały widok na bazar, na dachy miasta i na basen, w którym ono leżało. Wiedziała, że kilka niewysokich wzgórz na południu to pozostałości Muru Zaporowego Diuny, wysokiego szanca z litej skały, przebitego niegdyś przez Muad'Diba i jego jadące na czerwiałych legiony.

Żar tańczył nad ziemią za kanatem i kanałem, które chroniły Kin przed wtargnięciem nowych czerwiałych. Odrade uśmiechnęła się lekko. Kapłani nie widzieli niczego dziwnego w otaczaniu fosami swych siedzib, aby powstrzymać Podzielonego Boga przed składaniem wizyt.

„Będziemy Cię wielbić, Boże, ale nas nie nękać. To nasza religia i nasze miasto. Widzisz, że nie nazywamy go już Arrakin. Teraz to Kin. Ta planeta to już nie Diuna i nie Arrakis. Teraz to Rakis. Trzymaj się z dala, Boże. Jesteś przeszłością, a przeszłość jest kłopotliwa”.

Odrade patrzyła na odległe wzgórze tańczące w drgającym powietrzu, a Inne Wspomnienia nakładały na nie starożytny krajobraz. Znała tę przeszłość.

„Jeśli kapłani będą nadal opóźniać sprowadzenie Szieny, ukarzę ich”.

Upał nagromadzony w ciągu dnia w ziemi i w grubych murach otaczających Wielki Plac wciąż jeszcze nękał bazar. Powietrze drgało także od dymu wielu małych ognisk w okolicznych domach i ludzkich skupiskach pod namiotami. Dzień był gorący, znacznie powyżej trzydziestu ośmiu stopni. Jednak budynek, w którym przebywała, był kiedyś centralą rybomównych i schładzały go ixańskie maszyny z parownikami na dachu.

„Tu nam będzie wygodnie”.

I na tyle bezpiecznie, na ile to mogą zapewnić środki będące w dyspozycji Bene Gesserit. Matki Wielebne chodzą po tych korytarzach tam i z powrotem. Kapłani zostawili tu przedstawicieli, ale żaden nie mógłby wejść tam, gdzie Odrade by go sobie nie życzyła. Sziena będzie się z nimi spotykać, ale tylko wtedy, gdy Odrade na to pozwoli.

„To się dzieje! – pomyślała. – Plan Tarazy się realizuje”.

Miała w pamięci ostatnią wiadomość z Kapituły. Rewelacje o Tleilaxanach wprawiały ją w podniecenie, które starannie tłumiała. Ten Waff, mistrz Tleilaxan, byłby fascynującym obiektem badań.

„Zensunnita! I sufita!”

„Rytualny wzór utrwalony przez tysiąclecia” – pisała Taraza.

Między słowami jej raportu zawarta była inna wiadomość. „Taraza ufa mi całkowicie”. Odrade czuła, jak świadomość tego dodaje jej sił.

„Sziena jest punktem oparcia. My jesteśmy dźwignią. Nasza siła będzie płynąć z wielu źródeł”.

Odrade odprężyła się. Wiedziała, że Sziena nie pozwoli kapłanom dłużej zwlekać. Nawet cierpliwość samej Matki Komendantki znosiła męki. Sziena odczuwa to jeszcze boleśniej.

Zawiązały we dwie spisek, pierwszy krok. Dla Szieny była to świetna zabawa. Została wychowana w nieufności do kapłanów. Wspaniale było mieć w końcu sojusznika!

Jakiś ruch zakłócił tłumem tuż pod oknem Odrade. Zaciekawiona spojrzała w dół. Pięciu nagich mężczyzn chwyciło się za ręce, tworząc krąg. Ich szaty i filtraki leżały z boku na stosie pilnowane przez ciemnoskórą dziewczynę w brązowej sukni z włókna przyprawowego. Włosy miała przewiązane czerwoną szmatką.

„Tancerze!”

Odrade czytała wiele raportów opisujących ten fenomen, ale pierwszy raz od przybycia miała okazję go zobaczyć. Wśród widzów było trzech rostrych kapłańskich strażników w złotych hełmach z wysokimi grzebieniami. Strażnicy nosili krótkie szaty nieprzeszkadzające w biegu, a każdy trzymał okutą pałkę.

Gdy tancerze zataczali kręgi, tłum widzów zdradzał coraz większe napięcie. Odrade знаła rozwój wypadków. Wkrótce rozlegnie się śpiewny okrzyk i nastąpi ogólny zamęt. Zaczną pękać czaszki. Popłynie krew. Ludzie będą krzyczeć i uciekać. W końcu wszystko się uspokoi bez jakiegokolwiek

oficjalnej interwencji. Niektórzy odejdą, płacząc, inni – śmiejąc się. A straż kapłańska nie będzie się wtrącać.

Bezsensowne szaleństwo tego tańca i jego konsekwencje przyciągały od wieków uwagę Bene Gesserit. Teraz pochłonęły również Odrade. Missionaria Protectiva śledziła przekazywanie tego rytuału z pokolenia na pokolenie. Rakańczycy nazywali go „Tańcem”. Miał też inne nazwy, a najbardziej znaczącą była „Siajnok”. Rozwinał się z największego rytuału Tyrana, chwili jego dzielenia się z rybomównymi.

Odrade doskonale rozpoznawała i doceniała energię zawartą w tym fenomenie. Żadna Matka Wielebna nie mogłaby tego przeoczyć. Drażniło ją jednak jej marnotrawienie. Rytuał należało ukierunkować i kontrolować. Powinien znaleźć zastosowanie. Teraz marnował tylko siły, które mogłyby przynieść zgubę kapłanom.

Poczuła nagle słodki zapach owoców. Wciągnęła go w nozdrza i spojrzała na podokienne nawiewy. Ciepło bijące od tłumu i od nagrzanej ziemi wywoływało prąd wstępujący, który wniósł tu zapachy przez ixańskie wentylatory. Odrade przycisnęła czoło i nos do tafli plazu, by spojrzeć prosto w dół. Ach! Tancerze albo tłum przewrócili stragan. Tańczący tratowali owoce, a żółty miąższ opryskiwał im uda.

Odrade rozpoznała wśród widzów właściciela straganu, znajomą pomarszczoną twarz, którą widziała kilka razy przy wejściu do budynku. Zdawał się nie przejmować swoją stratą. Jak wszyscy skupił uwagę na tancerzach. Tych pięciu nagusów poruszało się nierytmicznie, wyrzucając wysoko nogi i nie dbając o koordynację ruchów, ale powtarzając co pewien czas jedną pozycję: trzech tancerzy stało twardo na ziemi, trzymając dwóch pozostałych wysoko w powietrzu.

Znała ten taniec. Przypominał prastary fremeński sposób chodzenia po piasku. Był anachronizmem, którego korzenie wyrastały z konieczności takiego poruszania się, by nie zdradzić swej obecności czerwieni.

Ludzie zaczęli się tłoczyć wokół tancerzy, schodząc z całego bazaru. Podskakiwali niczym dziecinne zabawki, by choć przez chwilę widzieć ponad tłumem tych pięciu nagusów.

Odrade zobaczyła wtedy eskortę Szieny poruszającą się daleko z prawej, gdzie wychodziła na Wielki Plac szeroka aleja. Symbole zwierzęcych tropów na jakimś budynku mówiły, że była to kiedyś Boża Droga. Historyczna świadomość podpowiadała Odrade, że tą aleją przybywał do miasta Leto II z otoczonego wysokim murem Seriru na dalekim południu.



Tropiąc szczegóły, można było jeszcze dostrzec pewne formy i zarysy Onn, miasta Tyrana, świątecznego centrum zbudowanego wokół starszego Arrakin. Onn zatarło wiele śladów Arrakin, ale niektóre aleje pozostały. Niektóre budynki były zbyt użyteczne, by zastępować je innymi, i to one wyznaczały układ ulic.

Eskorta Szieny przystanęła w miejscu, gdzie aleja wchodziła na bazar. Strażnicy w żółtych hełmach posuwali się, torując sobie drogę drzewcami. Byli wysocy. Dwumetrowe drzewce sięgało najniższemu z nich zaledwie do ramion. Nawet w najgęstszym tłumie trudno było nie zauważyć kapłańskiego strażnika, ale strzegący Szieny byli najwyżsi ze wszystkich.

Znowu ruszyli, kierując się ku Odrade. Ich szaty rozwiewały się przy każdym kroku, odsłaniając połyskliwą szarość najlepszego gatunku filtraków. Szli w piętnastu prosto przed siebie, krótkim klinem omijającym skupiska straganów.

Za strażnikami maszerowała grupa kapłanek z Szieną pośrodku. Odrade dostrzegła wyróżniającą się wśród eskorty postać dziewczynki, spłowiałe od słońca włosy i uniesioną dumnie twarz. To jednak strażnicy w żółtych hełmach przyciągali uwagę. Z ich ruchów biła wpajana im od dzieciństwa arogancja. Ci strażnicy wiedzieli, że są lepsi od zwykłych ludzi. A zwykli ludzie rozstępowali się przed nimi, robiąc przejście orszakowi Szieny.

Wszystko to działo się tak naturalnie, że Odrade ujrzała w tym jakiś pradawny wzorzec, jakby patrzyła na jeszcze jeden rytualny taniec, który nie zmienił się przez tysiąclecia.

Jak to już często robiła, pomyślała o sobie jako o archeologu, nie takim, który przesiewa pył stuleci, ale raczej takim, który skupił się na tym samym co zgromadzenie: w jaki sposób ludzie niosą ze sobą swoją przeszłość. Widać tu było wyraźnie zamysł Tyrana. Nadejście Szieny zaplanował sam Bóg Imperator.

Pięciu nagusów tańczyło nadal pod oknem Odrade, spostrzegła jednak, że uwaga widzów została odwrócona. Nie zwracając głów w stronę zbliżającej się falangi strażników, *wiedzieli*.

„Zwierzęta zawsze wiedzą, kiedy się zbliżają pasterze”.

Niepokój tłumy zaczął narastać. Nikt nie odbierze mu jego chaosu! Gruda ziemi rzucona z tylnych rzędów upadła obok tancerzy. Nie zmylili kroku, ale zwiększyli tempo. Długość serii ruchów między powtórzeniami mówiła o doskonałej pamięci.

Kolejna gruda rzucona z tłumu uderzyła tancerza w ramię. Nawet się nie zachwiał. Tłum zaczął krzyczeć i śpiewać, niektórzy wykrzykiwali przekleństwa. Pieśni towarzyszyło klaskanie mające zakłócić ruchy tancerzy.

A jednak taniec się nie zmienił.

Śpiew tłumu nabrał szorstkiego rytmu. Krzyki odbijały się echem od ścian Wielkiego Placu. Tłum starał się zakłócić układ tańca. Odrade wyczuwała w rozgrywającej się poniżej scenie jakieś głębokie znaczenie.

Orszak Szieny przeszedł już ponad połowę drogi. Kroczyli szerokimi przejściami między straganami, a teraz zawrócili wprost ku Odrade. Jakies pięćdziesiąt metrów przed nimi ścisk był największy. Strażnicy poruszali się równym, pewnym krokiem, gardząc tymi, którzy pierzchali na boki. Oczy patrzyły spod żółtych hełmów nieruchomo i wprost przed siebie, ponad tłumem. Żaden z nadchodzących nie zdradzał, że widzi tłum, tancerzy albo inną przeszkodę, która by go mogła zatrzymać.

Tłum nagle przestał śpiewać, jakby uciszył go ruchem ręki jakiś niewidzialny dyrygent. Pięciu mężczyzn tańczyło dalej. Cisza była brzemienią taką mocą, że Odrade zjeżyły się włosy na karku. Tuż pod nią trzech kapłanów strażnicy przyglądający się dotąd tancerzom odwrócili się jak jeden mąż i zniknęli w budynku.

W głębi tłumu jakaś kobieta rzuciła przekleństwo.

Tancerze zdawali się tego nie słyszeć.

Tłum zaczął przeć do przodu, zmniejszając o połowę przestrzeń wokół tancerzy. Nie było już widać dziewczyny pilnującej ich filtraków i szat.

Falanga Szieny maszerowała naprzód, a tuż za nią kapłanki i ich młoda podopieczna.

Z prawej strony wybuchła bijatyka. Ludzie zaczęli się okładać pięściami. Nowe pociski poleciały ku piątce tańczących. Tłum podjął pieśń w szybszym rytmie.

W tym samym czasie tyły tłumu rozstały się przed strażnikami. Widzowie nie odrywali oczu od tancerzy ani nie przestawali zwiększać zamieszania, ale otwierali drogę.

Odrade patrzyła w dół jak zaczarowana. Wiele rzeczy wydarzyło się jednocześnie: zamęt, przekleństwa i okładanie się pięściami, wciąż śpiewana pieśń i nieprzerwany pochód strażników.

Za osłoną kapłanek widziała Szienę rzucającą spojrzenia z boku na bok, starającą się zrozumieć panujące wokół niej zamieszanie.

W rękach ludzi z tłumu pojawiły się pałki, ale nikt nie atakował strażników ani innych członków orszaku.

Tancerze wciąż pływali w zacieśniającym się kręgu widzów. Wszyscy napierali na budynek Odrade, która przyciskała głowę do tafli plazu, patrząc pod ostrym kątem w dół.

Prowadzący orszak strażnicy postępowali rozszerzającą się wśród chaosu drogą. Kapłanki nie spoglądały na boki. Strażnicy w żółtych hełmach patrzyli wprost przed siebie.

Odrade uznała, że pogarda jest słabym słowem na określenie takiego zachowania. Nie byłoby też słuszne stwierdzenie, że wirujący tłum ignorował nadejście orszaku. Jedni zauważali drugich, ale żyli w odrębnych światach, przestrzegając ścisłych zasad tej odrębności. Tylko Sziena ignorowała ów tajny protokół, podskakując, żeby choć zerknąć ponad głowami ochrony.

Tłum tuż pod Odrade runął naprzód. Tancerze zostali zmiecieni i rozrzucony niczym statki porwane przez gigantyczną falę. Odrade widziała ich nagie ciała okładane pięściami i rzucone z rąk do rąk w wyjąym chaosie. Tylko w najwyższym skupieniu mogła rozróżnić jakieś dźwięki.

To było szaleństwo!

Żaden tancerz nie stawiał oporu. Czy ich zabito? Czy to była ofiara?

Analizy zgromadzenia nawet nie dotknęły takiej rzeczywistości.

Żółte hełmy w dole rozstały się, otwierając Szienę i jej kapłankom drogę do budynku. Potem strażnicy zwarli szeregi, odwrócili się i utworzyli ochronne półkole wokół wejścia. Laski trzymali poziomo na wysokości pasa.

Chaos przed nimi zaczął cichnąć. Nie widać było tancerzy, były jednak ofiary – ludzie rozciągnięci na ziemi, utykający, z okrwawionymi głowami.

Sziena i kapłanki zniknęły w budynku. Odrade usiadła, próbując uporządkować w myślach to, czego była świadkiem.

„Nie do wiary!”

Ani jedno ze sprawozdań czy holozapisów zgromadzenia nie zarejestrowało tego zjawiska! Jego częścią były zapachy: kurz, pot, koncentracja ludzkich feromonów. Odrade zaczerpnęła tchu. Tłum rozpraszał się po bazarze. Widziała płaczące kobiety. Ktoś przeklinał, ktoś inny się śmiał.

Drzwi za jej plecami rozwarły się i weszła roześmiana Sziena. Odrade odwróciła się i nim dziewczynka zamknęła drzwi, zobaczyła swoje

strażniczki i kilka kapłanek.

Ciemne oczy Szieny błyszczały z podniecenia. Jej szczupła twarz, zaczynająca się zaokrąglać w dorosły kształt, ściągnięta była tłumioną emocją. Napięcie ustąpiło, gdy skupiła wzrok na Odrade.

„Bardzo dobrze! – pomyślała Matka Komendantka na ten widok. – Pierwsza lekcja przywiązania już się zaczęła”.

– Widziałas tancerzy? – spytała Sziena, wirując i sunąc po posadzce, nim zatrzymała się przed Odrade. – Czy nie byli cudowni? Ja myślę, że byli! Kania nie chciała, żebym patrzyła. Mówiła, że to niebezpieczne brać udział w Siajnoku. Ale nie dbam o to! Szejtan nigdy by nie pożarł tych tancerzy.

Rozszerzając się nagle świadomością, czego doświadczyła dotąd tylko podczas agonii przyprawowej, Odrade pojęła znaczenie tego, co zaszło na Wielkim Placu. Potrzebowała obecności i słów Szieny, by wszystko stało się jasne.

„To język!”

Głęboko w zbiorowej świadomości ludzie ci nosili nieświadomie język, który przekazywał im to, czego nie chcieli słyszeć. Mówili nim tancerze. Mówiła nim Sziena. Ta mowa składała się z tonów głosu, ruchów i feromonów, złożonych i subtelnych kombinacji, które rozwinęły się tak, jak rozwijają się wszystkie języki.

Z konieczności.

Odrade uśmiechnęła się do stojącej przed nią szczęśliwej dziewczyny. Teraz wiedziała, jak wciągnąć w pułapkę Tleilaxan. Teraz rozumiała lepiej plan Tarazy.

„Przy pierwszej okazji muszę się udać z Szieną na pustynię. Zaczekamy tylko na przybycie tego mistrza Tleilaxan, tego Waffa. Zabierzemy go ze sobą”.



Wolność i Swoboda to pojęcia złożone. Wyrastają z religijnej idei Wolnej Woli i łączą się z pojęciem Mistycznego Władcy ucieleśnionego w monarchach absolutnych. Bez monarchów absolutnych, wzorowanych na Dawnych Bogach i władających dzięki religijnej wierze w odpuszczenie grzechów, Wolność i Swoboda nigdy nie nabrałyby dzisiejszego znaczenia. Te ideały zawdzięczają istnienie przykładom ucisku

z przeszłości. A podtrzymujące je siły ulegają rozpadowi, chyba że je ożywi jakaś dramatyczna lekcja lub nowy ucisk. I to jest właśnie główny klucz do mego żywota.

– Leto II, Bóg Imperator Diuny, zapis z Dar-es-Balat

W gęstym lesie, jakieś trzydzieści kilometrów na północny wschód od twierdzy Gammu, Teg kazał im czekać pod płachtą abiotyczną, aż słońce skryło się za wzgórzami na zachodzie.

– Dziś pójdziemy w inną stronę – powiedział.

Już trzy noce prowadził ich w ciemnościach wśród drzew, po mistrzowsku demonstrując możliwości pamięci mentata i stawiając każdy krok dokładnie na szlaku wytyczonym przez Patrina.

– Zesztywniałam od siedzenia bez ruchu – poskarżyła się Lucylla – a będzie zimna noc.

Teg złożył płachtę i wepchnął ją do plecaka.

– Możecie tu pospacerować – powiedział – ale nie wyruszymy, póki nie będzie ciemno.

Siedział oparty plecami o świerk, patrząc, jak Lucylla i Duncan wychodzą na polanę. Stali tam chwilę, dygocąc, kiedy resztką dziennego ciepła rozplynęła się w nocnym chłodzie. Tak, znów będzie zimna noc, ale niewiele zostanie czasu, by się nad tym zastanawiać.

„*Coś nieoczekiwanego*”.

Schwangyu nigdy by nie pomyślała, że są tak blisko twierdzy, i to pieszo.

„Taraza powinna była jaśniej wyrazić swoje podejrzenia co do Schwangyu” – pomyślał. Jej gwałtowne i otwarte wypowiedzenie posłuszeństwa Matce Przełożonej zaprzeczało tradycji. Mentacka logika nie chciała tego przyjąć do wiadomości bez dodatkowych danych.

Pamięć podsunęła mu powiedzonko z czasów szkolenia, jeden z tych ostrzegawczych aforyzmów, które mają mentatowi pomóc ujarzmić logikę.

„Mając dany kierunek logiki, brzytwę Ockhama ustawioną doskonale precyzyjnie, mentat może podążać za tą logiką aż do własnej zguby”.

Wiadome zatem było, że logika zawodzi.

Zaczął myśleć o zachowaniu Tarazy na statku Gildii i zaraz potem.

„Chciała, bym wiedział, że będę zdany wyłącznie na siebie. Muszę patrzeć na ten problem z mojego punktu widzenia, a nie jej”.

Tak więc zagrożenie ze strony Schwangyu musiało być realnym zagrożeniem, które wykrył, stawiał mu czoło i rozstrzygnął na swój sposób.

Taraza nie wiedziała, co w rezultacie stanie się z Patrinem.

„Jej nie obchodziło, co się stanie z Patrinem. Ani ze mną. Ani z Lucyllą”.

„Ale co z gholą?”

„To ją musiało obchodzić!”

To nielogiczne, żeby ona... Teg zrezygnował z tej linii rozumowania. Taraza nie chciała, żeby działał logicznie. Chciała, żeby robił dokładnie to, co robił, co zawsze dotąd robił w trudnym położeniu.

„Coś nieoczekiwanego”.

To wszystko nosiło znamiona logiki, ale jeśli uczestnicy zdarzeń pójdą za logiką, wypadną ze swego gniazda prosto w chaos.

„Z którego mamy stworzyć sobie własny porządek”.

W jego świadomości wezbrał żal. „Patrin! Do diabła, Pat! Ty wiedziałeś, a ja nie! Co teraz zrobię bez ciebie?”

Teg prawie usłyszał odpowiedź starego ordynansa, ten chłodny, formalny ton, którego używał Patrin, kiedy strofował swego dowódcę.

„Zrobisz wszystko co w twojej mocy, baszarze”.

Chłodne rozumowanie podpowiadało, że Teg nigdy już nie zobaczy Patriny żywego i że nigdy już nie usłyszy jego głosu. A jednak... ten głos pozostał. Człowiek żył w jego pamięci.

– Nie powinniśmy już iść?

Podniósł głowę i spojrzał. Przed nim stała Lucylla, za nią Duncan. Oboje mieli na ramionach plecaki.

Podczas gdy siedział i rozmyślał, zapadła noc. Jasne światło gwiazd rzucało słabe cienie na polanę. Teg podniósł się, chwycił plecak i schylając się pod rozłożystymi gałęziami, wyszedł na polanę. Duncan pomógł mu zarzucić plecak na ramiona.

– Schwangyu w końcu na to wpadnie – powiedziała Lucylla. – Jej łowcy przyjdą tu za nami. Wiesz o tym.

– Nie wcześniej, nim dojdą do końca fałszywego śladu – odparł Teg. – Idziemy.

Poprowadził ich ścieżką wśród drzew na zachód.

Przez trzy poprzednie noce wiodł ich „ścieżką wspomnień Patriny”. Tej czwartej wypominał sobie, że nie przewidział logicznych konsekwencji działań ordynansa.

„Znając głębiej jego lojalności, nie wysnułem z tego oczywistego wniosku. Byliśmy razem wiele lat, więc myślałem, że znam jego umysł jak swój. Do diabła, Patrin! Nie było potrzeby, żebyś ginął!”

Musiał jednak przyznać, że *była* taka potrzeba. Patrin ją widział. Mentat nie pozwolił sobie jej dostrzec. Logika potrafi być ślepa.

Jak to często powtarzały i *demonstrowały* Bene Gesserit.

„Idziemy więc pieszo. Tego się Schwangyu nie spodziewa”.

Ten marsz po dzikich zakątkach Gammu otwierał przed nim nową perspektywę. W Czasach Głodu i Rozproszeniu cała ta okolica porośła dziką puszcza. Później prowadzono tu nasadzenia, ale puszcza w większości pozostała. Wiodły ich niewidoczne ścieżki i tajne punkty orientacyjne. Teg wyobrażał sobie Patrina, jak poznaje tę krainę w młodości: ten skalny ostaniec widoczny w świetle gwiazd między drzewami, tamten stromy szczyt, te ścieżki wśród olbrzymich drzew.

– Będą podejrzewać, że uciekliśmy statkiem pozaprzestrzennym – zgodzili się z Patrinem, układając plan. – Przynęta musi odciągnąć pogoń w tym właśnie kierunku.

Patrin nie powiedział, że to on będzie przynętą.

Teg przełknął ślinę ściśniętym gardłem.

„Duncana nie można było ochronić w twierdzy” – usprawiedliwiał sam siebie.

To była prawda.

Przez cały pierwszy dzień Lucylla trzęsa się pod płachtą abiotyczną chroniącą ich przed wykryciem z powietrza.

– Musimy zawiadomić Tarazę! – powiedziała.

– Kiedy będziemy mogli.

– A jeśli coś ci się stanie? Muszę znać cały plan ucieczki.

– Jeśli coś mi się stanie, i tak nie znajdziesz ścieżki Patriny. Nie mamy czasu, żeby ci ją zapisać w pamięci.

Tamtego dnia Duncan prawie nie brał udziału w rozmowie. Przyglądał im się w milczeniu albo drzemał. Budził się z gniewnym wyrazem oczu.

Drugiego dnia pod abiotyczną osłoną zapytał znienacka Tega:

– Dlaczego oni chcą mnie zabić?

– Żeby pokrzyżować plan zgromadzenia – odpowiedział baszar.

– Co to za plan?! – zwrócił się Duncan ostro do Lucylli.

Lucylla nie odpowiadała.

– Ona wie – rzekł. – Wie, bo to od niej mam być zależny. Mam ją kochać!

Teg pomyślał, że Lucylla bardzo dobrze ukrywa konsternację. Jej plany co do gholi poszły oczywiście w rozsypkę, bo ucieczka naruszyła ich kolejność.

Zachowanie Duncana nasuwało inną możliwość: czyżby ghola był utajonym Prawdomówcą? Jakie dodatkowe możliwości wszczepili mu podstępni Tleilaxanie?

Z nadejściem drugiej nocy w głuszy Lucylla zaczęła obwiniać Tega.

– Taraza kazała ci przywrócić mu pierwotne wspomnienia. Jak chcesz to zrobić w tych warunkach?

– Zrobię to, kiedy dotrzemy do schronienia.

Milczący i czujny Duncan był wtedy obok nich. To, co usłyszał, przywróciło mu chęć do życia.

„Nic nie może się stać Tegowi – myślał. – Gdziekolwiek jest to schronienie, Teg musi tam dotrzeć bezpiecznie. Wtedy się dowiem”.

Nie był pewny, czego się dowie, ale wiedział, że akceptuje cenę tego. Ta głusza musi prowadzić do celu. Przypomniawszy sobie, jak patrzył na lasy z twierdzy i jak marzył, żeby tam być, wolny. Tamto poczucie nienaruszonej wolności zniknęło. Puszcza była tylko drogą do czegoś ważniejszego.

Zamykająca pochód Lucylla zmuszała się do zachowania spokoju i czujności oraz do pogodzenia się z tym, czego nie mogła zmienić. Część jej świadomości słuchała rozkazu Tarazy.

„Trzymaj się blisko gholi i gdy nadejdzie właściwa chwila, wykonaj zadanie”.

Ciało Tega odmierzało kilometry, krok za krokiem. To była czwarta noc. Patrin obliczył, że czwartej nocy dojdą do celu.

„I to do jakiego!”

Plan ucieczki w razie zagrożenia opierał się na odkryciu, którego dokonał kiedyś kilkunastoletni Patrin. Gammu wciąż skrywała wiele tajemnic. Pamięć Tega przechowywała jej ciemne karty. W czasach Imperium Gammu była lennem Harkonnenów.

– Wróciłem w to miejsce dwa dni temu pod pozorem rekonesansu – brzmiał mu w uszach głos Patriny. – Jest nietknięte. Wciąż jestem jedynym człowiekiem, który tam był.

– Skąd ta pewność?

– Kiedy przed laty opuszczałem Gammu, podjąłem środki ostrożności. Zostawiłem parę drobiazgów, które ktoś inny musiałby poruszyć. Niczego nie ruszono.

– Harkonneńska kula pozaprzestrzenna?

– Bardzo stara, ale komory są nietknięte i działają.

– A co z wodą, żywnością...

– Wszystko, czego ci potrzeba i czego zechcesz, tam jest, złożone w zeroentropijnych pojemnikach w środku kuli.



Teg i Patrin układali plany z nadzieją, że nie będą musieli skorzystać z tej awaryjnej kryjówki. Trzymali to w sekrecie. Patrin odtworzył Tegowi z pamięci drogę do odkrycia swego dzieciństwa.

Z tyłu Lucylla potknęła się o wystający korzeń i wydała zdławiony okrzyk. „Powinienem ją ostrzec” – pomyślał baszar. Idący za nim Duncan najwyraźniej kierował się słuchem. Lucylla równie wyraźnie skupiła się na swoich myślach.

Teg pomyślał, że jej podobieństwo do Darwi Odrade nie było przypadkowe. W twierdzy, kiedy stały obok siebie, zauważał różnice, bo dzieliły je lata. Młodość Lucylli widać było w pełniejszym ciele i zaokrąglonej twarzy. Ale te głosy! Barwa, akcent, atonalna modulacja, piętno powszechnie znanej manieri Bene Gesserit. W ciemnościach byłyby nie do odróżnienia.

Znając dobrze Bene Gesserit, Teg wiedział, że to nie przypadek. Skoro zgromadzenie miało zwyczaj kopiowania cennych linii genetycznych dla ochrony inwestycji, one musiały mieć wspólnych przodków.

„Wszyscy jesteśmy Atrydami” – pomyślał.

Taraza nie wyjawiała mu swego planu wobec gholi, ale bycie jego częścią pozwoliło Tegowi dostrzec rosnący kształt. Nie widział całości, jednak zaczynał wyczuwać zarysy.

Przez wiele pokoleń zgromadzenie układało się z Tleilaxanami, kupowało ghole Duncana Idaho i szkoliło na Gammu jedynie po to, by ich mordowano. Przez cały ten czas Bene Gesserit czekały na właściwy moment. Wyglądało to na jakąś okrutną grę, która nagle doszła do punktu krytycznego, bo na Rakis pojawiła się dziewczyna potrafiąca rozkazywać czerwiom.

Sama Gammu musiała być częścią tego planu. Wszędzie tu były ślady Kaladanu, wyrafinowanie jego mieszkańców nakładało się na dawne barbarzyństwo. Ich sanktuarium, w którym dożyła kresu swoich dni babka Tyrana, lady Jessika, pozostawiło po sobie coś jeszcze oprócz populacji.

Teg widział tego jawne i ukryte znaki podczas swego pierwszego objazdu planety.

„Bogactwo!”

Jego oznaki były czytelne. Opływało ich wszechświat, poruszając się na podobieństwo ameby wciskającej się wszędzie, gdzie może się zagnieździć. Teg wiedział, że to bogactwo Rozproszonych, tak wielkie, że niewielu mogło sobie wyobrazić jego ogrom i potęgę.

Zatrzymał się nagle. Szczegóły krajobrazu wymagały jego pełnej uwagi. Przed nimi leżał odsłonięty występ skalny o cechach umieszczonych w jego pamięci przez Patrina. Ten odcinek będzie jednym z bardziej niebezpiecznych.

„Nie ukryją was żadne jaskinie ani nawet gęstsza roślinność. Przygotuj osłonę”.

Teg wyciągnął z plecaka płachtę i przewiesił ją sobie przez ramię. Potem dał znak, żeby ruszać. Ciemna tkanina osłony szeleściła, kiedy szedł.

„Lucylla stała się mniej tajemnicza” – pomyślał. Aspirowała do tytułu „lady”. *Lady Lucylla*. To z pewnością ładnie brzmiało w jej uszach. Ledwie kilka tak tytułowanych Matek Wielebnych pojawiło się, odkąd wysokie rody wyłaniały się z długiego cienia rzuconego na nie przez Złoty Szlak Tyrana.

Lucylla, uwodzicielka i imprinterka.

Wszystkie takie członkinie zgromadzenia były biegłe w sztuce miłosnej. Matka Tega nauczyła go, jak działa ten system, posyłając do wybranych miejscowych kobiet, gdy był jeszcze bardzo młody, i uczulając na symptomy, które miał obserwować zarówno w sobie, jak w tych kobietach. Takie szkolenie bez nadzoru kapituły było zabronione, ale matka Tega była jedną z heretyczek zgromadzenia.

„To ci się przyda, Miles”.

Niewątpliwie miała dar przewidywania. Przygotowała go na spotkanie imprinterów szkolonych we wzmaganiu orgazmu, by przywiązywać nieświadomionymi więzami mężczyznę do kobiety.

„Lucylla i Duncan. Jej imprint byłby imprintem Odrade”.

Teg prawie usłyszał, jak fragmenty układanki zaskakują z trzaskiem w jego umyśle. A co z tą dziewczyną na Rakis? Czy Lucylla ma wpoić swemu uczniowi technikę uwodzenia, by mógł potem oczarować tę, która rozkazuje czerwiom?

„Zbyt mało danych do wstępnej kalkulacji”.

Przystanął na końcu niebezpiecznej otwartej przestrzeni i schował osłonę do plecaka. Duncan i Lucylla czekali tuż obok. Teg westchnął z ulgą. Pod tą płachtą zawsze czuł się nieswojo. Nie miała ochronnej mocy tarczy bojowej, ale przy trafieniu z rusznicy laserowej samozapłon mógł być fatalny.

„Niebezpieczne zabawki!”

Tak właśnie Teg zawsze określał broń i urządzenia mechaniczne. Lepiej polegać na własnym rozumie, ciele i Pięciu Postawach Bene Gesserit, których nauczyła go matka.

„Używaj narzędzi tylko wtedy, gdy są naprawdę konieczne do wzmocnienia ciała” – głośno Bene Gesserit.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – szepnęła Lucylla.

– Wsłuchuję się w noc – odpowiedział Teg.

Duncan, którego twarz była widmową plamą w przesianym przez gałęzie świetle gwiazd, spojrzał na Tega. Rysy baszara uspokajały go. Pomyślał, że muszą być zapisane gdzieś w jego nieosiągalnej pamięci. „Temu człowiekowi mogę ufać”.

Lucylla podejrzewała, że przystanęli, bo stare ciało Tega potrzebowało odpoczynku, ale nie mogła się zdobyć na to, żeby to powiedzieć. Teg mówił, że jego plan obejmuje sposób dostarczenia gholi na Rakis. Tylko to się w tej chwili liczyło.

Domyśliła się już, że to schronienie gdzieś przed nimi musi być statkiem albo komorą pozaprzestrzenną. Nic innego by nie wystarczyło. W jakiś sposób kluczem do tego był Patrin. Parę uwag Tega powiedziało jej, że to Patrin ułożył ich drogę ucieczki.

Lucylla pierwsza zrozumiała, jaką cenę zapłaci Patrin za ich ucieczkę. Był najślabszym ogniwem. Pozostał z tyłu, tam gdzie Schwangyu mogła go dopaść. Schwytanie przynęty było nieuniknione. Tylko głupiec mógł sądzić, że Matka Wielebna o możliwościach Schwangyu nie zdoła wydrzeć sekretów zwykłemu mężczyźnie. Bolesne formy przesłuchania, które pozostały monopolem Bene Gesserit – skrzynka bólu i ucisk na węzły nerwowe – to wszystko, czego potrzebowała.

Forma, jaką przybierze wierność Patriny, stała się jasna dla Lucylli. Jak Teg mógł być tak ślepy?

„Miłość!”

Te długie więzy zaufania między owymi mężczyznami. Schwangyu będzie działać szybko i brutalnie. Patrin o tym wiedział. Teg nie przebadał do końca swojej wiedzy.

Głos Duncana wyrwał ją z tych rozmyślań.

– Ornitopter! Za nami!

– Szybko! – Teg wyszarpnął z plecaka płachtę i narzucił ją na nich. Skulili się w pachnącej ziemi ciemności, słuchając, jak ornitopter przelatuje nad nimi. Nie zatrzymał się ani nie zawrócił.

Kiedy już byli pewni, że ich nie wykryto, Teg poprowadził ich znowu ścieżką wspomnień Patriny.

– To był tropiciel – powiedziała Lucylla. – Albo zaczęli coś podejrzewać, albo Patrin...

– Zachowaj siły na drogę – uciał Teg.

Nie naciskała. Oboje wiedzieli, że Patrin nie żyje. Dyskusja została zamknięta.

„Ten mentat jest wnikliwy” – pomyślała.

Był synem Matki Wielebnej, a ta wyszkoliła go, nie dbając o zakazy, nim zgromadzenie dostało go w swoje ręce. Nie tylko w gholi kryły się nieprzewidziane możliwości.

Ścieżka wila się zakosami w górę – trop zwierzyny wspinającej się na strome wzgórze przez gęsty las. Tylko cudowna pamięć mentata utrzymywała ich na tym szlaku.

Lucylla czuła pod nogami ściółkę. Nasłuchiwała ruchów Tega, odczytując z nich, gdzie postawić nogę.

„Jaki cichy jest Duncan – myślała. – Jaki zamknięty w sobie”. Wykonywał polecenia. Szedł tam, gdzie ich prowadził Teg. Wyczuwała, skąd to posłuszeństwo. Kierował się własnym zdaniem. Słuchał, bo mu to było na rękę... na razie. Bunt Schwangyu zaszczerpił w nim jakąś dziką niezależność. A co mu samowolnie wszczepili Tleilaxanie?

Teg zatrzymał się na małej płaszczyźnie pod wysokimi drzewami, żeby nabrać tchu. Lucylla słyszała, jak głęboko oddycha. Uświadomiła sobie po raz kolejny, że mentat jest bardzo starym człowiekiem, o wiele za starym na taki wysiłek.

– Wszystko z tobą w porządku? – spytała cicho.

– Powiem ci, kiedy nie będzie.

– Jak daleko jeszcze? – spytał Duncan.

– Już tylko kawałek.

Po chwili znów ruszył w noc.

– Musimy się śpieszyć – powiedział. – Ta przełącz to ostatni odcinek.

Gdy przyjął do wiadomości śmierć Patriny, jego myśli przesunęły się niczym igła kompasu na Schwangyu i to, co musiała przeżywać. Najpewniej miała wrażenie, że świat się wali wokół niej. Uciekinierzy przepadli cztery noce wcześniej! Ludzie, którzy potrafili wymknąć się w taki sposób Matce Wielebnej, mogli zrobić wszystko! Oczywiście są już pewnie poza planetą. Statek pozaprzestrzenny. Ale jeżeli...

Myśli Schwangyu musiały być pełne takich „jeżeli”.

Patrin był słabym ogniwiem, ale też został dobrze wyszkolony w sztuce usuwania słabych ogniw. Wyszkolony przez mistrza – Milesa Tega.

Teg strząsnął wilgoć z rzęs krótkim szarpnięciem głowy.

Nagła konieczność żądała tej głębokiej wewnętrznej uczciwości, której nie mógł uniknąć. Teg nigdy nie był dobrym kłamcą, nawet wobec siebie. Na samym początku szkolenia odkrył, że matka i inni wychowawcy wpoili mu głęboko zasady uczciwości.

„Trzymanie się kodeksu honorowego”.

Sam ten kodeks, gdy już rozpoznał w sobie jego zarys, zafascynował Tega. Zaczynał się od stwierdzenia, że ludzie nie zostali stworzeni równi sobie, że mają różne wrodzone zdolności oraz różne życiowe doświadczenia i że tworzy to ludzi o różnych osiągnięciach i wartości.

Teg szybko zrozumiał, że aby pozostać w zgodzie z owym kodeksem, musi znaleźć sobie miejsce w hierarchii, godząc się z tym, że nadejdzie chwila, gdy nie będzie mógł posunąć się dalej. Uwarunkowania kodeksu sięgały głęboko. Nigdy nie zdołał dotrzeć do jego najgłębszych korzeni. Oczywiście był on związany z czymś istotnym dla jego człowieczeństwa. Dyktował z ogromną siłą granice dopuszczalnych zachowań tych, którzy stali wyżej i niżej w piramidzie hierarchii.

„Najważniejszy przedmiot wymiany: lojalność”.

Lojalność sięgała w górę i w dół, lokując się wszędzie tam, gdzie napotkała godne siebie przywiązanie. Teg rozpoznawał w sobie taką lojalność. Nie wątpił, że Taraza wesprze go we wszystkim, chyba że sytuacja będzie wymagać złożenia go w ofierze dla przetrwania zgromadzenia. I to było słuszne samo w sobie. W tym skupiała się ostatecznie lojalność ich wszystkich.

„Jestem baszarem Tarazy. Tak mówi kodeks”.

I ten sam kodeks zabił Patrina.

„Mam nadzieję, że nie cierpiełeś, stary druhu”.

Znów przystanął pod drzewami. Z pochwy w bucie wyjął nóż i zrobił na pniu małe nacięcie.

– Co robisz? – spytała Lucylla.

– To tajny znak. Znają go tylko wyszkoleni przeze mnie i oczywiście Taraza.

– Ale dlaczego...

– Później ci wytłumaczę.

Ruszył dalej, przystanął pod innym drzewem i znów wykonał nożem rysę, jaką zwierzę mogło zrobić pazurem, stapiającą się z naturalnymi cechami puszczy.

Posuwając się naprzód, zdał sobie sprawę, że podjął już decyzję co do Lucylli. Trzeba udaremnić jej zamiary wobec gholi. Wymagała tego każda mentacka prognoza bezpieczeństwa i psychicznego zdrowia Duncana. Przebudzenie jego pierwotnych wspomnień musi wyprzedzić działania Lucylli. Teg wiedział, że nie będzie łatwo ją powstrzymać. Oszukanie Matki Wielebnej wymagało lepszego kłamcy niż on.

Musi to wyglądać na naturalny wynik zbiegu okoliczności. Lucylla nie może podejrzewać istnienia opozycji. Teg nie miał złudzeń co do szans w starciu z Matką Wielebną w ciasnej kwaterze. Lepiej już ją zabić. Mógłby to zrobić. Ale konsekwencje! Taraza nie da się przekonać, że tak krwawy czyn wynika z jej rozkazów.

Nie, powinien grać na czas, czekać, patrzeć i słuchać.

Wyszli na przestrzeń zamkniętą wysoką barierą wulkanicznej skały. Do skały tuliły się krzaki i niskie kolczaste drzewa widoczne jako ciemne plamy w świetle gwiazd.

Teg wypatrzył zarys ciemnej przestrzeni pod krzakami.

– Tu się trzeba będzie czołgać – uprzedził.

– Czuję spaleniznę – powiedziała Lucylla. – Coś się tu paliło.

– To nasza przynęta – odparł baszar. – Patrin zostawił tu wypalony krąg, imitację śladów startu statku pozaprzestrzennego.

Słuchać było, jak Lucylla łapie oddech. „Co za śmiałość!” Jeżeli Schwangyu ośmieli się sprowadzić tu jasnowidza tropiącego Duncana (bo tylko Duncan nie miał w żyłach krwi Siony, która skrywałaby go przed nim) wszystkie znaki wskażą, że doszli tutaj i odlecieli w statku pozaprzestrzennym...

– Ale dokąd nas zabierasz? – zapytała.

– To harkonneńska kula pozaprzestrzenna – odpowiedział. – Czeka tu od tysięcy lat, a teraz jest nasza.



To całkiem naturalne, że trzymający władzę chcą zdławić „dzikie” badania naukowe. Nieograniczone poszukiwanie wiedzy jest od dawien dawna źródłem niepożądanego konkurencji. Dzierżący władzę chcą „bezpiecznej linii badań”, która będzie rozwijać tylko produkty i idee dostępne kontroli i, co najważniejsze, pozwoli zagarnąć większą część zysku wewnętrznym inwestorom. Niestety, przypadkowy wszechświat pełen względnych zmiennych nie zapewnia takiej „bezpiecznej linii badań”.

– ixańska analiza, archiwa Bene Gesserit

Hedley Tuek, najwyższy kapłan i tytularny władca Rakis, czuł, że nie sprostanałożonym właśnie na niego wymaganiom.

Noc spowiła tumanem pyłu Kin, ale w jego prywatnej sali audiencyjnej blask licznych lumisfer rozpraszał ciemności. Nawet tu jednak, w sercu świątyni, słyhać było odległe wycie wiatru, udręki tej planety.

Sala audiencyjna była nieregularnym pomieszczeniem długości siedmiu metrów i szerokości czterech u szczytu. Druga ściana szczytowa była niedostrzegalnie krótsza. Sufit też opadał nieznacznie w jej kierunku. Zasłony z włókna przyprawowego i zmiany natężenia jasnożółtych i szarych barw maskowały wszakże te nieregularności. Jedna z zasłon kryła tubę przenoszącą najlżejszy nawet dźwięk do słuchaczy poza pomieszczeniem.

Towarzyszyła mu tylko Darwi Odrade, nowa komendantka twierdzy Bene Gesserit na Rakis. Siedzieli na wprost siebie na miękkich zielonych poduszkach.

Tuek starał się ukryć grymas. Ten wysiłek przekształcił jego przystojne zwykle rysy w maskę. Bardzo starannie przygotował się na to spotkanie. Służący wygładzili szatę na jego wysokiej i raczej masywnej postaci. Na wielkich stopach miał złote sandały. Filtrak pod szatą był tylko na pokaz: nie miał pomp ani kieszeni łownych i nie wymagał kłopotliwego i czasochłonnego dopasowywania. Sięgające ramion jedwabiste siwe włosy były odpowiednią oprawą dla kwadratowej twarzy o szerokich ustach i masywnym podbródku. Oczy miały dobrotliwy wyraz, podpatrzony u dziadka kapłana.

Tak właśnie wyglądał, gdy wchodził do sali audiencyjnej na spotkanie z Odrade. Wydawał się sobie dość imponujący, tymczasem nagle poczuł się nagi i zaniedbany.

„Ten człowiek ma rzeczywiście pusto w głowie” – stwierdziła Odrade.

Tuek zaś pomyślał: „Nie mogę omawiać z nią tego okropnego manifestu. Nie teraz, gdy słuchają mnie za ścianą mistrz Tleilaxan i maskaradnicy. Co mnie opętało, że na to przystałem?”

– To jest herezja, to jasne i proste – powiedział.

– Reprezentujecie tylko jedną z wielu religii – sprzeciwiła się Odrade – a wraz z powrotem Rozproszonych rozmnożenie schizm i sekt...

– Tylko nasza wiara jest prawdziwa! – oświadczył Tuek.

Odrade ukryła uśmiech. „Wypowiedział właściwe słowa, a Waff na pewno go słyszał”. Kierować Tuekiem było wyjątkowo łatwo. Jeżeli zgromadzenie miało rację co do Waffa, te słowa wprawia go w furję.

– Manifest porusza sprawy dotyczące wszystkich, wierzących i niewierzących – powiedziała.

– Ale co to ma wspólnego ze Świętym Dziecięciem? – zapytał Tuek. – Mówiłaś, że musimy się spotkać w sprawie związanej z...

– Właśnie! Nie udawaj, że nie wiesz, ilu ludzi oddaje cześć Szieniu. Manifest implikuje...

– Manifest! Manifest! To heretycki dokument, który zostanie unicestwiony. A co do Szieny, musi wrócić pod naszą wyłączną opiekę.

– Nie – odparła spokojnie Odrade.

„Jaki jest podekscytowany!” – pomyślała. Jego sztywny kark prawie się nie poruszał, kiedy kręcił głową. Te ruchy wskazywały kobierzec na ścianie po prawej, jakby głowa Tueka rzucała promień oświetlający tę właśnie tkaninę. „Łatwy do przejścia jest ten najwyższy kapłan. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że za tą tkaniną podsłuchuje Waff”.

– A potem ulotnicie się z nią z Rakis – powiedział Tuek.

– Zostanie tutaj. Tak jak ci przyrzekliśmy.

– Ale dlaczego nie może...

– Dajże spokój! Sziena jasno wyraziła swe życzenie i jestem pewna, że przekazano ci jej słowa. Chce zostać Matką Wielebną.

– Ona już jest...

– Wasza Dostojność! Nie próbuj udawać. Ona przekazała swą wolę, a my ją z radością spełniamy. Dlaczego miałbyś być przeciwny? Matki Wielebne służyły Podzielnemu Bogu w czasach Fremenów. Dlaczego nie teraz?

– Wy, Bene Gesserit, potraficie zmuszać ludzi, by mówili to, czego nie chcą powiedzieć. Nie powinniśmy omawiać tego bez moich doradców.

– Twoi doradcy zamęcziliby tylko dyskusję. *Manifest Atrydów*...

– Będziemy rozmawiać tylko o Szieniu! – Tuek przybrał pozę nieugiętego najwyższego kapłana.

– Właśnie o niej rozmawiamy.

– Chcemy mieć przy niej więcej naszych ludzi. Trzeba jej strzec.

– Tak jak była strzeżona na dachu? – spytała Odrade.



– Matko Wielebna Odrade, to jest święta Rakis! Nie macie tu żadnych praw prócz tych darowanych przez nas!

– Praw? Sziena stała się przedmiotem – tak, przedmiotem! – niezliczonych ambicji, a ty chcesz mówić o prawach?

– Moje obowiązki najwyższego kapłana są jasne. Święty Kościół Podzielonego Boga będzie...

– Wasza Dostojność! Staram się zachowywać uprzejmie. To, co robię, wyjdzie na korzyść zarówno wam, jak i nam. Działania, które podjęliśmy...

– Działania? Jakie działania? – wyrwało się Tuekowi. Te straszliwe czarownice Bene Gesserit! Tleilaxanie za plecami, a Matka Wielebna przed nim! Tuek czuł się jak piłka w jakiejś okropnej grze, ciskana tam i z powrotem przez straszliwe siły. Spokojna Rakis, bezpieczne miejsce jego rutynowych działań, zniknęła, jego zaś rzucono na pole jakiejś gry, której zasad nie rozumiał.

– Posłałam po baszara Milesa Tega – powiedziała Odrade. – To wszystko. Jego przednia straż wkrótce się tu zjawi. Zamierzamy wzmocnić waszą obronę planetarną.

– Śmiecie przejmować...

– Niczego nie przejmujemy. Na żądanie twego ojca ludzie Tega zreformowali kiedyś wasze siły. Dotycząca tego umowa, na wyraźne życzenie twojego ojca, zawiera klauzulę, która wymaga naszych regularnych inspekcji.

Tuek milczał oszołomiony. Waff, ten złowieszczy mały Tleilaxanin, słyszał to wszystko. Będzie konflikt! Tleilaxanie chcieli tajnego porozumienia w sprawie cen melanżu. Nie pozwolą na wtrącanie się Bene Gesserit.

Odrade mówiła o jego ojcu i teraz Tuek pragnął już tylko, żeby jego dawno zmarły ojciec tu siedział. To był twardy człowiek. Wiedziałby, jak sobie poradzić z tymi przeciwstawnymi siłami. Zawsze dobrze sobie radził z Tleilaxanami. Tuek przypominał sobie, jak podsłuchiwał (tak samo jak teraz Waff!) tleilaxańskiego posła Wosego i drugiego zwanego Puk. Ledden Puk. Dziwne mieli nazwiska.

Rozproszone myśli najwyższego kapłana nagle podsunęły mu inne nazwisko. Odrade wspomniała je przed chwilą. „Teg!” Ten stary potwór ciągle jeszcze działa!

Odrade znowu coś mówiła. Tuek spróbował przełknąć ślinę wyschniętym gardłem. Pochylił się, usiłując skupić uwagę.

– Teg obejrzy też waszą obronę naziemną. Po tym fiasku na dachu...

– Oficjalnie zabraniam mieszania się w nasze wewnętrzne sprawy – oświadczył Tuek. – Nie ma takiej potrzeby. Nasza straż kapłańska stanowi odpowiednią...

– Odpowiednią? – Odrade pokręciła ze smutkiem głową. – Cóż za nieodpowiednie słowo, zważywszy nowe okoliczności na Rakis.

– Jakie nowe okoliczności? – W głosie Tueka był paniczny strach.

Odrade patrzyła na niego bez słowa.

Starął się zaprowadzić porządek w swoich myślach. Czy mogła wiedzieć o podsłuchującym ich Tleilaxaninie? Niemożliwe! Nabrał tchu. A co z tą obroną Rakis? Systemy obronne były doskonałe. Mieli najlepsze ixańskie monitory i statki pozaprzestrzenne. Co więcej, z korzyścią dla wszystkich było, żeby Rakis pozostała niezależna jako jeszcze jedno źródło przyprawy.

„Dla wszystkich prócz Tleilaxan z ich przeklętą nadprodukcją melanżu z kadzi aksolotlowych!”

To była wstrząsająca myśl. A mistrz Tleilaxan słyszał każde słowo wypowiedziane w tej komnacie!

Tuek wezwał Szej-huluda, Podzielonego Boga, by go bronił. Ten straszny mały człowiek za ścianą twierdził, że występuje również w imieniu Ixan i rybomównych. Przedstawił dokumenty. Czy to były te „nowe okoliczności”, o których mówiła Odrade? Nic się długo nie ukryje przed tymi czarownicami!

Najwyższy kapłan nie mógł powstrzymać drżenia, gdy myślał o Waffie: ta okrągła, mała głowa, błyszczące oczy, zadarty nos i ostre zęby odsłaniane w krótkim uśmiechu. Waff wyglądał jak nieco przerośnięte dziecko, dopóki nie spojrzało mu się w oczy i nie usłyszało, jak mówi swym piskliwym głosem. Tuek pamiętał, jak jego ojciec narzekał: „Ci Tleilaxanie mówią potworne rzeczy dziecinnymi głosami”.

Odrade poruszyła się na poduszkach. Pomyślała o Waffie słuchającym za ścianą. Czy usłyszał już dość? Jej szpiedzy z pewnością zadają sobie teraz to pytanie. Matki Wielebne zawsze odtwarzały takie słowne starcia, szukając udoskonaleń i nowych atutów dla zgromadzenia.

„Usłyszał dość – powiedziała sobie. – Czas na nową odsłonę”.

– Wasza Dostojność, ktoś ważny słucha tego, co tu mówimy – odezwała się swoim najbardziej rzeczowym tonem. – Czy to wypada, żeby ktoś taki słuchał potajemnie?

Tuek zamknął oczy. „Ona wie!”

Otworzył oczy i napotkał niewzruszone spojrzenie Odrade. Wyglądała jak ktoś, kto może czekać całą wieczność na odpowiedź.

– Poproś tego ukrytego słuchacza, żeby usiadł z nami.

Tuek przetarł dłonią spocone czoło. Jego ojciec i dziad, poprzedni najwyżsi kapłani, ułożyli rytualne odpowiedzi na większość okazji, ale żadnej na taką chwilę jak ta. Zaprosić tu Tleilaxanina? W tej komnacie z... Tuek przypomniał sobie nagle, że nie lubi zapachu mistrzów. Jego ojciec narzekał, że „czuć ich nieświeżym jedzeniem”.

Odrade wstała.

– Wolałabym jednak widzieć tego, kto słucha moich słów – powiedziała. – Mam pójść i sama zaprosić tego słuchacza?

Tuek nadal siedział, ale podniósł dłoń, by ją powstrzymać.

– Nie miałem wyboru. Przywiózł pełnomocnictwa rybomównych i Ixan. Mówił, że pomoże nam odzyskać Szienę...

– Pomoże wam? – Odrade popatrzyła na spoconego kapłana prawie z litością. I on myślał, że rządzi Rakis!

– Jest z Bene Tleilax. Nazywa się Waff i...

– Wiem, jak się nazywa, i wiem, po co tu przyjechał, Wasza Dostojność. Zdumiewa mnie natomiast to, że pozwalasz mu szpiegować...

– On nie szpieguje! Prowadziliśmy negocjacje. Mam na myśli nowe siły, do których musimy dostosować naszą...

– Nowe siły? Ach, tak, dziwki z Rozproszenia. Może ten Waff zabrał kilka z nich ze sobą?

Zanim Tuek zdążył odpowiedzieć, otworzyły się boczne drzwi i jak na zawołanie pojawił się w nich Waff, a za nim dwaj maskaradnicy.

„Miał nie brać ze sobą maskaradników!” – pomyślała Odrade.

– Tylko ty! – Wskazała Waffa. – Inni nie byli zaproszeni, prawda, Wasza Dostojność?

Tuek wstał ciężko, czując bliskość Odrade i przypominając sobie wszystkie przerażające opowieści o fizycznych możliwościach Matek Wielebnych. Obecność maskaradników wzmagala tylko jego zakłopotanie. Zawsze napelniali go strasznymi przeczuciami.

Odwrócił się ku drzwiom, starając przybrać zapraszającą minę.

– Tylko... tylko ambasador Waff, proszę – rzekł.

Mówienie sprawiało mu ból. Było gorzej niż strasznie! W towarzystwie tych ludzi czuł się nagi.

Odrade wskazała poduszkę obok swojej.

– Waff, nieprawdaz? Proszę podejść i usiąść z nami.

Waff skinął jej głową, jakby widział ją po raz pierwszy. „Co za kurtuazja!” Nakazał gestem swoim maskaradnikom, żeby zostali za drzwiami, i podszedł do wskazanej poduszki, ale stał przy niej wyczekująco.

Odrade obserwowała przepływ napięcia w małym Tleilaxaninie. Coś jakby warknięcie przemknęło mu przez wargi. Nadal miał broń w rękawach. Czy zamierzał zerwać umowę?

Wiedziała, że podejrzienia Waffa osiągnęły pierwotną, a może i większą siłę. Czuł się schwytany w sieć posunięć Tarazy. Chciał jednak dostać swoje rozplodowe matki! Jego feromony zdradzały ogromny strach. Pamiętał zatem o swojej części umowy... a przynajmniej o jej *formalnym* wypełnieniu. Taraza nie oczekiwała, że Waff naprawdę podzieli się całą wiedzą zdobytą od Dostojnych Matron.

– Jego Dostojność Tuek mówi mi, że, ach... negocjujecie.

„Niech zapamięta to słowo!” Waff wiedział, jakie negocjacje trzeba doprowadzić do końca. Powiedziawszy to, opadła na kolana, a potem na poduszkę, ale stopy trzymała tak, by w każdej chwili zejść z linii ewentualnego ataku Waffa.

Tleilaxanin spojrzał na nią i na poduszkę, którą mu wskazała. Usiadł powoli, ale ręce trzymał na kolanach, kierując rękawy w stronę Tueka.

„Co on robi?” – zastanawiała się Odrade. Ruchy Waffa nasuwały przypuszczenia, że ma on własny plan.

– Próbowałam uzmysłwić najwyższemu kapłanowi znaczenie *Manifestu Atrydów* dla naszych wzajemnych...

– Atrydów! – przerwał jej Tuek. Opadł ciężko na poduszkę. – On nie może pochodzić od Atrydów!

– To bardzo przekonujący manifest – stwierdził Waff.

Przerażenie Tueka wzrosło.

„Przynajmniej to idzie zgodnie z planem” – pomyślała Odrade.

– Nie można przemilczać obietnicy s'tori – powiedziała. – Dla wielu ludzi s'tori jest równoznaczne z obecnością ich boga.

Waff posłał jej zaskoczone i gniewne spojrzenie.

Głos zabrał Tuek.

– Ambasador Waff donosi mi, że Ixanie i rybomówne są zaniepokojeni tym dokumentem, ale zapewniłem go...

– Chyba możemy pominąć rybomówne – wtrąciła się Odrade. – One słyszą głos Boga we wszystkim.

Waff wyczuł w jej głosie obłudę. Czy ona z niego drwi? Miała oczywiście rację co do rybomównych. Tak bardzo oddaliły się od dawnych celów, że nie miały już prawie żadnych wpływów. Role ich przywódców odgrywali teraz nowi maskaradnicy.

Tuek zwrócił się do Waffa.

– Mielicie nam pomóc...

– O tym potem – przerwała mu Odrade. Musiała utrzymać uwagę Tueka na dokumencie, który go tak przerażał. Zacytowała manifest: – „Twoja wola i twoja wiara – twój system wierzeń – dominuje nad twoim wszechświatem”.

Tuek poznał te słowa. Czytał ów straszny dokument. Manifest mówił, że Bóg i wszystkie Jego dzieła są tylko twórcami człowieka. Zastanawiał się nad odpowiedzią. Żaden najwyższy kapłan nie powinien zostawić tego bez odpowiedzi.

Zanim znalazł właściwe słowa, Waff wymienił spojrzenia z Odrade i odpowiedział tak, by właściwie to zinterpretowała. Odrade się nie pomyli, będąc tym, kim jest.

– Błąd wyroczni – rzekł. – Czy nie tak to nazywa ten dokument? Wtedy gdy mówi, że umysł wyznawcy ulega stagnacji.

– Właśnie tak! – Tuek był mu wdzięczny za interwencję. O to chodziło w tej niebezpiecznej herezji!

Waff nie patrzył na niego; nie spuszczał wzroku z Odrade. Czy ta Bene Gesserit myśli, że jej plan jest nie do odczytania? Niech więc się spotka z większą potęgą. Uważa się za tak silną! Nie może jednak wiedzieć, jak troskliwie strzeże Wszechmocny przyszłości szariatu!

Tuek nie mógł się uspokoić.

– To zamach na wszystko, co jest dla nas święte. I ktoś to wszędzie rozpowszechnia!

– Tleilaxanie – powiedziała Odrade.

Waff uniósł rękawy, kierując broń na Tueka. Zawahał się wszakże, bo zobaczył, że Odrade rozpoznała jego zamiar.

Tuek przenosił wzrok z jednego z nich na drugie. Czy zarzut Odrade był prawdziwy, czy to tylko kolejna sztuczka Bene Gesserit?

Odrade widziała wahanie Waffa i odgadywała jego powody. Zaczęła szukać w myślach motywów. Co zyskają Tleilaxanie, zabijając Tueka? Oczywiście Waff zamierza zastąpić najwyższego kapłana jednym ze swoich maskaradników. Ale co mu to da?

– Ambasadorze Waff, powinieneś być bardzo ostrożny – powiedziała, usiłując zyskać na czasie.

– Kiedy to kierowano się ostrożnością w decydujących chwilach? – odparł.

Tuek wstał i ciężkim krokiem przeszedł na bok, załamując ręce.

– Proszę was! To święte miejsce. Tu się nie dyskutuje o herezjach, chyba że planując ich zniszczenie. – Spojrzał na Waffa. – To chyba nieprawda? Nie jesteście autorami tego strasznego dokumentu?

– Nie jest nasz – przyznał Waff. „Niech diabli porwą tego kapłana!” Odchodząc na bok, Tuek znów stał się ruchomym celem.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Tuek, krążąc za plecami Waffa i Odrade.

Odrade nie spuszczała Waffa z oczu. Planował zabójstwo! Była tego pewna.

– Nie wiesz, Matko Wielebna, jak nas krzywdzisz – odezwał się Tuek zza niej. – Ser Waff proponował nam utworzenie melanżowego kartelu. Wyjaśniłem mu, że nasza cena dla zgromadzenia pozostanie niezmienną, bo jedna z was była babką Boga.

Waff pochylił głowę, czekając. Kapłan wróci w zasięg broni. Bóg nie dopuści do porażki.

Tuek stał za Odrade, patrząc z góry na mistrza. Przeszedł go dreszcz. Tleilaxanie byli tak... odrażający i amoralni. Nie należało im ufać. Czy można wierzyć zaprzeczeniu Waffa?

Nie odrywając zamyślnego spojrzenia od Waffa, Odrade zapytała:

– Czy jednak nie pociągała Waszej Dostojności perspektywa zwiększonych dochodów? – Spostrzegła, że prawe ramię Waffa zmieniło nieco położenie, prawie mierząc w nią. Jego intencje stały się jasne.

– Wasza Dostojność – powiedziała – ten Tleilaxanin zamierza nas zamordować.

Przy tych słowach Waff poderwał ręce, starając się trafić naraz dwa trudne cele. Zanim jego mięśnie zareagowały, Odrade była już przy nim. Usłyszała słaby syk miotaczy strzałek, ale nie poczuła ukłucia. Uderzyła lewą ręką, łamiąc mu prawe ramię. Prawą stopą złamała mu lewą rękę.

Waff wrzasnął.

Nie spodziewał się takiej szybkości u Bene Gesserit. Dorównywała prawie temu, co pokazała Dostojna Matrona na ixańskim statku konferencyjnym. Mimo bólu zdawał sobie sprawę, że musi zawiadomić

o tym swoich. Matki Wielebne w zagrożeniu obchodzą połączenia synaptyczne!

Drzwi za plecami Odrade otworzyły się gwałtownie i do sali wpadli maskaradnicy Waffa. Odrade stała już jednak za Tleilaxaninem, trzymając go oburącz za gardło.

– Stać albo on zginie! – krzyknęła.

Zamarli. Waff starał się jej wyrwać.

– Nie ruszaj się! – rozkazała.

Spojrzała na leżącego na posadzce Tueka. Jedna strzałka trafiła w cel.

– Waff zabił najwyższego kapłana – powiedziała do ukrytych słuchaczek.

Dwaj maskaradnicy patrzyli na nią w osłupieniu. Widać było ich niezdecydowanie. Nie rozumieli, jak bardzo jest to wszystko na rękę Bene Gesserit. Tleilaxanie wpadli w pułapkę!

– Usunąć się z tym ciałem na korytarz i zamknijcie drzwi – powiedziała Odrade. – Wasz mistrz zrobił głupstwo. Będziecie mu potrzebni później. – Zwróciła się do Waffa: – Jestem ci bardziej potrzebna niż twoi maskaradnicy. Odeślij ich.

– Odejdźcie – pisnął Waff.

Maskaradnicy nadal się w nią wpatrywali.

– Jeżeli natychmiast nie wyjdziecie, zabiję go, a potem pozbędę się was obu – zagroziła.

– Róbcie, co mówi! – krzyknął Waff.

Maskaradnicy przyjęli to jako rozkaz swego mistrza. Odrade usłyszała w głosie Waffa samobójczą histerię, którą będzie musiała mu wybić z głowy.

Kiedy zostali sami, usunęła z jego rękawów puste wyrzutnie i schowała je do kieszeni. Trzeba je później dokładnie zbadać. Na chwilę pozbawiła Waffa przytomności i nastawiła mu połamane ręce. Prowizoryczne łubki zrobiła z poduszek i pasów zielonej tkaniny wydartej z mebli najwyższego kapłana.

Waff przebudził się szybko. Spojrzał na Odrade i jęknął.

– Jesteśmy teraz sojusznikami – powiedziała. – To, co zaszło w tej sali, dotarło do uszu moich ludzi i przedstawicieli tej kapłańskiej frakcji, która chce zastąpić Tueka swoim człowiekiem.

To było trochę za szybkie dla Waffa. Potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co powiedziała. Pojął jednak rzecz najważniejszą.

– Sojusznikami?

– Domyślam się, że z Tuekiem trudno się było dogadać. Proponujesz mu oczywiste korzyści, a on swoje. Oddałeś kapłanom przysługę, zabijając go.

– Oni to słyszą? – pisnął Waff.

– Oczywiście. Pomówmy teraz o proponowanym przez ciebie monopolu przyprawowym. Nieodżałowany zmarły powiedział, że o tym wspomniałeś. Zobaczmy, czy potrafię odgadnąć wielkość waszej oferty.

– Moje ręce – jęknął Tleilaxanin.

– Ale żyjesz – ucięła. – Dziękuj Bogu za moją mądrość. Mogłam cię zabić.

– Tak byłoby lepiej – powiedział, odwracając głowę.

– Nie dla Bene Tleilax i na pewno nie dla mojego zgromadzenia – odparła. – Niech się zastanowię. Tak, obiecałeś dostarczyć na Rakis nowe żniwiarki przyprawowe, te unoszące się w powietrzu, które dotykają pustyni tylko głowicami zgarniaczy.

– Podśluchiwałaś!

– Bynajmniej. To bardzo atrakcyjna propozycja, bo jestem pewna, że Ixanie dostarczą je za darmo, mając w tym własne cele. Mam mówić dalej?

– Powiedziałaś, że jesteście sojusznikami.

– Monopol zmusi Gildię do zwiększenia zakupów ixańskich maszyn nawigacyjnych. Będziecie ją trzymać w szachu – mówiła Odrade.

Waff podniósł głowę, by na nią spojrzeć. Przy tym ruchu ból przeszył jego połamane ręce. Jęknął, ale mimo to obserwował spod przymkniętych powiek Odrade. Czy te czarownice naprawdę wierzą, że do tego ogranicza się plan Tleilaxan? Nie miał wielkiej nadziei, że Bene Gesserit dały się zwieść.

– Oczywiście to nie był wasz podstawowy plan – powiedziała Odrade.

Waff otworzył szeroko oczy. Czytała w jego myślach!

– Straciłem honor – rzekł. – Darowałaś mi życie, które nie jest nic warte.  
– Znów się skulił.

Odrade nabrała tchu. „Czas wykorzystać wyniki analiz Kapituły”. Schyliła się do ucha Waffa i szepnęła:

– Szariat jeszcze cię potrzebuje.

Waff wydał zdławiony okrzyk.

Odrade usiadła. Ten okrzyk mówił wszystko. Analizy się potwierdziły.

– Myślałeś, że masz lepszych sojuszników wśród ludzi z Rozproszenia – powiedziała. – Te Dostojne Matrony i inne hetery ich pokroju. Pytam cię: Czy świmak sprzymierza się ze swoją mierzwą?

To pytanie Waff słyszał dotąd jedynie w kehl. Poblądł, oddychał płytko. Jej słowa miały ukryte znaczenia! Zmusił się, by zapomnieć o bólu w rękach. Sojusznicy, powiedziała. Wiedziała o szariacie! Jak to możliwe?



– Jak można nie pojmować mnóstwa korzyści płynących z sojuszu między Bene Tleilax i Bene Gesserit? – spytała Odrade.

„Sojusz z czarownicami *powindah*?” W myślach Waffa panował zamęt. Ból rąk utrzymywał tymczasowo z dala od siebie. Ta chwila była tak krucha! Czuł cierpki smak u nasady języka.

– Słyszysz? – spytała Odrade. – Krutansik i jego frakcja są już pod drzwiami. Zaproponują ci, żeby jeden z twoich maskaradników przybrał postać nieboszczyka Tueka. Każdy inny ruch wywołałby zamieszanie. Krutansik to mądry człowiek, który dotąd trzymał się w cieniu. Jego wuj Stiros dobrze go wyszkolił.

– Co zyskuje zgromadzenie na sojuszu z nami? – wykrztusił Waff.

Odrade uśmiechnęła się. Teraz mogła mówić prawdę. To zawsze było łatwiejsze, a często stanowiło potężny argument.

– Przetrwanie w obliczu burzy, na którą zbiera się wśród Rozproszonych – odpowiedziała. – A także przetrwanie Tleilaxan. Jesteśmy jak najdalsze od tego, by chcieć zguby tych, którzy zachowują Wielką Wiarę.

Waff skulił się ze strachu. Powiedziała to na głos! A potem zrozumiał. Co z tego, że inni to usłyszą? Nie są zdolni przeniknąć tajemnego znaczenia tych słów.

– Nasze płodne matki są gotowe – powiedziała Odrade. Spojrzała mu prosto w oczy i ułożyła dłoń w znak zensunnickiego kapłana.

Waff poczuł, że obręcz ściskająca mu pierś się rozluźnia. Ta rzecz nie do przewidzenia, nie do pomyślenia, *nie do uwierzenia*, była prawdą! Bene Gesserit nie były *powindah*! Cały wszechświat pójdzie teraz za Bene Tleilax ku Prawdziwej Wierze! Bóg nie dopuści, by stało się inaczej. Zwłaszcza tu, na planecie Proroka!



Biurokracja niszczy inicjatywę. Mało czego biurokraci nienawidzą bardziej niż innowacji, zwłaszcza jeśli dają one rezultaty lepsze niż rutynowy porządek. Ulepszenia sprawiają, że ci wywyższeni nad innych wydają się niedorzeczni. A kto lubi się wydawać niedorzeczny?

– Przewodnik po próbach i błędach w zarządzaniu, archiwa Bene Gesserit

Na długim stole, za którym siedziała Taraza, leżały stosy raportów i podsumowań. Kapituła wokół niej już spała, poza nocną wartą i najważniejszymi służbami. Do prywatnych pokoi Matki Przełożonej docierał tylko znajomy odgłos działających instalacji. Nad stołem wisiały dwie lumisfery, zalewając żółtym światłem płytę stołu z ciemnego drewna i strony ryduliańskiego papieru. Okno za stołem odbijało obraz pokoju jak pociemniałe lustro.

„Archiwa!”

Nad płytą stołu wyświetlacz mrugał ciągle nowymi danymi – kolejnymi zamówionymi fragmentami i skrawkami informacji.

Taraza nie dowierzała archiwistkom, wiedząc, że jest w tym uczuciu sprzeczność, skoro jednocześnie odczuwała głód danych. Archiwa Kapituły wydawały się jednak dżunglą skrótów, specjalnych not, kodowanych uzupełnień i przypisów. Korzystanie z takiego materiału wymagało często pomocy mentata albo – co było gorsze, gdy była zmęczona – pograżania się w Innych Wspomnieniach. Wszystkie archiwistki były oczywiście mentatkami, ale to nie urzędzało Tarazy. Nigdy nie można było po prostu zajrzeć do archiwalnych źródeł. Większość z nich zawierała mnóstwo interpretacji i odsyłaczy, w których orientowały się tylko specjalistki, a Taraza nie znośła zwracać się do specjalistek. Można też było korzystać z mechanicznego systemu wyszukiwania danych, co z kolei uzależniało od obsługujących ów system. Mieli więcej władzy, niż była skłonna im przyznać.

„Uzależnienia!”

Taraza nie znośła uzależnienia. Przyznawała to posępnie, przypominając sobie przy tym, że niewiele sytuacji rozwija się tak, jak to sobie wyobrażaliśmy. Nawet w najlepszych mentackich prognozach nawarstwiają się z czasem błędy.

A jednak każde posunięcie zgromadzenia wymagało konsultacji w archiwach i niekończących się analiz. Nawet zwykła transakcja handlowa. To ją irytowało. Czy powinny utworzyć tę grupę? Podpisać tamtą umowę?

W końcu zawsze przychodził moment, kiedy musiała dołączyć adnotację z decyzją: „Analiza archiwistki Hesteriony przyjęta”.

Albo, i to często: „Raport odrzucony jako nietrafny”.

Pochyliła się, by przyjrzeć się projekcji *Potencjalny plan hodowlany dla obiektu Waff*.

Przeglądała liczby i genetyczne plany komórek dostarczonych przez Odrade. Zdrapane paznokciami próbki rzadko dostarczały dość materiału do wiarygodnej analizy. Odrade spisała się jednak doskonale pod pozorem nastawiania połamanych rąk mistrza. Taraza kręciła głową, patrząc na dane. Potomstwo będzie na pewno takie samo, jakie Bene Gesserit uzyskały poprzednio od Tleilaxan: żeńskie odporne na sondowanie pamięci, męskie zaś – nieprzeniknione i odrażający chaos.

Odchyliła się na krześle i westchnęła. Kiedy chodziło o kartoteki genetyczne, monumentalne przypisy przybierały oszałamiające rozmiary. Oficjalnie było to Kolegium Dziedzicznej Trafności, dla archiwistek – KDT. W szerszych kręgach sióstr królowało określenie Kartoteka Ogierów. Ta nazwa, choć trafna, nie oddawała wszakże mnóstwa szczegółów ukrytych pod archiwalnymi nagłówkami. W przypadku Waffa zażądała prognozy genetycznej dla trzystu pokoleń, szybkiej, prostej i wystarczającej dla celów praktycznych. Prognozy oparte na trzech setkach linii genetycznych sprawdzały się (jak w przypadku Tega) i po tysiącach lat. Instynkt podpowiadał Tarazie, że poświęcanie czasu projekcjom Waffa jest bezcelowe.

Zmęczenie rośnie. Oparła głowę na rękach, a ręce na stole, czując chłód drewna.

„A jeżeli się mylę co do Rakis?”

Argumentów opozycji nie można było zamieścić pod dywan. „Przeklęte uzależnienie od komputerów!” Zgromadzenie korzystało z komputerów nawet w Zakazanych Czasach, po dzikim wyniszczeniu myślących maszyn przez Dżihad Butleriański. W obecnych, bardziej oświeconych, nie zastanawiano się nad podświadomymi motywami tamtej starożytnej orgii zniszczenia.

„Niekiedy podejmujemy bardzo odpowiedzialne decyzje z jakichś nieuświadomionych powodów. Świadome przetrząsanie archiwów czy Innych Wspomnień nie daje żadnych gwarancji”.

Taraza uwolniła rękę i uderzyła dłonią w stół. Nie lubiła się zadawać z archiwistkami, które przybiegały z *odpowiedziami* na jej pytania. Trudno było ich nie lekceważyć. Naśmiewały się skrycie ze wszystkiego; słyszała kiedyś, jak porównywały swoją pracę do hodowli bydła. Do diabła z takimi żartami! Podjęcie właściwej decyzji było o wiele trudniejsze, niż mogły sobie wyobrazić. Te usługowe, wykonujące rozkazy siostry nie ponosiły żadnej odpowiedzialności.

Podniosła głowę i spojrzała przez pokój na niszę z popiersiem siostry Chenoeh, która w zamierzonych czasach spotkała się i rozmawiała z Tyranem.

„Wiedziałaś – pomyślała Taraza. – Nigdy nie byłaś Matką Wielebną, a jednak wiedziałaś. Widać to z twoich raportów. Skąd wiedziałaś, jak podjąć właściwą decyzję?”

Prośba Odrade o pomoc wojskową wymagała natychmiastowej odpowiedzi. Limity czasowe były ograniczone. Skoro jednak Teg, Lucylla i ghola zniknęli, należało wprowadzić w życie plan awaryjny.

„Niech diabli wezmą Tega!”

Jeszcze jedno jego nieoczekiwane posunięcie. Rzecz jasna, nie opuścił gholi w niebezpieczeństwie. Działania Schwangyu były do przewidzenia.

Ale co zrobił Teg? Ukrył się w Ysai czy innym większym mieście? Nie. Gdyby tak było, zawiadomiłby o tym poprzez jeden z tajnych kontaktów, które wspólnie przygotowali. Miał ich kompletną listę, a część sam sprawdził.

Oczywiście nie ufał do końca tym kontaktom. Zauważył podczas inspekcji Gammu coś, o czym nie doniósł Bellondzie.

Trzeba wezwać Burzmalego i przekazać mu instrukcje. Burzmali był najlepszy, wyszkolił go sam Teg, i był głównym kandydatem na naczelnego baszara. Należy go posłać na Gammu.

„Bawię się w domysły”.

Ale jeżeli Teg się ukrył, ślad zaczynał się na Gammu. Mógł też tam się kończyć. Tak, Burzmali na Gammu. Rakis musi czekać. Taki ruch daje wymierne korzyści. Nie zaalarmuje Gildii. Jednak Tleilaxanie i Rozproszeni rzucą się na przynętę. Gdyby Odrade nie zdołała schwycić Tleilaxanina w pułapkę... nie, Odrade nie zawiedzie. To jedno jest prawie pewne.

„Nieoczekiwane. Widzisz, Miles, nauczyłam się czegoś od ciebie”.

Nie mogła wszakże zwalczyć opozycji w zgromadzeniu.

Przycisnęła dłonie do stołu, jakby chciała w ten sposób wyczuć nastroje w kapitule, myśli tych, które podzielały opinię Schwangyu. Głosy sprzeciwu umilkły, ale to zawsze oznaczało, że się szykuje czynny opór.

„Co powinnam zrobić?”

Matka Przełożona nie może być niezdecydowana w czasie kryzysu. Teraz jednak związek z Tleilaxanami zachwiał wszystkimi danymi. Niektóre wytyczne dla Odrade wydawały się mimo wszystko oczywiste i zostały przekazane. Ta część planu była prosta i możliwa do przyjęcia.

Zabrać Waffa na pustynię, daleko od wścibskich oczu, stworzyć sytuację ekstremalną i w jej następstwie wykreować doznanie religijne w starym i zawsze się sprawdzającym stylu Missionaria Protectiva. Sprawdzić, czy Tleilaxanie wykorzystują proces powstawania gholi dla zapewnienia sobie swego rodzaju nieśmiertelności. Odrade była w stanie wykonać tę część poprawionego planu, wiele jednak zależało od tej dziewczyny, Szieny.

„Sam czerw to jedna wielka niewiadoma”.

Taraza przypomniała sobie, że współczesne czerwie pustyni nie są pierwotnymi czerwiami z Rakis. Mimo że posłuszne Szienie, są nieprzewidywalne. Jak to ujmują archiwistki: nie mają zapisu kierunkowego.

Nie wątpiła, że Odrade trafnie odgadła znaczenie rakańskich tańców. To był plus.

„Język”.

„Jeszcze nim niestety nie mówimy”. To minus.

„Dziś muszę podjąć decyzję!”

Wysłała swą powierzchowną świadomość wstecz, wzdłuż nieprzerwanej linii Matek Przełożonych. Wspomnienia wszystkich tych kobiet zamknięte były w kruchej świadomości Tarazy i dwóch innych: Bellondy i Hesteriony. Czuli, że jest zbyt zmęczona, by podążać krętym szlakiem pośród Innych Wspomnień. Na skraju tego szlaku ujrzałyby Muad’Diba, atrydzkiego bękarta, który dwukrotnie wstrząsnął wszechświatem: podbijając Imperium swymi fremeńskimi hordami i płodząc Tyrana.

„Jeżeli tym razem poniesiemy klęskę, może to być nasz koniec – pomyślała. – Połkną nas te z piekła rodem kobiety z Rozproszenia”.

Alternatywa narzucała się sama: przewieźć tę dziewczynę z Rakis do serca zgromadzenia albo kazać jej pędzić życie gdzieś, gdzie nie doleci statek pozaprzestrzenny. Haniebny odwrót.

Tyle zależało od Tega. Czy w końcu zawiódł zgromadzenie, czy też znalazł jakiś nieprzewidziany sposób ukrycia gholi?

„Muszę prowadzić działania opóźniające – pomyślała. – Trzeba dać Tegowi czas na skontaktowanie się z nami. Odrade musi ciągnąć swoją część planu na Rakis”.

To było ryzykowne, ale tak musiało być.

Taraza podniosła się sztywno z psiego fotela i podeszła do ciemnego okna. Planeta Kapituła leżała w mroku z cieniami od światła gwiazd. Schronienie: Kapituła. Takim planetom nie nadawano nawet nazw, jedynie numery zapisane gdzieś w archiwach. Ta oglądała Bene Gesserit już od

czternastu stuleci, ale i to trzeba uznać za tymczasowe. Matka Przełożona pomyślała o niewykrywalnych statkach strażniczych nad swą głową – systemie obronnym Tega. Mimo to Kapituła była narażona na atak.

Ten problem nazywał się „przypadkowe odkrycie”.

To była wieczna słaba strona. Gdzieś tam, w Rozproszeniu, ludzkość rozprzestrzeniała się w postępie geometrycznym, zajmując nieograniczone tereny. Złoty Szlak Tyrana był wreszcie bezpieczny. Czy tak jest? Czerw Atryda z pewnością planował coś więcej niż przetrwanie gatunku.

„Zrobił nam coś, do czego jeszcze się nie dokopałyśmy po tych wszystkich tysiącletniach. Ja sądzę, że wiem, co zrobił. Opozycja jest innego zdania”.

Nigdy nie było rzeczą łatwą dla Matek Wielebnych rozmyślanie o więzach, jakie nałożył im Leto II, kiedy przez trzydzieści pięć stuleci poganiał Imperium po swoim Złotym Szlaku.

„Czujemy się nieswojo, wspominając tamte czasy”.

Ujrawszy swe odbicie w ciemnym plazie okna, Taraza utkwiała w nim wzrok. Zobaczyła ponurą i wyraźnie zmęczoną twarz.

„Mam prawo być zmęczona i ponura!”

Wiedziała, że podczas szkolenia celowo kierowano ją w stronę negatywnych wzorców. Były jej obroną i siłą. Zachowywała dystans we wszystkich stosunkach międzyludzkich, nawet podczas uwiedzeń dokonywanych na polecenie genetyczek. Była wiecznym adwokatem diabła, a po mianowaniu jej Matką Przełożoną stało się to dominującym zachowaniem w całym zgromadzeniu. W takich warunkach łatwo rozwijała się opozycja.

Jak powiadają sufici, ryba gnije zawsze od głowy. Nie dodają jedynie, że czasami zgnilizna jest czymś szlachetnym i cennym.

Pocieszała się teraz, sięgając po bardziej wiarygodne dane.

Rozproszenie wraz z ludzkimi migracjami rozniosło nauki Tyrana, zmienione na niewiadome sposoby, ale ostatecznie rozpoznawalne. W swoim czasie znajdzie się sposób na niewidzialność statków pozaprzestrzennych. Była pewna, że Rozproszeni jeszcze go nie odkryli, przynajmniej nie ci, którzy cichaczem wracali do swej kolebki.

Nie istniał absolutnie bezpieczny kurs między wrogimi siłami, sądziła jednak, że zgromadzenie uzbroiło się najlepiej, jak mogło. Miały ten sam problem co nawigatorzy Gildii prowadzący swój statek przez zagiętą przestrzeń tak, by uniknąć kolizji i pułapek.

Pułapki, o to chodzi. Odrade zastawia właśnie pułapkę zgromadzenia na Tleilaxan.

Kiedy w tych czasach kryzysu Taraza myślała o Odrade, ich długa znajomość ożywała na nowo. Było tak, jakby patrzyła na wyblakły kobierzec, na którym parę postaci zachowało jaskrawe barwy. Najjaśniej świecił jej dar odrzucania szczegółów i sięgania do sedna konfliktów, torując Odrade drogę do stanowisk w kierownictwie zgromadzenia. Działała w niej jakaś forma niebezpiecznego daru proroczego Atrydów. Posługiwanie się tym ukrytym darem wywoływało najgłośniejszy sprzeciw i był to jedyny argument opozycji, który Taraza uważała za istotny. To coś, działające głęboko pod powierzchnią, ujawniające się tylko podczas przypadkowych zaburzeń, było naprawdę problemem!

„Wykorzystajmy ją, ale bądźmy gotowe ją wyeliminować – mówiła Taraza. – Będziemy nadal miały większość jej potomstwa”.

Taraza wiedziała, że może polegać na Lucylli... o ile oczywiście Lucylla znalazła gdzieś schronienie z Tegiem i gholą. Oczywiście, w twierdzy na Rakis są i inne skrytobójczynie. Ta broń może być wkrótce potrzebna.

Odczuła w sobie jakieś nagłe zamieszanie. Inne Wspomnienia doradzały najwyższą ostrożność. Nigdy więcej nie należy tracić kontroli nad liniami genetycznymi! Tak, jeśli Odrade uniknie wyeliminowania, będzie wyobcowana. Jest pełnoprawną Matką Wielebną, a kilka takich musi jeszcze być w Rozproszeniu – nie między tymi Dostojnymi Matronami, które poznało zgromadzenie, ale jednak...

„Nigdy więcej!” Tak brzmiało motto tej operacji. Nigdy więcej następnego Kwisatz Haderach ani następnego Tyrana.

Kontrolujcie matki, kontrolujcie ich potomstwo.

Matki Wielebne nie umierały, gdy umierały ich ciała. Pograżały się coraz głębiej w żywym rdzeniu Bene Gesserit, póki ich przypadkowe wskazania czy nawet podświadome obserwacje nie stawały się częścią wiecznotrwałej wspólnoty.

„Nie wolno popełnić błędów z Odrade!”

Postępowanie z Odrade wymagało specyficznego podejścia i niewiarygodnej ostrożności. Odrade, która pozwalała sobie na pewne ograniczone uczucia, „łagodne ciepło”, jak je nazywała, argumentowała, że takie emocje dostarczają cennych spostrzeżeń, jeżeli nie pozwala im się nad sobą zapanować. Taraza postrzegała to „łagodne ciepło” jako drogę do serca Odrade.

„Wiem, co o mnie myślisz, Dar, z twoim »łagodnym ciepłem« skierowanym ku przyjaciółce z lat szkolnych. Myślisz, że jestem potencjalnym zagrożeniem dla zgromadzenia, ale że czujne przyjaciółki mogą mnie ocalić przed samą sobą”.

Taraza miała świadomość, że część jej doradczyń podziela zdanie Odrade, że słuchają w milczeniu i powstrzymują się z osądem. Większość z nich uznawała przywództwo Matki Przełożonej, ale wiele wiedziało o dzikim talencie Odrade i znało jej wątpliwości. Tylko jedno trzymało większość siostr w ordynku i co do tego Taraza nie miała złudzeń.

U podstaw działań każdej Matki Przełożonej leżała głęboka lojalność wobec zgromadzenia. Nic nie mogło zagrozić trwaniu Bene Gesserit, nawet ona sama. Taraza badała swój związek z ciągłością istnienia zgromadzenia.

Nie było oczywiście bezpośredniej potrzeby pozbycia się Odrade. Tkwiła ona jednak tak blisko centrum planu związanego z gholą, że niewiele spraw mogło umknąć jej uważnej obserwacji. Dowie się wielu rzeczy, o których jej nie powiedziano. *Manifest Atrydów* to był prawie hazard. Odrade, oczywista autorka manifestu, mogła wnikać głębiej, pisząc go, ale słowa okazały się dla objawienia barierą nie do przebycia.

Taraza wiedziała, że Waff by to docenił.

Odwróciwszy się od ciemnego okna, wróciła na psi fotel. Chwilę krytycznej decyzji – działać czy nie – można było odwlec, ale pewne pośrednie kroki należało podjąć. Ułożyła sobie szkic i przemyślała go, wzywając Burzmalego. Ulubiony uczeń naczelnego baszara zostanie wysłany do akcji, ale nie tam, gdzie chce Odrade.

Wiadomość dla Odrade była w zasadzie prosta:

„Pomoc w drodze. Jesteś na miejscu, Dar. Gdy chodzi o bezpieczeństwo Szieny, kieruj się własnym osądem. We wszystkich innych sprawach, które nie są sprzeczne z moimi rozkazami, działaj zgodnie z planem”.

Tyle. To jest to. Odrade ma swoje instrukcje, wytyczne, które uzna za plan, nawet kiedy rozpozna niekompletność wzoru. Będzie posłuszna. „Dar” to miły dodatek. Dar i Tar. Szczelina, prowadząca do „łagodnego ciepła” Odrade, nie była dobrze strzeżona od strony Dar i Tar.





Długi stół po prawej nakryty jest do uczy, której głównym daniem jest pieczony zając pustynny w sosie cepeda. Inne dania, idąc zgodnie z ruchem wskazówek zegara od dalszego końca stołu, to *aplomage sirian*, czukka w polewie, kawa z melanżem (proszę zwrócić uwagę na jastrzębia, herb Atrydów, na dzbanku), *pot-a-oie* i musujące wino z Kaladanu w kryształowej balutańskiej karafie. Proszę też zwrócić uwagę na antyczny wykrywacz trucizn ukryty w kandelabrze.

– muzeum w Dar-es-Balat, opis wystawy

Teg znalazł Duncana w małej wnęce jadalnej w lśniącej kuchni kuli pozaprzestrzennej. Zatrzymał się przy wejściu i uważnie przyjrzał chłopcu. Po ośmiu dniach Duncan doszedł, zdaje się, do siebie po dziwnym ataku furii w tunelu wejściowym. Przeszli płytką jaskinię pełną zapachów niedźwiedziego barłogu. Skała za tym barłogiem nie była skałą, chociaż mogła zmylić najbardziej wnikliwego badacza. Mały występ przesunął się, jeśli się znało tajny kod lub przypadkiem się go odkryło. Cała tylna ściana jaskini otwierała się wtedy obrotowym ruchem.

Korytarz wejściowy, jasno oświetlony, gdy tylko zamknęła się ściana, ozdobiony był gryfami Harkonnenów na ścianach i suficie. Teg pomyślał o młodym Patrinie, który przypadkiem natknął się na to miejsce (Ten wstrząs! Ten strach! To podniecenie!), i pewnie dlatego nie zauważył reakcji Duncana, póki w zamkniętej przestrzeni nie rozległo się ciche warczenie.

Duncan stał, warcząc (prawie jęcząc), z zaciśniętymi pięściami i wzrokiem wbitym w harkonneńskiego gryfa na ścianie po prawej. Na jego twarzy wściekłość walczyła ze zmieszaniem. Uderzał pięściami w wypukłą sylwetkę, rozcinając sobie skórę.

– Niech będą przekłęci w najgłębszych jamach piekła!

Dziwnie dojrzałe przekleństwo w ustach młodzika.

A zaraz potem wpadł w niekontrolowane dreszcze. Lucylla objęła go i głaskała delikatnie, niemal zmysłowo po szyi, aż dreszcze ustąpiły.

– Dlaczego to zrobiłem? – wyszeptał.

– Dowiesz się, kiedy odzyskasz swoje pierwotne wspomnienia.

– Harkonnenowie – szepnął i twarz mu poczerwieniała. Podniósł wzrok na Lucyllę. – Dlaczego ich tak nienawidzę?

– Słowami trudno to wyjaśnić. Musisz poczekać na wspomnienia.

– Nie chcę wspomnień! – Duncan spojrział z zaskoczeniem na Tega. – Tak! Tak, chcę je odzyskać.

Kiedy potem patrzył z wnęki jadalnej na Tega, jego myśli wyraźnie wróciły do tamtej chwili.

– Kiedy, baszarze?

– Wkrótce.

Teg rozejrzał się po pomieszczeniu. Duncan siedział samotnie przy wysuwanym stoliku nad szklanką brunatnego napoju. Baszar rozpoznał zapach przyprawionego melanżem produktu z zeroentropijnych pojemników. Znajdował się w nich prawdziwy skarb egzotycznej żywności, odzieży, broni i innych przedmiotów – muzeum o nieocenionej wartości. Na wszystkim w kuli pozaprzestrzennej leżała cienka warstwa kurzu, nie było jednak żadnych oznak rozkładu. Całą żywność zaprawiono melanżem, nie na poziomie uzależnienia, chyba że się było żarłokiem, ale zauważalnie. Nawet konserwowane owoce były oprószone przyprawą.

Brunatny napój w szklance Duncana został już uznany przez Lucyllę za przydatny dla podtrzymywania życia. Teg nie wiedział dokładnie, jak Matki Wielebne to robią, ale jego matka też to umiała. Jeden kęs czy łyk i знаła wszystkie składniki potrawy lub napoju.

Rzut oka na ozdobny zegar ścienny we wnęce powiedział Tegowi, że jest później, niż myślał. Minęła trzecia godzina ich umownego popołudnia. Duncan powinien być jeszcze w dobrze wyposażonej sali ćwiczeń. Teg zauważył jednak, że Lucylla wchodzi na górne piętra kuli, i skorzystał z okazji do rozmowy w cztery oczy. Przysunął sobie krzesło i usiadł po drugiej stronie stołu.

– Nienawidzę tego zegara – powiedział Duncan.

– Nienawidzisz tu wielu rzeczy – odparł Teg, ale spojrzał jeszcze raz na zegar. Był to kolejny antyk z okrągłą tarczą, dwiema analogowymi wskazówkami i cyfrowym sekundnikiem. Wskazówkami były dwie nagie ludzkie postacie: większą mężczyzna z ogromnym fallusem, mniejszą kobieta z rozłożonymi szeroko nogami. Ilekroć się spotykały, mężczyzna zdawał się łączyć z kobietą. – Niewybredne – przyznał. Wskazał napój Duncana. – Smakuje ci?

– Nie jest złe, baszarze. Lucylla mówi, że powinienem to pić po wysiłku.

– Moja matka robiła mi coś podobnego, kiedy wracałem z ćwiczeń. – Teg pochylił się i wciągnął w nozdrza zapach melanżu, przypominając sobie smak.

– Baszarze, jak długo musimy tu zostać?

– Aż nas znajdą nasi ludzie albo będziemy pewni, że nikt nas nie znajdzie.

– Ale... odcięci od świata, skąd będziemy wiedzieć?

– Kiedy uznam, że już pora, wezmę płachtę abiotyczną i zacznę obserwować okolicę.

– Nienawidzę tego miejsca!

– Najwyraźniej. Czy jednak nie uczono cię cierpliwości?

Duncan skrzywił się.

– Baszarze, dlaczego nie zostawiasz mnie z Lucyllą sam na sam?

Teg wstrzymał na chwilę oddech. Wiedział, że chłopak to zauważył. Jeżeli Duncan wie, Lucylla też musi wiedzieć!

– Lucylla chyba nie zdaje sobie z tego sprawy, ale to się staje widoczne – powiedział Duncan i rozejrzał się wokół. – Gdyby to miejsce nie zajmowało jej tak bardzo... Dokąd poszła?

– Chyba jest na górze, w bibliotece.

– Biblioteka!

– Zgadza się, że jest prymitywna, ale jest także fascynująca.

Teg przyglądał się wolutom na suficie. Nadszedł czas decyzji. Nie mógł oczekiwać, że Lucylla nadal będzie tak samo roztargniona. Podzielał jednak jej zauroczenie. Łatwo było stracić głowę wśród tych cudów. Cała ta kula pozaprzestrzenna o średnicy jakichś dwustu metrów była zachowanym w nietkniętym stanie zabytkiem.

Wszystko w niej było niezmiernie prymitywne, włącznie z maszynami i pojemnikami zeroentropijnymi. Teg sądził, że była wcześniejsza niż komora pozaprzestrzenna Tyrana i że – jeśli wierzyć opowieściom o Dar-es-Balat – ta wczesna technologia stanowiła niewiarygodne osiągnięcie.

– Tyran musiał wiedzieć o istnieniu tego miejsca – powiedziała Lucylla ochryłym, podnieconym szeptem.

To przypuszczenie uruchomiło natychmiast mentacką świadomość Tega. „Dlaczego Tyran pozwolił, by ród Harkonnenów utopił wielką część swojej fortuny w takim przedsięwzięciu? Może właśnie dlatego: by go zubożyć”.

Koszty łapówek i transportu części przez Gildię z ixańskich fabryk musiały być astronomiczne.

– Czy Tyran wiedział, że pewnego dnia to miejsce będzie nam potrzebne? – spytała Lucylla.

Nie należy lekceważyć mocy jasnowidzenia, którą Leto II tak często demonstrował, zgodził się Teg. Siedząc naprzeciw Duncana, czuł, że włosy jeżą mu się na karku. W tej harkonneńskiej kryjówce było coś niesamowitego, jakby sam Tyran tu był. Co się stało z Harkonnenami, którzy

ją tu zbudowali? Teg i Lucylla nie znaleźli niczego, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego ludzie opuścili tę kulę.

Żadne z nich, wędrując po niej, nie mogło się uwolnić od myśli o historii. Teg co krok stawiał sobie pytania bez odpowiedzi. Lucylla też o tym myślała.

– Dokąd odeszli? W moich Innych Wspomnieniach nie ma żadnej wskazówki. Może Tyran wywabił ich stąd i pozabijał? Wracam do biblioteki. Może dziś coś znajdę.

W ciągu pierwszych dwóch dni Teg i Lucylla obejrzelili dokładnie kulę. Milczący i ponury Duncan snuł się za nimi, jakby bał się zostać sam. Każde nowe odkrycie przerażało ich albo zaskakiwało.

Dwadzieścia jeden szkieletów ustawionych było w bryłach przejrzystego plazu wzdłuż ściany w pobliżu środka kuli. Makabryczni strażnicy patrzyli na każdego, kto szedł do maszynowni albo zeroentropijnych pojemników.

Patrin uprzedził Tega o tych szkieletach. Podczas jednej z pierwszych wypraw do kuli znalazł zapisy mówiące, że zmarli byli fachowcami, którzy zbudowali to miejsce. Zabili ich Harkonnenowie, by zachować tajemnicę.

Ogólnie rzecz biorąc, kula była nadzwyczajnym osiągnięciem, enklawą poza czasem, odciętą od wszystkiego, co na zewnątrz. Nawet po tylu tysiącletciach niezniszczalne maszyny wytwarzały mimetyczny obraz, którego nie dawało się odróżnić od prawdziwych skał i piasku.

– Zgromadzenie musi dostać to wszystko nienaruszone! – powtarzała Lucylla. – To skarbiec! Zachowali nawet rodowe księgi genealogiczne!

Nie tylko to przechowali Harkonnenowie. Teg łapał się na tym, że odpychają go na przemian wyrafinowane i sprosne akcenty obecne na prawie wszystkim w tej kuli. Jak ów zegar! Ubrania, instrumenty podtrzymujące warunki życiowe, służące do nauki i rozrywki – wszystko nosiło piętno harkonneńskiego przymusu podkreślania ich niedbałego poczucia wyższości.

Znowu pomyślał o Patrinie, nie starszym wtedy chyba niż ten ghola. Co sprawiło, że przez tyle lat utrzymywał to w sekrecie nawet przed żoną? Patrin nigdy nie wspomniał o powodach, ale Teg się ich domyślał. Nieszczęśliwe dzieciństwo. Potrzeba posiadania sekretnego miejsca. Przyjaciele, którzy nie byli przyjaciółmi, ale ludźmi skłonnymi z niego szydzić. Żaden z owych towarzyszy nie mógł być dopuszczony do udziału w takim cudzie. On należał do niego! To było coś więcej niż samotne ustronie. Był to jego prywatny symbol zwycięstwa.

„Spędziłem tam wiele szczęśliwych godzin, baszarze. Wszystko wciąż działa. Zapisy są archaiczne, ale znakomite, kiedy już złapiesz ten dialekt. Można się tam wiele nauczyć. Sam zrozumiesz, kiedy się tam znajdziesz. Pojmiesz sporo rzeczy, o których nigdy ci nie mówiłem”.

Staroświecka sala treningowa nosiła ślady częstych wizyt Patrinsa. Teg rozpoznał wprowadzone przez niego zmiany w kodowaniu automatów. Mechanizmy zegarowe mówiły o godzinach skomplikowanych ćwiczeń i torturach zadawanych mięśniom. Ta kula wyjaśniała niezwykle umiejętności jego ordynansa. Naturalne uzdolnienia tu właśnie zostały udoskonalone.

Osobnym problemem były automaty z kuli pozaprzestrzennej.

Większość z nich dowodziła naruszenia starożytnych zakazów budowania takich urządzeń. Co więcej, niektóre były przeznaczone do dostarczania przyjemności, potwierdzając budzące odrazę opowieści, jakie słyszał Teg o Harkonnenach. Rozkosz płynąca z bólu! W pewnym sensie tłumaczyło to nieskrępowaną etykę, którą Patrins wyniósł z Gammu.

Zwrot tworzy własne wzory.

Duncan pociągnął solidny łyk i spojrzał na Tega znad krawędzi szklanki.

– Dlaczego siedzisz tu sam, zamiast kończyć ostatnią rundę ćwiczeń, jak cię prosiłem? – spytał baszar.

– Te ćwiczenia nie mają sensu. – Duncan odstawił szklankę.

„Tarazo, pomyliłaś się – pomyślał Teg. – Sięgnął po całkowitą niezależność szybciej, niż przypuszczałaś”.

Poza tym przestał używać tytułów.

– Wypowiadasz mi posłuszeństwo?

– Właściwie nie.

– Zatem, co *właściwie* robisz?

– Muszę wiedzieć!

– Przestaniesz mnie lubić, kiedy się dowiesz.

To zaskoczyło Duncana.

– Baszarze?

„Ach, baszar wrócił!”

– Przygotowywałem cię na pewien rodzaj dotkliwego bólu. To konieczne, byśmy mogli ci przywrócić pierwotne wspomnienia.

– Ból, baszarze?

– Nie ma innego sposobu, by przywrócić prawdziwego Duncana Idaho... tego, który zginął.

– Baszarze, jeżeli możesz to zrobić, będę ci tylko wdzięczny.

– Tak mówisz. Możesz jednak patrzeć na mnie jak na jeszcze jeden bicz w rękach tych, którzy cię przywołali do życia.

– Czy nie lepiej jest wiedzieć?

Teg otarł usta grzbietem dłoni.

– Jeśli mnie znienawidzisz, nie będę cię winić.

– Baszarze, gdybyś był na moim miejscu, to właśnie byś czuł? – Postawa, ton głosu, wyraz twarzy – wszystko świadczyło o jego głębokiej rozterce.

„Jak dotąd jest dobrze” – pomyślał Teg. Poszczególne etapy procedury wymagały uważnej interpretacji każdej reakcji gholi. Duncana przepełniała teraz niepewność. Chciał czegoś i jednocześnie bał się tego.

– Jestem tylko twoim nauczycielem, nie ojcem!

Duncan cofnął się na ten ostry ton.

– Nie jesteś moim przyjacielem?

– To działa w dwie strony. Prawdziwy Idaho musi sam sobie odpowiedzieć.

Oczy Duncana zasnęła mgła.

– Czy będę pamiętał to miejsce, twierdzą, Schwangyu i...

– Wszystko. Przez jakiś czas będziesz miał podwójny obraz wspomnień, ale będziesz pamiętać wszystko.

Chłopak zrobił cyniczną minę.

– Więc ty i ja będziemy przyjaciółmi – rzekł z goryczą.

Trzymając się ściśle instrukcji przebudzania, Teg przemówił władczym tonem baszara:

– Nie jestem zbyt zainteresowany zaprzyjaźnieniem się z tobą. Pewnego dnia możesz zostać baszarem. Chyba się do tego nadajesz. Ale mnie już wtedy dawno nie będzie wśród żywych.

– Przyjażnisz się tylko z baszarami?

– Patrin był moim przyjacielem, a nie awansował nigdy powyżej dowódcy szwadronu.

Duncan spojrzał w głąb pustej szklanki, a potem na Tega.

– Dlaczego nie zamówisz sobie czegoś do picia? Ty też ciężko pracowałeś tam, na górze.

„Podchwytliwe pytanie”. Nie wolno było nie doceniać tego młodzika. Wiedział, że dzielenie posiłku jest jednym z najdawniejszych rytuałów zbratania.

– Wystarczy mi zapach – odparł. – Stare wspomnienia. Właśnie teraz nie są mi potrzebne.

– Więc po co tu zszedłeś?

Były tam, w tym młodym głosie – nadzieja i strach. Chciał, żeby Teg wypowiedział pewne konkretne słowa.

– Potrzebuję szczegółowej oceny wyników twoich ćwiczeń. Musiałem tu zejść i rzucić na ciebie okiem.

– Skąd taka troska?

„Nadzieja i strach!” Pora na precyzyjne przesunięcie ogniskowej.

– Nigdy dotąd nie szkolilem gholi.

„Ghola!” To słowo zawisło między nimi, pośród kuchennych zapachów, których nie usunęły jeszcze filtry kuli. „Ghola!” Było owiane cierpką wonią przyprawy z pustej szklanki Duncana. Duncan pochylił się do przodu, nic nie mówiąc. Teg przypomniał sobie uwagę Lucylli: „On wie, do czego służy cisza”.

Kiedy stało się jasne, że baszar nic nie doda do tego prostego stwierdzenia, rozczarowany Duncan wrócił do poprzedniej pozycji. Lewy kącik ust wygiął mu się w dół. Był skupiony na swoim wnętrzu, jak powinien.

– Nie zszedłeś na dół, by być sam – powiedział Teg. – Szukałeś ukrycia. Ciągłe się tu ukrywasz i myślisz, że nikt cię nigdy nie znajdzie.

Chłopak położył sobie dłoń na wargach. Był to sygnał, na który czekał Teg. Instrukcja na tę chwilę była jasna: „Ghola pragnie, by się obudziły pierwotne wspomnienia, i bardzo się tego boi. To główna bariera, którą musisz pokonać”.

– Nie dotykaj ust! – rozkazał Teg.

Duncan opuścił dłoń, jakby się sparzył. Patrzył na Tega niczym zaszczute zwierzę.

„Mów prawdę – ostrzegała instrukcja. – Zmysły gholi będą w tej chwili tak wyostrzone, że przejrzy cię na wylot”.

– Chcę, żebyś wiedział, że to, co mi kazało zrobić z tobą zgromadzenie, napętnia mnie odrazą.

Duncan skulił się.

– Co kazano ci zrobić?

– Umiejętności, które kazano mi ci przekazać, są niepełne.

– Nie... niepełne?

– Część intelektualna szkolenia jest kompletna, pod tym względem osiągnąłeś poziom dowódcy pułku.

– Lepiej niż Patrin.

– Dlaczego musisz być lepszy niż Patrin?

– Czy nie był twoim przyjacielem?

– Był.

– A mówiłeś, że nie awansował powyżej dowódcy szwadronu!

– Patrin mógł w każdej chwili objąć dowództwo nad całą armią międzyplanetarną. Był czarodziejem taktyki, z którego mądrości korzystałem przy wielu okazjach.

– Ale powiedziałeś, że nigdy...

– To był jego wybór. Niska ranga dawała kontakt z ludźmi, co było nieraz bardzo przydatne.

– Dowódca pułku? – wyszeptał Duncan. Wpatrywał się w stół.

– Jesteś wyszkolony odpowiednio do tej funkcji, może nieco zbyt impulsywny, ale to minie, gdy nabierzesz doświadczenia. Bronią posługujesz się pierwszorzędnie jak na swój wiek.

– A jaki jest mój wiek, baszarze? – spytał Duncan, wciąż nie patrząc na Tega.

Dokładnie tak, jak przestrzegała instrukcja: „Ghola będzie krążył wokół zasadniczego tematu: Jaki jest mój wiek? Ile lat ma ghola?”

– Jeśli chcesz wiedzieć, ile masz lat jako ghola, dlaczego nie spytasz wprost? – odparł chłodno Teg.

– Ile... ile to lat, baszarze?

Tyle było cierpienia w głosie młodzika, że Teg poczuł łyzy w kącikach oczu. Przed tym także go ostrzegano: „Nie okazuj zbyt wiele współczucia!” Odchrząknął, by je ukryć.

– Tylko ty możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Instrukcja była jasna: „Każde słowo obracaj przeciw niemu. Pilnuj, żeby był skupiony na swym wnętrzu. Ból emocjonalny jest w tym procesie tak samo ważny jak ból fizyczny”.

Głębokie westchnienie wstrząsnęło Duncanem. Zaciśnął powieki. Kiedy Teg usiadł naprzeciw niego przy stole, myślał: „Czy to ta chwila? Czy teraz to robi?” Ale oskarżycielski ton, napastliwość, były całkiem nieoczekiwane. A teraz Teg najwyraźniej traktował go protekcjonalnie.

„Traktuje mnie z góry!”



Wzbierał w nim gorzki gniew. Czy Teg ma go za głupca, który da się kupić zwykłym stanowiskiem dowódcy? „Sam ton głosu i zachowanie może ujarzmić czyjaś wolę”. Wyczuwał wszakże coś jeszcze pod tym lekceważeniem: jakiś rdzeń z plastali, którego nie można przeniknąć. Konsekwencję... cel. I dostrzegł wzbierające łzy oraz maskujący je gest.

Otworzył oczy i spojrzał wprost na Tega.

– Nie zamierzałem być niewdzięczny czy nieuprzejmy, baszarze – powiedział. – Nie mogę jednak obejść się bez odpowiedzi.

Instrukcja mówiła: „Zauważysz, kiedy ghola dojdzie do szczytu desperacji. Żaden ghola nie stara się tego ukryć. To nieodłączny element ich psychiki. Poznasz to po głosie i postawie”.

Duncan doszedł prawie do punktu krytycznego. Teraz milczenie było pożądane dla Tega. Niech Duncan sam zadaje pytania, niech idzie torem własnych myśli.

– Wiesz, że kiedyś chciałem zabić Schwangyu?

Teg otworzył usta i zamknął je bez słowa. „Milczeć!” Ale ten chłopak mówił poważnie!

– Bałem się jej – powiedział Duncan. – Nie lubię się bać. – Spuścił oczy. – Mówiłeś mi kiedyś, że nienawidzimy tylko tego, co jest dla nas naprawdę niebezpieczne.

„Będzie się zbliżał i cofał, zbliżał i cofał. Zaczekaj, aż skoczy naprzód”.

– Ciebie nie nienawidzę. – Znów spojrzał na Tega. – Było mi przykro, kiedy powiedziałeś mi w twarz: „ghola”. Lucylla ma jednak rację. Nie powinno się odrzucać prawdy, nawet kiedy boli.

Teg potarł wargi. Słowa cisnęły mu się na usta, ale nie był to czas skoku.

– Nie dziwi cię, że myślałem o zabiciu Schwangyu? – spytał Duncan.

Baszar siedział nieruchomo. Nawet przeczący ruch głową mógł zostać uznany za odpowiedź.

– Myślałem o dosypaniu jej czegoś do napoju. Ale tak postąpiłby tchórz, a ja nie jestem tchórzem. Tym na pewno nie.

Teg milczał i nie ruszał się.

– Chyba naprawdę cię obchodzi, baszarze, co się ze mną stanie. Masz jednak rację. Nie będziemy przyjaciółmi. Jeśli przeżyję, przewyższę cię. Potem... będzie już za późno, by się zaprzyjaźnić. Powiedziałeś prawdę.

Teg nie zdołał powstrzymać głębokiego wdechu przy mentackim uświadomieniu: nie da się nie zauważyć przejawów siły tego gholi. Gdzieś, może w tej wnęce jadalnej przed chwilą, młodzik przestał być młodzikiem

i stał się mężczyzną. Świadomość tego zasmuciła Tega. To się stało tak szybko! Żadnego normalnego dorastania.

– W przeciwieństwie do ciebie Lucylla nie troszczy się o to, co się ze mną stanie. Wykonuje tylko polecenia swojej Matki Przełożonej, Tarazy.

„Jeszcze nie teraz!” – ostrzegł sam siebie Teg. Zwilżył wargi językiem.

– Przeszkadzasz Lucylli w wykonaniu rozkazu. Co ona ma mi zrobić?

Chwila nadeszła.

– A jak ci się wydaje? – odpowiedział pytaniem Teg.

– Nie wiem!

– Prawdziwy Duncan Idaho by wiedział.

– Ty wiesz. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

– Mam tylko pomóc ci odzyskać pierwotne wspomnienia.

– Więc zrób to!

– Tylko ty możesz to zrobić.

– Nie wiem jak!

Teg pochylił się do przodu, ale się nie odezwał. „Chwila skoku?” Czegoś mu brakowało w desperacji Duncana.

– Wiesz, że umiem czytać z ruchu warg, baszarze. Kiedyś wszedłem do obserwatorium na wieży. Widziałem, jak w dole Lucylla rozmawia ze Schwangyu. Schwangyu powiedziała: „Nie szkodzi, że jest taki młody! Otrzymałaś rozkaz”.

Nadal milcząc, Teg spojrzał na Duncana. To było do niego podobne, że będzie się snuł ukradkiem po twierdzy, szpiegując i szukając wiedzy. A teraz pogrążał się we wspomnieniach, nie zdając sobie sprawy, że nadal szpieguje i szuka... tylko inaczej.

– Chyba nie miała mnie zabić – ciągnął Duncan. – Ale ty wiesz, co miała zrobić, skoro stajesz jej na drodze. – Uderzył pięścią w stół. – Odpowiedz mi, do diabła!

„Aaach, pełna desperacja!”

– Mogę ci tylko powiedzieć, że jej zamiary są sprzeczne z moimi rozkazami. Taraza osobiście kazała mi wzmacniać cię i chronić przed krzywdą.

– Przecież powiedziałeś, że moje szkolenie było... niepełne!

– To było konieczne. By cię przygotować do odzyskania wspomnień.

– Co mam robić?

– Sam wiesz.

– Nie wiem, mówię ci! Naucz mnie, proszę!

– Robisz wiele rzeczy, których cię nie uczono. Czy nauczyliśmy cię nieposłuszeństwa?

– Pomóż mi, proszę! – To był rozpaczliwy jęk.

Teg zmusił się do zachowania chłodnej obojętności.

– A co, u diabła, twoim zdaniem robię?

Duncan zacisnął pięści i uderzył nimi w stół, aż kubek na nim zatańczył. Wpijał wzrok w Tega. Nagle jakiś dziwny wyraz przemknął mu po twarzy – coś zamajaczyło w oczach.

– Kim jesteś? – wyszeptał.

„Kluczowe pytanie!”

Głos Tega był niczym spadający na ofiarę bat.

– A jak myślisz?

Krańcowa desperacja wykrzywiła rysy Duncana. Zdołał tylko wyjąkać:

– Jesteś... jesteś...

– Duncan! Przestań! – Teg zerwał się na nogi i spojrzał w dół z udawanym gniewem.

– Jesteś...

Prawa ręka baszara wystrzeliła po łuku. Otwarta dłoń uderzyła w policzek Duncana.

– Jak śmiesz mi się sprzeciwiać?! – Lewa dłoń, kolejny policzek. – Jak śmiesz?!

Duncan zareagował tak szybko, że Teg na ułamek sekundy doznał paraliżującego wstrząsu. „Ta prędkość!” Poszczególne elementy ataku gholi zlały się w jeden płynny ruch: skok w górę obunóż na krzesło, rozkołysanie go dla wzmocnienia ciosu z prawej we wrażliwy splot w ramieniu Tega.

Teg uchylił się instynktownie i uderzył lewą nogą ponad stołem w jądra Duncana. Unik nie był udany. Duncan uderzył krawędzią dłoni we wzniesioną nogę Tega pod kolanem. Cała kończyna zdrętwiała.

Rozciągnięty na stole, Duncan próbował się wycofać mimo paraliżującego ciosu. Teg podparł się lewą ręką, a prawą uderzył w podstawę kręgosłupa młodego człowieka, w ogniwo celowo osłabione podczas ćwiczeń w ostatnich dniach. Ktoś inny zostałby unieruchomiony, ale Duncan tylko jęknął i atakował dalej, rwąc się ku Tegowi.

Bezlitosny z konieczności chwili Teg zadawał swej ofierze coraz silniejszy ból, starając się, by Duncan widział twarz napastnika w momentach największej udręki.

„Patrz mu w oczy!” – mówiły instruktorki. A wspierająca je Bellonda ostrzegała: „Będzie ci się zdawać, że patrzy gdzieś poza ciebie, ale nazwie cię Leto”.

Znacznie później Teg z trudem przypominał sobie szczegóły swego postępowania w procedurze przebudzenia. Wiedział, że działa zgodnie z poleceniami, ale jego myśli błądziły gdzie indziej. O dziwo, krnąbrna pamięć uczepiła się innego aktu buntu: rewolty cerbolskiej. Był wtedy w średnim wieku, ale jako baszar miał już groźną reputację. Włożył swój najlepszy mundur, bez medali (subtelny chwyt), i w palącym upale południa pojawił się pod Cerbolem na zoranych bitwą polach. Bez broni na drodze nacierających buntowników.

Wielu z nich zawdzięczało mu życie. Większość złożyła mu kiedyś przysięgę na wierność. Teraz wypowiedzieli posłuszeństwo. A obecność Tega na ich drodze mówiła tym żołnierzom: „Nie będę nosić medali, które świadczą o tym, co dla was zrobiłem, kiedy byliśmy towarzyszami broni. Nie zrobię niczego, co świadczyłoby, że jestem jednym z was. Mam tylko ten mundur, który dowodzi, że jestem wciąż baszarem. Zabijcie mnie, jeśli posuniecie się aż tak daleko w swym nieposłuszeństwie”.

Kiedy większość zbuntowanych rzuciła broń i podeszła do niego, niektórzy ich dowódcy przyklękali przed swoim dawnym baszarem.

– Nigdy nie musieliście kłaniać mi się ani klękać przede mną! – upomniał ich. – Wasi nowi przywódcy wpoili wam złe nawyki.

Później mówił o tym, że rozumie i popiera ich skargi. Cerbol był przykładem niewłaściwego użycia sił. Ostrzegł ich jednak również:

– Jedną z najgroźniejszych rzeczy we wszechświecie jest naprawdę pokrzywdzony ciemny lud. Ale nic nie jest tak groźne jak skargi społeczności światłej i inteligentnej. Nie możecie sobie wyobrazić zniszczeń, jakie wyrządza żadna zemsta inteligencja. Tyran wydałby się wam dobrotliwym ojcem w porównaniu z tym, co mieliście zamiar stworzyć!

Była to oczywiście prawda, ale prawda w pojęciu Bene Gesserit. Nie była też wielką pomocą w tym, co mu kazano zrobić z gholą Duncana Idaho – zadaniu prawie bezbronnej ofierze duchowych i fizycznych cierpień.

Najłatwiej było mu przypomnieć sobie oczy Duncana. Patrzyły ciągle w ten sam punkt, prosto w twarz Tega, nawet w chwili finalnego krzyku:

– Do diabła, Leto! Co ty robisz?!

„Nazwał mnie Leto”.

Teg zrobił dwa kroki w tył. Lewa noga mrowiła i bolała w miejscu uderzenia. Zdał sobie sprawę, że dyszy i jest u kresu sił. Był o wiele za stary na takie wyczyny, a to, co zrobił przed chwilą, sprawiało, że czuł się zbrukany. Procedura przebudzenia tkwiła wciąż w jego pamięci. Wiedział, że dawniej budzono gholę, wszczepiając mu w podświadomość nakaz zabicia kogoś, kogo kochał. Psychika gholi, strzaskana i poskładana na nowo, zawsze była potem kaleka. Ta nowa technika natomiast pozostawiała psychiczne blizny na tym, kto dokonywał przebudzenia.

Powoli, przewyciężając opór odrętwiałych z bólu mięśni i nerwów, Duncan zsunął się ze stołu. Stał, opierając się o krzesło, i wbijał wzrok w Tega.

Instrukcja mówiła: „Musisz stać bardzo spokojnie. Nie ruszaj się. Niech patrzy na ciebie do woli”.

Teg stał nieruchomo, jak mu kazano. Wspomnienie rewolty cerbolskiej uleciało. Wiedział, co zrobił wtedy i teraz. W jakiś sposób oba przypadki były podobne. Nie powiedział wówczas buntownikom absolutnej prawdy (jeśli taka istniała) – tyle tylko, by zwabić ich znowu do szeregów. Ból i jego przewidywalne konsekwencje. „To dla waszego dobra”.

Czy było dobre to, co zrobili gholi Duncana Idaho?

Zastanawiał się, co się dzieje teraz w psychice Duncana. Przekazano mu wszystko, co wiedzano o tych chwilach, ale widział, że to za mało. Oczy i twarz Duncana były żywym obrazem wewnętrznego zamętu. Nienaturalne skurcze ust i policzków, rozbiegany wzrok.

Powoli, cudownie powoli, twarz Duncana złagodniała. Ciało nadal dygotało. Czuł to drzenie jako coś odległego, a ból, tępy i rozdzierający, jakby nękał kogoś innego. Istniał jednak w tej właśnie chwili – kimkolwiek i gdziekolwiek był. Wspomnienia nie były uporządkowane. Nagle poczuł się nie na swoim miejscu w tym ciele, zbyt młodym, nieprzystosowanym do jego poprzedniej egzystencji. Rozstrojona, szarpiąca się świadomość wypełniała całe jego wnętrze.

„Będzie postrzegał prawdziwe wspomnienia przez filtr wspomnień gholi – mówiono Tegowi. – Niektóre prawdziwe wspomnienia wrócą niczym powódź. Inne będą powracać wolniej. Nie będą jednak uporządkowane, dopóki nie przypomni sobie chwili swojej śmierci”.

Bellonda przedstawiła potem Tegowi znane szczegóły tamtej chwili.

– Sardaukarzy – wyszeptał Duncan. Obiegł wzrokiem obecne wszędzie w kuli godła Harkonnenów. – Elitarne wojska Imperatora w mundurach

Harkonnenów! Musieli się czuć podle! – Wilczy uśmiech wykrzywił mu usta.

Teg obserwował go w milczeniu.

– Zabili mnie – powiedział Duncan. Było to proste stwierdzenie faktu, tym bardziej jednak przejmujące. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz, a potem drżenie ustało. – Było ich z dziesięciu w tamtym pomieszczeniu. – Spojrzał wprost na Tega. – Jeden z nich mnie dosięgnął. Jakbym dostał w głowę tasakiem. – Walczył z uciskiem krtani. – Dałem Paulowi dość czasu na ucieczkę?

„Na wszystkie pytania odpowiadaj zgodnie z prawdą”.

– Uciekł.

Zbliżała się chwila próby. Skąd Tleilaxanie mieli komórki Idaho? Testy zgromadzenia potwierdzały ich oryginalność, ale podejrzenia pozostały. Tleilaxanie zmienili coś samowolnie w tym gholi. Jego wspomnienia mogły być do tego cennym kluczem.

– Ale Harkonnenowie... – Duncan urwał. Wspomnienia z twierdzy były nareszcie uporządkowane. – Och, tak! – Zaśmiał się dziko i wydał grzmiący okrzyk tryumfu nad dawno zmarłym baronem Vladimirem Harkonnenem. – Odpłaciłem ci, baronie! Och, odpłaciłem ci za wszystkich, których zniszczyłeś!

– Pamiętasz twierdzę i to, czego cię nauczyliśmy? – spytał Teg.

Głębokie bruzdy przecięły czoło Duncana. Ból emocjonalny wciąż walczył z fizycznym. Skinął głową w odpowiedzi. Były dwa życia: jedno odcięte przez każdą aksolotlową i drugie... drugie... Czuł się niepełny. Coś w jego wnętrzu nadal drzemało. Przebudzenie nie zostało ukończone. Spojrzał gniewnie na Tega. Baszar był brutalny. Czy ta brutalność była niezbędna? Czy tak się ożywiało ghole?

– Ja... – Pokręcił głową jak wielkie ranne zwierzę naprzeciw myśliwego.

– Odzyskałeś wszystkie wspomnienia?

– O, tak. Pamiętam Gammu, kiedy była jeszcze Giedi Prime... przesiąkniętym ropą i krwią piekłem Imperium! Tak, baszarze. Byłem twoim pilnym uczniem. Dowódca pułku! – Zaśmiał się, zadzierając głowę w dziwnie dojrzałym geście.

Teg poczuł głęboką satysfakcję, dużo większą niż ulga. Udało się; tak jak mówiły.

– Nienawidzisz mnie?

– Nienawidzę? Czy nie mówiłem, że będę ci wdzięczny?

Nagle Duncan podniósł dłonie i przyjrzał się im. Następnie popatrzył na swe młodzieńcze ciało.

– Co za pokusa! – wyszeptał, po czym opuścił ręce i skupił wzrok na twarzy Tega, szukając znajomych rysów. – Atryda – stwierdził. – Jesteście wszyscy tak piekielnie podobni!

– Nie wszyscy – rzekł Teg.

– Nie mówię o wyglądzie, baszarze. – Ghola zapatrzył się w przestrzeń. – Pytałem o mój wiek. – Nastąpiła długa cisza, a potem rzucił: – Bogowie podziemi! Tak wiele czasu minęło!

– Zgromadzenie cię potrzebuje – powiedział Teg zgodnie z instrukcją.

– W tym niedojrzałym ciele? Co mam robić?

– Nie wiem, ale ciało dojrzeje, a Matka Wielebna wyjaśni ci wszystko.

– Lucylla? – Duncan spojrzał na zdobny sufit, a potem na zegar we wnęce. Przypomniawszy sobie, jak przybył tu z Tegiem i Lucyllą. Miejsce było to samo, ale inne. – Harkonnenowie – szepnął. – Wiesz, ilu moich krewnych torturowali i zabili?

– Archiwistka Tarazy pokazała mi raport.

– Raport? Sądzisz, że słowa mogą to wyrazić?

– Nie. Ale tylko tak mogę odpowiedzieć.

– Niech cię diabli, baszarze! Czy Atrydzi muszą być zawsze tak uczciwi i honorowi?

– Myślę, że mamy to we krwi.

– To prawda. – Zza Tega dobiegł głos Lucylli.

Teg nie odwrócił się. Jak dużo usłyszała? Jak długo tu była?

Lucylla podeszła i stanęła obok Tega, ale patrzyła na Duncana.

– Widzę, że tego dokonałeś, Miles.

– Wykonałem rozkaz Tarazy co do joty.

– Byłeś bardzo przebiegły, Miles – powiedziała. – Dużo przebieglejszy, niż sądziłam. Twoją matkę należałoby surowo ukarać za to, czego cię nauczyla.

– Ach, Lucylla uwodzicielka – odezwał się Duncan. Spojrzał na Tega i na Lucyllę. – Tak, mogę już odpowiedzieć na pytanie, co mi miała zrobić.

– One zwą się imprinterkami – powiedział Teg.

– Miles, jeśli przez ciebie nie wykonam rozkazu, upiekę cię na rożnie.

Jej pozbawiony emocji głos przyprawił Tega o dreszcz. Za metaforą kryła się realna groźba.

– Uczta pokutna! – zauważył Duncan. – Jakie to miłe!

– Nie ma nic romantycznego w tym, co ci zrobiłem – zwrócił się Teg do Duncana. – Nieraz już asystowałem Bene Gesserit w takich zadaniach i czułem się potem podle, ale nigdy tak podle jak teraz.

– Milczeć! – Lucylla włożyła w ten rozkaz całą siłę Głosu.

Teg pozwolił Głosowi przepłynąć przez siebie i wyciec na zewnątrz, jak go nauczyła matka.

– Ci z nas, którzy szczerze oddani są zgromadzeniu, mają tylko jeden cel: przetrwanie Bene Gesserit. Kłamstwa, oszustwa... to puste słowa, gdy idzie o przetrwanie zgromadzenia.

– Niech piekło porwie twoją matkę, Miles! – Lucylla nie kryła furii i był to dla niego komplement.

Duncan patrzył na nią. Kim była? Czuł, jak wirują w nim wspomnienia. Nagle ujrzał znów twarz kobiety, którą widział kiedyś na ścianie w twierdzy. „Duncan, mój słodki Duncan”.

Łzy napłynęły mu do oczu. Jego matka, ofiara Harkonnenów. Torturowana... kto wie, co jeszcze. „Słodki Duncan” nigdy już jej nie ujrzał.

Znów skupił wzrok na Lucylli. Łzy zatarły jej rysy, ułatwiając porównania. Jej twarz zlewała się z twarzą Jessiki, ukochanej Leto Atrydy. Duncan spojrzał na Tega, potem znów na Lucyllę, strząsając przy tym łzy z oczu. Zapamiętane twarze przekształciły się w oblicze stojącej przed nim Matki Wielebnej. Były podobne... ale nie takie same. Już nigdy nie będą takie same.

„Imprinterka”. Domyślał się znaczenia tego słowa. Ogarnęła go wściekłość.

– Chcesz, bym ci zrobił dziecko? Wiem, że nie darmo nazywają was matkami.

– Omówimy to innym razem – odparła chłodno Lucylla.

– Omówmy to w jakimś miłym miejscu. Mogę ci coś zaśpiewać. Nie śpiewam tak dobrze jak stary Gurney Halleck, ale wystarczająco dobrze na grę wstępną.

– Myślisz, że to zabawne? – spytała.

– Zabawne? Nie, ale Gurney przypomniał mi się naprawdę. Powiedz, baszarze, czy jego też wywlekliście z grobu?

– Nic o tym nie wiem – odrzekł Teg.

– Aach, cóż to był za śpiewak! Mógł cię zabić, śpiewając, i nie sfalszował.



– Nas, Bene Gesserit, nauczono unikać muzyki. Wywołuje zbyt wiele mylących uczuć. Uczuć ze wspomnień, oczywiście – odparła chłodno Lucylla.

Miało go to zastraszyć przypomnieniem Innych Wspomnień i pozostałych mocy Bene Gesserit, ale Duncan tylko się zaśmiał.

– Szkoda. Wiele tracicie z życia – rzekł i zaczął nucić stary refren Hallecka: – „Stańmy, bracia, wśród poległej braci...”

Jego myśli wirowały, smakując te odrodzone chwile, i raz jeszcze poczuł dotknięcie czegoś potężnego, co pozostawało w nim uśpione. To coś było gwałtowne i dotyczyło Lucylli, imprinterki. W wyobraźni widział ją martwą, a jej ciało skąpane we krwi.



Ludzie chcą zawsze czegoś więcej niż chwilowej radości albo jej głębszej odmiany zwanej szczęściem. To jeden z sekretów, za pomocą których osiągamy nasze cele. „Coś więcej” zakłada zwiększoną władzę nad ludźmi, którzy nie potrafią jej nazwać albo (najczęściej) nie podejrzewają jej istnienia. Większość reaguje jedynie podświadomie na takie ukryte moce. Wystarczy zatem powołać do istnienia skalkulowane „coś więcej”, określić je i nadać mu kształt, a ludzie pójdą za nim.

– *Sekrety przywództwa Bene Gesserit*

Odrade i Sziena szły dwadzieścia kroków za milczącym Waffem obrośniętą chwastami drogą obok magazynu przyprawy. Wszyscy troje mieli na sobie nowe burnusy i lśniące filtraki. Magazyn ogrodzony był szarą siatką z plazu, z której oczek wystawały żółta trawy i owocnie bawełny. Odrade wydawały się one symbolem życia przebijającego się przez oznaki ludzkiej ingerencji.

Za nimi klockowate budynki wyrosłe wokół Dar-es-Balat piekły się w słońcu wczesnego popołudnia. Suche, gorące powietrze paliło gardło Odrade, gdy oddychała zbyt szybko. Miała zawroty głowy i wszystko się w niej buntowało. Dręczyło ją pragnienie. Szła, jakby balansowała na skraju przepaści. Sytuacja, jaką stworzyła na rozkaz Tarazy, mogła w każdej chwili eksplodować.

„Jakie to wszystko kruche!”

Trzy siły balansowały, nie wspierając się wzajemnie, połączone motywami, które mogły się w mgnieniu oka zmienić i załamać całe przymierze. Przysłani przez Tarazę wojskowi nie rozproszyli wątpliwości Odrade. Gdzie był Teg? Gdzie Burzmali? A skoro już o tym mowa, gdzie ghola? Powinien już tu być. Dlaczego kazano jej zwlekać?

Dzisiejsza podróż na pewno opóźni wiele spraw! Mimo błogosławieństwa Tarazy Odrade miała wrażenie, że ta wyprawa na pustynię, między czerwie, może być ostatecznym opóźnieniem wszystkiego.

I jeszcze ten Waff. Jeżeli przeżyje, czy będzie miał co zbierać?

Mimo leczniczego działania najlepszych regeneracyjnych wzmacniaczy zgromadzenia Waff mówił, że połamane przez Odrade ręce wciąż go bolą. Nie skarżył się, po prostu informował. Zdawał się akceptować to ich kruche przymierze, nawet wariant przewidujący udział w nim rakańskiego kapłaństwa. Niewątpliwie czuł się pewniej, odkąd jego maskaradnik zajął ławę najwyższego kapłana, przybrawszy postać Tueka. Żądał od Bene Gesserit przekazania „płodnych matek” i konsekwentnie wycofywał się ze swojej części umowy.

– To tylko drobna zwłoka. Zgromadzenie musi przejrzeć tę nową umowę – tłumaczyła Odrade. – Tymczasem...

Dziś właśnie było to „tymczasem”.

Odrade odłożyła na bok złe przeczucia i zaczęła się wczuwać w nastrój wyprawy. Waff fascynował ją, zwłaszcza jego zachowanie przy spotkaniu z Szieną: był wyraźnie pełen czci i niepozbawiony obaw.

„To służebnica jego Proroka!”

Odrade spojrzała na idącą obok dziewczynę. Oto prawdziwa dźwignia kształtowania zdarzeń zgodnie z planem Bene Gesserit.

Przyglądała się z fascynacją prawdziwemu obliczu Tleilaxan. Fanatyczna „prawdziwa wiara” Waffa nabierała kształtu z każdym jego słowem. Odrade czuła, że ma szczęście tu być i oglądać mistrza Tleilaxan w uniesieniu religijnym. Nawet zgrzyt piasku pod jego stopami budził zachowania, które nauczono ją rozpoznawać. „Należało to odgadnąć – myślała. – Manipulacje naszej Missionaria Protectiva powinny nam uświadomić, jak Tleilaxanie tego dokonali. Przez te wszystkie tysiąclecia trzymali się na uboczu, z dala od intruzów”.

Nie wyglądało na to, by kopiowali strukturę Bene Gesserit. A jaka inna siła mogła tego dokonać? To była religia. Wielka Wiara!

„A jeśli Tleilaxanie używają swego systemu tworzenia gholi jako namiastki nieśmiertelności?”

Taraza mogła mieć rację. Mistrzowie Tleilaxan w swych nowych wcieleniach nie byli podobni do Matek Wielebnych – nie mieli Innych Wspomnień, jedynie osobiste. Ale z jakiego okresu!

„Fascynujące!”

Spojrzała na plecy Waffa. „Stąpa ciężko”. Wydawało się, że to jego naturalna cecha. Przypomniała sobie, że nazwał Szienę „Alayama”. Było to kolejne potwierdzenie, lingwistyczny wgląd w Wielką Wiarę. Słowo to znaczyło „błogosławiona”. Tleilaxanie zachowali starożytny język, i to niezmienny.

Czy Waff nie wiedział, że tylko potężne siły, jak religie, są do tego zdolne?

„Znamy korzenie twojej obsesji. Niewiele różnią się od tego, co stworzyło zgromadzenie. Wiemy, jak manipulować takimi rzeczami dla własnych celów”.

Wiadomość od Tarazy płonęła w świadomości Odrade. „Plan Tleilaxan jest jasny: zdobycie władzy. Ludzki wszechświat ma być przetworzony w tleilaxański. Nie zdołaliby osiągnąć takiego celu bez pomocy Rozproszenia. Ergo”.

Nie sposób było zaprzeczyć rozumowaniu Matki Przełożonej. Zgadzała się z nim nawet opozycja, której schizma groziła rozpadem zgromadzenia. Sama jednak myśl o tych masach ludzkich, rosnących w postępie geometrycznym w Rozproszeniu, wywoływała u Odrade bezsilną rozpacz.

„Jest nas tak mało w porównaniu z nimi”.

Sziena przystanęła i podniosła kamyk. Przyglądała mu się chwilę, a potem rzuciła nim w ogrodzenie. Przeleciał przez siatkę, nie dotykając jej.

Odrade wzięła się w garść. Odgłos ich kroków na zawianej piaskiem, mało używanej drodze wydał jej się nagle zbyt głośny. Trakt wychodzący na pustynię z otaczającego Dar-es-Balat pierścienia kanatu i fosy zaczynał się dwieście kroków dalej, na końcu tej drogi.

– Robię, co mi kazałaś, Matko Wielebna – odezwała się Sziena – ale wciąż nie wiem dlaczego.

„Bo miejsce, w którym poddamy Waffa próbie i dzięki temu przemienimy Tleilaxan, ma kluczowe znaczenie!”

– Chodzi o pokaz – odpowiedziała Odrade.

To była prawda. Nie cała, ale wystarczająca.

Sziena szła z opuszczoną głową, patrząc, gdzie stawia stopy.

„Czy zawsze w ten sposób zbliża się do swego Szejtana? Zamyślona i nieobecna?” – zastanawiała się Odrade.

Usłyszała słaby łopot wysoko w górze. Nadlatywały ornitoptery. Miały trzymać się z dala, ale wiele oczu chciało obserwować ten *pokaz*.

– Zatańczę – powiedziała dziewczynka. – To zwykle przyciąga dużego.

Odrade poczuła, że jej serce bije szybciej. Czy ten „duży” będzie posłuszny Szienie mimo obecności dwojga towarzyszy?

„To samobójczy obłęd!”

Trzeba jednak było to zrobić: rozkaz Tarazy.

Odrade spojrzała przez ogrodzenie na plac składowy przyprawy. To miejsce wydawało się jej dziwnie znajome. To coś więcej niż *déjà vu*. Wewnętrzna pewność. Inne Wspomnienia mówiły jej, że to miejsce nie zmieniło się od starożytności.

Kształt przyprawowych silosów na placu był tak stary jak sama Rakis: owoidalne zbiorniki na wysokich nogach przypominały ogromne owady z metalu i plazu, gotowe do skoku na zdobycz. Podejrzewała w tym podświadome przesłanie ich projektantów: „Melanż to zarazem dobrodziejstwo i przekleństwo”.

Za silosami rozciągało się piaszczyste pustkowie, gdzie nie rosło nic i tylko budynki o glinianych ścianach, ameboidalne ramię Dar-es-Balat, sięgały prawie do brzegu kanatu. Wokół ukrytej przez stulecia komory pozaprzestrzennej Tyrana powstała rozwijająca się wspólnota religijna, która kryła swoją działalność za pozbawionymi okien ścianami i pod ziemią.

„Ukryte działanie naszych podświadomych pragnień!”

– Tuek jest jakiś inny – powiedziała Sziena.

Odrade spostrzegła, że Waff poderwał głowę. Usłyszał. Teraz pewnie myślał: „Czyż możemy coś ukryć przed wysłanniczką Proroka?”

Zbyt wielu ludzi wiedziało już, że Tueka zastępuje maskaradnik. Kapłani wierzyli oczywiście, że w zastawianą sieć wplaczą się nie tylko Bene Tleilax, ale i Bene Gesserit.

Poczuła gryzący odór chemikaliów, których używano do tępienia chwastów na placu magazynowym. Ten odór skierował jej uwagę ku bieżącym sprawom. Nie mogła sobie pozwolić na wędrówki myśli. Zgromadzenie mogło się złapać we własną pułapkę.

Sziena potknęła się i krzyknęła cicho, raczej z irytacji niż z bólu. Waff rzucił na nią szybkie spojrzenie. Przekonał się, że dziewczyna potknęła się

po prostu na nierównej drodze. Nawiany piasek skrywał szczeliny w popękanej nawierzchni. Nieważka konstrukcja kładki przed nimi wydawała się jednak pewna. Nie na tyle mocna, by unieść jednego z potomków Proroka, ale z pewnością wystarczająca, by błagalnik przeszedł przez nią na pustynię.

Waff myślał o sobie najczęściej jak o błagalniku.

„Przychodzę jako żebrak do kraju Twego posłańca, Boże”.

Miał podejrzenia co do Odrade. Ta Matka Wielebna przyprowadziła go tu, by wydobyć z niego wszystko, co wie, zanim go zabije. „Z Bożą pomocą, mogę ją jeszcze zaskoczyć”. Wiedział, że jego ciało jest odporne na sondę ixańską, chociaż nie wypatrzył u Odrade tego nieporęcznego urządzenia. Ufał jednak w siłę własnej woli i był pewien Bożej łaski.

„A jeśli one szczerze wyciągają do nas rękę?”

To także będzie dzieło Boże.

Przymierze z Bene Gesserit, ścisła kontrola nad Rakis. Cóż to za marzenie! Panowanie szariatu, a Bene Gesserit jako misjonarki.

Sziena znów się potknęła i wydała żalosny okrzyk.

– Nie użalaj się nad sobą, dziecko! – powiedziała Odrade.

Ujrzała, jak sztywnieją ramiona Waffa. Nie podobało mu się traktowanie z góry jego „błogosławionej”. Ten człowieczek miał charakter. Odrade widziała w tym siłę fanatyzmu. Nawet gdyby czerw przybył tu, żeby go zabić, Tleilaxanin nie ucieknie. Wiara w Bożą wolę powiedzie go wprost do śmierci... o ile nie zostanie pozbawiony oparcia w religii.

Uśmiechnęła się skrycie. Mogła zgadnąć, o czym myśli Waff. „Bóg wkrótce objawi swój zamiar”.

Waff myślał jednak o swoich komórkach odradzających się powoli w kadzi w Bandalongu. Nie jest ważne, co się tu wydarzy, bo jego komórki przetrwają dla Bene Tleilax... i dla Boga – kolejny Waff, zawsze służący Wielkiej Wierze.

– Wyczuwam Szejtana – powiedziała Sziena.

– Teraz? – Odrade spojrzała na kładkę przed nimi. Waff wyprzedzał ich o dwadzieścia kroków na jej wypukłej powierzchni.

– Nie, gdy nadchodzi.

– Oczywiście. Każdy to potrafi.

– Ale ja go wyczuwam z daleka.

Odrade wciągnęła powietrze przez nos, oddzielając od dominującej woni przypalonego krzemienia inne zapachy: słabe powiewy melanzu, ozon, coś

wyczuwalnie kwaśnego. Wskazała Szienie drogę na kładkę. Waff stale wyprzedzał je o dwadzieścia kroków. Kładka opadała na pustynię sześćdziesiąt metrów przed nim.

„Przy pierwszej okazji muszę poznać smak piasku. To mi wyjaśni wiele rzeczy” – pomyślała Matka Komendantka.

Kiedy znalazła się nad fosą, spojrzała na północny zachód, ku niskiej barierze biegnącej wzdłuż horyzontu. I nagle opadły ją Inne Wspomnienia.

Nie było w nich ostrości rzeczywistej wizji, ale rozpoznała tę mieszaninę obrazów z głębin swej pamięci.

„Niech to diabli! – pomyślała. – Nie teraz!”

Nie było jednak ucieczki. Takie inwazje Innych Wspomnień zdarzały się bez jej zgody, nieuniknione działania jej podświadomości.

„Ostrzeżenie!”

Zmrużyła oczy, wpatrując się w horyzont, i pozwoliła zapanować nad sobą Innym Wspomnieniom. Dawno temu... wysoka bariera wznosiła się tam, daleko... a po jej szczycie poruszali się ludzie. Był tam w tym odległym wspomnieniu jakiś baśniowy most, niematerialny i cudowny. Łączył jedną część nieistniejącej już bariery z drugą, ona zaś wiedziała, nie widząc tego, że pod tym nieistniejącym mostem płynęła rzeka. Rzeka Idaho! Teraz obraz zaczął pokazywać ruch: jakieś obiekty spadające z mostu. Były za daleko, by je rozpoznać, ale miała w pamięci gotowe określenia. Rozpoznała tę scenę z grozą i zachwytem.

Baśniowy most się zapadł! Runął do rzeki.

Nie była to wizja jakiegoś przypadkowego zniszczenia. To była klasyczna przemoc utrwalona w wielu wspomnieniach, które trafiły do niej podczas agonii przyprawowej. Potrafiła rozpoznać doskonale zestrojone składniki obrazu. Tysiące jej poprzedniczek oglądały tę scenę zrekonstruowaną w wyobraźni. Nie była to prawdziwa wizja, ale zbiór dokładnych świadectw.

„Tam się to wszystko zdarzyło!”

Odrade przystanęła i pozwoliła obrazom przewijać się przez swą świadomość. „Uwaga!” Wyraźnie czuła niebezpieczeństwo. Nie próbowała dojść natury tego ostrzeżenia. Wiedziała, że jeśli to zrobi, całość rozpadnie się na oddzielne wątki, z których każdy mógł być istotny, ale pewność zniknie.

To, co się tam działo, było zapisane w historii Atrydów. Leto II, Tyran, poszybował z tego baśniowego mostu ku własnej zagładzie. Wielki czerw Rakis, sam Bóg Imperator, runął zeń w drodze na własne wesele.

Tam, właśnie tam, w rzece Idaho pod zniszczonym mostem, zaczęła się agonia Tyrana. Właśnie tam nastąpiło przeistoczenie, w wyniku którego zrodził się Podzielony Bóg – wszystko tam się zaczęło.

„Skąd to ostrzeżenie?”

Most i rzeka zniknęły z krajobrazu. Wysoki mur opasujący kiedyś pustynię Tyrana, Serir, wyrodził się w postrzępioną linię na drżącym od żaru horyzoncie.

Czy gdyby teraz pojawił się czerw, niosąc w sobie perłę uspionej na zawsze pamięci Tyrana, ta pamięć mogłaby im zagrozić? Tak twierdziły przeciwniczki Tarazy w zgromadzeniu.

„On się obudzi!”

Taraza i jej doradczynie odrzucały nawet taką możliwość.

A jednak ten sygnał od Innych Wspomnień Odrade nie mógł być pominięty.

– Matko Wielebna, dlaczego stoimy?

Odrade poczuła, że jej świadomość cofa się do terażniejszości, która wymagała jej uwagi. W tamtej ostrzegawczej wizji było miejsce, w którym zaczął się nieskończony sen Tyrana, ale wdarły się również inne. Sziena stała przed nią z zakłopotaną miną.

– Patrzyłam tam. – Odrade wskazała ręką. – Tam się zrodził Szej-hulud, Szieno.

Waff zatrzymał się u końca kładki, o krok od nacierającego piasku, oddalony teraz czterdzieści kroków od Odrade i Szieny. Na głos Matki Wielebnej zeszywniał czujnie, ale się nie odwrócił. Odrade wyczuwała w nim niezadowolenie. Nie znosił nawet cienia cynizmu, kiedy szło o jego Proroka. Zawsze podejrzewał Matki Wielebne o cynizm, zwłaszcza w sprawach religii. Nie był jeszcze gotów przyjąć tego, że Bene Gesserit, którymi tak długo pogardzał i których się bał, mogą z nim dzielić Wielką Wiarę. Na tym podłożu należało budować z wielką ostrożnością... co zawsze robiła Missionaria Protectiva.

– Podobno była tam kiedyś wielka rzeka – powiedziała Sziena.

Odrade usłyszała w jej głosie wesołą, drwiącą nutę. Dziewczyna szybko się uczy!

Waff obrócił się i spojrzał na nie posepnie. Też to usłyszał. Odrade ciekawiło, co teraz myśli o Szienie.

Objęła ramię Szieny jedną ręką, a drugą wskazała kierunek.

– Tam był most. Wielki mur Seriru został otwarty, żeby przepuścić wody rzeki Idaho. Most łączył brzegi wyłomu.

Sziena westchnęła.

– Prawdziwa rzeka!

– Nie kanat i o wiele większa od kanału.

– Nigdy nie widziałam rzeki.

– Tam właśnie wrzucono do rzeki Szej-huluda. A tam – wskazała w lewo – wiele kilometrów stąd zbudował swój pałac.

– Tam nie ma nic oprócz piasku – powiedziała Sziena.

– Pałac zburzono w Czasach Głodu. Ludzie myśleli, że jest w nim skarb przyprawy. Mylili się, oczywiście. Tyran był na to o wiele za mądry.

Sziena przysunęła się do Odrade.

– Ale istnieje ogromny skarb przyprawy – szepnęła. – Mówią o nim pieśni. Słyszałam je wiele razy. Mój... mówią, że jest w jakiejś jaskini.

Odrade uśmiechnęła się. Sziena nawiązywała, rzecz jasna, do przekazów ustnych. Omal nie powiedziała: „mój ojciec”, mając na myśli prawdziwego ojca, który zginął na tej pustyni. Odrade wyciągnęła już tę historię z dziewczyny.

– Dlaczego ten człowieczek idzie z nami? – spytała Sziena, nadal szepcząc do ucha Odrade. – Nie podoba mi się.

– To jest niezbędny element pokazu.

Waff wybrał tę chwilę, żeby zstąpić z kładki na piaszczyste zbocze. Poruszał się ostrożnie, ale bez widocznego wahania. Już stojąc na piasku, obrócił się i spojrzał najpierw na Szienę, a potem na Odrade.

„Wciąż widać w nim lęk, kiedy patrzy na Szienę – pomyślała Matka Komendantka. – Ma nadzieję odkryć tu wielkie rzeczy. Wierzy, że znajdzie nowe życie. I honor!”

Sziena przysłoniła oczy dłonią i przyjrzała się pustyni.

– Szejtan lubi upał – powiedziała. – Ludzie kryją się, kiedy jest gorąco, ale Szejtan przychodzi właśnie wtedy.

„Nie Szej-hulud – pomyślała Odrade. – Szejtan! Trafnie to przewidziałeś, Tyranie. Co jeszcze wiedziałeś o naszych czasach?”

Czy naprawdę Tyran drzemie we wszystkich swoich potomkach?

Żadna z czytanych przez Odrade analiz nie wyjaśniała, co mogło skłonić człowieka do symbiozy z pierwotnym czerwem z Arrakis. Jakie myśli chodziły mu po głowie przez tysiąclecia tej potwornej transformacji? Czy



najmniejsza choćby cząstka jego umysłu zachowała się w obecnych czerwiah Rakis?

– Jest blisko, Matko Wielebna – powiedziała Sziena. – Czujesz?

Waff zerknął wyczekująco na Szienę.

Odrade wciągnęła głęboko powietrze. Silny zapach cynamonu podszyty goryczą krzemienia, ogień, siarka – odgrozione kryształami piekło wielkiego czerwia. Pochyliła się i położyła szczyptę piasku na języku. Było tam wszystko: Diuna z Innych Wspomnień i dzisiejsza Rakis.

Sziena wskazała w lewo, tam skąd zrywał się wietrzyk.

– Tam. Musimy się śpieszyć.

Nie czekając na pozwolenie Odrade, zbiegła lekko z kładki, minęła Waffa i wbiegła na pierwszą wydmy. Zaczekała tam, aż ją dogonią. Poprowadziła ich zboczem tej wydmy w dół, a potem w górę na drugą. Piasek utrudniał im marsz wzdłuż ogromnego, zakrzywionego barchanu, z którego szczytu unosiły się smugi słonego pyłu. Wkrótce od bezpieczeństwa otoczonego wodą Dar-es-Balat dzielił ich prawie kilometr.

Sziena znów się zatrzymała.

Waff stanął przy niej, ciężko dysząc. Krople potu błyszczały mu na czole pod krawędzią kaptura filtra. Odrade przystanęła krok za Waffem. Oddychała głęboko, uspokajająco, spoglądając nad jego głową tam, gdzie utkwiała wzrok Sziena.

Wściekła fala piasku przetoczyła się przez pustynię poza wydumą, na której stali, gnana sztormowym wiatrem. Naga skała ukazała się w długiej wąskiej alei wielkich głazów, rozrzuconych i poprzewracanych niczym kamienne bloki jakiegoś szalonego Prometeusza. Przez ten dziwaczny labirynt piasek płynął niczym rzeka, zostawiając swoje podpisy w głębokich rysach i wyżłobieniach, a potem – spadając z niewielkiej skarpy – gubił się w wydmach.

Odrade czuła gorące powietrze w płucach. Wysoko za sobą słyszała ornitoptery. Wyczuwała czujne spojrzenia. Co oni stamtąd widzieli? Tu, na dole, wszędzie była tylko pustynia. Tymczasem Sziena powiodła ich nieco powłóczystym truchtem, nie starając się ukryć odgłosów wędrówki – żadnego ciągnięcia stóp ani nierytmicznych kroków.

– Tędy – powiedziała, wskazując skalne koryto. Zbiegła w dół, ślizgając się i gramoląc w nawianym piasku. U podstawy wydmy zatrzymała się pod dwukrotnie wyższym od niej głazem.

Waff i Odrade przystanęli tuż za nią.

Przed nimi wznosił się w srebrnobłękitne niebo kolejny gigantyczny barchan, którego powierzchnia falowała niczym grzbiet baraszkującego wieloryba.

Odrade wykorzystała tę przerwę, żeby odzyskać równowagę tlenową. Ta szalona gonitwa wyczerpała ich siły. Waff poczerwieniał i oddychał głęboko. Krzemienno-cynamonowa woń wprost dławiała w ciasnym przejściu. Tleilaxanin kichnął i wytarł nos grzbietem dłoni. Sziena wspięła się na palce, zakołysała i przebiegła dziesięć kroków po skalnej alei. Postawiła stopę na piaszczystym jezorze następnej wydmy i wzniosła ramiona. Zaczęła tańczyć, najpierw wolno, potem coraz szybciej, posuwając się w górę po piasku.

Odrade rozpoznała starożytne ruchy, taniec prawie niezmieniony od czasów Fremenów: hołd dla Szej-huluda. Sziena, rzecz jasna, powiedziałaaby, że tańczy dla Szejtana. Zupełnie nie przypominało to tańca, który Odrade widziała na Wielkim Placu w Kin. Sziena nie starała się ukrywać rytmu. Każdy krok dudnił w piasku.

Szum ornitopterów stał się głośniejszy.

– Słuchajcie! – zawołała Sziena, nie przestając tańczyć.

Nie na ornitoptery chciała zwrócić ich uwagę. Odrade zadarła głowę, żeby lepiej słyszeć nowy dźwięk wdzierający się w ich kamienny labirynt.

Syczący świst, podziemny i przygłuszony piaskiem, przybierał na sile z przerażającą szybkością. Był w nim żar, bo wietrzyk wijący się w skalnym korycie wyraźnie się ocieplił. Świst narastał do ryku. I nagle kryształowe kły gigantycznej paszczy uniosły się nad wydumą tuż nad Szieną.

– Szejtanie! – krzyknęła, nie gubiąc rytmu. – Tu jestem, Szejtanie!

Odrade spojrzała na płomienistą paszczę. Porównała bestię ze wspomnieniami – miała przynajmniej sześćdziesiąt metrów! Istotnie, „duży”. Co teraz zrobi? Nie było nadziei na ucieczkę. Byli skazani na łaskę tego potwora... i Szieny, która nim władała.

Czerw przetoczył się nad wydumą i opuszczył paszczę ku Szienie. Piasek osypywał się wokół jej stóp, zmuszając ją do przerywania tańca. Zapach cynamonu wypełnił skalisty wąwóz. Czerw zatrzymał się nad nimi.

Odrade patrzyła z fascynacją na falujące płomienie za pierścieniem kryształowych zębów.

– Wysłannik Boga – wyszeptał Waff.

Żar wysuszył pot na odsłoniętej twarzy Odrade. Automatyczna osłona filtraka zaczęła się wysuwać. Matka Wielebna wzięła głęboki wdech,

wyszukując składniki tego cynamonowego natarcia. W powietrzu był ostry zapach ozonu i mnóstwo tlenu. Wytężając wszystkie zmysły, Odrade gromadziła wrażenia.

„Jeśli przeżyję” – pomyślała.

Tak, to były cenne dane. Może pewnego dnia komuś się przydadzą.

Sziena wycofała się z piasku na odsłoniętą skałę. Znow zatańczyła, jeszcze gwałtowniej, rzucając głową przy każdym obrocie. Włosy opadały jej na twarz, a ilekroć zwracała się do czerwia, wołała: „Szejtan!”

Nieśmiało, niczym dziecko na nieznanym terenie, czerw znowu ruszył do przodu. Zsunął się z wydmy i zwinął na odsłoniętej skale. Płomienna paszcza była dwa kroki od Szieny.

Kiedy się zatrzymał, do świadomości Odrade dotarł dobiegający z jego trzewi łoskot. Nie mogła oderwać wzroku od odbicia pomarańczowych płomieni z wnętrza tego stwora. Był jaskinią pełną tajemniczych ogní.

Sziena przestała tańczyć. Przycisnęła ręce z zaciśniętymi pięściami do boków i spojrzała na potwora, którego przywołała.

Odrade oddychała kontrolowanym rytmem Matki Wielebnej, zbierającej wszystkie siły. Jeśli to koniec... cóż, wykonała rozkaz Tarazy. Matka Przełożona dowie się reszty od obserwatorek.

– Witaj, Szejtanie – powiedziała Sziena. – Przyprowadziłam ze sobą Matkę Wielebną i Tleilaxanina.

Waff osunął się na kolana i złożył pokłon.

Odrade minęła go i stanęła obok Szieny. Dziewczyna ciężko dyszała. Twarz miała zaczerwienioną. Odrade słyszała tykanie przeciążonych filtraków. Gorące cynamonowe powietrze wokół nich pełne było odgłosów tego spotkania, a nad wszystkim unosił się pomruk płomieni we wnętrzu nieruchomego czerwia.

Waff stanął obok Odrade, z zachwytem wpatrując się w czerwia.

– Jestem tu – wyszeptał.

Odrade skłępała go w myśli. Każdy obcy odgłos mógł sprowokować bestię. Znała jednak myśli Waffa. Żaden Tleilaxanin nie stał tak blisko potomka Proroka. Nie udało się to nawet rakańskim kapłanom!

Sziena wskazała nagle ręką.

– Zejdź do nas, Szejtanie! – zawołała.

Czerw opuścił rozwartą paszczę, aż jego wewnętrzne palenisko wypełniło wąwóz przed nimi.

– Widzisz, jak mnie słucha, Matko Wielebna? – powiedziała cicho Sziena.

Odrade wyczuwała jej władzę nad czerwem, pulsowanie tajemnego języka między dzieckiem a potworem. To było niesamowite.

– Poproszę Szejtana, żeby pozwolił nam się na nim przejechać! – powiedziała Sziena wyzywająco i zaczęła się wspinać na stok wydmy obok czerwia. Wielka paszcza natychmiast ruszyła w ślad za nią.

– Zostań tam! – krzyknęła.

Czerw się zatrzymał.

„Ona nie kieruje nim słowami – pomyślała Odrade. – To coś jeszcze... coś jeszcze”.

– Matko Wielebna, chodź ze mną! – zawołała Sziena.

Odrade posłuchała, popychając przed sobą Waffa. Wspięli się za dziewczynką po piaszczystym stoku. Poruszony piasek sypał się obok czerwia, wypełniając zagłębienie. Przed nimi stożkowaty ogon bestii zaginał się wzdłuż grzbietu wydmy. Sziena doprowadziła ich, grzęznąc w piasku, aż do samego końca stwora. Tam chwyciła przednią krawędź pierścienia i wdrapała na swoją bestię pustyni.

Odrade i Waff nieco wolniej podążyli za nią. Ciepła powierzchnia czerwia wydawała się Odrade jakimś ixańskim tworzywem, nie substancją organiczną.

Sziena popędziła wzdłuż grzbietu i przykucnęła tuż za paszczą, gdzie pierścienie były grube i szerokie.

– O, tak! – powiedziała. Pochyliła się i chwyciwszy brzeg pierścienia, uniosła go trochę, by ukazać różową miękką tkankę pod spodem.

Waff posłuchał jej natychmiast, ale Odrade poruszała się ostrożniej, zbierając wrażenia. Powierzchnia pierścienia była twarda jak plazbeton, pokryta drobną inkrustacją. Dotknęła miękkiego ciała po krawędzią. Pulsowało lekko. Powierzchnia wokół niej podnosiła się i opadała w prawie niewyczuwalnym rytmie. Słyszała cichy zgrzyt przy każdym ruchu.

Sziena kopnęła twardą skorupę.

– Naprzód, Szejtanie!

Czerw nie zareagował.

– Proszę, Szejtanie.

Odrade usłyszała w głosie Szieny rozpacz. Była tak pewna swego Szejtana! Matka Komendantka wiedziała jednak, że dziewczyna przejechała się na nim tylko raz, ten pierwszy raz. Znała całą tę historię, od myśli o śmierci do pognębienia kapłanów, ale nie wynikało z tego, co się teraz stanie.

Nagle czerw ruszył. Uniósł się raptownie, wygiął w lewo, ciasnym łukiem wypłynął ze skalnego wąwozu, a potem zaczął się oddalać od Dar-es-Balat wprost na otwartą pustynię.

– Jedziemy z Bogiem! – krzyknął Waff.

Dzikość tego okrzyku wstrząsnęła Odrade. Odczuła moc jego wiary. Nad ich głowami rozlegał się łopot ornitopterów. Chłoszczący Odrade wiatr pełen był ozonu i woni paleniska unoszącej się z piachu ścieranego przez pędzącego behemota.

Zerknęła przez ramię na ornitoptery, myśląc, jak łatwo byłoby wrogom rozprawić się teraz z kłopotliwą trójką. Kapłani mogli się zdecydować na coś takiego, wiedząc, że ochrona nie zdąży.

Czy powstrzymają ich strach i ciekawość? Sama była ogromnie ciekawa.

„Dokąd ten stwór nas wiezie?”

Na pewno nie kierował się w stronę Kin. Spojrzała w dal nad głową Szieny. Wprost przed nimi rysowało się na horyzoncie to zdradzieckie nacięcie, miejsce, w którym Tyran runął ze swego baśniowego mostu.

Miejsce, przed którym przestrzegały ją Inne Wspomnienia.

Odrade doznała nagłego objawienia. Zrozumiała ostrzeżenie. Tyran sam wybrał miejsce swojej śmierci. Wielu ludzi zginęło tam z nim, ale jego śmierć była najważniejsza. Z rozmysłem ułożył trasę swej podróży. To nie Sziena skierowała tam czerwia. Sam wybrał tę drogę. Magnes nieskończonego snu Tyrana przyciągał go do miejsca, w którym ten sen się zaczął.



Był sobie raz człowiek pustyni, którego zapytano, co jest ważniejsze: literjon wody czy wielki zbiornik wodny. Człowiek pustyni pomyślał chwilę, a potem odpowiedział: „Literjon jest ważniejszy. Nie ma nikogo, kto mógłby posiadać wielki zbiornik wody. A literjon każdy może schować pod płaszczem i uciec z nim. I nikt się nie dowie”.

– *Anegdoty dawnej Diuny*, archiwa Bene Gesserit

Były to długie zajęcia. Duncan ćwiczył w sali treningowej kuli pozaprzestrzennej, zamknięty w ruchomej klatce. Zawział się, że będzie powtarzał tę serię ruchów, póki jego nowe ciało nie przyswoi sobie siedmiu

głównych reakcji na atak z ośmiu kierunków. Jego zielony kombinezon pociemniał od potu. Ta jedna lekcja trwała już dwudziesty dzień!

Teg znał tę starożytną wiedzę, którą Duncan właśnie przywracał do życia, chociaż pod innymi nazwami i w innej kolejności. Nim minął piąty dzień ćwiczeń, zwątpił w wyższość nowoczesnych metod. Teraz był przekonany, że Duncan stworzył coś zupełnie nowego, łącząc stare umiejętności z tym, czego się nauczył w twierdzy.

Baszar siedział przy konsoli kontrolnej jako obserwator i uczestnik zarazem. Konsola, która kierowała w tym ćwiczeniu groźnymi siłami pozorowanego wroga, wymagała od Tega myślowego dostrojenia się, ale oswoił się już z nią i prowadził atak swobodnie i pomysłowo.

Nadašana Lucylla zaglądała od czasu do czasu do sali. Obserwowała i wychodziła bez komentarza. Teg nie wiedział, co robił Duncan z imprinterką, ale miał wrażenie, że przebudzony ghola gra z kusicielką na zwłokę. Wiedział, że Lucylla nie pozwoli, by trwało to dłużej, ale nie mógł nic zrobić. Duncan nie był już *za młody* dla imprinterki. W tym młodzieńczym ciele krył się dojrzały mężczyzna z doświadczeniami, które pozwalały mu podejmować własne decyzje.

Spędzili tu, z jedną krótką przerwą, cały ranek. Teg był głodny, ale nie chciał przerywać zajęć. Umiejętności Duncana osiągnęły dziś nowy poziom i wciąż rosły. Usadowiony wygodnie w boksie sterowania Teg przełączył atak na manewr kompleksowy, uderzając jednocześnie z lewej, z prawej i z góry.

W zbrojowni Harkonnenów było mnóstwo egzotycznej broni i przyrządów szkoleniowych, które Teg znał tylko z książek. Duncan znał je wszystkie, i to tak dobrze, że baszar mu zazdrościł. Groty-gończaki zdolne przenikać tarcze osobiste były częścią systemu symulacyjnego, którym się właśnie posługiwali.

– Zwalniają automatycznie, żeby przejść przez tarczę – wyjaśniał Duncan swym starym i młodym zarazem głosem. – Tarcza oczywiście odbija zbyt szybki cios.

– Takie tarcze już prawie wyszły z mody – powiedział Teg. – W kilku społeczeństwach są traktowane jako rodzaj sportu, ale poza tym...

Duncan wykonał błyskawiczną ripostę, strącając trzy groty. Były na tyle uszkodzone, że wymagały naprawy. Wyszedł z klatki i unieruchomił system, nie wyłączając go, a potem podszedł do Tega. Oddychał głęboko, ale bez

wysiłku. Spojrzawszy gdzieś za baszara, uśmiechnął się i skłonił. Teg obrócił się, ale ujrzał tylko rąbek sukni opuszczającej ich Lucylli.

– To jest jak pojedynek – stwierdził Duncan. – Ona stara się przedostać przez moją gardę, a ja kontratakuję.

– Uważaj – powiedział Teg. – To pełnoprawna Matka Wielebna.

– Poznałem kilka z nich w swoim czasie, baszarze.

I znowu Teg się zmieszał. Uprowadzono go, że będzie musiał przywyknąć do odmienionego Duncana Idaho, nie przewidział jednak, ile wysiłku będzie go to kosztowało. Właśnie teraz wyraz oczu Duncana wprowadził go w zakłopotanie.

– Nasze role nieco się zmieniły, baszarze. – Idaho podniósł z podłogi ręcznik i otarł nim twarz.

– Nie jestem już pewny, czy mogę cię czegoś nauczyć – przyznał Teg. Miał jednak nadzieję, że Duncan poważnie potraktuje jego ostrzeżenie przed Lucyllą. Chyba sobie nie wyobrażał, że Matki Wielebne w dawnych czasach były takie same jak dziś? Zgromadzenie zmieniało się, jak każdy żywy organizm.

Dla Tega było oczywiste, że Duncan ustalił już swoje miejsce w machinacjach Tarazy. To nie była z jego strony gra na czas. Przygotowywał ciało do wybranego szczytu formy i dokonał osądu Bene Gesserit.

„Zrobił to na podstawie niepełnych danych”.

Duncan rzucił ręcznik i patrzył na niego chwilę.

– Pozwól, baszarze, że sam osądzę, czego mnie możesz nauczyć. – Obrócił się i spojrzał z ukosa na siedzącego w boksie Tega.

Teg wciągnął głęboko powietrze. Czuł lekki zapach ozonu ulatniającego się z harkonneńskich przyrządów, które tykały w oczekiwaniu, aż Duncan wróci do ćwiczeń. Nad wszystkim dominowała cierpka woń potu gholi.

Duncan kichnął.

Teg pociągnął nosem, rozpoznając wszechobecny kurz wzbijany podczas ćwiczeń. Czasem łatwiej go było wyczuć językiem, niż wywąchać. Alkaliczny smak. Ponad tym wszystkim unosił się zapach odświeżaczy powietrza oraz regeneratorów tlenu. I wyraźny zapach jakiegoś kwiatu, ale Teg nie potrafił go zidentyfikować. W ciągu miesiąca ich pobytu kula przesiąkła także woniami ludzi, z wolna przedostającymi się do pierwotnej kompozycji. Pot, zapachy kuchenne, kwaśny odór przetwarzanych odpadów. Dla Tega te oznaki ich obecności były dziwnie przykre. Łapał się na tym, że

węszy i nasłuchuje obcych dźwięków – czegoś więcej niż echa ich kroków czy stłumionego metalicznego szczęku z kuchni.

Głos Duncana przerwał to zamyślenie.

– Jesteś dziwnym człowiekiem, baszarze.

– Co masz na myśli?

– Na przykład twoje podobieństwo do księcia Leto. Ta sama twarz... to niesamowite. Był nieco niższy, ale to podobieństwo...

Pokręcił głową, myśląc o planach Bene Gesserit skrytych za genetycznymi znamionami na twarzy Tega – ten jastrzębi wygląd, te zmarszczki, to coś wewnątrz, to poczucie moralnej wyższości.

„Na ile moralnej i o ile wyższej?” – zastanawiał się.

Zgodnie z zapisami, które oglądał w twierdzy (był pewien, że zostawiono je właśnie po to, by je odnalazł), reputacja Tega stanowiła pewnik dla całej ludzkiej społeczności tej epoki. Podczas bitwy o Markon wystarczyło, by wrogowie dowiedzieli się, że naprzeciw stoi Teg. Poprosili o rozejm. Czy to mogła być prawda?

Duncan spojrzał na siedzącego w boksie baszara i zadał mu to pytanie.

– Reputacja może być cudowną bronią – odrzekł Teg. – Często przelewa mniej krwi.

– A dlaczego stanąłeś na czele swoich oddziałów na Arbeli?

– Gdzie się o tym dowiedziałeś? – zdziwił się Teg.

– W twierdzy. Mogłeś zginąć. Jaki byłby z tego pożytek?

Teg uświadomił sobie, że w tym młodym ciełe tkwi jakaś nieznana wiedza, która musi kierować poszukiwaniami Duncana. Podejrzewał, że właśnie ta nieznana wiedza stanowi o jego wartości dla zgromadzenia.

– Na Arbeli ponieśliśmy w ciągu dwóch dni ciężkie straty. Niestety, źle oceniłem strach i fanatyzm nieprzyjaciela.

– Ale ryzyko...

– Moja obecność na froncie mówiła ludziom: „Ponoszę to samo ryzyko”.

– Archiwa twierdzy odnotowały, że Arbela była opanowana przez maskaradników. Patrin powiedział mi, że sprzeciwiłeś się swojemu sztabowi, który doradzał spustoszenie planety, wyjałowienie i...

– Ciebie tam nie było.

– Ale staram się być. Więc oszczędziłeś nieprzyjaciół wbrew wszelkim radom?

– Z wyjątkiem maskaradników.



– A potem wszedłeś nieuzbrojony w szeregi nieprzyjaciół, zanim złożyli broń.

– Żeby ich upewnić, że nie złamiemy warunków.

– To było bardzo niebezpieczne.

– Czyżby? Wielu z nich przeszło później na naszą stronę przed ostatnim atakiem na Kroinin, kiedy zostali rozbici wrogowie zgromadzenia.

Duncan przyjrzał się Tegowi. Ten stary baszar nie tylko z wyglądu przypominał księcia Leto. Miał w sobie tę samą atrydką charyzmę. Legendarna postać, nawet wśród dawnych wrogów. Teg mówił, że pochodzi od Ganimy z Atrydów, ale to nie mogło być wszystko. Genetyczne mistrzostwo Bene Gesserit zadziwiało.

– A teraz wracajmy do ćwiczeń – powiedział Idaho.

– Nie przetrenuj się.

– Zapominasz, baszarze. Ja pamiętam takie swoje ciało na Giedi Prime.

– Gammu!

– Planetę przemianowano, ale moje ciało pamięta jej prawdziwą nazwę. To dlatego mnie tu przysłały. Znam ją.

„To oczywiste, że ją zna” – pomyślał Teg.

Wrócili do starożytnego wyposażenia Harkonnenów w tej wiekowej sali treningowej – długim pomieszczeniu o ścianach i podłodze wyłożonych drewnem. Wszędzie unosiły się lumisfery. Cieni w zasadzie nie było, jeśli nie liczyć mrocznych sterowanych narzędzi zagłady.

Odświeżony krótkim odpoczynkiem Teg wprowadził nowy element do ataku i wysłał płomienną smugę w lewy bok Duncana.

Jak łatwo sparował ten atak!

Posługiwał się dziwnie pomieszaną odmianą Pięciu Postaw. Każda riposta wydawała się przygotowana, zanim była potrzebna.

– Każdy atak to piórko lecące po nieskończonej drodze – powiedział Duncan. W jego głosie nie było śladu zmęczenia. – Kiedy piórko się zbliża, trzeba je po prostu zdmuchnąć.

Mówiąc to, sparował następny cios i wyprowadził kontratak.

Mentacka logika Tega śledziła jego posunięcia, zwłaszcza gdy docierał do niebezpiecznych miejsc. „Zależności i kluczowe klody!”

Duncan przeszedł do kontrataku. Wyprzedzał atak, zamiast tylko reagować. Teg był zmuszony dać z siebie wszystko. Fantomy błyskały i migotały nad podłogą. Giętka postać Duncana w ruchomej klatce tańczyła między nimi. Żaden grot-gończak Tega ani żadna płomienna smuga nie

dotknęły poruszającej się figury. Duncan był nad nimi i pod nimi, zdając się lekceważyć ból, który mogli mu zadać te urządzenia.

I znowu zwiększył tempo ataku. Paroksyzm bólu przeszył lewą rękę Tega od dłoni na klawiaturze do ramienia.

Duncan krzyknął i wyłączył urządzenie.

– Wybacz, baszarze. Broniłeś się znakomicie, ale obawiam się, że wiek cię pokonał.

Przeszedł salę i stanął nad Tegiem.

– Ta odrobina bólu przypomni mi o tym, który zadałem tobie. – Teg potarł ramię.

– Zawiniła gorączka chwili – rzekł Duncan. – Wystarczy na razie.

– Niezupełnie – odpowiedział Teg. – Nie wystarczy wyrobić sobie mięśnie.

Przy tych słowach niepokój przeniknął Duncana. Wyczuł chaotyczny dotyk tego czegoś dotąd nierozbudzonego. Coś przykucnęło w jego wnętrzu. Przypominało ściśniętą i gotową do wystrzelenia sprężynę.

– Co jeszcze chcesz zrobić? – spytał ochryple.

– Gra toczy się o twoje przeżycie. Wszystko to robimy, byś ocalał i dostał się na Rakis.

– Dla celów Bene Gesserit, których podobno nie znasz!

– Nie znam ich, Duncan.

– Jesteś mentatem.

– Mentaci potrzebują danych.

– Sądzisz, że Lucylla wie?

– Nie jestem pewien, ale kolejny raz muszę cię przed nią ostrzec. Ma rozkaz dostarczyć cię na Rakis *przygotowanego* do tego, co musisz tam zrobić.

– Muszę? – Duncan pokręcił głową. – Czy nie mam prawa do własnych decyzji? Myślisz, że obudziłeś tu przekłętą maskaradnika zdolnego tylko wykonywać rozkazy?

– Chcesz powiedzieć, że nie polecisz na Rakis?

– Chcę powiedzieć, że sam zdecyduję, kiedy dowiem się, co mam robić. Nie jestem wynajętym asasysem.

– Uważasz, że ja nim jestem?

– Uważam, że jesteś człowiekiem honoru, kimś, kogo należy podziwiać. Pozwól mi mieć własne standardy obowiązku i honoru.

– Dano ci szansę żyć raz jeszcze i...

– Ale nie jesteś moim ojcem, a Lucylla nie jest moją matką. To imprinterka. Na co ma mnie *przygotować*?

– Być może ona też nie wie. Tak jak ja, może być tylko częścią planu. To bardzo możliwe, kiedy się wie, jak działa zgromadzenie.

– Zatem wy dwoje tylko szkolicie mnie i dostarczacie na Arrakis. Oto zamówiona przesyłka!

– Ten wszechświat jest całkiem inny od tego, w którym się urodziłeś. Mamy wciąż, jak wtedy, Wielką Konwencję przeciw broni atomowej i pseudoatomowym interakcjom lasera i tarczy. Wciąż powtarzamy, że ataki bez zapowiedzi są zakazane. Podpisujemy się na kawałkach papieru i...

– Ale statki pozaprzestrzenne zmieniły podstawy tych traktatów – przerwał mu Duncan. – Chyba dobrze się nauczyłem historii w twierdzy. Powiedz mi, baszarze, dlaczego syn Paula kazał Tleilaxanom dostarczać setkami moje ghole przez całe tysiąclecia?

– Syn Paula?

– Zapisy w twierdzy nazywają go Bogiem Imperatorem. Wy mówicie o nim Tyran.

– Chyba nie wiemy, dlaczego to robił. Być może tęsknił za kimś z...

– Przywróciliście mnie, żebym stanął twarzą w twarz z czerwem!

„Czy to właśnie robimy?” Teg nieraz rozważał tę możliwość. Nawet jeśli tak było, w planie Tarazy musiało być coś więcej. Podpowiadało mu to mentackie doświadczenie. Czy Lucylla wie? Nie łudził się, że Matka Wielebna mu to zdradzi. Nie, musi grać na zwłokę, patrzeć i słuchać. Duncan oczywiście podjął podobną decyzję. Niebezpieczny kurs, jeśli udaremni zamiary Lucylli!

Pokręcił głową.

– Naprawdę nie wiem.

– Ale wykonujesz rozkazy.

– Złożyłem przysięgę zgromadzeniu.

– Kłamstwa, oszustwa... to puste słowa, gdy idzie o przetrwanie zgromadzenia – zacytował go Duncan.

– Owszem, powiedziałem to – przyznał Teg.

– Ufam ci właśnie dlatego, że to powiedziałeś – rzekł Duncan. – Ale nie ufam Lucylli.

Teg opuścił brodę na pierś. „Niebezpieczny... niebezpieczny...”

O wiele wolniej, niż robił to kiedyś, odwrócił uwagę od tych myśli i przeszedł przez proces mentalnego oczyszczenia, skupiając się na

zadaniach wyznaczonych mu przez Tarazę.

„Jesteś *moim* baszarem”.

Duncan przyglądał mu się chwilę. Na twarzy starego człowieka rysowało się zmęczenie. Przypomniawszy sobie o wieku Tega i zastanowił, czy takich jak on nie kusiło zwrócenie się do Tleilaxan i zostanie gholą. Chyba nie. Wiedzieli, że mogą się stać marionetkami w rękach Bene Tleilax.

Ta myśl opanowała świadomość Duncana, unieruchamiając go tak wyraźnie, że Teg to zauważył.

– Coś nie w porządku?

– Tleilaxanie zrobili ze mną coś, co jeszcze nie wyszło na jaw – wykrztusił.

– Właśnie tego się bałyśmy! – To była Lucylla, w drzwiach za Tegiem. Podeszła na dwa kroki do Duncana. – Sporo można się od was dowiedzieć.

– Opanował dziś siedem postaw – rzekł Teg, licząc, że ułagodzi jej gniew.

– Uderza jak ogień – przyznała – ale my, członkinie zgromadzenia, płyniemy jak woda i zapełniamy każde miejsce. – Spojrzała na Tega. – Czy nie widzisz, że nasz gholą wyszedł poza wyuczone postawy?

– Nie ma stałej pozycji, nie ma postawy – powiedział Duncan.

Teg popatrzył na niego. Duncan stał z uniesioną głową, gładkim czołem i jasnym wzrokiem. Dorósł zadziwiająco w ciągu krótkiego czasu, który upłynął od odzyskania przez niego pierwotnych wspomnień.

– Niech cię diabli, Miles! – mruknęła Lucylla.

Ale Teg nie odrywał wzroku od Duncana. Ciało młodego człowieka zdawało się promieniować energią. Było w nim coś, czego nie było wcześniej.

Duncan spojrzał na Lucyllę.

– Myślisz, że nie wykonasz zadania?

– Ależ nie – odparła. – Jesteś przecież mężczyzną. – „Tak, to młode ciało musi być pełne gorących soków prokreacji – pomyślała. – Wszystkie hormonalne zapalniki są nietknięte, tylko je pobudzić”. Jego postawa jednak i sposób, w jaki na nią patrzył, zmusiły ją do przeniesienia świadomości na wyższy, bardziej energochłonny poziom. – Co ci zrobili Tleilaxanie? – spytała.

Odparł z nonszalancją, której nie czuł.

– Powiedziałbym ci, gdybym wiedział, Wielka Imprinterko.

– Myślisz, że gramy w jakąś grę?

– Nie wiem, w *co* właściwie gramy!

– Wiele ludzi już teraz wie, że nie jesteśmy na Rakis, na którą podobno mieliśmy uciec – powiedziała.

– A na Gammu roi się od ludzi, którzy wrócili z Rozproszenia – dodał Teg. – Jest ich dość, żeby sprawdzić tu różne możliwości.

– Kto by podejrzewał istnienie zapomnianej kuli pozaprzestrzennej z czasów Harkonnenów? – spytał Duncan.

– Każdy, kto skojarzy sobie Rakis i Dar-es-Balat – odparł Teg.

– Jeśli myślisz, że to gra, zważ na to, jak jest ryzykowna. – Lucylla obróciła się na pięcie i skupiła na Tegu. – A ty złamałeś rozkaz Tarazy!

– Mylisz się! Zrobiłem dokładnie to, co mi kazała zrobić. Jestem jej baszarem, a ty zapominasz, jak dobrze ona mnie zna.

Lucylla pojęła nagle subtelność posunięć Tarazy i zamilkła, wstrząśnięta.

„Jesteśmy tylko pionkami!”

Z jakąż subtelnością Taraza manipulowała zawsze swymi pionkami. Lucylla nie czuła się upokorzona świadomością, że jest jednym z nich. Tę wiedzę wpajano każdej Matce Wielebnej. Nawet Teg to wiedział. Nie czuła się więc upokorzona. Wszystko narosło w jej świadomości. Słowa Tega przeraziły ją. Jak powierzchowna była dotąd jej ocena sił, z którymi mieli do czynienia. Zupełnie jakby widziała jedynie powierzchnię burzliwej rzeki i na tej podstawie wnioskujeła o jej ukrytych prądach. Teraz jednakże czuła je wszędzie i nappełniało ją to grozą.

„Pionki można poświęcić”.



Przez swoją wiarę w singularności, w rozdrobnione absoluty, zaprzeczacie istnieniu ruchu, nawet w ewolucji! Pozwalając rozdrobnionemu wszechświatowi trwać w waszej świadomości, stajecie się ślepi na ruch. Gdy coś się zmienia, wasz absolutny wszechświat znika, niedostępny waszemu ograniczonemu pojmowaniu. Wszechświat przesunął się poza was.

– pierwszy szkic *Manifestu Atrydów*, archiwa Bene Gesserit

Taraza umieściła dłonie przed uszami i przycisnęła skronie. Nawet jej palce wyczuwały tam, między dłońmi, zmęczenie. Zamrugła kilka razy i wpadła w trans relaksacyjny. Przyłożone do głowy dłonie były teraz jedynymi punktami skupienia świadomości ciała.

„Sto uderzeń serca”.

Była to jedna z pierwszych umiejętności Bene Gesserit, jaką praktykowała regularnie od dziecka. Dokładnie sto uderzeń serca. Po tylu latach praktyki ciało odliczało je automatycznie niczym pozbawiony świadomości metronom.

Kiedy po odliczeniu stu otworzyła oczy, czuła się lepiej. Miała nadzieję, że zdoła popracować jeszcze ze dwie godziny, zanim ponownie ogarnie ją zmęczenie. Te sto uderzeń serca dało jej przez całe życie parę dodatkowych lat czuwania.

Tej nocy jednak owa stara sztuczka sprawiła, że jej pamięć pomknęła po spirali wstecz. Dała się złapać we własne dzieciństwo. Dormitorium z siostrą stróżką przechodzącą w nocy przez sale i sprawdzającą, czy wszystkie śpią jak należy.

„Siostra Baram, nocna stróżka”.

Taraza nie wspominała tego imienia od lat. Niska i tęga siostra Baram była niedoszlą Matką Wielebną. Na pozór nie było przeszkód, ale siostry medycy i lekarze Akademii Suk coś znaleźli. Nie pozwolono jej dostąpić agonii przyprawowej. Baram pogodziła się z tym, wiedząc o swoim defekcie. Wykryto go, gdy miała kilkanaście lat – cykliczne nerwowe drgawki przy zasypianiu. Był to symptom czegoś poważniejszego, poddano ją więc zabiegowi, po którym stała się bezpłodna. Owe nerwowe drgawki nie pozwalały jej spać. Nocny obchód sypialni był logicznym przydziałem.

Baram miała też inne słabości, których nie wykryły jej zwierzchniczki. Każda z dziewcząt idących w nocy do łazienki mogła ją wciągnąć w cichą pogawędkę. Na naiwne pytania padały zwykle naiwne odpowiedzi, ale czasami Baram dzieliła się użyteczną wiedzą. To ona nauczyła Tarazę tej relaksacyjnej sztuczki.

Pewnego ranka jedna ze starszych dziewcząt znalazła Baram martwą w łazience. Drgawki były oznaką śmiertelnej choroby nocnej stróżki i fakt ten miał największe znaczenie dla genetyczek oraz ich niekończących się kartotek.

Bene Gesserit zazwyczaj nie włączały „śmierci jednostkowej” do programu nauczania na tak wczesnym etapie. Siostra Baram była zatem pierwszą zmarłą, jaką widziała Taraza. Jej ciało znaleziono pod umywalką. Policzek miała przyciśnięty do posadzki, a lewa dłoń ścisnęła syfon. Starła się unieść osuwające się ciało, a śmierć utrwaliła ten wysiłek niczym owada w bursztynie.

Kiedy ją odwróciły, chcąc wynieść, Taraza ujrzała czerwony znak na policzku przyciśniętym do posadzki. Dzienna stróżka wyjaśniła naukowo jego pochodzenie. Każde takie zdarzenie mogło się stać materiałem szkoleniowym przyszłych Matek Wielebnych, włączonym później do „rozmów ze śmiercią” nowicjuszek.

„Stężenie pośmiertne”.

Siedząc za swoim stołem w kapitułarzu, Taraza musiała zebrać całą siłę woli, żeby oderwać się od tych odległych wspomnień i skupić na czekającej ją pracy. Tyle doświadczeń, tyle wspomnień, tyle ludzkich istnień we wspomnieniach. Pomagały jej czuć, że żyje, i patrzeć na leżącą przed nią pracę. Pracę do wykonania. Była potrzebna. Ochoczo pochyliła się nad blatem.

Do diabła ze szkoleniem gholi na Gammu!

Ten ghola potrzebował jednak szkolenia. Poznanie pyłu pod stopami poprzedzało odtworzenie jego pierwotnej osobowości.

I jeszcze Rakis!

Podjętych tam przez Odrade decyzji nie można było zmienić, choć strasznie wszystko komplikowały.

I Miles Teg. Czy istotnie znalazł kryjówkę?

Jeszcze raz pomyślała, czy nie pora na grę przewidywań. To niebezpieczne. A Tleilaxanie zostali uprzedzeni, że ich zapasowy ghola może być potrzebny.

„Przygotujcie go do przekazania”.

Mądrze zrobiła, wysyłając Burzmałego na Gammu. Jeżeli Miles naprawdę znalazł kryjówkę... jeżeli ma z niej teraz wyjść, będzie potrzebował wszelkiego możliwego wsparcia.

Jej umysł powędrował z powrotem na Rakis. Ten głupiec Tuek wymagał dokładniejszej kontroli. Jak długo maskaradnik może go spokojnie udawać? Trudno jednak winić Odrade za podjętą na miejscu decyzję. Postawiła Tleilaxan w bardzo niezręcznym położeniu. Wykrycie samozwańca ściągnie na Bene Tleilax powszechną nienawiść.

Wewnątrz zamysłu zgromadzenia pojawiły się niuanse. Od pokoleń nęcono rakańskich kapłanów obietnicą sojuszu z Bene Gesserit. Teraz jednak! Tleilaxanie muszą uważać, że to *oni* zostali wybrani zamiast tamtych. Trójstronny sojusz Odrade: pozwolić kapłanom myśleć, że każda Matka Wielebna złoży hołd Podzielonemu Bogu. Rada kapłanów straci oddech wobec takiej perspektywy. Tleilaxanie dostrzegli oczywiście szansę

na monopol melanzowy, kontrolując w końcu jedyne niezależne od nich źródło.

Stukanie do drzwi zapowiedziało nowicjuszkę z herbatą. Było to w zwyczaju, kiedy Matka Przełożona pracowała do późna. Taraza spojrzała na zegar na stoliku. Ixański mechanizm miał prawo się spóźniać sekundę na stulecie. Była 1:23:11.

Kazała dziewczynie wejść. Nowicjuszka o lnianych włosach i chłodnych, uważnych oczach pochyliła się, by ustawić zawartość tacy na stole. Taraza spojrzała na czekającą ją robotę. Tyle tego! Praca była ważniejsza niż sen. Bolała ją jednak głowa i czuła lekkie oszołomienie, mówiące, że herbata niewiele pomoże. Doprowadziła się do umysłowego wyczerpania i musiała to naprawić, zanim będzie mogła choćby wstać. Czuła mrowienie w ramionach i na grzbiecie.

Nowicjuszka już miała wyjść, gdy Taraza zatrzymała ją gestem.

– Rozmasuj mi, proszę, kark, siostró.

Wprawne dłonie powoli rozcierały ścierpnięte plecy Tarazy. „Dobra dziewczyna” – pomyślała i uśmiechnęła się. To oczywiste, że była dobra. Gorszej nie przydzielono by do Matki Przełożonej.

Po wyjściu dziewczyny Taraza nadal siedziała nieruchomo. „Tak mało czasu!” Żałowała każdej minuty snu. Nie mogła go już wszakże dłużej unikać. Ciało miało w końcu swoje potrzeby. Doprowadziła się do takiego stanu, że niełatwo będzie odzyskać siły. Zostawiając herbatę na stole, wstała i poszła przez hall do swojej małej sypialni. Kazała nocnej straży obudzić się o jedenastej i całkowicie ubrana legła na twardym pościu.

Spokojnie wyrównała oddech, odgrodziła zmysły i weszła w fazę przejściową.

Sen nie przyszedł.

Powtórzyła wszystko od nowa, ale sen nadal nie nadchodził.

Leżała tak dłuższą chwilę, aż uświadomiła sobie w końcu daremność usypiania się znanymi jej technikami. Najpierw winien się pojawić kojący efekt fazy przejściowej. Tymczasem jej umysł nie przestawał pracować.

Rakański kapłanat nigdy nie stanowił poważnego problemu. Pochłonięci religią mogli być za pośrednictwem religii manipulowani. Niech nadal uważają Bene Gesserit za siłę zdolną szerzyć ich dogmaty. Ta przynęta ich oślepi.

Niech diabli porwą Milesa Tega! Trzy miesiące milczenia i żadnych dobrych wieści od Burzmalego. Na wypalanej ziemi zostały ślady startu



statku pozaprzestrzennego. Dokąd mógł odlecieć Teg? Gholą mógł zginać, ale Teg nigdy dotąd nie zrobił czegoś takiego. Zawsze Niezawodny. Dlatego go wybrała. A także dla talentów wojskowych i podobieństwa do starego księcia Leto. Wszystko to było dziełem Bene Gesserit.

Teg i Lucylla. Ekipa doskonała.

Jeżeli gholą żyje, może stracili z nim kontakt. Czy mają go Tleilaxanie? Napastnicy z Rozproszenia? Było wiele możliwości. Zawsze Niezawodny. Milczy. Czy milczenie to jakiś znak? A jeśli tak, co usiłuje powiedzieć?

Śmierć Schwangyu i Patrina pachniała spiskiem na Gammu. Czy Teg mógł być od lat wtyczką wrogów zgromadzenia? Niemożliwe! Jego rodzina była dowodem przeciw temu. Córka baszara w jego domu rodzinnym wiedziała tyle co wszyscy.

Już trzy miesiące i ani słowa.

Ostrożność. Przestrzegają Tega, by chroniąc gholę, zachować najwyższą ostrożność. Teg widział wielkie niebezpieczeństwo na Gammu. Ostatnie raporty Schwangyu wyraźnie to potwierdzały.

Dokąd Teg i Lucylla mogli zabrać gholę?

Gdzie zdobyli statek pozaprzestrzenny? Spisek?

Myśli Tarazy kłębiły się wokół jej najgłębszych podejrzeń. Czy to dzieło Odrade? Kto z nią spiskował? Lucylla? Odrade i Lucylla nigdy się przecież nie widziały przed tym krótkim spotkaniem na Gammu. A może jednak? Kto nachylał się nad Odrade tak, że powietrze było ciężkie od szeptów? Odrade niczego nie dawała po sobie poznać, ale czy to dowód? Nikt nigdy nie wątpił w lojalność Lucylli. Doskonale wykonywała swe zadania, lecz tak właśnie zachowywałyby się konspiratorki.

Fakty! Taraza odczuwała głód faktów. Łóżko skrzypiało pod nią, a jej izolacja od świata prysła, tak za sprawą trosk, jak odgłosów jej ruchów. Zrezygnowana, raz jeszcze przygotowała się do relaksacji. Relaks, a *potem* sen.

Jednostki z Rozproszenia przemykały przez jej umęczoną wyobraźnię. Utraceni powracali na niezliczonych statkach pozaprzestrzennych. Czy to wśród nich Teg znalazł swój? Ta ewentualność została możliwie dyskretnie zbadana na Gammu i wszędzie indziej. Próbowano liczyć wyimaginowane statki, ale nie chciały nadlatywać po kolei, by pomóc jej zasnąć. Rozbudziła się, leżąc bez ruchu.

Jakaś myśl wyrывała się na powierzchnię. Zmęczenie blokowało dotąd ścieżkę przepływu informacji, ale teraz... Taraza była całkiem rozbudzona.

Tleilaxanie układali się z powracającymi z Rozproszenia. Z tymi sprzedajnymi Dostojnymi Matronami i z synami Bene Tleilax. Matka Przełożona wyczuwała za wydarzeniami jakiś plan. Utraceni nie wracali z ciekawości. Instynkt stadny wzywający do ponownego połączenia ludzkości nie wystarczał, by ich tu ściągnąć. Dostojne Matrony jawnie marzyły o podboju.

A może Tleilaxanie biorący udział w Rozproszeniu nie zabrali ze sobą tajemnicy kadzi aksolotlowych. Co wtedy? Melanż? Pomarańczowe oczy tych dziwek mówiły o jakimś nieodpowiednim substytucie. Możliwe, że Rozproszeni nie odkryli sekretu tleilaxańskich zbiorników. Mogli o nich wiedzieć i próbować je odtworzyć, ale jeśli im się nie udało – co z melanżem?

Zaczęła rozpatrywać tę projekcję.

Utraceni wyczerpali zapas prawdziwego melanżu, jaki ich przodkowie zabrali w Rozproszenie. Jakie źródła były im dostępne? Czerwie na Rakis i Bene Tleilax. Te dziwki boją się ujawnić prawdziwy obiekt swego zainteresowania. Ich przodkowie wierzyli, że czerwci nie da się przeszczepić. Czy to możliwe, że Utraceni znaleźli planetę odpowiednią dla czerwci? Oczywiście było to możliwe. Mogli zacząć układy z Tleilaxanami dla zmylenia, tymczasem ich prawdziwym celem jest Rakis. Chyba że jest wprost przeciwnie.

„Przenośne bogactwo”.

Widziała raporty Tega o bogactwie nagromadzonym na Gammu. Niektórzy powracający mieli pieniądze i inne dobra wymienne. Wynikało to jasno z aktywności banków. Ale jaka waluta może być cenniejsza od przyprawy?

Bogactwo. O to chodziło. Niezależnie od waluty, targi już się zaczęły.

Usłyszała głosy pod drzwiami. Nowicjuszka strzegąca jej snu spierała się z kimś. Głosy były ciche, ale Taraza usłyszała coś, co ją ożywiło.

– Poleciała się obudzić dopiero przed południem.

– Kazała się zawiadomić o moim powrocie!

– Mówię ci, że jest zmęczona. Trzeba jej...

– Trzeba jej słuchać! Powiedz jej, że wróciłem.

„Czyj powrót kazałam... Burzmali!”

– Nie śpię! – zawołała.

Drzwi otworzyły się i zajrzała strażniczka.

– Matko Przełożona, Burzmali wrócił z Gammu.

– Wprowadź go! – Taraza włączyła jedyną lumisferę u wezglowia łóżka. Jej żółte światło rozproszyło mrok.

Burzmali wszedł i zamknął za sobą drzwi. Dotknął włącznika izolacji dźwiękowej i dochodzące z zewnątrz odgłosy ucichły.

„Prywatność?” Nowiny były zatem złe.

Spojrzała na Burzmalego, niskiego, szczupłego, o trójkątnej twarzy z ostrym podbródkiem. Jasne włosy spadały na wysokie czoło. Szeroko rozstawione zielone oczy były uważne i czujne. Wyglądał o wiele za młodo na baszara, ale wtedy, na Arbeli, Teg wyglądał jeszcze młodziej. „Starzejemy się, niech to diabli”. Zmusiła się do zachowania spokoju, bo tego człowieka wyszkolił Teg i darzył go całkowitym zaufaniem.

– Przekazuj te złe nowiny – powiedziała.

Burzmali chrząknął.

– Nadal nie ma śladu baszara i jego grupy na Gammu, Matko Przełożona.

– Miał mocny, męski głos.

„I to jeszcze nie jest najgorsze” – pomyślała Taraza. Burzmali był wyraźnie zdenerwowany.

– Mów wszystko – poleciła. – Oczywiście zakończyłeś badanie ruin twierdzy.

– Nikt nie przeżył. Napastnicy byli dokładni.

– Tleilaxanie?

– Możliwe.

– Masz wątpliwości?

– Posłużyli się nowym ixańskim materiałem wybuchowym, 12-Uri. Myślę jednak, że mogli go użyć, by wprowadzić nas w błąd. Ponadto w czasie Schwangyu były odwierty po pobranych próbkach.

– Co z Patrinem?

– Dokładnie tak jak meldowała Schwangyu. Wysadził się w powietrze ze statkiem-przynętą. Zidentyfikowano go po szczątkach dwóch palców i jednym nienaruszonym oku. Nie było tego dość, by użyć sondy.

– Masz jednak wątpliwości! Mów!

– Schwangyu zostawiła wiadomość, którą tylko my mogliśmy odczytać.

– Zadrapania na meblach?

– Tak, Matko Przełożona, i...

– Wiedziała więc o ataku i miała czas, by zostawić wiadomość. Czytałam twój raport o zniszczeniach.

– Atak był szybki i miażdżący. Napastnicy nie starali się brać jeńców.

– Co napisała?

– „Dziwki”.

Taraza była wstrząśnięta, choć oczekiwała tego słowa. Wysiłek włożony w zachowanie spokoju niemal pozbawił ją energii. Było bardzo źle. Pozwoliła sobie na głębokie westchnienie. Schwangyu do końca była w opozycji. Potem jednak, dostrzegając katastrofę, podjęła prawidłową decyzję. Wiedząc, że zginie, nim zdoła przekazać swoje Inne Wspomnienia innej Matce Wielebnej, działała z najgłębiej wpojoną lojalnością. Jeśli nie możesz zrobić nic więcej, wesprzyj swoje siostry i spraw zawód wrogowi.

„A więc Dostojne Matrony zaczęły działać!”

– Opowiedz o poszukiwaniach gholi – poleciła.

– Nie my pierwsi go szukaliśmy, Matko Przełożona. Były tam spalone drzewa i poszycie oraz ślady ognia na skałach.

– Ale nie było statku pozaprzestrzennego.

– *Ślady* statku pozaprzestrzennego.

Taraza pokiwała głową. Niema wiadomość od Zawsze Niezawodnego?

– Jak dokładnie przeszukałeś ten obszar?

– Wykonałem rutynowy przelot nad nim z jednego końca w drugi.

Taraza wskazała Burzmalemu krzesło w nogach łóżka.

– Usiądź i odpręż się. Chcę, żebyś się ze mną pobawił w domysły.

Burzmali siadł ostrożnie.

– W domysły?

– Byłeś jego ulubionym uczniem. Chcę, żebyś wyobraził sobie, że jesteś Milesem Tegiem. Wiesz, że musisz się wydostać z twierdzy. Nie ufasz do końca nikomu, nawet Lucylli. Co zrobisz?

– Coś nieoczekiwanego oczywiście.

– Oczywiście.

Burzmali potarł wąski podbródek.

– Ufam Patrinowi. Całkowicie.

– W porządku, ty i Patrin. Co robicie?

– Patrin pochodzi z Gammu.

– Sama już o tym myślałam.

Burzmali wpatrywał się w posadzkę.

– Pat i ja przygotowalibyśmy plan awaryjny. Zawsze przygotowuję alternatywne rozwiązanie.

– Bardzo dobrze. A teraz plan. Co robisz?

– Dlaczego Patrin się zabił?

- Jesteś pewny, że to zrobił.
- Widziałas raporty. Schwangyu i inni byli pewni. Ja też jestem. Patrin był na tyle lojalny, by zrobić to dla baszara.
- Dla ciebie! Ty teraz jesteś Milesem Tegiem. Jaki plan ułożyliście z Patrinem?
- Nie wysłałbym rozmyślnie Patriny na pewną śmierć.
- Chyba że?
- Patrin zrobił to na własną rękę. Mogłoby tak być, gdyby plan powstał w jego głowie, a nie w mojej. Mógł to zrobić, żeby mnie ochronić, żeby się upewnić, że nikt nie wykryje planu.
- Jak Patrin mógł wezwać statek pozaprzestrzenny bez naszej wiedzy?
- Patrin pochodzi z Gammu. Jego rodzina żyje tam od czasów Giedi Prime.

Taraza przymknęła oczy i odwróciła się od Burzmalego. Podążał tą samą ścieżką, którą przeszła i ona. „Znamy pochodzenie Patriny”. Jakie znaczenie mają jego związki z Gammu? Umysł odmawiał jej posłuszeństwa. Oto skutki nadmiernego zmęczenia. Znowu spojrzała na Burzmalego.

– Czy Patrin znalazł sposób nawiązania kontaktu z rodziną i dawnymi przyjaciółmi?

- Sprawdziliśmy każdy kontakt, który zdołaliśmy odnaleźć.
- Możesz być pewny, że nie odnaleźliście wszystkich.

Baszar wzruszył ramionami.

- Jasne, że tak. Wcale tego nie zakładałem.

Taraza zaczerpnęła tchu.

– Wracaj na Gammu. Weź ze sobą wszystkich, których mogą odstąpić nasze siły bezpieczeństwa. Powiedz Bellondzie, że to mój rozkaz. Musisz mieć agentów wszędzie. Sprawdź, kogo znał Patrin. Czy żyje ktoś z jego rodziny. Z przyjaciół. Przyciśnij ich.

- Będzie zamieszanie, mimo całej ostrożności. Inni się dowiedzą.

- Nic na to nie poradzimy. I jeszcze, Burzmali!

Już był na nogach.

- Tak, Matko Przełożona?

- Ci inni. Musisz ich wyprzedzić.

- Mogę wykorzystać nawigatora Gildii?

- Nie.

- Więc jak...

- Burzmali, a jeśli Miles, Lucylla i nasz ghola są jeszcze na Gammu?

– Już ci mówiłem, że nie sędzę, by odlecieli na tym statku.

Długą chwilę Taraza przyglądała mu się w milczeniu. Wychowanek Tega. Ulubiony uczeń starego baszara. Co mu podpowiada wyszkolony instynkt?

– Tak? – ponagliła go półgłosem.

– Gammu była Giedi Prime, siedzibą Harkonnenów.

– Co ci to mówi?

– Byli bogaci, Matko Przełożona, bardzo bogaci.

– I co?

– Wystarczająco bogaci, żeby zainstalować sobie w tajemnicy schron pozaprzestrzenny... nawet wielką komorę.

– Nie ma o tym żadnych zapisów! Ix nigdy nawet nie wspomniał o czymś takim. Nie prowadzili prób na Gammu.

– Łapówki, zakupy przez osoby trzecie, przeładunki. Czasy Głodu pogrążyły wszystko w chaosie, a wcześniej były tysiąclecia Tyrana.

– Kiedy Harkonnenowie nie podnosili głów albo je tracili. Dopuszczam taką możliwość.

– Zapisy mogły zaginać.

– Nie u nas ani pod jakimkolwiek innym rządem, który przetrwał. Skąd ta myśl?

– Patrin.

– Aaach!

– Gdyby odkryto coś takiego, miejscowi mogliby o tym wiedzieć.

– Ilu? Myślisz, że byliby w stanie utrzymać to w tajemnicy? Ach, rozumiem! Gdyby to był sekret rodziny Patriny...

– Nie odważyłem się pytać nikogo z nich.

– Oczywiście! Ale gdybyś poszukał...

– W tym miejscu w górach, w którym statek zostawił ślady.

– Musiałbyś pójść tam osobiście!

– Trudno byłoby mi się ukryć przed szpiegami – przyznał. – Chyba że poszedłbym tam z małym oddziałem i w całkiem innym celu.

– W jakim?

– Wznieść pomnik ku pamięci mego starego baszara.

– Sugerując, że wiemy o jego śmierci? Tak!

– Prosiłaś już Tleilaxan o zastępczego gholę.

– To była zwykła ostrożność bez znaczenia. Burzmali, to bardzo niebezpieczne. Wątpię, czy oszukamy tych, którzy będą cię śledzić na Gammu.

- Żałoba moja i moich ludzi będzie dramatyczna i wiarygodna.
- Ta wiarygodność nie musi przekonać uważnych obserwatorów.
- Chyba wierzysz w lojalność moją i moich ludzi?

Taraza zacisnęła usta w zamyśleniu. Bene Gesserit uczyły się zaszczepiać lojalność, doskonaląc wzory Atrydów. Tworzyć ludzi najwyższego zaufania, najbardziej oddanych. Zarówno Burzmali, jak Teg byli tego doskonałymi przykładami.

– To może się udać – przyznała. Spojrzała na baszara. Ulubiony uczeń Tega może mieć rację.

– Zatem idę. – Burzmali odwrócił się, by odejść.

– Chwileczkę – powiedziała Taraza.

Zawrócił.

– Naszpikujcie się szcerem, wszyscy. A gdyby was pojмали maskaradnicy, ci nowi, macie spalić sobie głowy albo je roztrzaskać. Przygotuj się na to.

Sposępniała nagle twarz Burzmalego uspokoiła Tarazę. Przez chwilę był z siebie dumny. Lepiej stłumić tę dumę. Nie powinien być nierozważny.



Od dawna wiemy, że obiekty naszych wrażeń zmysłowych mogą się zmieniać w zależności od wyboru – zarówno świadomego, jak nieświadomego. To fakt dowiedziony i nie wymaga on, byśmy wierzyły, że jakaś siła w nas sięga poza nas i dotyka wszechświata. Myślę tu o pragmatycznej zależności między wiarą a tym, co uznajemy za „rzeczywiste”. Na wszystkich naszych sądach ciąży brzemień wierzeń naszych przodków, my zaś, Bene Gesserit, podchodzimy do nich bardziej sceptycznie niż inni. Nie wystarczy, byśmy były tego świadome i nieufne. Alternatywne interpretacje muszą stale przyciągać naszą uwagę.

– Matka Przełożona Taraza, wystąpienie na radzie

– Bóg nas tu osądzi – unosił się Waff.

Robił to w najmniej oczekiwanych momentach podczas całej długiej podróży przez pustynię. Sziena zdawała się go nie słyszeć, ale jego głos i komentarze zaczynały nużyć Odrade.

Rakańskie słońce przesunęło się daleko na zachód, lecz niosący ich czerw nie okazywał zmęczenia, sunąc przez dawny Serir w kierunku szczątków muru ochronnego Tyrana.

„Dlaczego właśnie w tym kierunku?” – zastanawiała się Odrade.

Żadna odpowiedź nie była zadowalająca. Fanatyzm Waffa zaczynał być niebezpieczny i wymagał szybkiej reakcji. Zacytowała jeden z wersetów szariat, który musiał go poruszyć.

– Niechaj Bóg sędzi, nie ludzie.

Waff skrzywił się, usłyszawszy w jej głosie karcącą nutę. Spojrzał na horyzont, a potem na ornitoptery, które dotrzymywały im kroku.

– Ludzie muszą spełniać Boże dzieło – mruknął.

Odrade nie odezwała się. Waffa znów ogarnęły wątpliwości i teraz pytał siebie, czy te czarownice Bene Gesserit naprawdę wyznają Wielką Wiarę.

Jej myśli pograżyły się na powrót w niewyjaśnionych pytaniach, przebiegając przez wszystko, co wiedziała o rakańskich czerwiałach. Wspomnienia własne i Inne Wspomnienia tworzyły jakiś szalony montaż. Widziała Fremenów w burnusach na grzbiecie czerwia większego niż ten, który ją niósł. Każdy jeździec odchylony był do tyłu i trzymał się długiej tyki z hakiem wczepionym w pierścienie czerwiał tak, jak teraz wczepiały się jej dłonie. Czula wiatr na policzkach, a trzepocąca suknia siekla ją po łydkach. Ta jazda spletała się z innymi w jakąś znajomą jedność.

„Wiele czasu minęło, odkąd którykolwiek Atryda tak jechał”.

Czy wyjaśnienie celu tej podróży było widoczne już w Dar-es-Balat? Jak to możliwe? Było tam jednak strasznie gorąco, a jej myśli skupiały się na tym, co może zdarzyć się na pustyni. Nie była dość czujna.

Jak każda inna społeczność na Rakis, Dar-es-Balat skupiało się podczas popołudniowego upału w swym środku. Odrade przypomniała sobie ocieranie się jej nowego filtraka, kiedy siedziała w cieniu jakiegoś budynku na zachodnim skraju Dar-es-Balat. Czekala, aż dwie osobne eskorty przyprowadzą Szienę i Waffa z bezpiecznych domów, w których kazała ich ulokować. Stanowiła łatwy cel, trzeba było jednak polegać na uległości Rakańczyków. Eskorty Bene Gesserit celowo zwlekały.

Pamiętała tamten ruch ku środkowi wszędzie dookoła niej. To jej nie dziwiło. W najgorętszej porze dnia mieszkańcy Rakis nieodmiennie szukali cienia z dala od spieczonego słońcem skraju miasta.

Sama wydała jednak rozkaz: „Oczyścić drogę na pustynię! Nie chcemy ciekawskich obywateli!”

Dzięki porze dnia mieszane patrole nie miały wiele roboty z wykonaniem tego rozkazu. Czy miało znaczenie, że ludzie kryli się o tej godzinie w swoich rezydencjach i lepiankach? W rezydencjach pito znakomite wina z Danu, chłodzone i podawane w kryształowych kielichach z Predotu albo



Lunduriasu. W lepiankach – tanie piwo przyprawowe w kuflach z kamionki. I ciepłą wodę z zalakowanych literjonów.

Kiedyś Sziena wspomniała o tym z naiwnym rozbawieniem:

– Picie, picie i picie! Tylko tym się zajmują. Sama też lubię piwo, ale kapłanki dają mi wino.

Odrade poczuła oburzenie na myśl o pojeniu dziecka alkoholem.

– Dają ci wino?

– Zmieszane z wodą, tak jak lubię.

To ją ostatecznie określiło jako dziecko z najniższych klas. Mieszkańcy lepianek poili dzieci piwem rozcieńczonym wodą.

Wszystko, co mogło przytępić świadomość, alarmowało Matkę Wielebną.

– Nie czujesz się potem niepewnie albo nie jesteś śpiąca? – naciskała Odrade.

– Och, nie! Zawsze łykam melokse.

Oczywiście. Przyprawowy utleniacz był powszechnie używany na Rakis, podobnie jak na wielu planetach Starego Imperium. Nawet najbiedniejszych było na niego stać. Odrade widziała w tym upadek moralny. W zacisznej kwaterze przy Wielkim Placu udzieliła Szienie surowej nagany. Używając Głosu jak bicia, zmieniła naiwną radość w gorzką lekcję.

Wprowadziwszy umysł w wyuczony płytki trans, Sziena musiała godzinami powtarzać: „Mój umysł i ciało to cenne narzędzia! Mój umysł i ciało to cenne narzędzia!...”

Cały czas skupiała myśli na władzy, jaką zdobędzie nad tymi narzędziami, jeśli zostanie Matką Wielebną: władzę nad upajającymi trunkami bez potrzeby łykania meloksy, władzę nad mięśniami i nerwami, której inni sobie nawet nie wyobrażają.

Odrade dobrze znała te myśli. Wróciła do świadomości, w której jechała na dzikim czerwiu, z Szieną przed sobą i Waffem u boku. Sziena pogrążona była w płytkim transie, ucząc się cierpliwości, jak kazała Odrade. „Dlaczego ja nie jestem cierpliwa?” – zastanawiała się Matka Wielebna. Ociekała potem. Jej filtrak ślizgał się po skórze, a przepełnione kieszenie łowne wydymały się na zewnątrz.

Jakaż wspaniała Matka Wielebna będzie z Szieny, jeśli przeżyje agonię przyprawową!

– Szejtan lubi upał – mówiła Sziena.

Rakańczycy kryli się przed upałem, ale czerwie wtedy właśnie wychodziły. Czy był to znaczący fakt, wyjaśnienie, dlaczego czerw zmierza

w tym właśnie kierunku?

„Mój umysł skacze niczym dziecinna piłka” – stwierdziła Odrade.

Jakie znaczenie ma to, że Rakańczycy kryją się przed słońcem, a mały Tleilaxanin, Matka Wielebna i jakaś dzika dziewczyna jadą przez pustynię na czerwiu? Tak zawsze było na Rakis. Nic w tym zaskakującego. Fremeni byli wszakże ludźmi nocy. Ich potomkowie kryli się przed słońcem w cieniu. Jak bezpieczni czuli się kapłani za zaporą swoich fos!

Każdy mieszkaniec rakańskiego miasta wie, że otacza je kanat, w którym woda płynie zakrytym korytem. Przecieki zasilają wąskie kanaliki, a to, co z nich wyparowuje, chwyta jest przez oddzielacze wiatru.

– Nasze modlitwy nas chronią – mówią oni, choć dobrze wiedzą, co naprawdę ich chroni.

„Jego święta obecność objawia się w pustyni”.

Waff wybrał tę chwilę, by przemówić.

– Pielgrzymuję dla Boga!

– A Bóg dobrze wie, co masz w sercu swoim – zacytowała prawie odruchowo Odrade, by go uciszyć.

Odwrócił się od niej z gwałtownością, która wiele mówiła. „Bóg może i wie, ale czy ty wiesz? Nic ci po sobie nie okażę!”

Przypominał mieszkańców Rakis w lęku przed „Jego świętą obecnością”.

Kapłani rzadko mówili o czerwiah w liczbie mnogiej. Był Szej-hulud albo, za przykładem Szieny, Szejtan.

„Święty czerw”.

„Podzielony Bóg”.

Odrade spojrzała na pierścienie przed sobą. „A oto i on!”

Pomyślała o kapłanach śledzących ich z ornitopterów. Jakże kochali szpiegować innych! Czuła na sobie ich wzrok w Dar-es-Balat, kiedy czekała na Szienę i Waffa. Oczy za wysokimi kratami zasłoniętych balkonów. Oczy w szczelinach grubych murów. Oczy ukryte za lustrzanymi taflami plazu. Oczy w każdym cieniu.

Zmuszała się, by nie myśleć o zagrożeniach, kiedy mierzyła upływ czasu, obserwując smugę cienia przesuwającą się nad nią po ścianie, niezawodny zegar w krainie, w której mało kto znał inny czas niż słoneczny.

Napięcie rosło zwiększane koniecznością zachowania spokoju. Czy zaatakują? Czy się ośmielą, wiedząc, że podjęła środki ostrożności? Jak bardzo rozgniewała kapłanów, zmusiwszy ich do przyłączenia się do

Tleilaxan w tajnym triumwiracie? Jej doradczynie z twierdzy były przeciwne temu ryzykownemu kuszeniu kapłanów.

– Niech jedna z nas będzie tą przynętą!

Odrade była nieugięta.

– Nie uwierzą – mówiła. – Podejrzenia każą im trzymać się z boku. Poza tym, na pewno wyślą Albertusa.

Czekała więc w zielonkawym cieniu na dziedzińcu w Dar-es-Balat, spoglądając w górę na sześć pięter koronkowych balustrad balkonów: zielone rośliny, jaskrawoczerwone, pomarańczowe i niebieskie kwiaty, prostokąt srebrzystego nieba nad piętrami.

„I te ukryte oczy”.

Jakiś ruch w szerokich drzwiach od ulicy po prawej! Samotna postać w kapłańskiej bieli, złocie i purpurze pojawiła się na dziedzińcu. Przyglądała mu się, szukając znaków, że Tleilaxanie podrzucili swojego maskaradnika. To był jednak człowiek, kapłan, którego poznała: Albertus, starszy Dar-es-Balat.

„Tak jak się spodziewałyśmy”.

Albertus szedł ku niej przez rozległe atrium i dziedziniec z rozważną godnością. Szukała w nim oznak zagrożenia. Czy da znak swoim asasynom? Rzuciła okiem na balkony nad sobą: były tam jakieś poruszenia na górnych poziomach. Nadchodzący kapłan nie był sam.

„Ale i ja nie jestem!”

Albertus zatrzymał się dwa kroki przed Odrade i podniósł na nią wzrok z zawilego złoto-purpurowego wzoru na posadzce.

„Ma słabe kości” – stwierdziła.

Nie okazała, że go poznaje. Był jednym z tych, którzy wiedzieli, że miejsce najwyższego kapłana zajął maskaradnik.

Albertus chrząknął i niepewnie zaczerpnął tchu.

„Słabe kości! Słabe ciało!”

Ta myśl ją rozbawiła, lecz nie zmniejszyła jej czujności. Matki Wielebne zawsze zauważały takie rzeczy. Szukasz cech genetycznych. Selektowność, jaka istniała wśród jego przodków, niosła ukryte ułomności. Zgromadzenie mogłoby je korygować w jego potomstwie, gdyby miało ono być cenne. A należało to rozważyć. Albertus doszedł do władzy bez rozgłosu, ale pewnie, trzeba więc było określić, czy to oznacza cenny materiał genetyczny. Był jednak niewykształcony. Mogła sobie z nim poradzić

akolitka po pierwszym roku. Wykształcenie rakańskich kapłanów podupadło od czasów dawnych rybomównych.

– Po co przyszedłeś? – Pytanie celowo zabrzmiało jak zarzut.

Albertus zadrżał.

– Przynoszę posłanie od twoich ludzi, Matko Wielebna.

– Mów zatem!

– Wynikło małe opóźnienie. Zdaje się, że zbyt wielu zna tę drogę.

Uzgodniono, że tak powiedzą kapłanom, ale z twarzy Albertusa łatwo było wyczytać też coś innego. Dzielone z nim sekrety bliskie były wyjawienia.

– Prawie żałuję, że nie kazałam cię zabić – powiedziała Odrade.

Albertus cofnął się parę kroków. Jego oczy stały się puste, jakby już umarł, tu, przed nią. Rozpoznała tę reakcję. Wszedł w tę w pełni odkrywczą fazę, w której strach ścisnął mu mosznę. Wiedział, że ta straszliwa Matka Wielebna Odrade może bez wahania wydać na niego wyrok śmierci albo zabić go własnymi rękami. Niczego, co powiedział albo zrobił, nie da się przed nią ukryć.

– Rozwagałeś możliwość zabicia mnie i zniszczenia twierdzy w Kin – zarzuciła mu Odrade.

Albertus zadrżał gwałtownie.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy, Matko Wielebna? – Zdradzał go lament.

– Nie próbuj zaprzeczać – powiedziała. – Zastanawiam się tylko, ilu ludzi czyta twoje myśli tak łatwo jak ja? Miałeś dochowywać tajemnic. Nie powinienes spacerować z wszystkimi sekretami wypisanymi na twarzy!

Kapłan padł na kolana. Pomyślała, że zaraz zacznie się czołgać.

– Przecież posłali mnie twoi ludzie!

– A ty byłeś szczęśliwy, mogąc zdecydować, czy można mnie zabić.

– Dlaczego mielibyśmy...

– Milcz! Nie podoba się wam, że kontrolujemy Szienę. Boicie się Tleilaxan. Sprawy wymknęły się z waszych kapłańskich rąk, a to, co poszło w ruch, was przeraża.

– Matko Wielebna! Co mamy robić? Co mamy robić?

– Macie nas słuchać! Ponadto macie słuchać Szieny! Boicie się tego, co dziś zaczynamy? Macie większe powody do obaw!

Pokręciła głową z szyderczą dezaprobatą, wiedząc, jakie wrażenie zrobiła na biednym Albertusie. Kulił się pod ciężarem jej gniewu.

– Wstawaj! – krzyknęła. – I pamiętaj, że jesteś kapłanem i masz mówić prawdę.

Albertus wstał z opuszczoną głową. Widziała po nim, że porzucił myśl o podstępie. To musiała być dla niego ciężka próba! Posłuszny Matce Wielebnej, która tak wyraźnie czytała w jego sercu, musiał być teraz posłuszny swej religii. Musiał stanąć przed ostatecznym paradoksem wszystkich religii: „Bóg wie!”

– Nie ukryjesz niczego przede mną, przed Szieną ani przed Bogiem.

– Wybacz mi, Matko Wielebna.

– Wybaczyc ci? To nie w mojej mocy i nie mnie o to proś. Jesteś kapłanem!

Podniósł wzrok na zagniewaną twarz Odrade.

Paradoks zawładnął nim. Bóg był tu z pewnością. Zwykle jednak przebywał daleko i spotkanie z nim można było odkładać. Jutro też będzie dzień. Zawsze był. Można było sobie pozwolić na parę małych grzeszków, kłamstwo albo dwa, tylko w danej chwili. I może na wielki grzech, jeśli pokusy były wielkie. Bogowie powinni rozumieć wielkich grzeszników. Muszą oni mieć czas, by się poprawić.

Odrade przyglądała mu się okiem analityczki Missionaria Protectiva.

„Aaach, Albertus! – pomyślała. – Stoisz przed takim jak ty człowiekiem, który wie wszystko o sekretach między tobą a twoim bogiem”.

Dla Albertusa jego obecna sytuacja niewiele różniła się od śmierci i poddania sądowi ostatecznemu jego boga. To mu odebrało siłę woli. Wszystkie jego religijne lęki skupiły się w tej Matce Wielebnej.

– Ta farsa ma się natychmiast skończyć! – powiedziała oschle Odrade, nie starając się nawet wpływać na niego Głosem.

Albertus usiłował przełknąć ślinę. Wiedział, że nie jest w stanie skłamać. Majaczyła mu taka możliwość, ale byłoby to bezskuteczne. Spojrzał potulnie na czoło Odrade, tam gdzie kaptur filtraka zaciskał się nad brwiami.

– Matko Wielebna, to dlatego, że czujemy się odsunięci – rzekł niemal szeptem. – Ty i Tleilaxanin wyruszenie na pustynię z *naszą* Szieną. Będziecie się od niej uczyć i... – Ramiona mu opadły. – Po co wam ten Tleilaxanin?

– Tego chce Sziena – skłamała Odrade.

Albertus otworzył usta i zamknął je bez słowa. Widziała, że się zgadza.

– Zaniesiesz swoim moje ostrzeżenie – powiedziała. – Przetrwanie Rakis i kapłanatu zależy od waszego posłuszeństwa. Nie przeszkadzajcie nam

nawet w drobiazgach! Co zaś do tych dziecinnych spisków, Sziena wyjawia nam wszystkie wasze złe zamysły!

Albertus zadziwił ją wtedy. Pokręcił głową i zachichotał. Już wcześniej spostrzegła, że wielu kapłanów cieszy się cudzymi porażkami, ale nie przypuszczała, że mogą ich bawić własne. Jak daleko sięgał ten zwyczaj? Czy dla tych ludzi istniała różnica między kompromitacją jednostki a upadkiem całej cywilizacji? Ona i jej siostry zbadają tę skłonność rakańskich kapłanów... później i uważnie.

– Twój śmiech jest nie na miejscu – powiedziała.

Albertus wzruszył ramionami i przybrał swą poprzednią maskę. Odrade widziała już kilka takich. Fasady! Nosił je warstwami. A pod tym wszystkim krył się ktoś, kto czuje, ten, który przed chwilą ukazał się na krótko. Kapłani mieli jednak zwyczaj popadać w kwieciste wyjaśnienia, gdy ktoś ich za bardzo naciskał.

„Muszę przywrócić tego, kto czuje” – pomyślała i ostro ucięła, kiedy zaczął mówić:

– Ani słowa więcej! Zaczekasz, aż wrócę z pustyni. Jesteś teraz *moim* wysłannikiem. Przekaż dokładnie me przesłanie, a nagroda będzie większa, niż możesz sobie wyobrazić. Jeśli zawiedziesz, będziesz cierpieć męki Szejtana!

Patrzyła, jak umyka z dziedzińca z pochylonymi ramionami i wysuniętą do przodu głową, jakby nie mógł się doczekać rozmowy z równymi sobie.

„Ogólnie rzecz biorąc, poszło dobrze” – pomyślała. Skalkulowane ryzyko było dla niej osobiście niebezpieczne. Była pewna, że na balkonach czekali na znak Albertusa asasyni. Teraz zaś poniósł on ze sobą strach, którym przez tysiąclecia manipulowania uczyły się posługiwać Bene Gesserit. Nauczycielki zgromadzenia nazywały to „kierowaną histerią”. Skierowano ją (a raczej wycelowano) w serce rakańskiego kapłaństwa. Można było na tym polegać, zwłaszcza gdy wkroczą do akcji posiłki. Kapłani się poddają. Należało się obawiać tylko paru opornych heretyków.



Oto budzący lęk wszechświat magiczny: nie ma w nim atomów, tylko fale i ruchy okrężne. Tu odrzucasz wszelką wiarę w granice rozumienia. Odsuwasz na bok samo

pojęcie rozumienia. Tego wszechświata nie można zobaczyć, usłyszeć ani wykryć w żaden sposób skostniałymi zmysłami. Jest absolutną próżnią i nie natrafisz tu na przygotowane wcześniej ekrany, na których mogą się wyświetlać formy. Masz tutaj tylko jedną świadomość – ekran magiczny: wyobraźnię! Tu się uczysz, co to znaczy być człowiekiem. Jesteś twórcą porządku, cudownych kształtów i systemów, organizatorem chaosu.

– *Manifest Atrydów*, archiwa Bene Gesserit

– To, co robisz, jest zbyt niebezpieczne – powiedział Teg. – Mam rozkaz chronić cię i wspierać. Nie mogę pozwolić, żeby to trwało dłużej.

Stali z Duncanem w długim, wykładanym drewnem hallu przed salą treningową kuli pozaprzestrzennej. Było późne popołudnie według ich ścisłego rozkładu dnia. Lucylla dopiero co wypadła stąd w gniewie po gwałtownej wymianie zdań.

Każde spotkanie Duncana z nią przeradzało się ostatnio w bitwę. Choćby dziś, gdy stanęła w drzwiach sali treningowej. Jej ciało można by nazwać pełnym, gdyby nie miła krągłość kształtów. Jej uwodzicielskie ruchy były dla nich obu oczywiste.

– Przestań, Lucyllo – rzucił Duncan.

Tylko jej ton zdradzał gniew.

– Jak długo, według ciebie, mam zwlekać z wykonaniem rozkazów?

– Dopóki ty albo ktoś inny nie powie mi, co ja...

– Taraza chce od ciebie czegoś, o czym nikt z nas nie ma pojęcia!

Teg starał się załagodzić ich rosnący gniew.

– Dajcie spokój. Czy nie wystarczy, że Duncan doskonali swe umiejętności? Za parę dni zacznę patrolować okolicę. Moglibyśmy...

– Mógłbyś przestać mi przeszkadzać, niech cię diabli! – warknęła Lucylla, obróciła się na pięcie i odeszła.

Gdy Teg ujrzał na twarzy Duncana twarde zdecydowanie, zaczęła się w nim budzić furia. Czuł się unieruchomiony tą przymusową izolacją. Jego umysł, ów cudownie nastrojony instrument mentata, był tu odcięty od psychicznego zgiełku, do którego przywykł na zewnątrz. Pomyślał, że gdyby tylko mógł wyciszyć umysł, uspokoić wszystko, wszystko stałoby się dla niego jasne.

– Dlaczego wstrzymujesz oddech, baszarze?

Głos Duncana dosłownie przeszył Tega. Musiał się zdobyć na najwyższy wysiłek woli, by odzyskać oddech. Emocje dwojga swoich towarzyszy w pozaprzestrzeni odczuwał jako przyływ i odpływ odizolowane czasowo od innych sił.

„Inne siły”.

Nawet mentat mógł się okazać idiotą wobec innych sił, które przenikają wszechświat. Być może we wszechświecie żyli ludzie, których istnienie determinowały jakieś siły, których on nie mógł sobie wyobrazić. W obliczu takich sił był słomką w pianie dzikich prądów.

Kto może pograżyć się w takim zamęcie i wyjść z niego bez szwanku?

– Co może zrobić Lucylla, jeżeli będę się opierał? – spytał Duncan.

– Próbowala na tobie Głosu? – Tegowi wydawało się, że jego głos dochodzi z oddali.

– Raz.

– Oparłeś się? – Gdzieś wewnątrz czaiło się odległe zdziwienie.

– Nauczyłem się tego od samego Paula Muad'Diba.

– Jest w stanie sparaliżować cię i...

– Jej rozkazy zabraniają chyba użycia przemocy.

– Czym jest przemoc, chłopcze?

– Idę pod natrysk, baszarze. A ty?

– Za parę minut. – Teg wziął głęboki oddech, czując, że jest bliski utraty sił. Wyczerpało go to popołudnie na sali treningowej i poza nią. Patrzył za odchodzącym Duncanem. Gdzie jest Lucylla? Co planuje? Jak długo zechce czekać? To było najważniejsze pytanie i podkreślało ono szczególnie ich izolację w czasie w tej kuli pozaprzestrzennej.

Znowu poczuł przyływ i odpływ wpływające na życie ich trojga. „Muszę pomówić z Lucyllą! Dokąd poszła? Do biblioteki? Nie! Jest coś, co muszę zrobić najpierw”.

Lucylla siedziała w pokoju, który sobie wybrała. Było to niewielkie pomieszczenie z ozdobnym łóżem w alkwie. Wulgarne i subtelne znaki mówiły, że był to pokój ulubionej hetery jakiegoś Harkonnena. Tkaniny były błękitne z ciemniejszymi akcentami. Mimo barokowych rzeźb na łożu, w alkwie, na suficie i wszystkich akcesoriach, pomieszczenie dawało się łatwo usunąć ze świadomości. Położyła się na łożu i zamknęła oczy, odcinając się od wyuzdanych figur na suficie alkwie.

„Trzeba będzie coś zrobić z Tegiem” – pomyślała.

Należałoby to zrobić tak, żeby nie urazić Tarazy i nie osłabić gholi. Teg stanowił szczególny problem, zwłaszcza że myślał takimi samymi kategoriami jak Bene Gesserit.

„To przez tę Matkę Wielebną, która go urodziła!”



Coś przeszło z takiej matki na takiego syna. Zaczęło się w łonie i nie skończyło nawet wtedy, gdy zostali ostatecznie rozdzieleni. Teg nie przeszedł niszczącego przeobrażenia, które zmieniałoby człowieka w Złego Ducha... nie, to nie to. Miał jednak subtelne i realne moce. Ci urodzeni z Matek Wielebnych uczyli się rzeczy niemożliwych dla innych.

Teg znał dokładnie poglądy Lucylli na miłość w jej wszystkich przejawach. Wyczytała to z jego twarzy wtedy, w jego pokoju w twierdzy.

„Wyrachowana czarownica!”

Równie dobrze mógł to powiedzieć głośno.

Pamiętała, jak kusiła go swym życzliwym uśmiechem i władczą miną. To był błąd poniżający ich oboje. Tak myśląc, poczuła tajoną sympatię do Tega. W jej zbroi były szczeliny, mimo całego starannego szkolenia Bene Gesserit. Nauczycielki ostrzegały ją wiele razy.

– Aby wzbudzić prawdziwą miłość, musisz ją odczuć, ale tylko przez chwilę. I jeden raz wystarczy!

Stosunek Tega do Duncana Idaho mówił wiele. Baszara przyciągał i odpychał jego młody wychowanek.

„Jak i mnie”.

Być może było błędem, że jednak nie uwiodła Tega.

Podczas edukacji seksualnej, kiedy uczono ją czerpać siłę ze stosunków, nie zaś tracić, jej nauczycielki kładły nacisk na analizy i porównania historyczne, często zapisywane w Innych Wspomnieniach Matek Wielebnych.

Skupiła myśli na męskości Tega. Czuła przy tym swoją kobiecą reakcję, ciało pragnące, by Teg był blisko niej, i pobudzone do seksualnego szczytu – gotowe na ten tajemniczy moment.

W świadomość Lucylli wpłynęło lekkie rozbawienie. Nie orgazm, żadnych naukowych określeń! Była to najczystsza hipokryzja Bene Gesserit: „tajemniczy moment”, specjalność imprinterek. Zagłębienie się w długiej tradycji zgromadzenia wymagało tej koncepcji. Uczono ją wierzyć głęboko w dwoistość: naukową wiedzę, z której korzystały genetyczki, ale jednocześnie w ów tajemniczy moment, który podważał wszelką wiedzę. Historia i nauka Bene Gesserit mówiły, że instynkt przedłużenia gatunku jest nierozzerwalnie związany z psychiką. Nie można go usunąć, nie niszcząc gatunku.

„Siatka asekuracyjna”.

Lucylla zebrała wokół siebie całą energię seksualną, jak tylko imprinterka Bene Gesserit to potrafi. Skupiła myśli na Duncanie. Jest teraz pod natryskiem i myśli o wieczornych ćwiczeniach ze swoją Matką Wielebną – nauczycielką.

„Pójdę zaraz do mego ucznia – stwierdziła. – To ważna lekcja, której musi się nauczyć albo nie będzie w pełni przygotowany na Rakis”.

Takie były instrukcje Tarazy.

W tej chwili myślała już tylko o Duncanie. Prawie go widziała nagiego pod natryskiem.

Jakże mało rozumiał z tego, czego może się nauczyć!

Duncan siedział samotnie w szatni przy natryskach obok sali treningowej. Pograżony był w głębokim smutku i na nowo rozdrapywał stare rany, których to młode ciało nigdy nie doświadczyło.

Pewne rzeczy się nie zmieniają! Zgromadzenie wciąż gra w stare gry.

Patrzył na to harkonneńskie wnętrze, ciemne płyciny, arabeski rzeźbione na ścianach i na suficie, dziwne wzory mozaiki podłogowej – potwory i zachwycające kobiece ciała, które pojawiały się w tych samych konturach. Jedne od drugich dzieliło mrugnięcie oka.

Spojrzał na swoje ciało stworzone przez Tleilaxan i ich kadzie aksolotlowe. Chwilami czuł się w nim jeszcze dziwnie. Był dojrzałym mężczyzną, który wiele przeżył. W ostatniej chwili, którą pamiętał z pierwszego życia, walczył z rojem sardaukarów, dając swemu młodemu księciu szansę ucieczki.

Jego książę! Paul nie był wtedy starszy niż to ciało. Wychowano go jednak tak, jak zawsze wychowywano Atrydów: wierność i honor ponad wszystko.

„Tak samo wychowano i mnie po wyrwaniu z rąk Harkonnenów”.

Coś w nim nie pozwalało uchylić się od tamtego dawnego długu. Znał tego źródło. Wiedział, jakim sposobem zaszczepiono mu to uczucie.

Uczucie, które w nim pozostało.

Spojrzał na posadzkę. W płytkach wokół kabiny natrysku wypisane były jakieś słowa. Było to pismo, które część jego świadomości określiła jako zabytek z czasów Harkonnenów, ale ta druga część rozpoznała aż nazbyt znajomy galach.

MYJ SIĘ SŁODKO MYJ SIĘ DO BLASKU  
MYJ SIĘ DO CZYSTA MYJ SIĘ

Starożytny napis powtarzał się, biegnąc wokół pomieszczenia, jakby same słowa mogły stworzyć coś obcego Harkonnenom ze wspomnień Duncana.

Nad drzwiami do natrysków także był napis:

## WYSPOWIADAJ SWE SERCE I ZNAJDŹ CZYSTOŚĆ

Religijne przykazanie w warowni Harkonnenów? Czy aż tak się zmienili w ciągu wieków po jego śmierci? Duncan nie mógł w to uwierzyć. Prawdopodobnie to budowniczości uznali, że to właściwe słowa.

Raczej poczuł, niż usłyszał Lucyllę wchodzącą do szatni. Wstał i zapiął klipsy tuniki (z której usunął wcześniej harkonneńskie insygnia!).

– O co chodzi, Lucyllo? – spytał, nie odwracając się.

Musnęła tunikę na jego lewym ramieniu.

– Harkonnenowie mieli dobry gust.

– Lucyllo – powiedział cicho – jeśli dotkniesz mnie znów bez pozwolenia, postaram się cię zabić. Tak bardzo, że będziesz chyba musiała zabić mnie.

Cofnęła się.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Nie jestem jakimś przeklętym ogierem dla czarownic!

– Myślisz, że tego właśnie od ciebie chcemy?

– Nikt mi nie powiedział, czego chcecie, ale twoje działania są oczywiste!

Przeniósł ciężar ciała na palce nóg. To nieobudzone coś w jego wnętrzu poruszyło się i poczuł, że puls mu przyśpiesza.

Lucylla przyglądała mu się uważnie. „Niech diabli porwą Milesa Tega!” Nie spodziewała się, że opór przybierze taką formę. Nie wątpiła w szczerść Duncana. Słowa nic tu nie dadzą. Był odporny na Głos.

„Prawda”.

Została jej tylko ta broń.

– Nie wiem dokładnie, czego Taraza chce od ciebie na Rakis. Mogę zgadywać, ale mogę też się mylić.

– Zgaduj więc.

– Jest na Rakis pewna dziewczyna, kilkunastoletnia. Rakańskie czerwce są jej posłuszne. Zgromadzenie musi włączyć ten jej talent do swego zasobu możliwości.

– A co miałbym...

– Gdybym wiedziała, na pewno bym ci powiedziała.

Widział, że jest szczerą. Zdradzała ją desperacja.

– A co twój *talent* ma z tym wspólnego?

– To wie tylko Taraza i jej rada.

– Chcą mi nałożyć jakieś więzy, z których się nie wyrwę.

Lucylla sama doszła już do tego wniosku, ale nie spodziewała się, że Duncan tak szybko na to wpadnie. Jego młoda twarz kryła umysł, który pracował jakimś nieznanym jej sposobem. Myślała gorączkowo.

– Kontrolujcie czerwie, a wskrzesicie dawną religię. – Głos Tega dobiegł z drzwi za plecami Lucylli.

„Nie słyszałam, jak nadchodzi!”

Odwróciła się szybko. Teg stał tam z jedną z antycznych harkonneńskich rusznic laserowych opartą niedbale na lewym przedramieniu. Lufa mierzyła w nią.

– To po to, żebyś mnie wysłuchała.

– Jak długo stoisz tu i słuchasz?

Jej gniewne spojrzenie nie zmieniło jego wyrazu twarzy.

– Od chwili, gdy powiedziałaś, że nie wiesz, czego Taraza chce od Duncana. Ja też nie wiem. Mogę jednak wykonać parę mentackich projekcji. To nic pewnego, ale wszystkie są sugestywne. Powiedz mi, czy się mylę.

– W czym?

Spojrzał na Duncana.

– Miałas między innymi sprawić, że nie oprze mu się większość kobiet.

Lucylla starała się nie zdradzić konsternacji. Taraza kazała jej ukrywać to przed Tegiem tak długo, jak się da. To już nie było możliwe. Rozszyfrował jej reakcję dzięki tym piekielnym zdolnościom, które mu przekazała jego piekielna matka.

– Mnóstwo energii gromadzi się i kieruje na Rakis – powiedział Teg, patrząc wprost na Duncana. – Niezależnie od tego, co w nim ukryli Tleilaxanie, ma w genach pieczęć starożytnej ludzkiej rasy. Czy o to chodzi genetyczkom?

– Przeklęty ogier Bene Gesserit! – rzucił Duncan.

– Co zamierzasz zrobić z tym złodem? – spytała Lucylla, wskazując głową antyczną rusznicę w rękach Tega.

– Z tym? Nie włożyłem nawet ładownicy. – Opuścił broń i postawił w kącie za sobą.

– Milesie Tegu, nie unikniesz kary! – Lucylla zgrzytnęła zębami.

– To będzie musiało poczekać – odparł. – Na zewnątrz jest już prawie noc. Wyszedłem pod osłoną pola maskującego. Był tu Burzmali. Zostawił znak, że odczytał wiadomość wydrapaną na pniach drzew.

W oczach Duncana błysnęło ożywienie.

– I co zrobisz? – spytała Lucylla.

– Zostawiłem nowe znaki z terminem spotkania. A teraz pójdziemy do biblioteki studiować mapy. Zapamiętamy je. Uciekając, będziemy przynajmniej wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Zgodziła się z nim, skinąwszy głową.

Duncan odnotował ten gest podświadomie. Myślni był już przy starożytnej aparaturze w bibliotece Harkonnenów. To on musiał pokazać Tegowi i Lucylli, jak się nią posługiwać, by wywołać mapę Giedi Prime z czasów, gdy instalowano tę kulę.

Z pomocą pierwotnych wspomnień Duncana i swojej wiedzy o planecie Teg starał się zaktualizować tę mapę. Stanica straży leśnej stała się twierdzą Bene Gesserit.

– Jej częścią był dworek myśliwski Harkonnenów – powiedział Duncan. – Polowali tam na ludzi specjalnie hodowanych i uwarunkowanych do tego.

Miasta znikwały podczas aktualizacji. Niektóre pozostały, ale otrzymały nowe nazwy. Najbliższe, Ysai, nazywało się na starej mapie Baronia.

– Tam mnie torturowano – rzekł Duncan.

Teg wyczerpał swoje wiadomości o planecie, a na mapie wciąż było sporo białych plam, ale też wiele symboli Bene Gesserit oznaczających miejsca, w których baszar i jego ludzie mogli znaleźć schronienie. Teg chciał, żeby je zapamiętali.

– Wykasuję tę mapę, gdy ją zapamiętamy – mówił, prowadząc ich do biblioteki. – Nie wiadomo, kto mógłby ją znaleźć.

Lucylla minęła go.

– To już na twojej głowie, Miles!

– Mentat mówi ci, że zrobiłem, co trzeba! – zawołał za nią.

– Jakież to logiczne! – przyznała, nie odwracając się.



W tej sali odtworzono wygląd fragmentu pustyni na Diunie. Kombajn pochodzi z czasów Atrydów. Wokół niego zgrupowane są, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, od lewej: mała żniwiarka, skrzydło, prymitywna przetwórnica przyprawy, wyposażenie pomocnicze. Przy każdym stanowisku umieszczono odpowiednie objaśnienia. Proszę zwrócić uwagę na oświetlony napis nad ekspozycją: ALBOWIEM BĘDĄ CZERPAĆ Z OBFITOŚCI MÓRZ I BOGACTWA, JAKIE PIASEK KRYJE. Sławny Gurney Halleck często cytował ten fragment starożytnego tekstu religijnego.

– przewodnik po muzeum w Dar-es-Balat

Czerw aż do zmierzchu nie zwolnił w swym nieprzerwanym biegu. Odrade wyczerpała pytania, odpowiedzi zaś wciąż nie było. Jak Sziena kierowała czerwem? Mówiła, że nie skierowała swego *Szejtana* w tę stronę. Jakąż to ukrytą mowę rozumiał potwór z pustyni? Odrade była pewna, że siostry strażniczki, dotrzymujące im kroku w ornitopterach, zadają sobie te same pytania... i jedno więcej: Dlaczego Odrade pozwala temu wyścigowi trwać? Może nawet ryzykowały domysły: „Nie wzywa nas, by nie drażnić potwora. Nie wierzy, że zdołamy zabrać ich z jego grzbietu!”

Prawda była prostsza: ciekawość.

Mknący z sykiem czerw mógłby być okrętem, który stawia czoło morzu. Niesione przez wiatr suche krzemienne zapachy przegrzanego piasku przypominały, że jest inaczej. Wokół nich rozciągała się pustynia, całe kilometry wydm tak regularnych jak oceaniczne fale.

Waff od dłuższego już czasu zachowywał milczenie. Przykucnął, naśladując w mniejszej skali pozycję Odrade, ze wzrokiem utkwionym przed siebie i twarzą bez wyrazu. Ostatnia jego wypowiedź brzmiała:

– Bóg ustrzeże wiernych w godzinie próby!

Odrade myślała o nim jako o żywym dowodzie siły fanatyzmu, który przetrwał wieki. Wierzenia zensunnitów i dawnych sufistów przeżyły wśród Tleilaxan. Były niczym zabójczy wirus, który leżał uśpiony przez wszystkie te tysiąclecia, czekając na odpowiedniego żywiciela.

„Co się stanie z tym, co zaszczepiłam rakańskim kapłanom?” – zastanawiała się. Świętość Szieny była już pewna.

Dziewczyna siedziała na swym *Szejtanie* z podciągniętą szatą, ukazującą szczupłe nogi. Trzymała się pierścienia oburącz, z rękoma między nogami.

Powiedziała kiedyś, że jej pierwsza jazda na czerwiu zawiodła ją wprost do Kin. Dlaczego tam? Czy czerw zabrał ją po prostu do jej podobnych? Ten pod nimi miał z pewnością inny cel. Sziena nie zadawała już pytań. Odrade kazała jej milczeć i ćwiczyć płytki trans. To przynajmniej dawało pewność, że każdy szczegół tego doświadczenia będzie mógł zostać bez trudu

przywołany z jej pamięci. Jeśli był jakiś ukryty język, którym Sziena porozumiewała się z czerwem, dowiedzą się o tym później.

Odrade spojrzała na horyzont. Pozostałości starożytnego muru otaczającego Serir były ledwie parę kilometrów przed nimi. Długie ich cienie padały na wydmy, uświadamiając Odrade, że są wyższe, niż sądziła. Zarys krawędzi był poszarpany, a u podstawy tkwiły rozrzucone wielkie głazy. Miejsce, gdzie Tyran runął z mostu do rzeki Idaho, leżało około trzech kilometrów na prawo od ich szlaku. Nie było tam już rzeki.

Waff poruszył się obok niej.

– Idę za Twym wezwaniem, Boże – przemówił. – To ja, Waff Entio, modłę się w Twym Świętym Miejscu.

Odrade zwróciła na niego spojrzenie, nie poruszając głową. „Entio?” Jej Inne Wspomnienia mówiły o jakimś Entio, przywódcy plemiennym podczas wielkiej Wędrówki zensunnitów, na długo przed Diuną. O co tu chodziło? Jakie prastare wspomnienia żywili jeszcze Tleilaxanie?

Sziena przerwała milczenie.

– Szejtan zwalnia!

Resztki starożytnego muru zagradzały im drogę, przerastając przynajmniej o pięćdziesiąt metrów najwyższe z wydm. Zwróciwszy się nieco w prawo, czerw ruszył ku dwóm olbrzymim głazom, które zawisły nad nimi jak wieże. Zatrzymał się. Długi, żłobkowany grzbiet spoczywał równolegle do niemal nienaruszonej podstawy muru.

Sziena stała i patrzyła na tę zaporę.

– Co to za miejsce? – spytał Waff, podniósłszy głos, by przekrzyczeć szum krążących nad nimi ornitopterów.

Odrade wypuściła ze zmęczonych rąk skraj pierścienia i rozprostowała palce. Nadal klęcząc, badała wzrokiem otoczenie. Cienie porzucanych głazów rysowały się ostro na łachach piasku i mniejszych kamieniach. Oglądany z bliska, z dwudziestu metrów, mur ukazywał pęknięcia i szczeliny, ciemne otwory w starożytnym fundamencie.

Waff stał i rozcierał dłonie.

– Po co nas tu przywieziono? – spytał nieco płaczliwym głosem.

Czerw drgnął.

– Szejtan chce, żebyśmy zeszli – powiedziała Sziena.

„Skąd ona może to wiedzieć?” – pomyślała Odrade. Nie był to ruch, który mógł kogokolwiek zaniepokoić. Mógł to być jakiś odruch po długiej podróży.

Sziena jednak, zwrócona twarzą do podnóża starożytnego muru, usiadła na wypukłym boku czerwia i ześlizgnęła się na miękki piasek.

Odrade i Waff postąpili naprzód i patrzyli zafascynowani, jak dziewczyna brnie przez piach ku przodowi stwora. Tam, wsparłszy ręce na biodrach, zajrzała w czeluść paszczy. Ukryte w niej ognie rzucały blask na jej młodą twarz.

– Po coś nas tu przywiódł, Szejtanie?

Czerw znów drgnął.

– Chce, byście zeszli! – zawołała Sziena.

Waff spojrzał na Odrade.

– Gdy Bóg chce, abyś umarł, kieruje twymi krokami, by cię przywieść na miejsce twej śmierci.

Matka Wielebna zrewanżowała mu się parafrazą pieśni szariatu:

– Bądź posłuszny we wszystkim wysłannicze Boga.

Waff westchnął. Jego twarz wyrażała zwątpienie, odwrócił się jednak i zsunął pierwszy, lądując tuż przed Odrade. Za przykładem Szieny ruszyli ku przodowi stworzenia. Odrade nie spuszczała oczu z Szieny. Wszystkie zmysły miała napięte.

Przed ziejącą paszczą było o wiele goręcej. Powietrze przepełniała znajoma woń przyprawy.

– Oto jesteśmy, Boże – powiedział Waff.

Odrade, mając wyżej uszu jego pobożnych lęków, rozejrzała się – potrzaskane skały, zerodowana zaporą sięgająca zmierzchającego nieba, piach usypany wokół głazów i powolny, palący dech wewnętrznych ogni czerwia.

„Co jest tak osobliwego w tym miejscu, by je uczynić celem wędrówki czerwia?” – pomyślała.

Cztery śledzące ich ornitoptery ustawiły się w szyku nad nimi. Łopot ich skrzydeł i syk silników odrzutowych zagłuszały chwilami pomruki czerwia.

„Czy powinnam je wezwać?” – zastanawiała się Odrade. Wystarczyłby gest. Zamiast tego uniosła ręce na znak, by maszyny pozostały w górze.

Nadciągnął wieczorny chłód. Dreszcz przeniknął Odrade, przystosowała więc swój metabolizm do nowych wymagań. Była pewna, że czerw ich nie pochłonie, kiedy jest z nimi Sziena, ale sposób, w jaki dziewczyna kontrolowała sytuację, pozostawał dla niej tajemnicą.

Sziena odwróciła się od czerwia.

– Chce, byśmy tu zostali – powiedziała.



Niczym na sygnał, czerw odwrócił od nich łeb i przemknął między porozrzucanymi głazami. Słyszeli, jak uchodzi w pustynię.

Odrade patrzyła na starożytną ścianę. Wkrótce miały zapaść ciemności, lecz długi pustynny zmierzch pozostawiał wciąż dość światła, by wyjaśnić, dlaczego stwór przyniósł ich właśnie tutaj. Sięgająca wysoko szczelina po prawej wyglądała na miejsce nie mniej od innych zasługujące, by je zbadać. Poświęcając część uwagi zachowaniu Waffa, Odrade wspięła się po piaszczystym skłonie ku ciemnemu otworowi. Sziena dotrzymywała jej kroku.

– Po cośmy tu przyszły, Matko Wielebna?

Odrade pokręciła głową. Słyszała, że Waff podąża za nimi.

Szczelina przed nią była mrocznym otworem w ciemność. Odrade przystanęła i zatrzymała Szienę. Otwór miał około metra szerokości i czterokrotnie większą wysokość. Boki były dziwnie gładkie, jak wygładzone ludzkimi rękami. Piasek sypał się do wnętrza. Refleksy blasków zachodu na wydmach złociły jedną stronę wejścia.

– Co to za miejsce? – przemówił Waff spoza nich.

– Wiele jest takich starych jaskiń – odrzekła Sziena. – Fremeni ukrywali w nich przyprawę. – Wciągnęła powietrze przez nos. – Czujesz ją, Matko Wielebna?

Odrade przytaknęła. Zapach przyprawy był wyraźny.

Waff ruszył mimo Odrade ku szczelinie. Obrócił się tam, oglądając zbiegające się w górze pod ostrym kątem ościeża. Zwrócony twarzą ku Odrade i Szienie, cofnął się głębiej. Poszły za nim. Nagle, wśród syku piasku, Waff zniknął im z oczu. W tej samej chwili piasek wokół Matki Wielebnej i dziewczyny popłynął ku szczelinie, ciągnąc je ze sobą. Odrade chwyciła Szienę za rękę.

– Matko! – krzyknęła dziewczyna.

Głos odbił się echem od niewidzialnych skalnych ścian, kiedy zsuwały się w ciemność po długiej pochyłości. Piasek niósł je, aż w końcu łagodnie się zatrzymały. Zasypana do kolan Odrade wydobyła się i pociągnęła za sobą Szienę na twardą powierzchnię.

Dziewczyna zaczęła mówić, ale Odrade przerwała jej:

– Słuchaj!

Piasek poskrzypywał. Coś ruszało się po lewej.

– Waff?

– Zasypało mnie do pasa. – Głos miał przerażony.

– Bóg tak chciał! – rzekła sucho Odrade. – Czuję skałę pod stopami. Wygrzeb się ostrożnie. Nie trzeba nam nowej lawiny!

Kiedy jej oczy oswoiły się z ciemnością, Odrade spojrzała w górę stoku, po którym spadły. Otwór wejściowy był odległą złocistą szczeliną wysoko nad nimi.

– Boję się, Matko Wielebna – szepnęła Sziena.

– Zmów *Litanie przeciw strachowi* – rozkazała Odrade. – I bądź cicho. Nasi przyjaciele wiedzą, że tu jesteśmy. Pomogą nam się wydostać.

– Bóg nas tu przywiódł – rzekł Waff.

Odrade nie odpowiedziała. Zaciśnęła usta, gwizdnęła wysokim tonem i nasłuchiwała ech. Słuch mówił jej, że znajdują się w rozległej przestrzeni z czymś w rodzaju niskiej przegrody za nimi. Odwróciła się plecami do wąskiej szczeliny i znów gwizdnęła.

Ta niska przegroda była około stu metrów przed nimi.

Odrade uwolniła rękę z dłoni Szieny.

– Zostań tu, proszę. Waff?

– Słyszę ornitoptery – powiedział.

– Wszyscy je słyszymy – odrzekła Odrade. – Lądują. Wkrótce otrzymamy pomoc. Tymczasem zostańcie, gdzie stoicie, i milczcie. Potrzebuję ciszy.

Gwizdząc, nasłuchując ech i ostrożnie stawiając stopy, Odrade torowała sobie drogę w ciemność. Wyciągnięta dłoń napotkała kamienną płaszczyznę. Sięgała jej zaledwie do pasa. Za przegrodą była pustka. Echa gwizdów mówiły, że przestrzeń tam jest mniejsza i częściowo zamknięta.

– Matko Wielebna! Jesteś tam? – zawołał ktoś z wysoka.

Odrade odwróciła się, osłoniła usta dłońmi i krzyknęła:

– Cofnijcie się! Osunęliśmy się w głąb jaskini! Przynieście światło i długą linę!

Mała ciemna sylwetka zniknęła z dalekiego otworu. Światło w górze gasło. Odrade opuściła dłonie i przemówiła w ciemność:

– Szieno? Waff? Zbliżcie się do mnie o dziesięć kroków i czekajcie.

– Gdzie jesteśmy, Matko Wielebna? – spytała Sziena.

– Cierpliwości, dziecko.

Waff mamrotał coś. Rozpoznała słowa starożytnego Islamiyatu. Modlił się. Już nie próbował ukryć przed nią swego pochodzenia. To dobrze! Wierzący był dla niej naczyniem do napełnienia słodyczą Missionaria Protectiva.

Tymczasem jednak pochłaniało ją badanie tego miejsca, do którego przyniósł ją czerw. Zbadała dotykiem przegrodę. Jej szczyt był gładki. Krzywizna ściany odchylała się od niej. Nagle Inne Wspomnienia podsunęły jej obraz: „*Basen łowny!*”

Był to zbiornik, w którym Fremen gromadzili wodę. Odrade wciągnęła powietrze, szukając śladów wilgoci. Powietrze było suche jak pieprz.

Ze szczeliny wystrzeliło w dół jasne światło, rozpraszając ciemności. Ktoś wołał z wejścia i Odrade rozpoznała jedną z sióstr.

– Widzimy cię!

Odrade odstąpiła od przegrody i odwróciła się. Waff i Sziena stali jakieś sześćdziesiąt metrów od niej, oglądając otoczenie. Sala była z grubsza okrągła, dwustumetrowej średnicy. Skalna kopuła zamykała się wysoko nad ich głowami. Obejrzała się, badając przegrodę: tak, basen łowny Fremenów. Widziała kamienną wysepkę pośrodku, gdzie trzymano pojmanego czerw, by móc w każdej chwili zepchnąć go do wody. Inne Wspomnienia odtworzyły tę śmierć, źródło przyprawowej trucizny używanej w orgiach Fremenów.

Niski łuk przesłaniał ciemną przestrzeń za przeciwległym brzegiem basenu. Widoczny był przelew, którym woda spływała z oddzielacza wiatru. Mógł tam być zespół zbiorników wody, bogactwa starożytnego plemienia. Teraz już знаła nazwę tego miejsca.

– Sicz Tabr – szepnęła.

Te słowa uruchomiły potok wspomnień. W czasach Muad'Diba miejsce to należało do Stilgara. „Dlaczego czerw przyniósł nas do siczy Tabr?”

Jakiś czerw zabrał Szienę do Kin. Żeby inni mogli ją poznać? Co zatem można było poznać tutaj? Czy żyli tu jacyś ludzie, tam, w ciemnościach? Odrade nie wyczuwała oznak życia w tamtym kierunku.

Jej siostra u wejścia przerwała te myśli.

– Musiałyśmy prosić o dostarczenie liny z Dar-es-Balat! Ludzie z muzeum mówią, że to zapewne sicz Tabr! Myśleli, że została zniszczona!

– Przyślijcie mi światło, bym mogła ją zbadać – zawołała Odrade.

– Kapłani proszą, żebyśmy ją zostawili nietkniętą!

– Przyślijcie mi światło!

Ciemny przedmiot zsunął się po stoku. Odrade posłała po niego Szienę. Dotknięcie włącznika i jasny promień światła przeszył ciemność pod łukiem poza basenem. „Tak, jest tam kilka basenów”. A za pierwszym wycięta była

w skale wąska klatka schodowa. Stopnie prowadziły w górę, zakrzywiając się i ginąc z oczu.

Odrade pochyliła się i szepnęła do ucha Szienie:

– Uważaj na Waffa. Jeśli pójdzie za nami, wołaj.

– Tak, Matko Wielebna. Dokąd idziemy?

– Muszę obejrzyć to miejsce. Przyniesiono mnie tu w jakimś celu. – Podniosła głos, zwracając się do Waffa: – Waff, zaczekaj tu, proszę, na linę.

– Dlaczego szepczecie? Dlaczego mam czekać? Co robisz? – dopytywał się Tleilaxanin.

– Modlę się – odparła Odrade. – Teraz muszę iść dalej w tej pielgrzymce sama.

– Dlaczego?

Odpowiedziała mu w starym języku Islamiyatu:

– Tak jest napisane.

„To go zatrzymało!”

Odrade powiodła Szienę zwawo ku skalnym schodom.

Dziewczyna, starając się dotrzymać jej kroku, powiedziała:

– Musimy opowiedzieć ludziom o tym miejscu. Jaskinie dawnych Fremenów są bezpieczne przed Szejtanem.

– Bądź cicho, dziecko – rzuciła Odrade. Skierowała światło na schody. Zakręcały w skale, kierując się stromo w prawo. Zawahała się. Uczucie zagrożenia, które miała na początku tej przygody, powróciło jeszcze silniejsze. Było prawie namacalne.

„Co jest tam, w górze?”

– Zaczekaj tu, Szieno – poleciła. – Nie pozwól Waffowi iść za mną.

– Jak mam go powstrzymać? – Sziena obejrzała się z lękiem na Tleilaxanina.

– Powiesz mu, że Bóg chce, żeby został. Powiesz mu to tymi słowy... – Odrade nachyliła się nad nią i powtórzyła te słowa w starożytnym języku Waffa. – Nie mów nic więcej. Stań mu na drodze i powtórz to, jeżeli spróbuje przejść.

Sziena powtórzyła cicho nowe słowa. Pamiętała je. Była bystra.

– On się ciebie boi – powiedziała Odrade. – Nie robi ci krzywdy.

– Tak, Matko Wielebna. – Sziena odwróciła się, skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na Waffa.

Kierując światło przed siebie, Odrade ruszyła w górę schodami. „Sicz Tabr! Jaką niespodziankę zostawiłeś tu dla nas, stary czerwiu?”

W długim, niskim korytarzu u szczytu schodów Odrade natknęła się na pierwsze z mumifikowane ciała. Było ich pięć, dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Zwłoki pozbawione były jakichkolwiek oznak czy odzieży. Obnażone pozostawiono, by je wysuszyło powietrze pustyni. Skóra i mięśnie przyległy do kości w wyniku odwodnienia. Ciała ułożono obok siebie, w poprzek przejścia. Odrade musiała przekraczać te makabryczne przeszkody.

Idąc, oświetlała każde ciało. Ofiary zasztyletowano, wszystkie w ten sam sposób. Ostrze skierowane ku górze, wbito tuż pod mostkiem.

„Zabójstwo rytualne?”

Ciemne plamy znaczyły miejsca zadania ciosów. Przecięte tkanki rozsunęły się, wysychając. Odrade wiedziała, że nie są to zwłoki z czasów Fremenów. Fremeńskie alembiki śmierci spopielaly ciało, odzyskując wodę.

Oświetliwszy przestrzeń przed sobą, przystanęła, by ocenić położenie. Poczucie zagrożenia wzmoгло się po odkryciu zwłok. „Powinnam zabrać broń”. Ale to wzbudziłoby podejrzenia Waffa. Uporczywość wewnętrznego głosu nie pozwalała go wszakże pominąć. Ta pozostałość siczy Tabr była niebezpieczna.

Promień światła ujawnił następne schody u końca korytarza. Odrade ostrożnie ruszyła naprzód. Z pierwszego stopnia posłała światło w górę. Wąskie stopnie. Krótki bieg schodów w górę, w skale – i szersza przestrzeń na górze. Odwróciła się i przebiegła promieniem światła ściany korytarza. Były pełne szczerb i osmalone. Znów spojrzała w górę schodów.

„Co jest tam, w górze?”

Wciąż żywe było poczucie zagrożenia.

Wspinała się stopień za stopniem, często przystając. Dotarła do szerszego przejścia wykutego w rodzimej skale. Powitały ją liczne zwłoki porzucone w zamieszaniu, które było udziałem ostatnich chwil tych ludzi. Znów oglądała z mumifikowane, odarte z odzieży ciała. Leżały rozrzucone, było ich ze dwadzieścia. Obchodziła je ostrożnie. Niektóre nosiły ślady pchnięć nożem, jak tamte na niższym poziomie. Inne były pocięte i spalone promieniami laserów. Jedno pozbawiono głowy, a obciążnięta skórą czaszka leżała pod ścianą niczym piłka zapomniana w jakiejś straszliwej grze.

To nowe przejście prowadziło na wprost, mijając wejścia do mniejszych komnat po obu stronach. Nie dostrzegła w nich niczego godnego uwagi, oprócz strzępów materiału przyprawowego, kałuż stopionej skały i szklistych bąbli na posadzkach, ścianach i sufitach.

„Akt przemocy?”

Na posadzkach komnat widać było sugestywne plamy. Przelana krew? W jednej leżał w kącie stos brunatnych szat.

Był tam wszechobecny kurz, który wzbijały stopy Odrade.

Przejście kończyło się łukiem wychodzącym na półkę skalną. Posłała snop światła poza półkę. Była tam olbrzymia sala, o wiele większa niż tamta niżej. Strop sklepiony był tak wysoko, że musiał sięgać skalnego fundamentu wielkiego muru. Szerokie, niskie stopnie wiodły z półki na poziom sali. Odrade zeszła nimi i wstąpiła na posadzkę. Powiodła dokoła strumieniem światła. Sala miała wiele wyjść. Głazy zablokowały kilka z nich. Leżały też na półce i na rozległej posadzce.

Matka Komendantka wciągnęła powietrze. Wzniesiony jej stopami pył niósł niewątpliwie woń przyprawy. Ten zapach łączył się z poczuciem zagrożenia. Chciała opuścić to miejsce, pośpieszyć do swoich. Niebezpieczeństwo jednak pociągało. Dokąd? Musiała się przekonać.

Bądź co bądź, wiedziała, gdzie jest. Była to wielka sala zgromadzeń siczy Tabr, miejsce niezliczonych fremieńskich orgii przyprawowych i narad plemiennych. Tu przewodniczył obradom naib Stilgar. Tu przebywali Gurney Halleck, lady Jessika, Paul Muad'Dib i Chani, matka Ganimy. Tu Muad'Dib szkolił swoich bojowników. Tu bywał pierwszy Duncan Idaho... i pierwszy ghola Idaho!

W tym właśnie miejscu Tyran zgromadził skarb przyprawy. Zapisy Bene Gesserit mówiły, że skarb wypełniał aż po strop całą tę salę i wiele dookolnych przejść.

Wzrok Odrade podążał za światłem. Tam, wyżej, była Półka Naibów. Głębiej zaś – Półka Królewska, którą kazał wykuć Muad'Dib.

„A oto łuk, pod którym tu weszłam”.

Posłała strumień światła po posadzce, notując miejsca, w których poszukiwacze kuli i palili skały, by znaleźć legendarny skarb Tyrana. Większą jego część zabrały stąd rybomówny, gdy ghola Idaho, który był małżonkiem sławnej Siony, wykrył miejsce jego ukrycia. Zapisy mówiły, że późniejsi poszukiwacze znaleźli więcej ukrytych zapasów za fałszywymi ścianami i pod posadzkami. Było wiele sprawdzonych rachunków i potwierdzeń w Innych Wspomnieniach. Czasy Głodu widziały tu mnóstwo przemocy, gdy zdesperowani poszukiwacze walczyli o to miejsce. Mogło to wyjaśniać tajemnicę zwłok. Wielu biło się o samą tylko możliwość przeszukania siczy Tabr.

Odrade, jak ją nauczono, próbowała kierować się wyczuciem zagrożenia. Czy echa dawnych gwałtów żyły jeszcze w tych skałach po tylu tysiącletniach? Nie to ją niepokoiło – coś bliższego. Jej lewa stopa natrafiła na jakąś nierówność posadzki. Światło ukazało ciemną linię w pyle. Rozrzuciła go stopą, odsłaniając literę, a potem całe słowo wypalone falującym pismem.

Przeczytała to słowo po cichu, następnie zaś na głos.

– *Arafel*.

Znała to słowo. Matki Wielebne z czasów Tyrana wszczepiły je w świadomość Bene Gesserit, tropiąc jego źródłosłów w najbardziej starożytnych tekstach.

„*Arafel*: chmura ciemności na końcu wszechświata”.

Odrade poczuła zapierające dech nasilenie ostrzegawczych przeczuć. Ogniskowały się na tym jednym słowie.

„Święty wyrok Tyrana”, tak nazywali je kapłani. „Chmura ciemności świętego wyroku!”

Idąc wzdłuż słowa, Odrade zauważyła, że ostatni zawijas przechodzi w małą strzałkę. Spojrzała tam, gdzie ona wskazywała. Ktoś jeszcze zauważył strzałkę i wciął się w półkę skalną w miejscu, gdzie wskazywała. Strugi stopionej skały wychodziły niczym palce z tej półki, każdy palec wysuwał się z głębokiego wypalonego otworu.

Pochyliwszy się z lampą, zaglądała w otwory. Nic. Czuła jednak, że podniecenie poszukiwacza skarbów przemaga lęk. Miara bogactwa przechowywanego niegdyś w tej sali mogła oszołomić. Przyprawa pomieszczona w walizce wystarczała w złych czasach, by kupić planetę. A rybomówne roztrwoniły ten skarb w kłótniach, nieporozumieniach i głupich posunięciach, zbyt marnych, by je zanotowała historia. Chętnie więc przystały na przymierze z Ixem, kiedy Tleilaxanie złamali monopol przyprawowy.

„Czy jednak znaleziono wszystko? Tyran był jednak niezwykle pomysłowy”.

*Arafel*.

„Na końcu wszechświata”.

Czy to było jego przesłanie przez eony dla dzisiejszych Bene Gesserit?

Raz jeszcze omiotła salę promieniem, a potem skierowała światło w górę.

Strop stanowił prawie doskonałą półkulę. Wiedziała, że przedstawiał kiedyś widok nocnego nieba z wejścia do siczy Tabr. Od czasów jednak

Lieta-Kynesa, pierwszego planetologa Diuny, wymalowane na nim gwiazdy zniknęły wśród odprysków od drobnych wstrząsów sejsmicznych, zatarte przez upływ czasu.

Odrade oddychała szybciej. Nigdy wyraźniej nie czuła niebezpieczeństwa. Ostrzegawcze światło świeciło w niej jasnym blaskiem! Podbiegła wprost do stopni, którymi zeszła na posadzkę. Odwróciwszy się tam, skierowała myśli w przeszłość, każąc Innym Wspomnieniom odtworzyć wygląd tego miejsca. Wspomnienia napłynęły z wolna, a na sercu zaciążyło poczucie nieuchronnego przeznaczenia. Kierując promień światła w górę i spoglądając wzdłuż niego, rozmieściła te pradowe wspomnienia na scenie przed sobą.

„Świetliste punkty!”

Inne Wspomnienia zapalały gwiazdy na dawno nieistniejącym niebie! Po prawej pojawił się srebrno-żółty półkrąg słońca Arrakis. Wiedziała, że to zachód.

„Dzień Fremenów zaczyna się z nadejściem nocy”.

„*Arafel!*”

Kierując światło na znak zachodu słońca, wspięła się z powrotem po stopniach i przeszła skalną półką do miejsca, które widziała w Innych Wspomnieniach.

Nic nie pozostało z pradawnego słonecznego łuku.

Poszukiwacze odłupywali ścianę, w której kiedyś był. Bąble lśniły tam, gdzie jakiś palnik przeszedł po ścianie. Żaden wyłom nie wchodził w pierwotną skałę.

Ucisk w piersi mówił jednak Odrade, że waha się na krawędzi odkrycia. Tu wszak przywiodło ją jej światło przewodnie!

„*Arafel...* na końcu wszechświata. Poza zachodzącym słońcem!”

Poświeciła w prawo i w lewo. Po lewej otwierało się wejście do kolejnego korytarza. Kamienie, które je kiedyś blokowały, leżały na skalnej półce. Z bijącym sercem wcisnęła się w to wejście i znalazła się w małym przedsionku z wyjściem zablokowanym przez stopione skały. Po prawej, dokładnie za wyobrażeniem słońca, odkryła małe pomieszczenie przesycone zapachem przyprawy. Weszła do niego i zobaczyła więcej śladów kucia i palenia na ścianach i suficie. Poczucie zagrożenia było tu wręcz przygniatające. Odmówiła po cichu *Litanie przeciw strachowi*, omiatając światłem pomieszczenie. Było kwadratowe, o boku długości około dwóch metrów, ze stropem wiszącym pół metra nad jej głową. W nozdrzach



pulsował zapach cynamonu. Kichnęła i mrugając, dostrzegła nieznaczne przebarwienie podłogi przy progu.

Jeszcze jeden ślad dawnych poszukiwań?

Kiedy się schyliła, zrozumiała, że mignął jej tylko cień czegoś wrytego głęboko w skale. Pył pokrywał to całkowicie. Uklękła i odgarnęła pył. Ryt był bardzo cienki i głęboki. Czymkolwiek był, pomyślano o jego przetrwaniu. Czy było to ostatnie przesłanie jakiejś zaginionej Matki Wielebnej? W wykonaniu było mistrzostwo właściwe Bene Gesserit. Powiodła opuszkami po rycie, odtwarzając w myślach jego przebieg.

Rozpoznanie pojawiło się nagle. Jedno słowo, wypisane w starożytnym języku chakobsa: „Tutaj”.

Nie było to zwyczajne *tutaj*, wskazujące jakieś zwykłe miejsce, ale *tutaj*, które należało wymawiać z naciskiem i emfazą, mówiące: „Znalazłeś mnie!” Bijące jak młotem serce Odrade uwydatniało jeszcze to znaczenie.

Postawiła lampę na posadzce przy kolanie i zaczęła sprawdzać próg przy tym starożytnym wezwaniu. Wyglądał na kamienny monolit, ale jej palce wykryły drobne pęknięcie. Naciskała to miejsce, zmieniając kilkakrotnie kąt nacisku, próbowała je przekreślić, obrócić, ponawiała starania.

Bez skutku.

Przysiadłszy na piętach, zastanawiała się nad położeniem.

– Tutaj.

Uczucie zagrożenia stało się przeszywające. Czuła, że przeszkadza jej oddychać.

Odsunęła lampę i położyła się na posadzce, by obejrzeć uważnie podstawę progu. „*Tutaj!*” Czy ma umieścić dźwignię przy napisie i podważyć próg? Nie... nie wskazano żadnego narzędzia. Rzecz pachniała Tyranem, nie Matką Wielebną. Spróbowała pchnąć próg w bok. Ani drgnął.

Spięta i rozczarowana, wstała i kopnęła próg za napisem. Poruszył się! Piasek zazgrzytał w jakimś mechanizmie nad jej głową.

Odrade odskoczyła w tył, a piasek sypał się przed nią kaskadą na posadzkę. Głęboki, dudniący dźwięk wypełnił pomieszczenie. Kamienie pod jej stopami zatrzęsły się. Posadzka pochyliła się ku wejściu, otwierając pustą przestrzeń pod ścianą z drzwiami.

Raz jeszcze Odrade spadała ku nieznanemu. Lampa ześlizgiwała się wraz z nią. Jej światło wirowało. Matka Wielebna widziała pod sobą zwały czegoś brązowego. Jej nozdrza wypełnił zapach cynamonu.

Wylądowała przy lampie na miękkim usypisku przyprawy. Otwór, przez który wpadła, był poza zasięgiem, jakieś pięć metrów nad nią. Porwała lampę. Światło ujawniło szerokie kamienne stopnie wycięte w skale obok otworu. Coś wypisane było na podstopnicach, lecz Odrade widziała przede wszystkim możliwość wyjścia. Pierwszy strach opadł, ale poczucie zagrożenia wręcz uniemożliwiało oddychanie, zmuszając mięśnie klatki piersiowej do nieustannego wysiłku.

Posłała światło lampy w lewo i w prawo. Była to długa komnata, leżąca dokładnie pod przejściem, którym wyszła z wielkiej sali.

Wypełniona była przyprawą!

Odrade oświeciła strop i zrozumiała, dlaczego żaden poszukiwacz opukujący posadzkę korytarza nad jej głową nie wykrył tej komnaty. Krzyżujące się żebra skalne przenosiły naprężenia w głąb kamiennych ścian. Uderzeniom odpowiadała echem skała.

Raz jeszcze spojrzała na przyprawę. Wiedziała, że stoi na prawdziwym skarbie, nawet przy cenach zaniżonych przez kadzie Tleilaxan. Musiał ważyć wiele tysięcy ton.

„Czy to skarb jest niebezpieczeństwem?”

Poczucie zagrożenia było tak samo przeszywające jak przedtem. To nie melanzu Tyrana powinna się lękać. Triumwirat przeprowadzi sprawiedliwy podział i to zakończy tę sprawę.

Pozostawało inne niebezpieczeństwo. Nie mogła się uchylać przed tym ostrzeżeniem.

Uwagę jej przyciągnął skrawek ściany ponad usypiskami przyprawy. Więcej słów! Znów w chakobsa, wyryte pięknym falującym pismem, widniało nowe przesłanie:

**MATKO WIELEBNA, KTÓRA CZYTAĆ BĘDZIESZ MOJE SŁOWA!**

Chłód nappełnił wnętrza Odrade. Ruszyła ze światłem w prawo, przekopując się przez bajkowy skarb melanzu. Przesłanie miało ciąg dalszy:

**PRZEKAZUJĘ CI MÓJ LĘK I MOJĄ SAMOTNOŚĆ. BĄDŹ PEWNA, ŻE CIAŁO I DUSZĘ BENE GESSERIT SPOTKA TEN SAM LOS CO WSZYSTKIE INNE CIAŁA I WSZYSTKIE INNE DUSZE.**

Kolejne słowa przesłania przyzywały z prawej. Brnęła przez nieprawdopodobne ilości przyprawy, aż przystanęła, by przeczytać:

**CZYMŻE JEST PRZETRWANIE, JEŻELI NIE PRZETRWA SIĘ W CAŁOŚCI? SPYTAJCIE O TO BENE TLEILAX! A JEŚLI NIE SŁYSZY SIĘ JUŻ MUZYKI ŻYCIA? WSPOMNIENIA NIE**

WYSTARCZAJĄ, CHYBA ŻE WZYWAJĄ WAS DO SZLACHETNEGO CELU!

Było tam jeszcze coś w wąskim kącie w narożniku. Odrade przebrnęła przez przyprawę i klękawszy, czytała:

DLACZEGO TWOJE ZGROMADZENIE NIE BUDUJE ZŁOTEGO SZLAKU? WIECIE, ŻE TO KONIECZNE. WASZE ZANIECHANIE SKAZUJE MNIE, BOGA IMPERATORA, NA TYSIĄCLECIA ROZPACZY.

Słowa „Boga Imperatora” nie były wyrażone w chakobsa, lecz w języku Islamiyatu, w którym niosły i jasno wyrażały dodatkowe znaczenie: „Waszego Boga i waszego Imperatora, bo tym mnie uczyniliście”.

Odrade uśmiechnęła się ponuro. To dopiero wpędziłoby Waffa w religijny szal! Im dalej się posuwał, tym łatwiej było wstrząsnąć jego pewnością.

Nie wątpiła w prawdziwość zarzutów Tyrana ani w koniec zgromadzenia zawarty w jego przepowiedni. Tu nieomylnie przywiódł ją wewnętrzny głos. I nie tylko on. Czerwie Rakis wciąż poruszały się do pradawnego taktu wybijanego przez Tyrana. Mógł drzemać w swym nieskończonym śnie, ale potworne życie, jakaś perła świadomości w każdym czerwiu, trwało, jak to kiedyś przepowiedział.

Co takiego powiedział zgromadzeniu w swoim czasie? Przypomniła sobie jego słowa:

„Kiedy odejdę, nazwaj mnie Szejtanem, Imperatorem Gehenny. Koło musi się jednak toczyć po Złotym Szlaku”.

Przypomniła sobie też słowa Tarazy:

„Czy nie zauważyłaś, że lud Rakis od tysiąca lat zwie go Szejtanem?”

Taraza wiedziała więc o tym. Nie czytając tych słów, wiedziała.

„Poznałam twój plan, Tarazo. Wiem teraz, jakie brzemień lęku dźwigałaś przez te wszystkie lata. Czuję to samo co ty”.

Odrade zrozumiała właśnie, że niepokój nie opuści jej już do końca jej dni, póki będą istnieć Bene Gesserit, póki nie zniknie zagrożenie...

Podniosła lampę, wstała i nie bez trudu dotarła poprzez melanż do szerokich schodów wiodących ku wyjściu. Przy schodach cofnęła się nagle. Na podstopniach wycięte były znów słowa Tyrana. Czytała je z drżeniem, idąc ku wyjściu.

MOJE SŁOWA SĄ WASZĄ PRZESZŁOŚCIĄ,

PYTANIA ME SĄ PROSTE:

Z KIM JESTEŚCIE W PRZYMIERZU?

Z TLEILAXANAMI, KTÓRZY UBÓSTWIAJĄ SAMYCH SIEBIE?  
Z BIUROKRACJĄ MOICH RYBOMÓWNYCH?  
Z GILDIA, WIECZNYM TUŁACZEM KOSMOSU?  
Z HARKONNENAMI ZBRO CZONYMI KRWIĄ OFIAR?  
Z DOGMATYCZKAMI WŁASNEGO CHOWU?  
CZYM BĘDZIECIE U KOŃCA SWEJ DROGI?  
CZY TYLKO TAJNYM STOWARZYSZENIEM?

Wchodząc po schodach, po raz drugi czytała pytania. Szlachetny cel? Jakże krucha to rzecz i jak łatwo ją zniszczyć! Władza zaś była w nieustannym zagrożeniu. Wypisane to było na schodach i na ścianach. Odrade nie trzeba było tego tłumaczyć. Sens słów Tyrana był jasny:

„Idźcie za mną!”

Znalazłszy w małym pomieszczeniu wąską półkę wiodącą ku drzwiom, Odrade spojrzała raz jeszcze w dół, na skarb. Musiała podziwiać mądrość Tarazy. Oto, jak mogło skończyć zgromadzenie. Taki mają koniec bogactwo i władza. Trzeba wykonać plan Tarazy, nawet ryzykując los zgromadzenia.

„Jakże kruche wybrałyśmy narzędzia!” Ta dziewczyna czekająca w komorze pod pustynią, ta dziewczyna i ten ghola przygotowywany do przybycia na Rakis.

„Mówię teraz twoim językiem, stary czerwiu. Nie ma on słów, ale znam jego ducha”.



*Nasi ojce jedli mannę na pustyni,  
Na płonącej równinie, wśród powietrznych trąb.  
Panie, ocal nas od kraju tego.  
Ocal nas, Panie, ach o-o-ocal  
Od kraju suszą udręczonego.*

– *Pieśni Gurneya Hallecka, muzeum w Dar-es-Balat*

Teg i Duncan, obaj uzbrojeni po zęby, wyszli z Lucyllą z komory pozaprzestrzennej wprost w najzimniejszą godzinę nocy. Gwiazdy lśniły nad ich głowami jak ostrza szpilek, powietrze trwało w absolutnym bezruchu, który zmąciły dopiero ich kroki.

W nozdrza Tega uderzył zapach śniegu z lekką domieszką stęchlizny, wyczuwalną przy każdym kolejnym wdechu. Przy wydechu wokół ich twarzy powstawały gęste obłoczki pary.

Mróz wycisnął łzy z oczu Duncana. Gdy szykowali się do opuszczenia komory pozaprzestrzennej, myślami był przy starym Gurneyu, Gurneyu z policzkiem naznaczonym harkonneńskim biczem z krwawinu. „Przydałby się teraz zaufany przyjaciel” – pomyślał. Nie ufał zbyt Lucylli, a Teg był już stary, bardzo stary. Duncan widział, jak jego oczy lśnią w świetle gwiazd.

Przerzuciwszy przez lewe ramię ciężką, starodawną rusznicę laserową, Duncan wcisnął zmarznięte dłonie do kieszeni. Zapomniał już, jak straszliwie zimna potrafi być ta planeta. Lucylla zdawała się nie odczuwać chłodu, jak gdyby czerpała ciepło z jednej ze sztuczek Bene Gesserit.

Patrząc na nią, Duncan zdał sobie sprawę, że nigdy do końca nie ufał żadnej z tych czarownic, nawet samej lady Jessice. Najłatwiej było uważać je za zdrajczynie, wyzute z lojalności wobec kogokolwiek oprócz zgromadzenia. Miały tak piekielnie *dużo* sztuczek i tajemnic! Lucylla dała sobie wprowadzić spokój z uwodzeniem, bo dobrze wiedziała, że mówił wtedy poważnie, i aż czuł, jak wrze w niej gniew. „Niech się gniewa!”

Teg zamarł, nasłuchując z natężoną uwagą. Czy dobrze robi, polegając na tym jedynym planie, jaki udało im się ułożyć z Burzmalim? Nie mieli żadnego wsparcia. Czy to zaledwie osiem dni temu podjęli tę decyzję? Wydawało się, że znacznie dawniej, choć czas tak naglił w trakcie przygotowań. Zerknął na Duncana i Lucyllę. Ghoła niósł ciężką harkonneńską rusznicę laserową, długi model do walki w polu. Nawet zapasowe ładunki do niej były bardzo ciężkie. Lucylla nie chciała wziąć żadnej broni oprócz małego pistoletu laserowego, który ukryła w staniku. Ładunek wystarczy jej zaledwie na jeden strzał. Zabawka dla asasynów.

– My, członkinie zgromadzenia, znane jesteśmy z tego, że idziemy w bój uzbrojone jedynie we własne umiejętności – powiedziała. – Zarzucenie tego obyczaju byłoby niegodne.

W pochwach na udach miała jednak noże. Teg widział je i przypuszczał, że są zatrute.

Baszar zważył w dłoni własną długą broń: najnowszy polowy model rusznicy laserowej, który zabrał z twierdzy. Przez ramię przewieszony miał bliźniaczy egzemplarz starej rusznicy dźwiganej przez Duncana.

„Muszę wierzyć Burzmalemu – pomyślał. – Sam go wyszkoliłem, znam jego wartość. Jeśli mówi, że możemy zaufać tym nowym sprzymierzeńcom, to im zaufamy”.

Burzmali był wyraźnie szczęśliwy z odnalezienia swego starego dowódcy całego i zdrowego.

Od ich ostatniego spotkania spadł jednak śnieg; jego nieskażona połać rozciągała się teraz wszędzie wokół nich – *tabula rasa*, na której zapisany zostanie każdy ich krok. Nie brali tego pod uwagę. Czyżby w Nadzorze Pogody też byli zdrajcy?

Teg zadrżał. Powietrze było bardzo zimne, jak przestrzeń międzyplanetarna, i przejrzyste, tak że światło gwiazd bez przeszkód docierało do leśnej polany. Ich blask wyraźnie odbijał się od pokrytej śniegiem ziemi i muśniętych białą skał. Ciemne zarysy świerków i nagie gałęzie drzew liściastych lśniły tam, gdzie przyprószył je śnieg. Cała reszta ginęła w mroku.

Lucylla chuchnęła na palce i nachylając się do Tega, wyszeptała:

– Czy nie powinien już tu być?

Wiedział, że nie o to chciała zapytać. „Czy można ufać Burzmalemu?” To było jej prawdziwe pytanie. Zadawała je, w ten czy inny sposób, odkąd osiem dni temu Teg wyłożył jej cały plan.

Mógł odpowiedzieć jedynie:

– Postawiłem na to swoje życie.

– Nasze również!

Baszarowi też nie podobały się piętrzące się niewiadome, jednak powodzenie każdego planu w dużej mierze zależało od umiejętności osób, które go realizowały.

– To ty upierałaś się, że musimy się stąd wydostać i lecieć na Rakis – przypomniał. Miał nadzieję, że widziała jego uśmiech, który winien złagodzić ostrość słów.

Nie uspokoiło jej to. Teg nigdy jeszcze nie widział tak wyraźnie zdenerwowanej Matki Wielebnej. Denerwowałyby się jeszcze bardziej, gdyby wiedziała o ich nowych sprzymierzeńcach! Oczywiście pozostawał wciąż fakt, że nie zdołała w pełni wykonać powierzonego jej przez Tarazę zadania. Jakże musiało ją to dręczyć!

– Przysięgaliśmy chronić gholę – przypomniała mu.

– Burzmali przysięgał tak samo jak my.

Teg zerknął na Duncana stojącego cicho pomiędzy nimi. Zdawał się nie słyszeć tej wymiany zdań, nie podzielał też ich zdenerwowania. Z nieruchomych rysów wyzierał pradawny spokój. Wsłuchiwał się w noc... i baszar zdał sobie sprawę, że to właśnie powinni teraz robić wszyscy troje. Na młodej twarzy gholi malowała się dziwna dojrzałość.

„Jeśli kiedykolwiek potrzebowałem zaufanych przyjaciół, to właśnie teraz!” – stwierdził Duncan. Jego myśli pobiegły wstecz, do czasów Giedi Prime, do jego korzeni, kiedy nie był jeszcze gholą. Wtedy noc taką jak ta nazywano „nocą Harkonnenów”. Unosząc się bezpiecznie w swych ciepłych dryfowych zbrojach, Harkonnenowie zabawiali się w takie noce polowaniem na poddanych. Raniona ofiara mogła na tym mrozie umrzeć z zimna. „Harkonnenowie dobrze to wiedzieli! Niech będą przeklęci!”

Wyczuwając jego nastrój, Lucylla rzuciła mu spojrzenie, które mówiło: „Mamy jeszcze do dokończenia pewną sprawę, ty i ja”.

Duncan zwrócił twarz ku gwiazdom, by w ich świetle mogła zobaczyć jego pewny siebie, wyzywający uśmiech. Przeszył ją dreszczem. Chłopiec zsunął z ramienia ciężką rusznicę i sprawdził ją. Spostrzegła wijący się wzdłuż lufy i po kolbie starodawny ornament. Broń była może archaiczna, ale i tak wyglądała na wystarczająco śmiertelnośną. Duncan oparł rusznicę o lewe ramię, zaciskając prawą dłoń wokół chwytu, z palcem na spuście – dokładnie tak, jak Teg trzymał swoją nowoczesną.

Lucylla odwróciła się od towarzyszy, by zbadać zbocze wzgórza, na którym się znajdowali. Nie zdążyła nawet jednak obrócić się do końca, gdy powietrze wokół nich wybuchło serią dźwięków: huk potężnych eksplozji rozerwał ciszę nocy gdzieś na prawo, potem nastąpiła krótka przerwa i znów strzały, tym razem z dołu stoku. Cisza. Kolejne strzały – ze zbocza nad ich głowami, ze wszystkich stron!

Już w pierwszej chwili ostrzału skulili się za skałami przy wylocie jaskini prowadzącej do komory pozaprzestrzennej.

Hałasy rozdzierające nocne powietrze były z początku trudne do zdefiniowania: przeraźliwa wrzawa broni maszynowej zmieszana z krzykiem, jękami i świstem. Co jakiś czas podziemne dudnienie sprawiało, że grunt drżał. Teg znał te dźwięki – wokół nich toczyła się bitwa. Słyszał syk wypalaczy, strzały z rusznic laserowych znaczyły nocne niebo jasnymi smugami.

Coś rozbłysło nad nimi, rozsiewając snop błękitnych i czerwonych iskier. Następny, i jeszcze jeden! Ziemia drżała pod ich stopami. Teg wciągnął

powietrze przez nos: zapach płonącego kwasu i lekka woń czosnku.

„Statki pozaprzestrzenne! Całe mnóstwo!”

Ładowały w dolinie poniżej wejścia do starożytnej komory.

– Z powrotem do środka! – rozkazał Teg.

Już jednak gdy to mówił, wiedział, że jest za późno. Ze wszystkich stron biegli ku nim ludzie. Teg uniósł swą długą rusznicę i wycelował w dół stoku, ku najbliższej i najgłośniejszej grupie atakujących. Dobiegały stamtąd zgiełk i krzyki, lumisfery unosiły się między drzewami, oświetlając drogę tym, którzy pięli się po zboczu. Tańczące światła zbliżały się coraz bardziej, pchane chłodnym podmuchem wiatru, w ich chybottliwym blasku zaś widać było poruszające się ciemne sylwetki.

– Maskaradnicy – mruknął Teg, rozpoznawszy napastników.

Sunące ku nim światła w niecałą minutę wychyną spośród drzew i oświetlą ich pozycję!

– Zostaliśmy zdradzeni! – rzuciła Lucylla.

Ryk wielu głosów dobiegł ze stoku ponad ich głowami:

– Baszarze!!!

„Burzmali?” – zastanowił się Teg. Spojrzał w tamtą stronę, a potem w dół, na szybko zbliżających się maskaradników. Nie było czasu na zastanawianie się. Nachylił się ku Lucylli.

– Burzmali jest nad nami. Bierz Duncana i biegnij!

– A jeżeli...

– To wasza jedyna szansa!

– Głupiec! – rzuciła, wstając posłusznie.

– Owszem – odparł Teg, co tylko zwiększyło jej obawy. Oto były skutki polegania na cudzych planach!

Myśli Duncana biegły innym torem. On wiedział, co zamierza Teg – chciał się poświęcić, by dać im szansę ucieczki. Zawahał się, patrząc na zbliżających się napastników.

– To rozkaz! – ryknął baszar, widząc to. – Jestem twoim dowódcą!

Lucylla nigdy nie słyszała z ust mężczyzny czegoś bardziej zbliżonego do Głosu. Patrzyła na Tega w niemym zdumieniu.

Duncan widział tylko twarz księcia Leto nakazującą mu posłuszeństwo. To wystarczyło. Chwycił Lucyllę za rękę, ale nim pchnął ją przed sobą w górę zbocza, rzekł jeszcze:

– Otworzymy z góry ogień i będziemy osłaniać twój odwrót.



Teg nie odpowiedział. Gdy Lucylla i Duncan ruszyli, skulił się za ośnieżoną skałą. Wiedział, że musi drogo sprzedać życie, a ponadto chciał zaskoczyć wroga czymś *nieoczekiwanym*. Niech zapamiętają pożegnanie starego baszara.

Napastnicy przyspieszyli kroku, wymieniając podekscytowane okrzyki.

Nastawiwszy rusznicę laserową na maksymalną moc, Teg nacisnął spust. Łuk energii omiół zbocze pod jego stopami. Drzewa wybuchły płomieniem i waliły się, ludzie krzyczeli. Przy tym natężeniu ognia bateria rusznicy nie wytrzyma długo, na razie jednak spełniła swoje zadanie: w nagłej ciszy, która zapadła po tym strzale, Teg zdążył zmienić pozycję i kryjąc się za kolejną skałą po lewej, znów posłał płomienną serię w dół pociemniałego stoku. Tylko parę lumisfer ocalało z pierwszej fali zniszczenia, która niosła po zboczu fragmenty płonących pni i zmasakrowanych ciał.

Odpowiedzią na ogień był jeszcze głośniejszy wrzask. Teg odwrócił się i ruszył na czworakach pomiędzy skałami na drugą stronę wejścia do jaskini komory pozaprzestrzennej. Stąd wznowił ostrzał, kierując go na przeciwległy stok. Znów wrzask, płomienie i walące się pnie drzew.

Żadnego ognia w odpowiedzi.

„Chcą wziąć nas żywcem!”

Tleilaxanie gotowi byli poświęcić każdą liczbę maskaradników, byle tylko ładunek jego rusznicy wreszcie się wyczerpał!

Teg poprawił na ramieniu starą harkonneńską rusznicę laserową, tak by w każdej chwili była gotowa do użycia. Wyrzucił prawie już rozładowaną baterię nowoczesnej rusznicy, załadował nową i oparł broń o skałę. Wątpił, czy będzie miał okazję raz jeszcze ją przeładować. Na razie niech myślą, że skończyły mu się ładunki. W ostateczności u pasa miał wciąż dwa krótkie harkonneńskie pistolety laserowe. Na niewielki dystans będą doskonałe. Niech tylko zbliżą się mistrzowie Tleilaxan, sprawcy tej całej rzezi!

Ostrożnie podniósł rusznicę i cofnął się między wyższe skały, skręcając w lewo, a potem w prawo. Dwukrotnie zatrzymał się, by omieść stok pod sobą krótkimi seriami, jak gdyby oszczędzał ładunki. Nie widział sensu w ukrywaniu się – do tej pory na pewno namierzyli go już biowykrywaczem, a poza tym zostawiał przecież ślady na śniegu.

„*Coś nieoczekiwanego!*” Czy uda mu się zwabić ich bliżej?

Nieco powyżej wejścia do jaskini znalazł w skale głębszą szczelinę o dnie zasypanym śniegiem. Wsunął się do niej, podziwiając doskonałe pole ostrzału, jakie się stąd otwierało. Rozejrzał się, by ocenić nową kryjówkę:

z tyłu osłonięta była przez wyższe ściany skalne, otwarta we wszystkich trzech kierunkach, w których opadało zbocze. Wysunął ostrożnie głowę, próbując ocenić sytuację powyżej skał chroniących mu tyły.

Tylko cisza.

Czy ów krzyk rzeczywiście wydali ludzie Burzmalego? Nawet jeśli tak, to nie było żadnej gwarancji, że Duncan i Lucylla zdołają się w końcu z tego wydostać. Wszystko zależało teraz od Burzmalego.

„Czy jest tak pomysłowy, jak zawsze sądziłem?”

Nie było już czasu na dalsze rozważania lub zmianę czegokolwiek. Bitwa trwała, a on włączył się do gry i postawił wszystko na jedną kartę. Teg wziął głęboki oddech i wyrzwał zza skały w dół.

Tak jak myślał, napastnicy przegrupowali się już i wznowili atak. Tym razem w ciszy i bez lumisfer, które zdradzały tylko ich pozycje. Żadnych okrzyków zachęty. Teg oparł lufę rusznicy o skałę i omiół stok od lewej do prawej jednym długim, ognistym łukiem, pozwalając baterii wyczerpać się.

W ciszy zdjął z ramienia i odbezpieczył starą harkonneńską rusznicę. Będą myśleli, że pobiegł już w górę zbocza. Skulił się jak mógł za skałami, mając nadzieję, że gdzieś ponad nim porusza się dość ludzi, aby zmylić biowykrywacze. Słyszał głosy dobiegające z pogorzeliska w dole. Liczył cicho, oceniając odległość. Z doświadczenia wiedział, ile czasu zajmie im podejście w zasięg jego ognia. Nasłuchiwał też dźwięków, które dobrze znał z wcześniejszych doświadczeń z Tleilaxanami: wyszczekiwanymi ostrymi, wysokimi głosami komend.

Są!

Mistrzowie byli dalej, niż się spodziewał. Okropne stworzenia! Teg nastawił starą rusznicę na maksymalną moc i nagłym skokiem opuścił skalną kryjówkę.

Ujrzał nadciągających łukiem maskaradników, oświetlonych luną płonących drzew i zarośli. Piskliwe komendy słychać było z tylnych linii, do których nie docierały migotliwe pomarańczowe płomienie.

Celując ponad pierwszymi szeregami atakujących, w mrok poza linią płomieni, Teg nacisnął spust. Dwa długie promienie omiotły zbocze od brzegu do brzegu. W pierwszej chwili zaskoczyła go niszczycielska moc, jaką kryła w sobie ta antyczna broń. Od początku wiedział, że rusznica jest prawdziwym arcydziełem w swojej klasie, ale w komorze pozaprzestrzennej nie miał okazji jej wypróbować.

Tym razem krzyk był inny: piskliwy i z nutą szaleństwa!

Teg wymierzył niżej i dosłownie zmiotł nadciągających maskaradników ze stoku, dając im odczuć pełną moc laserowej wiązki. Niech wiedzą, że nowoczesna rusznica nie była jego jedyną bronią. Wodził śmiercionośnym łukiem tam i z powrotem, nie zwalniając spustu, tak by zdążyli dokładnie zobaczyć, jak rusznica rozładowuje się i gaśnie w ostatnim rozbłysku.

Teraz! Raz już udało mu się ich zwabić całkiem blisko, więc będą ostrożniejsi. Może zdoła jeszcze dogonić Duncana i Lucyllę. Wiedziony tą myślą Teg odwrócił się i porzucając swą skalną kryjówkę, ruszył pod górę. Przy piątym kroku poczuł, że wbiega w ścianę gorąca. Zdążył jeszcze pojąć, co się właśnie wydarzyło: dostał obezwładniającą serię z głuszaka prosto w twarz i klatkę piersiową! Strzał padł z góry, prawie dokładnie z miejsca, w które posłał Duncana i Lucyllę. Żal wypełnił Tega, nim ostatecznie osunął się w mrok.

Inni również zrobili coś *nieoczekiwanego*!



Wszystkie zorganizowane religie stają przed tym samym problemem, czułym punktem, przez który możemy do nich dotrzeć i nagiąć je do naszych celów. Problem ten jest następujący: Jak odróżnić pychę od objawienia?

– Missionaria Protectiva, *Nauki dla wtajemniczonych*

Odrade starannie omijała wzrokiem prostokąt chłodnej zieleni, w którym Sziena siedziała z jedną z sióstr nauczycielek. Była to najlepsza trenerka, precyzyjnie dobrana do wprowadzenia Szieny w następny etap nauki. Taraza wybrała je wszystkie bardzo starannie.

„Realizujemy dalej twój plan – pomyślała Odrade. – Czy przewidziałas jednak, Matko Przełożona, jaki wpływ będzie na nas miało przypadkowe odkrycie na Rakis?”

Tylko czy był to przypadek?

Odrade popatrzyła nad dachami niższych budynków ku masywnym murom głównej twierdzy zgromadzenia na Rakis. Jej tęczowe dachówki smażyły się w oślepiającym południowym słońcu.

„To wszystko nasze”.

Wiedziała, że jest to największa ambasada, jaką kapłani pozwolili wznieść w swym świętym mieście Kin. A jej obecność w tej fortecy Bene Gesserit łamała umowę, jaką zawarła z Tuekiem. Wtedy nie wiedziała wszakże, co odkryje w siczynie Tabr. Poza tym Tueka już tak naprawdę nie było. To maskaradnik przechadzał się po świątynnych salach, prowadząc swą ryzykowną grę.

Odrade wróciła myślami do Waffa stojącego za nią między dwiema siostrami strażniczkami. Czekał przy drzwiach tego prywatnego apartamentu o oknach ze zbrojonego plazu, z których rozciągał się przepiękny widok. Pokój umeblowany był na czarno, tak że szaty Matki Wielebnej prawie całkowicie wtapiały się w tło, ukazując gościowi jedynie jaśniejszy owal jej twarzy.

Czy właściwie oceniła Waffa? Działała ściśle według nauk Missionaria Protectiva. Czy wyłom w jego wewnętrznym pancerzu był już dostatecznie duży? Wkrótce Tleilaxanin odczuje potrzebę mówienia. Wtedy będzie wiedziała.

Waff stał spokojnie. Obserwowała jego odbicie w plazie. Zdawał się nie rozumieć, że dwie wysokie, ciemnowłose siostry tkwiące po jego bokach mają zapobiec wszelkim jego gwałtownym ruchom. Na pewno jednak dobrze to wiedział.

„To moje strażniczki, nie jego”.

Pochylał głowę, żeby ukryć przed nią twarz, ale zdawała sobie sprawę, że czuje się niepewnie. Jakże mogłoby być inaczej? Niepewność jest jak głodne zwierzę, a ona dobrze karmiła te jego wątpliwości. Był taki pewny, że wyprawa na pustynię zakończy się dlań śmiercią. Teraz jego suficko-zensunnicka wiara mówiła mu, że ocaliła go wola Boga.

Odrade wiedziała, że Waff inaczej patrzy teraz na porozumienie z Bene Gesserit, zdawszy sobie sprawę, jak skompromitował swój lud i na jakie straszliwe zagrożenie wystawił bezcenną cywilizację Tleilaxan. Jego spokój był pozorny i wiele go kosztował, chociaż dostrzec to mogły jedynie oczy Bene Gesserit. Wkrótce przyjdzie pora na skierowanie jego świadomości na ścieżki bardziej zgodne z potrzebami zgromadzenia. Na razie jednak niech jeszcze trochę dojrzeje.

Znów skupiła się na widoku z okna, by dzięki zwłoce zwiększyć napięcie. Bene Gesserit wybrały na lokalizację ambasady to właśnie miejsce z powodu rozległych rozbudów i unowocześnień, które całkowicie zmieniły oblicze północno-wschodniej części starego miasta. Tu mogły budować

i zmieniać, co tylko chciały, po swojemu i dla własnych celów. Starożytne gmachy, projektowane z myślą o poruszających się pieszo mieszkańcach, szerokie aleje dla urzędowych pojazdów, rozsiane tu i tam place, na których mogły lądować ornitoptery – wszystko to zostało zmienione.

„Idziemy z duchem czasu”.

Nowe budynki stały znacznie bliżej alei obsadzonych wysokimi, egzotycznymi drzewami, które ostentacyjnie pochłaniały olbrzymie ilości wody. Lądowiska ornitopterów przeniesiono na dachy wybranych budowli. Chodniki biegły wąskimi rampami przylegającymi do ścian budynków. Nowe gmachy wyposażone były w uruchamiane za pomocą monet, kluczy lub zamków papilarnych windy, których lśniące pola siłowe przyciemniono za pomocą ciemnobrązowych, półprzeźrystych zasłon. Szyby wind odcinały się ciemniejszymi smugami od szarych płaszczyzn plaszbetonu i plazu. Ledwie widoczne w ich tubach ludzkie sylwetki wyglądały jak nieczystości, przesuwane się w górę i w dół przeźrystych jelit.

„Wszystko to w imię nowoczesności”.

Za jej plecami Waff poruszył się i odchrząknął.

Odrade nie odwróciła się. Strażniczki wiedziały, o co jej chodzi, i trwały w bezruchu. Wzrastający niepokój Tleilaxanina potwierdzał, że wszystko szło jak należy.

Odrade jednak nie czuła wcale, że wszystko naprawdę idzie dobrze.

Widok z okna odebrała jako kolejny z niepokojących ją objawów na tej niepokojącej planecie. Tuek był przeciwny modernizacji miasta. Pamiętała, jak nalegał, żeby ją jakoś powstrzymać i zachować starożytny układ zabudowy. Maskaradnik, który go zastąpił, ciągnął ten spór.

Jakże podobny do najwyższego kapłana był ten nowy! Czy maskaradnicy myśleli samodzielnie, czy tylko grali powierzone im przez mistrzów role? Czy ci nowi też byli bezpłodni? Na ile różnili się od prawdziwych ludzi?

Ta zamiana martwiła Odrade.

Doradcy fałszywego Tueka, tkwiący głęboko w „tleilaxańskim spisku”, otwarcie popierali program modernizacji i byli zachwyceni, że wreszcie postawili na swoim. Albertus regularnie donosił Odrade o wszystkim. Każdy kolejny raport bardziej ją martwił, niepokoiła ją nawet gorliwa służalczość Albertusa.

– Doradcy nie mają oczywiście na myśli *publicznego* wsparcia – mówił.

Mogła się tylko z tym zgodzić. Zachowanie doradców świadczyło o silnym poparciu ze strony średnich warstw kapłańskich, karierowiczów,

którzy na prywatnych przyjęciach pozwalali sobie na żarty z Podzielonego Boga... i tych, których ułagodzono skarbem znalezionym przez Odrade w siczy Tabr.

Dziewięćdziesiąt tysięcy ton! Półroczny zbiór z rakańskiej pustyni. Nawet trzecia część tego stanowiła w nowym układzie sił ważny argument przetargowy.

„Żałuję, że cię w ogóle spotkałam, Albertus”.

Chciała kiedyś sprawić, by znów mu zależało. Zamiast tego – a różnica była oczywista dla znajdującego nauczanie Missionaria Protectiva – stworzyła *plaszczącego się pochlebcę!*

Nie miało już znaczenia to, że służalczość Albertusa wynikała z absolutnego przekonania o jej świętych związkach z Szieną. Odrade nigdy nie rzuciło się tak wyraźnie w oczy, jak łatwo metody Missionaria Protectiva niszczyły ludzką niezależność. To był oczywiście ich główny cel: „Uczyńcie z nich czcicieli uległych wobec naszych żądań”.

Słowa Tyrana z ukrytej komnaty obudziły w niej coś więcej niż tylko lęk o przyszłość zgromadzenia.

„PRZEKAZUJĘ CI MÓJ LĘK I MOJĄ SAMOTNOŚĆ”.

Pomimo otchłani wieków, jaka ich dzieliła, zdołał zasiać w niej wątpliwości równie silne jak te, które ona wzbudziła w sercu Waffa.

Widziała wciąż jego pytania tak wyraźnie, jakby były wypisane świetlistymi literami pod jej powiekami.

„Z KIM JESTEŚCIE W PRZYMIERZU?”

„Czyżbyśmy byli jedynie tajnym stowarzyszeniem? Jaki czeka nas koniec? Czy zadławi nas odór dogmatów, które same stworzyliśmy?”

Słowa Tyrana wryły się w jej świadomość. Gdzie był „szlachetny cel” wszystkich poczynań zgromadzenia? Odrade prawie słyszała cierpką odpowiedź Tarazy na nękające ją pytania:

„Przetrwanie, Dar! Nie potrzebujemy więcej szlachetnych celów. Przetrwanie! Nawet Tyran to wiedział!”

Być może wiedział to także Tuek. I co mu w końcu z tego przyszło?

Odrade darzyła ostatniego najwyższego kapłana gorącą sympatią. Tuek był wspaniałym produktem mocno związanej ze sobą rodziny. Nawet jego imię wiele mówiło – niezmienione od czasów rządów Atrydów na Rakis. Założyciel rodu był przemytnikiem, zaufanym pierwszego księcia Leto. Tuek pochodził z rodziny, która mocno trzymała się swych korzeni, powtarzając: „Nasze dziedzictwo warte jest zachowania”. Przykład dawany

swym potomnym przez członków tego rodu nie umknął uwagi Matki Wielebnej.

„A jednak zawiodłeś, Tuek”.

Widomym znakiem porażki kapłana były rozciągające się za jej oknem nowoczesne budynki, jawne ustępstwo wobec rosnących w siłę warstw rakańskiego społeczeństwa – tych samych, które zgromadzenie żeńskie od tak dawna wspierało i wzmacniało. Dla Tueka zwiastowały one szybkie zbliżanie się dnia, w którym będzie już za słaby, by powstrzymać efekty postępującej modernizacji:

Krótszy i wyrazistszy rytuał.

Nowe pieśni, bardziej zgodne z duchem nowych czasów.

Zmiany w tańcach („Tradycyjne tańce są takie długie!”).

Przede wszystkim jednak rzadsze wyprawy na niebezpieczną pustynię dla młodych postulików z potężnych rodów.

Odrade westchnęła i spojrzała za siebie na Waffa. Mały Tleilaxanin gryzł dolną wargę. „Dobrze!”

„Niech cię diabli, Albertus! Wolałabym, żebyś się buntował!”

Za zamkniętymi drzwiami świątyni trwała już dyskusja nad zmianami uprawnień najwyższego kapłana. Nowocześni mieszkańcy Rakis mówili, że „trzeba iść z duchem czasu”, chcąc przez to powiedzieć: „Dajcie nam większą władzę”.

„Zawsze tak się to odbywa – pomyślała Odrade. – Nawet w Bene Gesserit”.

Nie mogła jednak nie pomyśleć jednocześnie: „Biedny Tuek”.

Albertus doniósł jej, że tuż przed śmiercią i zastąpieniem go przez maskaradnika Tuek ostrzegł swych krewnych, iż po jego zgonie rodzina może nie utrzymać kontroli nad urzędem najwyższego kapłana. Okazał się bardziej zaradny i przenikliwy, niż przypuszczali jego wrogowie. Jego rodzina już ściągała należności od dłużników, zabezpieczając środki potrzebne do utrzymania się przy władzy.

A twarz maskaradnika grającego rolę najwyższego kapłana zdradzała niejedno. Rodzina Tueka nie wiedziała jeszcze o zamianie, a maskaradnik był tak dobry, że można było niemal uwierzyć, iż nigdy nie nastąpiła. Bliższa obserwacja zdradzała jednak wiele czujnym oczom Matek Wielebnych. To przez to między innymi Waff cierpiał teraz takie katusze.

Odrade odwróciła się nagle na pięcie i podeszła do mistrza Tleilaxan.

„Czas wziąć się do niego!”

Zatrzymała się dwa kroki przed Waffem i wpatrzyła w niego surowo. Waff dzielnie wytrzymał to spojrzenie.

– Miałeś dość czasu, by rozważyć swą pozycję – rzuciła oskarżycielsko. – Dlaczego nadal milczysz?

– Moją pozycję? Myślisz, że dajesz nam jakiś wybór?

– „Człowiek jest tylko kamykiem rzuconym do stawu” – przytoczyła cytat z jego świętych ksiąg.

Waff wciągnął drżąc powietrze. Wypowiadała właściwe słowa, ale co się za nimi kryło? Nie brzmiały już tak dobrze, gdy wychodziły z ust *powindah*.

Gdy Waff nie odpowiadał, Odrade cytowała dalej:

– „A skoro człowiek jest tylko kamykiem, to wszystkie jego dzieła nie mogą być niczym więcej”.

Mimowolny dreszcz przeszył Odrade, dreszcz, który przyciągnął pełne tajonego zdumienia spojrzenia czujnych sióstr strażniczek. Takiego dreszczu nie miało być w przedstawieniu.

„Dlaczego w takiej chwili myślę o słowach Tyrana?” – zastanawiała się Odrade.

„CIAŁO I DUSZĘ BENE GESSERIT SPOTKA TEN SAM LOS CO WSZYSTKIE INNE CIAŁA I WSZYSTKIE INNE DUSZE”.

Haczyk wbił się w nią głęboko.

„Co uczyniło mnie tak podatną i wrażliwą?” Odpowiedź narzuciła się natychmiast: „*Manifest Atrydów!*”

„Te słowa, układane pod czujnym okiem Tarazy, uczyniły we mnie ten wyłom”.

Czyżby taki był cel Tarazy: osłabić pewność siebie Odrade? Skąd jednak mogła wiedzieć, co znajdą na Rakis? Matka Przełożona nie tylko nie miała żadnych proroczych zdolności, ale wręcz unikała korzystania z usług tych, które je miały. W rzadkich chwilach, gdy prosiła Odrade o spojrzenie w przyszłość, jej brak przekonania był wyraźnie widoczny dla wytrenowanego oka Bene Gesserit.

„A mimo to obudziła we mnie wrażliwość”.

Czy był to tylko przypadek?

Odrade zaczęła odmawiać *Litanie przeciw strachowi*. Zajęło jej to tylko chwilę, lecz w tym czasie Waff najwyraźniej zdążył podjąć decyzję.

– Naciskacie nas – rzekł – ale nie wiecie, jaką broń zachowaliśmy na taką chwilę. – Podniósł rękawy, ukazując miejsca po wyrzutniach strzałek. – To jedynie liche zabawki w porównaniu z naszą prawdziwą bronią.



– Zgromadzenie nigdy w to nie wątpiło – odparła Odrade.  
– Ma więc dojść do otwartej walki między nami?  
– Wybór zostawiam tobie – odrzekła.  
– Dlaczego szukasz konfrontacji? – W jego głosie pojawiła się histeria. Siostry strażniczki wzmożyły czujność.

– Są tacy, którzy wiele by oddali, byle zobaczyć Bene Gesserit i Bene Tleilax skaczących sobie do gardeł – powiedziała Odrade. – Nasi wrogowie z radością zgarną łupy, kiedy my nawzajem doprowadzimy się do upadku.

– Wysuwasz argumenty na rzecz sojuszu, ale nie dajesz mojemu ludowi żadnej szansy negocjacji! Może twoja Matka Przełożona nie upoważniła cię do rozmów!

Jakaż kusząca była myśl o oddaniu wszystkiego w ręce Tarazy, zgodnie zresztą z jej życzeniem. Odrade zerknęła na siostry strażniczki. Ich nieruchome twarze nie zdradzały absolutnie niczego. Ile naprawdę wiedziały? Czy zorientują się, gdy zaczną działać wbrew rozkazom Tarazy?

– Masz takie pełnomocnictwa? – nalegał Waff.

„Szlachetny cel – myślała Odrade. – Złoty Szlak Tyrana pokazał nam co najmniej jedną dobrą stronę takiego celu”.

Zdecydowała się na kreatywną prawdę.

– Mam – rzekła. Jej słowa zamieniły to w prawdę. Wystąpiwszy oficjalnie w imieniu zgromadzenia, uniemożliwiła Tarazie wyparcie się jej poczynań. Odrade wiedziała, czuła, że jej słowa nadały sprawom bieg zdecydowanie rozbieżny z kierunkiem wytyczonym przez Matkę Przełożoną.

„Niezależne działania”. Dokładnie to, czego na próżno oczekiwała od Albertusa. „To ja jestem na scenie i ja wiem, jakie są potrzeby chwili”.

Spojrzała na strażniczki.

– Zostańcie tu, proszę, i zadbajcie, by nam nie przeszkadzano – powiedziała, do Waffa zaś rzekła: – Usiądźmy wygodnie. – I wskazała dwa psie fotele ustawione pod kątem prostym w drugim końcu pokoju.

Zaczekała z podjęciem rozmowy, aż usiedli.

– Musimy być ze sobą szczerzy, znacznie bardziej, niż zazwyczaj pozwala na to dyplomacja. Stawka jest zbyt duża, byśmy się bawili w czcze dyskusje.

Waff spojrział na nią dziwnie.

– Wiemy, że w szeregach waszej najwyższej rady doszło do rozłamu. Poczyniono nam zawołowane propozycje. Czy to również...

– Jestem lojalna wobec zgromadzenia – odrzekła. – Nawet te, które się z wami skontaktowały, nigdy nie służyły nikomu innemu.

– Czy to kolejna sztuczka, mająca...  
– Żadnych sztuczek!  
– Z Bene Gesserit zawsze można się spodziewać podstępu – rzucił Waff oskarżycielsko.

– Czego się boisz? Nazwij to.  
– Może dowiedziałem się tu zbyt wiele, abyś pozwoliła mi ujść z życiem.  
– Czy nie powinnam powiedzieć tego samego? – spytała. – Kto poza nami wie, co naprawdę nas łączy? To nie *powindah* z tobą rozmawia!

Nie była pewna, czy dobrze robi, używając tego słowa, lecz wrażenie, jakie wywarło, nie mogło być bardziej widoczne. Waff był wstrząśnięty. Dochodził do siebie dłuższą chwilę. Wątpliwości jednak całkiem go nie opuściły; sama je przecież w nim zasiała.

– Czego dowodzą słowa? – zapytał. – Wciąż możesz wykorzystać to, czego się ode mnie dowiedziałaś, i zostawić nas z niczym. Wciąż trzymasz bicz nad naszą głową.

– To nie ja noszę strzałki w rękawach! – odpowiedziała Odrade.

– Ale wiesz dość, by nas zniszczyć! – Obejrzał się na strażniczki przy drzwiach.

– One też są moją bronią – zgodziła się Odrade. – Mam je odesłać?

– A razem z nimi to, co tu usłyszały? – Spojrzał na nią nieufnie. – Najlepiej byłoby, gdybyście wszystkie odesłały gdzieś wasze wspomnienia!

Odrade nastroiła głos na najbardziej rzeczowy ton.

– Co byśmy zyskały, ujawniając wasz zapal szerzenia wiary, zanim będziecie gotowi? Czy odniosłybyśmy jakąkolwiek korzyść, gdybyśmy zrujnowały waszą reputację, ujawniając, gdzie umieściliście nowych maskaradników? Owszem, wiemy o Ixie i rybomównych. Odkąd miałyśmy okazję przyjrzeć się bliżej waszym nowym produktom, szukałyśmy ich dokładnie.

– Sama widzisz! – rzucił z urazą.

– Dowieść ci naszej dobrej woli mogę tylko w jeden sposób: ujawniając wam równie kompromitującą tajemnicę – odparła Odrade.

Waff zaniemówił. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

– Mamy zamiar osiedlić czerwie Proroka na niezliczonych planetach Rozproszonych – powiedziała. – Ciekawe, co powiedzieliby i zrobili rakańscy kapłani, gdybyście im to zdradzili?

Siostry strażniczki spojrzały na nią z ledwie skrywanym rozbawieniem. Były przekonane, że kłamie.

– Nie mam tu żadnej straży – zauważył Waff – a kiedy tylko jedna osoba zna niebezpieczny sekret, bardzo łatwo uciszyć ją na wieki.

Pokazała mu puste rękawy sukni.

On w odpowiedzi spojrzał na siostry przy drzwiach.

– Dobrze więc – powiedziała Odrade i spoglądając ku strażniczkom, posłała im dyskretny sygnał dłonią na znak, że wszystko w porządku. – Zaczekajcie na zewnątrz, siostry.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Waff wrócił do nękających go wątpliwości.

– Moi ludzie nie przeszukiwali tych pokoi. Skąd mogę wiedzieć, co tu ukryłyście, by zapisać nasze słowa?

Odrade przeszła na język Islamiyat.

– Może wobec tego powinniśmy mówić w innym języku, znanym tylko nam.

Oczy Waffa rozbłysły.

– Zgoda! – odpowiedział w tym samym języku. – Zaryzykuję. Proszę, byś ujawniła mi prawdziwy powód rozłamu w szeregach Bene Gesserit.

Odrade pozwoliła sobie na uśmiech. Wraz ze zmianą języka zmieniła się cała osobowość Waffa, cała jego postawa... tak jak tego oczekiwała. W *ty*m języku nie zaszczepiono mu żadnych wątpliwości!

– Niektóre siostry mają głupie obawy, że stworzymy następnego Kwisatz Haderach! – odparła z równą pewnością siebie.

– Nie ma już przecież teraz takiej potrzeby – powiedział Waff. – Ten, który był w wielu miejscach naraz, pojawił się i odszedł. Narodził się tylko po to, by dać nam Proroka.

– Bóg nie zesłałby nam dwukrotnie tego samego znaku – zgodziła się.

Właśnie takie rzeczy Waff słyszał często w ojczystym języku. Nie wydawało mu się już dziwne, że powiedziała je kobieta. Język i znajome słowa wystarczyły.

– Czy śmierć Schwangyu przywróciła jedność w waszych szeregach? – zapytał.

– Mamy wspólnego wroga – odparła Odrade.

– Dostojne Matrony!

– Mądrze zrobiłeś, zabijając je i ucząc się od nich.

Waff pochylił się ku niej, dając się całkowicie porwać atmosferze rozmowy i melodii znajomego języka.

– One rządzi za pomocą seksu! – wybuchnął. – Dzięki nieprawdopodobnym umiejętnościom potęgowania orgazmu! My... – Za późno zdał sobie sprawę, kto właściwie siedzi przed nim i słucha tych rewelacji.

– Znamy takie techniki od dawna – zapewniła go Odrade. – Ciekawie byłoby je porównać, my jednak nigdy nie byliśmy tak głupie, by budować swą władzę na tak niebezpiecznych podstawach. Te dziwki popełniają wielki błąd!

– Błąd? – spytał zdumiony.

– Same trzymają wodze. Im bardziej wzrośnie ich władza, tym więcej wysiłku będą musiały włożyć w jej utrzymanie. Wszystko to runie pod własnym ciężarem.

– Władza, nic tylko władza – zamruczał Waff pod nosem. Nagle nasunęła mu się inna myśl. – Chcesz powiedzieć, że tak właśnie upadła władza Proroka?

– On wiedział, co robi – odrzekła. – Tysiąclecia wymuszonego pokoju, po nich zaś Czasy Głodu i Rozproszenie. Jego przesłanie było jasne. Pamiętaj: on nie zniszczył ani Bene Tleilax, ani Bene Gesserit.

– Co masz nadzieję zyskać na przymierzu z nami? – zapytał Waff.

– Nadzieja to jedno, a przetrwanie drugie – odparła.

– Jak zawsze, praktyczne – zauważył Tleilaxanin. – A więc niektóre z was boją się, że stworzycie na Rakis nowego Proroka o tak samo nieograniczonej władzy?

– Czyż nie to właśnie powiedziałam? – Język Islamiyatu pozwalał nadawać pytaniom szczególną moc i znaczenie. Teraz też przeniósł ciężar szukania odpowiedzi na Waffa.

– Nie widzą więc ręki Boga w tym, że stworzyliście Kwisatz Haderach. Czyżby wąpiły także w Proroka?

– Dobrze, będę z tobą całkowicie szczerą – rzekła Odrade, podsuwając Waffowi obmyślane wcześniej starannie kłamstwo. – Schwangyu i jej zwolenniczki wyparły się Wielkiej Wiary. Nie mamy do Bene Tleilax żalu o ich śmierć. Oszczędziliście nam fatygi.

Waff przyjął to bez najmniejszych wątpliwości. W zaistniałych okolicznościach mógł się spodziewać dokładnie czegoś takiego! Zdawał sobie sprawę, że wyjawiał wiele sekretów, które lepiej byłoby utrzymać w tajemnicy, wciąż jednak pozostawały sprawy, o których Bene Gesserit nie miały pojęcia. A ileż się w zamian dowiedział!

Właśnie wtedy Odrade zaskoczyła go całkowicie.

– Jeśli myślisz, że wasi potomkowie wracają z Rozproszenia niezmienieni, to znak, że zawładnęła tobą głupota.

Waff milczał.

– Masz wszystkie potrzebne dane – kontynuowała. – Wasi potomkowie należą teraz do dziwek Rozproszonych. A jeżeli sądzisz, że *one* pójdą na jakąkolwiek ugodę, twoja głupota jest wprost nie do pojęcia!

Po minie Waffa zorientowała się, że ma go w ręku. Fragmenty układanki wracały na swoje miejsca. Powiedziała mu tę część prawdy, którą uznała za konieczną. Jego uwaga i wątpliwości zostały znów skierowane tam, gdzie powinny: na Rozproszonych. A wszystkiego tego dokonała w jego języku.

Próbował przemówić, ale gardło miał tak ściśnięte, że zmuszony był je wcześniej rozmasować.

– Co możemy zrobić?

– To oczywiste. Utraceni widzą w nas po prostu kolejną zdobycz. Chcą posprzątać po sobie. Zwykła ostrożność.

– Ale jest ich tak wielu!

– Jeśli nie połączymy sił, by stawić im czoło, pochłoną nas tak, jak świmak pożera swą karmę.

– Nie poddamy się nieczystym *powindah*! Bóg do tego nie dopuści!

– Poddamy się? A kto mówi o poddaniu?

– Bene Gesserit zawsze przecież powtarzają tę odwieczną śpiewkę: „Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich”.

Odrade uśmiechnęła się ponuro.

– Bóg nie dopuści, byście wy się poddali? Czyżbyś sądził, że nam na to pozwoli?

– Jaki więc macie plan? Co możecie zdziałać przeciw takim masom?

– Dokładnie to, co sam planowałeś: nawrócić ich. Powiedz słowo, a zgromadzenie żeńskie otwarcie przyjmie prawdziwą wiarę.

Waff milczał oszołomiony. Więc jednak znała sedno planu Bene Tleilax. Czy wiedziała również, jak zamierzali wprowadzić go w życie?

Odrade przyglądała mu się badawczo. „Jeśli musisz, łap bestię za jaja” – pomyślała. A jeśli wnioski analityczek zgromadzenia były błędne? W takim wypadku całe te *negocjacje* byłyby farsą. Na dodatek dostrzegła w oczach Waffa ten dziwny wyraz, jakby pradażnej mądrości... O wiele starszej niż jego ciało. Przemówiła znacznie pewniej, niż się w tej chwili czuła:

– Są tacy, którzy wiele by zapłacili za informacje o tym, jakich to gholi hoduje w tajemnicy w swoich zbiornikach.

Sens tych słów był dyskretnie zaszyfrowany (czyżby ktoś ich podsłuchiwał?), Waff nie wątpił jednak nawet przez chwilę, że Bene Gesserit znają nawet ten ich sekret.

– W tym też będziecie chciały mieć udział? – zapytał. Słowa z trudem przechodziły mu przez zaschnięte gardło.

– We wszystkim! Chcemy mieć udział we wszystkim.

– A co wy wniesiecie do podziału?

– Proś, o co chcesz.

– Wszystkie wasze kartoteki genetyczne.

– Są wasze.

– Płodne matki, które sami wybierzemy.

– Powiedz tylko które.

Waffowi zabrakło tchu. To było o wiele więcej, niż oferowała mu Matka Przełożona. Jego świadomość otwierała się jak kwiat. Miała naturalnie rację co do Dostojnych Matron... i co do powracających z Rozproszenia potomków Tleilaxan. Sam nigdy do końca im nie ufał. Nigdy!

– Będziecie oczywiście chciały nieograniczonego dostępu do melanżu – powiedział.

– Oczywiście.

Patrzył na nią, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Kadzie aksolotłowe zapewnią nieśmiertelność jedynie tym, którzy wyznają Wielką Wiarę. Nikt nie ośmielił się próbować zdobyć siłą cennej technologii, wiedząc, że Tleilaxanie woleliby ją zniszczyć, niż utracić. A teraz miał na swoje usługi najpotężniejszą i najstarszą organizację misjonarską, jaka kiedykolwiek istniała! Widać w tym było rękę Boga!

Waff, z początku oszołomiony, poczuł nowe natchnienie i przemówił łagodnie do Odrade:

– Matko Wielebna, jak nazwiesz nasze wspólne przedsięwzięcie?

– Szlachetny cel – odparła. – Widziałeś słowa Proroka w siczy Tabr. Czyżbyś w nie wątpił?

– Nigdy! Jednak... jest jeszcze jedna sprawa. Co chcecie zrobić z gholą Duncana Idaho i tą dziewczyną, Szieną?

– Skojarzymy ich, oczywiście. Ich potomkowie zaś przemówią w naszym imieniu do wszystkich dzieci Proroka.

– Na wszystkich planetach, na które ich pošlemy!

– Na wszystkich planetach – przytaknęła.

Waff rozparł się wygodnie w fotelu. „Mam cię, Matko Wielebna! – pomyślał. – To my będziemy rządzić tym przymierzem. Ghola nie jest wasz. On należy do nas!”

Odrade spostrzegła w jego oczach cień rezerwy, nie śmiała jednak dalej ryzykować. Jeszcze słowo, a obudzi w nim podejrzenia. Cokolwiek się zdarzy, zgromadzenie było teraz w to wplątane. Taraza nie będzie już mogła wyprzeć się nowego sojuszu.

Tleilaxanin rozprostował ramiona w geście dziwnie młodzieńczym w porównaniu ze starożytną mądrością patrzącą mu z oczu.

– Ach, jeszcze jedno – rzucił, będąc znów w każdym calu mistrzem mistrzów przemawiającym we własnym języku i przywykłym do wydawania rozkazów. – Czy pomożecie nam rozprowadzać ten... *Manifest Atrydów*?

– Dlaczego nie? To ja go napisałam.

Waff aż podskoczył.

– Ty?

– Uważasz, że ktoś o mniejszych umiejętnościach byłby w stanie to zrobić?

Skinął głową, przekonany o prawdziwości tych słów. Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, ukoronowanie ich sojuszu: potężne umysły Matek Wielebnych będą teraz służyć Tleilaxanom radą na każdym kroku! Co z tego, że było ich tak niewiele w porównaniu z dziwkami Rozproszonych? Nikt nie mógł się mierzyć z ich mądrością i niedoścignionymi umiejętnościami w walce.

– Tytuł manifestu pozostaje prawdziwy – rzekła Odrade. – Naprawdę pochodzę z rodu Atrydów.

– Czy zechciałabyś być jedną z naszych matek? – zaryzykował pytanie.

– Jestem już właściwie za stara, ale możesz mną rozporządzać.



*Pamiętam druhów z wojen; wszyscy je zapomnieli,  
Wszystkie się przesączyły w krew ich i naszych ran.  
Ran, które znaczą miejsca, gdzie bili się i ginęli.  
Zapomnijmy o wojnach, nigdyśmy ich nie chcieli.  
Tyleśmy utracili, a co zyskali tam?*

Burzmali oparł swój plan na informacjach otrzymanych od Milesa Tega, sobie jednak pozostawił decyzję co do ostatecznego wyboru jednego z wielu wariantów i pozycji do odwrotu. To był przywilej dowódcy. Teren rozpracował oczywiście bardzo dokładnie.

W czasach Starego Imperium, a nawet pod rządami Muad'Diba, obszary otaczające twierdzę Gammu porośnięte były lasami, tworząc górszą enklawę wznoszącą się sporo ponad oleiste osady, które pokrywały zazwyczaj ziemie użytkowane przez Harkonnenów. Tu właśnie Harkonnenowie uprawiali najwyższej klasy pilingitam, drzewo o niezmiennie wysokiej wartości, niezwykle cenione przez bogaczy. Od najdawniejszych czasów ludzie wykształceni lubili się otaczać przedmiotami wykonanymi ze szlachetnych gatunków drewna. Woleli je od masowo produkowanych sztucznych tworzyw, znanych wówczas jako polastyna, polaz i pormabat (później skrócone na tynę, laz i bat). Właśnie z dużej wagi, jaką w czasach Starego Imperium przywiązywano do wyrobów z prawdziwego drewna, wzięło się pogardliwe określenie biedaków lub członków ostatnich rodów.

„Trzy P” mówiono o tych, którzy zadowalali się tanimi kopiami wykonanymi z tworzyw sztucznych. Bogacze zmuszeni niekiedy do zastosowania pogardzanych trzech P pokrywali je wszędzie, gdzie było to możliwe, JP – „Jedynym P”, czyli pilingitatem.

Burzmali wiedział to wszystko, a nawet więcej, wysyłając swych ludzi na poszukiwanie pilingitamu rosnącego w strategicznym punkcie niedaleko komory pozaprzestrzennej. Drzewo to miało wiele zalet, które czyniły je ukochanym surowcem wszystkich artystów: w świeżo ściętym można było pracować jak w drewnach miękkich, gdy zaś poleżało i wyschło, samoczynnie twardniało i było praktycznie niezniszczalne. Łatwo wchłaniało farby, a po wykończeniu nowe zabarwienie wydawało się zupełnie naturalne. Pilingitam był w dodatku odporny na grzyby, a żaden znany owad nigdy nie uznał go za odpowiednie pożywienie. Co najważniejsze, był ognioodporny i – zwłaszcza w przypadku starych okazów – rozrastał się na zewnątrz wokół grubego, pustego w środku pnia.

„Zrobimy coś nieoczekiwanego” – powiedział swoim ludziom Burzmali.

Już w trakcie pierwszego przelotu nad tą okolicą zauważył charakterystyczne jasnozielone korony pilingitamów. Lasy tej planety zostały spustoszone i prawie w całości wycięte w Czasach Głodu, ale czcigodne sylwety „Jedynych P” wciąż górowały nad połaciami



zimozielonych przemysłowych gatunków, które zasadzono ponownie na rozkaz zgromadzenia żeńskiego.

Zwiadowcy Burzmalego wypatrzyli takie właśnie JP na grzbiecie wzgórza nad komorą pozaprzestrzenną. Jego rozłożysta korona obejmowała prawie trzy hektary lasu. Po południu krytycznego dnia Burzmali rozmieścił w pewnej odległości od tego miejsca fałszywe tropy, mające odciągnąć nieprzyjaciół, a obszerny, pusty pień pilingitamu kazał połączyć tunelem z pobliską rozpadliną przecinającą stok. Wewnątrz pnia założył stanowisko dowodzenia i zgromadził sprzęt, który miał pomóc im w ucieczce.

„Drzewo jest formą życia – wyjaśnił swoim ludziom. – Zmyli biowykrywacze”.

*Coś nieoczekiwanego.*

Burzmali ani przez chwilę nie zakładał, że jego ruchy zostaną niezauważone, ale mógł jedynie zapewnić sobie kilka wyjść awaryjnych na wypadek wykrycia.

Kiedy rozpoczął się atak, stwierdził, że przebiega zgodnie z jego przewidywaniami. Spodziewał się, że napastnicy wykorzystają statki pozaprzestrzenne i swą wielką przewagę liczebną, dokładnie tak jak podczas ataku na twierdzę Gammu. Analityczki zgromadzenia zapewniały go, że główne zagrożenie stanowią siły Rozproszonych, potomkowie Tleilaxan sprzymierzeni z dzikimi i brutalnymi kobietami, które kazały się nazywać Dostojnymi Matronami. Jego zdaniem nie była to z ich strony specjalna śmiałość czy zuchwalstwo, ale po prostu zbytnia pewność siebie. Prawdziwie zuchwali i śmiali byli za to żołnierze wyszkoleni przez Milesa Tega. Pocieszające było też to, że Teg potrafił improwizować w ramach nakreślonego wcześniej planu.

Burzmali śledził na ekranach wspinaczkę Duncana i Lucylli. Żołnierze w noktowizorach i hełmach z komunikatorami robili mnóstwo zamieszania w fałszywych kryjówkach, podczas gdy Burzmali z wybraną grupą ludzi obserwował zbliżających się napastników, nie zdradzając swojej pozycji. Teg z kolei odpierał atak tak gwałtownym ogniem, że jego poruszenia nietrudno było śledzić.

Burzmali zauważył z zadowoleniem, że Lucylla nie zwolniła kroku, usłyszawszy wzmagającą się wymianę ognia. Duncan za to próbował się zatrzymać i omal nie zaprzepaścił całego planu. Matka Wielebna uratowała sytuację, gdy dźgnąwszy go boleśnie w splot nerwowy, warknęła:

– Nie możesz mu pomóc!

Burzmali zaklął, gdy usłyszał wyraźnie jej słowa w słuchawkach hełmu. Inni też z łatwością mogli ją usłyszeć! Z drugiej strony i tak pewnie dawno już ją namierzili.

Wydał rozkazy przez wszczepiony w szyję poddźwiękowy mikrofon i zaczął się przygotowywać do opuszczenia kryjówki. Cały czas nie tracił z oczu zbliżających się Duncana i Lucylli. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jego ludzie przechwycą oboje, podczas gdy dwóch podstawionych na ich miejsce przebranych żołnierzy bez hełmów będzie kontynuować ucieczkę w kierunku fałszywych kryjówek.

Tymczasem Teg siał na stoku takie zniszczenie, że pojazd naziemny mógłby swobodnie przemknąć się tamtędy niezauważony.

Adiutant przerwał nagle skupienie Burzmalego.

– Dwóch napastników zachodzi baszara od tyłu! – zawołał.

Burzmali odepchnął go niecierpliwym ruchem ręki. Nie mógł teraz poświęcić ani chwili na myślenie o szansach Tega. Cały wysiłek musiał skierować na ratowanie gholi. Cały czas wpatrując się w biegnących, powtarzał w myślach:

„Szybciej! Biegnijcie szybciej, do cholery!”

Lucylla miała podobne przemyślenia, pchając Duncana do przodu i jednocześnie chroniąc jego tyły. Każdy jej nerw, napięty do ostateczności, nastawiony był na zaciekły opór. W tej godzinie próby nie zawiodły jej doskonale wychowanie i wyszkolenie. „Nigdy się nie poddawaj!” Poddanie oznaczało przekazanie wszystkich swych wspomnień wspólnej świadomości Matek Wielebnych... albo ich całkowitą utratę. Nawet Schwangyu zrehabilitowała się na końcu i stawiawszy wrogom zaciekły opór, poniosła bohaterską śmierć zgodnie z chlubną tradycją Bene Gesserit – walcząc do samego końca. Teg dowiedział się o tym od Burzmalego. Lucylla, mobilizując siły niezliczonych mieszkających w niej poprzedniczek, pomyślała: „Nie mogę uczynić mniej!”

Wskoczyła za Duncanem do płytkiej rozpadliny u stóp ogromnego pilingitamu. Nagle z ciemności wokół nich wyłonili się żołnierze i błyskawicznie powalili ich na ziemię. Mało brakowało, a odpowiedziałaby serią śmiercionośnych ciosów, ale jej reakcję opóźniło o parę uderzeń serca wyszeptane w chakobsa słowo „Przyjaciele!” Spostrzegła wtedy, jak z rozpadliny wyskoczyło dwóch podstawionych żołnierzy, którzy natychmiast podjęli ich ucieczkę w górę stoku. To bardziej niż jakiekolwiek słowa upewniło ją co do zamiarów i tożsamości ludzi przyciskających ich do

pachnącej zwiędłymi liśćmi ziemi. Kiedy zaś ludzie ci pchnęli Duncana, a potem ją do tunelu wiodącego wprost do pnia wielkiego drzewa, usilnie (i nadal w chakobsa) polecając im pośpiech, Lucylla wiedziała już, że bierze udział w brawurowej akcji w stylu Tega.

Duncan również to zrozumiał. W podziemnym wylocie tunelu zlokalizował ją po zapachu i wystukał na jej ramieniu wiadomość w starożytnym języku walki Atrydów: „Niech prowadzą”.

Forma tej wiadomości zaskoczyła ją, dopóki nie zdała sobie sprawy, że ghola musi przecież znać tę metodę porozumiewania się.

Otoczający ich ludzie w milczeniu odebrali Duncanowi nieporęczną rusznicę i wepchnęli uciekinierów do nieznanego Lucylli pojazdu. W ciemności rozbłysło krótkie czerwone światło.

– Nadjeżdżają! – rzucił swym ludziom Burzmali przez poddźwiękowy mikrofon.

Z rozmieszczonych na stoku kryjówek wypadło nagle dwadzieścia osiem wozów naziemnych i jedenaście polotopterów.

„Niezła dywersja” – pomyślał baszar.

Wyczuwszy zmianę ciśnienia w uszach, Lucylla domyśliła się, że właz został zamknięty. Czerwone światło znów rozbłysło w ciemnościach. Ładunki rozsadziły w pył osłaniający ich dotąd pień pilingitamu, a ich pojazd, pancerny wóz terenowy, uniósł się niesiony dryfami i potężnym odrzutem silnika. Lucylla mogła śledzić trasę ich szalonej jazdy tylko po rozbłyskach ognia i zmieniających się pozycjach gwiazd widocznych przez owalne okienka z plazu. Otaczające ich pole dryfowe powodowało, że nie czuła żadnego ruchu i tylko wzrok upewniał ją, że podczas gdy oni są wtuleni w fotele, ich pojazd pędzi w dół stoku, przecinając linię oporu Tega oraz szarpiąc gwałtownie przy każdej zmianie kierunku. Pasażerowie, zupełnie nieczuli na nagłe podskoki i zwroty pojazdu, widzieli jedynie tańczące za oknami rozmyte sylwetki drzew, płonące zarośla, a w końcu gwiazdy.

Dotarli do skraju terenu spustoszonego przez Tega i jego rusznice. Dopiero wtedy Lucylla pozwoliła sobie na iskrę nadziei, że uda im się uciec. Nagle pojazd zadygotał i zwolnił. Widoczne przez okno gwiazdy zniknęły, a coś ciemnego przysłoniło tafłę plazu. Grawitacja powróciła i Lucylla spostrzegła w mdłym świetle, jak Burzmali gwałtownym szarpnięciem otwiera właz z lewej strony.

– Wychodźcie! – rzucił. – Nie ma chwili do stracenia!

Lucylla w ślad za Duncanem wyskoczyła na wilgotną ziemię. Burzmali pchnął ją w plecy i chwytając jednocześnie Duncana za ramię, odciągnął ich od wozu.

– Tędy, szybko!

Przedarli się przez zarośla na wąską, brukowaną drogę. Trzymając wciąż mocno, Burzmali przeprowadził ich pospiesznie na drugą stronę i wepchnął do rowu, gdzie na całą trójkę zarzucił płachtę abiotyczną. Sam wystawił głowę i spojrzał w kierunku, z którego nadbiegli.

Spoglądając mu przez ramię, Lucylla widziała światło gwiazd na ośnieżonym stoku. Poczuła, jak Duncan wierci się obok niej. Wysoko na zboczu rozpędzony pojazd naziemny z wyraźnie widocznymi na tle rozgwieżdżonego nieba głowicami silników odrzutowych, które ciągnęły za sobą ognistą smugę, wspinał się coraz wyżej i wyżej. Nagle gwałtownie skręcił w prawo.

– To nasz? – wyszeptał Duncan.

– Tak.

– Jak dostał się aż tam? Nie było tam przecież...

– Opuszczonym tunelem starego akweduktu – odpowiedział szeptem Burzmali. – Kierunek został wcześniej zaprogramowany. – Wpatrywał się w malejącą czerwoną smugę, z której wystrzelił nagle potężny rozbłysk błękitnego światła. Po chwili do ich uszu dobiegł głuchy huk.

– Aaach...! – odetchnął głęboko baszar.

– Mają pomyśleć, że przegrzałeś silniki – zauważył cicho Duncan.

Burzmali obrzucił zdumionym spojrzeniem jego młodą, trupio bladą w świetle gwiazd twarz.

– Duncan Idaho był jednym z najlepszych pilotów w służbie rodu Atrydów – przypomniała mu Lucylla. Ta zdawkowa uwaga miała ukryty cel: Burzmali zdał sobie sprawę, że jego podopieczni nie są byle uciekinierami, tylko świetnie wyszkolonymi sojusznikami, których umiejętności mógł w razie potrzeby wykorzystać.

Błękitne i czerwone iskry strzelały w niebo ponad miejscem, w którym eksplodował pojazd. Statki pozaprzestrzenne zwąchały już z pewnością ten nowy obłok gorących gazów. Co postanowią? Błękitne i czerwone iskry opadały z wolna za grzbiet rozświetlonego przez gwiazdy wzgórza. Burzmali błyskawicznie odwrócił się na odgłos kroków dobiegający od strony drogi. Duncan dobył miotacza ruchem tak płynnym, że Lucylli

zapało dech w piersiach. Wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać, ale odrzucił ją niecierpliwie. Czy nie rozumiał, że baszar czekał tu na kogoś?

Z góry dobiegło ich ciche wołanie:

– Chodźcie za mną. Szybko!

Ciemna sylwetka zeskoczyła z nasypu tuż obok nich i zaczęła się przedzierać przez rosnące na poboczu krzaki. Czarne kształty widoczne na śniegu tuż za zasłoną zarośli okazały się nagle grupą kilkunastu uzbrojonych ludzi, z których pięciu otoczyło natychmiast Duncana i Lucyllę i w ciszy poprowadziło ich zaśnieżoną ścieżką wzdłuż zarośli. Reszta ruszyła biegiem przez otwarty teren ku ciemniejącej przed nimi linii drzew.

Gdy uszli już jakieś sto kroków, pięciu żołnierzy przegrupowało się i dalej podążali gęsiego – dwóch na przedzie, trzech z tyłu – prowadząc uciekinierów bezpiecznie między sobą: Burzmalego pierwszego, z Lucyllą kryjącą tyły Duncana. Doszli wreszcie do skalnej rozpadliny, tam zaś, ukrywając się pod szerokim występem, czekali, nasłuchując huku eksplodujących jeden po drugim wozów naziemnych sterowanych przez autopiloty.

– Pułapka za pułapką – wyszeptał Burzmali. – Zasypujemy ich fałszywymi tropami. *Wiedzą*, że musimy uciekać w panice, najszybciej jak się da. Poczekamy więc teraz w ukryciu. A później ruszymy powoli... i pieszo.

– Coś nieoczekiwanego – powiedziała cicho Lucylla.

– Co z Tegiem? – spytał Duncan ledwie słyszalnym szeptem.

– Myślę, że go dopadli – odparł Burzmali, pochylając się do ucha gholi. W jego głosie słychać było głęboki smutek.

Jedna z milczących postaci rzuciła nagle:

– Teraz. Szybko na dół.

Poprowadzili ich w głąb rozpadliny. Niedaleko coś zatrzeszczało. Czyjeś ręce pociągnęły ich w bok, w sklepione przejście. Znów coś skrzypnęło za ich plecami.

– Naprawcie te drzwi – rzekł ktoś w ciemności.

Wokół nich zapłonęły światła.

Duncan i Lucylla rozejrzeli się po wyciętej w nagiej skale obszernej, bogato umeblowanej komorze. Pod stopami mieli miękkie, czerwono-złote dywany zdobione jasnozielonym geometrycznym wzorem. Sarta ubrań piętrzyła się na stole, przy którym stał Burzmali. Pograżony był w cichej

rozmowie z jednym z towarzyszących im ludzi – jasnowłosym mężczyzną o wysokim czole i przenikliwych zielonych oczach.

Lucylla wytrzymała słuch. Słowa były zrozumiałe, dotyczyły głównie rozmieszczenia straży, jednak akcent zielonookiego mężczyzny był jej zupełnie nieznany, spółgłoski dźwięczały szorstko i gardłowo.

– Czy jesteśmy w komorze pozaprzestrzennej? – zapytała.

– Nie. – Stojący za nią człowiek, który udzielił jej odpowiedzi, mówił z takim samym akcentem. – Ale chronią nas glony.

Nie spojrzawszy na rozmówcę, uniosła wzrok. Sklepienie i ściany jaskini pokryte były grubym, żółtozielonym kożuchem glonów. Tylko przy samej posadzce widniało kilka fragmentów czarnej skały. Burzmali przerwał rozmowę.

– Jesteśmy tu bezpieczni. Glony wyhodowano specjalnie w tym celu. Skanery i biowykrywacze widzą tu jedynie roślinną wegetację i nie są w stanie przebić się przez zasłonę glonów.

Lucylla obróciła się na pięcie, sprawdzając wszystkie pozostałe detale. W kryształowy blat stołu wtopiony był gryf, godło Harkonnenów. Krzesła i poduszki pokryto egzotycznymi tkaninami. Na stojaku na broń pod ścianą wypatrzyła dwa rzędy długich polowych rusznic laserowych, jakich nigdy dotąd nie widziała. Każda miała wylot lufy w kształcie dzwonu, a nad spustem ozdobną złotą gardę.

Burzmali wrócił do przerwanej rozmowy z zielonookim nieznajomym. Spierali się, jak najlepiej będzie ich przebrać na dalszą drogę. Lucylla słuchała jednym uchem, obserwując z uwagą dwóch członków ich eskorty, którzy zostali w komnacie. Trzech innych opuściło ją drugim wyjściem, obok stojaka z bronią, które skrywała gęsta zasłona lśniących srebrzystych włókien. Zauważyła, że Duncan pilnie śledzi jej reakcje, nie zdejmując ręki z wetkniętego za pas małego pistoletu.

„Rozproszeni? – zastanawiała się Lucylla. – Komu są teraz wierni?”

Podeszła jakby od niechcienia do Duncana i lekko dotykając palcami jego ręki, przekazała mu w języku walki swoje podejrzenia. Zwrócili wzrok na Burzmalego. „Czyżby zdrada?”

Lucylla powróciła do sprawdzania pomieszczenia. Czy byli obserwowani z ukrycia?

Komnatę oświetlało dziewięć lumisfer, dziewięć świetlistych wysp, na których światło było najsilniejsze. Promienie wszystkich spotykały się w miejscu, gdzie Burzmali stał zatopiony w rozmowie z zielonookim. Część

spływającej na nich poświaty pochodziła bezpośrednio od ustawionych na ciepły, złoty odcień lumisfer, część zaś odbijała się od zbitej warstwy glonów. Przy tyłu źródeł światła w pomieszczeniu nie było cieni, nawet głęboko pod meblami.

Połysek srebrna zasłona w przejściu rozchyliła się i do komnaty weszła stara kobieta.

Lucylla spojrzała na nią. Kobieta miała pomarszczone oblicze, ciemne jak drewno różanego krzewu. Jej wąską twarz o ostrych rysach okalały potargane, siwe, spływające aż do ramion włosy. Ubrana była w długą czarną szatę haftowaną w złociste smoki. Stała za sofą i położyła na jej oparciu żylaste dłonie.

Burzmali i jego towarzysz przerwali rozmowę.

Lucylla oderwała wzrok od starej kobiety i przyjrzała się własnej szacie. Pominąwszy złoty haft, były prawie takie same, z kapturami drapowanymi na ramionach. Szata w smoki miała tylko dodatkowe rozcięcie z boku i nieco inne zapięcie z przodu.

Kobieta milczała, Lucylla popatrzyła więc pytająco na Burzmalego, on jednak odpowiedział jej tylko uważnym spojrzeniem. Stara również w dalszym ciągu obserwowała Lucyllę bez słowa.

To nagłe natężenie napięcia napęliło Matkę Wielebną niepokojem. Widziała, że Duncan czuje to samo, bo nie zdjął ręki z pistoletu. Przedłużająca się cisza i wbite w nią badawcze spojrzenia zwiększały tylko jej niepewność. W sposobie, w jaki stara kobieta stała tam spokojnie, było coś z metody Bene Gesserit.

Milczenie przerwał Duncan.

– Kim ona jest? – zwrócił się do Burzmalego.

– Kimś, kto ratuje wam skórę – odparła stara. Miała słaby, załamujący się głos i ten sam dziwny akcent.

Inne Wspomnienia podsunęły Lucylli wyjaśnienie ozdób na stroju kobiety: „Jest podobny do szat noszonych przez starożytne hetery”. Lucylla o mało nie pokręciła głową. Ta kobieta z pewnością była za stara na coś takiego! Złote haftowane smoki różniły się zresztą od tych, które podsuwała jej pamięć. Imprinterka badawczo spojrzała na pomarszczoną twarz o zwilgotniałych ze starości oczach. W kącikach zebrało się trochę zaschłej wydzieliny. O wiele za stara na heterę.

Kobieta zwróciła się do Burzmalego.

– Myślę, że spokojnie może ją włożyć. – Zaczęła zdejmować szatę w smoki, mówiąc do Lucylli: – To dla ciebie. Noś ją z szacunkiem. Zadaliśmy śmierć, żeby ją dla ciebie zdobyć.

– Kogo zabiliście? – zapytała Lucylla.

– Postulantkę Dostojnych Matron! – odparła stara z dumą.

– Dlaczego miałabym ją nosić? – pytała dalej Lucylla.

– Zamienisz się strojem ze mną.

– Najpierw żądam wyjaśnień. – Lucylla uchyliła się od przyjęcia szaty.

Burzmali postąpił krok naprzód.

– Możesz jej zaufać.

– Jestem przyjaciółką twoich przyjaciół – rzekła kobieta, potrząsając szatą przed nosem Lucylli. – Masz, weź ją.

Lucylla zwróciła się do Burzmaliego.

– Muszę wiedzieć, jaki masz plan.

– Oboje musimy to wiedzieć – wtrącił Duncan. – Na czyją odpowiedzialność mamy zaufać tym ludziom?

– Tę – odparł Burzmali. – I moją. – Spojrzał na starą kobietę. – Możesz im powiedzieć, Sirafo. Mamy dość czasu.

– Będiesz miała tę szatę na sobie, kiedy pojedziesz z Burzmalim do Ysai – rzekła Sirafo.

„Sirafo” – pomyślała Lucylla. Imię brzmiało tak, jakby pochodziło z Wariantu Linearnego Bene Gesserit.

Sirafo przyglądała się Duncanowi.

– Jest jeszcze dostatecznie mały. Przebierze się go i przerzuci osobno.

– Nie! – zaprotestowała Lucylla. – Mam za zadanie go strzec!

– Nie bądź głupia – powiedziała Sirafo. – Będą szukać właśnie podobnej do ciebie kobiety w towarzystwie młodego chłopaka, takiego jak on. Nie będą za to szukać kurtyzany Dostojnych Matron z towarzyszem na jedną noc... Ani też mistrza Tleilaxan ze swoją świtą.

Lucylla zwilżyła zeschnięte wargi. Sirafo mówiła z taką pewnością siebie jak przełożona do spraw dyscyplinarnych.

Sirafo przewiesiła szatę przez oparcie sofy. Stała teraz przyodziana jedynie w obcisły czarny kostium, niekryjący wcale gibkości wciąż jędrnego, a nawet miło zaokrąglonego ciała. Ciało to wyglądało na dużo młodsze od twarzy. Lucylla zobaczyła, jak Sirafo przesuwając dłońmi po czole i policzkach, wygładzając je ku tyłowi. Zmarszczki rozprostowały się, ukazując znacznie młodszą twarz.



„Maskaradnik?”

Zmierzyła kobietę wzrokiem. Nie dostrzegła żadnych cech charakterystycznych dla maskaradnika. A jednak...

– Zdejmij szaty! – rozkazała Sirafa. Nawet jej głos był teraz młodszy i bardziej władczy.

– Musisz to zrobić – nalegał Burzmali. – Sirafa zajmie twoje miejsce i pozostawi kolejny fałszywy trop. Tylko tak możemy się przedostać.

– Dokąd? – zapytał Duncan.

– Do statku pozaprzestrzennego – odrzekł baszar.

– Który zabierze nas...? – pytała dalej Lucylla.

– W bezpieczne miejsce. Nafaszerujemy się szereg, ale i tak nie mogę powiedzieć nic więcej. Nawet szereg w końcu przestaje działać.

– Jak zamierzacie przebrać mnie za Tleilaxanina? – spytał Duncan.

– Uwierz nam, że da się to zrobić – odparł Burzmali, nie spuszczając oczu z Lucylli. – Matko Wielebna?

– Nie pozostawiasz mi wyboru – rzekła. Rozpięła szatę, a ta opadła jej do stóp. Wyjęła zza stanika ukryty pistolet i rzuciła go na sofę. Jej bielizna była jasnoszara i Lucylla zauważyła, że Sirafa odnotowała ten fakt, podobnie jak pochwy z nożami związane na jej udach. – Czasami nosimy też czarną bieliznę – powiedziała, wślizgując się w smoczą szatę. Tkanina wyglądała na ciężką, była jednak nadspodziewanie lekka. Lucylla okręciła się na palcach, czując, jak szata faluje i układa się na jej ciele, jak gdyby była skrojona specjalnie dla niej. Drażniło ją tylko jedno miejsce na karku. Sięgnęła w górę i zbadała je palcami.

– Tam właśnie trafiła ją strzałka – rzekła Sirafa. – Działaliśmy szybko, ale kwas zdążył uszkodzić tkaninę. Skazy nie widać jednak gołym okiem.

– Wszystko wygląda jak należy? – dopytywał się Burzmali.

– Doskonale. Będę jednak musiała udzielić jej wskazówek. Jeden błąd i złapią was oboje, o tak! – Klasnęła.

„Gdzie ja widziałam taki gest?” – próbowała sobie przypomnieć Lucylla.

Duncan dotknął jej prawego ramienia, przesyłając palcami ukrytą wiadomość:

– *To kłaśnięcie to maniera typowa dla Giedi Prime.*

Słuszność tej obserwacji potwierdziły Inne Wspomnienia Lucylli. Czyżby owa kobieta należała do jakiejś zamkniętej społeczności żyjącej według starożytnego rytuału?

– Chłopak powinien już iść – zdecydowała Sirafa, dając znak dwóm członkom ich eskorty. – Zabierzcie go na miejsce.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Lucylla.

– Nie mamy wyboru! – uciął Burzmali.

Lucylla wiedziała, że to prawda. Ufała w wierność Burzmalego wobec zgromadzenia, wiedziała też, że Duncan nie jest już dzieckiem. Jego trening prana i bindu prowadził stary baszar i ona sama. Ghola był tak wyszkolony, że mało kto poza Bene Gesserit mógłby mu sprostać. Patrzyła w milczeniu, jak prowadzony przez dwóch strażników Duncan opuścił komnatę, przechodząc przez lśniąca srebrzyście zasłonę.

Kiedy zniknęli, Sirafa wyszła zza sofę i stanęła przed Lucyllą z rękami wspartymi na biodrach. Ich spojrzenia spotkały się.

Burzmali odchrząknął nerwowo i wygładził stertę ubrań na stole.

Twarz Sirafy, a w szczególności oczy, miały jakąś nieodpartą moc przyciągania. Były jasnozielone, o czystych białkach, nieosłonięte szklami kontaktowymi.

– Wyglądasz dobrze – powiedziała Sirafa. – Pamiętaj, że nie jesteś byle jaką kokotą, a Burzmali jest twoim klientem. Nikt normalny nie powinien się w to wtrącać.

– Są jednak tacy, którzy będą próbowali? – spytała Lucylla, wyczuwszy w tej uwadze jakieś ukryte znaczenie.

– Na Gammu są obecnie przedstawicielstwa różnych wielkich religii. O niektórych nigdy nawet nie słyszałaś. Reprezentują to, co zwiecie Rozproszeniem.

– A jak ty to nazywasz?

– Poszukiwaniem. – Sirafa uniosła dłoń w pokojowym geście. – Nie lękaj się. Mamy tego samego wroga.

– Dostojne Matrony?

Sirafa obróciła głowę i splunęła na ziemię.

– Spójrz na mnie, Bene Gesserit! Nauczono mnie je zabijać. To moje jedyne zadanie i jedyny cel mojego istnienia!

– Z tego, co wiemy do tej pory, musisz być w tym bardzo dobra – powiedziała Lucylla ostrożnie.

– W niektórych rzeczach jestem prawdopodobnie lepsza od ciebie. A teraz posłuchaj! Jesteś adeptką bieglą w technikach seksualnych, jasne?

– Dlaczego kapłani mieliby się w to wtrącać?

– Nazywasz ich kapłanami? Cóż... Zgadza się, nie wtrąca się z żadnego powodu, który mogłabyś sobie wyobrazić. Seks dla przyjemności wrogiem religii, co?

– Nic nie zastąpi radości świętego uniesienia.

– Na Tantrusa, kobieto! Kapłani Poszukiwania są inni! Nie mają nic przeciwko zamianie obiecanego raju na chwilową rozkosz.

Lucylla stłumiła uśmiech. Czy ta samozwańcza zabójczyni Dostojnych Matron myśli, że może pouczać Matkę Wielebną w sprawach religii?

– Są tacy, którzy podszywają się pod kapłanów – mówiła dalej Sirafa. – Bardzo niebezpieczni. Najgroźniejsi ze wszystkich wyznają Tantrusa i głoszą, że seks jest formą czci, którą można oddawać jedynie ich bogu.

– Jak ich rozpoznam? – spytała Lucylla, wyczuwając poważny niepokój w głosie Sirafy.

– W ogóle się tym nie kłopotz. Nie możesz sprawiać wrażenia, że cię to obchodzi. Ciebie ma obchodzić przede wszystkim twoja zapłata. Sądzę, że powinnaś zażądać pięćdziesięciu solarów.

– Wciąż nie powiedziałaś mi, dlaczego mieliby się wtrącać. – Lucylla zerknęła na Burzmalego, który przygotowawszy sobie na stole zgrzebne ubranie, zdejmował właśnie mundur. Spojrzała znów na Sirafę.

– Niektórzy mogą działać na podstawie starożytnej konwencji, która daje im prawo do zerwania umowy między tobą a Burzmalim. Część będzie cię po prostu sprawdzać.

– Słuchaj uważnie – wtrącił się Burzmali. – To istotne.

– Burzmali będzie nosił strój robotnika rolnego – ciągnęła Sirafa. – Tylko w takim przebraniu zgrubienia na dłoniach od broni nie będą budzić podejrzeń. Będiesz go nazywać Skar, to tu popularne imię.

– Ale jak mam sobie poradzić z interwencją kapłana?

Sirafa wydobyła z kieszeni niewielką sakiewkę i podała Lucylli, ta zaś zważyła ją w dłoni.

– Masz tu dwieście osiemdziesiąt trzy solary. Jeśli ktoś, kto podawać się będzie za duchownego... Zapamiętałaś to? Duchownego.

– Jak mogłabym zapomnieć? – odparła zjadliwie Lucylla.

– Jeżeli ktoś taki cię zaczepi, oddasz Burzmalemu z przeprosinami pięćdziesiąt solarów. W tej sakiewce masz też identyfikator kurtyzany, wystawiony na niejaką Pirę. Chciałabym usłyszeć, jak wymawiasz to imię.

– Pira.

– Żle! Akcent bardziej na „a”!

– Pira!

– Ujdzie. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Ty i Burzmali znajdziecie się na ulicy późną nocą. Dla wszystkich będzie oczywiste, że wcześniej musiałś mieć już innych klientów. Muszą być na to niezbite dowody. Tak więc musisz... rozerwać się w towarzystwie Burzmalego, zanim stąd wyruszyście. Rozumiesz mnie?

– Co za delikatność! – rzekła Lucylla.

Sirafa odebrała to jako komplement i uśmiechnęła się sztywno. Jej reakcje były tak obce!

– Jeszcze jedno. Gdybym musiała *rozerwać* duchownego, jak znajdę potem Burzmalego?

– Skara!

– Dobrze. Jak znajdę Skara?

– Będzie czekał w pobliżu. Gdziekolwiek byś poszła, Skar cię odzuka.

– W porządku. Jeśli wtrąci się *duchowny*, oddaję Skarowi sto solarów i...

– Pięćdziesiąt!

– Nie wydaje mi się, Sirafu. Po tym, jak go *rozerwę*, duchowny będzie wiedział, że pięćdziesiąt to nie była właściwa kwota.

Sirafa ściągnęła usta i spojrzała na Burzmalego.

– Ostrzegałeś mnie przed takimi jak ona, ale nie sądziłam...

– Nie będziesz nic *sądzić*, o ile nie usłyszysz tego ode mnie! – powiedziała Lucylla, tylko nieznacznie używając Głosu.

Sirafa skrzywiła się. Widać było, że Głos ją zaskoczył, kontynuowała jednak tonem równie aroganckim jak przedtem:

– Mam rozumieć, że nie potrzebujesz wyjaśnienia rozmaitych technik seksualnych?

– Słuszne przypuszczenie.

– I nie muszę ci mówić, że twoja szata identyfikuje cię jako adeptkę piątego stopnia obrządku Hormu?

Tym razem Lucylla zmarszczyła brwi.

– A co, jeśli wykazę się umiejętnościami wykraczającymi poza ten stopień?

– Aaach, więc jednak będziesz zważać na to, co mówię?

Lucylla skinęła głową.

– Bardzo dobrze – powiedziała Sirafa. – Czy mogę założyć, że potrafisz wywołać pulsowanie mięśni pochwy?

– Owszem.

– W każdej pozycji?

– Kontroluję najdrobniejszy nawet mięsień mojego ciała.

Sirafa rzuciła Burzmalemu spojrzenie ponad jej głową.

– Czy to prawda?

– Inaczej by tego nie mówiła – powiedział baszar zza pleców Lucylli.

Sirafa zamyśliła się, wpatrzona w podbródek Matki Wielebnej.

– To komplikuje sprawę, jak sędzę.

– Nie chcę, żebyś odniosła błędne wrażenie – rzekła Lucylla. – Umiejętności, które posiadam, nie są powszechnie znane. Mamy dla nich inne zastosowanie.

– Och, jestem tego pewna – odparła Sirafa – jednak seksualna zręczność...

– Zręczność! – Lucylla zawarła w tym jednym słowie całą furję rozwścieczonej Matki Wielebnej. Nieważne, że być może to właśnie chciała osiągnąć Sirafa; musi pokazać jej, gdzie jest jej miejsce! – Zręczność, mówisz? Mogę kontrolować temperaturę genitalną, potrafię stymulować pięćdziesiąt jeden miejsc erogennych, wiem...

– Pięćdziesiąt jeden? Jest przecież tylko...

– Pięćdziesiąt jeden! – ucięła Lucylla. – A ich kombinacje w różnej kolejności dają dwa tysiące osiem wariantów. Co więcej, w połączeniu z dwustu pięcioma pozycjami...

– Dwustu pięcioma? – Sirafa była zdumiona. – Nie masz chyba na myśli...

– Nawet więcej, jeśli doliczysz pomniejsze odmiany. Jestem imprinterką, a to oznacza, że opanowałam wszystkie trzysta stopni potęgowania orgazmu!

Sirafa odchrząknęła i zwilżyła wargi językiem.

– W takim razie ostrzegam cię, żebyś się hamowała. Musisz powściągnąć swoje umiejętności, bo inaczej... – Znów zerknęła na Burzmalego. – Czemu mnie nie uprzedziłeś?

– Uprzedziłem.

Lucylla wyraźnie słyszała rozbawienie w jego głosie, ale powstrzymała się od spojrzenia ku niemu.

Sirafa dwukrotnie głęboko odetchnęła.

– Gdyby cię o to pytano, powiesz, że masz właśnie przystąpić do egzaminu na wyższy stopień. To powinno usunąć podejrzenia.

– A gdyby dokładniej pytali o egzamin?

– Och, to akurat proste. Uśmiechniesz się tajemniczo i nic nie powiesz.  
– Co, jeśli zapytają o ten obrządek Hormu?  
– Zagroźysz, że doniesiesz na nich swoim przełożonym. To powinno ich uciszyć.

– A jeżeli nie?

Sirafa wzruszyła ramionami.

– Wymyśl jakąś historyjkę. Nawet Prawdomówczynię rozbawiłyby twoje uniki.

Lucylla raz jeszcze przemyślała swą sytuację, pilnując, by jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Słyszała, jak Burzmali – Skar! – kręci się niespokojnie za jej plecami. Nie widziała poważniejszych przeszkód w przeprowadzeniu tego planu. Może być nawet zabawnie, będzie miała co opowiadać na Kapitulę. Zauważyła, że Sirafa szczerzy zęby do Burzmalego. Odwróciła się, by spojrzeć na swego *klienta*.

Stał nagi przy stole, na którym obok roboczego przebrania leżały jego hełm i równo złożony mundur.

– Widzę, że Skar nie ma nic przeciwko rozpoczęciu przygotowań do waszej wyprawy – rzekła Sirafa, wskazując od niechcenia jego sterczący członek. – Zostawię was w takim razie samych.

Lucylla usłyszała, jak wychodzi przez szeleszczącą srebrzystą zasłonę.

„To powinien być ghola!” – pomyślała ze złością.



Taki już wasz los, krótka pamięć. Wszystkich odwiecznych lekcji życia uczycie się wciąż na nowo, zapominacie, uczycie się, zapominacie i tak wciąż i wciąż.

– Leto II, głos z Dar-es-Balat

„W imię naszego świętego zgromadzenia i jego nierozzerwalnej wspólnoty siostr niniejszy raport zostaje uznany za rzetelny i godny włączenia do kronik kapituły”.

Taraza z niesmakiem wpatrywała się w tekst na wyświetlaczu. Promienie porannego słońca malowały na projekcji złociste refleksy, przez co słowa wydawały się lekko nierzeczywiste.

Nerwowym ruchem odepchnęła psi fotel od stołu, wstała i podeszła do południowego okna. Dzień dopiero się zaczynał i na dziedzińcu kładły się długie cienie.

„Czy powinnam tam sama polecieć?”

Ta myśl napęłniała ją niechęcią. Tutaj czuła się tak... tak bezpiecznie. Wiedziała dobrze, że to śmieszne, bo choć Bene Gesserit miały tu swą główną siedzibę już od ponad tysiąca czterystu lat, to planeta Kapituła była wciąż tylko tymczasowym schronieniem.

Oparła lewą dłoń na gładkiej ramie okiennej. Każde z okien zaprojektowano tak, by zapewniały jak najwspanialszy widok. Cały pokój – jego proporcje, umeblowanie oraz kolorystyka – stworzony został przez budowniczych i architektów natchnionych jednym tylko celem: zapewnienia mieszkańcom poczucia bezpieczeństwa.

Taraza bezskutecznie próbowała wczuć się w ten pełen otuchy nastrój.

Kłótnia, która dopiero co się tu odbyła, pozostawiła po sobie gorzki posmak, choć ostre słowa wypowiedziano najłagodniejszym tonem. Członkinie rady uparcie i – co musiała niechętnie przyznać – nie bez powodu nie dawały się przekonać.

„Chcesz z nas zrobić misjonarki? I to dla Tleilaxan?”

Taraza pozwoliła, by jej wzrok spoczął na posątku Kwintynius Violet Chenoeh stojącym we wnęce przy oknie. Nie pierwszy raz pomyślała, że to dziwne, iż tak wiele sióstr brało sobie Chenoeh za wzór w agonii przyprawowej.

„Sama to zrobiłam”.

Chenoeh zmarła w agonii przyprawowej i nie została Matką Wielebną.

„Ale poznała Tyrana”. Podziw dla Leto II przebijał z każdego jej raportu.

Dotknęła panelu przy ramie i otworzyła okno. Ciepły powiew wypełnił pokój zapachem kwitnących jabłoni. Zgromadzenie było bardzo dumne z jabłek dojrzewających w sadach, które rozciągały się wokół jego głównej siedziby. Wspanialszych drzew nie było w żadnej innej twierdzy ani podkapitulie, choć ich siecią Bene Gesserit opłotły większość zamieszkaných planet Starego Imperium.

„Po owocach ich poznacie – pomyślała. – Niektóre stare religie wciąż są źródłem mądrości”.

Ze swego wysoko położonego okna Taraza mogła objąć wzrokiem całą południową część kompleksu kapituły. Cień pobliskiej wieży strażniczej kładł się długą, nierówną linią na dachach i dziedzińcach. Gdy się nad tym

zastanowić, cała siedziba była zadziwiająco niewielka jak na główny punkt dowodzenia. Poza pierścieniem sadów i ogrodów widniała szachownica prywatnych rezydencji otoczonych własnymi plantacjami. W posiadłościach tych mieszkały emerytowane siostry i członkowie wybranych, szczególnie wiernych rodów. Od zachodu widnokrąg zamykało pasmo poszarpanych, ośnieżonych górskich szczytów. Dwadzieścia kilometrów na wschód znajdował się port kosmiczny. We wszystkich kierunkach wokół siedziby kapituły rozciągały się równiny. Paś się na nich wyjątkowy gatunek bydła, tak wrażliwy na obce zapachy, że gdyby zwierzęta poczuły kogoś nieprzesiákniętego lokalną wonią, całe stado, rycząc dziko, zerwałoby się w popłochu do panicznego biegu.

Granice najbliższej leżących posiadłości, strzeżonych przez ogrodzenia pod napięciem, wytyczone zostały przez jednego z dawnych baszarów tak, że ani za dnia, ani w nocy nikt nie mógł niezauważony przemknąć się krętymi drogami.

Wszystko to wyglądało tak zwyczajnie i przypadkowo, a jednak rządziły tu niewzruszony ład i porządek. Dla Tarazy to właśnie było istotą zgromadzenia.

Chrzáknięcie, które dobiegło z tyłu, przypomniało jej, że jedna z najgorliwszych oponentek wciąż stoi cierpliwie w otwartych drzwiach.

„Czeka na moją decyzję”.

Matka Wielebna Bellonda chciała, by Odrade została „zabita od ręki”. Póki co nie podjęto jednak żadnej decyzji.

„Tym razem naprawdę przesadziłaś, Dar. Spodziewałam się, że będziesz działać niezależnie, nawet tego chciałam. Ale coś takiego?!”

Bellonda, stara, otyła i rumiana, o lodowatych oczach, powszechnie ceniona za wrodzone okrucieństwo, chciała, by Odrade została skazana za zdradę.

– Tyran zmiażdżyłby ją w jednej chwili! – stwierdziła.

„Czyżbyśmy tylko tyle się od niego nauczyły?” – rozmyślała Taraza.

Bellonda podkreślała, że w żyłach Odrade płynie nie tylko krew Atrydów, ale również Corrinów. Wśród jej przodków było wielu imperatorów, regentów i innych potężnych urzędników.

„Jak wszyscy rządzący wciąż złaknionych władzy”.

– Jej przodkowie przetrwali piekło Salusy Secundusa! – powtarzała Bellonda. – Czy całe nasze doświadczenie genetyczne niczego nas nie nauczyło?



„Nauczyło nas, jak stworzyć kogoś takiego jak Odrade” – pomyślała Taraza.

Kiedy Odrade przeszła próbę agonii przyprawowej, wysłano ją na al-Dhanab, odpowiednik Salusy Secundusa, gdzie została zahartowana i ukształtowana w warunkach ciągłej walki o przetrwanie: wśród ostrych klifów i wyschniętych wąwozów, gorących i lodowatych wiatrów, w okresach suszy i ulewnych deszczy. Wszystko to uznano za odpowiednią próbę dla kogoś, kogo przeznaczenie zaprowadzić mogło na Rakis. Taki trening rodził zaprawione i nieugięte mistrzynie przetrwania. Wysoka, gibka i umięśniona Odrade była jedną z najlepszych.

„Jak mam znaleźć wyjście z tej sytuacji?”

Obejrzała się na pokój i migającą projekcję. Było to skromne pomieszczenie. Bardzo w duchu Bene Gesserit. Na żądanie ukazywało jednak wszystkie swe wspaniałe detale. Emanowało oznakami władzy. Taraza przyznawała się przed sobą, że lubi ten aspekt swej pozycji.

„Jak powinnam użyć teraz tej władzy?”

Wielokrotnie Odrade stała tutaj i sprzeczała się ze swą Matką Przełożoną. Żadna inna Matka Wielebna, nawet Bellonda, nie ośmieliła się okazać tu takich emocji. W miejscu zaprojektowanym z myślą o łagodzeniu ekstremów!

„A teraz jest niebezpiecznie spokojnie”.

Ostatnia wiadomość od Odrade tylko to podkreślała. Każdy pokój, nawet tysiąclecia narzucone przez Tyrana, roztaczał fałszywą aurę, która mogła się okazać zabójcza dla tych, którzy zbyt jej zaufali. W tym tkwiła siła, ale także słabość argumentacji Bellondy.

Taraza spojrzała na Bellondę czekającą w drzwiach. „Jest za gruba! Specjalnie paraduje tak przed nami, nic sobie z tego nie robiąc!”

– Nie możemy wyeliminować Odrade, tak jak nie możemy już wycofać z gry gholi – rzekła.

– Oboje stali się dla nas zbyt niebezpieczni – odpowiedziała Bellonda cichym i spokojnym głosem. – Pomyśl tylko, jak Odrade osłabiła twoją pozycję, ujawniając przesłanie z siczy Tabr!

– Czyżby słowa Tyrana mnie osłabiły, Bell?

– Wiesz, co mam na myśli. Bene Tleilax nie znają moralności.

– Zmieniasz temat, Bell. Twoje myśli latają w kółko jak owady wśród kwiatów. Czego tak naprawdę się obawiasz?

– Tleilaxan! Stworzyli tego gholę do własnych celów! A teraz Odrade chce, żebyśmy...

– Powtarzasz się, Bell.

– Tleilaxanie działają na skróty. Nie patrzą na genetykę tak jak my. Nie tak jak *ludzie*. Oni tworzą potwory.

– Czyżby?

Bellonda weszła do pokoju, okrążyła stół i stanęła przed Tarazą, zasłaniając jej widok na wnękę z posązką Chenoeh.

– Owszem, zgadzam się na przymierze z kapłanami z Rakis, ale nie z Tleilaxanami. – Jej szata zaszeleściła, gdy machnęła zaciśniętą pięścią.

– Bell! Najwyższy kapłan to maskaradnik! Z nim chcesz się sprzymierzać?

Bellonda gniewnie potrząsnęła głową.

– A legiony wyznawców Szej-huluda? Znajdziesz ich wszędzie. Jakie zajmą wobec nas stanowisko, kiedy wyda się nasz udział w tym spisku?

– Tak się nie stanie, Bell. Zadbaliśmy o to, żeby konsekwencje ponieśli wyłącznie Tleilaxanie. Tu Odrade miała rację.

– Przeciwnie! Jeśli się z nimi sprzymierzymy, będziemy tak samo narażone! Zmuszą nas, byśmy realizowały ich plan. To gorsze niż lata zależności od Tyrana!

Taraza zauważyła wściekły błysk w oczach Bellondy. Jej reakcja była zupełnie zrozumiała. Żadna Matka Wielebna nie mogła bez drżenia wspominać szczególnych więzów, jakie narzucił im Bóg Imperator. Pędzone wbrew woli przed siebie, dzień po dniu niepewne, czy Bene Gesserit uda się w ogóle przetrwać.

– Myślisz, że przez to głupie przymierze zapewniamy sobie dostawę melanżu? – spytała Bellonda.

Znów te same stare argumenty. Taraza wiedziała, że bez melanżu i agonii przyprawowej nie byłoby Matek Wielebnych. Dziwki Rozproszonych z pewnością obrały sobie za cel właśnie przyprawę i to, co dzięki niej osiągnęły Bene Gesserit.

Taraza wróciła do stołu i opadłszy na psi fotel, oparła się wygodnie, podczas gdy mebel dostosowywał się do jej kształtów. To był rzeczywiście problem. Szczególny problem Bene Gesserit. Mimo nieustannych poszukiwań i eksperymentów zgromadzenie nie zdołało znaleźć żadnego substytutu przyprawy. Gildia Kosmiczna potrzebowała melanżu dla swych nawigatorów, ich jednak można było zastąpić maszynami z Ixa. Ixanie

z powodzeniem wprowadzili swoje konkurencyjne produkty na rynki Gildii. *Oni* mieli alternatywę.

„My nie mamy”.

Bellonda obeszła stół, oparła pięści na jego gładkiej powierzchni i nachyliła się, wpatrując w Matkę Przełożoną.

– Wciąż nie wiemy, co Tleilaxanie naprawdę zrobili z naszym gholą!

– Odrade się tego dowie.

– To nie wystarczy, by wybaczyć jej zdradę!

Taraza przemówiła cicho:

– Czekaliśmy na tę chwilę całe pokolenia, a ty chcesz porzucić ten projekt ot, tak sobie. – Lekko uderzyła w stół otwartą dłonią.

– Drogocenny rakański projekt nie jest już nasz – rzekła Bellonda. – I może nigdy nie był.

Koncentrując cały swój potężny umysł, Taraza raz jeszcze przemyślała wszystkie implikacje tej nienowej już teorii. Wracały do tego wielokrotnie podczas burzliwego posiedzenia rady, które niedawno się tu odbyło.

Czy wprowadzenie do gry gholi było ruchem zaplanowanym jeszcze przez Tyrana? A jeśli tak, to co mogły teraz z tym zrobić? I co właściwie *powinny były* z tym zrobić?

Podczas ostatniej długiej dyskusji żadna z obecnych nie zapomniała o raporcie mniejszości. Schwangyu mogła nie żyć, ale jej frakcja przetrwała i wszystko wskazywało na to, że Bellonda przyłączyła się do niej. Czy zgromadzenie świadomie zamykało oczy na śmiertelne niebezpieczeństwo? Doniesienia Odrade na temat ukrytego na Rakis przesłania można było odczytać jako złowieszcze ostrzeżenie. Odrade sama to podkreślała, mówiąc, jak silne poczucie zagrożenia wzbudziło ono w niej samej. Żadna Matka Wielebna nie potraktowałaby lekko czegoś takiego.

Bellonda wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nigdy tak naprawdę nie uwalniamy się od nauczycieli, którzy nas ukształtowali, ani od wpojonych nam w młodości schematów, czyż nie?

Był to argument typowy dla dysput Bene Gesserit. Przypominał o ich wyjątkowej wrażliwości, o tym, jakie są podatne na wpływy. „Jesteśmy arystokratkami w ukryciu i to nasze potomstwo dzierży władzę. Owszem, jesteśmy czule na tym punkcie i Miles Teg jest tego najlepszym przykładem”.

Bellonda znalazła sobie zwykłe krzesło i usiadła, patrząc Tarazie w oczy.

– W szczytowym momencie Rozproszenia – powiedziała – traciłyśmy około dwudziestu procent tych, którym się u nas nie powiodło.

– To nie one teraz wracają!

– Ale Tyran z pewnością wiedział, że coś takiego nastąpi!

– Rozproszenie było jego celem, Bell. To był właśnie jego Złoty Szlak, gwarancja przetrwania ludzkości!

– Dobrze wiesz, co myślał o Tleilaxanach, a jednak ich nie unicestwił! Mógł, ale tego nie zrobił!

– Pragnął różnorodności.

Bellonda uderzyła pięścią w stół.

– To mu się rzeczywiście udało!

– Przerabialiśmy już to wszystko nieraz, Bell, a ja wciąż nie widzę, jak mogłabym się wycofać z tego, co zrobiła Odrade.

– Poddaństwo!

– Wcale nie. Czy kiedykolwiek przed Tyranem byliśmy poddanymi któregoś z imperatorów? Nie. Nawet Muad'Dib nie miał nad nami całkowitej władzy!

– Wciąż tkwimy w pułapce Tyrana – rzuciła gorzko Bellonda. – Powiedz, dlaczego Tleilaxanie hodują wciąż jego ulubionego gholę. Mijają tysiące lat, a on nadal wyskakuje z tych ich kadzi jak pajacyk z pudełka.

– Sądzisz, że Tleilaxanie cały czas wykonują tajny rozkaz Tyrana? Jeśli tak jest, to kolejny argument na rzecz Odrade. Stworzyła nam idealne warunki, by to sprawdzić.

– On nie wydał żadnego tajnego rozkazu! Po prostu sprawił, że ten akurat ghola stał się cudownie atrakcyjny dla Bene Tleilax.

– A dla nas nie?

– Matko Przełożona, musimy się wydostać z pułapki Tyrana, i to natychmiast! Stosując najbardziej radykalne środki.

– Decyzja należy do mnie, Bell. A ja wciąż skłaniam się ku ostrożnemu sojuszowi.

– W takim razie zabijmy chociaż tego gholę. Sziena może mieć dzieci. Mogłybyśmy...

– To nie jest ani nigdy nie był tylko eugeniczny projekt!

– Ale mógłby być. A co, jeśli się mylisz co do proroczego daru Atrydów?

– Wszystkie twoje propozycje sprowadzają się do odcięcia się zarówno od Rakis, jak od Tleilaxan, Bell.

– Na obecnych zapasach melanzu zgromadzenie może przetrwać pięćdziesiąt pokoleń. Przy oszczędnym nim gospodarowaniu nawet więcej.

– Uważasz, że pięćdziesiąt pokoleń to dużo, Bell? Nie rozumiesz, że to właśnie przez takie myślenie nie siedzisz teraz na moim miejscu?

Nogi krzesła zazgrzytały o podłogę, gdy Bellonda gwałtownie odsunęła się od stołu. Taraza zdawała sobie sprawę, że jej nie przekonała. Nie mogła dłużej ufać Bellondzie. Może to właśnie ją należało zabić. I gdzie tu szlachetny cel?

– To do niczego nie prowadzi – rzekła. – Zostaw mnie teraz.

Gdy została sama, raz jeszcze przemyślała wiadomość od Odrade. Brzmiała zaiste złowieszczo. Nic dziwnego, że Bellonda i pozostałe zareagowały tak gwałtownie. Dowodziło to jednak niebezpiecznego braku dyscypliny.

„Jeszcze nie pora spisywać ostatnią wolę zgromadzenia”.

Dziwnym zbiegiem okoliczności Odrade i Bellonda odczuwały ten sam lęk, tyle że zmusił je on do podjęcia zupełnie innych decyzji. Według interpretacji Odrade przesłanie wyryte na skałach Rakis głosiło: *Także to przeminie*.

„Czy mamy zginąć, zgniecione przez wygłodniałe hordy Rozproszonych?”

Sekret kadzi aksolotlowych był już prawie na wyciągnięcie ręki!

„Jeśli tylko go posiadziemy, nic nas nie powstrzyma!”

Taraza rozejrzała się po pokoju. Zgromadzenie wciąż było potężne. Kapituła była ukryta za murem statków pozaprzestrzennych, a jej lokalizacja nieznana nikomu poza ich ludźmi. Były niewidzialne.

Na razie niewidzialne! Wypadki się zdarzają.

Taraza rozprostowała ramiona. „Bądź ostrożna, ale nie żyj w cieniu swoich obaw, nie skradaj się chyłkiem”. *Litania przeciw strachowi* pomagała rozpuścić cienie.

Gdyby ktokolwiek inny, nie Odrade, przesłał to niepokojące ostrzeżenie, że nadal kroczą Żłotym Szlakiem dokładnie według planu Tyrana, nie byłoby ono aż tak przerażające. „Przeklęty proroczy dar Atrydów!”

„Nie więcej niż tajne stowarzyszenie?”

Taraza zacisnęła zęby w bezsilnej złości.

„Wspomnienia nie wystarczą, jeśli nie prowadzą was ku szlachetnym celom!”

Może to prawda, że zgromadzenie nie słyszy już muzyki życia?

„Przeklęty!” Tyran nadal potrafił je ranić.

„Co próbuje nam przekazać?” Złoty Szlak jest bezpieczny, Rozproszenie o to zadbało. Ludzkość rozbiegła się w przestrzeń w niezliczonych kierunkach, niczym kolce gigantycznego jeża. Czy wiedział, że Rozproszeni powrócą? Czy to możliwe, że przewidział tę przeszkodę na swoim Złotym Szlaku?

„Wiedział, że będziemy mieć podejrzenia co do jego mocy. Wiedział o tym!”

Taraza myślała o napływających zewsząd meldunkach w sprawie Utraconych wracających do swych korzeni. Imponująca różnorodność ludzi oraz ich dzieł i równie imponująca liczba sekretów i dowodów spisku. Statki pozaprzestrzenne przedziwnej konstrukcji, broń i inne wytwory zapierających dech technologii. Różni ludzie i ich różne drogi.

„Niektórzy zaskakująco prymitywni. Przynajmniej na pierwszy rzut oka”.

Chcieli znacznie więcej niż tylko melanżu. Taraza rozpoznała tę szczególną formę mistycyzmu, która przywiodła Rozproszonych z powrotem: „Chcemy poznać wasze pradawne tajemnice!”

Przesłanie Dostojnych Matron też było dostatecznie jasne: „Weźmiemy, co zechcemy”.

„Odrade ma w ręku wszystkie atuty” – myślała. Miała już Szienę. Wkrótce, jeśli Burzmalemu się powiedzie, będzie miała też gholę. Miała mistrza mistrzów Tleilaxan. Mogła mieć całą Rakis!

„Gdyby tylko nie była Atrydką”.

Taraza zerknęła na tańczące w powietrzu słowa wyświetlane wciąż przez jej projektor: porównanie najnowszego Duncana Idaho ze wszystkimi, których dotąd zabito. Każdy ghola nieznacznie różnił się od poprzedniego. To było dość oczywiste. Tleilaxanie udoskonalali jakąś cechę. Jaką? Czy kluczem do zagadki byli nowi maskaradnicy? Bene Tleilax z pewnością dążyli do stworzenia prawdziwie niewykrywalnych maskaradników, których zdolności mimetyczne będą absolutnie doskonałe, kopiujących nie tylko wspomnienia, ale i najskrytsze myśli i osobowość ofiary. Taka forma nieśmiertelności wydawała się jeszcze bardziej kusząca niż ta, którą stosowali obecnie mistrzowie Tleilaxan. To dlatego podążali uparcie tym tropem.

Jej wnioski zgadzały się z opinią większości doradczyń: taki naśladowca po prostu *stałby się* kopiowaną osobą. Wielce sugestywne były tu doniesienia Odrade na temat maskaradnika Tueka. Nawet mistrzowie

Tleilaxan mogą już nie zdołać odebrać takiemu maskaradnikowi osobowości i kształtu, jakie przyjął.

I tego, w co uwierzył.

„Przekłęta Odrade!” Postawiła swe siostry w sytuacji bez wyjścia. Mogły tylko pójść za nią, i ona o tym wiedziała!

Skąd? Czy to znów ten jej przekłety dziki dar?

„Nie mogę działać na oślep. Muszę wiedzieć”.

Taraza powtórzyła znany na pamięć rytuał, chcąc odzyskać wewnętrzny spokój. Nie ważyła się podejmować tak doniosłych decyzji we frustracji. Dłuższą chwilę patrzyła na posążek Chenoe. Pomogło. Podniosła się z fotela i wróciła do swego ulubionego okna.

Nieraz już uspokajał ją ten widok. Lubiła patrzeć, jak krajobraz zmienia się wraz ze zmianami oświetlenia i stanem tak sprawnie tu zarządzanej pogody.

Poczuła głód.

„Zjem dziś z nowicjuszkami i siostrami świeckimi”.

Niekiedy dobrze było zebrać wokół siebie młode twarze, wspominając niezmienną rytuału posiłków, ich odwieczny rytm: poranek, południe i wieczór. Była w tym niewzruszoność, która dawała jej oparcie. Lubiła patrzeć na swoje podopieczne. Były niczym fale mówiące o tkwiących w głębi niewidocznych siłach, wiecznie trwałych, Bene Gesserit bowiem znalazły sposób, by dać się tym siłom unieść i trwać wraz z nimi.

Te rozmyślenia przywróciły Tarazie równowagę. Nurtujące ją pytania mogły na razie poczekać. Powróci do nich bez emocji.

Odrade i Tyran mieli rację: „Bez szlachetnego celu jesteśmy niczym”.

Nie mogła jednak nie zauważyć tego, że kluczowe decyzje podejmowane są na Rakis przez kogoś obciążonego dziedziczną skazą Atrydów. Odrade zawsze przejawiała ich typową słabość. Była zdecydowanie zbyt wyrozumiała dla błędzących nowicjuszek. Z takiego zachowania mogły się rozwinąć sympatie i uczucia!

Niebezpieczne, osłabiające rozum uczucia.

To osłabiało z kolei innych, a skutki zbytnej tolerancji trzeba było potem naprawiać. Bardziej kompetentne siostry musiały twardą ręką nawracać zbłąkane nowicjuszki. Z drugiej strony zachowanie Odrade pomagało wykryć słabości owych dziewcząt. To trzeba jej przyznać. Może od początku o to jej chodziło.

W trakcie tych rozważań coś delikatnego i potężnego zarazem rośnie w głębi duszy Tarazy. Musiała w końcu stłumić dogłębne poczucie osamotnienia. To zabolalo. Smutek potrafił zaćmić umysł równie silnie jak sympatia... a nawet miłość. Taraza, a wraz z nią mnóstwo czujnych, obecnych w jej wspomnieniach sióstr, przypisała tę emocjonalną reakcję świadomości własnej śmiertelności. Musiała dopuścić myśl, że pewnego dnia będzie tylko pasmem wspomnień w cudzym ciele.

To właśnie wspomnienia i przypadkowe odkrycia tak ją uwrażliwiły! I to teraz, gdy potrzebowała wszystkich swoich sił!

„Wciąż jeszcze nie umarłam”.

Taraza wiedziała, jak wziąć się w garść. Wiedziała też, jakie będą konsekwencje. Po każdym takim napadzie melancholii odzyskiwała jeszcze silniejszą kontrolę nad swoim życiem i jego celem. Skazy w zachowaniu Odrade były źródłem siły dla Matki Przełożonej.

Odrade o tym wiedziała. Taraza uśmiechnęła się ze smutkiem na tę myśl. Po otrząśnięciu się z melancholii władza Matki Przełożonej nad siostrami zawsze rosła. Inne też to zauważyły, ale tylko Odrade wiedziała, jak ją to gniewa.

„Właśnie!”

Taraza zrozumiała nagle, że dotarła do sedna swojej frustracji.

Odrade najwyraźniej już wcześniej zauważyła, co się kryło za zachowaniem Matki Przełożonej. Potężny krzyk protestu przeciw temu, jaki użytek inni robili z jej życia. Siła tego tłumionego gniewu była ogromna i nigdy nie wolno było dać jej upustu. Owa wściekłość nigdy nie mogła wygasnąć. Jakże to bolało! To, że Odrade wiedziała, sprawiało, że ból był jeszcze dotkliwszy.

Nie zmieniało to faktu, że wszystko to spełniało swoją funkcję. Wymogi szkolenia Bene Gesserit pozwalały wyćwiczyć umysł. Budowały skorupę nieczułości, której istnienia nie mógł się domyślić nikt spoza zgromadzenia. Miłość była jedną z najniebezpieczniejszych potęg we wszechświecie. Musiały się przed nią chronić. Matka Wielebna nigdy nie mogła nawiązać bliskich, osobistych relacji, nawet w służbie zgromadzeniu.

„Zachowanie pozorów: będziemy grać rolę, która pomoże nas ocalić. Bene Gesserit przetrwa!”

Jak długo tym razem będą podległe obcym? Kolejne trzy i pół tysiąca lat? Do diabła z tym! To i tak tylko tymczasowa niedogodność.



Taraza odwróciła się od okna i ożywczego widoku. O tak, *czuła się* odświeżona. Czuła przypływ sił. Miała ich dość, by pokonać dręczącą niepewność, która powstrzymywała ją dotąd przed podjęciem ostatecznej decyzji.

„Polecę na Rakis”.

Nie mogła już dłużej udawać, że nie zna źródła swej wcześniejszej niechęci.

„Być może będę musiała zrobić to, czego chce Bellonda”.



Przetrwanie jednostki, gatunku i środowiska – oto, co kieruje działaniami ludzkości. Możemy obserwować, jak w ciągu ludzkiego życia zmienia się hierarchia wartości. Co w określonym wieku stawiamy na pierwszym miejscu? Pogodę? Problemy trawienne? Czy ona (on) kocha naprawdę? Wszystkie te rozmaite pragnienia, które ciało odczuwa i ma nadzieję zaspokoić. Cóż poza tym ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Leto II do Hwi Nori, jego głos z Dar-es-Balat

Miles Teg ocknął się w ciemnościach, czując, że jest transportowany na noszach. Po delikatnej poświacie rozpoznał podtrzymujące nosze małe kuliste dryfy, umocowane w rzędach po obu stronach.

W ustach miał knebel. Ręce przezornie skrępowano mu za plecami. Oczy pozostawiono odkryte.

„Nie obchodzi ich więc, co zobaczę”.

Nie miał pojęcia, kim są *oni*. Z rozkołysanych kroków otaczających go ciemnych postaci wnioskował, że schodzą po nierównym terenie. Górski szlak? Nosze sunęły na dryfach zupełnie łagodnie. Słyszał ich ciche buczenie, gdy cała grupa zatrzymała się przed pokonaniem trudniejszego odcinka trasy.

Od czasu do czasu między zasłaniającymi widok kształtami widział w oddali światło. Wreszcie weszli na oświetlony teren i zatrzymali się. Światło dochodziło z pojedynczej lumisfery, uwiązanej do słupka na wysokości około trzech metrów i kołyszącej się łagodnie na chłodnym wietrze. W jej żółtawej poświacie dostrzegł zarys stojącej na polanie chaty. Na ubłoconym śniegu krzyżowały się ślady wielu stóp. Na skraju polany zobaczył krzaki i kilka rzadko rosnących drzew. Ktoś zaśwycił mu latarką

prosto w twarz. Nie padło ani jedno słowo, Teg zauważył jednak gest ręki wskazującej chatę. Dawno już nie widział tak nędznej budy. Wyglądała, jakby miała się rozpaść przy najlżejszym dotknięciu. Mógł się założyć, że dach przecieka.

Prowadząca go grupa ruszyła znowu, kierując nosze w stronę chaty. W słabym świetle lumisfery Teg przyjrzał się swoim strażnikom: twarze mieli owinięte aż po oczy chustami szczelnie zasłaniającymi szyje i usta. Włosy skryli pod kapturami, ubrania zaś mieli tak grube, że skutecznie maskowały ich kształty – widać było jedynie z grubsza zarysowane ręce i nogi.

Uwiązana do słupka lumisfera zgasła.

Drzwi chaty otworzyły się, oświetlając polanę snopem jaskrawego światła.

Członkowie eskorty wepchnęli go do środka i zostawili samego. Słyszał, jak drzwi zamknęły się za nimi.

Po panującej na zewnątrz ciemności oświetlenie w chacie zdawało się wręcz oślepiające. Teg mrugał tak długo, aż oczy przyzwyczyły się do tej nagłej zmiany. Rozejrzał się z dziwnym wrażeniem, że przeniósł się nagle w zupełnie inne miejsce. Wiedząc, jak chata wyglądała z zewnątrz, spodziewał się w środku czegoś podobnego, tymczasem znalazł się w schludnym, prawie pustym pokoju: tylko trzy krzesła, stół i... ixańska sonda! Czyżby nie wyczuli szeru w jego oddechu?

Niech próbują sondy, skoro są tak słabo przygotowani. Zada mu to wprawdzie straszliwy ból, ale niczego z niego nie wydostaną.

Z tyłu coś pstryknęło, usłyszał kroki. W jego polu widzenia pojawiły się trzy osoby i zatrzymały u stóp noszy. Spoglądały na niego w milczeniu. Teg przyjrzał im się po kolei. Postać po lewej ubrana była w ciemny kombinezon z rozpiętymi kłapami. Mężczyzna. Miał kwadratową twarz, którą Teg widywał wcześniej u rdzennych mieszkańców Gammu. Jego małe, paciorkowate oczka przewiercały baszara na wylot. To była twarz inkwizytora, którego nie wzruszy twoja agonía. Harkonnenowie zatrudniali w swoim czasie mnóstwo takich typów. Ich jedynym celem było zadawanie bólu bez cienia emocji.

Osoba stojąca pośrodku, dokładnie u stóp Tega, nosiła obszerne, czarno-szare ubranie podobne do tych, które okrywały członków jego eskorty, kaptur miała jednak odrzucony na plecy. Jej spokojna twarz nie zdradzała niczego, a krótko ostrzyżone siwe włosy i strój nie pozwalały jednoznacznie

stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Teg zwrócił uwagę na szerokie czoło, kwadratowy podbródek, duże zielone oczy i ostry jak brzytwa nos. Wąskie usta zesnurowane były z niesmakiem.

Trzeci członek tej grupy najdłużej przyciągał uwagę baszara. Był wysoki, ubrany w skrojony na miarę czarny kombinezon i gładką czarną kurtkę, idealnie dopasowane i z pewnością kosztowne. Nie nosił jakichkolwiek insygniów ani odznaczeń. Ten był z całą pewnością mężczyzną. Celowo sprawiał wrażenie znudzonego, i to wystarczyło, by Teg go rozszyfrował. Wąska, wyniosła twarz, brązowe oczy, zaciśnięte usta. Znudzony, znudzony, znudzony! Wszystko tutaj było niczym nieusprawiedliwiony zamach na jego cenny czas. Miał ważne sprawy do załatwienia gdzie indziej i pozostała dwójka nic nie znaczących *ślug* musi to zrozumieć!

„Ten tutaj – pomyślał Teg – to oficjalny obserwator”.

Przysłany przez władze, miał zaświadczyć, co tu usłyszał i zobaczył. Gdzie jego teczka? Jest. Stoi oparta o ścianę. Teczki takich urzędników były niczym identyfikatory. Rozpoznając teren, Teg widział nieraz, jak przechadzali się ulicami Ysai i innych miast na Gammu. Wąskie, niepozorne teczki. Im ważniejszy był urzędnik, tym mniejsza była jego teczka. Ta tutaj ledwie zmieściłaby kilka nośników danych i maleńki komunikator. Nie ruszyłby się nigdzie bez możliwości natychmiastowego połączenia z przełożonymi. Cieniutka teczka; tak, to był bardzo ważny urzędnik.

Tega ciekawiło, co obserwator odpowiedziałby, gdyby zapytał go wprost: „Co im powiesz o moim opanowaniu i zimnej krwi?”

Odpowiedź miał wypisaną na tym znudzonym obliczu. Nie odpowiedziałby w ogóle. Nie przyjechał tu odpowiadać na pytania. Będzie stąd wychodził wielkimi krokami, myślami będąc już daleko, przy jemu tylko znanych zwierzchnikach, stwierdził Teg. Zatrząśnie teczkę na kolanie, by przypomnieć sobie o własnym znaczeniu i zwrócić uwagę pozostałych na swój atrybut władzy.

Owinięta w sute szaty postać u stóp Tega odezwała się nawykłym do rozkazywania i zdecydowanie kobiecym, dźwięcznym głosem:

– Widzicie, z jaką rezerwą nas obserwuje? Nie złamiemy go milczeniem. Mówiłam wam to, jeszcze zanim tu weszliśmy. Tracimy czas, a nie mamy go dosyć na takie zabawy.

Teg przyjrzał się jej uważnie. W tym głosie było coś znajomego, miał ten sam władczy ton, którego używały Matki Wielebne. Czy to możliwe?

Grubo ciosany typ z Gammu skinął głową.

– Masz rację, Materly. Ale nie ja wydaję tu rozkazy.

„Materly? – zastanawiał się Teg. – To imię czy tytuł?”

Tamci dwoje spojrzeli na urzędnika. On z kolei odwrócił się i pochylił nad swoją teczką. Wyjął z niej mały komunikator, trzymając go w ten sposób, by wyświetlacz był niewidoczny zarówno dla Tega, jak i dla jego towarzyszy. Ekranik rozjarzył się zielonym światłem, które rzucało na twarz obserwatora niezdrową poświatę. Zniknął gdzieś jego uśmiech samozadowolenia. Poruszał bezgłośnie ustami, formując słowa, które zrozumieć mógł tylko ktoś oglądający go na ekranie.

Teg nie dał po sobie poznać, że umie czytać z ruchu warg. Potrafił to każdy wyszkolony przez Bene Gesserit, pod dowolnym kątem, o ile tylko usta były widoczne. Ten tu człowiek mówił odmianą starego galachu.

– To z całą pewnością baszar Teg – meldował. – Dokonałem identyfikacji.

Zielone światło tańczyło na jego twarzy, gdy słuchał odpowiedzi. Ktokolwiek z nim rozmawiał, na pewno energicznie się poruszał, jeśli gra światła miała tu jakiegokolwiek znaczenie.

Usta obserwatora znów przemówiły bezgłośnie.

– Żadne z nas nie ma wątpliwości, że został uodporniony na ból, czuję też od niego zapach szereu. Będzie...

Zamilkł, gdy zielone światło ponownie zamigotało na jego twarzy.

– Nie szukam wymówek. – Jego wargi starannie formowały słowa w starym galachu. – To oczywiste, że zrobimy co w naszej mocy, doradzałbym jednak skoncentrowanie wysiłków na innych sposobach przechwycenia gholi.

Zielone światło zgasło.

Urzędnik przypiął komunikator do pasa, odwrócił się do towarzyszy i skinął głową.

– Sonda T – powiedziała kobieta.

Przesunęli urządzenie nad głowę Tega.

„Nazwała to sondą T” – pomyślał baszar. Spojrzał na zwieszający się nad nim kaptur. Nie było na nim znaku firmowego Ixan.

Teg doznał dziwnego *déjà vu*. Wydało mu się, że był tu już więziony wiele, wiele razy. To nie była powracająca stopklatka, zwyczajne *déjà vu*, ale nagłe rozpoznanie dobrze znanej sytuacji: więzień i śledczy – tych troje, sonda... Poczuł pustkę. Jak mógł pamiętać tę scenę? Sam nigdy nie stosował sondy, zapoznał się jednak dokładnie z jej działaniem. Bene Gesserit często posługiwały się bólem, lecz polegały przeważnie na umiejętnościach

Prawdomówczyń. Zgromadzenie było zdania, że nadużywanie sond zbyt uależni siostry od Ixan. Byłby to przejaw słabości, znak, że nie umieją poradzić sobie bez tych pogardzanych urządzeń. Teg podejrzewał nawet, że w ich niechęci tkwi jakaś pozostałość Dżihadu Butleriańskiego, buntu przeciw wszelkim maszynom, które umiały kopiować istotę ludzkich myśli i wspomnień.

„*Déjà vu!*”

Zimna logika mentata domagała się odpowiedzi na pytanie: „Jak mogę pamiętać tę chwilę?” *Wiedział*, że nigdy wcześniej nie został pojmany. Zamiana ról była wręcz śmieszna. Wielki baszar Teg więźniem? Prawie się uśmiechnął. Głębokie przekonanie, że zna już tę scenę, wciąż go jednak nie opuszczało.

Oprawcy ustawili tymczasem kaptur sondy dokładnie nad nim i zabrali się do mocowania do jego czaszki przyssawek przypominających macki meduzy. Urzędnik obserwował zajętą tym dwójkę pozostałych, a na jego pozbawionym emocji obliczu pojawiał się co jakiś czas grymas zniecierpliwienia.

Teg przyjrzał się po kolei ich twarzom, zastanawiając się, które będzie grać rolę „przyjaciela”. Aaach, naturalnie: ta, którą nazywali Materly. Fascynujące. Czyżby była kimś w rodzaju Dostojnej Matrony? Pozostali nie odnosili się jednak do niej z szacunkiem, jakiego Teg by się spodziewał po tym, co słyszał o powracających Utraconych.

Ci tutaj z pewnością reprezentowali Rozproszenie – być może z wyjątkiem mężczyzny z kwadratową twarzą, ubranego w brunatny kombinezon. Teg z uwagą obserwował kobietę: splecione siwe włosy, chłodny spokój wyglądający z zielonych, szeroko rozstawionych oczu, lekko wysunięty podbródek świadczący o solidnym, odpowiedzialnym usposobieniu. Świetnie nadawała się na „przyjaciela”. Materly miała twarz osoby godnej szacunku, której z powodzeniem można zaufać. Teg dostrzegł w niej wszakże coś więcej: umiejętność cierpliwego wyczekiwania na moment, w którym wkroczy do akcji. Bez wątpienia została co najmniej przeszkolona przez Bene Gesserit.

„Albo Dostojne Matrony”.

Tamci skończyli mocowanie przewodów do jego głowy. Mężczyzna z Gammu ustawił konsolę kontrolną sondy tak, że wszyscy troje widzieli wskaźniki, ale Teg nie mógł patrzeć na ekran.

Kobieta wyjęła mu knebel, co tylko potwierdziło jego przypuszczenia. To ona będzie służyć mu pomocą. Poruszył językiem, czując, jak powraca mu uczucie. Twarz i klatka piersiowa były wciąż trochę odrętwiałe po strzale z głuszaka, który go powalił. Ile czasu minęło od owego momentu? Jeśli wierzyć bezgłośnym słowom obserwatora, Duncanowi udało się uciec.

Mieszkaniec Gammu spojrzał na urzędnika.

– Możesz zacząć, Yar – powiedział tamten.

„Yar? – myślał Teg. – Dziwne imię”. Brzmiało niemal jak z Tleilaxa, lecz Yar nie był maskaradnikiem... ani też mistrzem Tleilaxan. Na jednego za duży, drugiego można by rozpoznać po pewnych typowych cechach. Dzięki szkoleniu Bene Gesserit baszar mógł być pewien swoich spostrzeżeń.

Yar dotknął przycisku na konsoli sondy.

Teg usłyszał swój krzyk. Nic nie przygotowało go na tak silny ból. Musieli od razu ustawić tę piekielną maszynę na najwyższą moc! Na pewno. Wiedzieli przecież, że jest mentatem. Mentat potrafił ograniczyć niektóre odruchy ciała, ten ból jednak był po prostu rozdzierający! Nie był w stanie przed nim uciec. Całe jego ciało dygotało w agonii, czuł, że za chwilę straci świadomość. Czy szer zdoła go osłonić?

Ból zaczął stopniowo maleć, aż w końcu zniknął, pozostawiając zaledwie przerażające wspomnienie.

Znowu!

Przyszło mu nagle do głowy, że podobnie musiały się czuć Matki Wielebne, przechodząc przez agonię przyprawową. Nie wyobrażał sobie potężniejszego bólu. Próbował milczeć, wciąż jednak słyszał własne jęki i krzyki. Musiał użyć wszystkich swoich umiejętności, zarówno tych zdobytych w szkole mentatów, jak i wśród Bene Gesserit, aby powstrzymać się od formowania słów, od błagania o przerwę, od przyrzeczenia, że powie im, co zechcą, byle tylko przestali.

Ból osłabł i niespodziewanie powrócił.

– Dość! – Kobieta.

Teg usiłował przypomnieć sobie jej imię. „Materly?”

– Jest nafaszerowany szerem – odezwał się ponuro Yar. – Wystarczy tego co najmniej na rok! – Wskazał wyświetlacz sondy. – Nic!

Teg chwycił powietrze płytkimi wdechami. Ten ból! Wciąż rozdzierający, mimo rozkazu Materly.

– Powiedziałam: Dość! – warknęła.

„Co za szczerłość” – pomyślał Teg. Poczuł, że ból słabnie, cofa się, jakby wraz z nim wyrywano z jego ciała pojedyncze nerwy, niczym pasma uprzedniej agonii.

– Źle robimy – rzekła Materly. – Ten człowiek jest...

– Jak każdy inny – odparł Yar. – Podłączyć mu przewód do penisa?

– Nie, kiedy ja tu jestem! – ucięła Materly.

Baszar prawie dał się nabrać na szczerłość w jej głosie. Ostatnie pasma bólu opuściły już jego ciało i leżał teraz przepełniony uczuciem jakby zawieszenia w próżni. *Déjà vu* wciąż go nie opuszczało. Był tu i nie był jednocześnie. Wszystko to się zdarzyło i nie zdarzyło.

– Nie będą zadowoleni, jeśli nam się nie uda – rzekł Yar. – Jesteś gotowa stawić im czoło po kolejnej klęsce?

Materly gwałtownie pokręciła głową. Nachyliła się, by Teg widział jej twarz pomiędzy mackowatymi przewodami sondy.

– Baszarze, przykro mi z powodu tego, co się tu dzieje. Możesz mi wierzyć. To nie był mój pomysł. Uważam, że to obrzydliwe. Proszę, powiedz nam to, co chcemy wiedzieć, i pozwól sobie pomóc.

Teg uśmiechnął się do niej. Była niezła! Przeniósł wzrok na milczącego obserwatora.

– Przekaż ode mnie swoim zwierzchnikom, że jest w tym naprawdę dobra.

Twarcz urzędnika pociemniała z wściekłości. Skrzywił się.

– Daj mu maksymalną moc, Yar! – odezwał się wysokim, ostrym głosem, który w przeciwieństwie do głosu Materly, nie zdradzał śladu szkolenia.

– Proszę! – nalegała Materly. Wyprostowała się, ale wciąż patrzyła Tegowi prosto w oczy.

Instruktorci Bene Gesserit uczyły go tego: „Patrz na oczy! Obserwuj wszelkie zmiany. Gdy spojrzenie zwraca się na zewnątrz, świadomość ucieka do wnętrza”.

Z rozmysłem skupił wzrok na jej nosie. Nie była to brzydka twarz, może raczej charakterystyczna. Ciekawe, jaką figurę ukrywała pod tym obszernym ubraniem.

– Yar! – rozległ się głos urzędnika.

Yar zmienił ustawienia i przycisnął guzik.

Ból, który przeszył Tega, uświadomił mu, że poprzednio zaaplikowali mu rzeczywiście niższy poziom. Na fali nowej agonii zobaczył wszystko z większą wyrazistością. Czuł niemal, że może się odłączyć od umęczonego

ciała. Cały ten ból dotykał kogoś innego. On znalazł sobie schronienie, w którym niewiele do niego docierało. Owszem, czuł ból, nawet agonię. Otrzymywał sygnały o rozdzierającym cierpieniu. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że obecny stan jest częściowo wynikiem działania szeru, za co był bardzo wdzięczny.

– Zdaje się, że go tracimy – dotarł do niego głos Materly. – Zmniejsz lepiej moc.

Słyszał, że ktoś jej odpowiedział, ale dźwięki rozplynęły się w niebycie, zanim zdążył rozróżnić słowa. Uświadomił sobie nagle, że nic nie utrzyma go w stanie przytomności. Ta cisza! Zdawało mu się, że słyszy trwożne uderzenia własnego serca, nie był tego jednak całkiem pewien. Wszystko zdominowała wszechogarniająca cisza, poza którą nie było już nic.

„Czy wciąż jeszcze żyję?”

Odnalazł rytm uderzeń serca, ale nie wiedział, czy własnego. „Łup-łup! Łup-łup!” Czuł uderzenia, nie słyszał jednak żadnego dźwięku, nie potrafił określić, skąd dochodzi bicie.

„Co się ze mną dzieje?”

Wśród czerni wypełniającej jego ośrodek wzroku rozbłysły nagle białe, jaskrawe słowa:

– Zszedłem do jednej trzeciej.

– Zostaw tak na razie. Zobaczymy, czy uda nam się coś z niego wydobyć, obserwując, jak reaguje ciało.

– Może nas wciąż słyszeć?

– W każdym razie nie świadomie.

Żaden z instruktorów Tega nie mówił mu, że sonda może spełnić swoje diaboliczne zadanie mimo obecności szeru. Nazywali ją jednak sondą T. Czy reakcje ciała mogą stanowić klucz do poznania ukrytych myśli? Czy atakując ciało, można dotrzeć do tajnych informacji?

Kolejne słowa zatańczyły przed jego oczami:

– Jest wciąż odizolowany?

– Całkowicie.

– Dla pewności daj mu trochę więcej.

Teg próbował wznieść się ponad ogarniający go strach.

„Muszę zachować kontrolę!”

Jeśli straci kontrolę nad ciałem, ile może im ono zdradzić? Domyślał się, co chcą zrobić, i zdawał sobie sprawę z rosnącej paniki, choć jego ciało jej nie czuło.



„Odizolować umysł. Nie dać mu żadnego punktu zaczepienia”.

Kto to powiedział? Ktoś z pewnością. *Déjà vu* wróciło z pełną mocą.

„Jestem mentatem – przypomniał sobie. – Ośrodkiem mojej istoty jest mój umysł i jego działanie”. Miał dość doświadczenia i wspomnień, by na nich oprzeć ten ośrodek.

Ból powrócił. Dźwięki. Głośnie! Zbyt głośnie!

– Znów może nas słyszeć. – To był Yar.

– Jak to możliwe? – Tenor urzędnika.

– Może jednak poziom jest za niski. – Materly.

Teg próbował otworzyć oczy, ale powieki nie chciały go słuchać. Wtedy sobie przypomniał. Powiedzieli: sonda T. To nie było urządzenie Ixan, ale jakiś wytwór Rozproszenia. Czuł, jak przejęła kontrolę nad jego mięśniami i zmysłami. Jakby inna osoba znalazła się w jego ciele, uprzedzając jego reakcje. Prześledził skutki działania intruza. Co za piekielna maszyna! Mogła kazać mu mrugać, pierdzieć, sapać, wypróżniać się i sikać – dosłownie wszystko. Mogła rozporządzać jego ciałem, tak jakby jego umysł nie miał żadnego udziału w jego reakcjach. Stał się jedynie obserwatorem.

Zaatakowały go zapachy – obrzydliwy smród. Nie mógł zmusić twarzy, by się skrzywiła, ale zdołał o tym pomyśleć. To wystarczyło. Wrażenie zapachu wygenerowała sonda, testując jego zmysły, ucząc się nimi zarządzać.

– Masz już dość, żeby go odczytać? – Tenor urzędnika.

– Ciągłe nas słyszy! – Yar.

– Przekłęci mentaci! – Materly.

– Dit, Dat i Dot – odezwał się Teg, wyliczając imiona kukielek z Parady Zimowej ze swego dzieciństwa na Lernajosie, dawno, dawno temu.

– Mówi! – Urzędnik.

Baszar poczuł nagle, że sonda blokuje jego świadomość. Yar robił coś na panelu sterującym. Mimo to Teg wiedział już, że jego umysł mentata powiedział mu właśnie coś bardzo ważnego. Ci troje byli kukielkami. Liczyli się wyłącznie kierujący nimi aktorzy. Ruchy kukielek pomagały zrozumieć zamiary tych, którzy pociągali za sznurki.

Sonda wciąż atakowała jego ciało, ale niezależnie od poziomu mocy Teg czuł, że jego umysł jest w stanie jej sprostać. Owszem, uczyła się go, ale on również się jej uczył.

Teraz już rozumiał. Całe spektrum jego zmysłowych doznań zostało skopiowane do sondy, zidentyfikowane i oznaczone tak, by Yar łatwo mógł

znaleźć to, czego akurat potrzebował. W organizmie Tega istniał określony wzór zmysłowych reakcji, który maszyna wysłuchiwała, tworząc jakby duplikat jego osoby. Szer i zdolności mentata chroniły przed śledczymi jego wspomnienia, wszystko inne jednak mogło zostać skopiowane.

„Nie będzie myśleć tak jak ja” – pocieszał się.

Urządzenie nie mogło zastąpić jego nerwów i ciała. Nie miało jego doświadczeń ani wspomnień. Nie było zrodzone z kobiety. Nigdy nie podróżowało kanałem rodnym i nie przyszło na ten zdumiewający świat.

Część świadomości Tega oznaczyła tę obserwację jako istotną dla zrozumienia fenomenu gholi.

„Duncan wypłynął z kadzi aksolotlowej”.

Myśl ta zbiegła się z nagłym palącym pieczeniem kwasu na języku.

„Znow sonda T!”

Baszar pozwolił swej świadomości rozplątać się w niezliczonych równoległych nurtach.

Śledził działanie sondy i jednocześnie kontynuował rozmyślanie o gholi, cały czas nasłuchując słów Dita, Data i Dota. Trzy kukielki zachowywały dziwne milczenie. Tak, czekały, aż sonda skończy badanie.

„Ghola”. Duncana wyhodowano z komórek, które *zostały* zrodzone przez kobietę zapłodnioną przez mężczyznę.

„Maszyna i ghola!”

Obserwacja: „Maszyna nie ma udziału w doświadczeniu narodzin, chyba że w jakiś odległy, zastępczy sposób, który uniemożliwia jej wychwycenie istotnych osobistych niuansów”.

Dokładnie tak jak teraz nie zauważała wielu rzeczy w nim.

Sonda T znowu stymulowała jego zmysł węchu. Z każdym następnym zapachem w umyśle Tega ożywały kolejne wspomnienia. Wyczuwał, z jaką szybkością pracuje sonda, ale jego świadomość trwała w zawieszeniu gdzieś poza tym gorączkowym poszukiwaniem, gotowa kryć się bezpiecznie wśród wspomnień tak długo, jak tylko będzie chciał.

„I co wy na to?!”

Czuł zapach gorącego wosku, który wylał sobie na dłoń jako czternastoletni zaledwie uczeń w szkole Bene Gesserit. Pamiętał szkołę i laboratorium tak dobrze, jak gdyby tylko tam cały czas się znajdował. „Szkoła na Kapitule”. Teg wiedział, że w jego żyłach płynie krew Siony, właśnie stąd, iż pozwolono mu tu studiować. Żaden jasnowidz nie zdołałby go tu wytropić. Widział laboratorium i czuł zapach wosku – zlepek

sztucznych aromatów i naturalnego produktu pszczoł hodowanych przez siostry, którym nie udało się zrobić kariery w zgromadzeniu. Wrócił pamięcią do chwil, gdy przyglądał się pszczołom i ludziom pracującym w jabłoniowych sadach.

Struktura społeczna Bene Gesserit wydawała się taka skomplikowana, dopóki nie zdał sobie sprawy ze wszystkich jej podstawowych potrzeb: żywności, ubrania, ciepła, komunikacji, nauki, ochrony przed wrogiem (jako elementu instynktu samozachowawczego). Należało też zrozumieć, że potrzeba przetrwania Bene Gesserit różniła się nieco od tego, co się zwykle przez to rozumie. One nie rozmnażały się, by zapewnić przetrwanie ludzkości. Żadnego niekontrolowanego łączenia ras! Rozmnażały się, by ich władza mogła wzrastać, by umacniać trwałość Bene Gesserit. Uważały to za wystarczający wkład w dobro ludzkości, i być może miały rację. Motywacja prokreacyjna była w każdym razie głęboka, a zgromadzenie – bardzo skrupulatne.

Zaatakował go nowy zapach.

Rozpoznał woń swego przemoczonego wełnianego ubrania, gdy wszedł do kwatery sztabu po bitwie o Ponciard. Zapach wypełnił mu nozdrza; wyczuwał nutę ozonu wydzielanego przez pracujące w pomieszczeniu urządzenia, woń potu obecnych tam osób. „Wełna!” Siostry zawsze uważały za dziwaczne jego upodobanie do naturalnych tkanin i to, jak unikał syntetyków ze zdobytych fabryk.

Nie lubił też psich foteli.

„Nie podoba mi się żadna forma zniewolenia”.

Ciekawe, czy te kukielki – Dit, Dat i Dot – wiedziały, jak bardzo są zniewolone?

Mentacka logika szydziła z jego myśli. Czyż wełna też nie pochodziła ze zdobytych fabryk?

To nie to samo.

Rozum wytaczał kolejne argumenty. Syntetyczne materiały mogą być przechowywane niemal wiecznie. Wystarczy zobaczyć, w jakim stanie zachowały się w komorze pozaprzestrzennej Harkonnenów.

„Wciąż jednak wolę wełnę i bawełnę!”

„W porządku!”

„Skąd jednak u mnie takie preferencje?”

„To typowe uprzedzenia w stylu Atrydów. Odziedziczyłeś je”.

Teg odsunął na bok zapachy i skoncentrował się na poruszeniach sondy. Zorientował się właśnie, że potrafi przewidzieć jej następny ruch. To tak, jakby miał nowy mięsień. Pozwolił ciału uczyć się nim poruszać, podczas gdy jego umysł nadal szukał cennych spostrzeżeń wśród wywołanych zapachami wspomnień.

„Siedzę przed drzwiami mojej matki na Lernajosie”.

Teg skupił część swojej świadomości na tej scenie. Wiek – jedenaście lat. Rozmawia z małą nowicjuską Bene Gesserit, przybyłą tu w orszaku Kogoś Ważnego. Dziewczynka jest szczuplutka, o buzi lalki. Ma złotorude włosy, zadarty nos i szarozielone oczy. Ktoś Ważny to spowita w czarne szaty, wyglądająca na niesamowicie starą Matka Wielebna. Wraz z matką Tega zniknęła dopiero co za drzwiami, przy których siedzi. Nowicjuszka Carlana wypróbowuje swoje dopiero co nabyte umiejętności na synu gospodarzy.

Zanim Carlana zdąży wymówić dwadzieścia słów, Miles Teg rozpoznaje jej zamiary. Chce wyciągnąć od niego informacje! Była to jedna z pierwszych lekcji subtelnej dezinformacji, jakich udzieliła mu matka. Mogło się przecież zdarzyć, że ktoś będzie wypytywał chłopca o szczegóły z prywatnego życia Matki Wielebnej, licząc na zdobycie cennych wiadomości. Na dane dotyczące Matek Wielebnych zawsze jest popyt. Matka tłumaczyła mu: „Oceń pytającego i dostosuj swoje odpowiedzi do poziomu jego wyczulenia na fałsz”. Nie pomogłoby mu to oczywiście zwieść prawdziwej Matki Wielebnej, ale nowicjuskę z pewnością, a już zwłaszcza taką jak ta!

Na użytek Carlany przybiera więc pozę bojaźliwej rezerwy. Carlana ma wybijać opinię o swojej atrakcyjności. Po odpowiednich zabiegach z jej strony pozwala wreszcie dziewczynce przełamać swą niechęć. Wydobywa z niego ostatecznie stek kłamstw, które – jeśli zdecyduje się je powtórzyć na osobności Komuś Ważnemu – zapewnią jej co najmniej surową naganą.

„Dit, Dat i Dot mówią”:

– Teraz chyba go mamy.

Teg rozpoznaje głos Yara wyrywający go ze starych wspomnień. „Dostosuj swoje odpowiedzi do poziomu jego wyczulenia na fałsz”. Teg słyszał wyraźnie głos matki wypowiadającej te słowa.

„Kukielki”.

„Ci, którzy pociągają za sznurki”.

Urzędnik mówi:

– Zapytaj model, dokąd zabrali gholę.

Cisza, potem ciche buczenie.

– Niczego nie odbieram. – To Yar.

Teg słyszy ich głosy tak wyraźnie, że przewrażliwione uszy aż bolą. Zmusza się do otwarcia oczu wbrew rozkazom sondy.

– Patrzcie! – mówi Yar.

Trzy pary oczu wpatrują się w Tega. Jak wolno się poruszają. Dit, Dat i Dot. Mrugają z wolna: raz... dwa... co najmniej minuta między jednym mrugnięciem a drugim. Yar sięga do przełączników konsoli. Jego palcom dotarcie tam zajmie co najmniej tydzień.

Teg bada więzy na nadgarstkach i kostkach. Zwykły sznur! Nie spiesząc się, wykręca palce tak, by dotknęły węzłów. Węzły rozluźniają się, najpierw powoli, potem zaś aż śmigają w powietrzu. Kolej na pasy mocujące go do noszy. Z nimi idzie jeszcze łatwiej – to proste klamry. Dłoń Yara nie pokonała jeszcze nawet jednej czwartej odległości dzielącej ją od konsoli.

Mrugnięcie... drugie... trzecie...

Trzy pary oczu wyrażają lekkie zdumienie.

Teg uwalnia się od płataniny macek łączących go z sondą. Klik, klik, klik! Przyssawki odpadają na boki. Zaskoczony, obserwuje powolny wypływ krwi ze skaleczenia na prawej dłoni, którą odrywał zaczepy.

Mentacka konkluzja: „Poruszam się z niebezpieczną szybkością”.

Stoi już obok noszy. Urzędnik spowolnionym ruchem sięga w kierunku wyrzucenia w bocznej kieszeni. Dłoń Tega miażdży jego krtań. Urzędnik nigdy już nie tknie małego pistoletu laserowego, który tam chował. Ręka Yara ma wciąż do pokonania co najmniej jedną trzecią odległości od konsoli, ale w jego oczach pojawia się już wyraźne zaskoczenie. Wątpliwe, czy zdążył w ogóle zobaczyć dłoń, która złamała mu kark. Materly porusza się trochę szybciej. Jej lewa stopa zbliża się właśnie do miejsca, w którym Teg był zaledwie przed ułamkiem sekundy. Wciąż jednak jest za wolna! Jej głowa jest odrzucona do tyłu, a gardło zupełnie nieosłonięte przed spadającym z góry ciosem.

Jak wolno upadają na podłogę!

Teg zdał sobie sprawę, że pot leje się z niego strumieniami, nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać.

„Znałem każdy ich ruch, zanim go zrobili! Co się ze mną stało?”

Mentacka konkluzja: „Agonia wywołana przez sondę zwiększyła poziom moich możliwości”.

Gwałtowne skurcze głodu uświadomiły mu olbrzymi wydatek energetyczny. Odsunął na razie od siebie ten problem, czując, jak jego ciało powraca do normalnego rytmu. Trzy głuche odgłosy: padające na podłogę ciała.

Przyjrzał się panelowi sterującemu sondy. Zdecydowanie nie była to ixańska robota. Kontrolki były jednak podobne. Znalazł bazę danych i usunął ją.

„Światło?”

Wyłącznik był przy drzwiach. Teg zgasił lampy i wziął trzy głębokie oddechy. Rozpędzony niewyraźny kształt wypadł w ciemność.

Członkowie eskorty, która go tu przyprowadziła, poowijani w swe grube ubrania dla ochrony przed zimnem, ledwo zdążyli się odwrócić w stronę niespodziewanego hałasu, gdy rozpędzony wir powalił ich na ziemię.

Tym razem ciało Tega szybciej powróciło do normalnego rytmu. W świetle gwiazd dostrzegł wiodący w dół zbocza szlak między zaroślami. Poślizgnął się i przez chwilę zjeżdżał po zaśnieżonym błocie, zaraz jednak odzyskał równowagę, wyczuwając ukształtowanie terenu. Każdy krok trafiał już dokładnie tam, gdzie powinien. Wkrótce znalazł się na schodzącej w dolinę otwartej przestrzeni.

Zobaczył w oddali światła miasta i wielki czarny budynek blisko centrum. Znał to miejsce: Ysai. Tam byli ci, którzy pociągali za sznurki.

„A ja jestem wolny!”



Był sobie kiedyś człowiek, który każdego dnia siadał przy wysokim drewnianym płocie i wyglądał przez wąską dziurę po brakującej desce. Każdego dnia po drugiej stronie płotu przechodził dziki pustynny osioł. Przez wąską dziurę widać był najpierw jego nos, potem łeb, przednie nogi, długi brunatny grzbiet, tylne nogi i wreszcie ogon. Pewnego dnia człowiek ów zerwał się, porażony nagłym odkryciem, i z błyskiem w oczach zawołał głośno, tak by wszyscy go usłyszeli: „To jasne! Nos sprawia, że pojawia się ogon!”

– *Opowieści o ukrytej mądrości, przekazy ustne z Rakis*

Wiele już razy od przybycia na Rakis Odrade łapała się na rozmyślaniach o starożytnym obrazie, który wisiał na honorowym miejscu w pokojach

Tarazy na Kapitule. Myśląc o nim, czuła wręcz pod palcami dotyk pędzla, jej nozdrza wypełniał aromat farb i pigmentów, tak jakby jej emocje przelewały się na starodawne płótno. Doświadczając tego wspomnienia, niezmiennie na nowo wątpiła, czy Sziena rzeczywiście jest jej płótnem.

„Która z nas maluje którą?”

Tego ranka przydarzyło jej się to znowu. Za oknami twierdzy Rakis, w której mieszkały z Szieną, wciąż było ciemno. Do pokoju weszła cicho nowicjuszka, by obudzić ją i przekazać, że wkrótce przybędzie Taraza. Odrade spojrzała na oblaną miękkim światłem twarz ciemnowłosej dziewczyny i wspomnienie obrazu powróciło jak żywe.

„Która z nas naprawdę kształtuje tę drugą?”

– Pozwólmy Szienie jeszcze trochę pospać – powiedziała, nim odprawiła nowicjuskę.

– Czy podać śniadanie przed przybyciem Matki Przełożonej? – zapytała dziewczyna.

– Poczekamy z tym na Tarazę.

Odrade pospieszenie skończyła poranną toaletę i włożyła swą najlepszą czarną szatę. Potem przeszła do pokoju dziennego ich apartamentu i stanęła przy oknie, z którego roztaczał się widok na port kosmiczny. Liczne światła rzucały lunę na zasnute pyłem niebo. Odrade włączyła wszystkie lumisfery, by złagodzić trochę obraz za oknem. Odbijające się od grubej tafli zbrojonego plazu lampy wyglądały teraz jak ogromne gwiazdne kule. Na tle zamglonego nieba widziała też w oknie odbicie swojej twarzy noszącej wyraźne oznaki zmęczenia.

„Wiedziałam, że przybędzie” – pomyślała.

W tej samej chwili rakańskie słońce wychynęło zza zamglonego horyzontu niczym rzucona w górę pomarańczowa piłka i przez atmosferę momentalnie przetoczyła się fala żaru, o której wspominało tylu badaczy planety. Odrade odwróciła się od okna i zobaczyła, że drzwi się otwierają. Taraza weszła wśród szelestu sukni. Niewidoczna dłoń zamknęła za nią drzwi, zostawiając je same. Matka Przełożona ruszyła w stronę Odrade, nie zdejmując kaptura ocieniającego jej otuloną czepek twarzy. Nie był to krzepiący widok.

Zauważywszy poruszenie Odrade, Taraza postanowiła je wykorzystać.

– Cóż, Dar, wygląda na to, że spotykamy się w końcu jak obce sobie osoby.

Efekt tych słów zaskoczył Odrade. Zrozumiała groźbę, lecz strach już ją opuścił, wyciekł z niej niczym woda wylana z dzbana. Po raz pierwszy w życiu bezbłędnie rozpoznała moment, w którym nieodwołalnie przekraczała pewną granicę. Niewiele sióstr podejrzewało, że taka granica w ogóle istnieje, ona jednak uświadomiła sobie wtedy, że zawsze o niej wiedziała – o chwili, w której mogła odejść, rozpląnąć się w próżni i być wolna. Mogły ją zabić, ale nie mogły już jej pokonać.

– Nie ma więc już Dar i Tar – rzekła.

Taraza odebrała spokojny, pozbawiony emocji głos Odrade jako przejaw poufałości.

– Może nigdy nie było – odparła lodowatym tonem. – Sądysz, jak widzę, że byłaś niezwykle sprytna.

„Bitwa się rozpoczęła – pomyślała Odrade. – Ale ja nie stoję na linii jej ataku”.

– Nie było żadnej możliwej do zaakceptowania alternatywy dla sojuszu z Tleilaxanami. Zwłaszcza gdy zrozumiałam, czego tak naprawdę od nas oczekujesz – powiedziała.

Taraza poczuła się nagle bardzo zmęczona. Mimo skoków jej statku przez zagiętą przestrzeń była to długa podróż. Ciało zawsze czuło, że wyrwa się je z naturalnego rytmu. Z westchnieniem usiadła i wtuliła się w miękką otomanę.

Odrade zauważyła zmęczenie Matki Przełożonej i poczuła nagły przypływ współczucia. Znów były dwiema Matkami Wielebnymi borykającymi się ze wspólnymi problemami.

Taraza oczywiście wyczuła tę zmianę nastroju. Poklepała leżącą obok poduszkę i zaczęła, aż Odrade usiadzie przy niej.

– Musimy zapewnić zgromadzeniu przetrwanie – rzekła Taraza. – Tylko to się liczy.

– Naturalnie.

Taraza badawczo przyjrzała się znajomym rysom Odrade. „Tak, ona też jest zmęczona”.

– Byłaś tu, na miejscu, miałaś bezpośredni kontakt z ludźmi zamieszkanymi w tę sprawę – rzekła. – Chcę... nie, Dar, *potrzebuję* twojej opinii.

– Wydaje się, że Tleilaxanie w pełni z nami współpracują – powiedziała Odrade – wyczuwam w tym jednak jakiś fałsz. Zaczynam zadawać sobie bardzo dziwne pytania.



- Na przykład?
- Na przykład, czy kadzie aksolotlowe to naprawdę... kadzie.
- Co masz na myśli?
- Waff zachowuje się podobnie jak członkowie rodzin, które próbują ukryć istnienie kalekiego dziecka albo szalonego wuja. Przysięgam, jest wyraźnie zakłopotany, gdy tylko zaczynam pytać o te zbiorniki.
- Ale czym w takim razie mogłyby...
- Zastępczymi matkami.
- Ale w takim razie musiałyby... – Taraza umilkła, zaszokowana możliwościami, jakie otwierało to przypuszczenie.
- Czy ktoś kiedyś widział kobietę Tleilaxan? – spytała Odrade.
- W umyśle Tarazy kłębiło się mnóstwo obiekcji.
- A co z precyzyjną kontrolą chemiczną, z niedopuszczeniem do powstawania zmian...? – Odrzuciła kaptur i uwolniła włosy spod czepka. – Masz rację. Musimy sprawdzić dokładnie wszystko. To... to potworne.
- Waff nie mówi mi też całej prawdy o gholi.
- A co mówi?
- Niewiele więcej niż to, co już wiemy: połączenie oryginalnych cech Duncana Idaho z dodatkowymi umiejętnościami prana i bindu, o które prosiliśmy.
- To nie tłumaczy, dlaczego zabili, albo przynajmniej próbowali zabić, wszystkich poprzednich, których dla nas wyprodukowali.
- Waff zaklina się na świętą przysięgę Wielkiej Wiary, że robili to ze wstydu, bo jedenastu poprzednich gholi nie spełniało do końca stawianych przez nas wymagań.
- A skąd to niby wiedzieli? Czyżby sugerował, że mają wśród nas szpiegów?
- Przysięga, że nie. Sama go o to pytałam i odpowiedział, że w pełni udany ghola wywołałby wśród nas widoczne poruszenie.
- Jakie widoczne poruszenie? Co on znowu...
- Tego nam nie powie. Wciąż zasłania się tym, że działają zgodnie z warunkami kontraktu. Gdzie jest teraz ghola, Tar?
- Co... och. Na Gammu.
- Słyszałam plotki, że...
- Burzmalı w pełni panuje nad sytuacją. – Taraza zacisnęła usta, mając nadzieję, że to prawda. Ostatnie doniesienia nie napełniały jej otuchą.
- Najwyraźniej zastanawiasz się, czy gholi nie trzeba zabić.

- Nie tylko gholi!
- Odrade uśmiechnęła się.
- Więc to prawda, że Bellonda chce mnie trwale wyeliminować.
- Skąd ty...
- Czasami opłaca się mieć wielu przyjaciół, Tar.
- Poruszasz się po niebezpiecznym terenie, Matko Wielebna Odrade.
- Mimo to idę pewnie przed siebie, Matko Przełożona Tarazo. Mam sporo bardzo poważnych przemyśleń na temat tego, co Waff powiedział nam o Dostojnych Matronach.
- Podziel się więc kilkoma. – W głosie Tarazy brzmiała niewzruszona determinacja.
- Lepiej, żebyśmy nie miały co do tego żadnych złudzeń – rzekła Odrade.
- Znacznie przewyższyły wszelkie umiejętności naszych imprinterek.
- Dziwki!
- Owszem, używają swoich zdolności w sposób, który ostatecznie okaże się zabójczy tak dla nich, jak i dla innych. Oślepia je własna potęga.
- Czy to już wszystkie twoje poważne wnioski?
- Powiedz mi, Tar, dlaczego zaatakowały i zrównały z ziemią naszą twierdzę na Gammu?
- Najwyraźniej próbowały pojmać lub zabić gholę.
- A czemu jest dla nich aż tak ważny?
- Co próbujesz mi powiedzieć? – zapytała Taraza.
- Może *dziwki* działały, kierując się informacjami udzielonymi im przez Tleilaxan? A co, jeśli sekretne zmiany wprowadzone w gholi przez specjalistów Waffa uczynią z niego męski odpowiednik Dostojnej Matrony?
- Taraza odruchowo zakryła usta dłonią i opuściła ją natychmiast, gdy zdała sobie sprawę, jak wiele mówi ten gest. Było już jednak za późno. Nieważne. Znów były dwiema Matkami Wielebnymi.
- A my kazałyśmy Lucylli sprawić, by nie mogła mu się oprzeć żadna kobieta – stwierdziła Odrade.
- Od jak dawna Tleilaxanie zadają się z tymi dziwkami? – zapytała Taraza.
- Odrade wzruszyła ramionami.
- Ważniejsze dla nas jest to, od jak dawna mają kontakt ze swoimi Utraconymi powracającymi z Rozproszenia. Tleilaxanie zdradzą Tleilaxanom wiele sekretów.

– To rzeczywiście błyskotliwe spostrzeżenie. Jak wysoko oceniasz prawdopodobieństwo takiego scenariusza?

– Wiesz równie dobrze jak ja, że to bardzo wiele wyjaśnia.

– Co więc teraz sądzisz o swoim sojuszu z Tleilaxanami? – spytała gorzko Taraza.

– Jest nam potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Musimy trzymać rękę na pulsie. Musimy mieć możliwość wpływania na głównych graczy.

– Zły Duch! – wykrzyknęła Taraza.

– Co?

– Ten ghola to rejestrator danych w ludzkiej skórze! A oni umieścili go między nami. Jeśli Tleilaxanie dostaną go w swoje ręce, niemało się o nas dowiedzą.

– To nie byłoby zręczne posunięcie.

– Ale jakie dla nich typowe!

– Mam świadomość, jak wiele to za sobą pociąga – rzekła Odrade – jednak wszystko to jeszcze utwierdza mnie w przekonaniu, że nie możemy sobie pozwolić na zabicie gholi, póki same dokładnie go nie przebadamy.

– Wtedy może już być za późno! Niech лихо porwie ten twój sojusz, Dar! Trzymają nas przez to w szachu... a my ich... i żadne z nas nie waży się wykonać ruchu!

– Czy to nie idealne przymierze?

Taraza westchnęła.

– Kiedy musimy dać im dostęp do naszych kartotek genetycznych?

– Już niedługo. Waff mocno na to naciska.

– Więc my wkrótce zobaczymy ich aksolotłowe... kadzie?

– Właśnie tego argumentu używam cały czas. Już się zgodził, chociaż niechętnie.

– Sięgamy sobie nawzajem coraz głębiej do kieszeni! – warknęła Taraza.

– Idealny sojusz, tak jak mówiłam – powiedziała Odrade niewinnym tonem.

– Do diabła, do diabła... – mruczała Taraza. – A Teg przywrócił już gholi jego wspomnienia!

– A czy Lucylla...

– Nie wiem! – Taraza spojrzała ponuro na Odrade i powtórzyła jej ostatnie doniesienia z Gammu: zlokalizowano grupę Tega, powstaje plan wydostania ich stamtąd. Miała od nich bardzo lakoniczne informacje, a od Lucylli żadnej.

Pod wpływem własnych słów w umyśle Tarazy ukształtował się niepokojący obraz. Kim był ten ghola? Zawsze wiedziały, że ghole Duncana Idaho nie byli tacy jak inni. Teraz jednak, po dodaniu nadnaturalnych możliwości nerwowo-mięśniowych i niewiadomej zmiennej wprowadzonej przez Tleilaxan, czuła, jakby trzymała w ręce płonącą gałąź. Wiedziała, że być może będzie jej musiała użyć we własnej obronie, jednak płomienie w przerażającym tempie zbliżały się do jej palców.

– Czy próbowałaś sobie kiedykolwiek wyobrazić – spytała Odrade zamyślnym tonem – jak musi się czuć ghola, obudzwszy się nagle w nowym ciele?

– Co takiego? Co próbujesz...

– Zdaje sobie nagle sprawę, że jego ciało zostało wyhodowane z komórek trupa – mówiła dalej Odrade. – On pamięta własną śmierć.

– Idaho zawsze byli nieprzeciętni.

– To samo można powiedzieć o mistrzach Tleilaxan.

– Co masz na myśli?

Odrade przeciągnęła dłonią po czole, zastanawiając się chwilę. Niezwykle trudno było mówić o tym z kimś, kto odrzucił wszelkie uczucia, którego reakcje brały się z rdzenia czystego gniewu. Taraza nie była zdolna do... współczucia. Nie potrafiła wczuć się w kogoś innego, chyba że potraktowałaby to jako czysto logiczne ćwiczenie.

– Przebudzenie musi być dla gholi porażającym doświadczeniem – powiedziała, opuszczając dłoń. – Coś takiego może przeżyć jedynie ktoś o ogromnej odporności psychicznej.

– Zawsze zakładałyśmy, że w mistrzach Tleilaxan tkwi coś więcej, niż można by się na pozór spodziewać.

– A w Duncanach Idaho?

– Tak samo. Z jakiego innego powodu Tyran kupowałby ich od Tleilaxan? Odrade spostrzegła, że ta wymiana zdań do niczego nie prowadzi.

– Idaho byli zawsze lojalni wobec Atrydów, a musimy pamiętać, że ja też jestem Atrydką – powiedziała.

– Myślisz, że zwiąże go z tobą lojalność?

– Szczególnie po tym, jak Lucylla...

– To może być zbyt niebezpieczne!

Odrade wtuliła się w narożnik otomany. Taraza chciała mieć pewność. Tymczasem życie produkowanych seryjnie gholi było jak melanż, który

smakuje różnie w zależności od sytuacji i otoczenia. Skąd więc mogłyby mieć pewność co do swojego gholi?

– Tleilaxanie igrają z siłami, które stworzyły naszego Kwisatz Haderach – wymruczała pod nosem Taraza.

– Myślisz, że to dlatego chcą uzyskać dostęp do naszych kartotek genetycznych?

– Nie wiem! Niech cię richo, Dar! Nie widzisz, do czego doprowadziłaś?

– Nie wydaje mi się, żebym miała jakiś wybór.

Taraza uśmiechnęła się chłodno. Odrade radziła sobie doskonale, powinna jednak postawić się w jej położeniu.

– Sądzisz, że ja postąpiłabym tak samo? – zapytała.

„Ona wciąż nie rozumie, co się ze mną stało” – pomyślała Odrade. Taraza spodziewała się, że jej grzeczna Dar będzie działać samodzielnie, ale rozmiar tej samodzielności wstrząsnął Najwyższą Radą. Taraza nie zamierzała czuć się za to odpowiedzialna.

– Zwyczajowa praktyka – rzekła Odrade.

Te słowa podziały na Tarazę niczym policzek. Tylko żelazna dyscyplina Bene Gesserit powstrzymała ją od uderzenia Odrade.

„Zwyczajowa praktyka!”

Ileż to razy powtarzała, jak bardzo ją to irytuje, jak wciąż na nowo wzbudza skrzętnie skrywany gniew. Odrade często to od niej słyszała.

– Niezmiennosc obyczaju jest niebezpieczna. Wrogowie mogą poznać schemat i użyć go przeciw tobie – zacytowała Odrade słowa Matki Przełożonej.

– Tak, to istotnie przejaw słabości – wydusiła z wysiłkiem Taraza.

– Nasi wrogowie sądzili, że nas przejrżeli – rzekła Odrade. – Nawet ty, *Matko Przełożona*, myślałaś, że znasz granice, których nie przekroczę. Byłam dla ciebie jak Bellonda. Zanim przemówi, wiesz, co ma do powiedzenia.

– Czyżbyśmy popełniły błąd, nie wynosząc cię wyżej niż mnie? – zapytała Taraza, wiedzona najgłębszą lojalnością wobec zgromadzenia.

– Nie, Matko Przełożona. Stąpamy po niepewnej ścieżce, obie jednak wiemy, dokąd zmierzamy.

– Gdzie jest teraz Waff? – spytała Taraza.

– Śpi, dobrze strzeżony.

– Wezwij Szienę. Musimy zdecydować, czy porzucamy tę część planu.

– I zabieramy swoje zabawki?

– Tak jak mówisz, Dar.

Wciąż zaspana, Sziena pojawiła się w pokoju dziennym, trąc oczy, wyraźnie jednak zdążyła przemyć twarz i przebrać się w czystą, białą sukienkę. Włosy miała jeszcze wilgotne.

Taraza i Odrade stały przy wschodnim oknie, odwrócone plecami do światła.

– To właśnie Sziena, Matko Przełożona – odezwała się Odrade.

Sziena, już w pełni rozbudzona, zbliżyła się, nagle sztywniejąc. Słyszała o tej potężnej kobiecie, tej Tarazie, która rządziła zgromadzeniem z odległej cytadeli zwanej Kapitułą. Jasne słońce wpadające przez okno, przy którym stały kobiety, świeciło prosto w twarz Szieny, oślepiając ją. Ledwie widziała kontury twarzy obu Matek Wielebnych i ich ciemne postacie obramowane świetlistą obwódką.

Nauczycielki nowicjuszek przygotowały ją na to spotkanie. „Przed Matką Przełożoną masz stać na bacność i odzywać się z szacunkiem tylko wtedy, gdy cię o to poprosi”.

Sziena stała więc czujna i wyprostowana, tak jak ją nauczono.

– Mówiono mi, że być może zostaniesz jedną z nas – odezwała się Taraza.

Obie kobiety zauważyły wrażenie, jakie te słowa wywarły na dziewczynie. Sziena była ostatnio coraz bardziej świadoma tego, jak potężne są Matki Wielebne. Odkryła ogrom tej prawdy i zaczęła pojmować, jak gigantyczną wiedzę i doświadczenie Bene Gesserit zdołały zgromadzić przez minione tysiąclecia. Dowiedziała się o pamięci selektywnej, o Innych Wspomnieniach, o agonii przyprawowej. Teraz zaś stała przed nią najpotężniejsza z Matek Wielebnych, ta, przed którą nic nie mogło się ukryć.

– Nie masz nic do powiedzenia, dziecko? – zapytała Taraza, gdy Sziena nie odpowiadała.

– Co można tu więcej powiedzieć, Matko Przełożona? Ty powiedziałaś już wszystko.

Taraza posłała Odrade pytające spojrzenie.

– Masz dla mnie jeszcze jakieś niespodzianki, Dar?

– Mówiłam ci, że jest doskonała.

Taraza zwróciła znów wzrok ku Szienie.

– Jesteś dumna z takiej opinii, dziecko?

– Przeraża mnie ona, Matko Przełożona.

Starając się wciąż utrzymać twarz w całkowitym bezruchu, Sziena zaczęła oddychać nieco swobodniej. „Mów tylko najgłębszą prawdę” –

przypominała sobie. Słowa nauczycielki nabrały teraz dużo więcej sensu. Oczy miała utkwione w podłodze tuż przed kobietami, unikając najbardziej oślepiających promieni słonecznych. Czula, że jej serce wciąż bije o wiele za szybko, a wiedziała, że Matka Wielebna potrafi to zauważyć. Odrade nieraz tego dowiodła.

– Cóż, powinna cię przerażać – rzekła Taraza.

– Rozumiesz, co się do ciebie mówi, Sziena? – zapytała Odrade.

– Matka Przełożona pragnie wiedzieć, czy jestem całkowicie oddana zgromadzeniu – odparła dziewczyna.

Odrade spojrzała na Tarazę i wzruszyła ramionami. Nie musiały mówić nic więcej – tyle wystarczało, gdy należało się do jednej rodziny, a tak właśnie było w Bene Gesserit.

Taraza nadal bez słowa przyglądała się Szienie. Dziewczyna z wielkim trudem znosiła jej twardy wzrok, wiedziała jednak, że musi milczeć i pozwolić na to niemiłe badanie.

Odrade odsunęła od siebie wszelkie współczucie. Sziena w tylu rzeczach przypominała ją w tym wieku. Miała otwarty umysł, który rozwijał się we wszystkich kierunkach naraz, niczym nabierający powietrza balon. Odrade pamiętała, jak nauczycielki podziwiała u niej tę samą cechę, jednak ostrożnie, tak samo jak ostrożna była teraz Taraza. Odrade zauważyła tę rezerwę, gdy była jeszcze młodsza niż Sziena, i nie miała wątpliwości, że dziewczyna również to widzi. Rozum w końcu się na coś przydawał.

– Hmm – powiedziała Taraza.

Szum myśli przebiegających przez głowę Matki Przełożonej rozbrzmiewał zarazem w uszach Odrade jako pasmo jednoczesnego przepływu. Przypomniła sobie, jak siostry, które przynosiły jej posiłki, gdy siedziała do późna, zawsze zostawały chwilę, by obserwować ją w ten właśnie szczególny sposób, tak samo jak bez przerwy podglądano i kontrolowano teraz Szienę. Odrade od wczesnej młodości wiedziała o wyjątkowych metodach obserwacji, które były w końcu jedną z największych pokus dla kandydatek do grona Bene Gesserit. Każda chciała osiąść te niezwykle umiejętności. Sziena z pewnością też tego pragnęła, było to marzenie każdej nowicjuszek: „Żeby tylko potrafiła robić takie rzeczy!”

Taraza wreszcie przemówiła.

– Czego, twoim zdaniem, chcesz od nas, dziecko?

– Tego samego, czego ty, jak ci się zdawało, chciałaś w moim wieku, Matko Przełożona.

Odrade stłumiła uśmiech. Dzika potrzeba niezależności przywiodła właśnie Szienę na granicę zuchwalstwa i Taraza na pewno to zauważyła.

– Sądysz, że robisz w ten sposób właściwy użytek ze swego życia? – zapytała Taraza.

– To jedyny użytek, jaki znam, Matko Przełożona.

– Doceniam twoją szczerość, ostrzegam cię jednak, żebyś z nią bardzo uważała.

– Tak, Matko Przełożona.

– Już w tej chwili jesteś nam wiele winna, a ten dług będzie wzrastał – rzekła Taraza. – Pamiętaj o tym. Naszych darów nie zdobywa się tanim kosztem.

„Sziena nie ma najmniejszego pojęcia o tym, jaką cenę przyjdzie jej zapłacić za nasze dary” – pomyślała Odrade.

Zgromadzenie nigdy nie pozwalało nowym członkiniom zapomnieć, ile są mu winne i ile muszą odpłacić. Nie odpłacało się miłością. Miłość była niebezpieczna i Sziena już zaczynała to rozumieć. „Dar życia?” Odrade przeszył dreszcz i odchrząknęła, by pokryć poruszenie.

„Czy ja jeszcze żyję? Może umarłam, kiedy zabrano mnie od mamy, Sibii? W tamtym domu żyłam, ale czy żyję, odkąd siostry mnie stamtąd wzięły?”

– Możesz nas teraz zostawić, Szieno – rzekła Taraza.

Sziena obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, Odrade zdążyła jednak jeszcze dostrzec lekki uśmiech na jej twarzy. Dziewczyna wiedziała, że zdała egzamin przed Matką Przełożoną.

– Wspominałaś o jej wrodzonym uzdolnieniu do używania Głosu – powiedziała Taraza, gdy drzwi zamknęły się za Szieną. – Oczywiście też to słyszałam. Niezwykłe.

– Cały czas się hamowała – odparła Odrade. – Nauczyła się już nie próbować go na nas.

– A więc co tu mamy, Dar?

– Może przyszlą Matkę Przełożoną o nadzwyczajnych uzdolnieniach.

– Nie zbyt nadzwyczajnych?

– Będziemy musiały się przekonać.

– Sądysz, że będzie zdolna dla nas zabić?

– Teraz? – Odrade nie ukrywała zaskoczenia.



– Oczywiście.

– Gholę?

– Teg tego nie robi – stwierdziła Taraza. – Mam też wątpliwości co do Lucylli. Z ich doniesień jasno wynika, że ghola potrafi wzbudzać w ludziach wyjątkowo silne przywiązanie.

– Podobnie jak ja?

– Sama Schwangyu nie była na to całkiem odporna.

– I gdzie w takim czynie szlachetny cel? – spytała Odrade. – Czy to nie przed czymś takim ostrzegał nas Tyran?

– On? Sam zabijał wielokrotnie!

– I zapłacił za to.

– My też płacimy za wszystko, co odbieramy, Dar.

– Nawet za życie?

– Nie zapominaj ani przez chwilę, Dar, że dla przetrwania zgromadzenia Matka Przełożona ma prawo podjąć każdą decyzję!

– Niech więc tak będzie – odrzekła Odrade. – Weź, co chcesz, i zapłać za to.

Była to właściwa odpowiedź, niemniej umocniła jeszcze tę nową siłę, jaką czuła Odrade, poczucie wolności pozwalające jej odpowiadać na swój sposób w tym jej nowym wszechświecie. Skąd brała się owa siła? Czy z bezwzględnego szkolenia, jakie przeszła w Bene Gesserit? A może było to dziedzictwo Atrydów? Nie próbowała nawet wmawiać sobie, że wypływa z decyzji, którą podjęła: by nigdy więcej nie ufać cudzym moralnym autorytetom. Nie. Ta wewnętrzna opoka, na której się teraz opierała, to nawet nie była moralność. Ani brawura. Te by nie wystarczyły.

– Jesteś zupełnie jak twój ojciec – rzekła Taraza. – Zazwyczaj odwagę dziedziczy się po matce, ale myślę, że w twoim przypadku decydującą rolę odegrał ojciec.

– Miles Teg istotnie jest niezwykle odważny, ale sędzę, że zbytnio to upraszczasz – odparła Odrade.

– Być może. Miałam jednak zawsze rację co do ciebie, Dar, nawet w czasach, kiedy obie byłyśmy uczennicami.

„Ona wie!” – stwierdziła Odrade.

– Nie musimy tego teraz wyjaśniać – rzekła, myśląc jednocześnie: „To się bierze z tego, kim się urodziłam, ze sposobu, w jaki mnie ukształtowano i przygotowano... z tego, kim obie byłyśmy: Dar i Tar”.

– Jest w linii Atrydów coś, czego nigdy nie udało nam się do końca zbadać – rzekła Taraza.

– Żadnych genetycznych wypadków?

– Niekiedy zastanawiam się, czy od czasów Tyrana zdarzył nam się w ogóle jakikolwiek prawdziwy wypadek.

– Czyżby siedząc w swojej cytadeli, potrafił wybiec myślą przez dzielące nas tysiąclecia i przewidzieć tę właśnie chwilę?

– Jak daleko do swych korzeni chciałabyś sięgnąć?

– Co się tak naprawdę dzieje, gdy Matka Przełożona rozkazuje genetyczkom: „Skojarzcie tę tam z tym a tym”? – zapytała Odrade.

Taraza uśmiechnęła się chłodno.

Odrade poczuła się nagle, jakby była na szczycie wznoszącej fali, jej świadomość parła naprzód w otwierające się przed nią nowe przestrzenie. „Taraza chce, bym się zbuntowała! Chce mieć mnie za przeciwniczkę!”

– Spotkasz się teraz z Waffem? – zapytała.

– Najpierw chcę usłyszeć twoją opinię o nim – odparła Taraza.

– Uważa nas za ostateczne narzędzie, dzięki któremu uda mu się zaprowadzić „Panowanie Tleilaxan”. Jesteśmy darem Boga dla jego ludu.

– Długo na to czekali – powiedziała Taraza. – Ukrywali się tak starannie przez wszystkie te wieki!

– Mają taką samą miarę czasu jak my – zauważyła Odrade. – Właśnie to ostatecznie ich przekonało, że my również wyznajemy Wielką Wiarę.

– Skąd w takim razie ich potknięcia? Nie są głupi.

– Odwracali naszą uwagę od tego, do czego naprawdę służy im hodowla gholi. Któż by uwierzył, że głupcy zdolni są do czegoś takiego?

– I co dzięki temu osiągnęli? – zapytała Taraza. – Czy tylko *pozór* głupoty i zła?

– Jeśli wystarczająco długo zachowujesz się głupio, staniesz się głupcem. Jeśli doskonalisz wciąż mimikrę swoich maskaradników, w końcu...

– Cokolwiek się stanie, musimy ich ukarać – rzekła Taraza. – To dla mnie jasne. Każ go tu przyprowadzić.

Odrade wydała odpowiednie polecenie i obie czekały na gościa.

– Plan systematycznej nauki gholi legł w gruzach, jeszcze zanim uciekli z twierdzy Gammu – powiedziała Taraza. – Wyprzedzał swoich nauczycieli w rozumieniu spraw, których istnienie ledwie mu sygnalizowano, i to w dodatku z alarmującą i wciąż rosnącą szybkością. Kto wie, kim właściwie jest teraz?



Historycy mają wielką władzę i niektórzy z nich o tym wiedzą. Tworzą na nowo przeszłość, zmieniając ją tak, by pasowała do wybranych przez nich interpretacji wydarzeń. W ten sposób zmieniają także przyszłość.

– Leto II, jego głos z Dar-es-Balat

Duncan w morderczym tempie szedł za swoim przewodnikiem w jasnym świetle poranka. Mężczyzna może i wyglądał staro, ale był żwawy jak gazela i wszystko wskazywało na to, że w ogóle się nie męczy.

Zaledwie parę minut wcześniej zdjęli gogle noktowizyjne. Duncan rad był, że się ich pozbył. Wszystko poza zasięgiem nocnych szkieł było całkowicie czarne w niewystarczającym bladym świetle gwiazd przefiltrowanym przez gałęzie drzew. Świat poza zasięgiem gogli zdawał się nie istnieć. Po bokach z kolei obrazy skakały i przepływały mimo niego: kępa żółtych krzaków, dwa drzewa o srebrzystych pniach, kamienny mur, w którym widniały drzwi chronione migoczącym błękitnie polem tarczy siłowej, to znów sklepiony kamienny most z tutejszych zielonych skał wybrukowany czarnymi płytami czy łukowata brama z polerowanego białego kamienia. Wszystkie te budowle wyglądały na bardzo stare i cenne, utrzymywane w doskonałym stanie za pomocą niemałych środków i dużego nakładu pracy.

Duncan nie miał pojęcia, gdzie się właściwie znajduje. Nic w mijanym terenie nie przywodziło mu na myśl miejsc znanych z dawnych dni na Giedi Prime.

W świetle dnia zobaczył, że idą lasem wydeptaną przez zwierzyne ścieżką, wspinając się coraz bardziej. Zerknąwszy pomiędzy drzewami, dostrzegł w dole po lewej dolinę. Wokół zalegała mgła, uniemożliwiając ocenę odległości i gęstniejąc, w miarę jak się wspinali. Ich mały świat wciąż się zacieśniał i odcinał ich od dalekiego wszechświata gdzieś poza mgłą.

Podczas jednego z krótkich postojów, które robili nie dla odpoczynku, lecz by nasłuchiwać odgłosów lasu, Duncan rozejrzał się dokładnie we mgle. Zdawało mu się, że jest oderwany od normalnego świata z niebem otwartym ku innym planetom.

Jego przebranie było proste: gruby, zimowy strój Tleilaxanina i wkładki wypychające policzki, tak by jego twarz zdawała się okrąglejsza. Jego kręcone, czarne włosy wyprostowano za pomocą jakichś środków chemicznych i wysokiej temperatury, a następnie ufarbowano na blond i ukryto pod czapkę. Ogolono mu też całe owłosienie genitalne. Ledwo rozpoznał się w lustrze, które mu w końcu podano.

„Plugawy Tleilaxanin!”

Artystką, która dokonała tej przemiany, była stara kobieta o lśniących szarozielonych oczach.

– Jesteś teraz mistrzem Tleilaxan – powiedziała. – Nazywasz się Vos. Przewodnik zabierze cię do miejsca następnego kontaktu. Gdybyście spotkali obcych, traktuj go jak maskaradnika. W pozostałym czasie rób, co ci każe.

Wyprowadzili go z kompleksu jaskiń krętym tunelem, którego ściany i sklepienie pokrywał gruby kozuch zielonych glonów. Wypchnęli go w noc rozświetloną jedynie światłem gwiazd, prosto w objęcia niewidocznego w ciemności mężczyzny w ciepłym odzieniu.

– To on, Ambitormie. Przeprowadź go – wyszeptał ktoś za jego plecami.

– Idź za mną – odezwał się przewodnik gardłowym głosem. Przypiął zaczep liny do pasa Duncana, założył mu i ustawił gogle noktowizyjne, a potem się odwrócił. Ghola poczuł szarpnięcie liny i ruszyli.

Duncan dobrze wiedział, po co im lina. Wcale nie po to, by zdołał utrzymać kierunek marszu, bo w goglach wystarczająco dobrze widział Ambitorma. Nie, lina miała pociągnąć go za nim, gdyby napotkali niebezpieczeństwo – szybko i bez potrzeby porozumiewania się.

Większą część nocy przedzierali się przez równinę pociętą siecią zamrożonych strumieni. Przez gęstwinę zarośli czasami tylko docierało do nich światło dwóch księżyców Gammu. W końcu wydostali się na niskie wzgórze, z którego rozciągał się widok na porośnięte krzakami zaśnieżone pustkowia, srebrzące się w świetle gwiazd. Tamtędy ruszyli dalej. Krzaki, dwukrotnie wyższe od przewodnika, pochylały się nad wydeptanymi przez zwierzynę ścieżkami niewiele szerszymi od tunelu, w którym rozpoczęła się ta podróż. Było tu cieplej, jak na stercie kompostu. Światło prawie nie docierało do gąbczastego gruntu pokrytego gnijącą roślinnością. Duncan wciągnął w płuca przesycony pleśnią zapach rozkładających się roślin. Przez gogle po obu stronach widział niekończący się zwarty mur zarośli. Łącząca

go z Ambitormem lina była jedynym pewnym punktem zaczepienia w tym obcym świecie.

Postawa Ambitorma nie zachęcała do rozmowy. Powiedział: „Tak”, gdy Duncan zapytał go, czy ma się do niego zwracać zasłyszonym przy grocie imieniem, potem zaś dodał: „Nie gadaj”.

Przez całą tę nocną wędrówkę Duncan czuł się nieswojo. Wolałby nie być sam na sam z własnymi myślami. Wciąż żywe były w nim wspomnienia Giedi Prime, choć to miejsce nie przypominało niczego, co pamiętał ze swej prawdziwej młodości. Zastanawiał się, jak Ambitorm zdołał znaleźć i zapamiętać trasę przez to bezdroże. Jemu jedna zwierzęca ścieżka wydawała się zupełnie podobna do drugiej.

Wyrównane szybkie tempo zostawiało Duncanowi mnóstwo czasu na rozmyślanie.

„Czy muszę pozwalać zgromadzeniu się wykorzystywać? Co jestem im winien?”

Pomyślał natychmiast o Tegu, o jego ostatniej bohaterskiej walce, która umożliwiła im ucieczkę.

„Ja zrobiłem to samo dla Paula i Jessiki”.

Poczuł się związany z Tegiem i to napełniło go żalem. Teg był wierny zgromadzeniu. „Czyżby tym ostatnim heroicznym czynem kupił moją lojalność?”

„Przeklęci Atrydzi!”

Wysiłek pozwolił Duncanowi lepiej zapoznać się ze swoim nowym ciałem. Jakie było młode! Chwila skupienia i już miał przed oczami ostatnie wspomnienie sprzed przemiany w gholę: miecz sardaukara uderza w jego głowę – eksplozja bólu i światła. Świadomość zabierającej go śmierci, a potem... nic, aż do tej chwili z Tegiem w komorze Harkonnenów.

Dar powtórnego życia. Czy było to więcej, czy mniej niż dar? Atrydzi domagali się od niego jeszcze jednej ofiary.

Jakiś czas przed świtem Ambitorm prowadził go truchtem po na wpół stającym śniegu wzdłuż koryta wąskiego strumienia. Lodowaty chłód przeniknął przez wodoodporne buty jego tleilaxańskiego przebrania. W strumieniu odbijał się przygaszony przez zarośla blask zachodzącego księżyca, zapowiadając rychły brzask.

Świt zastał ich na szerszym zwierzęcym trakcie, który wiódł w górę stromego, porośniętego drzewami zbocza. Doszli nim na wąską skalną półkę poniżej ostrych, poszarpanych turni. Ambitorm poprowadził Duncana za

zasłone uschniętych brązowych krzewów, częściowo pokrytych nawianym tu śniegiem i odczepił linę od jego pasa. Dokładnie przed nimi w skale widniało płytkie wgłębienie, nawet nie jaskinia, Duncan uznał jednak, że zapewni im wystarczającą ochronę, o ile wiatr nie zacznie wiać wprost na nich. Wewnątrz nie było śniegu.

Ambitorm przeszedł na tył zagłębienia i ostrożnie usunął warstwę śmieci oraz kilka płaskich kamieni przykrywających mały dołek. Wyjął z niego niewielki czarny przedmiot i pochylił się nad nim.

Duncan skulił się pod skalnym nawisem i przyjrzał się przewodnikowi. Ambientorm miał wklęsłą twarz o ciemnej skórze. Owszem, mogłaby uchodzić za oblicze maskaradnika. Sieć głębokich zmarszczek okalała jego brązowe oczy i wąskie usta, znaczyła szerokie czoło. Zmarszczki biegły po obu stronach płaskiego nosa i pogłębiały bruzdę w wąskim podbródku. Czas naznaczył całą jego twarz.

Znad czarnego przedmiotu stojącego przed Ambientormem zaczął się unosić smakowity zapach.

– Zjemy teraz i poczekamy trochę, zanim ponownie wyruszymy – powiedział.

Mówił w starym galachu, ale z tym gardłowym akcentem, którego Duncan nie słyszał nigdy wcześniej. Czy Ambientorm pochodził z Gammu, czy też był jednym z Rozproszonych? Od czasów Diuny Muad'Diba z pewnością wykształciło się wiele dialektów – Duncan zauważył na przykład, że wszyscy w twierdzy Gammu, łącznie z Tegiem i Lucyllą, mówili inną wersją galacha niż ta, której on nauczył się w dzieciństwie.

– Ambientorm – odezwał się Duncan. – Czy to imię z Gammu?

– Mów do mnie Tormsa – odparł przewodnik.

– To przydomek?

– Tak masz się do mnie zwracać.

– Dlaczego więc tamci ludzie nazwali cię Ambientormem?

– Takie imię im podałem.

– Ale dlaczego...

– Żyłeś tu w czasach Harkonnenów i nie nauczyłeś się, jak zmieniać tożsamość?

Duncan zamilkł. Więc o to chodziło? Kolejne przebranie. Ambi... Tormsa nie zmienił jednak wyglądu. Tormsa. Może to tleilaxańskie imię?

Przewodnik podał mu parujący kubek.

– Ten napój przywróci ci siły, *Wos*. Pij szybko. Ogrzeje cię.

Duncan zamknął kubek w dłoniach. „Wos. Wos i Tormsa. Mistrz Tleilaxan i towarzyszący mu maskaradnik”.

Uniósł kubek w kierunku Tormsy w starożytnym geście atrydzkich towarzyszy broni, po czym przytknął go do ust. Gorące! Napój rozgrzał go. Miał warzywny smak z lekką nutą słodczy. Podmuchał i wypił resztę, naśladowując Tormsę.

„To dziwne, że nie boję się trucizny ani narkotyku” – pomyślał Duncan. Tormsa i tamci inni zeszłej nocy mieli jednak w sobie coś z baszara. Ten gest, jak do towarzysza broni, wykonał całkiem odruchowo.

– Dlaczego ryzykujesz życie w ten sposób? – zapytał.

– Znasz baszara i pytasz?

Duncan umilkł, zmieszany.

Tormsa nachylił się i wziął od niego kubek. Wkrótce wszystkie ślady ich śniadania leżały bezpiecznie ukryte pod kamieniami i ziemią.

„Ten posiłek świadczy o drobiazgowo zaplanowanej akcji” – pomyślał Duncan. Odwrócił się i przykucnął na chłodnej ziemi. Za zasłoną krzewów wciąż wisiała gęsta mgła. Bezlistne gałęzie dzieliły krajobraz na dziwne, nierealne fragmenty. Gdy tak patrzył, mgła zaczęła się podnosić, ukazując w oddali, u wylotu doliny, zamazane kontury wielkiego miasta.

Tormsa przykucnął obok niego.

– To bardzo stare miasto – powiedział. – Siedziba Harkonnenów. Popatrz. – Podał Duncanowi niewielką lunetę. – Dojdziemy tam dziś w nocy.

Duncan przyłożył lunetę do lewego oka i spróbował wyostrzyć obraz w soczewkach olejowych. Pokręta były dziwne, zupełnie nie przypominały tych, które znał ze swej prawdziwej młodości ani ze szkolenia w twierdzy Gammu. Odsunął lunetę i przyjrzał się jej.

– Ixańska? – zapytał.

– Nie. My sami je robimy. – Tormsa wyciągnął rękę i wskazał dwa małe przyciski wystające z czarnego tubusu. – Wolno, szybko. Naciśnij lewy, żeby wysunąć, a prawy, żeby wsunąć.

Duncan ponownie podniósł lunetę do oka.

Kim byli ci *my*, którzy ją zrobili?

Dotknął szybko przybliżającego przycisku i obraz skoczył mu przed oczami. Po mieście poruszały się maleńkie punkciki. Ludzie! Powiększył jeszcze trochę. Teraz ludzie wyglądali jak małe lalki. Mając ten punkt odniesienia, Duncan zorientował się, że i miasto, i wylot doliny są ogromne... i leżą znacznie dalej, niż się spodziewał. W centrum miasta

zauważył samotną prostopadłościenną budowlę, której szczyt ginął chmurach. Była gigantyczna.

Teraz Duncan wiedział już, co to za miejsce. Otoczenie mogło się zmienić, jednak ten centralny budynek wrył mu się głęboko w pamięć.

„Ilu z nas zniknęło w tej piekielnej czeluści, by już nigdy nie wrócić?”

– Dziewięćset pięćdziesiąt pięter – powiedział Tormsa, zauważywszy, na co patrzy Duncan. – Długa na czterdzieści pięć kilometrów, szeroka na trzydzieści. Cała z plastali i zbrojonego plazu.

– Wiem. – Duncan opuścił lunetę i oddał ją Tormsie. – To Baronia.

– Ysai – rzekł przewodnik.

– Teraz tak się nazywa – odparł Duncan. – Ja mam na nią kilka zupełnie innych określeń.

Odetchnął głęboko, starając się odsunąć od siebie dawną nienawiść. Wszyscy ci ludzie już nie żyli, pozostał jedynie budynek. Oraz wspomnienia. Rozejrzał się po mieście otaczającym olbrzymi gmach. Wyglądało jak ludzkie mrowisko. Gdzieś widać było wprawdzie skrawki zieleni, ale każdy był otoczony wysokim murem. Prywatne parki wielkich rezydencji, mówił Teg. Przez lunetę zauważył strażników chodzących po murach.

Tormsa splunął na ziemię.

– Gniazdo Harkonnenów.

– Zbudowali je, by ludzie czuli się mali – rzekł Duncan.

– Mali i bezsilni – przytaknął Tormsa.

Duncan pomyślał, że przewodnik stał się niemalże gadatliwy.

Wcześniej, w nocy, Duncan złamał nakaz milczenia i próbował nawiązać rozmowę.

– Jakże zwierzęta wydeptały te ścieżki?

Wydawało się, że to zupełnie logiczne pytanie jak na kogoś, kto biegnie traktem wydeptanym przez zwierzynę, a wokół unosi się jeszcze jej zapach.

– Nie gadaj! – uciął Tormsa.

Później Duncan zapytał, dlaczego właściwie nie uciekają jakimś pojazdem. Nawet wóz terenowy byłby lepszy niż ten morderczy marsz przez krainę, w której wszystkie drogi wydawały się podobne.

Tormsa zatrzymał się w plamie księżycowego blasku i spojrzał na Duncana tak, jakby ten nagle stracił zmysły.

– Mogliby jechać za nim!

– A kiedy idziemy, nikt nas nie wytropi?



– Musieliby też iść pieszo. A stąd nie wyszliby żywi. Wiedzą o tym.  
Co za dziwne miejsce! Jakie prymitywne.

W bezpiecznym schronieniu twierdzy Bene Gesserit Duncan nie zdawał sobie sprawy ze specyfiki planety, na której się znajdował. Później, w komorze pozaprzestrzennej, zupełnie utracił kontakt ze światem zewnętrznym. Miał wprawdzie swoje pierwotne wspomnienia i pamięć gholi, jakże jednak były one niewystarczające! Gdy teraz o tym myślał, spostrzegł, że miał mimo wszystko wcześniej pewne wskazówki. Oczywiście było na przykład, że kontrola pogody na Gammu jest absolutnie szczątkowa. A Teg wspominał mu, że planety strzegą najlepsze monitory.

Wszystko z myślą o obronie, a cholernie mało z myślą o wygodzie! W tym zakresie żywo przypominało mu to Arrakis.

„Rakis” – poprawił się w myślach.

Teg. Czy starszemu udało się przeżyć? Czy był jeńcem? Co teraz oznaczało być wziętym do niewoli na Gammu? W czasach Harkonnenów oznaczało to brutalne, niewolnicze traktowanie. Burzmali i Lucylla... Zerknął na Tormsę.

– Czy w mieście spotkamy Burzmalego i Lucyllę?

– Jeśli się tam przedostaną.

Duncan spojrzał na swój strój. Czy stanowił wystarczające przebranie? Mistrz Tleilaxan z towarzyszem? Wszyscy będą oczywiście myśleli, że to maskaradnik, a maskaradnicy są niebezpieczni.

Workowate spodnie Duncana uszyto z jakiegoś nieznanego mu materiału. W dotyku podobny był do wełny, ale czuć było, że to syntetyk. Gdy na niego splunął, ślina nie wsiąkała, nie pachniał też wełną. Pod palcami czuł fakturę tak jednolitą, że nie mógł to być żaden naturalny materiał. Długie, miękkie buty i czapkę wykonano z tego samego materiału. Cały strój, z wyjątkiem kostek, był luźny i puchaty, nie był jednak watowany. Dzięki jakiejś sztuczce technologicznej między warstwami materiału znajdowała się poduszka powietrzna. Ubranie było szarozielone, cętkowane, idealne jako kamuflaż w tym terenie.

Tormsa był ubrany tak samo jak on.

– Jak długo będziemy tu czekać? – zapytał Duncan.

Przewodnik uciszył go potrząśnięciem głowy. Siedział, obejmując rękami podciągnięte pod brodę kolana, i wpatrywał się w dolinę.

W czasie nocnej podróży Duncan przekonał się, że jego ubranie jest wyjątkowo wygodne. Poza jedną chwilą w strumieniu stopy nieustannie miał

ciepłe. Spodnie, koszula i kurtka zapewniały dużą swobodę ruchów, nic go nie ocierało.

– Kto robi takie ubrania? – zapytał.

– My! – warknął Tormsa. – Bądź cicho.

Duncan pomyślał, że takich właśnie odpowiedzi udzielano mu w twierdzy zgromadzenia przed przywróceniem pierwotnych wspomnień. Tormsa mówił mu w ten sposób: „Nie musisz tego wiedzieć”.

Przewodnik rozprostował nogi i przeciągnął się. Wyglądał na zrelaksowanego. Spojrzał na Duncana.

– Przyjaciele w mieście sygnalizują, że szukają nas z powietrza.

– Ornitoptery?

– Tak.

– Co więc zrobimy?

– Ty musisz robić to co ja i nic poza tym.

– Ty tylko siedzisz.

– Na razie. Niedługo zejdziemy w dolinę.

– Ale jak...

– Gdy masz iść przez kraj taki jak ten, musisz się upodobnić do zamieszkujących go zwierząt. Patrz na ich ścieżki i obserwuj, jak chodzą i gdzie kładą się, by odpocząć.

– Ale czy poszukiwacze nie odróżnią...

– Gdy zwierzyna się pasie, ty ruszasz się tak, jakbyś też się pasł. Gdy pojawią się poszukiwacze, rób nadal to, co robiłeś, co robiłoby każde inne zwierzę. Oni będą wysoko, to dla nas dobrze. Nie odróżnią człowieka od zwierzęcia, chyba że zejda niżej.

– A nie...

– Ufają swoim maszynom i ruchom, które znają. Są leniwi. Będą lecieć wysoko. W ten sposób szybciej przeszukają większy teren. Wierzą, że są wystarczająco inteligentni, by prawidłowo odczytać wskazania swych urządzeń i odróżnić zwierzę od człowieka.

– Więc po prostu przelecą nad nami, biorąc nas za dziką zwierzynę.

– Jeśli będą mieć wątpliwości, przeskanują nas ponownie. Nie możemy zmienić rytmu ruchów po pierwszym przelocie.

Jak na milczącego z reguły Tormsę była to długa przemowa. Patrzył teraz na Duncana uważnie.

– Zrozumiałeś?

– Skąd będę wiedział, że nas skanują?

– Poczujesz swędzenie w brzuchu. W żołądku będzie ci musować, jakbyś łyknął jakiś nienadający się do picia płyn.

Duncan skinął głową.

– Ixańskie skanery.

– Nie daj po sobie poznać, że to poczułeś. Zwierzęta są tu do tego przyzwyczajone. Czasem mogą się zatrzymać, jednak tylko na chwilę, potem znów zachowują się, jak gdyby nic się nie stało. Dla nich to zresztą prawda. Tylko nam może się przydarzyć coś złego. – Tormsa wstał. – Zejdziemy teraz w dolinę. Trzymaj się blisko mnie. Rób dokładnie to co ja i nic poza tym.

Duncan ruszył w rytmie narzuconym przez przewodnika. Wkrótce byli już pod drzewami. Duncan zdał sobie sprawę, że w czasie nocnej wędrówki zaczął powoli godzić się na swój udział w planach układanych przez innych. Zaczęła go ogarniać jakaś nowa cierpliwość. A także podsycane przez ciekawość podniecenie.

Jaki wszechświat wyrósł z tamtego z czasów Atrydów? *Gammu*. Jakim dziwnym miejscem stało się Giedi Prime.

Z wolna, lecz wyraźnie odsłaniały się wciąż nowe fakty, a z każdą kolejną rzeczą pojawiała się perspektywa zdobycia nowej wiedzy. Czuł, jak różne wzory nabierają kształtu. Pewnego dnia, myślał, połączą się i wtedy się dowie, dlaczego wezwali go spomiędzy zmarłych.

Tak, stwierdził, to jak otwieranie drzwi. Otwierasz jedno, a one prowadzą cię do miejsca, w którym drzwi jest więcej. Tu wybierasz kolejne i obserwujesz, dokąd cię zawiodą. Czasami będziesz może zmuszony sprawdzać wszystkie po kolei, im więcej ich wszakże otworzysz, tym lepiej będziesz wiedział, które mają być następne. Wreszcie drzwi otworzą się na miejsce, które rozpoznasz. Wtedy powiesz: „Aaach, to tłumaczy wszystko”.

– Poszukiwacze nadlatują – rzekł Tormsa. – Jesteśmy pasącymi się zwierzętami. – Sięgnął do zwieszającego się nad nim krzaka i zerwał gałązkę.

Duncan zrobił to samo.



Muszę panować okiem i szponem, jak jastrząb wśród późniejszego ptactwa.

O świcie Teg wyłonił się zza wiatrochronów przy głównej drodze. Droga była szeroka, równa, dobrze utwardzona i utrzymana, bez śladów chwastów i zarośli. Miała aż dziesięć pasów, zarówno dla ruchu pieszego, jak i dla pojazdów. O tej porze znajdowali się na niej prawie wyłącznie piesi.

Teg zdołał usunąć prawie cały brud z ubrania i upewnił się, że nie pozostały na nim żadne dystynkcje wojskowe. Jego siwe włosy były w trochę większym nieładzie niż zazwyczaj, ale mógł je rozczesać jedynie palcami.

Ruch na drodze kierował się w stronę Ysai, leżącego w dolinie wiele kilometrów stąd. Poranek był bezchmurny, a na twarzy czuł lekką bryzę wiejącą w stronę odległego morza za nim.

W nocy oswoił się nieco ze swym nowym, podwyższonym stanem świadomości. Przed oczami migały mu równoległe do rzeczywistości obrazy, wiedza o rzeczach, które dopiero miały się wydarzyć, albo o tym, gdzie postawić następny krok. Poza tym tkwił też gdzieś w nim ów przełącznik, mogący w mgnieniu oka przestawić go na nadludzko szybkie reagowanie, do którego ciało w ogóle nie powinno być zdolne. Rozum w żaden sposób tego nie tłumaczył. Teg czuł się, jakby niepewnie stąpał po ostrzu noża.

Choć próbował ze wszystkich sił, nie potrafił zrozumieć, co stało się z nim pod wpływem sondy T. Czy było to coś w rodzaju agonii przyprawowej doświadczanej przez Matki Wielebne? Nie czuł jednak wcale przyływu Innych Wspomnień z dalekiej przeszłości. Nie sądził, żeby siostry były w stanie zrobić coś takiego jak on. Podwójne widzenie, które cały czas ostrzegało go, czego ma się spodziewać po każdym ruchu w zasięgu jego zmysłów, wydawało mu się zupełnie nowym wymiarem prawdy.

Nauczyciele w szkole mentatów zawsze zapewniali go, że są żywe prawdy, których nie można udowodnić za pomocą zwykłych faktów. Występowały one w baśniach i poezji i jak mu mówiono, często były zaprzeczeniem naszych pragnień.

„To dla mentata najtrudniejsze do zaakceptowania doświadczenie” – mówili.

Teg podchodził zawsze do tych nauk z lekką rezerwą, teraz jednak był zmuszony wreszcie je zaakceptować. Sonda T przepchnęła go przez próg nowej rzeczywistości.

Nie wiedział, dlaczego wybrał ten akurat moment, by wyjść zza skrywających go do tej pory wiatrochronów i wmieszać się między podróżujących drogą pieszych.

Większość z nich stanowili ogrodnicy, ciągnący unoszące się na tanich dryfach kosze pełne warzyw i owoców. Widok jedzenia wywołał w żołądku Tega gwałtowne skurcze głodu, lecz on twardo je ignorował. Dzięki doświadczeniu, zdobytemu w długiej służbie Bene Gesserit na wielu prymitywnych planetach, zauważył, że otaczający go ludzie nie różnią się bardzo od farmerów prowadzących na targ juczne zwierzęta. Pieszy ruch na drodze wydał mu się dziwnym połączeniem tradycji z nowoczesnością: rolnicy szli, ich towary zaś sunęły za nimi na najprostszych środkach transportu. Gdyby nie dryfy, scena ta mogłaby się rozgrywać dowolnego dnia najdawniejszych nawet dziejów ludzkości. Zwierzę pociągowe było zwierzęciem pociągowym, nawet jeśli zeszło z ixańskiej linii produkcyjnej.

Pomagając sobie nowym podwójnym widzeniem, Teg wybrał jednego z rolników, ciemnoskórego, o grubo ciosanych rysach i zrogowaciałych dłoniach. Jego krok zdradzał nieugiętość i niezależność. Ciągnął osiem dużych koszy wyładowanych melonami o szorstkiej skórcie. Ich zapach przyprawił Tega o prawdziwą agonię, a gdy zrównał krok z rolnikiem, wprost czuł napływającą do ust ślinę. Parę minut szedł obok niego w milczeniu.

– Czy to najlepsza droga do Ysai? – zapytał w końcu.

– To długa podróż – odparł mężczyzna. Mówił ostrożnie, gardłowym głosem.

Teg zerknął na wypełnione kosze. Rolnik przyjrzał mu się kątem oka.

– Idziemy na targ. Stamtąd inni zabiorą towary do Ysai.

Gdy rozmawiali, Teg zdał sobie sprawę, że mężczyzna skierował go – niemal zepchnął – na skraj drogi, po czym zerknął w tył i nieznacznie skinął głową. Obok nich pojawiło się natychmiast trzech nowych rolników, którzy otoczyli Tega i jego towarzysza tak, że wysokie kosze zupełnie ich zasłoniły.

Teg zeszywniał. Co zamierzali zrobić? Nie wyczuwał jednak złych zamiarów, nowe podwójne widzenie nie wykryło żadnego bliskiego niebezpieczeństwa.

Ciężki pojazd minął ich i popędził dalej. Teg usłyszał jedynie warkot silnika, poczuł zapach spalin, nagłe uderzenie wiatru, które zakołysało towarami na dryfach, i nagłe napięcie jego towarzyszy. Wysoko wyładowane kosze całkowicie zasłoniły przejeżdżający pojazd.

– Szukaliśmy cię, by cię chronić, baszarze – odezwał się idący obok niego rolnik. – Jest wielu takich, którzy na ciebie polują, ale wśród nas ich nie znajdziesz.

Teg rzucił mu zdumione spojrzenie.

– Służyliśmy pod tobą na Renditai – rzekł rolnik.

Teg przełknął ślinę. „Renditai?” Wrócił pamięcią do tamtej walki. Była tylko drobną potyczką w jego długiej historii konfliktów i rokowań.

– Przykro mi, ale nie znam twojego imienia – powiedział.

– Ciesz się, że nie znasz naszych imion. Tak będzie lepiej.

– Jestem wam jednak wdzięczny.

– To niewielka zapłata za dług, jaki u ciebie mamy, i jesteśmy radzi, że możemy pomóc, baszarze.

– Muszę się dostać do Ysai – powiedział Teg.

– To niebezpieczne.

– Nigdzie nie jest bezpiecznie.

– Domyślaliśmy się, że będziesz się tam kierował. Ktoś niedługo się tu po ciebie zjawi i dalej pojedziesz w ukryciu. O, właśnie nadjeżdża. Nie widzieliśmy cię, baszarze. Nie było cię tu.

Jeden z rolników przejął dryfy swojego kompana i ciągnął teraz dwa sznury, a tymczasem rolnik, z którym Teg rozpoczął rozmowę, pociągnął go pod liną wprost do zaciemnionego pojazdu. Baszar zauważył błysk plastali i plazę, gdy pojazd na chwilę zwolnił, by go zabrać. Drzwi gwałtownie zamknęły się za nim on zaś wylądował samotnie na miękkiej tylnej kanapie. Pojazd nabrał szybkości i wkrótce zostawił w tyle maszerujących rolników. Szyby po bokach Tega były przyciemnione, nie widział więc wyraźnie krajobrazu. Przed sobą dostrzegał ciemną sylwetkę kierowcy.

Ta pierwsza od chwili wzięcia do niewoli chwila odpoczynku w wygodzie i ciepleomal nie uśpiła Tega. Nie czuł żadnego zagrożenia. Ciało wciąż miał obolałe zarówno od wysiłku, jaki sobie narzucił, jak i od tortur zadanych sondą T.

Postanowił wszakże twardo, że musi pozostać czujny i świadomy.

Kierowca nachylił się i rzucił przez ramię, nie odwracając się:

– Polują na ciebie od dwóch dni, baszarze. Niektórzy sądzą, że opuściłeś już planetę.

„Dwa dni?”

Porażenie głuszką i cokolwiek jeszcze mu zrobili sprawiły, że długo leżał nieprzytomny. Ta świadomość natychmiast spotęgowała jeszcze jego

głód. Próbował zwizualizować sobie obraz z wszczepionego w ciało zegara, ten jednak tylko zamrugał, podobnie jak mrugał za każdym razem, gdy usiłował go uruchomić od czasu użycia sondy. Uświadomił sobie, że jego poczucie czasu i wszystko, co wiązało się z jego upływem, uległo zmianie.

„Więc niektórzy myślą, że odleciałem z Gammu”.

Nie pytał, kto na niego poluje. Zarówno w ataku, jak w późniejszych torturach brali udział Tleilaxanie i ludzie z Rozproszenia.

Rozejrzał się po pojeździe. Był to jeden ze starych, przepięknych wozów naziemnych jeszcze sprzed Rozproszenia, opatrzonego najwyższym znakiem jakości ixańskich fabryk. Teg nigdy takim nie jechał, słyszał jednak o nich. Kolekcjonerzy wyszukiwali je, poddawali gruntownym remontom i odtwarzali, przywracając im dawną świetność. Słyszał, że wiele tych pojazdów zostało porzuconych w bardzo dziwnych miejscach – starych, zawalonych domach, przepustach odwadniających, zabitych na głucho magazynach sprzętu czy na polach uprawnych.

Słyszał, jak jakiś poszukiwacz opowiadał, że jechał kiedyś w porze zbiorów i nagle zauważył wykoszone pole z dziwnym zarośniętym miejscem pośrodku. Takie miejsca, powiedział, często porastały wielkie krzaki jeżyn.

– Możesz tam wejść z jednym tylko narzędziem. Na jednym końcu ma trak, na drugim ostrą jak brzytwa klingę.

Teg znał to jako broń. Występowała pod różnymi nazwami. Mieszkańcy Danu mówili o niej „makite”, tutaj, na Gammu, zwano ją „mankil”.

Kierowca znów lekko się odchylił i spytał przez ramię:

– Baszarze, zawieź cię pod jakiś konkretny adres w Ysai?

Teg przebiegł w myślach wszystkie punkty kontaktowe, które znał z rozpoznania Gammu, i podał jeden z nich kierowcy.

– Znasz to miejsce? – zapytał.

– To lokal, w którym ludzie spotykają się, by coś zjeść albo wypić. Wejść może każdy, pod warunkiem że go na to stać. Słyszałem, że kuchnia jest tam bardzo dobra.

Nie wiedząc do końca, dlaczego wybrał akurat ten adres, Teg powiedział:

– Zaryzykujemy.

Nie uznał za konieczne poinformować kierowcy, że w lokalu są specjalne prywatne pokoje jadalne.

Wzmianki o jedzeniu znów wywołały gwałtowne skurcze żołądka. Ramiona Tega zaczęły drżeć i musiał się uspokajać dobrych parę minut. Zdał sobie sprawę, że wysiłek ostatniej nocy prawie do cna wyczerpał jego

siły. Rozejrzał się po kabinie, licząc na znalezienie ukrytych gdzieś zapasów żywności lub napoju. Maszyna była pięknie i z troską odnowiona, ale nie dostrzegł ani śladu schowków.

Wiedział, że w pewnych kręgach takie pojazdy nie są wcale rzadkością, ale zawsze świadczą o bogactwie. Do kogo należał ten? Z pewnością nie do kierowcy. On był wyraźnie tylko wynajętym pracownikiem. Jeśli jednak samochód przyjechał na wezwanie, ktoś inny musiał już wiedzieć, gdzie Teg się znajduje.

– Czy mogą nas zatrzymać i przeszukać? – zapytał.

– Nie ten wóz, baszarze. Należy do Planetarnego Banku Gammu.

Teg w milczeniu przyjął to do wiadomości. Bank był jednym z jego punktów kontaktowych. Podczas rozpoznania planety przestudiował z uwagą wszystkie główne sektory gospodarki. Ta myśl przypomniła mu z kolei o odpowiedzialności za gholę.

– A moi towarzysze – zaczął. – Czy są...

– Inni się tym zajmują, baszarze. Ja nic nie wiem.

– Możemy przekazać wiadomość...

– Gdy będzie to bezpieczne.

– Naturalnie.

Teg opadł z powrotem na miękką kanapę i rozejrzał się. Tego typu pojazdy budowano głównie z plazu i prawie niezniszczalnej plastali, pozostałe elementy wszakże – tapicerka, elektronika, zawieszenie dryfowe, wewnętrzna izolacja układu turbowentylacyjnego – z czasem niszczały. Kleje zaś rozkładały się mimo wszelkich prób zwiększania ich wytrzymałości. Mimo to konserwatorzy sprawili, że pojazd wyglądał, jakby dopiero co opuścił fabrykę: metalowe elementy lśniły matowo, tapicerka otulała pasażera, skrzypiąc leciutko, a zapach tworzyły nieuchwytna woń nowości oraz mieszanina aromatów politury, świeżych tkanin i lekkiej nuty ozonu wydzielanego przez działającą bez zarzutu elektronikę. Nie było natomiast niestety śladu zapachu jedzenia.

– Jak daleko stąd do Ysai? – zapytał Teg.

– Jeszcze pół godziny, baszarze. Czy powinniśmy przyspieszyć? Nie chciałbym zwracać na nas...

– Jestem bardzo głodny.

Kierowca rzucił okiem w obie strony. Wokół nich nie było już rolników. Droga była prawie pusta, z wyjątkiem dwóch ciężkich platform transportowych holowanych przez ciągniki trzymające się prawego



skrajnego pasa jezdni oraz dużej furgonetki ciągnącej wielką automatyczną zrywarkę owoców.

– Niebezpiecznie jest zatrzymywać się na dłużej – rzekł kierowca. – Znam jednak miejsce, gdzie dostaniesz przynajmniej miskę zupy.

– Wystarczy cokolwiek. Nie jadłem od dwóch dni, a musiałem się w tym czasie sporo nabiegać.

Dojechali do skrzyżowania i kierowca skręcił w lewo w wąską drogę równo obsadzoną wysokimi świerkami, a z niej po pewnym czasie zjechał na odchodzącą w bok między drzewami ścieżkę. Na jej końcu widniał niski budynek z ciemnego kamienia pokryty czarnym plazem. W wąskich oknach połyskiwały lufy miotaczy ognia.

– Jeszcze chwilę – rzucił kierowca, wysiadając.

Teg po raz pierwszy mógł teraz zobaczyć jego twarz: niezwykle szczupłą, o długim nosie i małych ustach. Na policzkach widać było ślady chirurgicznej rekonstrukcji. Oczy, wyraźnie sztuczne, lśniły srebrzyście. Odwrócił się i wszedł do budynku. Wróciwszy, otworzył drzwi od strony Tega i powiedział:

– Proszę się pospieszyć. W środku już grzeje się dla pana zupa. Powiedziałem, że jest pan bankierem. Nie trzeba za nic płacić.

Zmrożony grunt skrzypiał pod nogami. W niskich drzwiach Teg musiał się lekko pochylić. Znalazł się w ciemnym korytarzu o ścianach wyłożonych drewnem. Na jego końcu widniał jasno oświetlony pokój. Docierający stamtąd zapach jedzenia przyciągnął go jak magnes. Ramiona znowu zaczęły mu drżeć. Pod oknem nakryto dla niego niewielki stolik, z którego widział ogrodzony i zadaszony ogródek. Obsypane czerwonymi kwiatami krzewy niemal całkowicie zasłaniały mur ogrodu. Od góry cała przestrzeń przykryta była taflą żółtego grzewczego plazy, który opromieniał teren sztucznym światłem letniego dnia. Teg z wdzięcznością opadł na jedyne krzesło. Na białym lnianym obrusie z wytłaczanymi brzegami czekała samotna łyżka.

Drzwi po prawej zaskrzypiały i do pokoju wszedł przysadzisty człowiek niosący parującą miskę. Na widok Tega zawahał się, potem jednak podszedł do stołu i postawił ją na nim. Zaalarmowany tą chwilą wahania, Teg całą uwagę skupił na mężczyźnie, starając się zignorować kuszący zapach, który drażnił jego nozdrza.

– To dobra zupa, panie. Sam ją gotowałem.

Sztuczny głos. Teg zauważył blizny po obu stronach szczęki. Stojący przed nim człowiek wyglądem przywodził na myśl starodawne roboty – głowa bez szyi osadzona na potężnych barkach, dziwnie zginające się ramiona i łokcie, nogi ruchome chyba tylko w biodrach. Teraz stał zupełnie nieruchomo, ale kiedy wchodził do pokoju, poruszał się dziwnie, podrygując i kołysząc, co zdradzało, jak wiele części jego ciała zastąpiły protezy. Nie dało się nie dostrzec cierpienia w jego oczach.

– Wiem, że nie wyglądam ładnie – wycharczał. – Zostałem zupełnie zrujnowany w wyniku na Alajory.

Teg nie miał pojęcia, co to za wybuch, jednak gospodarz wyraźnie zakładał, że to oczywiste. Określenie „zrujnowany” wydało mu się natomiast ciekawą skargą na wyrok losu.

– Zastanawiałem się właśnie, czy cię znam – powiedział.

– Nikt tu nikogo nie zna – odparł mężczyzna. – Proszę jeść zupę.

Wskazał w górę, na zwinięty, nieruchomy koniuszek wykrywacza. Światelka na czytniku informowały, że narzędzie sprawdziło potrawę i nie znalazło trucizny.

– Jedzenie jest bezpieczne – dodał.

Teg spojrzał na ciemnobrunatny płyn w misce. Pływały w nim duże kawałki mięsa. Sięgnął po łyżkę. Ręka drżała mu tak, że dopiero za drugim razem zdołał uchwycić ją w miarę pewnie, ale i tak rozlał prawie połowę, nim ją uniósł.

Poczuł uspokajający uścisk dłoni na nadgarstku, a sztuczny głos wyszeptał mu miękko do ucha:

– Nie wiem, co ci zrobili, baszarze, ale tu nikt cię nie tknie, póki ja żyję.

– Znasz mnie?

– Wielu oddałoby za ciebie życie, baszarze. Mój syn żyje dzięki tobie.

Teg pozwolił mu prowadzić swoją rękę, bo wiedział, że tylko w ten sposób uda mu się donieść do ust pierwszą łyżkę. Zupa była gęsta, gorąca i sycąca. Jego ręka wkrótce się uspokoiła, skinął więc mężczyźnie na znak, że może już puścić jego nadgarstek.

– Jeszcze, panie?

Teg dopiero teraz zauważył, że opróżnił już miskę. Kusilo go, by powiedzieć „Tak”, pamiętał jednak, że kierowca nakazał mu pośpiech.

– Dziękuję, ale muszę już iść.

– Nie było cię tu – odpowiedział tamten.

Kiedy znów jechali główną drogą, Teg, oparty wygodnie, myślał o dziwnym brzmieniu ostatnich słów „zrujnowanego” człowieka. Te same słowa usłyszał od rolnika: „Nie było cię tu”. Wyglądało na to, że jest to tutaj powszechne pożegnanie, co wiele mówiło o zmianach, jakie zaszły na Gammu od ostatniego pobytu Tega.

Dotarli wreszcie do przedmieść Ysai i Teg zaczął się zastanawiać, czy nie powinien się jakoś przebrać. „Zrujnowany” rozpoznał go w końcu na pierwszy rzut oka.

– Gdzie szukają mnie teraz Dostojne Matrony? – zapytał.

– Wszędzie, baszarze. Nie możemy zagwarantować ci bezpieczeństwa, choć podjęto już w tym kierunku pewne kroki. Przekażę dalej, dokąd cię zawiozłem.

– Czy mówią, dlaczego mnie ścigają?

– Nigdy z niczego się nie tłumaczą, baszarze.

– Jak długo są już na Gammu?

– Zbyt długo. Od kiedy byłem dzieckiem, a przecież walczyłem pod Renditai.

„Co najmniej sto lat – pomyślał Teg. – Miały dość czasu, by zgromadzić tu pokaźne siły... jeśli wierzyć obawom Tarazy”.

Teg im wierzył.

„Nie ufaj nikomu, na kogo dziwki mogą mieć wpływ” – powiedziała mu Matka Przełożona.

Teg nie wyczuwał jednak w tej chwili bezpośredniego zagrożenia. Owszem, zewsząd otoczony był aurą tajemniczości, ale nie żądał szczegółów ani wyjaśnień.

Tymczasem zagłębili się w ulice Ysai i między murami wielkich prywatnych rezydencji mignęła mu parę razy czarna bryła starożytnej harkonneńskiej Baronii. Samochód skręcił w ulicę, przy której ulokowały się siedziby niewielkich przedsiębiorstw handlowych. Tanie budynki wzniesione były przeważnie z materiałów z odzysku, których niezręczne łączenie i niedopasowane kolory wyraźnie rzucały się w oczy. Krzykliwe szyldy obwieszczały, że oferowane towary są w najlepszym możliwym gatunku, a usługi na najwyższym poziomie.

Tegowi przyszło na myśl, że wszystko to nie świadczy wcale o upadku czy uwstecznieniu miasta. Nie, ten rozwój został po prostu umyślnie skierowany na tory prowadzące nawet nie ku brzydocie – komuś zależało,

by miejsce to uczynić odrażającym. To był klucz do większości zmian, jakie zaobserwował w Ysai.

Czas się tu nie zatrzymał, ale cofnął. Nie było to nowoczesne miasto, pełne lśniących platform komunikacyjnych i budynków użyteczności publicznej. Zamiast tego widziało się gmatwaninę przypadkowych rozwiązań, starych, połączonych ze sobą byle jak budynków. Jedne domy budowane były według prywatnych upodobań, inne zapewne miały służyć jakiemuś zapomnianemu dziś celowi. Wszystko w Ysai było ciasne i stłoczone prawie do niemożliwości, balansowało niemalże na skraju kompletnego chaosu. Teg wiedział, że miasto ratowała tylko starodawna sieć szerokich arterii, wokół której wyrósł obecny galimatias. Chaos jeszcze go nie ogarnął, chociaż nieskoordynowana płatanina ulic niewiele miała wspólnego z pierwotnym planem. Krzyżowały się i łączyły pod dziwnymi kątami, rzadko kiedy prostymi. Z powietrza Ysai wyglądało jak jeden wielki supeł z tkwiącą pośrodku gigantyczną bryłą starodawnej Baronii, która stanowiła jedyny element zorganizowanego planu urbanistycznego. Reszta była buntem przeciw architekturze.

Teg zrozumiał nagle, że to nieprawdziwe miejsce, wyrosłe wokół kłamstw zbudowanych na jeszcze starszych kłamstwach, że przez tę obłąkańczą mieszaninę nie da się już być może dokopać do jakiejś sensownej prawdy. Cała Gammu stała się właśnie taka. Skąd się wzięło to szaleństwo? Czy to robota Harkonnenów?

– Jesteśmy na miejscu.

Kierowca zatrzymał się przy krawężniku przed pozbawionym okien frontem budynku z gładkiej czarnej plastali, w którym widniały pojedyncze drzwi. Tym razem ani śladu materiałów z rozbiórki. Teg rozpoznał wybraną przez siebie kryjówkę. Bliżej nieokreślone obrazy mignęły przed jego drugim wzrokiem, nie wyczuł jednak bezpośredniego zagrożenia. Kierowca otworzył mu drzwi i usunął się z drogi.

– O tej porze nie ma tu zbyt dużego ruchu. Na pańskim miejscu wszedłbym jak najszybciej do środka.

Nie oglądając się za siebie, Teg przebiegł przez wąski chodnik i wszedł do budynku. Znalazł się w małym, jasno oświetlonym holu z polerowanego białego plazu, w którym powitały go wyłącznie okienka komunikatorów. Wskoczył do windy i wystukał zapamiętany kod. Wiedział, że kręty szyb sięga aż na tyły pięćdziesiątego siódmego piętra, na którym znajdowało się parę okien. Pamiętał prywatną jadalnię o ciemnoczerwonej kolorystyce

i ciężkich brązowych meblach oraz kobietę o twardym spojrzeniu, która zdradzała wyraźne oznaki szkolenia Bene Gesserit, choć nie była Matką Wielebną.

Winda otworzyła się wprost na zapamiętany pokój, nikt tu jednak na niego nie czekał. Teg rozejrzał się po solidnych brązowych meblach. Cztery okna w przeciwległej ścianie zasłonięte były kasztanowymi draperiami.

Baszar wiedział, że zauważono jego przybycie. Czekał cierpliwie, używając nowego podwójnego widzenia, by wykryć ewentualne kłopoty. Nic nie wskazywało na grożący mu atak. Zajął pozycję z jednej strony drzwi do windy i ponownie się rozejrzał.

Teg miał własną teorię na temat zależności między pokojami a znajdującymi się w nich oknami. Liczba okien, ich umiejscowienie, rozmiar, wysokość od podłogi, zależność rozmiaru pokoju i okna, piętro, na którym znajdował się pokój, zasłony lub ich brak – wszystko to dzięki interpretacji mentata pozwalało określić sytuację, w jakich dany pokój był używany. W ten sposób pokoje można było bardzo szczegółowo usystematyzować. Oczywiście w nagłych wypadkach cała ta wiedza okazywała się nieprzydatna, poza tym jednak teoria zazwyczaj się sprawdzała.

Brak okien w pokoju nad ziemią miał szczególną wymowę. Jeśli było to pomieszczenie użytkowane przez ludzi, nie oznaczało to jeszcze wcale potrzeby zachowania tajemnicy. Teg wiedział, że w różnych naukowych instytucjach sale bez okien były wyrazem zarówno potrzeby odcięcia się od świata zewnętrznego, jak i silnej niechęci wobec dzieci.

Ten pokój jednakże mówił o czymś innym: zapewniał dyskrecję, a zarazem umożliwiał okazjonalny rzut oka na zewnątrz. „Ochrona i dyskrecja w razie potrzeby”. Osąd ów potwierdził się w pełni, gdy Teg podszedł do okna i uchylił draperię. Potrójne szyby ze zbrojonego plazu! Więc to tak! Wyglądanie na zewnątrz mogło sprowokować atak. Tego zdania był przynajmniej ten, kto kazał w ten sposób zabezpieczyć pokój.

Teg ponownie odchylił draperię i spojrzał na brzeg okna. System połyskujących luster pozwalał na obserwację ulicy wzdłuż całej szerokości budynku i od ziemi po dach.

„No tak!”

Podczas poprzedniej wizyty nie miał czasu przyjrzeć się pomieszczeniu z bliska, teraz jednak udało mu się dobrze je obejrzeć. Bardzo interesujący

pokój. Teg opuścił draperię i odwrócił się akurat na czas, by zobaczyć, jak z windy wychodzi wysoki mężczyzna.

Dzięki podwójnemu widzeniu miał już opinię na jego temat. Wniósł ze sobą ukrytą groźbę. Był bezsprzecznie wojskowym – świadczyły o tym sposób, w jaki się nosił, oraz bystre spojrzenie, które docenić mógł jedynie doświadczony żołnierz. Było w nim też coś jeszcze, co spowodowało, że Teg zeszytniał. To był zdrajca! Najemnik, który sprzeda się temu, kto zapłaci najwięcej.

– Obrzydliwie się z panem obeszli – przywitał Tega.

Mówił głębokim barytonem, nieświadomie dźwięczącym poczuciem władzy, z akcentem, którego Teg nigdy wcześniej nie słyszał. To był ktoś z Rozproszonych! Baszar lub jego odpowiednik.

Wciąż jednak Teg nie odbierał sygnałów zbliżającego się ataku.

Gdy nie odpowiadał, mężczyzna rzekł:

– Och, proszę mi wybaczyć. Nazywam się Muzzafar. Jafa Muzzafar, okręgowy komendant sił Dura.

Teg nigdy nie słyszał o siłach Dura.

Pytania kłębiły mu się w głowie, na razie jednak zachowywał je dla siebie. Wszystko, co by powiedział, mogłoby zdradzić tamtemu jego słabe punkty.

Gdzie byli ci, którzy spotkali się tu z nim poprzednio? „Dlaczego wybrałem to miejsce?” Podejmując tę decyzję, był przecież pewien, że postępuje słusznie.

– Proszę się rozgościć – powiedział Muzzafar, wskazując niewielką otomanę, która stała przy niskim stoliku. – Zapewniam, że nie miałem nic wspólnego z tym, co się panu przydarzyło. Próbowałem to powstrzymać, jednak wtedy pan już... hmm, opuścił scenę.

Teg zauważył teraz coś jeszcze w głosie Muzzafara: ostrożność, niemalże strach. Ten człowiek najwyraźniej słyszał lub widział, co się stało w chacie i na polanie.

– Cholernie sprytnie z pańskiej strony – mówił dalej Muzzafar. – Kazać swoim oddziałom uderzeniowym czekać, dopóki ci, którzy pana schwytali, nie zajmą się wyciąganiem od pana informacji. Powiedział im pan coś?

Teg w milczeniu pokręcił głową. Czuł, że za chwilę jego ciało przyspieszy nagle i przypuści atak, wciąż jednak nie wyczuwał grożącej mu przemocy. Do czego zmierzali ci Utraceni? Jedno było pewne: Muzzafar i jego ludzie błędnie zinterpretowali przebieg wypadków z sondą T w chacie.

– Proszę siadać – rzekł Muzzafar.

Teg zajął miejsce na otomanie.

Muzzafar rozsiadł się w głębokim fotelu stojącym lekko na ukos od otomany po przeciwnej stronie stolika. Był napięty, jakby czaił się do skoku, gotów w każdej chwili odeprzeć atak.

Teg przyglądał mu się z zainteresowaniem. Muzzafar nie zdradził mu swego stopnia, przedstawił się jedynie jako komendant. Był wysokim mężczyzną o szerokiej, rumianej twarzy i okazałym nosie. Jego szarozielone oczy przez całą rozmowę wpatrywały się w przestrzeń gdzieś nad prawym ramieniem Tega. Teg znał kiedyś szpiega, który podobnie się zachowywał.

– No, no – zaczął Muzzafar. – Wiele się o panu naczytałem i nasłuchiwałem przed przybyciem tutaj.

Teg w dalszym ciągu przyglądał mu się bez słowa. Linie krótko przyciętych włosów Muzzafara przecinała biegnąca nad lewym okiem purpurowa blizna. Ubrany był w rozpiętą jasnozieloną polową kurtkę i takie same spodnie – nie do końca mundur, choć strój był wyjątkowo schludny i zdradzał wojskową pedanterię. Jego buty były tak wypolerowane, że Teg podejrzewał, iż gdyby się schylił, ujrzałby swoje odbicie w ich jasnobrązowej powierzchni.

– Nigdy naturalnie się nie spodziewałem, że spotkam pana osobiście – kontynuował Muzzafar. – To dla mnie wielki zaszczyt.

– Właściwie nic o panu nie wiem, poza tym, że dowodzi pan siłami Rozproszenia – odparł Teg.

– Och, doprawdy nie ma się specjalnie czym chwalić.

Baszar znowu poczuł, że trzewia skręcają mu się z głodu. Spojrzał na przycisk przy drzwiach windy, którym jak pamiętał, można było wezwać kelnera. W tym miejscu ludzie wykonywali pracę zwyczajowo pozostawianą robotom. Stanowiło to świetną wymówkę, by stale mieć pod ręką dużą grupę ludzi.

– Proszę jeszcze nie wychodzić – rzekł Muzzafar, źle zrozumiałwszy spojrzenie Tega. – Wezwałem mojego lekarza, żeby pana obejrzał. Powinien za chwilę tu być. Będę wdzięczny, jeżeli poczeka pan spokojnie na jego przybycie.

– Chciałem tylko zamówić coś do jedzenia – odparł Teg.

– Radziłbym zaczekać, aż lekarz pana obejrzy. Głuszaki często powodują naprawdę niemiłe efekty uboczne.

– Słyszał więc pan o tym.

– Wiem o całej nieudanej operacji. Z panem i tym pana Burzmalim naprawdę trzeba się liczyć.

Zanim Teg zdążył odpowiedzieć, z windy wyszedł wysoki mężczyzna odziany w czerwony kombinezon i kurtkę, tak chudy i kościsty, że ubranie dosłownie powiewało wokół jego postaci. Na wysokim czole wytatuowany miał romb, symbol akademii Suk, znak był jednak pomarańczowy, nie zaś – jak zwykle – czarny. Oczy doktora ukryte były za połyskującą pomarańczową osłoną, która skrywała ich naturalny kolor.

„Jest uzależniony od czegoś?” – zastanawiał się baszar. Nie czuł zapachu żadnego ze znanych mu narkotyków ani melanżu. Wokół nowo przybyłego unosił się za to słodkawy aromat owocowego ciasta.

– Jesteś nareszcie, Solitz! – powiedział Muzzafar i wskazał Tega. – Obejrzyj go dokładnie. Przedwczoraj został trafiony głuszakiem.

Solitz wyjął znany Tegowi skaner akademii Suk, który mieścił się w dłoni. Pole próbnika zabuczało cicho.

– Jest pan więc lekarzem Suk – rzekł Teg, patrząc znacząco na pomarańczowy znak na czole mężczyzny.

– Tak, baszarze. Zostałem wyszkolony i uwarunkowany według najlepszej starożytnej tradycji.

– Nigdy nie widziałem znaku identyfikacyjnego w tym kolorze – powiedział Teg.

– Kolor tatuażu jest bez znaczenia, baszarze – odparł lekarz, wodząc skanerem wokół głowy Tega. – Ważne jest tylko to, co jest pod nim.

Powiódł skanerem w dół, do ramion Tega, a potem niżej, wzdłuż całego ciała.

Teg czekał, aż buczenie ustanie.

Wreszcie lekarz odsunął się.

– Jest w dobrej kondycji, panie marszałku – zwrócił się do Muzzafara. – Nawet bardzo dobrej, zważywszy na jego wiek, rozpaczliwie potrzebuje jednak substancji odżywczych.

– Tak... dobrze, to świetnie, Solitz. Zajmij się tym. Baszar jest naszym gościem.

– Zamówię posiłek odpowiedni do jego potrzeb – odparł Solitz. – Jedz powoli, baszarze. – Wykonał nagły zwrot w tył, aż załopotala jego luźna kurtka, i znikł w drzwiach windy.

– Marszałku? – zapytał Teg.



– Reaktywowaliśmy w siłach Dura starożytne szarże.

– Dura?

– Głupiec ze mnie! – wykrzyknął Muzzafar i wyciągnął z bocznej kieszeni kurtki niewielką aktówkę, a z niej cienki folder. Teg rozpoznał nośnik holograficzny podobny do tego, który sam woził ze sobą przez długie lata służby – obrazy domu i rodziny. Muzzafar umieścił go na stoliku i przycisnął guzik.

Kolorowy obraz bujnej zielonej dżungli w miniaturze pojawił się nad stolikiem.

– Dom – powiedział Muzzafar. – Ten w środku to domokrzew. – Wskazał palcem punkt na trójwymiarowym obrazie. – Pierwszy w życiu, który mnie usłuchał. Ludzie śmiali się ze mnie, że tak go sobie wybrałem i trzymałem się go tak długo.

Teg wpatrywał się w obraz, świadomy głębokiego smutku w głosie Muzzafara. Wskazany przez niego krzak był wrzecionowatą plataniną cienkich gałęzi, z których zwisały jaskrawoniebieskie bulwy.

„Domokrzew?”

– Wiem, jest dość mizerny – powiedział Muzzafar, cofając palec z hologramu. – Wcale nie zapewniał bezpieczeństwa. Przez pierwszych parę miesięcy, jakie z nim spędziłem, musiałem bronić się kilkakrotnie. Przywiązałem się jednak do niego. One to czują, wie pan. A teraz to najlepszy dom we wszystkich głębokich dolinach, na Wieczną Skałę Dura! – Spojrzawszy na wyrażającą całkowite niezrozumienie twarz Tega, Muzzafar wykrzyknął: – Do licha! Wy oczywiście nie macie tu domokrzewów! Proszę wybaczyć moją ignorancję. Widzę, że musimy się jeszcze wiele od siebie nawzajem nauczyć.

– Nazwał pan to domem – rzekł Teg.

– O tak. Odpowiednio pokierowane, naturalnie gdy już nauczą się posłuszeństwa, domokrzewy rozrastają się we wspaniałe rezydencje. Zajmuje to raptem cztery czy pięć standardowych lat.

„Standardowych” – pomyślał Teg. Więc Utraceni wciąż posługiwali się rokiem standardowym.

Drzwi windy zasyczały i do pokoju weszła tyłem młoda kobieta w błękitnym stroju służącej, ciągnąc podtrzymywany dryfami podgrzewacz. Ustawiła go przed Tegiem obok stolika. Jej strój przypominał te, które baszar zapamiętał ze swej pierwszej podróży, jednak mile zaokrąglona twarz, którą ku niemu zwróciła, wyglądała obco. Miała ogoloną głowę, na

której widać było siatkę grubych żył, i wodniste niebieskie oczy. Cała była jakby lekko skulona. Otworzyła podgrzewacz i nozdrza Tega napęliły się aromatem jedzenia i przypraw.

Teg zachował ostrożność, nie czuł jednak bezpośredniego zagrożenia. Zobaczył siebie jedzącego posiłek bez żadnej szkody.

Młoda kobieta ustawiła przed nim na stoliku rząd półmisek, a z boku równiutko ułożyła sztucce.

– Nie mam wykrywacza, ale jeśli pan chce, sam skosztuję jedzenia – zaoferował Muzzafar.

– Nie ma potrzeby – odparł Teg.

Wiedział, że to spowoduje różne domysły, podejrzewał jednak, że wezmą go raczej za Prawdomówcę. Utkwił wzrok w jedzeniu, po czym odruchowo pochylił się i zaczął jeść. Choć znał charakterystyczny głód mentatów, zaskoczyła go obecna reakcja. Sposób, w jaki mentaci wykorzystywali swoje mózgi, powodował ogromne straty energetyczne, teraz wszakże kierowała nim całkiem nowa potrzeba. Czuł, że reaguje bezpośrednio na bodźce instynktu samozachowawczego. Głód, który teraz go dręczył, wykraczał poza wszelkie jego dotychczasowe doświadczenia. Zupa, którą ostrożnie zjadł wcześniej w domu „zrujnowanego”, nie spowodowała tak gwałtownej reakcji.

„Lekarz Suk dokonał dobrego wyboru” – pomyślał. Potrawy zostały dobrane dokładnie według wskazań skanera.

Młoda kobieta przynosiła mu wciąż nowe półmiski z kolejnych dostarczanych windą podgrzewaczy.

W połowie posiłku Teg zmuszony był wstać i skorzystać z przyległej łazienki, mając pełną świadomość śledzących jego ruchy kamer. Po reakcjach organizmu zorientował się, że jego system trawienny przyspieszył ogromnie, dostosowując się do nowych potrzeb ciała. Gdy wrócił do stołu, nadal był tak głodny, jakby nic nie zjadł.

Usługująca mu kobieta zaczęła zdradzać zdziwienie, a potem zaniepokojenie. Wciąż jednak przynosiła potrawy, których się domagał.

Muzzafar przyglądał mu się z rosnącym zdumieniem, nic jednak nie mówił.

Teg czuł ożywcze działanie wysokokalorycznego jedzenia przygotowanego ściśle według wskazań doktora akademii Suk. Nikt jednak najwyraźniej nie przewidział ilości potraw. Służąca donosiła kolejne półmiski w stanie głębokiego szoku.

– Muszę powiedzieć, że nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zjadł tak dużo za jednym razem – przemówił wreszcie Muzzafar. – Nie mogę pojąć, jak pan to robi. Ani dlaczego.

Nasyciwszy się w końcu, Teg usiadł wygodnie, wiedząc, że wzbudził pytania, na które nie może odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Tak już jest z mentatami – skłamał. – Miałem ostatnio bardzo wyczerpujące przeżycia.

– Niesamowite – rzekł Muzzafar i wstał.

Gdy Teg zaczął się podnosić, gestem nakazał mu zostać na miejscu.

– Nie trzeba. Przygotowaliśmy dla pana kwaterę tuż obok. Bezpieczniej będzie jeszcze pana nie przenosić.

Młoda kobieta wyszła, pchając puste podgrzewacze.

Teg patrzył na Muzzafara. Coś się zmieniło w trakcie posiłku. Komendant spoglądał na niego chłodnym, taksującym wzrokiem.

– Ma pan wszczepiony komunikator – powiedział Teg. – Otrzymał pan nowe instrukcje.

– Atak na to miejsce nie byłby rozsądnym posunięciem ze strony pańskich przyjaciół – rzekł Muzzafar.

– Myśli pan, że taki właśnie mam plan?

– A jaki ma pan plan, baszarze?

Teg uśmiechnął się.

– Dobrze więc. – Spojrzenie Muzzafara uciekło w przestrzeń, gdy słuchał rozkazów z komunikatora. Kiedy znów skoncentrował uwagę na Teg, miał wygląd drapieżcy. Poruszony tym widokiem baszar zrozumiał, że do pokoju zmierza ktoś jeszcze. Marszałek uważał ten rozwój wypadków za niezwykle niebezpieczny dla swego gościa, Teg jednak nie sądził, żeby cokolwiek zdołało przewyższyć jego nowe umiejętności.

– Sądzi pan, że jestem waszym więźniem – powiedział.

– Na Wieczną Skalę, baszarze! Nie jest pan tym, kogo się spodziewałem!

– A kogo spodziewała się Dostojna Matrona, która właśnie tu idzie? – zapytał Teg.

– Ostrzegam pana, baszarze: niech pan nie rozmawia z nią takim tonem! Nie ma pan najmniejszego pojęcia, co się panu przydarzy.

– Przydarzy mi się Dostojna Matrona – odparł Teg.

– Życzę przyjemnego spotkania!

Muzzafar obrócił się na pięcie i zniknął w windzie.

Teg patrzył w ślad za nim. Widział obrazy przekazywane przez jego drugie widzenie, migocące wokół szybu windy. Dostojna Matrona była już blisko, zwlekała jednak z wejściem do pokoju. Najpierw zamierzała się skonsultować z Muzzafarem. A marszałek nie będzie w stanie powiedzieć tej niebezpiecznej kobiecie niczego ważnego.



Wspomnienia nigdy nie odzwierciedlają rzeczywistości. One ją rekonstruują. A każda rekonstrukcja wprowadza zmiany względem oryginału, staje się zaledwie ramą, zewnętrznym układem odniesienia, który nieuchronnie zawodzi pokładane w nim nadzieje.

– *Podręcznik mentata*

Lucylla i Burzmali weszli do Ysai od południa, przez jedną z biedniejszych dzielnic z rzadka tylko oświetloną lampami ulicznymi. Do północy brakowało już tylko godziny, a mimo to ulice pełne były tu ludzi. Niektórzy spokojnie spacerowali, inni rozmawiali hałaśliwie z narkotycznym ożywieniem, jeszcze inni z nadzieją obserwowali przechodniów. Zbierali się na rogach ulic, przyciągając spojrzenia zafascynowanej Lucylli.

Burzmali cały czas ją popędział, niczym niecierpliwy klient, który nie może się doczekać kiedy wreszcie zostanie z nią sam na sam. Lucylla natomiast nieustannie obserwowwała spod oka mijanych ludzi.

Co oni tu robili? Ci mężczyźni stojący w drzwiach domów. Na co czekali? Robotnicy w ciężkich fartuchach wyszli właśnie z mijanej przez nich szerokiej bramy. Ciągnął się za nimi odór ścieków i potu. Robotnicy, wśród których było prawie tyle samo kobiet co mężczyzn, wszyscy byli wysocy, potężnie zbudowani, o szerokich barach. Lucylla nie umiała sobie wyobrazić, jaki zawód mogliby wykonywać, byli jednak do siebie bardzo podobni i uświadomili jej nagle, jak mało naprawdę wie o Gammu.

Robotnicy wyszli na nocne powietrze, chrząkając i spluwając do rynsztoka. „Czyżby wypluwali resztki jakichś zanieczyszczeń?”

Burzmali zbliżył wargi do jej ucha.

– Ci ludzie to Bordani – wyszeptał.

Zaryzykowała rzut oka w tył, na grupę skręcającą w jedną z bocznych ulic. „Bordani?” Aaach, tak. Pracownicy hodowani i szkoleni specjalnie do pracy przy sprężarkach napędzanych gazami ściekowymi. Selektywna hodowla pozbawiła ich zmysłu węchu i rozwinęła nienaturalną muskulaturę ramion i przedramion. Baszar pociągnął ją za róg i Bordani zniknęli jej z oczu.

Z ciemnej bramy obok nich wyłoniło się pięcioro dzieci i rzędem ruszyło za nimi. Lucylla zauważyła, że w dłoniach ściskają jakieś małe przedmioty. Podążały za nimi z dziwnym uporem. Nagle Burzmali zatrzymał się i odwrócił. Dzieci również stanęły i patrzyły na niego. Lucylla widziała wyraźnie, że gotowe są użyć przemocy.

Burzmali złożył przed sobą dłonie i skłoniwszy się dzieciom, rzekł:

– Guldur!

Kiedy poprowadził ją dalej ulicą, dzieci nie poszły za nimi.

– Chciały nas ukamienować – powiedział.

– Dlaczego?

– Należą do sekty wyznawców Guldura... tak nazywają tutaj Tyrana.

Lucylla spojrzała za siebie, dzieci nie było już jednak widać. Odeszły, szukając innej ofiary.

Burzmali znów skręcił. Znaleźli się na ulicy pełnej drobnych sklepikarzy sprzedających z wózków najróżniejsze towary: jedzenie, ubrania, noże i inne narzędzia. Powietrze rozbrzmiewało ich śpiewnymi okrzykami, które miały zachęcić kupujących. W ich głosach dźwięczał ten szczególny ton typowy dla końcówki pracowitego dnia: fałszywe ożywienie, na które składały się po trochu nadzieja na nagłe spełnienie dawnych marzeń i świadomość, że ich życie raczej się nie odmieni. Lucylli przyszło na myśl, że ludzie, których widziała na ulicach, gonią za nieuchwytnymi marzeniami, że szukają spełnienia nie tyle w konkretnych rzeczach, ile raczej w ideach, do których dążyli od zawsze, tak jak zwierzęta w wyścigu nauczone są gonić za przynętą przez kolejne okrążenia toru.

Dokładnie przed nimi krzepka postać okutana w gruby płaszcz toczyła głośno zawzięty spór ze sprzedawcą, który handlował sznurkowymi siatkami pełnymi ciemnoczerwonych, słodko-kwaśnych owoców. Powietrze wokół nich aż gęste było od ich aromatu.

– Odebrałbyś moim dzieciom ostatni kęs chleba! – narzekał sprzedawca.

Przysadzista postać odpowiedziała mu piskliwym głosem ze znajomym akcentem, który przeszył Lucyllę dreszczem.

– Ja też mam dzieci!

Matka Wielebna z wysiłkiem zapanowała nad sobą.

Gdy zostawili już targową ulicę za sobą, szepnęła do Burzmalego:

– Tamten mężczyzna w grubym płaszczu to mistrz Tleilaxan!

– Niemożliwe – odparł Burzmali. – Za wysoki.

– Było ich dwóch, jeden siedział drugiemu na ramionach.

– Jesteś pewna?

– Jestem.

– Od naszego przybycia widziałem już kilku takich, niczego jednak nie podejrzewałem.

– Te ulice patroluje wielu szpiegów.

Lucylla zauważyła, że wcale jej nie obchodzi codzienny los mieszkańców rynsztoków na tej obrzydliwej planecie. Nie wierzyła już w oficjalne powody przywiezienia tu gholi. Dlaczego ze wszystkich planet, na których mógł być wychowany ich bezcenny ghola, zgromadzenie wybrało właśnie tę? A może ghola wcale nie był taki cenny? Może był tylko przynętą?

Mijali właśnie człowieka, który tarasując cały niemal wylot wąskiej bocznej alejki, energicznie wymachiwał wysokim urządzeniem migającym wirującymi światłkami.

– Żyćcie! Żyćcie! – wykrzykiwał.

Lucylla zwolniła kroku, przyglądając się, jak jeden z przechodniów wszedł w alejkę, podał mężczyźnie monetę, po czym pochylił się nad migoczącym światłkami zagłębieniem w urządzeniu. Jego właściciel spojrzał na Lucyllę. Ujrzała wąską, ciemną twarz kaladańskiego dzikusa i drobne ciało, niewiele wyższe od mistrza Tleilaxan. Gdy brał od klienta pieniądze, na jego zadumanej twarzy błąkała się pogarda.

Klient uniósł twarz znad urządzenia i wstrząsany dreszczem odszedł, lekko się zataczając. Jego oczy lśniły.

Lucylla знаła to urządzenie. Nazywało się hipnobong i było zakazane na większości cywilizowanych planet.

Burzmali pociągnął ją dalej i zamyślony właściciel hipnobongu zniknął jej z oczu.

Weszli w szeroką boczną ulicę. W budynku naprzeciwko nich widniały narożne drzwi. Wokół nich poruszało się mnóstwo ludzi i nigdzie nie było widać ani jednego pojazdu. Na pierwszym stopniu prowadzącym do narożnych drzwi siedział wysoki mężczyzna. Kolana miał podciągnięte pod brodę i ciasno oplecione ramionami. Dłonie o szczupłych palcach były

kurczowo zaciśnięte. Nosił czarny kapelusz, który ocieniał mu twarz, ale w świetle lamp ulicznych Lucylla zobaczyła pod szerokim rondem dwa jarzące się punkty, których nie widziała jeszcze u żadnego człowieka. Miała przed sobą coś, czego istnienia Bene Gesserit jedynie się domyślały.

Burzmali odczekał, aż odeszli dostatecznie daleko od siedzącej postaci, i dopiero wtedy zaspokoił jej ciekawość.

– To Futar – szepnął. – Przynajmniej sami tak o sobie mówią. Dopiero od niedawna widuje się ich na Gammu.

– Tleilaxański eksperyment – zgadła Lucylla i pomyślała: „Pomyłka, która wróciła z Rozproszenia”. – Co oni tu robią? – zapytała.

– Mieszkańcy Gammu mówią, że mają tu placówkę handlową.

– Nie wierz w to. To drapieżne bestie skrzyżowane z ludźmi.

– No, jesteśmy wreszcie – powiedział Burzmali.

Wprowadził Lucyllę przez wąskie drzwi do słabo oświetlonej restauracji. Lucylla wiedziała, że to również część ich kamuflażu: robią to, co inni w tej dzielnicy, nie zachwycała jej jednak myśl o jedzeniu tu kolacji, zwłaszcza po tym, co wywnioskowała z unoszących się wokół zapachów.

Kiedy weszli, zatłoczony lokal właśnie się opróżniał.

– To miejsce szczególnie nam polecano – rzekł Burzmali, gdy usadowili się przy automatycznej kasie i czekali, aż pokaże się menu.

Lucylla obserwowała wychodzących klientów. Domyślała się, że to pracownicy nocnej zmiany z pobliskich fabryk i biur. Spieszyli się gdzieś, zatroskani, a może przestraszeni tym, co może ich spotkać, jeśli będą zbyt długo zwlekać.

Jak dalece odizolowana była w twierdzy! Wcale nie podobało jej się to wszystko, czego teraz dowiadywała się o Gammu. Jakim obskurnym miejscem była ta jadłodajnia! Stołki przy barze na prawo od niej były odrapane i połamane. Błat, przy którym siedzieli, skrobano już i szorowano szorstkimi ścierkami tyle razy, że próżniowa czyszczarka stojąca przy jej lewym łokciu nie była go w stanie doczyścić. Nigdzie nie widziała śladu najtańszych nawet urządzeń sonicznych utrzymujących czystość. W zadrapaniach stołu gromadziły się brud i resztki jedzenia. Lucylla wzdrygnęła się. Wciąż nie opuszczała jej myśl, że rozstanie z gholą było błędem.

Zauważyła, że menu pojawiło się wreszcie na wyświetlaczu i Burzmali już je przegląda.

– Zamówię coś dla ciebie – oznajmił.

Chciał jej w ten sposób powiedzieć, iż nie zamierza ryzykować jej ewentualnej pomyłki i zamówienia czegoś, czego nie tknęłaby adeptka Hormu.

Złościła ją ta zależność. Była przecież Matką Wielebną! Przygotowano ją do obejmowania przywództwa w każdych okolicznościach, była zawsze panią swego losu. Jakież to wszystko było męczące! Wskazała ręką brudne okno po lewej, za którym widać było przechodzących ulicą ludzi.

– Tracę klientów, siedząc tu z tobą, Skar – powiedziała.

„Proszę bardzo! To zdecydowanie w stylu mej postaci”.

Burzmali niemal odetchnął z ulgą. „Nareszcie!” – pomyślał. Zaczęła znów zachowywać się jak Matka Wielebna. Nie mógł dotąd zrozumieć jej oderwania i dystansu, z którym przyglądała się ludziom i miastu.

Z otworu podajnika wyjechały na blat dwa mleczne napoje. Burzmali wychylił swój jednym haustem. Lucylla spróbowała najpierw odrobinę końcem języka, analizując skład napoju. Syntetyczny koktajl kawowy z syropem orzechowym.

Burzmali ruchem podbródka nakazał jej pić szybciej. Usłuchała, starając się nie krzywić, kiedy poczuła smak sztucznych składników. Baszar z uwagą obserwował coś nad jej prawym ramieniem, nie śmiała się jednak odwrócić. To nie byłoby zgodne z charakterem postaci.

– Chodź. – Położył na ladzie monetę i pośpiesznie wyprowadził ją na ulicę. Uśmiechał się, zupełnie jak niecierpliwy klient, spojrzenie miał jednak czujne.

Natężenie ruchu się zmieniło. Ludzi było mniej, zacienione bramy wyglądały groźniej niż przedtem. Lucylla powtarzała sobie, że ma wyglądać na członkinię potężnej organizacji, nietykalną dla rynsztokowych rzezimieszków. Kilka osób rzeczywiście ustąpiło jej, z lękiem zerkając na smoki wyszyte na jej szacie.

Burzmali zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

Wyglądały jak wszystkie inne na tej ulicy, trochę oddalone od chodnika, tak że wydawały się węższe niż w rzeczywistości. Wejścia strzegł staromodny promień alarmu laserowego. Najwyraźniej do tych slumsów nie dotarły żadne osiągnięcia nowoczesnej techniki. Dowodem na to były chociażby ulice zaprojektowane wyraźnie z myślą o pojazdach naziemnych. Lucylla szczerze wątpiła, czy w całej dzielnicy znalazłoby się choć jedno lądowisko na dachu. W pobliżu nie było widać ani słyszać ornitopterów czy śmigaczy. Słyszała za to muzykę – ciche szemranie przywodzące na myśl



semucką muzykę. Czyżby jakaś nowinka wśród uzależnionych od semuty? Cała dzielnica wyglądała na taką, która przyciąga narkomanów.

Lucylla uniosła wzrok, by przyjrzeć się fasadzie budynku, a Burzmali ruszył tymczasem przodem i wszedł w promień alarmu, by dać znać o ich przybyciu.

W ścianie domu nie było okien, jedynie oka kamer błyskające tu i ówdzie w matowej płaszczyźnie starej plastali. Kamery były staromodne, dużo większe niż współcześnie stosowane.

Ukryte w cieniu drzwi otworzyły się cicho do środka.

– Tędy. – Baszar ujął ją za łokieć i poprowadził.

Weszli do ciemnego korytarza, w którym czuć było egzotyczne jedzenie i gorzkie przyprawy. Lucylla przez chwilę identyfikowała pojedyncze zapachy, które wypełniły jej nozdrza. Melanż. Wyczuła niemożliwą do pomylenia z czymkolwiek głęboką nutę cynamonu. Ach tak, i semuta. Rozpoznała też woń palonego ryżu i soli. Komuś tu zależało na przytłumieniu zapachów z całkiem innej *kuchni*. Wytwarzano tu materiały wybuchowe. Przyszło jej do głowy, że powinna ostrzec Burzmalogo, lecz po namyśle z tego zrezygnowała. Nie musiał koniecznie wiedzieć, a w zamkniętej przestrzeni niewidoczne uszy mogły podsłuchać jej słowa.

Burzmali poprowadził ją w górę po schodach oświetlonych tylko biegnącą wzdłuż listwy przypodłogowej bladą luminówką. U szczytu schodów odszukał przełącznik zasłonięty licznymi łatami w wielokrotnie reperowanej ścianie. Gdy go przycisnął, nie rozległ się żaden dźwięk, Lucylla poczuła jednak zmianę w otaczającej ich ciszy. Wciąż nic. Był to dla niej zupełnie nowy rodzaj ciszy, pełen napięcia przed walką lub ucieczką.

Na schodach było zimno, ale nie drżała z chłodu. Za drzwiami w połatanej ścianie rozległy się kroki.

Siwowłosa wiedźma w żółtym chałacie otworzyła drzwi i spojrzała na nich spod krzaczastych brwi.

– To wy – rzekła łamliwym głosem i odsunęła się, wpuszczając ich do środka.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Lucylla szybko zlustrowała pokój. Na pierwszy rzut oka mógł się wydawać dość nędzny, ale to były tylko pozory. Pod wierzchnią warstwą rupieci kryło się wyposażenie wysokiej jakości. Ubogie sprzęty były kolejną maską, po części biorącą się zapewne z nieustępliwego charakteru osoby, która urządziła ten pokój: To ma stać tu i nigdzie indziej! To idzie tam i tam zostaje! Niektóre meble i bibeloty

wyglądały na mocno już sfatygowane, komuś jednak widocznie wcale to nie przeszkadzało. Wnętrzu nawet to służyło. Był to taki właśnie rodzaj pokoju.

Do kogo należał? Do staruchy? Kobieta kuśtykała właśnie z wysiłkiem w kierunku drzwi po ich lewej.

– Nikt nie ma nam przeszkadzać aż do świtu – powiedział Burzmali.

Stara przystanęła i odwróciła się.

Lucylla obserwowała ją. Czyżby i ona udawała zaawansowany wiek? Nie. Ta naprawdę była stara. Jej ruchy cechowała niepewność – drzenie szyi i inne niedoskonałości ciała, które zdradzało ją wbrew jej woli.

– Nawet gdyby to był ktoś ważny? – zapytała swoim łamliwym głosem.

Gdy mówiła, powieki jej drgały, a usta rozchyłała z trudem zaledwie na tyle, by wydobyły się z nich konieczne dźwięki. Wymawiała każde słowo z osobna, jak gdyby musiała przywoływać je gdzieś z wnętrza ciała. Barki, przygięte przez lata pracy w pochylonej pozycji, nie były w stanie rozprostować się tak, by mogła spojrzeć Burzmalemu w twarz, spoglądała więc w górę spod brwi, co sprawiało wrażenie, jakby zerkąła na niego ukradkiem.

– A jakiej to ważnej osoby się spodziewasz? – zapytał Burzmali.

Staruszka wzdrygnęła się i przez chwilę wyglądało na to, że nie rozumie pytania.

– Przychodzą tu waż-ż-żni ludzie – rzekła.

Lucylla rozpoznała nagle język jej ciała i wykrzyknęła, bo Burzmali musiał natychmiast się o tym dowiedzieć:

– Ona jest z Rakis!

Zaciekawione spojrzenie starej powędrowało ku Lucylli.

– Byłam kapłanką, damo Hormu – oznajmiła sędziwym głosem.

– Oczywiście, że jest z Rakis – powiedział Burzmali. Jego ton ostrzegł Lucyllę, żeby o nic więcej nie pytała.

– Nie zrobiłabym ci krzywdy – jęknęła stara.

– Wciąż służysz Podzielonemu Bogu?

Długa chwila ciszy ponownie poprzedziła odpowiedź kobiety.

– Wielu służy Wielkiemu Guldurowi – rzekła.

Lucylla zacisnęła usta i raz jeszcze przyjrzała się pokojowi. Pozycja starej kapłanki wyraźnie straciła na znaczeniu.

– Cieszę się, że nie muszę cię zabić – rzekła Lucylla.

Szczęka starej opadła w dziwnej parodii grymasu zaskoczenia. Z ust pociekła jej ślina.

I to miała być potomkini Fremenów? Lucylla wzdrygnęła się, nie kryjąc niesmaku. Ten zebrzący ochłap wydał lud, który kroczył dumny i wyprostowany, a ginął śmiercią bohaterów. Ta tutaj zginęłaby, skomląc.

– Zaufaj mi, proszę – wyjęczała wiedźma i umknęła z pokoju.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał Burzmali. – Oni mają nas przecież zabrać na Rakis!

Patrzyła nań bez słowa, rozpoznawszy w jego głosie lęk. Był to lęk *o nią*.

„Nie dokonałam przecież wtedy na nim imprintu” – pomyślała.

Nagle z przerażeniem zrozumiała, że Burzmali spostrzegł w niej nienawiść. „Nienawidzę ich! – stwierdziła. – Nienawidzę mieszkańców tej planety!”

To uczucie było niebezpieczne dla Matki Wielebnej, nie potrafiła jednak stłumić trawiącego ją ognia. Ta planeta zmieniła ją wbrew jej woli. Nie chciała nawet wiedzieć, że takie coś jest możliwe! Teoretyczna wiedza to jedno, osobiste doświadczenie było już wszakże zupełnie czym innym.

„Przekleństwo na nich!”

Ale i tak byli już przekłęci.

Poczuła ból w piersiach. Silny stres! Nie zdoła uciec przed tym nowym stanem świadomości. Co się stało z tymi ludźmi?

*Ludźmi?*

Widziała zewnętrzne powłoki, lecz nie było w nich już prawdziwego życia. Byli za to wciąż niebezpieczni. Niezwykle niebezpieczni.

– Powinniśmy odpocząć, póki możemy – rzekł Burzmali.

– Nie muszę więc zarobić na swoją gażę? – spytała.

Baszar pobladł.

– Zrobiliśmy to, co było konieczne! Mieliliśmy szczęście i nikt nas nie zatrzymał, mogło się to jednak zdarzyć!

– A tu jesteście bezpieczni?

– Na tyle, na ile mogę to zagwarantować. Ja i moi ludzie sprawdziliśmy wszystkich mieszkańców.

Lucylla znalazła kanapę pachnącą zwiędziałymi perfumami i ułożyła się na niej, by przestudiować nękające ją niebezpieczne uczucie nienawiści.

Gdzie zdoła się wedrzeć nienawiść, może dotrzeć i miłość! Słyszała, jak Burzmali wyciąga się na poduszkach pod ścianą niedaleko od niej. Wkrótce oddychał już miarowo, tymczasem ona nie mogła zasnąć. Analizowała wciąż kłębiące się w niej wspomnienia, niektóre podsuwane przez mieszkające w jej pamięci inne Matki Wielebne. Zobaczyła nagle ulicę

i twarze ludzi poruszających się po niej w ostrym świetle słonecznym. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że patrzy na wszystko pod dziwnym kątem – że jest niesiona w czyichś ramionach. Wiedziała, że to akurat wspomnienie należy do niej. Znała tego, kto ją trzymał, pamiętała gorące bicie serca przy swym rozgrzanym policzku.

Lucylla poczuła smak własnych łez.

Zrozumiała, że pobyt na Gammu dotknął ją głębiej niż jakiekolwiek doświadczenie od chwili, gdy znalazła się w szkole Bene Gesserit.



Skryte za potężnymi murami serce zamienia się w lód.

– Darwi Odrade, wystąpienie na radzie

Całą grupą targały silne emocje. Byli tu Taraza (w ukrytym pod szatą pancerzu bojowym i świadoma innych środków ostrożności, które podjęła), Odrade (przekonana, że dojdzie do walki, a więc odpowiednio czujna), Sziena (gruntownie zaznajomiona z każdym możliwym wariantem wydarzeń i chroniona przez trzy Matki Wielebne poruszające się wokół niej niczym żywa tarcza), Waff (niepewny, czy aby nie został otumaniony jakimiś tajemniczymi specyfikami Bene Gesserit), fałszywy Tuek (zdradzający wszelkie symptomy rychłego wybuchu wściekłości) i dziewięciu jego rakańskich doradców (zaciekle szukających możliwości awansu dla siebie lub swoich rodzin).

Poza tym pięć strażniczek, nowicjuszek spłodzonych i wytrenowanych przez zgromadzenie wyłącznie do walki, nie odstępowało Tarazy. Taka sama liczba maskaradników trzymała się blisko Waffa.

Zebrali się wszyscy w apartamencie na szczycie muzeum Dar-es-Balat. Zachodnią ścianę podłużnej komnaty tworzyła tafla przejrzystego plazu, dzięki czemu rozciągał się stąd widok na zieloną przestrzeń kunsztownie zaprojektowanego ogrodu na dachu. Umeblowanie stanowiły miękkie otomany i wybrane eksponaty z komory pozaprzestrzennej Tyrana.

Odrade była przeciwna udziałowi Szieny w tym spotkaniu, Taraza pozostała jednak niewzruszona. Wrażenie, jakie dziewczyna robiła na Waffie i niektórych kapłanach, zapewniało Bene Gesserit miażdżącą przewagę.

Na długiej taflí okien zamontowane były ekrany tłumiące, które chroniły komnatę przed palącymi promieniami zachodzącego słońca. To, że wychodziła ona na zachód, wiele zdaniem Odrade mówiło. Okna spoglądały na krainę zmierzchu, gdzie spoczywał Szej-hulud. Był to pokój skierowany ku przeszłości, ku śmierci.

Patrzyła z podziwem na ekrany. Zrobione były z czarnych listew grubości zaledwie dziesięciu molekuł, wirujących w przezroczystej zawieszce. W tych najwyższej jakości ixańskich filtrach ustawiało się z góry żądane natężenie światła docierającego do pomieszczenia, co w żaden sposób nie pogarszało widoku. Artyści i handlarze antykami przedkładali te ekrany nad systemy polaryzacyjne, przepuszczały bowiem pełne spektrum naturalnego światła. To, że znalazły się w tej komnacie, świadczyło o jej przeznaczeniu: można tu było w pełni docenić najpiękniejsze skarby Boga Imperatora. Tak, oto na przykład suknia, którą nosiła jego narzeczona.

Grupa kapłanów klóciła się zawzięcie w dalszym końcu pokoju, ignorując fałszywego Tueka. Taraza stała nieopodal, przysłuchując im się. Z wyrazu jej twarzy jasno wynikało, że uważa kapłanów za głupców.

Waff ze switą maskaradników stał niedaleko szerokich drzwi wejściowych. Dzielił swą uwagę między Szienę, Odrade i Tarazę, od czasu do czasu zerkając również na spierających się kapłanów. Każdy jego gest zdradzał targające nim wątpliwości. Czy Bene Gesserit rzeczywiście udzieli mu poparcia? I czy wspólnie zdołają bez walki przewyciężyć opór rakańskich kapłanów?

Sziena, wciąż otoczona wianuszkiem sióstr, podeszła bliżej Odrade. Matka Wielebna zauważyła, że pod skórą dziewczyny nadal widać mięśnie jak postronki, lecz jej ciało zaokrągliło się, a muskulatura nabiera rozpoznawalnych oznak szkolenia Bene Gesserit. Jej wysokie kości policzkowe nie odcinały się już tak ostro pod oliwkową skórą, brązowe oczy złagodniały, we włosach wciąż jednak miała zrudziałe od słońca pasma. Z uwagą przysłuchiwała się dyskutującym kapłanom, weryfikując to, co powiedziano jej przed naradą.

– Naprawdę dojdzie do walki? – zapytała szeptem.

– Popatrz tylko na nich – odparła Odrade.

– Co robi Matka Przełożona?

– Obserwuj ją uważnie.

Obie spojrzały na Tarazę stojącą pośród muskularnych strażniczek. Wyglądała na rozbawioną i nadal przyglądała się kapłanom.

Rakańscy delegaci zaczęli swą kłótnię już w ogrodzie na dachu, a gdy cienie się wydłużyły, przenieśli ją do środka. Dyszeli gniewnie, to mruczając coś pod nosem, to znów się przekrzykując. Czyżby nie zauważyli, jak fałszywy Tuek im się przygląda?

Odrade ponownie popatrzyła na widoczny poza zielenią ogrodu horyzont. Na pustyni nie widać było ani śladu życia. W którąkolwiek stronę by spojrzeć, wokół Dar-es-Balat rozciągały się tylko puste piaski. Ci, którzy się tu urodzili i wychowali, patrzyli na życie i swą planetę inaczej niż większość kapłańskich doradców. To nie była Rakis zielonych ogrodów i obfitujących w wodę oaz, które na wyższych szerokościach geograficznych rozkwitały licznie niczym kwieciste palce, sięgające daleko w głąb pustynnych szlaków. Położone na równiku, Dar-es-Balat znajdowało się w środku pustynnego pasa otaczającego planetę.

– Dość się już nasłuchiwałem tych bzdur! – wybuchnął nagle fałszywy Tuek. Odepchnął gwałtownie jednego z doradców i wszedł w sam środek kłócącej się grupy. – Czy zupełnie oszaleliście? – zapytał, obracając się wokoło, by spojrzeć każdemu w twarz.

Jeden z kapłanów (na bogów, to przecież stary Albertus!) spojrzał w kierunku Waffa.

– Szanowny Waffie! Czy zechciałbyś zapanować nad swoim maskaradnikiem? – zawołał.

Waff wahał się chwilę, po czym ruszył w kierunku grupy kapłanów, za nim zaś podążyła jego świta.

Fałszywy Tuek odwrócił się gwałtownie i wycelował w Waffa wyciągnięty palec.

– Ty! Zostań tam, gdzie jesteś! Nie będę tolerował ingerencji Tleilaxan! Ten wasz spisek jest dla mnie całkiem jasny!

Gdy fałszywy Tuek mówił, Odrade przyglądała się reakcji Waffa. Co za zaskoczenie! Nigdy jeszcze żaden z podwładnych nie zwrócił się do mistrza Tleilaxan w taki sposób! Waff doznał wstrząsu. Przez jego twarz przemknął skurcz gniewu, z ust zaczęły się wydobywać buczące dźwięki, jak gdyby wylatywał z nich rój rozwścieczonych owadów, po ich modulacji można się było jednak domyślać, że to jakiś rodzaj języka. Maskaradnicy z jego świty zamarli, ale fałszywy Tuek po prostu odwrócił się z powrotem do swoich doradców.

Waff zamilkł. Konsternacja! Maskaradnik Tuek nie zamierzał dać się przywołać do porządku! Waff ruszył w stronę kapłanów, lecz na ten widok

Tuek znów wyciągnął ku niemu rękę, grożąc palcem.

– Mówilem ci, żebyś się trzymał z daleka! Może i jesteś w stanie mnie zabić, nie mam jednak zamiaru prześmierdnąć waszym tleilaxańskim odorem!

Dopiero te słowa dotarły do celu. Waff zatrzymał się, a na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. Rzucił okiem na Tarazę i zauważył rozbawienie, z jakim przyjęła jego kłopotliwą sytuację. Znalazł nowy cel do wyładowania swojego gniewu.

– Wiedziałaś!

– Podejrzewałam.

– Ty... ty...

– Za dobrze wam się udali – powiedziała Taraza. – To wasza wina.

Kapłani nie zauważyli nawet tej wymiany zdań. Zajęci byli wrzeszczeniem na fałszywego Tueka, któremu kazali zamknąć się i odejść, nazywając go „przeklętym maskaradnikiem!”

Odrade z uwagą obserwowała obiekt tych ataków. Jak głęboko sięgał odcisk osobowości? Czy Tleilaxanin naprawdę uwierzył, że jest Tuekiem?

Maskaradnik umilkł nagle, wyprostował się z godnością i posłał swoim oskarżycielom wzgardliwe spojrzenie.

– Znacie mnie wszyscy – rzekł. – Wiecie, od jak dawna służę Podzielonemu Bogu, Który Jest Jedynym Bogiem. Połączę się z nim teraz, jeśli taki jest cel waszego spisku, pamiętajcie jednak o jednym: On wie, co nosicie w sercach!

Kapłani jak jeden mąż spojrzeli na Waffa. Żaden z nich nie był świadkiem zastąpienia najwyższego kapłana przez maskaradnika. Żaden nie widział ciała. Jedynym dowodem były słowa ludzi mówiących im rzeczy, które mogły być kłamstwami. Kilku po chwili przeniosło wzrok na Odrade. To między innymi jej słowa pomogły ich przekonać.

Waff także patrzył na Odrade.

Uśmiechnęła się.

– Dla naszych planów korzystne jest, by urząd najwyższego kapłana nie przechodził akurat teraz w nowe ręce – powiedziała do mistrza Tleilaxan.

Waff natychmiast dostrzegł korzyść i dla siebie. Oto klin, który rozdzieli kapłanów i Bene Gesserit oraz usunie jedną z przyczyn, dla których zgromadzenie trzymało Tleilaxan w szachu.

– Ja również uważam to za korzystne – rzekł.

Gdy kapłani znów podnieśli krzyk, Taraza wkroczyła niczym na umówiony sygnał.

– Który z was chce zerwać naszą umowę? – zapytała.

Tuek odepchnął dwóch doradców i wielkimi krokami podszedł do Matki Przełożonej. Zatrzymał się zaledwie krok przed nią.

– Co to za gra? – zapytał.

– Udzielamy ci wsparcia przeciwko tym, którzy pragną cię usunąć – odparła. – Bene Tleilax również nas w tym popierają. W ten sposób chcemy dowieść, że i my mamy udział w wyborze najwyższego kapłana.

– Czy on jest, czy nie jest maskaradnikiem? – zawołało chórem kilku kapłanów.

Taraza popatrzyła łagodnie na stojącego przed nią mężczyznę.

– Jesteś maskaradnikiem?

– Oczywiście, że nie!

Matka Przełożona spojrzała na Odrade, a ta powiedziała:

– Wygląda na to, że zaszła tu pomyłka. – Odszukała wzrokiem Albertusa i utkwiała spojrzenie w jego oczach. – Szieno – zapytała – co powinien teraz zrobić Kościół Podzielonego Boga?

Tak jak ją wcześniej poinstruowano, Sziena wystąpiła z kręgu siostr i rzekła z całą podniosłością, jakiej ją nauczono:

– Ma nadal służyć Bogu!

– Wygląda na to, że cel naszego spotkania został osiągnięty – stwierdziła Taraza. – Najwyższy kapłanie Tueku, jeśli potrzebujesz ochrony, oddział naszych strażniczek czeka w holu. Są do twojej dyspozycji.

Dostrzegły malujące się w jego oczach zrozumienie i akceptację. Należał teraz do Bene Gesserit. Nie pamiętał już nic ze swej przeszłości maskaradnika.

Gdy kapłani i Tuek odeszli, Waff skierował do Tarazy jedno jedyne słowo w języku Islamiyat:

– Wy tłumacz!

Taraza wystąpiła z kręgu strażniczek, przez co od razu wydała się całkiem bezbronna. Był to przemyślany ruch, który omówiły wcześniej w obecności Szieny.

– Nie chcemy już trzymać Bene Tleilax w szachu – odpowiedziała w tym samym języku.

Czekały, podczas gdy Waff ważył jej słowa. Taraza przypomniła sobie, że Tleilaxanie określali się mianem, które można by przetłumaczyć jako



„Nienazwani”. Takie imię często rezerwowano wyłącznie dla bogów.

Ten tutaj *bóg* najwyraźniej nie zrozumiał jeszcze, że odkrycie, jakiego dopiero co tu dokonał, obejmuje również maskaradników umieszczonych przez Tleilaxan pomiędzy Ixanami i rybomównymi. Czekał go niejeden wstrząs, a i tak wyglądał na zakłopotanego.

Waff zmagał się z wieloma pytaniami, na które nie znał odpowiedzi. Niepokoiły go doniesienia z Gammu. Prowadził szalenie niebezpieczną podwójną grę. Czy zgromadzenie żeńskie robiło to samo? Nie mógł odsunąć tleilaxańskich Utraconych, nie ryzykując ataku ze strony Dostojnych Matron. Taraza sama go przed tym ostrzegła. Czy stary baszar na Gammu wciąż miał za sobą siły, z którymi należało się liczyć?

Wypowiedział to pytanie na głos.

Taraza odpowiedziała mu kolejnymi.

– Jakie zmiany wprowadziliście w naszym gholi? Co mieliście nadzieję zyskać? – Była pewna, że zna już odpowiedź, niemniej pozorowanie niewiedzy było konieczne.

„Śmierć wszystkich Bene Gesserit!” – zapragnął odpowiedzieć Waff. Były zbyt niebezpieczne. Ich wartość była jednak nieoceniona. Pogрузił się w ponurym milczeniu, patrząc na Matki Wielebne z zadumą, która nadawała jego elfiej twarzyczce jeszcze bardziej dziecinny wygląd.

„Obrażone dziecko” – pomyślała Taraza. Przestrzegła się wszakże w duchu, że niebezpiecznie byłoby nie docenić Waffa. Gdy pękała skorupka tleilaxańskiego jaja, wewnątrz znajdowało się następne, i tak w nieskończoność! Cały czas aktualne było wcześniejsze przekonanie Odrade, że w tej komnacie może jeszcze dojść do krwawej wymiany ciosów. Czy Tleilaxanin rzeczywiście powiedział im prawdę o tym, czego się dowiedzieli od dziwek i pozostałych Rozproszonych? I czy ghola naprawdę był tylko ich tajną bronią?

Taraza postanowiła przycisnąć go jeszcze trochę, tym razem stosując podejście zaproponowane w *Analizie dziewiętej* opracowanej przez radę.

– Chcesz splamić swój honor w krainie Proroka? – spytała w języku Islamiyatu. – Mimo obietnic nie powiedziałeś nam szczerze wszystkiego, co wiesz.

– Powiedzieliśmy wam, że seksualne...

– Nie mówicie wszystkiego! – przerwała mu. – Wiemy, że to z powodu gholi.

Spostrzegła, jak na to zareagował. Wyglądał jak zaszczute zwierzę. A takie zwierzęta są niezwykle niebezpieczne. Widziała kiedyś kundla z podwiniętym ogonem, zdziczałego potomka starodawnej rasy z Danu, zapędzonego w ślepą uliczkę przez bandę podrostków. Zwierzę skoczyło na swoich prześladowców i wywalczyło sobie drogę na wolność w nieoczekiwanym napadzie agresji. Dwóch chłopców zostało okaleczonych do końca życia, a tylko jeden wyszedł z tego niedraśnięty! Waff był teraz jak tanto zwierzę. Widziała, jak jego ręce szukają broni, chociaż Bene Gesserit i Tleilaxanie bardzo dokładnie nawzajem się przeszukali przed tym spotkaniem i była pewna, że nie ma przy sobie broni. Chociaż...

– Myślisz, że nie wiem, jak bardzo pragniecie nami rządzić? – zapytał Waff z udręczeniem, zawieszając głos.

– *Oto jest zgnilizna, którą Rozproszeni zabrali ze sobą* – rzekła Taraza. – Zgnilizna u samych podstaw.

Zachowanie Waffa się zmieniło. Nie opłacało się lekceważyć głębszego sensu, który krył się w przemyśleniach Bene Gesserit. Co jednak chciała osiągnąć? Niezgodę?

– Prorok zaprogramował umysły wszystkich ludzi, Rozproszonych czy nie, tak by znalazły drogę – mówiła Taraza. – Sprowadził ich do nas z powrotem z nietkniętym bagażem zgnilizny.

Waff zacisnął zęby. Co ona robiła? Przez chwilę bawił się szaloną myślą, że siostry otumaniały go jakimś rozpylonym w powietrzu narkotykiem. *Wiedziały* rzeczy niedostępne dla innych! Przeniósł wzrok z Tarazy na Odrade i z powrotem na Tarazę. Wiedział, że sam jest stary dzięki ciągłemu odradzaniu się w postaci gholi, nie tak stary jednak jak Bene Gesserit. One były naprawdę stare! Rzadko na to wyglądały, ale były stare, starsze niż cokolwiek, co potrafił sobie wyobrazić.

Taraza myślała w tym momencie niemal to samo. Dostrzegła w oczach Waffa rozbłysk głębszej świadomości. Konieczność otwierała przed rozumem nowe drzwi. Jak daleko wstecz mogli sięgać Tleilaxanie? Jego oczy były tak stare! Odniosła wrażenie, że czymkolwiek były mózgi mistrzów Tleilaxan, obecnie zamieniły się już w coś innego: w holograficzne archiwum danych, z którego usunięto wszelkie osłabiające emocje. Podejrzewała, że podobnie jak ona, Waff nie ufa uczuciom. Czy była to cecha, która mogłaby ich zjednoczyć?

„Tropizm takich samych myśli”.

– Mówisz, że nie chcecie trzymać nas w szachu – warknął Waff – ja jednak czuję na gardle twoje palce.

– Wiedz więc, co dławi nasze gardła – odparła. – Do was powrócili niektórzy Utraceni. Do nas z Rozproszenia nie wróciła ani jedna Matka Wielebna.

– Ale mówiłaś przecież, że wiesz o...

– Mamy inne sposoby zdobywania wiedzy. Co, twoim zdaniem, stało się z wszystkimi Matkami Wielebnymi, które rozesłałyśmy z Rozproszeniem?

– Jakaś wspólna katastrofa? – Waff potrząsnął głową. To była dla niego zupełna nowość. Żaden z wracających Tleilaxan o tym nie wspomniał. Ta niezgodność wzbudziła w nim podejrzenia. Komu miał wierzyć?

– Zostały pokonane – powiedziała Taraza.

Słyszac, jak to powszechne podejrzenie po raz pierwszy zostaje wypowiedziane na głos przez Matkę Przełożoną, Odrade zrozumiała, że te proste słowa Tarazy implikują istnienie jakiejś ogromnej, niewyobrażalnej wręcz potęgi. Przeraziło ją to. Wiedziała o zapleczu, możliwościach, planach awaryjnych, sposobach, w jakie Matka Wielebna może wznosić wokół siebie ochronne bariery. A jednak *Coś Gdzieś Tam* potrafiło przełamać to wszystko?

Waff nie odpowiadał.

– Przychodziecie do nas z brudnymi rękami – ciągnęła Taraza.

– I wy ośmielacie się to mówić? – rzekł Waff. – Wy, które nadal okradacie nas, tak jak nauczyła was matka baszara?

– Wiedziałyśmy, że sobie poradzicie, mając zaplecze w Rozproszonych – odparła.

Waff odetchnął głęboko, drżąc cały. Więc Bene Gesserit wiedziały również to. Domyślał się nawet, jak na to wpadły. Cóż, musi znaleźć sposób, by odzyskać kontrolę nad fałszywym Tuekiem. To Rakis była prawdziwym celem Rozproszonych i mogą jej jeszcze zażądać od Tleilaxan.

Taraza podeszła do Waffa, samotna i bezbronna. Widział, jak jej strażniczki sztywnieją. Sziena zrobiła krok w jej stronę, lecz została odciągnięta przez Odrade.

Odrade cały czas dzieliła uwagę między Matkę Przełożoną a potencjalnych agresorów. Czy Tleilaxanie dadzą się przekonać, że Bene Gesserit będą im służyć pomocą? Taraza posunęła się tak daleko, jak tylko mogła, i to w języku Islamiyat. Wyglądała jednak tak samotnie, z dala od

swojej straży i blisko Waffa oraz jego ludzi. Dokąd zaprowadzą Waffa jego wyraźne wątpliwości?

Taraza zadrżała.

Odrade to spostrzegła. Matka Przełożona już jako dziecko była nienaturalnie chuda i nigdy potem nie miała ani grama zbędnego tłuszczu. To czyniło ją niezwykle podatną na zmiany temperatury. Nie znosiła zimna, Odrade nie wyczuła jednak w pokoju zmiany temperatury. Taraza musiała więc podjąć jakąś ryzykowną decyzję, na tyle niebezpieczną, że zdradziło ją własne ciało. Niebezpieczną nie dla niej, lecz dla zgromadzenia. *To* bowiem była dla Bene Gesserit największa możliwa zbrodnia: nielojalność wobec zgromadzenia.

– Będziemy wam służyć we wszystkim prócz jednego – powiedziała Taraza. – Nigdy nie będziemy naczyniami do hodowli gholi!

Waff zbladł.

Taraza mówiła dalej.

– Żadna z nas nigdy nie zostanie... – zawiesiła głos – kadzią aksolotlową!

Waff cofnął się chwiejnie dwa kroki. Uniósł prawą dłoń w geście, który znała każda Matka Wielebna: sygnałe do ataku dla maskaradników.

Taraza pokazała jego uniesioną rękę.

– Jeśli dokończysz ten gest, Tleilaxanie stracą wszystko. Wysłanniczka Boga – ruchem głowy wskazała Szienę – odwróci się od was, a słowa Proroka zamienią się w waszych ustach w proch.

Wypowiedziane w języku Islamiyat, słowa te były dla Waffa nie do zniesienia. Opuścił dłoń, nadal jednak wpatrywał się wściekle w Tarazę.

– Moja ambasador powiedziała ci, że podzielimy się wszystkim, co wiemy – rzekła Matka Przełożona. – Ty również obiecałeś się dzielić. Prorok słucha uszami swojej Wysłanniczki! Co powie Abdl Tleilaxan?

Ramiona Waffa opadły bezsilnie. Te czarownice znały największe sekrety Tleilaxan, nawet sekret reprodukcji. Jakie bariery pozostały?

Taraza odwróciła się do niego plecami. Było to mistrzowskie posunięcie, choć i ona, i wszystkie obecne Matki Wielebne wiedziały doskonale, że nic jej już nie grozi. Spojrzawszy przez całą szerokość komnaty na Odrade, Taraza pozwoliła sobie na uśmiech, wiedząc, że Odrade właściwie go zrozumie. Czas na próbkę kary, jaką potrafią wymierzyć Bene Gesserit!

– Tleilaxanie pragną Atrydki w celach rozrodczych – rzekła Taraza. – Daję wam więc Darwi Odrade. Będą też kolejne.

Waff podjął wreszcie decyzję.

– Może i wiecie sporo o Dostojnych Matronach – powiedział – ale nie...

– Dziwkach! – wtrąciła gniewnie Taraza.

– Jak sobie życzysz. Z twoich słów wynika jednak, że jednego nie wiecie na pewno. Mówiąc wam to, wypełnię swoją część umowy. Potrafią zwiększać doznanie orgazmu, przenosząc je na całe ciało mężczyzny, co powoduje jego całkowite zmysłowe zaangażowanie. Te... kobiety mogą wywołać fale nawracającego wielokrotnie orgazmu i podtrzymywać to dłuższy czas.

– Całkowite zaangażowanie? – Taraza nawet nie próbowała ukryć zaskoczenia.

Odrade również przysłuchiwała się temu ze zdumieniem, które dzieliły z nią wszystkie obecne siostry, nawet nowicjuszek. Jedynie Sziena, jak się zdawało, nic nie rozumiała.

– Powiadam ci, Matko Przełożona Tarazo – rzekł Waff z niemiłym uśmiechem – skopiowaliśmy to od nich i wypróbowaliśmy z naszymi ludźmi. Nawet ja! Wiedziony gniewem nakazałem później maskaradnikowi, który odgrywał rolę... kobiety, by się zabił! Nikt bowiem... – nikt, powiadam! – nie może mieć nade mną takiej władzy!

– Jakiej?

– Gdyby zrobiła to ze mną jedna z tych... tych dziwek, jak je nazywasz, byłbym jej bezwzględnie posłuszny we wszystkim. – Zadrżał. – Ledwie starczyło mi sił, by... by go zniszczyć... – Potrząsnął głową, oszołomiony tym wspomnieniem. – Ocalił mnie gniew.

Taraza przełknęła z wysiłkiem.

– Jak...

– Jak to możliwe? Proszę, możesz się dowiedzieć, zanim jednak podzielę się tym z wami, ostrzegam: Jeśli któraś z was kiedykolwiek spróbuje użyć tej władzy przeciwko jednemu z nas, odpowiedzią będzie krwawa jatka! Ostrzeżliśmy Domel i naszych ludzi, by przy pierwszym podejrzeniu, że próbowałyście nas w ten sposób sobie podporządkować, zabili wszystkie Matki Wielebne, jakie zdołają znaleźć!

– Żadna z nas nigdy by tego nie zrobiła, ale nie z powodu twojej groźby. Powstrzymuje nas świadomość, że zniszczyłoby to również nas. Niepotrzebna byłaby nawet wasza krwawa jatka.

– Czyżby? Dlaczego więc nie niszczy to tych... tych dziwek?

– Niszczy! I niszczy każdego, kogo tylko dotkna!

– Mnie jakoś nie niszczyło!

– Ciebie osłania Bóg, mój Abdlu – rzekła Taraza. – Tak samo jak osłania wszystkich wiernych.

Przekonany już całkowicie Waff powiódł wzrokiem po komnacie, po czym znów zwrócił oczy na Tarazę.

– Niech wszyscy się dowiedzą, że oto w ziemi Proroka wypełniam warunki ugody. Wygląda to więc tak... – Skinął dłonią na dwóch maskaradników ze swojej straży. – Pokażemy wam.

Dużo później, gdy została już sama w komnacie, Odrade zastanawiała się, czy mądrze zrobiły, pozwalając Szienie oglądać ten pokaz. Z drugiej strony, dlaczego nie? Dziewczyna i tak była już całkowicie oddana zgromadzeniu. A odesłanie jej wzbudziłoby podejrzenia Waffa.

Widziała wyraźne podniecenie Szieny, gdy przyglądała się pokazowi Tleilaxan. Trenerki będą musiały wezwać do niej swych męskich pomocników wcześniej niż zazwyczaj. Co wtedy robi Sziena? Czy będzie chciała wypróbować na mężczyznach to, czego się dziś nauczyła? Będą musiały wdrukować jej mechanizmy hamujące, by temu zapobiec! Musi zrozumieć, jakie to może być dla niej niebezpieczne.

Siostry i nowicjuszeki obecne podczas pokazu dobrze panowały nad emocjami, pilnie wszystko zapamiętując. Trzeba zwrócić na to uwagę Szieny w trakcie dalszej nauki. Inne siostry kontrolowały swoje wnętrza.

Oblicza reszty maskaradników pozostały nieprzeniknione, z twarzy Waffa jednak można było wiele wyczytać. Powiedział, że unicestwi obu aktorów, ale co zrobi przedtem? Czy podda się pożądaniu? Jakie myśli rodziły się w jego głowie, gdy patrzył na maskaradnika wijącego się w zaślepiającej umysł ekstazie?

W jakiś sposób pokaz ten przypominał Odrade o rakańskim tańcu, który widziała na Wielkim Placu w Kin. Oglądany przez chwilę taniec wydawał się celowo arytmiczny, po pewnym czasie jednak zauważało się bardzo powolny rytm, powtarzający się co jakieś dwieście kroków. Tancerze wydłużali interwały między jego pojawieniem się prawie w nieskończoność.

Tak jak maskaradnicy biorący udział w pokazie.

„To Siajnok dał początek seksualnej pułapce, w którą wpadły niezliczone biliony Rozproszonych!”

Odrade myślała o tańcu, powolnym rytmie, po którym następował nagły wybuch agresji. Niesamowite skupienie religijnej energii w Siajnoku owocowało inną wymianą. Przypomniła sobie pełną ekscytacji odpowiedź

Szieneny na spojrzenia, jakie sama rzucała wtedy na tańczących na Wielkim Placu.

– Czym oni się tam teraz dzielą? – spytała dziewczynkę.

– Tancerzami, niemądra!

Tej odpowiedzi nie mogła jej puścić płazem.

– Ostrzegałam cię, żebyś nie odzywała się tym tonem, Szieno. Chcesz się zaraz dowiedzieć, co może zrobić Matka Wielebna, by cię ukarać?

Słowa te, niczym duchy z dawnych czasów, zadźwięczały w głowie Odrade patrzącej z apartamentu w Dar-es-Balat na gęstniejącą za oknami ciemność. Poczuli się bardzo samotni. Wszyscy dawno wyszli już z pokoju.

„Zostaje tylko ukarana!”

Jakże lśniły oczy Szieneny w tamtym pokoju nad Wielkim Placem, ile pytań cisnęło jej się na usta.

– Dlaczego zawsze mówisz o karach i zadawaniu bólu?

– Musisz się nauczyć dyscypliny. Jak chcesz rządzić innymi, skoro nie potrafisz panować nad sobą?

– Nie podoba mi się ta lekcja.

– Żadnej z nas się ona nie podoba... Dopiero później doświadczenie uczy nas, jak była cenna.

Zgodnie z jej intencją, odpowiedź ta na długo zajęła myśli Szieneny. W końcu opowiedziała Odrade wszystko, co wiedziała o tańcu.

– Niektórym tancerzom udaje się uciec. Inni idą prosto do Szejtana. Kapłani mówią, że do Szej-huluda.

– A co z tymi, którzy przeżyją?

– Gdy dojdą już do siebie, muszą wziąć udział w wielkim tańcu na pustyni. Jeżeli przyjdzie Szejtan, giną. Jeżeli się nie zjawi, otrzymują nagrody.

Odrade widziała już wzór. Wyjaśnienia Szieneny przestały być potrzebne. Mimo to pozwoliła jej mówić dalej. Jak gorzko brzmiały jej słowa!

– Dostają pieniądze, miejsce na bazarze albo inne podobne rzeczy. Kapłani mówią, że dowiedli, iż są ludźmi.

– A ci, którym się nie udało, nie byli?

Zamyślona, Sziena milczała dłuższą chwilę. Odrade wyraźnie widziała już, dokąd prowadzi ten trop: próba człowieczeństwa Bene Gesserit! Próbie tej, którą sama kiedyś przeszła, niedawno poddała również Szienę. Jak prosty wydawał się ten sprawdzian w porównaniu z innymi cierpieniami!

W przyćmionym świetle muzealnej komnaty Odrade uniosła dłoń i spojrzała na nią, wspominając agonię zamkniętą w pudełku i gom dżabbar przytknięty do swej szyi, gotów zabić, gdyby tylko drgnęła lub krzyknęła.

Sziena także nie krzyczała. Ona jednak знаła odpowiedź na pytanie Odrade, jeszcze zanim poddano ją próbie.

– Też są ludźmi, tyle że innymi.

W komnacie wypełnionej jedynie eksponatami z pozaprzestrzennego skarbcza Tyrana Odrade zapytała głośno:

– Co z nami zrobiłeś, Leto? Czy jesteś tylko Szejtanem, który do nas przemawia? Czym każesz nam się podzielić teraz?

„Czy starożytny taniec miał się zamienić w starożytny rytuał seksualny?”

– Do kogo mówisz, Matko Wielebna?

Z otwartych drzwi dobiegł ją głos Szieny. Szara szata nowicjuszek, ledwie widoczna w półmroku, stała się wyraźniejsza, w miarę jak dziewczyna zbliżała się do Odrade.

– Matka Przełożona przysłała mnie po ciebie – powiedziała Sziena, przystając u jej boku.

– Mówiłam do siebie – odrzekła Odrade. Patrzyła na dziwnie milczącą dziewczynę, wspominając jej szalone podniecenie w chwili, gdy zadano jej Zasadnicze Pytanie: „Czy chcesz zostać Matką Wielebną?”

– Dlaczego mówisz do siebie, Matko Wielebna? – W głosie Szieny słychać było wyraźną troskę.

Siostry nauczycielki będą miały pełne ręce roboty, zanim wypłenią z niej wszystkie te emocje.

– Wspominałam właśnie, jak zapytałam cię, czy chcesz zostać Matką Wielebną – odparła. – A to z kolei nasunęło mi inne myśli.

– Powiedziałas mi wtedy, że muszę zdać się we wszystkim na twoje kierownictwo, niczego nie ukrywać i być we wszystkim posłuszną.

– A ty zapytałaś: „To wszystko?”

– Nie wiedziałam wtedy zbyt wiele, prawda? Wciąż niewiele wiem.

– Tak jak każda z nas, dziecko. Wiemy tylko tyle, że tańczymy teraz wszyscy razem. A Szejtan na pewno przyjdzie, jeśli którekolwiek z nas się potknie.





Spotkania obcych wymagają wielkiej tolerancji dla odmiennych obyczajów i wychowania.

– lady Jessika, z *Mądrości Arrakis*

Ostatnie promienie zielonkawej poświaty zniknęły znad horyzontu, zanim Burzmali dał sygnał do wymarszu. Gdy dotarli do obrzeży Ysai i okrążającej miasto drogi, która miała ich zaprowadzić do Duncana, było już ciemno. Niebo zakrywały chmury, odbijając światła miasta i rozjaśniając podmiejskie rudery, przez które prowadzili ich przewodnicy.

Nie podobali się oni Lucylli. Pojawiali się nagle, z bocznych ulic lub otwieranych niespodziewanie bram, i szeptem podawali następne wskazówki.

Zbyt wielu ludzi wiedziało o parze zbiegów i spotkaniu, na które zmierzali!

Lucylla uporała się już jakoś z falą nienawiści, wciąż jednak podchodziła bardzo nieufnie do wszystkich napotykanych osób. Coraz trudniej było jej ukryć te uczucia pod maską hetery towarzyszącej klientowi.

Pas drogi wydzielony dla pieszych pokrywało błoto z przejeżdżających obok pojazdów. Stopy Lucylli zlodowaciały, zanim przeszli pół kilometra, i zmuszona była zużywać więcej energii, by przyspieszyć krążenie krwi w kończynach.

Burzmali szedł obok w milczeniu, z opuszczoną głową. Wyglądał na całkowicie zaabsorbowanego własnymi zmartwieniami. Lucylla nie dała się jednak tak łatwo oszukać. Wiedziała, że słyszy każdy dźwięk wokół nich i widzi każdy przejeżdżający pojazd. Ściągał ją pospiesznie ze ścieżki, ilekroć któryś z nich pojawiał się na drodze. Zawieszone na dryfach pojazdy mijały ich ze świstem, a błoto wylatywało spod ich osłon, ochlapując przydrożne krzaki. Burzmali trzymał Lucyllę tuż przy sobie, leżąc na śniegu, dopóki nie upewnił się, że z pojazdu nie można ich już zobaczyć ani usłyszeć, choć nikt siedzący w środku i tak nie usłyszałby nic oprócz warkotu silnika.

Szli tak dwie godziny, nim Burzmali zatrzymał się, by uważnie przyjrzeć się drodze przed nimi. Zmierzali do podmiejskiego osiedla, które opisano im

wcześniej jako „całkowicie bezpieczne”. Lucylla wiedziała, co o tym myśleć. Żadne miejsce na Gammu nie było całkowicie bezpieczne.

Żółtawe światło odbijało się od nisko zawieszonych chmur, zdradzając położenie osady. Brnąc w błocie, przeszli tunelem pod drogą okrążającą miasto i wydostali się na niskie wzgórze obsadzone drzewami owocowymi. Nagie gałęzie połyskiwały w przyćmionym świetle.

Lucylla zerknęła w górę. Chmury przerzedzały się. Wokół Gammu krążyło wiele obronnych satelitów pozaprzestrzennych. Część z nich umieścił tam Teg, zauważyła jednak kilka nowych patrolujących niebo. Z dołu wydawały się czterokrotnie większe od najjaśniejszych gwiazd i często latały w grupach. Odbijane przez nie silne światło było użyteczne, choć tylko przez krótki czas, ponieważ leciały szybko i od ich pojawienia się na niebie do zniknięcia za horyzontem mijało zaledwie parę godzin. Przez przerwę w chmurach patrzyła teraz na sznur sześciu takich satelitów ciekawa, czy akurat te wchodziły w skład systemu obronnego Tega.

Pomyślała, jaką słabością było przyjmowanie z góry punktu widzenia obleżonych i ukrywanie się za takimi liniami obronnymi. Teg miał rację: kluczem do militarnego sukcesu była swoboda przemieszczania się, choć wątpiła, czy miał akurat na myśli pieszą wędrówkę.

Na ośnieżonym zboczu wzgórza nie było żadnej kryjówki i Lucylla czuła zdenerwowanie Burzmalego. Co zrobią, jeśli ktoś nadejdzie? Pokryte śniegiem zagłębienie prowadziło z miejsca, w którym stali, w dół, skręcając w kierunku osiedla. Nie była to droga – wyglądało raczej na ścieżkę. Burzmali ruszył nią.

– Tędy – powiedział.

Śnieg sięgał im do łydek.

– Mam nadzieję, że możemy ufać tym ludziom – powiedziała Lucylla.

– Nienawidzą Dostojnych Matron – odparł. – Mnie to wystarcza.

– Lepiej, żeby ghola już tam był! – rzuciła, powstrzymując się od bardziej gniewnej odpowiedzi, dodała jednak: – Mnie ich nienawiść nie wystarcza.

„Lepiej spodziewać się najgorszego” – pomyślała.

Otuchy dodawała jej za to myśl o Burzmalim. Był taki jak Teg: żaden z nich nie wszedłby z własnej woli w ślepy zaułek. Podejrzewała, że nawet teraz w krzakach wokół nich ukrywa się jakiś osłaniający ich oddział.

Zasypany śniegiem szlak przeszedł w brukowaną ścieżkę o łagodnie wygiętym do wewnątrz profilu i oczyszczoną ze śniegu dzięki wbudowanemu ogrzewaniu. Jej środkiem płynęła strużka wody. Lucylla

dopiero po kilku krokach zorientowała się, po czym idzie. Była to rynna magnetyczna, starożytne urządzenie, którego w czasach przed Rozproszeniem używano do transportu towarów lub surowców do fabryk.

– Robi się stromo – ostrzegł ją Burzmali. – W dnie wycięte są stopnie, uważaj jednak. Nie są zbyt głębokie.

Rynna kończyła się przy ścianie zrujnowanego budynku z miejscowej cegły, wzniesionego na fundamencie z plastali. Białe światło gwiazd, przebłyskujących między rzędnymi chmurami, ukazywało typową dla Czasów Głodu marną jakość cegieł i wykonania. Ścianę porastał gęszcz grzybów i dzikiej winorośli, mimo to wyraźnie widać było pęknięcia w murze i nieudane próby wypełniania ubytków zaprawą. Nad miejscem, w którym rynna ginęła w masie splątanych chwastów i zarośli, widniał pojedynczy rząd okien. Trzy z nich jaśniały błękitnym elektrycznym światłem, a ze środka dobiegały odgłosy czyichś ruchów i słabe trzaski.

– W dawnych czasach była tu fabryka – powiedział Burzmali.

– Mam własne oczy i rozum – ucięła Lucylla. Czy ten chrząkający samiec miał ją za kompletnie pozbawioną inteligencji?

Na lewo od nich coś zaskrzypiało pośepnie. Z ziemi uniosła się kępa trawy i chwastów, odsłaniając wejście do piwnicy skąpane w jasnym żółtym świetle.

– Szybko! – Burzmali pociągnął Lucyllę biegiem przez zarośla i w dół, po schodach, do piwnicy. Sterowana klekoczącym mechanizmem kłapa zamknęła się za nimi, skrzypiąc.

Znaleźli się w obszernym, niskim pomieszczeniu. Światło pochodziło z długiego szeregu nowoczesnych lumisfer umocowanych do potężnych plastalowych belek pod sufitem. Na zamiecionej podłodze widoczne były zadrapania i nierówności, które wyźłobiły pracujące tu dawniej maszyny. W odległym końcu hali Lucylla dostrzegła poruszającą się sylwetkę. W ich stronę szła szybko młoda kobieta w smoczej szacie, takiej jaką ona sama miała na sobie.

Lucylla pociągnęła nosem. W pomieszczeniu śmierdziało kwasem i jakimś gorszym jeszcze plugastwem.

– To dawna fabryka Harkonnenów – zauważył Burzmali. – Ciekawe, co tu robili?

Młoda kobieta zatrzymała się przed Lucyllą. Miała piękne ruchy i wiotką, kształtną figurę ukrytą pod obcisłą szatą. Jej twarz promieniała zdrowiem i doskonałą kondycją, taksujące ich zielone oczy były jednak twarde i zimne.

– A więc nie mnie jedną przydzielono do obserwacji tego miejsca! – powiedziała.

Lucylla ruchem ręki powstrzymała szykującego się do odpowiedzi Burzmalego. Ta kobieta była kimś innym, niż się zdawało. „Tak jak ja!” Lucylla odezwała się, ostrożnie dobierając słowa:

– Trudno nie rozpoznać jednej z nas.

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

– Przyglądałam się, jak nadchodziliście. Nie wierzyłam własnym oczom.

– Obrzuciła Burzmalego szyderczym spojrzeniem. – I to niby miał być klient?

– I przewodnik – rzekła Lucylla. Zauważyła zdumioną minę Burzmalego i modliła się w duchu, by nie zaczął zadawać niewłaściwych pytań. Ta kobieta była niebezpieczna!

– Czyżbyście się nas nie spodziewali? – zapytał baszar.

– Aaach, to nawet umie mówić! – zdziwiła się dziewczyna ze śmiechem równie zimnym, jak jej spojrzenie.

– Nie życzę sobie, byś mówiła do mnie per „to” – wtrącił Burzmali.

– Będę nazywała śmieci z Gammu, jak zechcę – odparła. – Nie wyjeżdżaj mi tu ze swoimi życzeniami!

– Jak mnie nazwałaś? – Burzmali był już zmęczony i gniew zawrzał w nim w odpowiedzi na ten niespodziewany atak.

– Będę cię nazywać, jak tylko mi się spodoba, śmieciu!

Baszar miał dość. Zanim Lucylla zdążyła go powstrzymać, warknął pod nosem i wymierzył młodej kobiecie siarczasty policzek.

Cios nie dosięgnął jednak celu.

Lucylla zafascynowana patrzyła, jak kobieta wykonała unik, chwyciła Burzmalego za rękaw, jak gdyby była to łopocząca leniwie na wietrze szmata, i błyskawicznym piruetem, niemal zbyt szybkim, by dostrzec jego finezję, rzuciła nim o podłogę. Sama zamarła przykucnięta na jednej nodze, z drugą gotową do ciosu.

– A teraz go zabiję – oznajmiła.

Nie wiedząc, czego się spodziewać, Lucylla uchyliła się w bok i ledwie uniknąwszy wyrzuconej nagle w przód stopy dziewczyny, odpowiedziała standardową kontrą Bene Gesserit, która trafiwszy w podbrzusze, rzuciła jej przeciwniczkę na wznak, zgiętą wpół.

– Nie podoba mi się twój pomysł zabicia mojego przewodnika, kimkolwiek jesteś – powiedziała.

Moda kobieta chwytiała z trudem oddech.

– Nazywam się Murbella, Wielka Dostojna Matrono – odparła, dysząc ciężko. – To dla mnie hańba, że pokonałaś mnie tak powolnym atakiem. Dlaczego to zrobiłaś?

– Potrzebna ci była lekcja – stwierdziła Lucylla.

– Dopiero niedawno przywdziałam szaty, Wielka Dostojna Matrono. Błagam o wybaczenie. Dziękuję ci za tę wyśmienitą lekcję i będę ci wdzięczna za każdym razem, gdy będę się mogła posłużyć twoją kontrą, którą zachowam w pamięci. – Skłoniła głowę, po czym skoczyła lekko na nogi z łobuzerskim uśmiechem.

– Wiesz, kim jestem? – zapytała Lucylla lodowatym tonem. Kącikiem oka zauważyła, że Burzmali z trudem się podnosi. Trzymał się z boku, obserwując kobiety, twarz miał jednak wykrzywioną grymasem wściekłości.

– Ze sposobu, w jaki udzieliłaś mi lekcji, wnoszę, że jesteś tym, kim jesteś, Wielka Dostojna Matrono. Czy mi wybaczysz? – Uśmiech zniknął z twarzy Murbelli, która stała teraz z pochyloną głową.

– Wybaczam ci. Czy statek pozaprzestrzenny już nadlatuje?

– Tak nam tu mówiono. Jesteśmy gotowi. – Zerknęła na Burzmalego.

– On wciąż może mi się przydać i nadal ma mi towarzyszyć – rzekła Lucylla.

– Dobrze, Wielka Dostojna Matrono. Czy wybaczenie oznacza również, że mogę poznać twoje imię?

– Nie!

Murbella westchnęła.

– Schwytałismy gholę – powiedziała. – Przyszedł z południa w przebraniu Tleilaxanina. Kiedy się zjawiliście, właśnie miałam go wziąć do łóża.

Burzmali zbliżył się, utykając. Lucylla zauważyła, że rozpoznał już zagrożenie. „Całkowicie bezpieczne” miejsce roilo się od wrogów! Wrogowie ci jednak wciąż wiedzieli bardzo niewiele.

– Czy ghola nie jest ranny? – zapytał Burzmali.

– Wciąż mówi – zauważyła Murbella. – Jakie to dziwne.

– Nie będziesz się kłaskać z gholą – powiedziała Lucylla. – To zadanie specjalnie dla mnie!

– Grajmy uczciwie, Wielka Dostojna Matrono. Ja pierwsza go naznaczyłam. Już mi częściowo uległ. – Wybuchnęła znowu zepsutym, prostackim śmiechem, który zupełnie zaskoczył Lucyllę. – Tędy. Jest tam miejsce, z którego będziecie mogli popatrzeć.



Obyś zmarł na Kaladanie!

– starożytny toast biesiadny

Duncan usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest. Wiedział, że Tormsa nie żyje. Krew trysnęła z jego oczu. To pamiętał wyraźnie. Weszli do ciemnego budynku i nagle rozbłysło światło. Duncan poczuł ból z tyłu głowy. Cios? Próbował się poruszyć, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

Pamiętał, że siedział na skraju szerokiego trawnika. Toczyła się na nim dziwaczna gra w kule, skaczące i toczące się na boki bez wyraźnego celu. Gracze byli młodzi, ubrani w stroje typowe dla... Giedi Prime!

– Ćwiczą, jak być starymi ludźmi – rzekł. Pamiętał, że to powiedział.

Jego towarzyszka, młoda kobieta, spojrzała na niego tępo.

– W takie gry powinni grać tylko starcy – powiedział znów.

– Tak? – odparła zdawkowo, uciszając go z lekceważeniem.

„A zaraz potem wydała mnie Harkonnenom!”

To wspomnienie pochodziło zatem z pierwotnego życia, nim został gholą.

„Ghola!”

Pamiętał twierdzą Bene Gesserit na Gammu. Bibliotekę pełną obrazów i hologramów księcia Atrydów, Leto I. Teg nie przypadkiem był do niego taki podobny – trochę wyższy, poza tym jednak wszystko było takie samo: szczupła, pociągła twarz, wąski nos, słynna charyzma Atrydów...

„Teg!”

Przypomniawszy sobie bohaterską ostatnią walkę starego baszara owej nocy na Gammu.

„Gdzie jestem?”

Tormsa go tu przyprowadził. Szli zarośniętym szlakiem okrążającym przedmieścia Ysai. *Baronii*. Zanim uszli dwieście metrów, zaczął padać mokry śnieg, który lepił im się do ubrań. Okropny, zimny śnieg, który już po minucie wychłodził ich tak, że szczękali zębami. Zatrzymali się, by naciągnąć kaptury i pozapinać kurtki. To trochę pomogło, zbliżała się jednak noc i wkrótce miało się zrobić o wiele, wiele zimniej.

- Przed nami jest miejsce, w którym możemy się schronić – rzekł Tormsa.
- Przeczekamy tam noc.

Duncan nie odpowiedział.

- Nie będzie tam cieplej, ale przynajmniej sucho – dodał przewodnik.

Już po trzystu krokach Duncan zobaczył przed sobą szary zarys budynku, o którym mówił Tormsa, wyrastający z brudnego śniegu na wysokość jakichś dwóch pięter. Natychmiast go rozpoznał – był to posterunek obliczeniowy z czasów Harkonnenów. Stacjonujący tu obserwatorzy liczyli (i czasem zabijali) przechodzących ludzi. Wzniesiono go z miejscowej gliny, zamienionej dzięki prostemu zabiegowi w jedną gigantyczną cegłę: zbudowaną z wilgotnych brykietów konstrukcję wypalono palnikiem o szerokim zasięgu, takim samym jak te, których Harkonnenowie używali zazwyczaj do kontrolowania tłumów.

Kiedy się zbliżyli, Duncan zauważył pozostałości panoramicznych ekranów ochronnych z otworami strzelniczymi otwierającymi się w kierunku podejścia do budynku. Ktoś zniszczył całe to urządzenie dawno temu, dziury w ekranie pozarastały krzaki, strzelnice wciąż jednak były otwarte. Naturalnie, ukrywający się wewnątrz ludzie nadal musieli dobrze widzieć, kto nadchodzi.

Tormsa zatrzymał się i uważnie obserwował otoczenie.

Duncan patrzył na posterunek. Dobrze je pamiętał. Wyglądały jak zdeformowane warzywa wyrosłe z walcowatych nasion. Powierzchnia, stopiona w wysokiej temperaturze, była gładka niczym szkło. W miejscach, gdzie została przegrzana, widniały bąble i wybrzuszenia. Czas mocno ją naznaczył, lecz oryginalny kształt konstrukcji przetrwał. Duncan spojrzał w górę i rozpoznał pozostałości windy dryfowej. Do wciąż wystającej ze ściany belki ktoś zamocował ostatnio bloczek i talię.

Zatem wyłom w ekranie ochronnym również zrobiono niedawno.

Tormsa wszedł właśnie do tej dziury i zniknął.

Nagle, jak za przyciśnięciem guzika, Duncan zobaczył inną scenę. Był z Tegiem w bibliotece komory pozaprzestrzennej. Rzutnik wyświetlał serię widoków współczesnego, nowoczesnego centrum Ysai. Słowo „nowoczesny” niosło niemiłe dla Duncana skojarzenia. Baronia była bardzo nowoczesnym miastem, jeśli przez nowoczesność rozumie się poziom technologiczny zgodny ze standardami epoki. Transport miejski opierał się wyłącznie na systemie zawieszonych wysoko nad ulicami ciągów i wind dryfowych, którymi podróżowali zarówno mieszkańcy, jak towary. Sieć

komunikacyjna nie była w ogóle dostępna z poziomu gruntu. Właśnie wyjaśniał to Tegowi.

Plan zabudowy miasta opierał się na założeniu, że każdy metr kwadratowy, tak w poziomie, jak i w pionie, wykorzystać należy na rzeczy bardziej użyteczne niż transport. Standardowe platformy wind dryfowych były więc dostosowane do wysokości i szerokości ramion człowieka, nie większe.

– Idealnym kształtem byłby w takim razie walec z płaskim dachem wykorzystywanym jako lądowisko dla ornitopterów – powiedział Teg.

– Harkonnenowie woleli kwadraty i prostokąty.

Tak też było.

Duncan pamiętał Baronię z dokładnością, która przyprawiała go o drżenie. Cała pocięta dryfowymi ciągami komunikacyjnymi, wyglądała jak poryta przez korniki – w górę, w dół, krzywe i proste linie biegingy we wszystkich kierunkach, krzyżując się i skręcając pod dziwnymi kątami. Pominąwszy wszechobecne prostopadłościennę formy narzucone przez kaprys Harkonnenów, zabudową Baronii kierowała jedna tylko idea: stłoczenie maksymalnej liczby mieszkańców przy zużyciu jak najmniejszej ilości materiałów.

– W całym tym przeklętym mieście płaskie dachy były jedynym miejscem stworzonym z myślą o ludziach! – Pamiętał, jak mówił to do Tega i Lucylli.

W górze, na najwyższych piętrach, znajdowały się ekskluzywne apartamenty otoczone ze wszystkich stron posterunkami straży. Wartownicy strzegli lądowisk ornitopterów, wszystkich wylotów wind, wszystkich wejść do parków. Mieszkający na szczycie mogli zapomnieć o stłoczonej ludzkiej masie, która kłębiła się tuż pod nimi. Hałas i odór tego ludzkiego mrowiska nie docierały na najwyższe poziomy. Służba musiała się kąpać i przebierać w sterylne ubrania, zanim wpuszczono ją na górę.

– Dlaczego ta masa ludzi godziła się na życie w takiej ciasnocie? – chciał się dowiedzieć Teg.

Powód był jasny i Duncan im go wyłożył. Na zewnątrz było niebezpiecznie. Urzędnicy miejscy przejawiali dodatkowo sytuację, tak że świat zewnętrzny wydawał się jeszcze groźniejszy, niż był w rzeczywistości. Poza tym mało kto w ogóle wiedział cokolwiek o życiu Na Zewnątrz. Jedyne lepsze życie, o jakim słyszeli ci ludzie, toczyło się na dachach. A tam można się było dostać jedynie, okazując najpokorniejszą służalczość.



– Tak będzie i nic nie możesz na to poradzić! – zadźwięczał w jego głowie inny głos. Słyszał go wyraźnie.

„Paul!”

Jakie to dziwne, pomyślał Duncan. Ta przepowiednia była arogancka, tak jak arogancka była krucha logika wywodów mentata.

„Paul nigdy przedtem nie wydawał mi się arogancki”.

Duncan patrzył na odbicie swojej twarzy w lustrze. Jakaś część jego umysłu zdawała sobie sprawę, że to wspomnienie z czasów, nim został gholą. Lustro nagle zmieniło się, jego twarz była jakaś inna. Rysy smagłej, zaokrąglonej twarzy wyostrzyły się, stwardniały. Tak mogłaby wyglądać, gdyby dojrzała. Popatrzył w swoje oczy. O tak, to były jego oczy. Ktoś kiedyś powiedział, że kryją się niczym w jaskiniach. Głęboko osadzone, ocienione gęstymi brwiami, chronione przez wysokie kości policzkowe. Mówiono mu, że dopóki nie spojrzało się na nie w odpowiednim świetle, nie sposób było określić, czy są ciemnobłękitne, czy ciemnozielone.

Powiedziała to kobieta. Nie pamiętał jej jednak.

Spróbował dotknąć włosów, ale ręce nie chciały go słuchać. Pamiętał, że jego włosy ufarbowano. Kto to zrobił? Stara kobieta. Jego głowy nie okrywały już pierścienie ciemnych loków.

Księżę Leto patrzył na niego, stojąc w drzwiach jadalni na Kaladanie.

– Zjemy teraz – rzekł księżę. Rozkaz władcy, przed arogancją ratował go wszakże dyskretny uśmieszek, mówiący: „Ktoś musi to powiedzieć”.

„Co się dzieje z moją głową?”

Przypomniawszy sobie, jak wszedł w ślad za Tormsą do miejsca, w którym mieli czekać na statek pozaprzeznaczony.

Był to duży budynek piętrzący się przed nimi w ciemności. Otaczało go parę mniejszych przybudówek, które wyglądały na zamieszkane. Dobiegały stamtąd odgłosy rozmów i szum maszyn. W wąskich oknach nie pokazała się żadna twarz. Drzwi pozostały zamknięte. Gdy mijali większą z przybudówek, Duncan poczuł zapach gotującego się posiłku. To przypomniało mu, że tego dnia mieli w ustach tylko wąskie, suszone, skórzaste paski czegoś, co Tormsa nazywał „jedzeniem podróжным”.

Weszli do ciemnego budynku.

Rozbłyły światła.

Z oczu Tormsy trysnęła krew.

Ciemność.

Duncan patrzył na twarz kobiety. Widział już kiedyś podobną twarz: pamiętał ją jak *klatkę* wyciętą z jakiegoś filmu, ale gdzie to było? Gdzie ją widział? Twarz była niemal idealnie owalna, doskonałość jej kształtu przełamywało jedynie lekkie rozszerzenie na wysokości brwi.

– Jestem Murbella – powiedziała. – Nie będziesz tego później pamiętał, chcę ci to jednak powiedzieć teraz, kiedy cię naznaczam. Wybrałam cię.

„Pamiętam cię, Murbello”.

Jej szeroko rozstawione zielone oczy pod wygiętymi wysoko brwiami przyciągały uwagę, odwracając ją od podbródka i drobnych ust. Wargi były pełne i wyobrażał sobie, jak wydymały się, kiedy się dąsała.

Zielone oczy patrzyły prosto w jego oczy. Co za zimne spojrzenie. Jaką ma moc.

Poczuł dotknięcie na policzku.

Otworzył oczy. To nie było wspomnienie! To się działo naprawdę! Teraz!

„Murbella!” Była tu już i odeszła. Teraz wróciła. Przypomniawszy sobie, że obudził się nagi, leżąc na czymś miękkim... na łóżku. Rozpoznał je dłońmi. Pochylając się tuż nad nim, Murbella zdjęła suknię, zielone oczy wpatrywały się w niego z ogromną intensywnością. Dotykała go w wielu miejscach naraz. Jej usta nuciły jakąś słodką melodię.

Poczuł nagłą erekcję, aż bolesną w swej gwałtowności.

Nie miał sił się opierać. Jej ręce poruszały się po jego ciele. Jej język. Ta melodia! Była wszędzie, jej usta go dotykały. Jej sutki muskały jego policzki i piersi. Gdy spojrzał jej w oczy, zobaczył w nich wyrachowanie.

Murbella wróciła i znów mu to robi!

Ponad jej prawym ramieniem dostrzegł szeroką taflę plazy, a za nią twarze Burzmalego i Lucylli. „Czy to sen?” Burzmali opierał dłonie o szybę, a Lucylla stała z założonymi rękami z wyrazem wściekłości i zaciekawienia na twarzy.

– Moje dłonie to ogień – wymruczała Murbella w jego prawe ucho.

Jej ciało przesłoniło twarz za taflą plazy. Czuł ogień za każdym razem, gdy go dotykała.

Nagle jego głowę ogarnął płomień, ożyły w nim ukryte dotąd miejsca. Zobaczył rząd czerwonych kapsulek przesuwający się przed jego oczami. Zawrzała w nim gorączka. Sam był ogromną kapsułką, podniecenie rozpalalo jego świadomość. Kapsułki! Wiedział już, czym były! Były nim... były...

Wszyscy Duncanowie Idaho, ten prawdziwy i kolejni ghole, pojawili się w jego umyśle. Rośli jak pękające nasiona i tłoczyli się, spychając na bok wszystko inne. Zobaczył, jak rozgniała go wielki czerw o ludzkiej twarzy.

„Bądź przeklęty, Leto!”

Zgniatany i zgniatany, i zgniatany... wciąż od nowa.

„Przeklęty! Przeklęty! Przeklęty!”

Zginął od miecza sardaukara. Ból eksplodował jasnym rozbłyskiem, który pochłonęła ciemność.

Zginął w katastrofie ornitoptera. Zginął od noża rybomównej skrytobójczynie. Ginał i ginał, i ginał.

I nadal żył.

Wspomnienia wciąż napływały, aż zaczął się zastanawiać, jak zdoła ogarnąć je wszystkie. Słodycz nowo narodzonej córeczki, którą trzymał w ramionach. Namiętna kochanka pachnąca piżmem. Kaskada woni najlepszego wina z Danu. Wyczerpujący wysiłek w sali treningowej.

„Kadzie aksolotlowe!”

Pamiętał, jak wynurzał się z nich raz za razem: jasne światło i dotyk miękkich mechanicznych rąk. Ręce odwracały go i jego rozmazany wzrok noworodka padał na wznoszącą się nad nim ogromną górę kobiecego ciała, potworną w swoim bezruchu... labirynt ciemnych rurek łączył to ciało z wielkimi metalowymi pojemnikami.

„Kadź aksolotlowa?”

Zachłystywał się falą napływających nieustannie wspomnień. „Wszystkie te żywoty! Wszystkie te żywoty!”

Teraz pamiętał już, co wszczepili mu Tleilaxanie, ukryte głęboko zdolności czekające tylko na tę chwilę, gdy będzie go chciała uwieść imprinterka Bene Gesserit.

Ale to była Murbella, a ona nie była Bene Gesserit.

Była tu jednak, gotowa i pod ręką, i wdrukowany przez Tleilaxan wzór przejął kontrolę nad jego reakcjami.

Duncan zanucił miękko i dotknął jej, poruszając się ze zręcznością, która zaskoczyła Murbellę. „Nie powinien tak żywo reagować! Nie w ten sposób!” Jego prawa dłoń szybkimi, delikatnymi ruchami stymulowała jej lechtaczkę, podczas gdy lewa gładziła nasadę pleców. W tym samym czasie wargi Duncana przesuwwały się delikatnie od jej nosa do ust i w dół, do zagłębienia pod lewą pachą.

Cały czas nucił miękko, a melodia pulsowała w jej ciele, usypiając ją... osłabiając...

Próbowała go odepchnąć, gdy zaczęła reagować coraz szybciej i szybciej.

„Skąd wiedział, że ma mnie dotknąć akurat tam i akurat w tej chwili? I tam! I tam! O Święta Skała Dura, skąd on to wie?”

Duncan zauważył, jak jej piersi nabrzmiewają, a służówka nosa nabiega krwią. Widział, jak sutki sztywnieją i sterczą w pociemniałych obwódkach. Jęknęła i rozchyliła szeroko uda.

„Pomóż mi, Wielka Matrono!”

Ale jedyna Wielka Matrona, jaka przychodziła jej na myśl, była zamknięta w innym pomieszczeniu, oddzielona od niej zaryglowanymi drzwiami i grubą barierą z plazu.

Murbella poczuła przypływ rozpaczliwej energii i odpowiedziała w jedyny znany sobie sposób: dotykając, pieszcząc, używając wszystkich technik, których z taką dokładnością uczyła się przez długie lata nowicjatu. Na każdy jej ruch Duncan odpowiadał jednak szaleńczo stymulującą kontrą.

Murbella zrozumiała, że traci kontrolę nad własnym ciałem. Jej automatyczne reakcje wypływały z jakiejś nieznanej głębi, z wiedzy starszej niż całe jej wykształcenie. Poczowała, jak twardnieją mięśnie jej pochwy, jak nagle wilgotnieje. Gdy Duncan w nią wszedł, usłyszała swój chrapliwy jęk. Jej ramiona, dłonie, nogi, całe ciało poruszało się w rytm zarówno wyuczonych reakcji, jak podświadomej odpowiedzi na tkwiące głęboko w niej potrzeby.

„Jak on zdołał mi to zrobić?”

Z delikatnych mięśni wewnątrz miednicy zaczęły się rozbiegać fale ekstatycznych skurczów. Wyczuła jego natychmiastową odpowiedź i uderzył w nią silny strumień nasienia. To pobudziło ją jeszcze bardziej. Tętniąca rozkosz objęła mięśnie pochwy i rozszerzała się coraz dalej... dalej... Ekstaza ogarnęła wszystkie jej zmysły. Przed oczami rozbiły się białe światło, każdy mięsień pulsował rozkoszą, jakiej nawet sobie nie wyobrażała.

I znów przebiegła ją fala skurczów.

Znowu i znowu...

Straciła rachubę.

Gdy Duncan jęczał, ona też jęczała i fale rozkoszy znów rozbiegały się po jej ciele.

I jeszcze raz...

Nie istniał czas ani świat dookoła, jedynie ta pochłaniająca ją, niekończąca się ekstaza.

Chciała, by trwało to wiecznie, i jednocześnie chciała, by się skończyło. Takie coś nie powinno się przydarzyć kobiecie! Dostojna Matrona nie mogła tego doświadczać. Za pomocą takich doznań sterowało się mężczyznami!

Duncan otrząsnął się z wszczepionego mu rytmu reakcji. Było jeszcze coś, co miał zrobić. Nie mógł sobie przypomnieć co.

„Lucylla?”

Oczami wyobraźni widział, jak leży przed nim martwa. Ta kobieta nie była jednak Lucyllą. To była... to była Murbella.

Pozostało mu bardzo niewiele sił. Dźwignął się znad ciała Murbelli i opadł na kolana. Jej ręce dygotały w podnieceniu, którego nie rozumiał.

Murbella próbowała odepchnąć go od siebie, a gdy go nie znalazła, gwałtownie otworzyła oczy.

Duncan klęczał nad nią. Nie miała pojęcia, ile minęło czasu. Bezskutecznie usiłowała podźwignąć się i usiąść. Powoli wracała jej świadomość.

Patrzyła w oczy Duncana, wiedząc już, kim musi być ten mężczyzna. Mężczyzna? To zaledwie chłopiec. A jednak robił z nią takie rzeczy... takie rzeczy... Wszystkie Dostojne Matrony otrzymały ostrzeżenie: Tleilaxanie stworzyli gholę zbrojnego w zakazaną wiedzę. Ten ghola musi zginąć!

Poczuła słaby przypływ energii. Uniosła się na łokciach. Z trudem chwytając oddech, próbowała odsunąć się od niego, padła jednak z powrotem na miękkie posłanie.

Na Świętą Skalę Dura! Temu samcowi nie można pozwolić żyć! Był gholą, potrafił zaś robić rzeczy zastrzeżone wyłącznie dla Dostojnych Matron. Miała ochotę go uderzyć, a jednocześnie pragnęła pociągnąć z powrotem ku sobie. *Ta ekstaza!* Wiedziała, że zrobiłaby teraz dla niego wszystko, o co by poprosił. Zrobiłaby to dla niego.

„Nie! Muszę go zabić!”

Znów dźwignęła się na łokciach i tym razem udało jej się usiąść. Słabym wzrokiem omiotła szybę, która skrywała Wielką Dostojną Matronę i jej przewodnika. Wciąż tam byli i wpatrywali się w nią. Twarz mężczyzny płonęła. Oblicze Wielkiej Dostojnej Matrony było niewzruszone niczym Skala Dura.

„Jak może tak stać po tym, co tu zobaczyła? Wielka Dostojna Matrona musi zabić tego ghola!”

Murbella przyzwała gestem kobietę tkwiącą za taflą plazu i poczołgała się w stronę zaryglowanych drzwi sąsiadujących z posłaniem. Ledwie zdołała otworzyć zamki, nim znów upadła. Spojrzała ku klęczącemu młodzieńcowi. Jego ciało lśniło od potu. Jego piękne ciało...

„Nie!”

Desperacja pchnęła ją na podłogę. Upadła na kolana, po czym – wyłącznie siłą woli – zdołała wyprostować się i stanąć. Siły wracały, jej nogi jednak wciąż drżały, gdy zataczając się, okrażała łóżko.

„Zrobię to sama, bez zastanowienia. Muszę to zrobić”.

Chwiała się na wszystkie strony. Szukając oparcia, wymierzyła cios w jego szyję. Ćwiczyła go wiele razy. Cios zmiażdży krtań i ofiara się udusi.

Duncan uchylił się z łatwością, choć był powolny... taki powolny.

Murbella o mało nie upadła. Podtrzymały ją dłonie Wielkiej Dostojnej Matrony.

– Zabij go! – wydyszała dziewczyna. – To przed nim nas ostrzegano. To on!

Poczuła dłonie obejmujące jej szyję i palce uciskające sploty nerwowe za uszami. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała przed utratą przytomności, były słowa Wielkiej Dostojnej Matrony:

– Nikogo nie zabijemy. Ten ghola leci na Rakis.



Najgroźniejszym potencjalnym konkurentem dla żywego organizmu mogą się okazać osobniki jego gatunku. Każdy gatunek konsumuje bowiem potrzebne mu do życia zasoby. Wzrost jego liczebności ograniczony jest dostępnością najrzadziej występującego niezbędnego mu do przeżycia składnika. Tak więc to najmniej sprzyjające okoliczności kontrolują stopę wzrostu (Prawo Minimum).

– z *Lekcji Arrakis*

Budynek stał w pewnym oddaleniu od szerokiej alei, częściowo zasłonięty szpalerem drzew i wypielęgnowanymi, kwitnącymi żywopłotami. Żywopłoty zaprojektowano na kształt labiryntu, a jego granice oznaczono białymi słupkami wysokości człowieka. Żaden pojazd nie mógł tam wjechać ani stamtąd wyjechać inaczej niż w ślimaczym tempie. Dzięki wojskowemu wyszkoleniu Teg chłonał wszystkie te szczegóły, gdy uzbrojony pojazd

naziemny wioził go w stronę wejścia. Marszałek Muzzafar, jedyny poza nim pasażer na tylnym siedzeniu, zauważył to i rzekł:

– Z powietrza osłania nas system laserowy dalekiego zasięgu.

Żołnierz w mundurze maskującym, z rusznicą laserową przewieszoną przez ramię, otworzył drzwi pojazdu i wyprężył się na baczność na widok wysiadającego Muzzafara.

Teg wyszedł za nim. Znał to miejsce. Był to jeden z „bezpiecznych” adresów dostarczonych mu przez wydział bezpieczeństwa Bene Gesserit. Najwyraźniej informacje zgromadzenia były już nieaktualne, choć zapewne dopiero od niedawna, gdyż Muzzafar nie wiedział, że Teg mógłby znać to miejsce.

Gdy zbliżali się do drzwi, Teg dostrzegł jeszcze jeden system zabezpieczeń, znany mu już z poprzedniej wizyty w Ysai. Różnica w wyglądzie stojących tu białych słupków była ledwie zauważalna, wiedział jednak, że są to analityczne skanery sterowane z jednego z pomieszczeń w budynku. Ich głowice w kształcie diamentów nieustannie sczytywały dane z całego obszaru między nimi a domem. Wystarczyło naciśnięcie guzika w kabinie obserwacyjnej, by zamieniły każdy żywy obiekt w swoim zasięgu w drobno siekane mięso.

Przy drzwiach Muzzafar zatrzymał się i spojrzał na Tega.

– Dostojna Matrona, którą za chwilę poznasz, jest najpotężniejsza ze wszystkich, jakie tu przybyły. Będzie tolerowała wyłącznie całkowite posłuszeństwo.

– Rozumiem, że to ostrzeżenie.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. Nazywaj ją Dostojną Matroną, nie inaczej. Idziemy. Pozwoliłem sobie zamówić dla ciebie nowy mundur.

Teg nie był wcześniej w pokoju, do którego marszałek pośpiesznie go wprowadził. Małe i zatłoczone tykającą czarną aparaturą pomieszczenie ledwie ich mieściło. Oświetlała je samotna unosząca się pod sufitem żółta lumisfera. Muzzafar wcisnął się w kąt, podczas gdy Teg zdejmował pognieciony i umazany kombinezon, który miał na sobie od opuszczenia komory pozaprzestrzennej.

– Żałuję, że nie mogę zaoferować kąpieli – rzekł Muzzafar – ale musimy się spieszyć. Traci już cierpliwość.

Wraz z nowym mundurem w Tega wstąpiła nowa osobowość. Czarny strój miał dobrze mu znany krój, nawet gwiazdki na kołnierzu były takie same. Miał więc stanąć przed Dostojną Matroną jako baszar w służbie

zgromadzenia. Interesujące. Znów był w pełni baszarem, choć silne poczucie tożsamości nigdy go nie opuściło. Mundur dopełnił jednak całości i stanowił widoczną oznakę jego pozycji. Nie musiał już w żaden inny sposób podkreślać, kim jest.

– Teraz jest dużo lepiej – stwierdził Muzzafar i wyprowadził Tega do holu, a potem przez drzwi, które znał. Tak, to tu właśnie przedstawiono mu wszystkie „bezpieczne” kontakty. Już wtedy rozpoznał przeznaczenie tego pomieszczenia i od tamtej pory najwyraźniej się ono nie zmieniło. W załamaniu między ścianą a sufitem biegł rząd mikroskopijnych kamer ukrytych za srebrnymi pasami sterującymi unoszącymi się wokół lumisfer.

„Obserwowany nie widzi nic – pomyślał – a obserwatorzy mają milion oczu”.

Dzięki podwojonemu widzeniu wiedział, że zbliża się niebezpieczeństwo, chociaż nie bezpośredni atak.

W pokoju tym, o wymiarach cztery na pięć metrów, przeprowadzano transakcje na bardzo wysokim szczeblu. Tu nigdy nie pojawiały się materialne pieniądze, a co najwyżej widoczne oznaki ich posiadania, takie jak melanz czy pewne szczególne kamienie szlachetne wielkości gałek ocznych, idealnie kuliste, gładkie i lśniące, z początku mlecznobiałe, rozświetlające się stopniowo tęczowymi błyskami, zmieniające kolor w zależności od ciała, którego dotykały, lub zmiany oświetlenia. W miejscu takim jak to woreczek tego rodzaju klejnotów czy paczka melanzu były niedziwiącym nikogo upominkiem. Kwoty stanowiące równowartość planety akceptowano tu za ledwie skinieniem głowy, uniesieniem brwi czy cichym pomrukiem. Nikt nie wyciągał tu portfela, ewentualnie zabezpieczone za pomocą trucizny cieniutkie przezroczyste teczki, z których wyjmowano jeszcze cieńsze arkusze ryduliańskiego papieru krystalicznego z widniejącymi na nich ogromnymi sumami wypisanymi niemożliwą do podrobienia czcionką.

– Jesteśmy w banku – powiedział Teg.

– Co? – Muzzafar wpatrywał się w drzwi w ścianie naprzeciw nich. – A, tak. Zaraz tu będzie.

– Z pewnością właśnie nam się przygląda.

Marszałek nie odpowiedział, wyglądał jednak na przygnębionego.

Teg rozejrzał się, ciekawy, czy coś się tu zmieniło od jego ostatniej wizyty, nie dostrzegł jednak żadnych poważniejszych zmian. Podejrzewał, że takie ekskluzywne świątynie bogactwa nie zmieniały się przez całe wieki.



Na podłodze leżał lśniący kropelkami fałszywej rosy dywan, miękki niczym gęsi puch i tak biały jak futro z podbrzusza wieloryba długowłosego. Mieniające się krople były iluzją widoczną jedynie dla oka; bosa stopa (nie żeby w tym miejscu ktokolwiek ośmielił się chadzać boso!) poczułaby tu delikatne suche podłoże.

Na środku pokoju stał wąski, długi na jakieś dwa metry stół. Błat grubości co najmniej dwóch centymetrów był zdaniem Tega wykonany z dzakarandy z Danu. Lśniąca ciemnobrązowa powierzchnia została tak wypolerowana, że przez przejrzystą zewnętrzną warstwę można było dostrzec biegnące głęboko w drewnie żyłki przywodzące na myśl rzeczne prądy. Wokół stołu ustawiono cztery admiralskie krzesła, z wielkim kunsztem wyrzeźbione w tym samym drewnie, z którego był stół, i wyściełane, zarówno na siedzeniach, jak i oparciach, skórą o odcieniu identycznym z blatem.

Tylko cztery krzesła. Większa liczba byłaby przesadą. Teg nie wypróbował ich poprzednio i teraz też nie usiadł. Był jednak pewien, że zapewniłyby mu wygodę dorównującą tak przez niego pogardzanym psim fotelom, choć oczywiście nie miały ich miękkości ani możliwości dostosowania się do kształtu ciała. Zbyt duża wygoda mogła skłonić siedzącego, by nazbyt się odprężył. Ten pokój zaś i całe jego umeblowanie zdawało się mówić: „Rozgość się, lecz pozostań czujny”.

W tym miejscu należało mieć nie tylko wyteżone zmysły, ale również wielką potęgę za plecami. Teg wyrobił sobie to zdanie już poprzednio i teraz go nie zmienił.

W pokoju nie było okien, te wszakże, które widział, gdy zbliżali się do budynku, migotały smugami światła – zaporami siłowymi, uniemożliwiającymi zarówno dostanie się do środka, jak i ucieczkę. Teg wiedział, że zapory takie same w sobie są dość niebezpieczne, ważne było jednak to, co reprezentowały: już samo ich zasilanie pochłaniało tyle energii, ile wynosiły potrzeby dużego miasta przez okres równy długości życia jego najstarszego mieszkańca.

W tej demonstracji bogactwa żaden szczegół nie był przypadkowy.

Drzwi, w które Muzzafar wpatrywał się cały czas, otworzyły się z cichym stuknięciem.

„Niebezpieczeństwo!”

Do pokoju weszła kobieta w połyskującej złocistej szacie przetykanej ognistoczerwonymi nićmi.

„Jakaż ona jest stara!”

Teg nie spodziewał się kogoś tak wiekowego. Jej twarz porwana była gęstą siecią zmarszczek. Lodowate, głęboko osadzone oczy lśniły zielenią. Długi, wąski nos – niczym dziób – rzucał cień na cienkie wargi i niemal stykał się z zakrzywionym podbródkiem. Czarny czepek zasłaniał prawie wszystkie siwe włosy.

Muzzafar skłonił się.

– Zostaw nas – powiedziała.

Wyszedł bez słowa przez te same drzwi, którymi weszła. Gdy zamknęły się za nim, Teg powiedział:

– Dostojna Matrono.

– Poznałeś zatem, że to bank. – Jej głos drżał tylko nieznacznie.

– Naturalnie.

– Zawsze jest jakiś sposób na przekazywanie wielkich sum czy na sprzedawanie władzy. I nie mówię tu o władzy, która zarządza fabrykami, ale o tej, która rządzi ludźmi.

– I zazwyczaj kryje się pod dziwnymi nazwami, takimi jak rząd, społeczeństwo czy cywilizacja – odparł Teg.

– Podejrzewałam, że jesteś wyjątkowo inteligentny – powiedziała. Odsunęła od stołu krzesło i usiadła, nie proponowała tego jednak Tegowi.

– Myślę o sobie jak o bankierze. To oszczędza mi mnóstwa nudnej i pokrętniej gadaniny.

Teg nie odpowiedział. Nie było potrzeby. Nadal uważnie się jej przyglądał.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytała.

– Nie spodziewałem się, że jesteś taka stara – odparł.

– Ha, ha, ha. Mamy dla ciebie niejedną niespodziankę, baszarze. Później jakaś młodsza Dostojna Matrona szepnie ci może na ucho coś, co cię naznaczy. Dziękuj Durowi, jeśli do tego dojdzie.

Skinął głową, nie rozumiejąc do końca, o czym mówiła.

– Ten budynek też jest bardzo stary – powiedziała. – Obserwowałam cię, gdy wchodziłeś. Czy to też cię dziwi?

– Nie.

– Właściwie nie zmienił się w ogóle od paru tysięcy lat. Zbudowano go z materiałów, które wytrzymają dużo dłużej.

Teg zerknął na stół.

– Och, nie drewno, oczywiście. Ale elementy konstrukcyjne to głównie polastyna, polaz i pormabat. Trzy P, którymi nie gardzi się już tak łatwo, gdy

konieczność wzywa.

Baszar milczał.

– Konieczność – rzekła znów. – Masz jakieś obiekcje względem koniecznych środków, jakie wobec ciebie podjęto?

– Moje obiekcje nie mają tu żadnego znaczenia – odparł. Do czego ona zmierzała? Badała go, to pewne. On zaś badał ją.

– Sądzisz, że inni mieli kiedykolwiek coś przeciw temu, co z nimi robiłeś?

– Bez wątplenia.

– Jesteś urodzonym przywódcą, baszarze. Myślę, że okażesz się dla nas bardzo cenny.

– Zawsze uważałem, że najcenniejszy jestem dla siebie.

– Spójrz mi w oczy, baszarze!

Teg usłuchał i zobaczył drobne pomarańczowe plamki tańczące w białkach jej oczu. Poczucie zagrożenia nasiliło się.

– Jeśli staną się całkiem pomarańczowe, strzeż się! – powiedziała. – Będzie to znaczyło, że obraziłeś mnie tak, iż nie jestem w stanie tego znieść!

Skinął głową.

– Cieszę się, że umiesz rządzić ludźmi, nie będziesz jednak rządził mną. Masz rozkazywać hołocie i to jedyne zadanie, jakie mamy dla takich jak ty.

– Hołocie?

Machnęła ręką z lekceważeniem.

– Tym tam. Wiesz, komu. Ciasne, ciekawskie mózdzki. Z żadnych naprawdę wielkich wydarzeń w ogóle nie zdają sobie sprawy.

– Podejrzewałem, że to właśnie masz na myśli.

– Specjalnie utrzymujemy taki stan rzeczy – powiedziała. – Filtrujemy wszystko, co do nich dociera, mają więc właściwie do czynienia wyłącznie z problemami dotyczącymi ich bezpośredniego przetrwania.

– Żadnych wielkich spraw.

– Jesteś urażony, lecz nie ma to większego znaczenia – odparła. – Dla hołoty na zewnątrz podstawowym zagadnieniem jest: „Czy będę dziś jadł?” lub „Czy mam na tę noc pewne schronienie, bezpieczne od napaści i wolne od robactwa?” Luksusy? Luksusem jest tu porcja narkotyku lub partner przeciwnej płci, który na pewien czas pozwoli zapomnieć o bestii.

„A bestia to ty” – pomyślał Teg.

– Poświęcam ci tyle czasu, baszarze, ponieważ sądzę, że będziesz dla nas jeszcze cenniejszym nabytkiem niż Muzzafar. A on jest naprawdę

wyjątkowo wartościowy. W tej chwili właśnie otrzymuje nagrodę za doprowadzenie cię do nas w ugodowym nastroju.

Teg nadal nie odpowiadał.

– Nie czujesz się wcale nastawiony ugodowo? – zachichotała.

Baszar powstrzymał się od odpowiedzi. Czy podały mu w jedzeniu jakiś narkotyk? Kątem oka widział rozbłyskujące obrazy swego podwójnego widzenia, ale bezpośrednia przemoc zniknęła z najbliższej przyszłości wraz z wygaśnięciem pomarańczowych płamek w oczach Dostojnej Matrony. Powinien jednak pamiętać, by wystrzegać się jej stóp, które są śmiercionośną bronią.

– Ty po prostu myślisz o całej tej hołocie w niewłaściwy sposób – powiedziała. – Na szczęście oni sami się ograniczają. Gdzieś w głębinach podświadomości zdają sobie z tego sprawę, zazwyczaj nie mają jednak czasu, by spróbować uporać się z tym albo z jakimkolwiek innym problemem poza codzienną walką o przetrwanie.

– I nie można tego zmienić? – zapytał Teg.

– Nie wolno tego zmieniać! Pilnujemy, oczywiście, żeby różne formy samodoskonalenia były wśród nich w modzie. Ale to tylko zabawa, nic poważnego.

– Kolejny luksus, którego im się odmawia.

– Nie luksus! Dla nich to w ogóle nie istnieje! I na zawsze musi pozostać ukryte za zasłoną, którą między sobą nazywamy ochronną ignorancją.

– Coś, czego nie wiesz, nie może cię krzywdzić.

– Nie podoba mi się twój ton, baszarze.

Pomarańczowe plamki znów roztańczyły się w jej oczach, zagrożenie przemocą wszakże rozwiało się prędko, gdy zaczęła chichotać.

– To, czego się boisz, jest przeciwieństwem tego, *czego nie wiesz*. Uczymy, że nowa wiedza bywa groźna. Sam więc widzisz oczywiście rozwinięcie tej myśli: Każda nowa wiedza zagraża przetrwaniu!

Drzwi za plecami kobiety otworzyły się i wrócił Muzzafar. Był jakby innym człowiekiem: jego oczy lśniły, twarz płonęła rumieńcem. Stał za krzesłem Dostojnej Matrony.

– Kiedyś tobie również pozwolę tak stać za moimi plecami – rzekła. – Mam wystarczającą władzę, by do tego doprowadzić.

„Co takiego zrobiły z Muzzafarem?” – zastanawiał się Teg. Marszałek sprawiał niemal wrażenie odurzonego jakimś narkotykiem.

– Rozumiesz, że mam wielką władzę?

– To oczywiste – odparł Teg, odchrząknawszy.

– Jestem jak bankier, pamiętasz? Właśnie złożyliśmy depozyt u naszego wiernego Muzzafara. Jesteś nam wdzięczny, Muzzafar?

– Tak, Dostojna Matrono – rzekł ochryłym głosem.

– Jestem pewna, że rozumiesz, jaki to rodzaj władzy, baszarze – mówiła dalej. – Bene Gesserit dobrze cię wyszkoliły. Są dość zdolne, obawiam się jednak, że nie aż tak zdolne jak my.

– Słyszałem też, że jest was niemało – powiedział Teg.

– To nie nasza liczebność ma tu kluczowe znaczenie, baszarze. Władza podobna do naszej łatwo daje się skanalizować tak, że do jej sprawowania wystarczy niewielka grupa.

Była zupełnie jak Matka Wielebna w tej swojej umiejętności udzielania odpowiedzi, które niczego nie wyjaśniały.

– Krótko mówiąc, pozwalamy, by władza, którą nad nimi sprawujemy, stała się dla wielu zasadniczym elementem przetrwania. *Wtedy*, by rządzić, wystarczy tylko zagrozić jego wycofaniem. – Rzuciła okiem przez ramię. – Chciałbyś, byśmy wycofały względy, którymi cię obdarzamy, Muzzafar?

– Nie, Dostojna Matrono. – Muzzafar autentycznie drżał!

– Odkryłyście nowy narkotyk – powiedział Teg.

Wybuchnęła głośnym, ochryłym, spontanicznym śmiechem.

– Nie, baszarze! Mamy stary.

– I mnie też zamierzacie od niego uzależnić?

– Masz taki sam wybór jak wszyscy podlegli naszej władzy: posłuszeństwo albo śmierć.

– To też dosyć stary wybór – przyznał. Czym tak naprawdę mu groziła? Nie wyczuwał fizycznej przemocy, wręcz przeciwnie, dzięki podwójnemu widzeniu dostrzegał urywki bardzo zmysłowych scen. Czyżby sądziły, że zdolają poddać go imprintowi?

Rzuciła mu wszystkowiedzący uśmiech, który przejął go chłodem.

– Myślisz, że dobrze nam się przysłuży, Muzzafar?

– Tak sędzę, Dostojna Matrono.

Teg zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tą parą. Było w nich coś na wskroś złego. Zaprzeczali wszystkim zasadom moralnym, które kształtowały jego zachowanie. Całe szczęście, że żadne z nich nie wiedziało o dziwnej zmianie, która tak przyspieszała jego reakcje.

Jego zakłopotanie najwyraźniej ich bawiło.

Pewnej otuchy dodawała Tegowi myśl, że żadne z tych dwojga nigdy naprawdę nie cieszyło się życiem. Widział to wyraźnie dzięki wyszkoleniu, jakie odebrał wśród Bene Gesserit. Dostojna Matrona i Muzzafar zapomnieli albo – co jeszcze bardziej prawdopodobne – celowo odrzucili wszystko, co pomagało przeżyć radosnym ludziom. Nie byli już, jego zdaniem, zdolni odkryć, jakim źródłem radości może być ich ciało. Ich życie było zaledwie mierną egzystencją podglądaczy, wiecznych obserwatorów, którzy nie mogli zapomnieć, jak wyglądało dawniej, zanim zdecydowali się zmienić w to, czym obecnie byli. Nawet kiedy tarzali się w uściskach, które niegdyś przynosiły im spełnienie, za każdym razem musieli przekraczać coraz to dalsze granice, by choć otrzeć się o ślad dawnych wspomnień.

Uśmiech Dostojnej Matrony stał się jeszcze szerszy, tak że odsłonił rząd białych, lśniących zębów.

– Popatrz tylko na niego, Muzzafar. Wciąż nie ma najmniejszego pojęcia, co możemy mu zrobić.

Teg słyszał, co mówiła, ale jednocześnie patrzył wyszkolonymi przez Bene Gesserit oczyma. W żadnym z tych dwojga nie pozostał nawet ślad naiwności, nic nie mogło ich zaskoczyć, nic nie miało już być dla nich nowe. A mimo to wciąż knuli i spiskowali w nadziei, że może *to* dostarczy im tak pożądanego dreszczu emocji. Wiedzieli oczywiście, że tak się nie stanie i że z kolejnego doświadczenia wyniosą jedynie palący gniew, który pchnie ich do kolejnej próby osiągnięcia niemożliwego. Taki był sposób ich myślenia.

Teg posłał im uśmiech – wyjątkowy, stworzony specjalnie dla nich za pomocą wszystkich umiejętności, jakie posiadał dzięki szkoleniu Bene Gesserit. Był to uśmiech pełen współczucia, zrozumienia i jednocześnie prawdziwego zadowolenia z własnego życia. Wiedział, że to najbardziej śmiertelna obelga, jaką może rzucić im w twarz. Patrzył, jak dosięgła celu. Muzzafar spojrzał na niego morderczym wzrokiem. Przez twarz Dostojnej Matrony przewinęła się cała gama uczuć: od wściekłego gniewu, który rozpałił jej oczy pomarańczowym blaskiem, przez zaskoczenie aż do z wolna uświadamianej przyjemności. Tego się nie spodziewała! Wreszcie coś nowego!

– Muzzafar – rzekła, gdy pomarańczowe zabarwienie powoli zniknęło z jej oczu – przyprowadź tu Dostojną Matronę, którą wybrano, by naznaczyła naszego baszara.

Teg ujrzał wizję zbliżającego się szybko niebezpieczeństwa i wreszcie zrozumiał wszystko. Podczas gdy wzbierała w nim moc, nagle świadomość

własnego przeznaczenia zalała go niczym fala. Przemiany, którym podlegało jego ciało, postępowały dalej! Czuł, jak wzrasta poziom nagromadzonej w nim energii, a wraz z nim zrozumienie wyboru, którego musiał dokonać. Widział siebie sunącego niczym tajfun przez kolejne pomieszczenia, zostawiającego za sobą rozrzucone martwe ciała (również Muzzafara i Dostojnej Matrony). Cały budynek wyglądał po jego przejściu jak rzeźnia.

„Czy muszę to zrobić?” – pomyślał.

Każda jego ofiara pociągnie za sobą wiele innych. Wiedział jednak, że to konieczne, tak jak widział wreszcie jasno cały zamysł Tyrana. Ledwo powstrzymał krzyk, gdy zdał sobie sprawę, jakie czekają go ból i cierpienie.

– Tak, przyprowadź mi tę Dostojną Matronę – powiedział, wiedząc, że dzięki temu będzie miał jedną ofiarę mniej do wytropienia w budynku. Na początek musi zniszczyć centrum sterowania bojowych skanerów analitycznych.



O wy, którzy wiecie, jak tutaj cierpimy, nie zapomnijcie o nas w swoich modlitwach.

– napis nad lądowiskiem w Arrakin, zapisy historyczne z Dar-es-Balat

Taraza przyglądała się, jak wirujące białe płatki kwiatów opadają niczym śnieg na tle srebrzystego porannego nieba nad Rakis. Pomimo wszystkich informacji, jakie ostatnio przejrzała, nie spodziewała się, że niebo będzie lśniło takim opalizującym blaskiem. Rakis kryła wiele niespodzianek. Matka Przełożona siedziała na skraju ogrodu na dachu Dar-es-Balat, a wokół niej unosił się silny aromat wonnych jaśminowców, dominujący nad wszystkimi innymi zapachami.

„Nigdy nie sądzi, że poznałaś już do głębi jakieś miejsce... albo człowieka” – upomniała się w duchu.

Rozmowa się skończyła, Taraza wciąż jednak słyszała echa wypowiedzianych tu przed chwilą myśli. Wszyscy zgodzili się w każdym razie, że nadszedł czas działania. Sziena wkrótce zatańczy przed nimi taniec czerwia i raz jeszcze zademonstruje swoje mistrzostwo.

Waff i nowy przedstawiciel kapłanów też wezmą udział w tym „świętym wydarzeniu”, Taraza była wszakże pewna, że żaden z nich nie rozumie

w pełni jego istoty. Waff oczywiście ledwie to zniesie. Wciąż obnosił się z rozdrażnionym wyrazem niewiary we wszystko, co widział czy słyszał. Dziwnie nie zgadzało się to z pełnym czci lękiem, jakim nadal w głębi duszy napawał go pobyt na Rakis. Źródłem jego niezadowolenia był najwyraźniej gniew, jaki odczuwał, widząc, że rządzą tu głupcy.

Odrade wróciła z sali obrad i stanęła obok Tarazy.

– Szalenie niepokoją mnie doniesienia z Gammu – powiedziała Matka Przełożona. – Masz coś nowego?

– Nie. Wyraźnie nadal panuje tam chaos.

– Powiedz mi, Dar, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Wciąż nie mogę zapomnieć słów, które Tyran skierował do Chenoeh: „Bene Gesserit są tak blisko tego, czym powinny być, a jednocześnie nadal tak daleko”.

Taraza wskazała otwartą pustynię rozciągającą się za otaczającym miastomuzeum systemem kanałów nawadniających.

– On ciągle tam jest, Dar. Jestem tego pewna. – Odwróciła się i spojrzała na Odrade. – A Sziena z nim rozmawia.

– Tyle razy kłamał.

– Nie kłamał, gdy mówił o swoim przyszłym wcieleniu. Przypomnij sobie jego słowa: „Każda pochodząca ode mnie cząstka będzie niosła zawartą w sobie część mojej świadomości, zagubioną i bezradną. Perły mojej jaźni sunąć będą ślepo przez piaski w niekończącym się śnie”.

– Wiele stawiasz na wiarę w potęgę tego snu – powiedziała Odrade.

– Musimy zrealizować plan Tyrana! Do końca!

Odrade westchnęła, nic jednak nie powiedziała.

– Nigdy nie lekceważ potęgi idei – rzekła Taraza. – Atrydzi zawsze byli filozofami w sposobie sprawowania rządów. Filozofia zaś zawsze jest niebezpieczna, zachęca bowiem do tworzenia nowych idei.

Odrade nadal nie odpowiadała.

– Czerw niesie w sobie to wszystko, Dar! Wszystkie siły, które puścił w ruch, są nadal w nim!

– Próbujesz przekonać mnie czy siebie, Tar?

– Chcę cię ukarać, Dar. Tak samo jak Tyran wciąż karze nas.

– Za to, że nie jesteśmy tym, czym powinniśmy? Aaach, oto Sziena i cała reszta.

– Język czerwia, Dar. To najważniejsze.

– Skoro tak mówisz, Matko Przełożona.



Taraza spojrzała z gniewem na Odrade, która ruszyła powitać przybyłych. Zdawała się niepokojąco przygnębiona.

Obecność Szieny przywróciła Tarazie poczucie sensu i celowości własnych poczynań. Bystra z niej była dziewczyna. Bardzo dobry materiał. Sziena pokazała im poprzedniego wieczoru swój taniec. Wystąpiła w wielkiej sali muzeum, na tle ogromnego gobelinu. Egzotyczny taniec wykonywany na tle egzotycznej zasłony z przyprawowego włókna, przedstawiającej pustynię i czerwie. Wydawała się niemal częścią tego obrazu, postacią wyrastającą spośród stylizowanych wydm i precyzyjnie odwzorowanych przecinających je czerwii. Taraza przypomniła sobie jej odrzucone do tyłu w tanecznym piruecie brązowe włosy, które rozsypywały się falującym wachlarzem. Padające z boku światło wydobywało z nich rdzawe błyski. Miała zamknięte oczy, jej twarz była jednak ożywiona, jej podniecenie zdradzały zmysłowy wyraz pełnych ust, rozdęte nozdrza i wysunięty podbródek. Z jej ruchów przebijało wewnętrzne wyrafinowanie, które klóciło się z młodzieńczym wyglądem.

„Jej językiem jest taniec – pomyślała Taraza. – Odrade ma rację. A my nauczymy się go, patrząc na nią”.

Waff wydawał się tego ranka jakiś nieobecny. Trudno było określić, czy jego oczy patrzą na zewnątrz, czy do środka.

Towarzyszył mu Tuluszan, przystojny, smagły Rakańczyk, wybrany przez kapłanów na ich przedstawiciela na czas „świętego wydarzenia”. Tarazę, która spotkała go na pokazie tańca, zaciekał fakt, że choć Tuluszan nigdy nie wymawiał słowa „ale”, wydawało się, że wisi ono w powietrzu, ilekroć się odzywał. Urzędnik idealny. Nie bez podstaw sądził, że ma szansę daleko zajść, w najbliższej przyszłości czekała go jednak przykra niespodzianka. Taraza wcale go z tego powodu nie żałowała. Tuluszan był młodzieńcem o miękkich rysach i zbyt skromnych zasadach moralnych jak na piastowanie tak odpowiedzialnego stanowiska. Było w nim oczywiście coś więcej, niż można by się spodziewać po samym wyglądzie. Ale zarazem mniej.

Waff odszedł na bok ogrodu, zostawiając Odrade z Szieną i Tuluszanem.

Młody kapłan nie był naturalnie niezastąpiony. To w dużej mierze tłumaczyło, dlaczego wybrano go do uczestnictwa w dzisiejszym pokazie, i uświadomiło Matce Przełożonej, że osiągnęła punkt graniczny i teraz grozi im już bezpośrednia przemoc. Mimo to nie sądziła, żeby którakolwiek z kapłańskich frakcji ośmieliła się skrzywdzić Szienę.

„Będziemy się trzymać blisko Szieny”.

Tydzień, który upłynął od demonstracji seksualnych możliwości dziwki, był dla nich bardzo pracowity. A także, w gruncie rzeczy, bardzo niepokojący. Odrade cały czas zajęta była Szieną. Taraza wołałaby, żeby tym etapem jej szkolenia zajmowała się Lucylla, ale na razie musiała radzić sobie z tymi, których miała pod ręką, a Odrade była z pewnością najlepszą nauczycielką na Rakis.

Taraza spojrzała w stronę pustyni. Czekali na ornitoptery z Kin, które miały przywieźć Bardzo Ważnych Obserwatorów. Bardzo Ważni Obserwatorzy jeszcze się wprawdzie nie spóźnili, z pewnością przybędą jednak w ostatnim momencie, jak to z takimi osobami zwykle bywa.

Sziena, jak się zdawało, robiła postępy w swojej edukacji seksualnej, choć zdaniem Tarazy dostępni na Rakis mężczyźni będący na usługach Bene Gesserit pozostawiali wiele do życzenia. Pierwszej spędzonej tu nocy wezwała jednego z nich do siebie. Potem stwierdziła, że szkoda było zachodu jak na tę odrobinę radości i zapomnienia, jaką jej dostarczył. Poza tym, cóż takiego miałyby zapomnieć? Zapominanie było przejawem słabości.

„Nigdy nie zapominaj!”

A jednak tym właśnie zajmowały się dziwki. Kupczyły zapomnieniem. I nie miały przy okazji najmniejszego pojęcia o tym, że Tyran nadal trzymał ludzkie przeznaczenie w żelaznym uścisku, ani też o tym, że więzy te należy zerwać.

Dzień wcześniej Taraza w tajemnicy przysłuchiwała się rozmowie Odrade z Szieną.

„Co właściwie spodziewałam się usłyszeć?”

Dziewczyna i jej nauczycielka siedziały naprzeciw siebie na dwóch ławeczkach w ogrodzie na dachu. Przenośny ixański tłumik uniemożliwiał podsłuchanie ich rozmowy każdemu, kto nie miał kodowanego deszyfratora. Dryfowy tłumik wisiał nad nimi jak dziwaczny parasol, czarna tarcza emitująca zakłócenia, które skrywały dźwięk ich głosów i ruchy warg.

Tarazie, stojącej z deszyfratorem w długiej sali konferencyjnej, lekcja ta wydała się wspomnieniem, które uległo takim właśnie zakłóceniom.

„Gdy mnie uczono tych rzeczy, nie miałyśmy jeszcze pojęcia, co potrafią dziwki z Rozproszenia”.

– Dlaczego mówimy o złożoności seksu? – zapytała Sziena. – Człowiek, którego przysłałaś mi zeszłej nocy, wciąż to powtarzał.

– Wielu sądzi, że to rozumie. A może nikt jeszcze tego nie zrozumiał, podobne pojęcia bowiem wymagają większego zaangażowania umysłu niż ciała.

– Dlaczego nie wolno mi robić rzeczy, które pokazali nam maskaradnicy?

– Szieno, złożoność kryje się właśnie w złożoności. Wielkie i straszne rzeczy robiono już pod wpływem potęgi seksu. Mówi się o „sile seksu”, „energii seksualnej”, a także o czymś takim jak „obezwładniające moc pożądania”. Takie zjawiska rzeczywiście istnieją, nie zaprzeczam temu. To jednak, z czym mamy tu do czynienia, to potęga tak ogromna, że może zniszczyć i ciebie, i wszystko, co jest ci drogie.

– To właśnie staram się zrozumieć. Co właściwie dziwki robią nie tak?

– Lekceważą naturalne prawa gatunku. Myślę, Szieno, że sama potrafisz już to wyczuć. Tyran wiedział o tym z całą pewnością. Czym w końcu był jego Złoty Szlak, jeśli nie wizją potęgi seksu w nieskończoność odtwarzającej ludzki gatunek?

– A dziwki nie potrafią tworzyć?

– One za pomocą tej potęgi starają się głównie rządzić podległym im światem.

– Wygląda na to, że im się to udaje.

– O tak, ale jakie przeciwne siły tworzy to ich działanie?

– Nie rozumiem.

– Wiesz, co to jest Głos i jak za jego pomocą można sterować niektórymi ludźmi?

– Ale nie wszystkimi.

– Otóż to. Cywilizacja poddana kierowaniu Głosem przez dłuższy czas rozwija mechanizmy adaptacyjne, które pozwalają skutecznie opierać się dalszym próbom manipulowania przy jego użyciu.

– Są więc tacy, którzy potrafią oprzeć się dziwkom?

– Mamy nieomylnie znaki, że tak jest. Dlatego między innymi jesteśmy tu, na Rakis.

– Dzwiki też się tu zjawia?

– Obawiam się, że tak. Chcą przejąć kontrolę nad sercem Starego Imperium, uważają nas bowiem za łatwą zdobycz.

– Nie boisz się, że zwyciężą?

– Nie zwyciężą, Szieno. Możesz być tego pewna. Działają nawet na naszą korzyść.

– Jak to?

Zdumienie w głosie Szieny było odbiciem zaskoczenia, jakiego doświadczyła Taraza, usłyszawszy te słowa Odrade. Jak wiele Odrade się domyślała? W następnej chwili Taraza wiedziała to już, zastanawiało ją tylko, czy dla dziewczyny lekcja ta była równie zrozumiała.

– To serce jest uśpione, Szieno. Od tysięcy lat nic się tu nie zmieniło. Życie i ruch są „gdzieś tam”, pośród tych Utraconych, którzy umieli oprzeć się dziwkom. Cokolwiek uczynimy, musimy umocnić ten opór.

Z rozpamiętywania owego wspomnienia wyrwał Tarazę dźwięk nadlatujących ornitopterów. Z Kin przybywali Bardzo Ważni Obserwatorzy. Byli wciąż dość daleko, dźwięk niósł się jednak wyraźnie w czystym powietrzu.

„Metody nauczania Odrade są dobre” – przyznała w duchu, wypatrując na niebie pierwszych ornitopterów. Musiały chyba nadlatywać nisko, i to z drugiej strony budynku. Nie był to właściwy kierunek, ale może Bardzo Ważni Obserwatorzy zrobili sobie małą wycieczkę nad pozostałościami muru Tyrana. Wielu ludzi ciekawych było miejsca, w którym Odrade znalazła przyprawowy skarb.

Sziena, Odrade, Waff i Tuluszan wrócili do długiej sali. Oni też usłyszeli ornitoptery. Sziena niecierpliwiła się, chcąc zademonstrować swą władzę nad czerwiami. Taraza zawahała się. Silniki ornitopterów pracowały zastanawiająco głośno. Czyżby maszyny były przeciążone? Ilu przywiozły obserwatorów?

Pierwszy ornitopter uniósł się nad dach apartamentu i Taraza zobaczyła opancerzoną kabinę. Zrozumiała, że je zdradzono, jeszcze zanim promień lasera odciął jej pod kolanami obie nogi. Upadła ciężko na rosnące w donicy drzewo. Z ukosa trafiła ją następna wiązka, która rozplatała jej biodro. Ornitopter przeleciał nad nią z hukiem silników odrzutowych i skręcił w lewo.

Taraza kurczowo ścisnęła drzewo, nie zważając na rozdzierający ból. Udało jej się opanować krwawienie z większości ran, cierpiała jednak straszliwie. Nie aż tak straszliwie jak w czasie agonii przyprawowej, przypomniawszy sobie. To trochę pomogło, ale wiedziała, że i tak nie ma już dla niej ratunku. Docierały do niej krzyki i odgłosy walki rozlegające się teraz w całym muzeum.

„Wygrałam!” – pomyślała.

Odrade wybiegła z apartamentu i pochyliła się nad Tarazą. Nie wypowiedziały ani słowa, Odrade jednak zrozumiała wszystko i przytknęła

czoło do skroni Matki Przełożonej. Był to odwieczny rytuał Bene Gesserit. Taraza przelewała w Odrade swoje życie – Inne Wspomnienia, nadzieje, lęki... wszystko.

Jednej z nich może jeszcze uda się uciec.

Sziena patrzyła na to z apartamentu, w którym kazano jej pozostać. Wiedziała, co dzieje się w ogrodzie na dachu. Każda nowicjuszka rozumiała, że to największa tajemnica zgromadzenia.

Waff i Tuluszan, którzy zdążyli wyjść z komnaty, zanim rozpoczął się atak, nie wrócili.

Sziena zadrżała, pojawiając się, co to oznacza.

Odrade podniosła się nagle i wbiegła do środka. Jej oczy płonęły dziko, lecz poruszała się według przemyślanego planu. Podskakując, chwytając unoszące się wokół lumisfery i dzięki zwisającym z nich sznurkom zbierała je w duże pęki. Wcisnęła część w dłonie Szieny, która poczuła od razu, jak lekkie staje się jej ciało, unoszone przez połączone pola dryfowe. Trzymając zapasowe pęki lumisfer na tyle daleko za sobą, że ich pole na nią nie oddziaływało, Odrade pobiegła na drugi koniec wąskiego pokoju, gdzie wmontowana w ścianę kratka kryła miejsce, którego szukała. Z pomocą Szieny wyjęła kratkę z zaczepów, odsłaniając głęboki szyb wentylacyjny. W świetle lumisfer widać było jego chropowate ściany.

– Trzymaj potem lumisfery blisko siebie, żeby pole dryfowe obejmowało cię z maksymalną mocą – powiedziała Odrade. – Teraz odepchnij je, żeby móc skoczyć. Ruszaj!

Ściskając sznurki w śliskich od potu dłoniach, Sziena skoczyła w głąb szybu. Przez chwilę spadała bezwładnie, potem zaś, przestraszona, przyciągnęła do siebie lumisfery. Światła rozjaśniające szyb nad jej głową powiedziały jej, że Odrade skoczyła za nią.

Wylądowały w przepompowni. Poprzez szum wentylatorów słyszały dobiegające z zewnątrz odgłosy walki.

– Musimy dostać się do komory pozaprzestrzennej, a stamtąd na pustynię – powiedziała Odrade. – Wszystkie te pomieszczenia techniczne są połączone. Znajdziemy przejście.

– Czy ona nie żyje? – wyszeptała Sziena.

– Owszem.

– Biedna Matka Przełożona.

– Teraz ja jestem Matką Przełożoną, Szieno. Przynajmniej na razie. – Wskazała w górę. – To dziwki nas zaatakowały. Musimy się spieszyć.



*Świat należy do żywych. Kimże być mogą?  
Przez mrok sięgamy po światło i ciepło.  
Była mi wiatrem, gdy wiatr był mą drogą.  
Po życia dniu w niej zginąć mi przyszło.  
Kto z ciała w ducha wzrośnie, upadek poznać zdoła.  
Słowo nad świat wyrasta, a blask jest wszystkim zgoła.*

– Theodore Roethke, cytaty historyczne z Dar-es-Balat

Teg zmienił się w rozpędzony cyklon właściwie nieświadomie. Zrozumiał w końcu istotę zagrożenia, jakie stanowiły Dostojne Matrony. Zrozumienie to zbiegło się w czasie z ogromną potrzebą dalszego poznania, wynikającą z rosnącego poziomu mentackiej świadomości, który towarzyszył przyspieszeniu reakcji ciała.

Potworne zagrożenie wymagało podjęcia równie potwornych kroków. Zbрызany krwią mknął przez pomieszczenia kwatery głównej wroga, mordując każdego, kogo napotkał.

Nauczycielki Bene Gesserit tłumaczyły mu kiedyś, jak ważnym problemem dla świata ludzi jest podejście do zagadnienia prokreacji. Niosąc po całym budynku zniszczenie i śmierć, słyszał głos swojej pierwszej nauczycielki:

„Możesz uważać to jedynie za popęd seksualny, my jednak wolimy bardziej fundamentalne określenie: prokreacja. Ma ona wiele przejawów i form oraz niewyczerpaną, jak się zdaje, energię. Uczucie zwane »miłością« jest zaledwie jednym jej drobnym aspektem”.

Teg zmiażdżył krtań mężczyzny, który odważnie stanął mu na drodze, i dotarł wreszcie do sterowni systemów obronnych budynku. Siedział w niej tylko jeden człowiek z prawą dłonią wyciągniętą już nad czerwonym przyciskiem na konsoli.

Potężnym ciosem lewej ręki Teg nieomal oderwał mu głowę od tułowia. Ciało mężczyzny odchyliło się powoli w tył. Z rozszarpanej szyi tryskała fontanna krwi.

„Zgromadzenie słusznie nazywa je dziwkami!”

Rodzaj ludzki można doprowadzić niemal do wszystkiego, manipulując potężną energią prokreacji. Można zmusić ludzi do rzeczy, które w innych okolicznościach uznaliby za niemożliwe. Jedna z jego nauczycielek powiedziała to kiedyś wprost:

„Ta energia musi mieć ujście. Gdy je zablokujesz, stanie się potwornie niebezpieczna. Zmień jej kierunek, a zmiecie wszystko, co stanie jej na drodze. To właśnie najgłębszy sekret wszystkich religii”.

Baszar zdawał sobie sprawę, że opuszczając budynek, zostawił za sobą ponad pięćdziesiąt trupów. Ostatnim był żołnierz w polowym stroju maskującym, który stał w otwartych drzwiach, najwyraźniej chcąc właśnie wejść do środka.

Gdy Teg biegiem mijał pozornie nieruchomych ludzi i pojazdy, jego pracujący na zwiększonych obrotach umysł miał dość czasu, by przemyśleć to, co zostawiał za sobą. Czy uda mu się znaleźć jakąś pociechę w tym, że ostatnim uczuciem zastygłym na twarzy umierającej Dostojnej Matrony było szczere zaskoczenie? Czy mógł pogratulować sobie tego, że Muzzafar już nigdy nie zobaczy rodzinnego domokrzewu?

Dzięki naukom Bene Gesserit konieczność dokonania tego, co zajęło mu raptem parę uderzeń serca, była jednak dla niego zupełnie jasna. Teg znał historię. W Starym Imperium wiele było planet podobnych do raju, a jeszcze więcej zamieszkują dziś zapewne Rozproszeni. Ludzkość nigdy nie miała dość tego głupiego eksperymentu. Takie miejsca zazwyczaj rozleniwiały tylko ludzi. Według powierzchownych analiz działo się tak z powodu zbyt sprzyjającego klimatu, Teg wiedział jednak, że to bzdura. Powodem było zbyt łatwo dostępne ujście dla energii seksualnej mieszkańców owych planet. Niechby tylko w takim raju pojawili się misjonarze Podzielonego Boga albo innego tworu wyznaniowego, ostry konflikt byłby nieunikniony.

„My w zgromadzeniu to wiemy – powiedziała kiedyś jedna z nauczycielek Tega. – Niejeden już raz siostry z Missionaria Protectiva przytknęły płomień do takiego lontu”.

Teg nie zwolnił, dopóki nie znalazł się w alejce położonej co najmniej pięć kilometrów od rzeźni, w którą zamienił kwaterę główną starej Dostojnej Matrony. Wiedział, że minęło bardzo niewiele czasu, teraz jednak musiał się skoncentrować na czymś znacznie ważniejszym. Nie zabił wszystkich w tamtym budynku. Zostały tam oczy, które widziały, do czego jest zdolny. Widziały, jak zabija Dostojną Matronę, jak Muzzafar pada nieżywy od ciosu

zadanego jego ręką. Ostatecznych wyjaśnień i dowodów dostarczą oględziny ciała i odtworzone w zwolnionym tempie nagrania.

Tę oparł się o mur. Skóra na jego lewej dłoni była rozcięta. Patrząc na sączącą się ze skaleczenia krew, pozwolił ciału powrócić do normalnego czasu. Krew była prawie czarna.

„Więcej tlenu we krwi?”

Był zmęczony, ale nie aż tak, jak mógłby się spodziewać po tak wielkim wysiłku.

„Co się ze mną stało?”

To coś związanego z dziedzictwem Atrydów, tego był pewien. Nagły kryzys spowodował, że przekroczył granicę ludzkich możliwości i wszedł w zupełnie nowy wymiar. Czymkolwiek była ta przemiana, sięgała bardzo głęboko. Widział teraz jasno, co trzeba będzie zrobić. A ludzie, których mijał, biegnąc tutaj, byli dla niego nieruchomi jak posągi.

„Czy kiedykolwiek pomyślę o nich jak o hołocie?”

Wiedział, że może się tak stać tylko wtedy, jeśli sam sobie na to pozwoli. Niemniej taka pokusa istniała i poczuł nagle okrucieństwo współczucia dla Dostojnych Matron. Wielka Pokusa pchnęła je w błoto, które same stworzyły.

Jaki powinien być jego następny krok?

Ogólny zarys działania był oczywisty. Gdzieś tu, w Ysai, był człowiek, który jako jedyny mógł odpowiedzieć na wszystkie jego pytania. Tę rozejrzał się po alejce. Tak, człowiek ten był niedaleko.

Z drugiego końca uliczki płynął ku niemu aromat kwiatów i ziół. Ruszył w stronę tego zapachu, wiedząc, że prowadzi go w dobrym kierunku i że nie czeka go tam żadne niebezpieczeństwo. Na razie znalazł się w zacisznym azylu.

Wkrótce dotarł do źródła zapachu. Dochodził z cofniętych w głąb muru drzwi, oznaczonych niebieskim szyldem, na którym we współczesnym galachu wypisane były dwa słowa: „Obsługa osobista”.

Tę wszedł do środka i natychmiast zorientował się, gdzie jest. Była to niewielka restauracja, typowa dla Starego Imperium. W lokalach tych wszystko nawiązywało do starożytnej tradycji, a zarówno w kuchni, jak i na sali zrezygnowano z automatów i maszyn. Większość tych miejsc w ogóle nie wymagała reklamy – wystarczyło, że zadowoleni goście wspomnieli przyjacielom o swoim ostatnim „odkryciu”, napominając ich przy tym, by nie rozpowiadali o nim.



„Nie chcemy, żeby zaczęły się tam schodzić tłumy”.

Tega zawsze bawiło takie podejście – rozpowiadasz o jakimś miejscu, jednocześnie udając, że trzymasz je w sekrecie.

Z kuchni na tyłach dolatywały wspaniałe zapachy gotującego się jedzenia. Minał go kelner z parującą tacą pełną obiecujących potraw.

Podeszła do niego młoda kobieta ubrana w krótką czarną sukienkę i biały fartuszek.

– Zapraszam do środka – powiedziała. – W rogu sali mamy wolny stolik.

– Odsunęła krzesło odwrócone plecami do ściany. – Ktoś przyjdzie za chwilę przyjąć zamówienie. – Podała mu sztywny arkusz taniego, grubego papieru. – Mamy drukowane menu. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

Teg patrzył, jak odchodziła. Kelner znów przeszedł obok, tym razem idąc w stronę kuchni. Taca była już pusta.

Nogi same go tu doprowadziły, jakby biegł z góry wytyczoną trasą. A przy stoliku obok siedział, jedząc obiad, człowiek, którego szukał.

Kelner zatrzymał się, by zamienić parę słów z mężczyzną, od którego odpowiedzi Teg uzależniał wszelkie swoje dalsze posunięcia. Śmiali się z czegoś. Baszar rozejrzał się po sali: jeszcze tylko trzy stoliki były zajęte. W przeciwległym kącie siedziała starsza pani, dziobiąc mrożony deser. Ubrana była w coś, co Teg uznał za ostatni krzyk mody: krótką, obcisłą czerwoną suknię z dużym wycięciem oraz buty w identycznym kolorze. Stolik na prawo od niego zajmowała para młodych ludzi. Nie widzieli nikogo poza sobą. Przy stoliku po lewej starszy mężczyzna w staromodnej, dopasowanej brunatnej tunice jadł powoli porcję zielonych warzyw, od których nie mógł oderwać wzroku.

Człowiek rozmawiający z kelnerem roześmiał się głośno.

Teg spojrział na potylicę kelnera. Kosmyki jasnych włosów sterczały mu nad karkiem jak kępki wyschłej trawy. Kołnierz miał mocno sfatygowany. Teg popatrzył na buty: obcasy były zdarte. Również brzeg czarnej marynarki był wystrzępiony. Czy właściciel lokalu zmuszony był do aż takiej oszczędności? Może to nie oszczędność, tylko jakiś inny rodzaj ekonomicznej presji? Dobiegające z kuchni zapachy sugerowały, że nie żałowano tu jakichkolwiek środków. Zastawa była czysta i lśniąca, żadnych obtłuczonych talerzy. Obrus w czerwono-białe pasy był jednak w paru miejscach cerowany dokładnie dobranymi nićmi w takich samych kolorach.

Teg raz jeszcze przyjrzał się gościom. Wyglądali na zamożnych. Nie było tu głodującej biedoty. Teg wiedział już, o co chodziło: lokal nie tylko był zamkniętym miejscem dla wybranych gości, ale w dodatku zadbano, by wewnątrz panowała swojska, domowa atmosfera. Ktoś sprytnie to wymyślił. W takich miejscach młodzi, spragnieni awansu urzędnicy umawiali się z bogatymi klientami albo wprowadzali tu przełożonych. Jedzenie było świetne, a porcje obfite. Teg wiedział, że instynkt słusznie go tu sprowadził. Mógł się teraz skupić na karcie dań, pozwoliwszy sobie wreszcie poczuć, jaki jest głodny. Odczuwał głód co najmniej tak potężny jak ten, który tak zadziwił marszałka Muzzafara.

Kelner pojawił się przy nim z tacą, na której stały niewielkie otwarte pudełko i słoiczek pachnący maścią regenerującą skórę.

– Widzę, że zraniłeś się w rękę, baszarze – powiedział, stawiając tacę na stole. – Pozwól, że ją opatrzę, nim złożysz zamówienie.

Teg uniósł skaleczoną dłoń i przyglądał się, jak mężczyzna szybko i fachowo nakłada opatrunek.

– Znasz mnie? – zapytał.

– Tak, baszarze. Chociaż po tym, co słyszałem, dziwi mnie, że widzę cię w mundurze. Gotowe. – Wskazał opatrunek.

– A co słyszałeś? – spytał Teg cicho.

– Że Dostojne Matrony na ciebie polują.

– Właśnie zabiłem kilka oraz wielu ich... Jak to nazwać?

Mężczyzna zbladł, odpowiedział jednak twardo:

– „Niewolnicy” byłoby dobrym określeniem.

– Byłeś pod Renditai, prawda? – zapytał Teg.

– Tak, panie. Wielu z nas osiedliło się potem tutaj.

– Muszę coś zjeść, nie mam jednak czym zapłacić.

– Nikt spod Renditai nie wzięłby od ciebie pieniędzy, baszarze. Czy wiesz, że tu przyszedłeś?

– Nie sędzę.

– Na sali są w tej chwili tylko stali klienci. Żaden z nich by cię nie zdradził. Postaram się dać ci znać, gdyby pojawił się ktoś groźny. Co chciałbyś zjeść?

– Muszę zjeść bardzo dużo, to najważniejsze. Wybór pozostawiam tobie. Węglowodanów ze dwa razy tyle co białka. Żadnych środków pobudzających.

– Co mam rozumieć przez „bardzo dużo”?

– Przynoś nowe dania, póki nie powiem ci, żebyś przestał... albo póki nie uznasz, że nadużyłem twojej gościnności.

– Wbrew pozorom nie cierpimy tu biedy. Same napiwki uczyniły mnie bogatym.

„Punkt dla mnie” – pomyślał Teg. Słusznie uznał, że pozornie ubogi wystrój to zamierzony efekt.

Kelner oddalił się i znów zamienił parę słów z mężczyzną przy stoliku pośrodku sali. Gdy zniknął wreszcie w kuchni, Teg otwarcie przyjrzał się tamtemu. Tak, to bez wątpienia on. Na stojącym przed nim talerzu piętrzyła się góra makaronu udekorowanego świeżą zieleniną.

Jego wygląd zdradzał wyraźny brak kobiecej ręki. Miał krzywo zapięty kołnierzyk, poskręcane sprzączki przy zapięciu, lewy mankiet poplamiony zielonkawym sosem. Był praworęczny i jedząc, nie zważał na to, że ochlapuje sobie trzymaną zbyt blisko talerza lewą rękę. Nogawki spodni były wystrzępione u dołu, a podwinięty brzeg jednej z nich odpruł się częściowo i zwisał przy obcasie. Skarpetki były nie od pary – jedna niebieska, druga bladożółta. Wydawało się jednak, że żadna z tych rzeczy mu nie przeszkadzała. Żadna matka ani żona najwidoczniej nigdy nie cofnęła go od drzwi, każąc doprowadzić się do porządku. Całym wyglądem zdawał się głosić swoją fundamentalną zasadę: „Jestem dokładnie taki, na jakiego wyglądam”.

Mężczyzna gwałtownym ruchem uniósł głowę, a jego brązowe oczy rozejrzały się bacznie po sali, zatrzymując chwilę na każdym z gości, tak jakby szukał kogoś konkretnego. Potem znów skupił się na swoim talerzu.

Kelner wrócił, niosąc talerz klarownej zupy, w której pływały kawałki jajka i jakieś zielone warzywa.

– Zanim przygotujemy pozostałe dania – wytłumaczył.

– Przyjechałeś tu od razu po Renditai? – zapytał Teg.

– Tak, baszarze. Ale służyłem pod tobą również pod Aklinem.

– Sześćdziesiąty siódmy z Gammu – przypomniał sobie Teg.

– Tak jest!

– Udało nam się wtedy ocalić wiele istnień – rzekł baszar. – Zarówno po ich, jak i po naszej stronie.

Teg nadal nie zaczynał jeść, kelner więc dość chłodnym tonem zapytał:

– Życzysz sobie wykrywacz, baszarze?

– Nie kiedy ty mi podajesz – odrzekł Teg. Mówił szczerze, nie czuł się jednak do końca w porządku, bo dzięki podwójnemu widzeniu wiedział, że

jedzenie nie było zatrute.

Zadowolony kelner odwrócił się, by odejść.

– Jeszcze jedno – zatrzymał go Teg.

– Tak?

– Ten człowiek przy stoliku na środku. To wasz stały klient?

– Profesor Delnay? O, tak.

– Delnay? Tak myślałem.

– To profesor sztuki wojennej. I jej historii.

– Wiem. Kiedy nadejdzie pora deseru, zapytaj, proszę, profesora Delnaya, czy nie zechciałby do mnie dołączyć.

– Mam mu powiedzieć, kim jesteś, baszarze?

– Nie sądzisz, że on już to wie?

– To możliwe, ale...

– Zbytnią ostrożność nigdzie nas nie doprowadzi. Przynies teraz jedzenie – powiedział Teg.

Delnay przyglądał się Tegowi z niekłamanym zainteresowaniem na długo przed tym, nim kelner przekazał mu zaproszenie.

– To był najbardziej zdumiewający spektakl gastronomiczny, jaki kiedykolwiek widziałem – rzekł, gdy usadowił się wreszcie naprzeciw Tega.

– Jest pan pewien, że zmieści jeszcze deser?

– Co najmniej dwie albo trzy porcje – odparł Teg.

– Niesamowite!

Mentat wziął do ust łyżeczkę polanych miodem słodkości. Przełknął je i powiedział:

– To miejsce to prawdziwy klejnot.

– Staram się trzymać je w sekrecie – odrzekł Delnay. – Zna je tylko kilku bliskich przyjaciół. Czemu zawdzięczam to zaproszenie?

– Czy zostałeś kiedyś... eee... *naznaczony* przez Dostojną Matronę?

– Na bogów zatracenia, nie! Nie jestem aż tak ważny.

– Mam zamiar poprosić cię, byś zaryzykował swoje życie, Delnay.

– Jak?

– Żadnego wahania. To dobry znak.

– Jest w Ysai miejsce, w którym spotykają się moi dawni żołnierze. Muszę się tam dostać i spotkać z tyloma, z iloma to będzie możliwe.

– Chcesz iść przez miasto w pełnym umundurowaniu, tak jak teraz?

– Załatw to tak, jak według ciebie będzie najlepiej.

Delnay przytknął palec do dolnej wargi, odchylił się do tyłu i w zadumie spojrzał na Tega.

– Taką sylwetkę jak twoja niełatwo będzie ukryć. Może mam jednak pewien sposób. – Pokiwał w zamyśleniu głową. – Tak. – Uśmiechnął się. – Obawiam się, że to ci się nie spodoba.

– Co masz na myśli?

– Wypchamy cię trochę i przerobimy tu i tam. Przemycimy cię jako nadzorcę Bordanów. Będziesz oczywiście śmierdzieć ściekami. I musisz udawać, że tego nie zauważasz.

– Dlaczego to miałyby się udać?

– Na dzisiejszy wieczór zapowiadana jest burza. To normalne o tej porze roku. Ziemia nabiera wilgoci przed przyszłorocznymi zbiorami. Zbiorniki cieplarni wypełniają się wodą i tak dalej.

– Niewiele z tego rozumiem, ale kiedy skończę następny deser, wyjdziemy – rzekł Teg.

– Spodoba ci się miejsce, w którym zazwyczaj przeczekujemy burzę – powiedział Delnay. – Jestem szalony, że się w to wplątuję. Właściciel tej restauracji powiedział mi jednak, że mam ci pomóc albo nigdy więcej się tu nie pokazywać.

Godzinę po zmroku Delnay poprowadził Tega na miejsce zbiórki. Ubrany w skórzany strój roboczy, utykając sztucznie, Teg zmuszony był użyć całej swojej siły woli, by ignorować bijący od niego odór kanalizacji. Przyjaciele Delnaya okleili go odchodami, a potem splukali wężem. Podczas suszenia najbardziej uporczywe wonie tylko się nasiliły.

Odczyty na ekranach czujników meteorologicznych przy drzwiach lokalu wskazywały, że temperatura na zewnątrz spadła w ciągu ostatniej godziny o piętnaście stopni. Delnay zostawił go i zniknął w zatłoczonej sali, z której dobiegały głośne rozmowy i pobrząkiwanie szklanek. Teg przystanął, przyglądając się prognozie pogody. Wiatr dochodził w porywach do trzydziestu jednostek, ciśnienie spadało. Spojrzał na napis nad ekranami z prognozą: „Na użytek naszych klientów”.

Dobry użytek na pewno robił z nich tutejszy bar. Wychodzący klienci, zerknąwszy na aktualne odczyty, mogli jeszcze zmienić zdanie i wrócić do ciepłego wnętrza i miłego towarzystwa.

W dużym kominku, usytuowanym w przytulnym kącie po drugiej stronie baru, palił się prawdziwy ogień. Drewno pachniało pięknie.

Delnay wrócił, zmarszczył nos, poczuwszy bijący od Tega zapach, i za plecami wypełniających salę gości poprowadził go do wyposażonego w prywatną łazienkę pokoju na tyłach. Na krześle, wyprasowany i wyczyszczony, wisiał mundur Tega.

– Będę czekał przy kominku – powiedział Delnay.

– A więc jednak w pełnym umundurowaniu? – rzucił Teg.

– To groźne tylko na ulicach – odparł profesor i wyszedł tą samą drogą, którą tu przyszedł.

Gdy Teg wrócił na salę i torował sobie drogę do kominka, ludzie, rozpoznając go, milkli nagle. W tłumie dały się słyszeć szepty: „To stary baszar we własnej osobie”. „Tak, to Teg. Służyłem z nim, o tak. Wszędzie rozpoznałbym tę twarz i sylwetkę”.

Goście stłoczyli się przy kominku, instynktownie szukając ciepła. Unosił się tu zapach przemoczonych ubrań i przesyconych alkoholem oddechów.

Więc to burza przygnała ich wszystkich do tego lokalu? Patrząc na otaczające go twarze zaprawionych w bojach żołnierzy, Teg pomyślał, że mimo wszystkiego, co mówił mu Delnay, nie jest to przypadkowe zgromadzenie. Wszyscy jednak wyraźnie znali się dobrze i na pewno nieraz się tu spotykali.

Delnay siedział na jednej z ławek przy kominku, trzymając szklankę wypełnioną bursztynowym napojem.

– Dałeś im znać, że mają tu na nas czekać – powiedział Teg.

– Czy nie o to ci chodziło, baszarze?

– Kim ty jesteś, Delnay?

– Mam małą farmę na południu, niedaleko stąd. Mam też paru przyjaciół bankierów, którzy od czasu do czasu nie odmówią mi pożyczania samochodu. Jeśli chcesz, bym wyrażał się jeszcze jaśniej, to tak samo jak wszyscy w tej sali pragnę, by Dostojne Matrony zostawiły nas wreszcie w spokoju.

– Czy to prawda, że zabiłeś ich dzisiaj setkę, baszarze? – spytał ktoś stojący za Tegiem.

– Ta liczba jest znacznie przesadzona – odpowiedział sucho, nie odwracając się. – Czy mógłbym dostać coś do picia?

Dzięki wysokiemu wzrostowi, czekając na swój napój, Teg mógł się rozejrzeć po sali. Chwilę później ktoś wcisnął mu szklankę ciemnobłękitnego Marinete z Danu, dokładnie tak, jak się spodziewał. Jego starzy żołnierze wiedzieli, co lubi najbardziej. Goście pili nadal, teraz już

jednak w znacznie wolniejszym tempie, wyraźnie czekając, aż przedstawi im swoje zamiary.

W taką burzliwą noc naturalny instynkt stadny dodatkowo się wzmacnia, rozmyślał Teg. Zbierzmy się przy ognisku u wylotu jaskini, wojownicy! Nie przejdzie obok nas żadne zło, zwłaszcza gdy bestie zobaczą, że mamy tu ogień. Sącząc swój trunek, zastanawiał się, ile podobnych zebrań odbywało się na Gammu w takie noce. Zła pogoda mogła pomóc w ukryciu pewnych ruchów, których zgromadzeni tu towarzysze woleliby nie ujawniać. Mogła też zatrzymać w domu osoby, które w innych warunkach miały za zadanie patrolować ulice.

Teg rozpoznał paru swoich dawnych towarzyszy – oficerów przemieszanych ze zwykłymi żołnierzami. Niektórych wspominał bardzo dobrze, jako ludzi godnych zaufania. Część z nich na pewno zginie tej nocy.

Po pewnym czasie poczuli się w jego obecności swobodnie i gwar rozmów zaczął znowu narastać. Nikt nie domagał się od niego wyjaśnień. To też o nim wiedzieli. Teg lubił sam wybierać czas działania.

Taki sam dźwięk rozmów i śmiechu towarzyszyć musiał podobnym spotkaniom od zarania dziejów, od kiedy ludzkość zaczęła dla bezpieczeństwa zbierać się razem. Brzęk szkła, nagłe wybuchy wesołości, od czasu do czasu cichy chichot tych, którzy najbardziej świadomi byli własnej pozycji. Dyskretny śmiech oznaczał, że możesz się bawić jak inni, nie musisz jednak robić z siebie rechoczącego błazna. Delnay śmiał się cicho.

Teg rzucił okiem w górę i zauważył, że belkowany sufit jest dość nisko, przez co znajdująca się pod nim przestrzeń wydawała się jednocześnie większa i bardziej przytulna. Ten, kto budował ów lokal, wiedział dużo o ludzkiej psychice. To samo zauważył już w wielu miejscach na tej planecie. Dbałość o to, by uśpić niepożądaną czujność, by ludzie czuli się wygodnie i bezpiecznie. Nie są bezpieczni, o nie, nie powinno to wszakże do nich dotrzeć.

Jeszcze chwilę Teg przyglądał się, jak zręczna obsługa roznosi kolejne napoje – ciemne miejscowe piwo i drogie trunki z importu. Wzdłuż baru i na dyskretnie oświetlonych stolikach stały miseczki z chrupiącymi, mocno solonymi smażonymi warzywami. Nikt nie miał tu nic przeciwko temu aż nazbyt oczywistemu chwytowi mającemu wzmocnić pragnienie gości. W tej branży było to zupełnie naturalne. Piwo oczywiście też było mocno osolone. Jak zawsze. Browarnicy dobrze wiedzieli, jak zwiększać popyt.

Niektóre grupki zaczęły się zachowywać coraz hałaśliwiej. Pradawna magia mocnych trunków roztaczała swoją moc. Bachus był wśród nich! Teg wiedział, że gdyby pozwolono temu zebraniu potoczyć się zwykłym torem, za jakiś czas hałas osiągnąłby punkt kulminacyjny, a potem, bardzo powoli, zaczęłby wygasać. Ktoś poszedłby zapewne sprawdzić odczyty pogodowe i w zależności od tego, co by w nich znalazł, lokal opustoszałby natychmiast albo dużo spokojniejsza już zabawa trwałaby jeszcze trochę. Zdał sobie nagle sprawę, że gdzieś za kontuarem są niewątpliwie kontrolki pozwalające zmieniać wskazania meteorologiczne przy drzwiach. Bar taki jak ten z pewnością nie zaniedbałby tej możliwości dodatkowego zwiększenia obrotów.

„Zaciągnąć klientów do środka i utrzymać ich tu jak najdłużej przy użyciu dowolnych metod, które nie będą im jawnie przeszkadzać”.

Właściciele tego lokalu bez mrugnięcia okiem zawarliby przymierze z Dostojnymi Matronami.

Teg odstawił szklankę.

– Czy mogę prosić was o uwagę? – zawołał.

Cisza.

Nawet kelnerzy zatrzymali się, nie bacząc na to, czym byli akurat zajęci.

– Niech ktoś obejmie straż przy drzwiach – zaczął Teg. – Nikt nie może wejść ani wyjść bez mojego rozkazu. Dotyczy to również tamtych drzwi na tyłach.

Gdy zostało to już załatwione, przyjrzał się uważnie obecnym, zapamiętując tych, co do których dzięki podwójnemu widzeniu, a także wojennemu doświadczeniu nie miał wątpliwości, że może na nich w pełni polegać. Było już dla niego zupełnie jasne, co powinien zrobić. Na granicy pola widzenia majaczyły mu sylwetki Burzmalego, Lucylli i Duncana i wiedział dobrze, czego w tej chwili potrzebują.

– Zakładam, że nie pochowaliście swojej broni zbyt głęboko – rzekł.

– Przyszliśmy przygotowani, baszarze! – zawołał ktoś w głębi sali.

Teg usłyszał w jego głosie wpływ alkoholu, ale także dobrze znany zastrzyk adrenaliny, tak ważny i drogi dla tych ludzi.

– Musimy zdobyć statek pozaprzestrzenny – powiedział.

To ostatecznie ich porwało. Żaden produkt współczesnej cywilizacji nie był lepiej strzeżony. Statki te lądowały tylko na wyznaczonych lądowiskach, skąd bardzo szybko odlatywały. Ich pancerne burty najeżone były bronią. W strategicznych miejscach załogi utrzymywały bezustannie stan



pogotowia. Można by coś może zdziałać fortelem, ale otwarty atak nie miał szans powodzenia. Tu, na tej sali, świadomość Tega podniosła się jednak o stopień wyżej, gnana potrzebą i uśpionym dotąd tajemniczym dziedzictwem krwi Atrydów. Zobaczył wyraźnie pozycje wszystkich statków pozaprzestrzennych na Gammu. Przed oczami widział jakby mapę, jasne punkciki połączone liniami, które wskazywały mu drogę przez ten labirynt.

„Ale ja nie chcę iść” – pomyślał.

Siła, która pchała go naprzód, nie pozwoli mu się długo opierać.

– Dokładnie rzecz biorąc, chodzi o jeden ze statków Rozproszonych – powiedział. – Są najlepsze. Ty, ty i ty, i jeszcze ty. – Wskazywał pojedynczych ludzi w tłumie. – Zostaniecie tutaj i dopilnujecie, by nikt się stąd nie wydostał ani w żaden inny sposób nie skontaktował z nikim z zewnątrz. Sądzę, że was zaatakują. Utrzymajcie się tak długo, jak tylko zdołacie. Pozostali, bierzcie broń i ruszamy.



Sprawiedliwość? Kto szuka sprawiedliwości? Zaprowadzimy własną sprawiedliwość. Zaprowadzimy ją tutaj, na Arrakis, zwyciężając albo ginąc. Przestańmy pomstować na sprawiedliwość, dopóki mamy ręce i możemy nimi władać.

– Leto I, archiwa Bene Gesserit

Statek pozaprzestrzenny zniżył się nad rakańskie piaski. Jego przelot wzbijał tumany pyłu, który unosił się wokół, gdy siadał w szeleście osypujących się diun. Srebrzystożółte słońce zapadało się w horyzont, a jego obraz zniekształcały drgania powietrza rozgrzanego po długim, upalnym dniu. Statek pozaprzestrzenny wylądował z przeraźliwym zgrzytem. Tylko zmysły wzroku i słuchu mogły potwierdzić obecność połyskującej stalowej kuli. Była nie do wykrycia przez instrumenty czy widzenie pozazmysłowe. Właśnie to widzenie upewniało Tega, że niczyje oko nie oglądało lądowania.

– Chcę tu mieć dookoła wozy pancerne i ornitoptery, najpóźniej za dziesięć minut!

Ludzie rzucili się wykonać rozkaz.

– Jesteś pewien, że tu będą, baszarze?

Głos należał do towarzysza od kieliszka z baru na Gammu, zaufanego oficera spod Renditai. Nie był już w nastroju do ponownego przeżywania emocji ze swoich młodych lat. Widział starych przyjaciół ginących na Gammu. Jak większość z tych, którzy przeżyli, opuścił rodzinę, nie wiedząc, jaki los ją czeka. W jego głosie był cień goryczy, jakby chciał przekonać sam siebie, że wciągnięto go w tę ryzykowną grę.

– Wkrótce się zjawia – powiedział Teg. – Przybędą na grzbiecie czerwia.

– Skąd wiesz?

– Wszystko zostało umówione.

Teg przymknął oczy. Nie potrzebował ich, by widzieć krzątanie wokół. Tak samo było na tylu innych stanowiskach dowodzenia: owalna sala z ekranami, ludzie z obsługi, oficerowie czekający na rozkazy.

– Co to za miejsce? – spytał ktoś.

– Widzisz te skały na północy? – odpowiedział Teg. – Kiedyś był to klif zwany Oddzielaczem Wiatru. Była tu sicz Fremenów, dziś tylko jaskinia, nic więcej. Mieszka tu jeszcze paru osadników.

– Fremen! – szepnął ktoś. – O bogowie! Chcę zobaczyć nadejście tego czerwia! Nie myślałem, że będzie mi to dane!

– Jeszcze jedna z twoich niespodzianek? – spytał z rosnącym rozgoryczeniem oficer.

„Co by powiedział, gdybym mu ujawnił moje nowe możliwości? Mógłby pomyśleć, że skrywam przed nimi zamiary, które przy bliższym oglądzie są nie do wykonania. I może miałby rację. Ten człowiek jest bliski zrozumienia. Czy pozostanie lojalny, jeśli otworzę mu oczy?” Teg pokręcił głową. Ten oficer nie miał wyboru. Żaden z nich nie miał. Mogli tylko walczyć i zginąć.

„Prawdą jest, że samo planowanie konfliktów zakłada oszukiwanie mas. Jakże łatwo przy tym przyjąć postawę i metody Dostojnych Matron!”

„Ohyda!”

To oszukiwanie było łatwiejsze, niż można by sądzić. Większość ludzi chce, by ich prowadzić. Chciał tego również ów oficer. W osiągnięciu tego pomagały głęboko tkwiące instynkty plemienne, potężne nieświadome motywacje. Naturalną reakcją tych, którzy uświadamiają sobie, jak łatwo było ich prowadzić, jest szukanie kozła ofiarnego. Tamten oficer szukał właśnie kozła ofiarnego.

– Burzmali chce się z tobą widzieć – powiedział ktoś z lewej.

– Nie teraz – odrzekł Teg.

Burzmali mógł zaczekać. Wkrótce nadejdzie jego kolej, by dowodzić. Póki co jednak przeszkadzał. Jeszcze zdąży otrzeć się niebezpiecznie o rolę kozła ofiarnego.

Jakże łatwo było znajdować kozły ofiarne i jak chętnie je akceptowano! Zwłaszcza gdy alternatywą było uznanie siebie za winnego albo za głupca. Teg miał ochotę powiedzieć wszystkim wokół: „Przyjrzyjcie się, jak was oszukują, a poznacie nasze prawdziwe intencje!”

– Tamta Matka Wielebna jest teraz z Burzmalim – oznajmił oficer łączności z lewej. – Nalega, żebyś ich przyjął.

– Powiedz Burzmalemu, że ma wrócić i pozostać przy Duncanie – polecił Teg. – I niech się zajmie Murbellą, dopilnuje, żeby była bezpieczna. Lucylla może wejść.

„Tak musiało być” – pomyślał.

Lucylla z coraz większą nieufnością podchodziła do zachodzących w nim przemian. Pozwólmy Matce Wielebnej zobaczyć różnicę.

Wtargnęła z szelestem szat, dobrze jednak ukrywając gniew.

– Żądam wyjaśnienia, Miles!

„Dobry początek” – pomyślał.

– Wyjaśnienia czego? – spytał.

– Dlaczego nie udamy się wprost do...

– Ponieważ Dostojne Matrony i ich tleilaxańscy kompani z Rozproszenia zajmują większość rakańskich miast.

– Skąd... skąd możesz...

– Musisz wiedzieć, że zabili Tarazę – rzekł.

Powstrzymało ją to, lecz nie na długo.

– Miles, musisz mi powiedzieć...

– Nie mamy wiele czasu. Następny przelot satelity ujawni naszą obecność.

– A co z obroną Rakis?

– Ma słabe punkty, jak każda obrona, kiedy się staje statyczna. Rodziny obrońców są tu, na dole. Mając je w rękę, masz w rękę i obrońców.

– Więc co tu robimy?

– Mamy zabrać Odrade i tę dziewczynę z nią. Ich czerwia także.

– I co zrobimy z...

– Odrade wie, co zrobić z czerwiami. Jest teraz Matką Przełożoną.

– Mamy więc uciekać...

– Wy macie uciekać! Moi ludzie i ja zostajemy, by odwrócić ich uwagę.

Na stanowisku dowodzenia zapadła martwa cisza.

„Odwrócić uwagę – pomyślał Teg. – Jakież to niewłaściwe słowo”.

Opór, jaki zamierzał stawić, popchnie Dostojne Matrony do desperackich kroków, zwłaszcza kiedy będą zmuszone uwierzyć, że ghola jest tutaj. Nie poprzestaną na kontrataku. Mogą uruchomić procedurę wyjąłowania. Większa część Rakis obróci się w zgliszcza. Małe będą szanse przeżycia jakichkolwiek ludzi, czerwci czy piaskowych troci.

– Dostojne Matrony bezskutecznie usiłowały wykryć i schwytać czerwia – powiedział. – Dziwi mnie, iż nie mogą zrozumieć, że przeniesiecie jednego z nich.

– Przeniesiemy? – Lucylla zająknęła się.

Teg nieczęsto widział Matkę Wielebną tak zakłopotaną. Próbowwała złożyć w całość to, co powiedział. Zauważył już, że członkinie zgromadzenia wykazują zdolności mentackie. Mentat mógł wyciągnąć właściwe wnioski, nie dysponując kompletem danych. Pomyślał, że mógłby się znaleźć poza jej zasięgiem (albo każdej innej Matki Wielebnej), zanim zgromadziłyby te dane. Ale potem rzuciłyby się na jego córki! Zatrzymałyby Dimele do rozplodu. I Odrade. Nie zdołałyby uciec.

Miały też klucz do kadzi aksolotlowych Tleilaxan. Będzie tylko kwestią czasu, by Bene Gesserit przełamały swe skrupuły i opanowały to źródło przyprawy. Dostarczało jej ludzkie ciało!

– Zatem grozi nam tu niebezpieczeństwo? – spytała.

– Pewne niebezpieczeństwo, tak. Kłopot z Dostojnymi Matronami polega na tym, że są zbyt bogate. Popełniają błędy bogatych.

– Zdeprawowane dziwki!

– Radzę przejść do luku wejściowego – rzekł. – Odrade zaraz tu będzie.

Odeszła bez słowa.

– Wszystkie pojazdy pancerne na stanowiskach – zameldował oficer łączności.

– Niech Burzmali będzie gotów do przejęcia tu dowództwa. Pozostali wyruszają w teren.

– Spodziewasz się, że wszyscy pójdziemy za tobą? – To był znów ten szukający kozłów ofiarnych.

– Ja wyruszam – odparł Teg. – Pójdę sam, jeżeli trzeba. Nikt nie musi iść za mną, jeśli nie chce.

„Po takich słowach pójdą wszyscy – pomyślał. – Przymus dorównania innym. Nie zrozumie tego, kto nie wyszedł ze szkoły Bene Gesserit”.

W centrum dowodzenia ponownie zapadła cisza przerywana tylko mruczeniem i potrzaskiwaniem przyrządów. Teg pogrążył się w rozmyślaniach o „zdeprawowanych dziwkach”.

„Nie należy ich nazywać zdeprawowanymi” – stwierdził. Czasami bardzo bogaci stawali się zdeprawowani. Brało się to z wiary, że pieniądze – władza – mogą kupić wszystko i wszystkich. I czemu by nie mieli w to wierzyć? Widzieli to codziennie. Łatwo uwierzyć w stwierdzone fakty.

„Nadzieja jest wieczna, a wszystko inne marność!”

To było jak jakaś inna religia. Pieniądze kupią to, co niemożliwe.

A potem przychodziła deprawacja.

Z Dostojnymi Matronami było inaczej. W jakiś sposób były poza deprawacją. Przeszły przez nią, widział to, teraz zaś były tak daleko poza nią, że Teg nie był pewny, czy naprawdę chce o tym wiedzieć.

A jednak wiedział. Jego nowa świadomość nie mogła uniknąć tej wiedzy. Nikt z tamtych nie zawaha się ani chwili przed skazaniem na męki całej planety dla osobistego zysku albo jakiejś wyimaginowanej przyjemności. Albo gdyby te męki dały tamtym kilka dni życia więcej.

Jeśli tylko można to nazwać życiem.

Co im sprawiało przyjemność? Co było nagrodą? To było jak uzależnienie od semuty. Jeżeli coś sprawiało im przyjemność, za każdym razem chciały tego więcej.

„I wiedzą o tym!”

Jakże się muszą wściekać! Dać się złapać w taką pułapkę! Widziały już wszystko i niczego nie miały dość. Całkiem straciły umiar.

Były jednak niebezpieczne. I być może mylił się co do jednego. Może one już nie pamiętają, jak to było przed straszliwą transformacją owego dziwnego stymulantu o gorzkim zapachu, który zabarwił im oranżem oczy. Wspomnienia wspomnień mogą być wypaczone. Każdy mentat widział w sobie tę skazę.

– Widzę czerwia!

Był to głos oficera łączności.

Teg obrócił się na fotelu i spojrzał na projekcję, miniaturowe holo otoczenia od południowego zachodu. Czerw ze swymi pasażerkami, dwiema maleńkimi kropkami, był tylko odległym pasemkiem falującego ruchu.

– Wprowadźcie tu Odrade samą, kiedy przybędą – powiedział. – Sziena, ta dziewczyna, ma pomóc zagnać czerwia do ładowni. Posłucha jej.

Sprawdźcie, czy jest tu Burzmali. Nie będziemy mieli dużo czasu na przekazanie dowództwa.

Wchodząc na stanowisko dowodzenia, Odrade oddychała jeszcze gwałtownie. Bił od niej zapach pustyni, mieszanina woni przyprawy, krzemienia i potu. Teg najwyraźniej odpoczywał. Oczy miał przymknięte.

Odrade pomyślała, że zaskoczyła baszara w nietypowej dla niego chwili wytchnienia, prawie zadumy. Otworzył oczy, ona zaś dostrzegła tę przemianę, przed którą Lucylla ledwie zdołała ją ostrzec. Czym było to, co się przydarzyło Tegowi? Nie odwracał twarzy, pozwalając Odrade przyglądać się. Stanowczy podbródek miał nieco uniesiony w zwykłej dla niego postawie obserwatora. Pociągła twarz z siecią zmarszczek nie straciła niczego ze swej czujności. Długi, wąski nos, dziedzictwo po przodkach z rodów Corrinów i Atrydów, nieco się wydłużył z upływem lata. Siwe włosy nadal jednak były gęste, a mała wypukłość na czole skupiała wzrok patrzącego...

„Na jego oczach!”

– Skąd wiedziałeś, gdzie na nas czekać? Nie miałyśmy pojęcia, dokąd nas niesie czerw!

– Jest tylko kilka zamieszkanym miejsc tu, na południowej pustyni. Ryzyko gracza. To wydawało się odpowiednie.

„Ryzyko gracza?”

Teg wstał z fotela.

– Bierz ten statek i leć, sama wiesz najlepiej dokąd.

„Na Kapitułę?” Miała tę nazwę na ustach, pomyślała jednak o tych obcych wojskowych, których zgromadził baszar. Co to za jedni? Nie zadowolili jej krótkie wyjaśnienia Lucylli.

– Zmienimy nieco plan Tarazy – powiedział Teg. – Ghola tu nie zostanie. Musi lecieć z tobą.

Rozumiała powody. Nowe talenty Duncana Idaho będą potrzebne, by oprzeć się dziwkom. Nie był już tylko zachętą do zniszczenia Rakis.

– Nie będzie mógł, rzecz jasna, opuszczać statku.

Skinęła głową. Duncan pozbawiony był osłony przed widzeniem ponadmysłowym... choćby nawigatorów Gildii.

– Baszarze! – krzyknął oficer łączności. – Satelita nas namierzył!

– Dalej, szczury pustyni! – zawołał Teg. – Wszyscy na zewnątrz! Dawać tu Burzmalego!

Właz od strony rufy rozsunał się i Burzmali wpadł do wnętrza.

– Baszarze! Co my...

– Nie ma czasu! Przejmuj statek! – Teg skinął na Burzmalego, by zajął fotel dowódcy. – Odrade powie ci, dokąd lecieć. – I w porywie czułości ujął ramię Odrade, przyciągnął ją i pocałował w policzek. – Czyń, co powinnaś, córko! – wyszeptał. – Ten czerw w ładowni może być wkrótce jedynym we wszechświecie.

W owej chwili Odrade zrozumiała, że Teg znał całość planu Tarazy i zamierzał wykonać polecenia Matki Przełożonej aż do końca.

„Czyń, co powinnaś!” Te słowa mówiły wszystko.



Nie patrzymy na nowy stan materii, ale na nowo poznany związek między świadomością i materią, który zapewnia nam głębszy wgląd w mechanizm jasnowidzenia. Prorok kształtuje rzutowany do środka wszechświat, aby stworzyć z niepojętych sił nowe zewnętrzne prawdopodobieństwa. Nie trzeba rozumieć tych sił, by ich użyć do kształtowania fizycznego wszechświata. Starożytni metalurdzy nie musieli rozumieć molekularnej i submolekularnej złożoności stali, brązu, miedzi, złota i cyny. Wymyślili mistyczne siły, aby opisać nieznane, sami zaś trudzili się przy dymarkach i bili młotami.

– Matka Przełożona Taraza, wystąpienie na radzie

Starożytny budynek, w którym zgromadzenie ukryło swą kapitułę, archiwa i biura duchowych władz, nie skrzypiał po nocach zwyczajnie. Jego odgłosy przypominały sygnały. W ciągu wielu spędzonych tutaj lat Odrade nauczyła się odczytywać owe sygnały. Tamten szczególny dźwięk, tamto skrzypienie, to niewymieniana od ośmiuset lat drewniana belka pod podłogą. Nocą kurczyła się i skrzypiała.

Odrade miała do pomocy wspomnienia Tarazy. Wspomnienia nie były jeszcze w pełni zintegrowane, bo zbyt mało było na to czasu. Nocą, w dawnej pracowni Tarazy, Odrade wykorzystywała nieliczne wolne chwile, by kontynuować tę integrację.

„Dar i Tar nareszcie razem”.

To było całkiem wyraźne stwierdzenie Tarazy.

Ściganie Innych Wspomnień przypominało istnienie jednocześnie na wielu planach. Czasami były one bardzo głęboko, ale Taraza zawsze trzymała się blisko powierzchni. Odrade pozwoliła sobie zanurzyć się

głębiej w te wielorakie istnienia. Szybko rozpoznała „ja”, którym właśnie oddychała, oddalone, podczas gdy inne domagały się, żeby pograżyła się w tych wszechogarniających wizjach pełnych zapachów, dotknięć i emocji – wszystkiego, co zostało zachowane w jej świadomości.

„Śnienie cudzych snów odbiera spokój”.

To znowu Taraza.

Taraza, która prowadziła niebezpieczną grę, kładąc na szali przyszłość zgromadzenia! Jak precyzyjnie określiła czas, w którym wyciekła do dziwek informacja, że Tleilaxanie wyposażyli gholę w niebezpieczne zdolności. Atak na twierdzę Gammu był potwierdzeniem, że informacja dotarła do swego źródła. Brutalność owego ataku ostrzegła Tarazę, że ma niewiele czasu. Można było mieć pewność, że dziwki zgromadzą środki do całkowitego zniszczenia Gammu – tylko po to, żeby zabić tamtego jednego gholę.

Tak wiele zależało od Tega.

Widziała baszara w swym zbiorze Innych Wspomnień: ojca, którego nigdy naprawdę nie poznała.

„Do końca go nie poznałam”.

Kopanie we wspomnieniach osłabiało, ale nie mogła uciec przed wezwaniem tego rezerwuaru pokus.

Pomyślała o słowach Tyrana: „Oto straszliwe pole mej przeszłości! Odpowiedzi zrywają się jak przestraszone stado ptaków, przesłaniając niebo moich wspomnień, od których nie ma ucieczki”.

Odrade zachowywała się jak pływak balansujący tuż pod powierzchnią.

„Najprawdopodobniej ktoś mnie zastąpi – stwierdziła. – Może mi nawet udzielią nagany”. Bellonda z pewnością nie zgodzi się łatwo na tę zmianę przywództwa. Nieważne. Powinno je obchodzić jedynie przetrwanie zgromadzenia.

Wydostała się z Innych Wspomnień i podniosła wzrok na niszę w przeciwległej ścianie, gdzie w słabym świetle lumisfer widać było posążek kobiety. Był tylko zarysem w cieniu, ale Odrade dobrze знаła tę twarz. Chenoeh, symboliczna strażniczka kapituły.

„Tylko dla chwały Bożej...”

Każda siostra, która przeszła agonię przyprawową (Chenoeh się to nie udało), mówiła albo myślała to samo, ale co to właściwie znaczyło? Staranne krzyżowanie i szkolenie dostarczały odpowiednią liczbę udanych osobników. Gdzie była w tym ręka Boża? Bóg z pewnością nie był tym



czerwem, którego przywiozły z Rakis. Czy był obecny jedynie w sukcesach zgromadzenia?

„Jestem ofiarą aspiracji własnej Missionaria Protectiva”.

Wiedziała, że podobne myśli i pytania ten pokój słyszał przy niezliczonych okazjach. To bez sensu! A jednak nie mogła się zdobyć na usunięcie popiersia strażniczki z niszy, w której spoczywało tak długo.

„Nie jestem przesądna – powiedziała sobie. – Nie działam kompulsywnie. To sprawa tradycji. Takie rzeczy mają wartość i dobrze o tym wiemy. I z pewnością moje popiersie nie będzie tak uhonorowane”.

Pomyślała o Waffie i jego maskaradnikach, którzy zginęli wraz z Milesem Tegiem w strasliwym unicestwieniu Rakis. Nie godzi się poświęcać zbyt wielu myśli temu krwawemu starciu i cierpieniom Starego Imperium. Trzeba myśleć o spirali odwetu napiętej przez bezmyślne okrucieństwo Dostojnych Matron.

„Teg wiedział!”

Na niedawno zakończonej sesji rada niczego nie postanowiła. Odrade gratulowała sobie, że udało jej się zwrócić uwagę na kilka pilnych spraw, na których wszystkim zależało.

Kara. Zajmowały się tym od pewnego czasu. Historyczne precedensy były wcieleniem analiz archiwów w zadowalającej formie. Tym grupom ludzi, które sprzymierzyły się z Dostojnymi Matronami, należał się wstrząs.

Ix z pewnością sam opadnie z sił. Nie podejrzewają nawet, że konkurowanie z Rozproszonymi może ich zmiażdżyć.

Gildia zostanie odsunięta i będzie zmuszona drogo płacić za swój melanz i swoje mechanizmy. Gildia i Ix rzucone razem, razem upadną.

Rybowódne można w zasadzie zignorować. Będąc satelitami Ixa, odchodziły w przeszłość, o której ludzie zapomną.

I Bene Tleilax. Ach, tak, Tleilax. Waff uległ Dostojnym Matronom. Nigdy tego nie przyznał, ale wszystko było jasne. „Tylko raz i z moim maskaradnikiem”.

Odrade uśmiechnęła się posępnie, wspominając gorzki pocałunek ojca.

„Każę tu wykonać jeszcze jedną niszę i zamówię jeszcze jedno popiersie: Milesa Tega, Wielkiego Heretyka!”

Niepokoili ją jednak podejrzenia Lucylli wobec Tega. Czyżby stał się jasnowidzem i *widział* statki pozaprzestrzenne? Cóż, genetyczki zbadają te podejrzenia.

– Okopałyśmy się! – złościła się Bellonda.

Wszystkie znały znaczenie tego słowa: wycofanie się na pozycje obronne przed długą nocą, nocą dziwek.

Odrade uświadomiła sobie, że nie lubi Bellondy, tego, jak tamta wybucha śmiechem, szczerząc wielkie zęby.

Długo omawiały próbki komórek Szieny. Wykazywały obecność „czynnika Siony”. Pochodzenie chroniło dziewczynę przed jasnowidzami, mogła więc opuścić statek pozaprzestrzenny.

Duncan nie mógł.

Odrade wróciła myślami do pozostawionego na statku gholi. Wstała, podeszła do ciemnego okna i spojrzała w kierunku odległego lądowiska.

Czy zaryzykować wypuszczenie Duncana spod osłony statku? Badania jego komórek wykazały, że jest skrzyżowaniem kilku gholi, z których paru pochodziło od Siony. Ale co z piętnem oryginału?

„Nie! Musi pozostać w ukryciu”.

A co z Murbellą? *Ciężarną* Murbellą? Pozbawioną czci Dostojną Matroną?

– Tleilaxanie chcieli, żebym zabił imprinterkę – powiedział Duncan.

– Spróbujesz zabić tę dziwkę? – spytała wtedy Lucylla.

– Ona nie jest imprinterką – odparł.

Rada omówiła już szczegółowo charakter związku Duncana z Murbellą. Zdaniem Lucylli, taki związek nie istniał, a tych dwoje było ostrożnymi przeciwnikami.

„Lepiej nie ryzykować pozostawiania ich razem”.

Seksualna sprawność tych dziwek wymagała jednak dokładnego zbadania. Być może warto byłoby zaryzykować spotkanie Duncana i Murbelli na statku pozaprzestrzennym. Zachowując oczywiście ostrożność.

Na koniec pomyślała o zamkniętym w ładowni czerwiu – czerwiu zbliżającym się do przemiany. Czekał na niego obwałowany ziemią mały basen z melanżem. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, Sziena zwabi go do kąpieli w melanżu i wodzie. Powstałe w jej wyniku piaskowe trocie rozpoczną swoją długą transformację.

„Miałeś rację, ojcze. Wszystko jest proste, gdy się patrzy wnikliwie”.

Nie trzeba szukać pustynnej planety dla czerwii. Piaskowe trocie same stworzą środowisko dla Szej-huluda. Nie było miło myśleć o Kapitulie przekształconej w ogromne pustkowia, ale należało to zrobić.

*Ostatnia wola i testament Milesa Tega*, które baszar wpisał w submolekularne systemy gromadzenia informacji statku

pozaprzestrzennego, muszą być uszanowane. Nawet Bellonda się z tym zgodziła.

Kapituła wymagała pełnego przeglądu wszystkich swoich zapisów historycznych. Potrzebne będzie nowe spojrzenie, w świetle tego, czego Teg dowiedział się o Utraconych – dziwkach z Rozproszenia.

„Nierzęsto macie okazję poznać nazwiska tych naprawdę bogatych i potężnych. Widzicie tylko ich rzeczników. Arena polityczna zna nieliczne wyjątki, ale nie pozwala poznać w pełni struktury władzy”.

Mentat-filozof wgryzł się głęboko we wszystko, co akceptowały, a to, co z siebie wyrzucił, nie zgadzało się z wiarą archiwistek w „niepodważalne oceny”.

„Wiedzieliśmy o tym, Miles, ale nigdy nie spojrzeliśmy temu w twarz. Teraz będziemy musiały przekopywać się przez nasze Inne Wspomnienia i potrwa to parę pokoleń”.

Nie można ufać starym systemom gromadzenia informacji.

– Jeśli zniszczycie większość kopii, czas zajmie się resztą.

Ależ się wściekano w archiwach na to oświadczenie baszara!

– Opisywanie historii jest głównie procesem odwracania uwagi. Większość dokumentów historycznych odwraca uwagę od tajnych powiązań otaczających przedstawiane zdarzenia.

To właśnie pogrążyło Bellondę.

– Tych kilka historii, które uniknęły restrykcji, gubi się w mroku z oczywistych przyczyn – przyznała, biorąc to na siebie.

Teg wyliczył kilka z owych przyczyn: niszczenie jak największej liczby kopii, ośmieszanie nazbyt odkrywczych dokumentów, ignorowanie ich na uczelniach, zapobieganie cytowaniu ich, a nawet, w niektórych przypadkach, eliminowanie autorów.

„Nie wspominając o szukaniu kozłów ofiarnych, co kosztowało życie niejednego przynoszącego złe nowiny” – pomyślała Odrade. Przypomniła sobie starożytnego władcę, który trzymał pod ręką włócznię, by przebijać nią takich posłańców.

– Mamy dobrą bazę informacji, na której zbudujemy lepsze rozumienie naszej przeszłości – dowodziła Odrade. – Zawsze wiedzieliśmy, że w konfliktach chodzi o ustalenie, kto będzie kontrolował bogactwo albo jego ekwiwalent.

Może nie był to prawdziwie „szlachetny cel”, ale na razie musiał wystarczyć.

„Unikam głównego problemu” – stwierdziła.

Trzeba było coś zrobić z Duncanem Idaho. Wszystkie o tym wiedziały.

Z westchnieniem wezwała ornitopter i przygotowała się do krótkiego lotu na statek pozaprzestrzenny.

„Duncan ma przynajmniej wygodne więzienie” – pomyślała, wchodząc do kajuty dowódcy statku. Zajmował ją ostatnio Miles Teg i pozostały tu jeszcze ślady jego obecności. Mały holoprojektor wyświetlał widok jego domu na Lernajosie – dostojnego starego budynku, długiego trawnika i rzeki. Teg zostawił też przybory do szycia na stoliku przy łóżku.

Ghola siedział w podwieszonym fotelu, wpatrując się w projekcję. Spojrzał apatycznie na Odrade.

– Zostawiłyście go tam po prostu na śmierć, prawda? – spytał.

– Zrobiliśmy, co musiałyśmy – odparła. – A ja byłam posłuszna jego rozkazom.

– Wiem, po co tu jesteś – powiedział – i nie zamierzam zmieniać zdania. Nie jestem waszym przeklętym ogierem. Rozumiesz?

Odrade przyglądała szatę i usiadła na skraju łóżka.

– Przejrzałeś zapisy, które zostawił mój ojciec?

– Twój ojciec?

– Miles Teg był moim ojcem. Polecam ci jego ostatnie słowa. Był tam do końca naszymi oczami. Musiał *zobaczyć* śmierć na Rakis. Umysł u swego początku widzi wszystkie zależności i kluczowe kłody.

Duncan popatrzył na nią z zaskoczeniem.

– Zbyt długo byliśmy uwięzieni w proroczym labiryncie Tyrana – wyjaśniła.

Spostrzegła, że się ożywił i wyprostował kocim ruchem mówiącym o gotowości mięśni do walki.

– Nie ma sposobu, żebyś wyszedł żywy z tego statku – powiedziała. – Wiesz dlaczego.

– Siona.

– Jesteś dla nas zagrożeniem, chcemy jednak, byś żył i robił coś pożytecznego.

– Nie mam zamiaru płodzić dla was dzieci, zwłaszcza z tą śmieszną małą z Rakis.

Odrade uśmiechnęła się na myśl o tym, jak Sziena zareagowałaby na to określenie.

– Uważasz, że to śmieszne? – zapytał.

– Nie o to chodzi. Wciąż jednak mamy dziecko Murbelli. Chyba będzie musiało nam wystarczyć.

– Rozmawiałem z Murbellą. Myśli, że zostanie Matką Wielebną, że przyjmiecie ją do Bene Gesserit.

– Dlaczego nie? Jej komórki przeszły próbę Siony. Będzie z niej wspaniała siostra.

– Naprawdę w toierzycie?

– Chodzi ci o to, że chce poznać nasze sekrety, a potem uciec? Wiemy o tym.

– Myślisz, że nie zdoła się wam wymknąć?

– Kiedy już kogoś dostaniemy, Duncan, nigdy go naprawdę nie tracimy.

– Nie sądzisz, że straciłyście lady Jessikę?

– W końcu wróciła do nas.

– Dlaczego właściwie mnie odwiedziłaś?

– Pomyślałam, że zasługujesz na wyjaśnienie planu Matki Przełożonej. Widzisz, jej celem było zniszczenie Rakis. Chciała unicestwić czerwie.

– Wielcy bogowie podziemi! Dlaczego?

– One były proroczą siłą, która trzymała nas w więzach. Perły świadomości Tyrana wzmacniały ten uchwyt. On nie przepowiadał zdarzeń, on je tworzył.

– A co z tym? – Duncan wskazał w kierunku ładowni.

– Ten? Teraz jest jedyny. Zanim rozmnoży się na tyle, żeby znów wywierać wpływ, ludzkość oddali się od niego, pójdzie własną drogą. Do tego czasu będziemy zbyt liczni, będziemy robić zbyt wiele rzeczy po swojemu. Żadna pojedyncza siła nie będzie już rządzić naszymi losami. Nigdy więcej. – Wstała, a kiedy nie odpowiadała, dodała: – Pomyśl o życiu, jakie chcesz prowadzić w ramach ograniczeń, które o ile wiem, uznajesz. Obiecuję pomóc ci, jak tylko będę mogła.

– Czemu miałabyś to robić?

– Bo moi przodkowie cię kochali. Bo kochał cię mój ojciec.

– Miłość? Wy, czarownice, nie możecie czuć miłości!

Patrzyła na niego niemal minutę. Rozjaśnione włosy odrastały jako ciemne i znów zwijały się w kędziory, zwłaszcza na karku.

– Czuję, co czuję – powiedziała. – A twoja woda należy do nas, Duncanie Idaho.

Widziała, że podziało na niego to fremieńskie powiedzenie. Odwróciła się i wyszła, mijając straż.

Przed opuszczeniem statku wróciła do ładowni i spojrzała na czerwia, nieruchomego na posłaniu z rakańskiego piasku. Obserwowała jeńca przez iluminator z wysokości dwustu metrów. Patrząc tak, przyłączyła się do bezgłośnego śmiechu coraz bardziej stapiającej się z nią Tarazy.

„Miałyśmy rację, a Schwangyu ze swoimi nie. Wiedziałyśmy, że chce się uwolnić. Musiał chcieć po tym, co zrobił”.

Przemówiła cichym szeptem, tak do siebie, jak do rozstawionych w pobliżu obserwatorów wypatrujących chwili, gdy w czerwiu zacznie się przemiana.

– Znamy teraz twój język – powiedziała.

W tym języku nie było słów, tylko ruchy – taneczne przystosowanie się do ruchomego, tańczącego wszechświata. Można było tylko *mówić* nim, bo nie dawał się przetłumaczyć. Aby poznać jakieś znaczenie, należało czegoś doświadczyć, a nawet wtedy znaczenie zmieniało się w oczach. „Szlachetny cel” był, mimo wszystko, nieprzetłumaczalnym doświadczeniem. Gdy jednak patrzyła w dół na szorstką, odporną na skwar skórę czerwia z rakańskiej pustyni, wiedziała, co widzi: widomy dowód szlachetności celu.

– Hej, stary czerwiu! – zawołała cicho. – Czy taki był twój plan?

Odpowiedzi nie było, ale wcale jej nie oczekiwała.



# Terminologia Imperium

Poznając historię Imperium, Arrakis i całą kulturę, która wydała Muad'Diba, napotykamy wiele nieznamytnych terminów. Pomoc w zrozumieniu ich to cel chwalebny, stąd te niżej podane definicje i wyjaśnienia.

**ABA:** luźna szata, zazwyczaj czarna.

**ABDL:** jedna z dwóch najwyższych – obok Mahadża – godności Tleilaxan.

**AGONIA PRZYPRAWOWA:** próba, do której przystępowały wybrane siostry Bene Gesserit w celu uzyskania statusu Matek Wielebnych.

**AL-DHANAB:** sztuczna planeta o bardzo surowym klimacie, utrzymywana przez Bene Gesserit ze względu na podobieństwo do warunków panujących na Salusie Secundusie.

**ALAYAMA:** w jednym ze starożytnych języków: „błogosławiona”.

**ALEMBIK ŚMIERCI:** wynalezione przez Fremenów (i tylko przez nich używane) urządzenie do wydestylowywania wody ze zwłok (patrz: **FREMENI**).

**ARRAKIN:** dawna nazwa Kin (patrz: **KIN**).

**ARRAKIS:** dawna nazwa Rakis, trzeciej planety Canopusa (patrz: **RAKIS**).

**BANDALONG:** najstarsze miasto na Tleilaxie, samotnej planecie gwiazdy Thalima.

**BARCHAN:** wydma w kształcie sierpa o ramionach zwróconych zgodnie z kierunkiem wiatru.

**BARONIA:** dawna nazwa miasta Ysai na Gammu.

**BASZAR:** pierwotnie termin z militarnego leksykonu rodu Corrinów, oznaczający oficera sardaukarów (fanatycznych żołnierzy z Salusy Secundusa) nieco wyższego rangą od pułkownika w zunifikowanej hierarchii Imperium. Stopień stworzony dla wojskowego komendanta podregionu planetarnego. Termin przejęty przez Fremenów, rybomówne i standardowy galach (patrz: **FREMENI** i **RYBOMÓWNE**).

**BAT:** potoczna nazwa pormabatu (patrz: **POLASTYNA**, **POLAZ** i **PORMABAT**).

**BENE GESSERIT:** zgromadzenie żeńskie przez stulecia działające za parawanem pólmistycznej szkoły kształcenia ducha i ciała, którą założono po tym, jak Dżihad Butleriański doprowadził do zniszczenia tak zwanych „myślących machin” i robotów.

**BENE TLEILAX:** społeczność, której członkowie dzielą się na maskaradników i mistrzów. Maskaradnicy, hybrydy, są bezpłodni i podlegają rozkazom mistrzów (patrz: **TLEILAXANIE**).

**BENOTTO, HADIA:** archeolog, która odkryła komory pozaprzestrzenne Leto II w Dar-es-Balat.

**BIBLIA PROTESTANCKO-KATOLICKA:** *Księga Ksiąg*, kanoniczny tekst opracowany przez Kongres Ekumeniczny Federacji. Zrewidowane połączenie starożytnych świętych pism, zawierające elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayaną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami buddislamskimi. Za najważniejsze przykazanie Biblii P-K uważa się: „Nie będziesz kaleczył ducha”.

**BINDU:** termin odnoszący się do układu nerwowego człowieka, szczególnie do treningu panowania nad nerwami. Często określane jako bindunerwatura (patrz: **PRANA** i **SZKOLENIE**).

**BODAL:** w tajnym języku używanym przez Tleilaxan: wyprawa wojenna mająca na celu ostateczną wendetę (inaczej zwana laszkarem).

**BORDANI:** ludzie hodowani i szkoleni do pracy przy obsłudze sprzętów napędzanych gazami ściekowymi. Selektywna hodowla pozbawiła ich zmysłu węchu, a zwiększyła muskulaturę ramion i przedramion.

**CHAKOBSA:** tak zwany „język magnetyczny”, częściowo wywodzący się z pradawnego bhotani (bhotani-dżib, gdzie „dżib” znaczy dialekt). Mieszanina starożytnych narzeczy zmodyfikowanych z myślą o zachowaniu tajemnicy. Jej podstawą był łowiecki język Bhotaniów, najemnych skrytobójców z czasów pierwszych wojen asasynów.

**CHASADAROWIE:** strażnicy pilnujący obowiązkowego dopełnienia rytuału ghufranu, a także strzegący selamlików z kobietami i granic Tleilaxa.

**CHYLAT:** tleilaxańska biała szata ceremonialna.

**CORRINÓW, RÓD:** ród pochodzący z Salusy Secundusa. Nazwę wziął od bitwy pod Corrinem (88 PG), która ustaliła jego trwające dziesięć tysięcy lat panowanie nad Imperium. Ostatnim władcą z dynastii Corrinów był Padyszach Imperator Szaddam IV, ojciec księżnej Irulany. Po klęsce zadanej sardaukarom (fanatycznym żołnierzom Corrinów) przez Fremenów w bitwie pod Arrakin (Kin; 10193) ród ten już nigdy nie odzyskał dawnej świetności (patrz: **SALUSA SECUNDUS**).

**CZERW PUSTYNI:** patrz: **SZEJ-HULUD**.

**DAN:** trzecia planeta Deltę Pawia, dawniej zwana Kaladanem, przez długi czas siridar księstwo rodu Atrydów. Rodzinna planeta Paula Muad'Diba, ojca Imperatora Leto II (Tyrana).

**DAR-ES-BALAT:** miejscowość na Rakis, miejsce ukrycia komór pozaprzestrzennych Leto II.

**DIUNA:** potoczna nazwa Rakis, trzeciej planety Canopusa.

**DOSTOJNE MATRONY:** powracające z Rozproszenia adeptki Hormu.

**DRYF:** wtórna kolektorowa faza generatora pola Holtzmana. Znosi ciężenie w pewnych granicach, określonych proporcjami masy i zużycia energii. Wynalazek oparty na projekcie tarczy obronnej Holtzmana, zmodyfikowanym przez Normę Cenvę na Poritrinie.

**DUR:** „Wielki Bóg Dur” (patrz: **GULDUR**).

**DŻAKARANDA:** rzadkie drzewo rosnące na Danie (trzeciej planecie Deltę Pawia).

**DŻIHAD:** „święta wojna”, fanatyczna krucjata religijna.

**DŻIHAD BUTLERIAŃSKI:** krucjata przeciwko „myślącym machinom” (komputerom i świadomym robotom), zwana potocznie Wielką Rewoltą. Trwała od roku 201 PG do roku 108 PG. Główne przykazanie Dżihadu Butleriańskiego zachowało się w Biblii P-K w postaci: „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego”.

**FILTRAK:** wynaleziony przez Fremenów strój pozwalający przetrwać na pustyni dzięki zapobieganiu utracie wydalanej wody i wilgoci. Jego podstawą była tkanina mikrowarstwowa, wysokiej wydajności system filtrujący wydzieliny ciała i pochłaniacz ciepła. Odzyskiwana woda przepływała do kieszeni łownych, z których można ją było pić za pomocą wodowodu (patrz: **KIESZEŃ ŁOWNA**).

**FREMENI:** wolne plemiona Arrakis sprzed ekologicznej transformacji Diuny, mieszkańcy pustyni, potomkowie zensunnickich Wędrowców.

**FUTAR:** efekt nieudanych eksperymentów genetycznych Tleilaxan. Przybyłe z Rozproszenia krzyżówki ludzi z drapieżnymi zwierzętami, słuchające poleceń treserów. Istoty z wyglądu przypominające ludzi, ale o zachowaniach dzikich zwierząt.

**GALACH:** oficjalny język Imperium. Hybryda anglo-słowiańska z silnymi naleciałościami leksykalnymi przyswojonymi od różnych kultur w trakcie wieloetapowych migracji człowieka.

**GAMMU:** 36 Ophiuchi B, ojczysta planeta rodu Harkonnenów, dawniej zwana Giedi Prime. Nazwę Gammu nadał jej Gurney Halleck, ale przyjęła się ona dopiero w Czasach Głodu i podczas



Rozproszenia.

**GANIMA:** bliźniacza siostra Leto II (Tyrana) i jego oficjalna małżonka. Wraz z Harkiem al-Adą była protoplastą wszystkich Atrydów żyjących od czasów Boga Imperatora.

**GHOLE:** duplikaty ludzi hodowane z komórek martwego ciała w kadziach aksolotlowych Tleilaxan (patrz: **KADŹ AKSOLOTLOWA**).

**GHUFRAN:** rytuał oczyszczenia obowiązujący każdego powracającego z innej planety Tleilaxanina, który zetknął się z *powindah*.

**GIEDI PRIME:** dawna nazwa planety Gammu (patrz: **GAMMU**).

**GILDIA KOSMICZNA:** druga ze szkół kształcenia ducha i ciała (patrz: **BENE GESSERIT**), które zaczęły powstawać po Dżihadzie Butleriańskim. Ustanowienie monopolu Gildii w zakresie podróży kosmicznych, transportu i bankowości przyjmuje się za datę początkową kalendarza Imperium.

**GŁOS:** umiejętność manipulowania mową w celu zdobycia kontroli nad słuchaczem; jedno z najbardziej imponujących uzdolnień Bene Gesserit.

**GŁUSZAK:** miotacz wolno poruszających się bolców, nasyconych trucizną lub narkotykiem. Ich skuteczność zależy od nastawienia pola tarczy obronnej i względnego ruchu pomiędzy miotaczem a celem.

**GOM DŻABBAR:** (dosłownie: „wróg ostateczny”) zatruta metacyjankiem szpilka, której cenzorki Bene Gesserit używały do poddawania ludzkiej świadomości próbie śmierci.

**GROT-GOŃCZAK:** szybująca w polu dryfowym metalowa igła, którą sterowano za pomocą ukrytej w pobliżu konsoli.

**GULDUR:** „Wielki Bóg Dur” – jedno z określeń Tyrana w Rozproszeniu.

**HAKI STWORZycIELA:** laski stosowane przez Fremenów do chwytania, dosiadanania i ujeżdżania czerwii pustyni. Z jednej strony zakończone hakami, z drugiej szorstkie dla pewniejszego chwytu (patrz: **FREMENI** i **SZEJ-HULUD**).

**HARAM:** pogardliwe słowo oznaczające największe zło.

**HIPNOBONG:** zakazane na wszystkich bardziej cywilizowanych planetach urządzenie powodujące rodzaj narkotycznego zamroczenia.

**HORM:** zgromadzenie Dostojnych Matron kładące główny nacisk na instynkt jako czynnik, który odgrywa podstawową rolę w działalności człowieka.

**IMPRINT:** dokonane za pomocą technik seksualnych uwarunkowanie mające podporządkować osobniki płci męskiej planom rozrodczym zgromadzenia żeńskiego.

**IMPRINTERKA:** Bene Gesserit dokonująca imprintów (patrz: **IMPRINT**).

**IX:** dziewiąta planeta Eridani A, źródło wyrafinowanych technologii. Zaliczana do niedościgłych cywilizacji technicznych.

**IXANIE:** mieszkańcy Ixa (patrz: **IX**).

**JEŹDZIEC PIASKU:** fremeński termin na określenie osoby, która potrafi wspiąć się na czerwii pustyni i pojechać na nim.

**JĘZYK WALKI:** każdy specyficzny, niezrozumiały dla przeciwnika język o tajnej etymologii, służący do nieskrępowanego porozumiewania się (głównie w warunkach bojowych).

**KADŹ AKSOLOTLOWA:** wynalazek Tleilaxan służący m.in. do odtwarzania istot ludzkich z komórek martwego ciała (patrz: **GHOLE**).

**KALADAN:** dawna nazwa Danu, trzeciej planety Deltę Pawia.

**KANAT:** otwarty kanał irygacyjny na pustyni, w którym można było regulować przepływ wody.

**KAPITUŁA:** planeta stanowiąca tajną siedzibę główną Bene Gesserit.

**KHOAM:** akronim od nazwy Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles – wszechświatowej korporacji eksploatacyjnej. Stworzenie KHOAM wyznaczyło prawdziwy początek Imperium

i stało się jednym z jego głównych elementów.

**KIESZEŃ ŁOWNA:** każda kieszeń filtraka, w której magazynowana była odzyskana woda (patrz: **FILTRAK**).

**KIN:** pierwsza osada na Rakis; przez długi czas siedziba rządu planetarnego. Po przejściu Diuny przez Atrydów ponownie stolica planetarna.

**KRWAWIN:** pasożytnicza roślina pnąca z Gammu (36 Ophiuchi B). Jej pędów często używano jako biczów w obozach niewolników. Pozostawiała czerwony ślad, który powodował trwający wiele lat ból.

**KWISATZ HADERACH:** „skrócenie drogi”. Nazwę tę nadały Bene Gesserit *niewiadomej*, dla której szukały rozwiązania na drodze genetycznej: Bene Gesserit płci męskiej, którego siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas. Według ceduły doboru (rejestr głównego związków krwi ich programu ludzkiej hodowli) miał nim być syn zrodzony z córki lady Jessiki i Feyda-Rauthy Harkonnena. Wskutek wielu nieprzewidzianych czynników Kwisatz Haderach pojawił się wcześniej: był nim Paul Atryda, ojciec Imperatora Leto II (Tyrana).

**LASZKAR:** w tajnym języku używanym przez Tleilaxan: wyprawa wojenna, mająca na celu ostateczną wendetę (inaczej zwana Bodalem).

**LAZ:** potoczna nazwa polazu (patrz: **POLASTYNA**, **POLAZ** i **PORMABAT**).

**LEGION:** formacja złożona z dziesięciu brygad (około 30 tysięcy ludzi).

**LERNAJOS:** ojczysta planeta baszara Milesa Tega.

**LICHTUGA:** rodzaj fregaty, największego statku kosmicznego mogącego lądować na planecie i startować z niej w całości.

**LINIOWIEC:** największy statek transportowy wykorzystywany w systemie przewozowym Gildii Kosmicznej.

**LITERJON:** litrowy pojemnik do przenoszenia wody na Rakis, wykonany z bezodpryskowego plastiku o dużej masie właściwej i zaopatrzony w doskonałe zamknięcie.

**LUMISFERA:** zasilane zazwyczaj bateriami organicznymi urządzenia oświetleniowe zawieszone na dryfie. Wynalazek Normy Cenvy.

**MAHADŻ:** jedna z dwóch najwyższych – obok Abdla – godności Tleilaxan.

**MANKIL:** stosowana na Gammu nazwa broni zakończonych z jednej strony hakiem, z drugiej ostrą jak brzytwa klingą.

**MANKITE:** stosowana na Danie nazwa broni zakończonych z jednej strony hakiem, z drugiej ostrą jak brzytwa klingą.

**MASKARADNICY:** jadachańscy hermafrodyty z Tleilaxa mający zdolność cielesnej adaptacji. Mogli dowolnie zmieniać wzrost, budowę ciała, rysy twarzy, kolor i długość włosów, a także płeć (patrz: **TLEILAXANIE**).

**MATKA WIELEBNA:** pierwotnie cenzorka Bene Gesserit, która przekształciła w swym ciele „truciznę objawienia” i wniosła się na wyższy poziom świadomości (patrz: **BENE GESSERIT**).

**MELANŻ:** „przyprawa nad przyprawami”, której jedynym źródłem była Arrakis. Znana głównie z właściwości geriatrycznych, przyjmowana w ilościach powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi ciała była silnie uzależniająca. Melanż powstawał z masy preprzyprawowej – stadium grzybiastego, burzliwego wzrostu spowodowanego kontaktem wody z ekskrementami piaskowych troci. W tym stadium przyprawa „wybuchała” w charakterystyczny sposób, mieszając substancję z głębi ziemi z substancją z powierzchni. Utworzona masa, poddana działaniu słońca i wiatru, stawała się melanżem.

**MELOKSA:** przyprawowy utleniacz powodujący szybkie trzeźwienie po nadużyciu napojów alkoholowych.

**MENTAT:** „ludzki komputer”, członek klasy obywateli Imperium szkolonych w umiejętności logicznego myślenia na nadludzkim poziomie.

**METODA BENE GESSERIT:** umiejętność stosowania drobiazgowej obserwacji (patrz: **SZKOLENIE**).

**MISSIONARIA PROTECTIVA:** jedno z ramion zgromadzenia żeńskiego. Jego główną funkcją było rozsiewanie i utrwalanie zaraźliwych zabobonów na prymitywnych planetach w celu szerzenia tam wpływów Bene Gesserit.

**MONITOR:** dziesięciocłonowy okręt kosmiczny wyposażony w ciężką broń i tarcze. Konstrukcja umożliwiała mu lądowanie w całości na planecie i rozdzielenie członów składowych na czas startu.

**MUAD'DIB, PAUL:** fremeńskie imię wieku męskiego Imperatora Paula Atrydy, ojca Leto II (Tyrana).

**MUR ZAPOROWY:** górzyste wypiętrzenie terenu na północnej półkuli przed ekologiczną transformacją Diuny, które osłaniało niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa.

**NAIB:** „Ten, kto ślubował nie dać się wziąć żywcem”. Tradycyjna przysięga przywódcy Fremenów (patrz: **FREMEŃ**).

**NAWIGATORZY:** gildianie potrafiący dzięki melanzowi odszukać taką linię przyszłości, która pozwalała liniowcom Gildii Kosmicznej omijać wszelkie niebezpieczeństwa (patrz: **LINIOWIEC** i **GILDIA KOSMICZNA**).

**NIECKA:** nadający się do zamieszkania nizinny obszar na Rakis otoczony wzniesieniem terenu osłaniającym go przed samumami.

**ODDZIELACZ WIATRU:** urządzenie instalowane głównie na szlaku dominujących wiatrów. Skraplało wilgoć z powietrza zasysanego do komory (przeważnie wskutek gwałtownego i znacznego spadku temperatury w oddzielaczu).

**ONN:** wybudowane na terenie dawnego Tanzerouft Świąteczne Miasto, którego architekturę podporządkowano jednej tylko funkcji: publicznemu oglądaniu Imperatora Leto II (Tyrana). W Onn znajdowały się gmachy głównej szkoły rybomównych, ambasady innych planet, biura agentów handlowych, muzea i biblioteki, jednak zajmowały one niecałe dziesięć procent powierzchni miasta. Miasto wybudowano z myślą o Świącie Dziesięciolecia Leto II. Centrum stanowił gigantyczny plac otoczony przez balkony i platformy, z których poddani mogli podziwiać Boga Imperatora. Na placu zainstalowano ixańskie kamery, które przekazywały obraz do apartamentów na przedmieściach. Drugą, mniej jawną ceremonią, która odbywała się w Onn, był Siajnok (patrz: **RYBOMÓWNE** i **SIAJNOK**).

**ORNITOPTERY:** wszelkie statki zdolne do długotrwałego lotu za pomocą uderzeń skrzydłami na wzór ptaków.

**PIASKOWA TROĆ:** pół roślina, pół zwierzę, zarodek czerwia pustyni żyjący w głębi piasku Rakis. Ekskrementy piaskowych troci, które ginęły milionami w każdym wybuchu przyprawowym, zmieszane z wodą tworzyły masę preprzyprawową (patrz: **MELANŻ**). Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadały w półsen cystohibernacji, by po sześciu latach wyłonić się w postaci małego czerwia pustyni (patrz: **SZEJ-HULUD**).

**PILINGITAM:** niezwykle ceniony przez najbogatszych gatunek rzadkiego i szlachetnego drewna, zwany „Jedynym P” (w przeciwieństwie do darzonych pogardą „Trzech P”, czyli masowo produkowanych tworzyw sztucznych: polastyny, polazu i pormabatu).

**PLASTAL:** stal stabilizowana włóknami *stravidium*, które wrastają w jej strukturę krystaliczną.

**POLASTYNA, POLAZ i PORMABAT:** masowo produkowane tworzywa sztuczne, słynne pogardzane „Trzy P”. Z czasem ich nazwy skrócono do potocznych form: tyna, laz i bat.

**POZAPRZESTRZEŃ:** zjawisko wytwarzane przez urządzenia, które Ixanie wynaleźli z myślą o ukryciu przedmiotów wewnątrz określonego obszaru lub ukryciu samego obszaru.

**PRANA:** termin odnoszący się do mięśni, z których każdy traktowany jest osobno i, jako osobna jednostka, maksymalnie ćwiczony. Często określane jako pranamuskulatura (patrz: **BINDU**).

i **SZKOLENIE**).

**PRAWDOMÓWCZYNI:** Matka Wielebna, która posiadała sztukę zapadania w trans prawdy i bezbłędnie potrafi wykryć kłamstwo, oszustwo lub nieszczerłość.

**PRZYPRAWA:** patrz: **MELANŻ**.

**PUNDI, RYŻ:** zmutowany ryż o bogatych w naturalny cukier ziarnach osiągających do czterech centymetrów długości.

**RAKIS:** trzecia planeta Canopusa, znana także jako Diuna. Naturalne źródło życiodajnej przyprawy: melanżu.

**RÓD:** idiomatyczne określenie klanu rządzącego na planecie lub w układzie planetarnym.

**RUSZNICA LASEROWA:** miotacz laserowy wytwarzający falę ciągłą. W cywilizacji używającej powszechnie tarcz obronnych miały ograniczone zastosowanie, gdyż zetknięcie wiązki laserowej z tarczą powodowało straszliwy wybuch (fuzję subatomową). Podczas rządów Imperatora Leto II Atrydy (Tyrana), który zakazał używania tarcz, rusznice laserowe w rękach rybomównych odzyskały dawne znaczenie (patrz: **TARCZA OBRONNA**).

**RYBOMÓWNE:** złożona z kobiet armia Imperatora Leto II (Tyrana).

**RYDULIAŃSKI PAPIER KRYSTALICZNY:** niezwykle wytrzymały i twardy papier grubości od jednej do kilku molekuł.

**SALUSA SECUNDUS:** trzecia planeta Gammy Waiping, ojczysta planeta rodu Corrinów. Miejsce szkolenia sardaukarów – fanatycznych żołnierzy rodu Corrinów (patrz: **CORRINÓW, RÓD**).

**SARDAUKARZY:** fanatyczni żołnierze z Salusy Secundusa, wojownicy imperialnego rodu Corrinów. Uchodzący za niezwyciężonych, zostali pokonani przez Fremenów w bitwie pod Arrakin (Kin) w roku 10193, a w 10219 oddani pod rozkazy Imperatora Leto II (Tyrana).

**SEMUTA:** drugi (obok elakki) narkotyk otrzymywany przez ekstrakcję krystaliczną z popiołów drewna elakka z Ekaza (czwartej planety Bety Alfa Centauri). Wywoływała efekt opisywany jako „nieustająca, bezkresna ekstaza”, który powodowały rytmiczne, atonalne wibracje określane mianem semuckiej muzyki.

**SERIR:** mierząca tysiąc pięćset na tysiąc kilometrów kopia pustyni, która pokrywała powierzchnię Diuny przed ekologiczną transformacją planety; założona przez Imperatora Leto II (Tyrana).

**SIAJNOK:** Wielkie Uczestnictwo. Odbywająca się co dziesięć lat w Świątecznym Mieście Onn ceremonia wzmacniająca więzy między Imperatorem Leto II (Tyranem) a rybomównymi. Dla kobiecej armii Leto II Sijajok był najświętszym rytuałem zazdrośnie strzeżonym przed obcymi, w szczególności mężczyznami. Jedynym tolerowanym wyjątkiem był ghola Duncana Idaho (patrz: **ONN** i **RYBOMÓWNE**).

**SICZ:** dla Fremenów: „miejsce zbiórki w razie zagrożenia”. Wskutek częstego użycia (przed Atrydami Fremenii żyli w nieustannym zagrożeniu) termin ten zaczął w końcu oznaczać wszelkie jaskiniowe siedziby ich plemiennych społeczności (patrz: **FREMEŃ**).

**SICZ TABR:** fremieńska sicz, do której w roku 10191 trafili podczas ucieczki przed Harkonnenami i sardaukarami lady Jessica i jej syn Paul Atryda, ojciec Imperatora Leto II (patrz: **SICZ**).

**SOCZEWKI OLEJOWE:** olej hufufowy zamknięty w obudowie i utrzymywany w napięciu statycznym przez pole siłowe, stanowiący część układu powiększającego lub innego układu manipulowania światłem. Dzięki wyjątkowo czulej naturze pola siłowego warstwy oleju mogły być regulowane skokowo co jeden mikron, przez co soczewki olejowe uchodziły za szczytowe osiągnięcie techniki precyzyjnej manipulacji światłem widzialnym.

**SOLARIS:** oficjalna jednostka płatnicza.

**SONDA IXAŃSKA:** urządzenie służące do penetracji umysłu człowieka wbrew jego woli. Pozwalało uzyskać potrzebne informacje, pod warunkiem że penetrowany osobnik nie zażył uprzednio szaru (patrz: **SZER**).

**SONDA T:** wersja sondy ixańskiej wytwarzana przez Utraconych (patrz: **SONDA IXAŃSKA**).

**SUFIZM:** kierunek mistyczny-ascetyczny. Kładł główny nacisk na przeżycie mistyczne (osiągane kontemplacją, ekstazą itp.) prowadzące do zespolenia z istotą boską.

**SUK:** w języku Fremenów: targowisko.

**SUK, LEKARZE:** lekarze, którzy ukończyli Akademię Medyczną Suk na Kaitain i uzyskali tzw. najwyższe uwarunkowanie, rzekomo najgłębszy odruch warunkowy przeciwko odebraniu życia człowiekowi.

**SZARIAT:** prawo religijne (od Szari-a: „właściwa droga”).

**SZEJ-HULUD:** gigantyczny czerw z Arrakis. Czerwie osiągały ogromne rozmiary i dożywały sędziwego wieku, o ile nie padły ofiarą swych pobratymców lub nie utonęły w wodzie, która była dla nich zabójczą trucizną. Działaniu czerwii pustyni przypisywano większość piasku na Arrakis. Wskutek realizacji planu Ekologicznej Transformacji, mającej na celu zlikwidowanie pustyń, szej-huludy wyginęły, by odrodzić się z piaskowych troci otaczających ciało Imperatora Leto Atrydy (Tyra) po jego śmierci (patrz: **PIASKOWA TROĆ**).

**SZEJTAN:** szatan.

**SZER:** narkotyk chroniący przed penetracją umysłu sondą ixańską. W przypadku śmierci osobnika, który zażył szer, komórki jego ciała obumierały, zanim narkotyk przestał działać.

**SZIGASTRUNA:** metalowe wasy płożącej się liany (*Narvi narvium*) spotykanej tylko na Salusie Secundusie i na trzeciej planecie Delti Kaising. Słysnęły z najwyższej wytrzymałości na rozciąganie, były często używane w sabotażu, zabójstwach i okaleczeniach.

**SZKOLENIE:** w odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia, związanego m.in. z maksymalnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni, jakie dopuszcza granica ich naturalnej wytrzymałości. Szkolenie pozwalało adeptce Bene Gesserit kontrolować siebie i innych (patrz: **BINDU, GŁOS, METODA BENE GESSERIT i PRANA**).

**ŚWIMAKI:** jeden z najważniejszych towarów eksportowych Bene Tleilax, zwierzęta dostarczające mięsa na najdroższe dania w Imperium. Ta genetyczna krzyżówka wielkiego ślimaka i świni, stworzenie o wielu pyskach, bezustannie ryła w poszukiwaniu odpadków, które błyskawicznie przerabiała na ekskrementy przypominające śluz o bardzo charakterystycznym zapachu.

**TANTRUS:** bóg, którego wyznawcy głoszą, że jedyną formą oddawania mu czci jest seks.

**TARCZA OBRONNA:** pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzman. Tarcze przepuszczały tylko obiekty poruszające się z niewielką prędkością (od sześciu do dziewięciu centymetrów na sekundę) i dezaktywować je mogło jedynie pole elektryczne wielkości hrabstwa.

**TLEILAX:** jedyna planeta Thalimy. Źródło wypaczonych mentatów, ghol i maskaradników (patrz: **TLEILAXANIE**).

**TLEILAXANIE:** mieszkańcy Tleilaxa (jedynej planety gwiazdy Thalima), źródła niemoralnych (choć tolerowanych) technologicznie produktów.

**TYNA:** potoczna nazwa polastyny (patrz: **POLASTYNA, POLAZ i PORMABAT**).

**WIELKA KONWENCJA:** powszechny pokój wymuszony równowagą sił utrzymywaną przez Gildię, wysokie rody oraz Imperium. Jej główne postanowienie zabraniało używania broni atomowej przeciwko człowiekowi. Każdy punkt Wielkiej Konwencji zaczynał się od słów: „Należy przestrzegać konwencji...”

**WYKRYWACZ TRUCIZNY:** urządzenie działające na zasadzie analizy spektrum zapachów, przeznaczone do wykrywania substancji trujących w produktach spożywczych.

**WYSOKIE RODY:** feudalowie mający w wieczystym bądź terminowym władaniu planetę lub system planetarny; przedsiębiorcy międzyplanetarni (patrz: **RÓD**).

**YSAI:** jedno z największych miast na Gammu (dawniej zwane Baronią).

**ZENSUNNICI:** członkowie sekty Maometha (zwanego „trzecim Mahometem”), którzy zerwali z jego naukami około 1381 roku PG. Większość badaczy wymienia Alego Bena Ohashi jako przywódcę pierwotnej schizmy, ale istnieją pewne dowody na to, że Ohashi mógł być jedynie głosicielem poglądów swej drugiej żony Nisai.

**ZENSUNNIZM:** sekta religijna, która znana jest przede wszystkim ze swego przywiązania do mistycyzmu i nawrotu do „zwyczajów ojców”. Podczas gdy mistyczne doktryny zensunnitów mogą się zdawać beznadziejnie skomplikowane dla niewtajemniczonych, ich fundamentalny cel był prosty do wytłumaczenia: pragnęli odpowiedzieć na Sunnę, dziesięć tysięcy pytań religijnych postawionych przez szariat, wraz z mistycznym ich zrozumieniem, a nie racjonalnym podejściem (patrz: **ZENSUNNICI**).

**ZGROMADZENIE ŻEŃSKIE:** patrz: **BENE GESSERIT**.

**ZŁY DUCH:** termin używany przez Bene Gesserit na określenie przednarodzonych (osoby obdarzone świadomością już w łonie matki, mające wiedzę i wspomnienia przodków), którzy zostali opętani przez jednego z ich przodków.

**ŻNIWIARKI PRZYPRAWOWE:** wielkie (niejednokrotnie 120 na 40 metrów) maszyny do zbierania przyprawy, powszechnie stosowane na bogatych, niezanieczyszczonych terenach po wybuchu melanżu. Często z powodu niezależnych gąsienic i kształtu przypominającego robaka zwane były gąsienikami.

Frank Herbert (1920–1986) to jeden z najwybitniejszych twórców literatury SF, zdobywca prestiżowych nagród Hugo, Nebula i Apollo, autor kilkunastu doskonałych powieści i zbiorów opowiadań, prekursor nurtu ekologicznego w fantastyce. Polski czytelnik zna m.in. jego *Oczy Heisenberga*, *Gwiazdę chłosty*, *Władców niebios* i *Twórców bogów*. Sławę przyniósł mu jednak przede wszystkim epokowy cykl „Kroniki Diuny” — barwna epopeja przedstawiająca dzieje pustynnej planety Arrakis, źródła najcenniejszej substancji we wszechświecie: melanżu.

Tytuł oryginału: *Heretics of Dune*

Copyright © 1984 by Frank Herbert  
*All rights reserved*

The excerpt from *The Vigil*, copyright 1953 by Theodore Roethke from *The Collected Poems of Theodore Roethke*, is reprinted by permission of Doubleday & Company, Inc., and Faber Ltd.

Copyright © for the Polish e-book edition by  
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2011

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Przekład wierszy: Klaudia Heintze  
Redakcja merytoryczna i słowniczek: Sławomir Folkman  
Redakcja: Błażej Kemnitz

Copyright © 2009 for the illustrations by Wojciech Siudmak  
Grafiki: Wojciech Siudmak

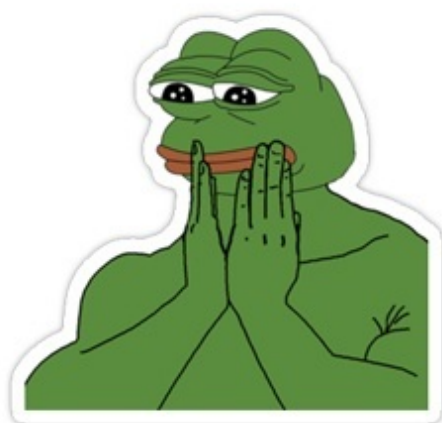
Wydanie I e-book  
(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
*Heretycy Diuny*, wyd. I w tym tłumaczeniu, dodruk, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-089-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

e-Book: KALADAN, [www.kaladan.pl](http://www.kaladan.pl)





RARE

Blisko półtora tysiąca lat po śmierci Boga Imperatora we wszechświecie dużo się zmieniło. Nie ma Imperium, Rakis nie jest już jedynym źródłem melanżu, a rybomówne straciły wpływy. Tleilaxanie, Ixanie i Bene Gesserit pozostali jednak na scenie, a nieżyjący Leto II wciąż kładzie się cieniem na ich przyszłości.

Walcząc o supremację, a zarazem usiłując ocalić zgromadzenie przed napływającymi z Rozproszenia Dostojnymi Matronami, Bene Gesserit układają diaboliczny plan. W jego centrum tkwią kolejny ghola Duncana Idaho i żyjąca na Rakis dziewczyna, która... rozkazuje czerwiom.

„Wciągająca i porywająca... Fascynuje szczegółami, a zarazem spowita jest aurą tajemnicy i mistycyzmu”.

„Milwaukee Journal”



[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

# Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Heretycy Diuny.](#)

[Terminologia Imperium](#)

[Notka biograficzna](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\[Okładka\]](#)